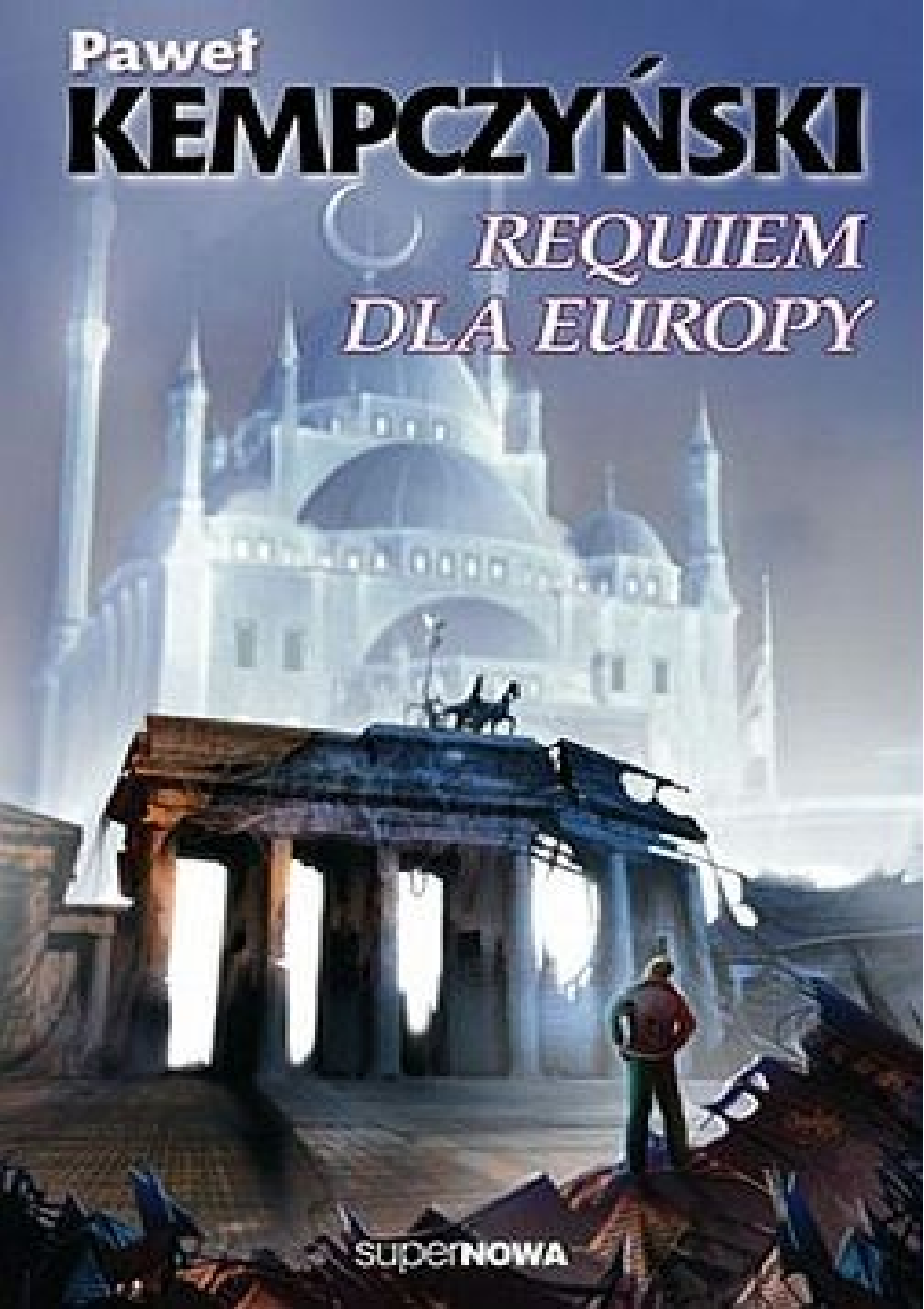


Paweł

KEMPCZYŃSKI

*REQUIEM
DLA EUROPY*



supernowa

**PAWEŁ
KEMPCZYŃSKI**

**REQUIEM
DLA EUROPY**

2007

trident

*Historię zagubionego w rzeczywistości pilota
dedykuję Ojcu,
który kiedyś widział prawdziwą przestrzeń
oraz wojnę światów.*

Autor

Widziałem rano tańczących derwiszów. Mieli szeroko rozłożone ramiona – podobni do wielkich żurawi. Wirujące suknie wizjonerów zakreślały kręgi, a natchnione ekstazą, nieobecne twarze przebłyskiwały w regularnych mgnieniach. Stopami lekko dotykali bruku, ale byli tam – wysoko w nieskończonej przestrzeni. Białe oczy tancerzy wzrokiem Boga oglądały początek i kres słońc i planet. Ognisty świt wszechświata i jego śmierć w spazmach aktu samozagłady. Byli tak daleko, że ich dusze odcisnęły ślady stóp na samej krawędzi poznania.

Ja także kiedyś oglądałem bezkres – chcę tam być jeszcze raz. Obok nogi od krzesła stoi wypełniona do połowy butelka taniej przydziałowej wódki. Biorę ją do ręki. Krztusząc się, wypijam resztę, a puste szkło zmienia się w tysiąc migotliwych gwiazd wytryskujących z odrapanej ściany.

Rozkładam ramiona – wznoszę się, odchylając głowę. Tańczę, układając kroki do przypomnianego rytmu, na podobieństwo porwanych transem nomadów nieskończoności. Mój pokój zmienia się w zasysający wszystko, rozmazany lej. Stare tapety – okno, stare tapety – okno. Świat zlewa się w burożółte pasma, niczym farba w toczącym się słoiku. Gdzie jest błękit? Nie ma nieba. Lej

zasysa mnie w dół, jak ptaka złapanego w wir cyklonu. Potykam się raz i drugi, przewracam krzesło, padam. Nie podnoszę się. Może teraz przygarnie mnie nicość i zamknie nad głową swoje czarne, bezpieczne sklepienie.

Budzi mnie ciepły dotyk rozlewający się po nagiej skórze. Pokój zalany jest światłem przeciekającym pomiędzy listewkami żaluzji. Złoty smok, stojący na dachu pagody na wprost mojego okna, wypluwa z rozwartej brodatej paszczy białe, rozdygotane słońce. To rano, kolejny bezlitosny znak, że jeszcze żyję. Serce Wielkiego Berlina dudni już jednostajnym rytmem, tocząc arteriami ulic kolorową krew. Jej krwinki to Afrykanie, Azjaci, Arabowie, Hindusi i wszystkie plemiona umierającego, przeludnionego do ostatniego metra globu.

Są jeszcze tubylcy. Niczym szczerp skazanych na zagładę bakterii, przemykają, kryjąc się w zaułkach żył miasta. Coraz mniej liczni, coraz bardziej martwi.

Siadam na rozlatującej się ze starości, wytartej kanapie, obejmując głowę rękoma. Kiwam się w przód i w tył – tyle mogę zrobić, by ratować mój miniony świat. Mogę zrobić coś jeszcze, ale to później – jeszcze nie teraz. Może wieczorem? Kołyszę się w monotonnym, jednostajnym rytmie z nadzieją, że to kołysanie pozwoli mi jeszcze raz zasnąć i wrócić choć na chwilę tam, gdzie śmieją się bliscy.

Jestem Hubert Jugenmann. Tak się nazywam. To w tej chwili cały dorobek mojego czterdziestoletniego życia. Miałem ukochaną kobietę, ale odeszła. Miałem pracę, dla której żyłem, miałem oddanych kumpli. Nie zostało mi nic oprócz gorzkich dni w samotności i kliszy wspomnień.

Byłem kiedyś pilotem, bardzo dobrym pilotem. Jeszcze czasem łudzę się, że usiądę znowu za sterami i dotknę błękitnego nieba. Jak kiedyś. Teraz siedzę, obejmując głowę

rękami i kiwam się na starej, wytartej kanapie – niczym porzucone dziecko.

Jeszcze jeden bilans mojego życia, może znajdę coś, co przeoczyłem. Coś, co wyzwoli nadzieję. Tylko szczerze, Hubercie, oszukiwanie samego siebie to głupota i teńchórzostwo.

Zacznę od minusów, tak jak kazała pani psycholog na ostatnim psychawiorze. Później błyskawicznie przeskoczę na pozytywy, odblokuję je i utrwale w warstwie podkorowej.

Dobra, jedziemy z negatywami. Nie może być aż tak źle. Minusy – po kolei, Hubercie, od fundamentalnych do zmiennych.

Jestem biały, mam jasne włosy oraz niebieskie oczy. Jestem wykształconym i zdrowym czterdziestoletnim autochtonem. Jestem hetero i nie potrafię szczerze zaakceptować Wielkiego Planu Zrównania Szans.

Zmienne: mogę zakochać się w jakimś gościu, jeśli ktoś mnie w ogóle zechce. Mogę złapać jakąś zajadłą zarazę. Mogę wreszcie szczerze zaakceptować rzeczywistość, jaką stworzył Wielki Plan.

Coś zaczyna mnie nagle dusić, pełznąca powoli drętwtota sunie od klatki piersiowej do krtani. To przerażenie – nie myśl o strachu, zablokuj negatyw! Szybko plusy, prędzej do cholery z jakimś plusem!

Boję się otworzyć okno i przez nie wyjść. Boję się tej chwili, kiedy będę pomiędzy niebem a ziemią.

Boję się tej chwili, kiedy już nie będę mógł wdrapać się z powrotem na zardzewiały parapet, by wpełznąć po nim do swojej nory. Żeby znów siedzieć na starej kanapie, kiwając się w przód i w tył – dopóki nie zasnę. Jestem głównem!

Nagły rumor i brzęk tłuczonego szkła, coś zaczyna do mnie docierać. Bębny! Rytmiczny łomot z głębi czasu, kiedy

byliśmy wolni. Jak uderzenia matczynego serca, kiedy byliśmy bezpieczni.

Podnoszę się z zapleśniałego wyra, podobny do ślepego robaka. Idę, kierując się ku jasnej plamie okna, instynktownie przekręcam klamkę. Resztki pogruchotanej szyby wypadają z ram i listewek żaluzji. Ogarnia mnie światło. To piękny słoneczny dzień, obrazy zaczynają nabierać realnego kształtu. Postacie we wszystkich kolorach tęczy tańczą w rytm bębnów. W martwą śpiewającą skórę wałą faceci, kręcąc się wokół własnej osi i robiąc jednocześnie rytmiczne skłony. Wszyscy są uśmiechnięci całością białych jak śnieżne chmury zębów. Są więksi i mniejsi. Mniejsi co chwila energicznie unoszą ramiona. Wtedy wokół mojego okna odpada w małym dymku pyłu stary tynk. Teraz także i dźwięk staje się zrozumiały. Poprzez dudnienie zaczynam pojmować słowa, które towarzyszą zamachom ramion mniejszych figurek.

– Biała świnia! Biała świnia! Biała świnia!

Znowu jestem. Dzięki wam, senegalskie bębny i dzieciaki, nie wyszedłem przez okno... jeszcze nie. Zazdroszczę wam, gdybym miał tylko dziesięć procent waszego rządowego zasiłku, waliłbym w bęben nawet czołem. Przez cały okrągły dzień bez przerwy, od świtu do zmierzchu. Lecz wiem, że nic nie dostanę i muszę sam coś zrobić ze swoim losem. A przez okno mogę wyjść choćby jutro – kiedy zabrają mi ostatnią szansę. Dziękuję wam, bębny!

Kolejny kamień przelatuje o cal od mojego policzka. Ma jeszcze tyle energii, by rozpieprzyć w drobny mak kryształowy wazonik, stojący na nocnej szafce obok fotografii mojej ukochanej. Bibelot był pamiątką z tamtego życia. Dostałem go od... już nie pamiętam. Kłaniam się

wesołej orkiestrze i chowam za bezpieczną ścianę. Zaraz im się znudzi. Pójdą dalej, głosząc bębnieniem swoją radość z sytych brzuchów oraz nowych mieszkań, gdzie można śpiewać do woli przy blasku ogniska z palonych mebli. Dudnienie już się oddala. Senegalczycy są łagodni – nie wejdą tu na górę, żeby obić mi mordę. To na szczęście spokojna chińsko-afrykańska dzielnica.

Zmiotam ze stolika dłonią odłamki kryształu. Podnoszę przyprószony szklistym pyłem urzędowy druczek: WEZWANIE, KOMISJA PSYCHOLOGICZNO-BEHAWIORALNA, z dzisiejszą datą.

W ruderze, w której przyszło mi wegetować, mam dwa okna. Jedno, teraz z resztką szyby, wychodzi na ulicę. Ten widok napawa mnie lękiem. Od rana do późnej nocy wąwozem ulicy płynie potok rowerów, lektyk i riks. Ten chaos przeczy wszelkim prawom natury. Rzeka zgiełku pędzi jednocześnie we wszystkich kierunkach, pulsując spazmatycznie, zmieniając co chwila rytm i barwę. Sama jej energia zdolna jest zasłonić szarym całunem pyłu stojące w zenicie słońce i jasny dzień zmienić w półmrok zmierzchu. Wśród tego zamieszania, niczym wolne elektrony w przewodzie niosącym napięcie nieokiełznanego żywiołu, przemieszczają się biali sprzedawcy pieczonych świerszczy. Wysoko nad głowami niosą tace pełne kolorowych papierowych torebek, wypełnionych pachnącym towarem. Z mojego okna wyglądają niczym japońskie chryzantemy, płynące po wzburzonej wodzie na przekór wiatrom jesieni. Wrzask zachwalających swój towar handlarzy eksploduje z siłą huraganu, kiedy przez falujący tłum przediera się lektyka dostojnego nababa. Takiego, który ma zasiłki wypłacane na każde żądanie za „złotą dwudziestkę” potomków.

Widok z mojego drugiego okna w łazience jest natomiast uspokajający i romantyczny. To cicha, zamarła w wiecznym cieniu studnia pięciopiętrowej, wiekowej kamienicy. Pośrodku podwórka rośnie samotna rachityczna topola. Uparła się, by tu trwać, stojąc na palcach i wyciągając dłonie ku słońcu.

Ledwo jest w stanie dotknąć tej odrobiny światła. Często w nocy wymykam się chyłkiem z mojej pakamery z wiadrem wody, podlewam uparte drzewko. Dotykam jego chropowatej kory. Nikt chyba o tym nie wie oprócz Dagny. Zarządcy budynku i jednocześnie urzędowego donosiciela naszego humanistycznego reżimu. Dagny, której stały punkt obserwacyjny jest usytuowany na wprost okna mojej łazienki, wie wszystko o wszystkich i raz w tygodniu składa oficjalny meldunek u władz dzielnicy. Wszyscy mieszkańcy mają tam swoje teczki. Nie wiemy, za co możemy podpaść. Dlatego boję się konsekwencji za swoją słabość do tego drzewka. Jeśli kiedyś umrze, mogą się przyczepić, że je trulem – a wtedy będzie bardzo źle. Chociaż może przesadzam, słyszałem od sąsiada z trzeciego piętra, że Dagny ma złote serce, a jej raporty to sterta bzdur. Podobno wynika z nich tylko nasza czysta lojalność i uwielbienie dla Pani Prezydent i Rządu. Co wieczór wszyscy z miłością śpiewamy hymn państwowy, stojąc pod Jej portretem. Co Dagny słyszy ponoć na własne uszy. Sąsiad kiedyś zniknął i już nigdy się nie pojawił, ale to nie ona go podkablowała, tylko jego własny syn. Chłopak chciał dostać pracę, więc doniósł, że stary studiuje po nocach Heideggera.

Czas mija, muszę przygotować się do wyjścia. Wchodzę nagi do łazienki, otwieram okno z widokiem na drzewko. Stuoki smok Dagny jak zawsze trzyma mnie w szachu. Ale tylko ten wyleniały zeppelin jest władny odkręcić kran z

ciepłą wodą dla stale zalegających z czynszem. Dagny, przygotowując się do widowiska, poprawia łokcie na parapecie. Ma na sobie odwieczny fioletowy szlafrok w żółte mały i sama wygląda niczym negatyw zdjęcia szympansa, gdy połowę jej twarzy zasłania potężna morska lorneta.

– Cześć, Dagny! – wołam przyjaźnie.

Macham do niej ręką, drugą osłaniając podbrzusze. Stara zawodowa donosicielka nie musi znać aż tak dokładnie każdego szczegółu mojej osoby.

– Cześć, Huberciku! – wesoło pozdrawia mnie Dagny, robiąc lornetą młynek w powietrzu. – Czego chcesz od ślicznej Dagny?! – Baryton hipopotama wypełnia całe podwórko.

Nabieram w miechy powietrza i krzyczę:

– Odkręć mi ciepłą wodę, księżniczko!

– Głośniej, wróbelku, nic nie słyszę! – jak zniekształcone, zwariowane echo odpowiada Dagny, obrazowo przykładając do ucha zwiniętą dłoń.

– Dagny, królewno! Odkręć mi ciepłą wodę, mam ważne spotkanie! – ryczę teraz przez całe podwórko z mocą okrętowej syreny, by do babska dotarła moja prośba.

Dagny zaczyna nagle podrygiwać ze śmiechu, robiąc głupie gesty, jakby ten chichot ją rozsadzał. Przytrzymuje oburącz swój tłusty kałdun okutany w stado żółtych mały, w które łomocze ciężka lornetka. Ja także trzymam dłonie przy ustach, żeby wzmocnić mój ryk.

Rozumiem już powód jej spazmów. Stary kapuś dostał wszystko, czego chciał, i zrobił ze mnie idiotę. Jestem wściekły i nie dbając już o nic, ramię z całej mocy:

– Dagny! Córnko King-Konga... to na twój widok mi zmalął!

Dagny ryczy w ataku rubasznego śmiechu, podobna do

kolorowego balonu. Jej rechot odbija się kaskadami od wewnętrznych ścian kamiennej studni. Nagle z prawej strony dociera do mnie cichy, ale doskonale słyszalny głos wdowy po ministrze finansów – samobójcy, Thomasie Terrenie.

– Panie Hubercie. Pan taki kulturalny i dobrze wychowany. A stoi pan zupełnie nagi i tym wymachuje, i krzyczy wulgarnie. Drogi panie, moje córki na to patrzą – kończy wdowa z naganą w głosie.

Rzeczywiście okno moich sąsiadek po prawej stronie jest otwarte na oścież i wygląda niczym wypełniona po brzegi łoża opery. Blade twarze matki i trzech niemych córek są jak krople deszczu, ściekające po szybie w wietrzną, przekłętą październikową noc. Od kiedy tu mieszkam, nie widziałem ich nigdy na ulicy czy choćby podwórku. Jestem pewien, że dokarmia je Dagny. Nasz kolorowy kablujący hipopotam w pretensjonalnym, skrywającym wielkie serce szlafroku w żółte mały. Nasza Dagny, opiekunka przystani rozbitków. Przepraszam kobiety o wyblakłych twarzach, kłaniając się ze skruchą – jest mi naprawdę wstyd. Osoby żyjące jak one, w całkowitej izolacji, byle co wyprowadza z równowagi.

Po chwili struga ciepłej rdzawej wody zmywa ze mnie resztki ślepej larwy, jaką byłem kiwając się na kanapie. Razem z otrzeźwieniem wraca nieśmiały optymizm. Może się uda? Zawsze wykonywałem obowiązki najlepiej, jak potrafiłem. Powinny to docenić. Przecież uratowałem razem ze swoją załogą tysiące istnień, nie dbając o własne bezpieczeństwo. Trzynaście lat za sterami i ani godziny za biurkiem! Tak, na pewno to docenią. Wrócę za stery, a później zwrócę wszystkie długi i naszej Dagny kupię prawdziwą żywą małpę. Hubercie nie łam się, będzie dobrze! – dodają sobie odwagi.

Ubieram się w pośpiechu. Nie grymaszę nad wyborem

ubrań, nie mam wyboru. Granatowa lotnicza marynarka, spodnie do kompletu i błękitna koszula. To cały spadek, jaki otrzymałem od mojej wspaniałomyślnej firmy. Na rękawach marynarki oraz nad jej przednią kieszenią pozostały jeszcze cienie po odprutych naszywkach z dystynkcjami kapitana Europejskiej Floty Transportowej. Kazali mi je odpruć po degradacji w zawieszeniu. Musiałem także oddać moją czapkę ze złotym żurawiem na otoku. Przeglądam się w usianym odpryskami lustrze, układając włosy. Całość robi jeszcze całkiem przyzwoite wrażenie. Patrzy na mnie stamtąd wciąż jeszcze bardzo przystojny facet, który co prawda dostał solidnego kopa. Ale ma jeszcze tyle ikry, żeby się pozbierać. Chowam wezwanie do kieszeni i zamykam za sobą drzwi. Czy wrócę tu z odzyskanym stopniem? Czy znowu zwinę się w kłębek w barłogu z kocem na twarzy – żeby tylko trwać? Zobaczymy, za kilka godzin wszystko będzie jasne.

Schodzę po schodach, na półpiętrze omijam czyjąś świeżą kupę. To pewnie jakiś nie znany mi jeszcze rytualny obyczaj, polegający na obsrywaniu klatek schodowych. Dagny się wścieknie. Byle nie połamała komuś gnatów, bo może mieć kłopoty.

Dwa piętra niżej są starożytnie dwuskrzydłowe drzwi. Widnieje nad nimi napis: „Niech szczęście sprzyja temu domowi”. Wstęgam z napisem trzymając w dziobkach dwa białe gołąbki, wyglądające jak myśliwce zwarte w śmiertelnej kołowej walce. Niech sprzyja – myślę, wychodząc na zewnątrz.

•

Natychmiast porywa mnie ludzki potok, któremu poddaję się bez walki. Pozwalam mu się zanieść aż do starej apteki.

Przed wejściem stoi solidnie zbudowana makieta nosorożca. W jego grzbiet wbito gruby metalowy pręt wygięty jak pastorał latarni. Zwisa z niego wypchany krokodyl, trzymający w pysku wstęgi zapisane chińskimi hieroglifami. Makieta tworzy doskonałą ostrogę, przecinającą czoło tłumu na dwa nurty. Chronię się na pustej wysepce za ogonem nosorożca, muszę tu poczekać na stosowną okazję. Chowalem się w tym miejscu już niejedyn raz. Niestety dzisiaj nie jestem sam. Ten ważny strategicznie punkt opanował także przedstawiciel handlowy z apteki. Jego atak następuje natychmiast. Azjata podsuwa mi pod nos flakonik z jakimś szarym proszkiem.

– Suszone wargi ryby tin-nmang, efekt pewien dobry. Jedno bum-bum i dwa albo pięć małe-małe – tokuje z przejęciem, wymachując flakonikiem i patrząc mi w oczy.

Czekam na orkiestrę albo dużą lektykę dostojnego nababa – muszę się go jakoś pozbyć. Strzelam bez zastanowienia:

– Rybie wargi? Chłopie, z czym ty wyjeżdżasz, wargi to prehistoria. Teraz wszyscy jadą na marynowanych fiutach muchy tse-tse. I ja także – podkreślam z naciskiem.

Oczy robią mi się jeszcze bardziej skośne, jest w szoku, a do mnie uśmiecha się szczęście. Zbliża się właśnie kolumna „nietykalnych” w szarych jedwabnych szatach. Lepiej nie mogłem trafić! Hindusi schodzą im z drogi z obrzydzenia, a cała reszta z szacunku, bo oprócz dostojnych nababów takich zasiłków jak oni nie ma nikt. Nawet inwalidzi wojen plemiennych oraz cwani goście z papierami buszmenów.

Czekam cierpliwie na ostatniego pariasa i wskakuję za jego plecy.

Podróż jak miejską kolejką! Tłum rozstępuje się przed grupą nietykalnych jak przed czołem groźnej fali. Mijamy kolorowe stragany, grupy wokalne i gromadki hinduskich

tancerek. Co chwila patrzą na nas melancholijnymi oczami wyniosłe wielbłądy przybrane w barwne rzędy oraz kwieciste pióropusze. W szybkim tempie zbliżamy się do ulicy Pekińskiej Wiosny, tam mamy pierwszy przystanek. Zatrzymujemy się na chwilę, by pogapić się na dopalające się zgliszcza trzech domów, które spłonęły dzisiejszej nocy. Stara, owinięta w czarne chusty kobieta siedzi na krawężniku. Na widok moich nietykalnych zaczyna wygrażać zaciśniętą pięścią, skrzeczając coś niczym czarny, pełen nienawiści ptak.

Już wiemy, że ten pożar to robota Hindusów, więc przezornie przyspieszamy kroku, uciekając przed smrodem pogorzelnika. Po kilku minutach mamy jeszcze jeden przystanek.

Z ciemnego zaułka wybiega gromada arabskich wyrostków. Chłopcy gonią małego kudłatego psiaka. Piesek na widok hałaśliwego tłumu, zajmującego całą szerokość ulicy, płoszy się i przywiera do ściany domu. Nie ma dokąd uciekać. Z jednej strony biegną chłopcy, z drugiej stoi stragan z jakimiś rupieciami. Najwyższy z całej gromady chłopak dobiega do psiaka. Uderza z zamachem drewnianą pałką. Kundelek kilka razy konwulsyjnie przebiera łapkami i nieruchomieje. Leży w kałuży krwi z roztrzaskanego łebka. Nietykalni zatrzymują się jak groźny, milczący mur. Chłopcy zatrzymują się także, ciskając wyzwiskami. Nietykalni są pacyfistami, ale to dorośli, silni mężczyźni i ci smarkacze nie są dla nich przeciwnikami. Młodzi wojownicy Allacha wycofują się z powrotem w głąb zaułka, miotając cały czas obelgi. Dwu pariasów tymczasem podniosło już zabitego pieska i zawinęło w szary całun. Oni szanują każde życie oraz każdą śmierć. Oddadzą biedaka rzece.

Biedne psy. Są najbardziej przegranymi ofiarami ostatniej wędrówki ludów. Przybysze z Indochin wyłapują je jako

przysmak. Mahometanie tępią je jeszcze bardziej zajadle. Pradziadek tego psiaka ugryzł kiedyś ich proroka w łydkę, ściągając tym zemstę na cały psi ród. Muzułmanie zawsze są pierwsi z donosem, że jakiś białas ukrywa swojego pupila. Przyjeżdża wtedy patrol Komisji Poszanowania Uczuć Religijnych i Tolerancji. Na mocy dekretu konfiskują psiaka. Podobno do schroniska – gówno prawda, podrzynają im gardła i sprzedają Wietnamczykom na kotlety. Wiem o tym od pewnego majora ze śmigłowców szturmowych, któremu powiodło się i dostał posadę hycła. Szkoda, że szejkom nie podpadły szczury, miasto wprost roi się od nich – a słuchacze muezinów w końcu do czegoś by się przydali. Żyjący od pokoleń na koszt znienawidzonego Zachodu. Na ogół nie potrafią samodzielnie wykonać żadnej pracy bardziej skomplikowanej od noszenia modlitewnego dywanika.

Ruszamy dalej. Nietykalni patrzą na mnie z sympatią, już nie wlokę się na końcu. Idę wśród nich. Jeszcze tylko oszałamiający wszystkimi aromatami świata targ ziołowy i jestem na miejscu. Żegnam się z Hindusami i przeskakuję na skraj trotuaru.

Mój cel to knajpa „Pod głowami wrogów”. Jej właścicielem jest mój stary kumpel Ragay Anak, Dajak z plemienia Ibanów. Mam tu zapewnione darmowe obiady oraz bezpieczeństwo. Jedno i drugie do końca świata – lub do śmierci któregoś z nas. Wchodzę śmiało, ale przystaję na progu, żeby dać czas gościom Ragaya na oswojenie się z moim widokiem. Na sali cichnie gwar, wszystkie oczy wpatrzone są we mnie. Stali bywalcy znają mnie dobrze, ale od nowych gości mógłbym nieźle oberwać po żebrach. Na szczęście Ragay już mnie zauważył. Tłusta niczym księżyc w pełni gęba łowcy głów rozciąga się w uśmiechu. Grubas wyciąga do mnie w szerokim geście ramiona i ryczy przez

całą długość sali:

– Witaj, kapitanie Hubercie, mój drogi bracie, który możesz patrzeć, jak moje żony czeszą włosy!

Takie powitanie oznacza w obyczaju jego ludu najwyższą półkę kumpelstwa.

– Witaj, Ragay Anak, mój przyjacielu. Oby twoje żony nigdy nie wyłysiały, bo nasza przyjaźń nie będzie warta funta kłaków – pozdrawiam kumpla, przekraczając próg.

Podchodzę do lady, zza której miłościwie panuje Anak. Grubas nie może powstrzymać rechotu. Przeciera kułakami wielkimi jak kokosowe orzechy załzawione oczy. Patrzy na mnie i znowu ma atak śmiechu. W końcu uspokaja się i podaje mi ogromną łapę na przywitanie. Moja dłoń ginie w niej. Ragay jest olbrzymem wśród drobnych Dajaków.

– Hubert, jak ty coś palniesz... nie mogę. Moje żony łyse! Nie miałyby się za co targać, kiedy wybieram jedną z nich, żeby jej dosiąść. A reszta musi tłuc ryż w kamiennym móżdżerzu. To świetny pomysł – stwierdza z entuzjazmem.

Nagle zdeklarowany dzikus zapomina o śmiechu. Chyba usłyszał z sali jakieś słowo, którego sensu ja oczywiście nie rozumiem. Toczy wzrokiem po sali. Dostrzega wrogie spojrzenia kilku facetów w zawojach, siedzących przy niskim mosiężnym stoliku w rogu. Jego głos przypomina świst tnącej powietrze maczety.

– Niech tylko któryś zaczepi mojego kumpla albo jego przyjaciół, to jego zawszony cymbał zaraz dołączy do kolekcji – ostrzega, wskazując na wiszącą nad ladą, czarną ze starości siatkę z sizalu.

Uśmiechają się z niej czerepy wrogów wszystkich pradziadków, dziadków oraz tatusia Ragaya... a może i młodsze. Szczerzy się poprzez oczka siatki japoński oficer z drugiej wojny. Pradziadziś Anaka, zanim jego własnym

samurajskim mieczem ściał mu głowę, wyżarł mu podobno na żywca wątrobę. Jest tam także Angol, sierżant zapomnianego imperium, złączony w pocałunku z misjonarzem kościoła baptystów, oraz kilku poborców podatkowych wraz z urzędnikami indonezyjskiego wymiaru sprawiedliwości. Ragay kocha ich wszystkich. Po robocie dotyka siatki z rodzinnym skarbem, nucąc wojenne pieśni. Od czasu do czasu karmi też ryżem i odkurza czaszki frajerów, którzy byli na tyle głupi, żeby zdrzeć z klanem Ibanów.

Wszyscy na sali wiedzą, że Ragay bynajmniej nie żartuje i chętnie powiększyłby swój zbiór. Odwracają się bez słowa, skupiając znowu uwagę na opowiadaczu etosów, który zamilkł, kiedy wchodziłem. Patrzą na niego z zaciekawieniem. Leciwy bard jest ubrany w zieloną szatę, spiętą pod szyją srebrną broszą. Na głowie ma czarny turban. Sterczą spod niego rogowe oprawki staroświeckich okularów, tkwiących na potężnym sinawym nochalu. Bard koncentruje się. Podnosi do oczu wytartą książeczkę i mocnym, wyraźnym głosem podejmuje przerwana opowieść. Ilustruje ją przy pomocy starego czarnego szabliska, którym wymachuje na lewo i prawo, kiedy dociera do fragmentu z walką. Ta księga nie opowiada chyba o niczym innym, bo opowiadacz walczy z cieniami prawie przez cały czas trwania słuchowiska. W kulminacyjnych momentach lektury odkłada księgę i bierze małą, okrągłą, stalową tarczę, w którą napraża szablą ze wszystkich sił, aż sypią się iskry, wydzierając się przy tym niczym opętany seksem marcowy kocur. To chyba mistrz swojego fachu. Słuchacze są całkowicie porwani fabułą. Gdy nie mogą już wytrzymać, z emocji zaciskają pięści i pomstują na szumowiny, z którymi zmagają się ich bajkowy heros. Tak, ten stary to prawdziwy mistrz. Byle

tylko w narratorskim zapamiętaniu nie odrąbał sobie jaj.

Zapominam o trosce, kiedy przyjaciel klepie mnie w ramię.

– Czym mogę ci dzisiaj służyć, Hubercie? Mów, a sprowadzę dla ciebie nawet ogon warana w sosie z młodych pędów bambusa – zachęca mnie Ragay.

– Dobrze, Ragay, ale pamiętaj, że jak tylko dostanę pracę, chcę wyrównać wszystkie rachunki. Dzisiaj proszę, żebyś postawił mi kolejną krechę – nalegam zgodnie z naszym odwiecznym rytuałem.

– Żebym nie musiał postawić jej na tobie, Hubercie. Dobrze wiesz, że nigdy nie przyjmę od ciebie żadnych pieniędzy. I nie obawiaj się, nic nie stracę. Tamtym gnojkom w turbanach zawyżę rachunek i już. Nic nie robią, tylko słuchają bajek, a na wszystko ich stać. Ja jestem na swoim utrzymaniu, ponieważ rzygam na rządowe zasiłki jak dzika świnią po ściervie indonezyjskiego listonosza. Więc jestem dumny, że ich zdrowo ogolę... to wręcz mój święty obowiązek.

– Mam dzisiaj komisję, Ragay. Może mnie przywróca, a wtedy zapłacę ci wszystko, co do grosza. Wstydzę się obżerać bez zapłaty – nie ustępuję, wiedząc, że targi to dla niego prawdziwa rozkosz.

Dajak rozkłada szeroko ramiona w geście najwyższego uniesienia.

– Mój prawdziwy druhu i wojownika, który nie znasz lęku. Czy naprawdę chcesz, żeby z zaświatów przybyli tu moi przodkowie, by za niewdzięczność nalać mi do ust szczyń parszywej zdechłej małpy, a w tyłek wpuścić jadowitą kolczastą stonogę? Hubert, nie pieprz mi więcej o swoich kreskach. Zresztą to chłopaki fundują. Należy ci się od nich za bilet – ucina temat, wskazując na bezsilnych, dyndających

w siatce wrogów.

Chłopaki faktycznie przylecieli do Europy na gapę, ukryci w luku prawego podwozia mojego transportowca. Jeden z dwu skarbów Ragaya komisja przesiedleńcza uznała za narodowe dziedzictwo Indonezji i nie wydała zgody na wywóz. Drugim była jego ciężko chora na gruźlicę córeczka, za którą nie widział świata. To dla niej zgodził się przesiedlić do Europy. Czekali w kolejce już dwa miesiące, a małej groziła śmierć w każdej chwili. Pewnego dnia Ragay zaczął się na mnie za hangarem. Nic nie mówił, tylko składał ręce, a w oczach miał łzy. Uległem i powiedziałem, że mogą lecieć poza kolejką jutro rano. Nazajutrz zjawił się z rodziną i czaszkami, na które nie miał papierów. Byłem wściekły przez te czerepy. Znowu złożył ręce i znowu uległem. To nie była udawana żebranina. Ten dumny wojownik błagał bez słów. Zabrałem ten cmentarny skarb i schowałem. Gdybyśmy z tym wpadli przy odprawie... szkoda gadać. Wtedy jeszcze na serio traktowano urzędowe papiery.

Od tamtej pory mogę być przy tym, jak żony Ragaya oraz zdrowa, śliczna nastolatka – oczko w głowie tatusia – czeszą swoje krucze włosy. Patrzę na chłopaków w siatce, dziękuję im skinieniem głowy.

– Dobrze, Ragay, biorę *Dużą purpurową rybę z zielonych morskich łąk* i czerwoną zimną herbatę.

Twarz przyjaciela promienieje uśmiechem.

– Twoje życzenie jest dla mnie jak tłuszcz robaka palolo, kiedy rozplywa się po języku. Usiądź sobie wygodnie na swoim miejscu, zaraz ci przyniosą twoją rybę – tu łobuzersko mruga.

Siadam w wiklinowym fotelu z wysokim oparciem, w małej zacienionej salce. Prawie nie dociera tu zgiełk jednoosobowego teatru oraz jego publiki. Jak zwykle, kiedy

tu siedzę, patrzę na freski, jakie wyczarował na ścianie anonimowy artysta. Nastrojowe malowidła działają kojąco. Na wprost trzy dziewczyny w kwiecistych sarongach brodzą w płytkiej przybrzeżnej fali. Za ich plecami unosi się leniwie wieczorne słońce południowych mórz. Otaczająca dziewczyny aura pełna jest odchodzącego na wieki światła. Jak muzyka Mozarta, która umiera, gdy kończy się akord. Lecz przecież wiemy, że natchnione piękno sztuki będzie trwać wiecznie, sprawiając nam nieskończoną radość. Dziewczyny pełne są tego piękna, jakby malował je sam Gauguin. Staram się nie zwracać uwagi na szpecący fresk ogromny sześćoskalowy rykoprojektor, który dźwiga jedna z nich. Na sąsiedniej ścianie te same dziewczyny porzuciły pod pnem palmy swoje sarongi i zupełnie nagie tańczą przy jazgocie z rykoprojektora. Jak tam cudownie. Czuję się bezpiecznie w tym azylu, dzięki Ragayowi, który niezmiennie trwa w naszej trudnej przyjaźni. Chciałbym z wdzięczności przemycić ich świętego słonia, którego musieli zostawić w wiosce.

Jest już pomocnik Ragaya, młody uśmiechnięty Chińczyk. Niesie z wdziękiem sporych rozmiarów tacę, na której zwyczajnie połyskuje spowity w dymek z kadzidełka minaret srebrnego dzbanka z moją herbatą. Całość miękko przyziemia przed moją twarzą. Chłopak odchodząc kłania się nisko, zostawia mnie sam na sam ze skarbami, o których większość tubylców może tylko śnić. Odstawiam na bok kadzidełko, maskujące przed wścibskimi nosami zapach mojej potrawy. Przybranie z jarzyn i owoców skrywa prawdziwe oblicze mojej ryby. Podszył się pod jej nazwę duży krwisty befsztyk. Patrzę przez chwilę na wydobytą spod maskowania nadzieję oświeconego podniebienia, zanim z szacunkiem odkrawam pierwszy kawałek. Gdyby nasi

hinduscy przyjaciele kapnęli się, że moja ryba jeszcze kilka dni temu ryczała na łące, Ragay musiałyby sprawić sobie nową siatkę z sizalu. Żując kawałek wołowiny, zachwycam się naszym poczuciem poszanowania innych zwyczajów i religii. Ta godna pochwały tolerancja rozwija we mnie i Anaku zdolności poetyckiej improwizacji. Kilka dni temu, ze względu na naszych muzułmańskich braci, przepiękny okaz schabowego nazwałem *Śpiewającym porannym ptakiem z Mandalay*. Za cholerę nie pojmuję, jak Ragay odgaduje treść tak zaszyfrowanych zamówień. Ale nie pomylił się jeszcze nigdy.

Powoli, z namaszczeniem nalewam do szklaneczki czerwonej herbaty. Szklaneczka jest pięknie zdobiona roślinnymi motywami i stanowi godną oprawę dla najprawdziwszego burgunda. Za to mielibyśmy przechłapanie praktycznie u każdego. Wszyscy wierni przybysze twierdzą zgodnie, że alkohol to tabu. A jeśli pije go w ich obecności białas, który te wszystkie wyznania ma najczęściej głęboko gdzieś, tabu nabiera śmiertelnej, wręcz niszczycielskiej mocy.

Kiedy rozmarzony po winie docieram do połowy soczystego befsztyka, znad blatu mojego stolika wyrasta mały wiśniowy turbanik. Patrzy na mnie para ciekawskich, czarnych jak smoła oczu. Mały, może pięcioletni brzdąc przygląda mi się uważnie. Z tą przenikliwością, na jaką stać tylko małe dzieci rejestrujące świat i zjawiska. Patrzają tak do chwili, kiedy w szkole nie nauczą ich, że wiedzy trzeba się bać.

– Co robisz? – pyta mały po europejsku. To pytanie wstępne, spodziewam się z góry całej lawiny następnych.

– Jem rybę i piję herbatę – odpowiadam i uśmiecham się. Lubię rozmawiać z dziećmi.

– O, ryba, ryba! Zabiłeś ją sam? Jaka była, zanim ją

zabiłeś? – zapala się malec, niecierpliwie podskakując w miejscu.

– Nie zabiłem tej ryby, złowił ją pan rybak i przyniósł do pana Ragaya. Tu usmażył ją kucharz, a ja ją jem – odpowiadam wyczerpująco.

Mały wierci się w podnieceniu, zanim zajmie stanowisko na temat ryb.

– Mój wuj Akirch z Lajapur łowi ryba w Ganges. Ma paczki i syczący sznurek. I chlup do rzeki! I buuum! – mały szeroko rozkłada rączki, obrazując potęgę eksplozji. – I duuużo, duuużo ryba, dwie i trzy. I znowu bummm! – gorączkuje się malec.

Nie wiem, jakie miasto nazywa się teraz Lajapur, ale Ganges to stary Ren. Kiwam ze zrozumieniem głową, wyrażając podziw dla umiejętności wujka Akircha. Chociaż nie sędzę, żeby długo jeszcze mógł tam odnosić łowieckie sukcesy.

– Daj kawałek, ja też chcę ryba – żąda stanowczo mały.

Jestem w kropce. Jeśli to zrobię, mogę napytać biedy Ragayowi, a sam zginąć. Tego świętokradztwa nie wybaczyłby mi nikt.

– Dobrze, dam ci rybę. Ale musisz zamknąć oczy i otworzyć buzię.

Mały rozdziawia usta. Wygląda w swoim turbanie jak pisklę ptaka Rokka z baśni tysiąca i jednej nocy. Nabijam na widelec winogrono i ostrożnie wkładam mu owoc do ust. Chłopiec otwiera powieki, gryząc poczęstunek. Jest zaskoczony.

– To nie ryba! To nie ryba, głupi biały. Głupi biały, nie wie, co to ryba! – wydziera się malec, biegnąc do swoich, by opowiedzieć starszym o mojej tępocie.

Muszę szybko kończyć obiad, zanim przyjdzie tu jego

ojciec i zwącha, co miałem na talerzu. Na szczęście nikt się nie zjawia. Znowu ogarnia mnie spokój. Zaraz powinien przyjść Steve, eks-kapitan z „Emily”. Steve przeszedł jakoś przez sito komisji weryfikacyjnej. Może mi więc podpowiedzieć, czego się trzymać na badaniu. Jestem tu z nim umówiony, o czym uprzedziłem Ragaya już kilka dni temu. Ciekawe, czy Steve nie nawali?

Kiedy dolewam sobie wina, zjawia się Steve. Prowadzony przez młodego Chińczyka, rozgląda się czujnie. Staje przed moim stolikiem i wyciąga na powitanie rękę. Proszę kelnera o drugą szklaneczkę i mały dzbanek z winem. Ragay wie o wadze tego spotkania. Na pewno uzupełni nasz przydział.

– Siadaj, Steve, i wyluzuj. Gospodarz to mój przyjaciel z Indonezji. Nie znasz go, bo lataliście wtedy do Kongo. To przyzwoity gość, jesteśmy tu zupełnie bezpieczni.

– Świetnie wyglądasz, Hubercie – łże jak z nut Steve.

To on wygląda świetnie. Ma na sobie nowiutki mundur z naszywkami mechanika pokładowego w stopniu sierżanta. Wymuskaną czapkę z naszym złotym godłem kładzie obok dzbanka. Przez chwilę nie mogę oderwać od niej wzroku. Z trudem powstrzymuję się, żeby jej nie dotknąć.

– Hubert, przyszedłem tu, ponieważ chcę ci pomóc. Nigdy nie byliśmy bliskimi kumplami. Ale wiem, że zawsze byłeś w porządku i wszyscy chłopcy mogli na tobie polegać – zaczyna ostrożnie.

– Dzięki, Steve, że wpadłeś. Twojej matce mogłem powiedzieć tylko, że chcę się z tobą spotkać. Mam komisję weryfikacyjną. Może powiesz mi, stary, jak gadać z tymi babami? Z tego, co słyszałem i widzę, masz to już za sobą. Chodzi mi tylko o to i nic więcej. A teraz powiedz mi, co u ciebie? – pytam wyraźnie rozluźnionego kolegę, który

pewnie bał się, że poproszę go o pożyczkę albo o jakiś lewy interes.

– Jest super – zaczyna Steve, kiedy pojawia się chłopiec z dzbankiem i drugą szklanką. Milknie, czekając, aż kelner odejdzie. Nalewam mu wina.

– To znaczy nie wszystko jest aż tak okay. Ale najważniejsze, że znowu mogę latać – kontynuuje. – Co prawda zdegradowali mnie na sierżanta, ale to ja pilotuję maszynę. Moja pani kapitan tylko siedzi i wydaje głupie rozkazy. Rozumiesz, po serii ostatnich katastrof coś do nich dotarło – kończy konspiracyjnym szeptem.

– Cieszę się, że jesteś na fali, Steve. Gratuluję, a teraz powiedz mi, jak przejść ten pieprzony psychawior.

Steve rozsiada się wygodnie, chociaż jest dziwnie spięty.

– Dokąd doszedłeś w *Wielkiej Encyklopedii Postępu i Cywilizacji*? – zaczyna mnie odpytywać.

Wzdycham ciężko.

– Z tym jest problem. W bibliotece stoi kolejka jak stąd do Władawostoku. Dają na czytanie piętnaście minut i trzeba znowu przyjść nazajutrz – tłumaczę się.

– Nie pieprz głupot, Hubert, zaczynaj.

– Dobra. Antyczne Ateny: archaiczna prymitywna tyrania dyskryminująca kobiety i niewolników. Zakaz uczestniczenia kobiet w życiu politycznym oraz zorganizowanym sporcie. Przywódczynią podziemnego ruchu demokratyczno-feministycznego była nowatorska genialna poetka i wynalazczym suwaka logarytmicznego, Safona – recytuję bez zająknięcia.

– Nieźle, dawaj dalej.

Nabieram rozpędu.

– Kultury kluczowe dla rozwoju globalnej cywilizacji: australijscy Aborygeni. Ich kultura polegała na tym, że

chodzili na golasa po buszu, katrupiąc drogami jaszczurki i kangury. Najważniejsze: lubili pospać, ponieważ przywiązywali wagę do projekcji sennych. Mieli też świetne bumerangi, a kobiety często przewodziły wysoko zorganizowanej grupie. Dalej są Ajnowie z wysp japońskich. Różnica polega na tym, że oni katrupią zwierzęta ubrani w grube futra. Jedni oraz drudzy malują na skałach i kościach perfekcyjne rysunki. Mają też skórzane bębenki, a ci z Australii trąbią w dodatku na tutkach z kory – dodają z przekonaniem.

Steve rozluźnia krawat.

– Dokąd dojechałeś? – pyta zdradzającym niepokój głosem.

– Do Buriatów. Kurde, Steve, mówiłem ci, jaka tam jest kolejka. Wyrwali mi *Encyklopedię* z ręki – tłumaczę się.

– To akurat komisję gównem obchodzi. Na bank usłyszysz, że sabotujesz zarządzenia – strofuje mnie obecny sierżant.

– Przyznaję, w *Encyklopedii* jestem cienki, ale mam w rękawie odrzutowego, naddźwiękowego wręcz asa – wyznaję, dolewając koledze wina.

– Jestem pewien, że twój as to tylko zasrana dziewiątka. Powiedz mi lepiej, co mówiłeś na ostatnim badaniu przed komisją. Tylko nie zalewaj, gadaj wszystko.

Zbieram myśli.

– No wiesz, to, co chcą zawsze słyszeć. Czyli poprawną politycznie wegetariańską klasykę, że kocham to wszystko. Dalej... oczywiście w wolnych chwilach oddają się radosnej masturbacji. No i naturalnie nadmieniałem o moich homoseksualnych, tłumionych przez zakłamanie starego społeczeństwa skłonnościach. Wreszcie o namiętym uczuciu, jakim darzę sprzedawcę sandałów z alei Białego Lotosu. – Robię krótką przerwę, żeby wzmocnić efekt. – To

jest właśnie mój murowany as, Steve! Ten gość to Chinol, jakich są miliony. Nie sprawdzą go... nikt ich w mordę nie rozpoznaje i nie liczy. Dzisiaj przejdę do drugiego aktu, pochwalę się że mu obciążam i chcemy się pobrać. Łapiesz teraz, chłopie? No, gadaj, co o tym sądzisz, przejdzie, no nie? – mówię ścisząc głos, przejęty swoim szokującym planem.

– Na kiedy masz termin komisji? – pyta zmartwiałym głosem Steve, po raz pierwszy patrząc mi prosto w oczy.

Wyciągam z kieszeni pomięty papier.

– Na dzisiaj, Steve. Mam tam być za dwie godziny – odpowiadam, pokazując mu wezwanie.

Steve przelyka głośno łyk wina. Przybliży do mnie twarz. Dopiero teraz dostrzegam na jego skroniach siwe pasma włosów, których jeszcze niedawno nie miał.

– Hubert, gdzieś ty się, chłopie, schował? Nie wiesz, że Wielki Plan wkroczył w następny etap na drodze do szczęścia? To rewolucja, jakiej nie widział świat! – jego szept drży dramatycznie. Dolewa sobie wina, ręka trzęsie mu się lekko i kilka czerwonych kropli wtapia się w obrus. – Hubert, proszę. Nie idź dzisiaj na ten psychawior, jakoś się z tego wywiniesz. Jesteś kompletnie nieprzygotowany. Zrozum, jak będziesz im sprzedawał takie bzdety, to baby się wściekną, że robisz je w wała, i tak cię usadzą... – Steve dopija duszkiem wino. – Tak cię usadzą, że nie tylko nie wrócisz za stery, ale w ogóle będzie po tobie. Na długie lata albo na zawsze – mówi, a w jego głosie wyje strach.

– Jak to? – pytam zdziwiony.

– Uwierz mi. Widziałem, jak kończą faceci, którym się zdawało, że są cwańsi od tych bab. W dodatku każdy z nich miał bajkę, przy której twoja to przedmowa do Pinokia. Stary, ty nie masz żadnego argumentu. Banalne walenie konia, jakiś Chinol i miłość do popierdoleńców? Chłopie,

ktoś podpieprzył ci chyba mózg. To nie są argumenty... to samobójstwo. Zwłaszcza że masz nasrane w papierach. Posłuchaj, co ci proponuję – ucieka spojrzeniem w bok, mówi z trudem, zgłoska za zgłoską: – Mój mąż Uedi-da ma brata, który już dorobił się lektyki. Szuka obsady, brakuje mu jeszcze jednego. Hubert, postaraj się jakoś przetrwać. Może to wszystko z czasem jakoś się ustabilizuje. Mogę ci załatwić tę fuchę. Tylko nie idź tam dzisiaj, proszę, stary – kończy, patrząc mi znowu w oczy.

– O kurwa, o kurwa, Steve, nie wierzę – tylko tyle mogę z siebie wydusić.

– Hubert, dzięki za wino. Muszę już lecieć, idziemy zaraz do świątyni, a później na zakupy. Masz mój namiar. Tyle mogę dla ciebie zrobić, docień to.

Steve znika. Zostaje po nim na obrusie biała karteczka: „Państwo Patryk Uedi-da i Steve Omere” i jeszcze adres.

Gapię się na freski. Zlewają się przed moim wzrokiem w kolorowe plamy – jestem sam na pieprzonym świecie. Wszyscy mnie zostawili, wszyscy, żywi i martwi. Mam ochotę zerwać z mojej marynarki nawet cienie po naszywkach. Chcę, żeby mnie namalowano, kiedy umieram razem ze słońcem, Mozartem i dziewczynami.

– Hubert. – Czuję na ramieniu dłoń Ragaya, który stoi przy mnie, ale nie śmieje się jak zawsze. Widocznie wyglądam jak zbity pałkami pies, wleczony na sznurku do kuchni koreańskiej knajpy.

– Kapitanie, odprowadzę cię do wyjścia. Wojownik musi przyjąć swój los. Pamiętaj, że duchy moich przodków będą zawsze z tobą. A gdyby ktoś... to w mojej siatce jest jeszcze wolne miejsce – mówi Ragay, wciskając do mojej kieszeni kartkę z wezwaniem oraz wizytówkę Steve’a. Odprowadza mnie do wyjścia.

– Dzięki za wszystko, przekaz żonom i córce moje pozdrowienia – żegnam stojącego w progu posmutniałego przyjaciela.

•

Znowu otacza mnie światło i zgiełk barwnej, szumiącej gwarem ulicy. Wtapiam się w jej żywioł. Potracając mnie, widzę jakież otwarte w krzyku usta. Nie mogę wyczuć rytmu kroków, co chwila potykam się o własne stopy. Prawie się przewracam, wpadając na grzbiet łaciatego kozła. Chłopiec, który ciągnie go na kostropatym powrozie, wygraża mi pięścią. Schodzę mu z drogi, wciskam się bokiem w lukę w ścianie tłumu i natychmiast włączę w wielbłądzie łajno. Gównno jest wielkie i śliskie niczym brązowy glut największego posągu Pierwszej Matki. Jestem bliski łez. Wznoszę do góry głowę i na gzymsie starej kamienicy dostrzegam figurę Atlasa, dźwigającego ciężar żeliwnego balkonu. Jak on przetrwał, z tym balkonem na plecach? Co tam wielbłądzie gównno na bucie, ten balkon to dopiero kanał – pocieszam się w myśli.

Tak, wojownik musi przyjąć swoje przeznaczenie i dźwigać jego ciężar. Ragay ma rację. Znowu mnie popychają, zbyt długo tamuję ruch. Znienacka dostaję w twarz oszałamiający cios wrzeszczącą i tłukącą skrzydłami żywą kura, którą ściska za łapy wściekły jegomość w turbanie. Mam oczy oślepione pierzem. Ptak zdążył jeszcze zranić mnie w ucho, ogłuszone teraz jego przeszywającym wrzaskiem. Błysk! Tak krzyczały kury. Płonące od fosforowego granatu z ciężkiej haubicy, który trzasnął w kontenerowy kurnik na naszym polowym lotnisku pod Nha Trang w Wietnamie. Ludzie nie krzyczeli – nie mieli piór.

Spłonęli milcząc w ciągu sekund, a oszalałe ptaki biegały niczym dzieci płomieni bawiące się w berka. Aż jedna wbiegła w kałużę rozlanego paliwa z zapasowego nieszczelnego zbiornika, leżącego jak szara bomba koło kadłuba sanitarnego śmigłowca. Pobiegł tam z gaśnicą Krippendorf. Wtedy zbiornik pękł z głuchym stęknieniem, rosnąc pomarańczowym kalafiolem żaru. Gustaw wyszedł powoli z kuli ognia z rozłożonymi ramionami – jak żywy płonący krzyż – i upadł. Pamiętam cię, Gustaw.

– Nie popychajcie mnie! Jestem kapitanem lotnictwa. Nie pozwalam! Słyszycie wszyscy! Słyszycie?! Prowadziłem transportowiec wożący dla was żarcie i leki. Chcecie zobaczyć, jak się lata? Patrzcie!!

Tłum rozstępuje się. Krzyczę jeszcze, jakbym chciał tym krzykiem rozpruć obojętność niebios. Krzyczę, ale sam nie słyszę swojego głosu. Potem rozpinam starą lotniczą marynarkę i rozkładam ramiona – jak Gustaw.

Długo zapalam silniki, od cichego crescendo, kiedy zaczynają grać sprężarki podstawowego stopnia, do forte, gdy drugi, a za nim trzeci stopień zaczyna w ośmiu komorach łączyć sprasowane powietrze z płonącymi węglowodorami – by ruszyć do nieokiełznanego pędu łopaty sierpowatych mieczy turbin. Już czuję przez wibrację ich prawidłową prędkość. Ogromny kadłub transportowca drży, przepełniony narastającą energią potęgi silników. Zwalniam lekko hamulce i jeszcze dodaję mocy. Pochylam się do przodu z rozłożonymi skrzydłami.

– Startujemy, chłopcy!

Mój drugi pilot Stani jest już na swoim miejscu. Otwiera boczne okienko i krzyczy:

– Spierdalać z pasa! Wszyscy spierdalać z pasa! Startuje transportowiec!

Wieżą w popłochu. Wywraca się jakaś lektyka, spadający nabab zwija się w kłębek, toczy się po zderzeniu z asfaltem – później błyskawicznie zadziera kiecki i wieje. Na owocowy stragan Hindusów napiera zdezorientowany tłum. Cytrusy toczą się po ziemi, kilka leci jak wystrzelone z katapulty żółte pociski, kiedy jeden koniec lady dźwiga swoje ramię w powietrze. Ciżba przewraca i trątuje zdezorientowanych, wmurowanych w chodnik wyznawców Kriszny. Nikt nie zna przyczyny chaosu ani jego źródła.

Stary kamrat Stani z fajką w gębie patrzy na mnie wyczekująco, a jego oczy pełne są nieba.

– Czekam na rozkazy, kapitanie.

– Tak, Stan, dysze poziom zero! – wydaję komendę.

Nasz olbrzym toczy się coraz prędzej i prędzej.

Wali przed nami na pałkowatych nogach spłoszony wielbłąd. Jego skretyniały ze strachu szejk trzyma się tylko czerwonych frędzli na szyi ogłupiałej bestii. Szejk ryczy i dziko ryczy gość z wielkim czerwonym parasolem, jadący po pasie startowym na tyłku, w ślad za napiętymi rzemieniami uprząży garbusa. Takiego burdelu nie widział jeszcze nikt! Stani i ja gnamy przed sobą całą zawartość ulicy Tybetańskiej, aż do skrzyżowania z Aleją Spokoju Jang-cy. Tam zamieszanie sięga zenitu, wszyscy miotają się jak w wielkim kipiącym kotle. Grozy obrazu dopełnia kantoński smok, który przed chwilą brał udział w ulicznej paradzie. Teraz długie tyki, na których się wspierał, straciły koordynację i barwna bestia wije się w konwulsjach, usiłując pożreć kłębiący się pod nią tłum.

Stan czeka na kolejny rozkaz.

– Teraz, Stan! Przymknij moc i chowamy kólecza – rozkazuję.

Wszystko pod nami maleje, uciekając do tyłu. Lecimy!

Nie patrzymy już na ziemię. Jesteśmy Władcami Przestworzy – jesteśmy bogami na ognistym rydwanie. A naszym królestwem jest lazuruwe niebo, a naszym domem są pałace ze śnieżnych chmur.

– Czas już na mnie kapitanie, spokojnego lotu – mówi z uśmiechem Stani i zaczyna zmieniać się w mgłę. Zanim zupełnie rozwieje go huragan wiatru tłukącego się po kokpicie, podnosi do góry kciuk prawej dłoni.

– Do zobaczenia, Stanisław – żegnam druha, rozkoszując się niebem.

Potykam się o drewnianą skrzynkę. Klękam, z poziomu jezdni patrzę na rozpętaną przez nas apokalipsę. Pod kolanami mam twardą ziemię. Ziemia! Czas się stąd ulotnić, zaraz rozszałają się gliny. Będą szukać białego wariata w niebieskiej marynarce, który prawdopodobnie chciał wysadzić się w powietrze na środku zatłoczonej ulicy. Ściągam ją szybko i chowam pod pachę. Udaje mi się wskoczyć w wylot małej uliczki, idę szybko, starając się nie oglądać za siebie. Dochodzę do głównej promenady, Gaju Ocalonych Pand. To już prawie śródmieście, dzielnica centralnych urzędów Federacji Europejskiej. Już widzę resztki fundamentów Bramy Brandenburskiej. Nikt za mną nie biegnie – chyba się udało. Zwalniam, mogę przewiesić marynarkę przez ramię. Wyglądam jak spokojny, praworządny obywatel idący właśnie na rutynowe przesłuchanie – pełen luz. Przystaję, żeby zapalić papierosa. Mam tylko cztery na cały dzień. Miałem to zrobić po komisji – ale co tam, czuję ulgę!

Na promenadzie ruch pieszy jest mniejszy, ponieważ nie wolno tu handlować na ulicy. Są tu normalne sklepy, gdzie nawet biali robią zakupy, jeśli tylko mają normalne pieniądze. Ja ze swoimi kartkami muszę chodzić do

magazynów, aż na aleję Dumy Wielkiego Marszu. Szeroką arterią jeżdżą nawet samochody. Dawno tu nie byłem, oglądam z zaciekawieniem urzędnicze limuzyny. Oprócz nich tylko niektórym szejkom i dyplomatom oraz skatalogowanym nababom z Afryki Równikowej, sprzedającym za krocie swoje nasienie białym kobietom, które chcą zrobić karierę, wolno legalnie poruszać się samochodami.

Patrzę na swój tandetny zegarek za pięćdziesiąt centów. Mojego pamiątkowego lotniczego roleksa sprzedałem już dawno temu i teraz ile razy spojrzę na tego śmiecia, robi mi się smutno. Plastikowa chińszczyzna informuje mnie, że mam jeszcze trzydzieści pięć minut, zdążę bez pośpiechu. Zresztą już widzę, jak powoli sponad dachów pagód i kamienic wyłania się przesłonięty minaretami meczetów gigantyczny kompleks Ministerstwa Odnowy Społecznej. Znajduje się tam Główna Komisja Psychologii Behawioralnej. Wyrzucam śmierdzący niedopałek namiastki tytoniu, patrząc na szczyt wielkiej piramidy z polimerów i aluminium. Nigdy jeszcze tam nie byłem. Moje poprzednie badania odbywały się na przedmieściach. Musiałem oglądać jakieś obrazki i opowiadać, z czym mi się kojarzą. To jeszcze było do przeskoczenia, najgorsze przyszło później. Musiałem odpowiadać na podchwytliwe pytania. Wpadłem na osobliwym zagadnieniu, kiedy pani psycholog zapytała mnie: „Czy na powszechnej olimpiadzie, sportowcy z zespołem Downa powinni rzucać oszczepem i strzelać z łuku?” Wtedy zdębiałem, odpowiedziałem wymijająco: że naturalnie, tylko z oczywistych względów powinni mieć gumowy sprzęt. Pani doktor dostała szału, krzyczała, że z takim przejawem szowinizmu i nietolerancji jeszcze się nie zetknęła. Nie wiem, co baba napisała mi w papierach. A co gorsza, ciągle nie wiem, jak powinienem był wtedy odpowiedzieć.

Tymczasem rośnie błękitna ściana lśniącej piramidy. Powraca niepokój. W trzewiach molocha setki pań doktorek psychologii i tysiące studentek tej najważniejszej z nauk przeżywają niczym termity nasz los. Finalnym produktem będzie pogodzony z Wielkim Planem tubylec, przypominający arkusz szarego pakowego papieru, w który można zawinąć wszystkie nasze grzechy. Każdy, kto chce w miarę normalnie żyć, musi je przekonać, że naprawdę się cieszy, kiedy wyrzuca go z mieszkania wielodzietna arabska rodzina. A wprost umiera ze szczęścia na wiadomość, że w ubiegłym miesiącu przybyło do Europy kolejne dwieście tysięcy osiedleńców z Bangladeszu.

Zobaczymy, czym to się skończy. Może uda mi się je przekonać o mojej niezachwianej lojalności. Może pozwoli mi wrócić za stery, choćby w stopniu młodszego mechanika. Utwierdzę zadufane baby w przekonaniu, że ich inteligencja oraz wiedza są wszechmocne i nic się przed nimi nie ukryje.

Cholera! Zamyśliłem się i przez to zapomniałem, że po głównych arteriach śródmieścia stale krążą patrole studentek medycyny. One także mają prawo do jazdy furgonetką. Właśnie nadjeżdża jedna z nich – wielka biała szafa. W otwartym włazie na dachu, z uwagą obserwując przechodniów, siedzi czarna jak heban dziewczyna. Niedobrze, jestem biały i nie chroni mnie żaden plemienny obyczaj. Kiedyś cholery tylko sporadycznie zaczepiały takich jak ja, zaglądały do gardła i uszu. Teraz, od kiedy kobiety przyjmowane są na studia bez najmniejszych ograniczeń, studentki z pierwszych lat nie mają szans, żeby starsze koleżanki pozwoliły im w szpitalu choćby zbliżyć się do prawdziwego chorego. Poszły więc na całość, byle tylko kogoś rozebrać, gołego dokładnie obmacać i odkryć jakąś dolegliwość. Ich pasją jest pobieranie krwi, zastrzyki z wody

destylowanej oraz lewatywa. Później wnioski z ćwiczeń notują w dzienniczkach. Mogą trzymać człowieka cały tydzień, a jeśli będzie się stawiał – nawet dłużej. Czuję w sercu gwałtowne turbulencje, kiedy wzrok dziewczyny pada na mnie. Studentka wali pięścią w dach budy, furgonetka hamuje. Jestem bez szans. Bezrobotny białas z przeterminowaną książeczką badań to łup, jakiego nie wypuszczą przynajmniej do środy. Nie uratuje mnie nawet wezwanie. Wywalą je do śmieci, a te z psychawioru wściekną się i każą mnie zamknąć za niestawienie się w terminie – leżę. Rozgorączkowanym wzrokiem wodzę w rozpacz po ulicy. Nie ma żadnej bramy, jestem w pułapce. Nagle wybawienie! Po drugiej stronie alei, koło wystawy z trzcinowymi kapeluszkami wlecze się gość w pasiastym burnusie i... utyka!

Zanim dobiega do mnie desant studentek w białych fartuchach, przybieram groźną postawę. Krzyczę oburzonym głosem, wymachując rękoma:

– Co to ma znaczyć! Tak się troszczycie o zdrowie społeczeństwa!? Dzwoniłem piętnaście minut temu. Kiedy jesteście potrzebne, to nigdy was nie ma! Tamten pan – wskazuję na pasiastego – przed chwilą miał konwulsje, leżał biedak na chodniku i trzymał się za brzuch. Teraz chłop aż się zatacza z bólu. Na co jeszcze czekacie!? Musicie go ratować! – wrzeszczę głosem drżącym z emocji.

Studentki odwracają głowy w ślad za moją dłonią. Są napięte jak szykujące się do skoku drapieżne lwice. Widzą go, oceniają odległość i formują łowiecką podkowę. Ofiara będzie w zasięgu kłów i szponów. Telefon! Wezwanie! To niepowtarzalna gratka. Gość pewnie nawet nie zna europejskiego. Już nie uratuje go nawet najmocniejsze tabu – wolę tego nie widzieć. Po stu metrach schodzę z głównej alei

w boczną zacienioną uliczkę. Tędy także dojdę do piramidy.

Zaraz będziesz miał, biedaku, w tyłku więcej wody, niż spadło na twój rodzinny szałas przez dziesięć lat pod rząd – myślę i jest mi go nawet trochę żal.

Dalsza droga przebiega spokojnie, mimo to zwiększam czujność. Idę w strefie cienia, starając się nie rzucać nikomu w oczy. Spuszczam skromnie wzrok, kiedy zastępuje mi drogę dwóch eleganckich, śniadych agitatorów z Hiszpańskiego Legionu Kochanków. Chcą, żebym podpisał petycję do rządu, który ma wprowadzić homodozór dla heteroseksualnych małżeństw adoptujących dzieci. Podpisuję z uśmiechem na twarzy, wiedząc doskonale, że Hiszpanie to zawodowi policyjni kapusie. Kłaniają się uprzejmie, kiedy oddaję pióro i odchodzę. Dalej jest niewielki, zdziczały figowy gaj. Wznosi się tam sterta śmieci obrosniętych trawą i pokrzywami, które nie poddają się nigdy. Wskazówka mojego instynktownego kompasu wychyla się lekko, ale coś się chyba pomieszało w polu zagrożeń magnetycznych. Tu nie ma nikogo.

Oddalam się od pokrzywowej dżungli na dystans kilkunastu metrów, kiedy góra śmieci powstaje jak las Birnam z koszmaru Makbeta. Żywe krzewy pokrzyw poderwały się na nogi i z krzykiem miotają we mnie pociskami. Powietrze szyją kulki wielbłądziejego łajna zmieszanego z mokrym piaskiem, zgniłe mandarynki oraz prawdziwe twarde kamienie. Zrywam się do biegu. Pierwsza salwa żywych pokrzyw ma niedostrzał, druga przenosi – ale za to trzecia prawie rozrywa mnie na strzępy. Zaliczam dwie celne mandarynki w potylicę, kilka piaskowych smrodów w plecy oraz celny kamień w lewy łokieć. By zmylić wrogie dalmierze, biegnę zygzakiem na drugą stronę ulicy. Lecz ich strateg przewidział ten ruch. Zza sterty kartonowych pudeł

wybiega kilkunastu malców w afgańskich plackach na głowie i od razu otwiera gwałtowny ogień ze zdechłych szczurów. Obrywam śmierdzącymi ciałkami po spodniach i koszuli. Tego za wiele! Krzyczę strasznym głosem wściekłego Mikołaja, któremu ktoś na dworcu rąbnął worek z prezentami. Chłopcy pierzchają jak stadko przepiórek. Rozrywam ich front, gnając do przodu jak kirasjerzy Bluchera.

Zaliczam jeszcze kilka trafień w plecy, ale króciutkie nóżki dzieci nie mają szans z moimi długimi skokami. Zaraz jestem poza zasięgiem ich ognia. Biegnę dalej, zaskoczony niespodziewanym atakiem. Cholera, to byli mali mudżahedini. Jeżeli potrafią już sami mieszać gówno z piaskiem, to znaczy, że mogli przygotować jeszcze jedną zasadzkę na białasów! – myślę z trwogą.

Na wszelki wypadek prawie nie zwalniam aż do bezpiecznego portu – portierni w Wielkiej Błękitnej Piramidzie.

– Co pan wyprawia? Tu się nie wbiega! Tu wszyscy wchodzi, tu jest Ministerstwo! – wita mnie oburzony głos.

Patrzę na małą, pulchną, podobną do rubensowskiego amorka blondynkę, tkwiącą za czarną ladą.

– Kim pan jest? Mów natychmiast, śmieciarzu, bo zawołam ochronę! – ostrzega cherubin, wstając z krzeselka.

Jej krągły tyłeczek zatacza łuk, a chmurka blond włosów celuje w stronę dyżurki strażniczek. Widzę, że jest gotowa zaraz to zrobić – a w głowie mam pustkę. Dysząc po biegu, mówię:

– Nie, łaskawa panienko, nie ma potrzeby. Po prostu biegłem, żeby się nie spóźnić. Chciałem po drodze oddać jeszcze krew dla powodzian z Cusco-Arraka – strzelam na oślep.

– To tam była powódź? – pyta, udając, że wie, gdzie leży miasto, które nagle powstało w mojej wyobraźni.

– I to jaka, droga pani. Zmyło całe góry, na których były sierocińce i szpitale wraz z centrum spokojnej starości – oznajmiam z przekonaniem.

– To straszne – przejmuję się ludzkim głosem nieludzki cherubinek. Zaraz powraca jej jednak służbowa pogarda do robactwa, jakim są petenci.

– Mam nadzieję, że pan nie zdążył. Pan śmierdzi i pana krew jest z pewnością bezwartościowa albo wręcz szkodliwa.

– Panienko, to, co panienka czuje, to zapach cudownej materii. Wszyscy pozostajemy w jej ponadczasowym obiegu. Ja, droga pani, jestem ekologicznym fanatykiem, jeżeli raz dziennie nie wykąpię się w słodkim kompoście, czuję się po prostu brudny – odpowiadam językiem sloganów, podając jej wyciągnięte z kieszeni wezwanie.

Dziewczyna z wyraźnym wstrętem rozprostowuje kartkę, czyta uważnie jej treść i długo wpatruje się w moją twarz. Nie ma tam fotografii. Staram się być podobny do mojego nazwiska z wydruku, prostuję się i pokazuję profil. Wszystko się chyba zgadza, gdyż po chwili słyszę:

– No tak. To wezwanie jest ważne, a pomoc pani psycholog jest wręcz niezbędna. Niech zdejmie marynarkę, rozepnie koszulę i spuści spodnie.

Stoję i słucham, ale treść polecenia zupełnie nie do mnie dociera.

– Co?! – pytam po chwili, kompletnie zaskoczony.

– To, brudny szmaciarzu, że było zostać w tym twoim kompoście. Albo innym śmierdzącym szambie – słyszę zza pleców głos wielkiej czarnoskórej strażniczki.

Nie jest sama, są jeszcze dwie inne. Ogromne niczym spełniony seksualny miraż Bokassy II Odede. Jedna z nich

szturcha mnie pałąką pod łopatkę. Jak we śnie wykonuje rozkaz. Nie wstydzę się – jestem w szoku, kiedy jedna z nich odsłania moje ciało, rozchylając luźne fałdy ubrania i naciągając gumkę slipek szczytem pałki.

– Ma coś? – słyszę zza pleców.

– Małego fiuta, jak wszystkie cuchnące białasy – odpowiada jej drugi głos.

Portierka chichocze niczym spadający wprost z zenitu 82-milimetrowy granat mózdzierzowy.

Ubieram się w pośpiechu, chcąc jak najszybciej zapomnieć o dokonanym gwałcie. Jak przez białą ścianę słyszę:

– Łazienka jest w głębi korytarza, niech się umyje mydłem. To jest Ministerstwo, a nie jakiś śmietnik, w którym pewnie mieszka – przemawia przejęta swoją nieograniczoną władzą portierka, miażdżąc mnie przy tym pogardliwym spojrzeniem.

Wrzuca moje wezwanie do podłużnej szpary w biurku i podaje mi podpisaną fiszkę z magnetycznym nadrukiem. Oddycham ciężko. Pewnie jest sporo zamachów, muszą więc sprawdzać patentów. Uspokój się teraz, Hubercie. To pewnie spotyka wszystkich, którzy nie dali dupy już na samym początku tego szaleństwa. To był dla mnie komplement – myślę, próbując wyrównać oddech.

– Dziękuję pani za zwrócenie mi uwagi. Zaraz skorzystam z mydła i opowiem wszystkim kolegom, jaka urocza dziewczyna siedzi w portierni tego Ministerstwa. Wszystkim, którzy jeszcze żyją – mówię, ruszając we wskazanym kierunku.

Odwracam się, żeby sprawdzić, czy nie spuściła wzroku, lecz widzę tylko jej wściekłość. W łazience przed wielkim lustrem wraca mi dobry nastrój. Oglądam siebie jak dzieło

impresjonisty. We włosach mam strzępy skórek ze zgniłych mandarynek, na marynarce i spodniach wykwyty z wielbłądzich bomb. Ścieram te śmiecie jednorazowym ręcznikiem i przemywam twarz wodą. Mydło było oczywiście tylko propagandowym wykrzyknikiem. W pojemniku z napisem: OSZCZĘDZAJ! DZIECI W SOMALII UMIERAJĄ Z BRAKU HIGIENY! leży tylko szary, wyschnięty balasowaty twór, śniący o minionej spienionej potędze. Stoję jeszcze przez chwilę przed lustrem.

– Kości zostały rzucone! – mówię głośno, dodając sobie odwagi, i ruszam dalej.

Dochodzę do głównego holu. Gdzie ginę natychmiast w tłumie urzędniczek, studentek i petentów. Pierwsze poruszają się szybkim krokiem, gorliwie taszcząc tekturowe teczki z aktami personalnymi. Porozumiewają się krzykiem, ogłaszając światu swoje oddanie i poświęcenie dla pracy. Studentki psychologii w biegu uzupełniają notatki, wskazując na siebie światłopisami i zadając koleżankom podchwytliwe pytania z ćwiczeń.

Najprzyzwoitszą i najnormalniejszą grupę stanowią petenci, czyli mężczyźni w różnym wieku. Wyglądają jak dzieci, o których zapomniała młoda mamusia, grzebiąc w stertach podwójnie przecenionych ciuchów na wielkiej wyprzedaży w totalmarkecie. I ja wyglądam niczym taki nieszczęsny, oszołomiony dupek. Bo z bazgraniny na mojej fiszce kompletnie nic nie wynika. Jakieś znaczki, jakby niepiśmienny Chińczyk próbował wystawić mi weksel dłużny przy pomocy babilońskiego pisma klinowego. Kręcę tym szyfrem we wszystkich płaszczyznach niczym mała lusterka z podobizną Gili Carcano i coraz mniej z tego rozumiem. Dostrzegam na ścianie czytnik. Próbuje fiszką uruchomić jego wyświetlacz – też nic. Kolejne milczą także,

zupełnie jak urzędniczki w Urzędzie Zatrudnienia dla autochtonów. W końcu postanawiam wsiąść do którejś z dziesiątek wind i zorientować się wyżej, gdzie właściwie mam się zgłosić.

Wchodzę wraz z grupą studentek do aluminiowej paszczy windy. Jednak gdy tylko przekraczam próg, rozlega się ogłuszający, przerywany ryk syreny. Dziewczyny aż się kulą ze strachu. Światło w kabinie rozbłyskuje synchronicznie z falami dźwięku. Stoję w rozkroku, podobny do skamieniałej żony strachliwego Lota. Cały tłum w holu zamiera i gapi się na mnie.

– Pacjencie. Proszę pacjenta! – krzyczy energiczna kobieta w białym kitlu, ciągnąc mnie za rękaw marynarki.

Jestem zaskoczony i ogłuszony alarmem.

– Proszę leczonego! – krzyczy jeszcze głośniejsza kobieta. – Czy pacjent potrafi to przeczytać? – pyta już poza windą.

Alarm cichnie. Myślę o tajemniczych robaczkach szyfrowego pisma na mojej fiszce.

Oszołomiony zamieszaniem, krzyczę nedorzeczenie głośno:

– Za cholere nie umiem!

Biały kitel stanowczym gestem powstrzymuje biegnące czujne strażniczki i wspinając się na palce, woła:

– Grupa siedem dwa ceee, do mnie!

Dziewczęta w fartuchach wybiegają z wnętrza windy niczym biały wiosenny rój pylących się dmuchawców. Zostają zaciągnięty na środek korytarza. Zewsząd otacza innie ciekawski tłumek gorliwych uczennic. Biały kitel dziobie mnie wskaźnikiem w cień nad kieszenią, gdzie kiedyś nosiłem znak naszego złotego żurawia.

– Notujcie, dziewczęta, z należytą uwagą – poleca władczy głosem.

Dziewczyny błyskawicznie wyciągają dzienniczki, ich światłopisy czają się do skoku na podobieństwo skupionych sprinterów w blokach.

– Mężczyzna w średnim wieku. Rasa pierwotna kaukaska, kromanion dwa łamane przez siedem. Zaniedbany, wydziela silny zapach fruktozoidalnej fermentacji. Prawdopodobnie nieuleczalny alkoholik. – Biały kitel milknie, dając czas dziewczętom na zapisanie notatek. – Analfabeta częściowo wtórny lub całkowity. AN dwadzieścia trzy i ANQ cztery. Dalej, hipotetyczny zanik orientacji przestrzennej – kontynuuje wykład. Czuję mocniejszy nacisk wskaźnika. – Jaki był, wykonywał zawód wyuczony? – pyta.

– Był pilot – odpowiadam niepewnie, stremowany tłumem widzów.

Kobieta nabiera oddechu.

– Tępotą połączona z lukami werbalnymi, syndrom BW łamane przez sto piętnaście i C sześć – brzmi enigmatyczna diagnoza.

Z gromadki wystrzeliwuje do góry rączka. Biały kitel kiwa z aprobatą głową.

– Pani profesor, chcę wiedzieć, czy obiekt może prokreował? – pyta przejętym głosem właścicielka ramienia.

– Pytaj, Kawase.

– Czy obiekt miał prowadzące do zapłodnienia ejakulacje? – Czekoladowa dziewczyna patrzy mi w twarz.

Otwieram usta niczym karp. W pierwszej chwili pod wpływem szoku chcę odpowiedzieć. W drugiej na wspomnienie portierni trafia mnie szlag i mam zamiar odpalić dzieciakowi, że gównu jej do tego.

Na szczęście przerywa mi pani profesor.

– Dwójaaaa! Dwójka, moje złotko! Niedostatecznie z kontaktu badawczego z osobnikiem. On tego nie rozumie.

Pani profesor odwraca się do mnie i pyta zwięźle:

– Staje ci?

– Nie rozumiem pytania – wczuwam się w rolę.

Dziewczęta chichoczą, jedne ukrywając twarze za dzienniczkami, inne całkiem jawnie.

– Uspokójcie się, dziewczęta! To nie jest śmieszne. Wyobraźcie sobie, że to indywiduum było, jak twierdzi, pilotem. Gdyby nie nasza rewolucja, pewnie w końcu wylądowałby w Ghanie zamiast w Gujanie. Na szczęście nasze służby zweryfikowały takich jak on. Został zdegradowany w samą porę, jak same możecie to zauważyć. Cięży na nas ogromna odpowiedzialność, musimy być czujne! – gasi resztki śmieszków pani profesor.

– Ja mieszkałam w Ghanie. Rzucali na nas bomby! Uratowała mnie Pierwsza Matka! – piszczy jakaś nastolatka.

– Wystarczy, teraz dokumentacja. Nazwisko? – pada polecenie wzmocnione dźwięciem światłopisu.

– Jugenmann – odpowiadam, osłepiony kilkoma fleszami aparatów fotograficznych.

– Ngang, odnajdziesz jego dokumentację. Porównamy ją z naszą diagnozą, analizując wizualizację fizjonomii fotograficznej. Ty, Li-lau, odprowadź obiekt gdzie trzeba i wracaj zaraz do grupy.

Przez blask supernowej, jaki pozostawiły w moich źrenicach flesze, widzę rozpraszającą się grupkę. Jedna z jasnych postaci pozostaje obok mnie. Źrenice powoli akomodują się do normalnego światła.

To maleńka, jakby porcelanowa figurka z dziecięcą twarzyczką. Porcelanowa laleczka pokazuje mi wyciągniętą rączką ścianę nad szybem windy.

– Ziobać, Jung-man. Tam napisały, tylko dla persionel. Tylko persionel – mówi z czułością.

Faktycznie nad każdym szybem wisi wielka jak wół czerwona tablica z ostrzegawczym napisem. Nie wiem, jak mogłem ich nie zauważyć. Rozumiem teraz, skąd ten cyrk z moją głupotą.

– Chodź z Li-lau, Jung-man – prosi łagodnie laleczka, biorąc mnie pod łokieć.

Dają się prowadzić bez oporu, byle tylko zniknąć z korytarza. Dochodzimy do wielkiej klatki schodowej ukrytej za aluminiową kolumnadą. Laleczka pokazuje mi ślimacznicę schodni.

– To być śchody, śchodyyyy – powtarza cierpliwie słodkim, ujmującym głosem, przebierając jednocześnie z wprawą mima nóżkami, jakby po nich wchodziła.

– Dzięki, Li-lau. Jung-man wiedzieć, co być śchody – zapewniam i ślę jej całusa, stojąc na pierwszym stopniu.

Wlokę się noga za nogą do góry.

– Jeszcze mam kilka ślicznych portretów. Będę na nich wyglądał jak buszmen konserwatysta na widok pierwszego w życiu fosforyzującego kondona. Pieprzyć to – mruczę ze wściekłością.

Muszę się jednak natychmiast zamknąć, kiedy dostrzegam schodzący z góry patrol czterech strażniczek, dyndających wielkimi białymi pałami przytroczonymi do pasów. Patrzą na mnie podejrzliwie, ale na widok mojej fiszki pozwalają przejść.

Docieram do korytarza na drugim piętrze. Drogę do niego zagradza ogromne czarne biurko, za którym tkwi wielka jak gdańska szafa i równie czarna portierka. Jej gruby paluch wskazuje na mnie i zgina się w stawie, przyciągając mnie niewidzialną nicią feudalnej potęgi. Staję przed biurkiem, oczekując kolejnych szykan.

– Proszę o rejestrator i podpis – mówi zaskakująco

uprzejmie kobieta, otwierając jakąś księgę.

Podaję jej fiszkę i składam drżącą ręką nieudolny zawijas.

– Niech pan się tak nie denerwuje. To na razie tylko badanie, może wszystko pójdzie dobrze. Pokój 233, tu za rogiem – mówi jak normalny człowiek.

Jest w jej głosie coś takiego, co ma Dagny i część kobiet w jej wieku. Kiedy nie muszą już rywalizować za wszelką cenę. Podobać się i rządzić poddanymi niczym wymarzona królowa Kleopatra. To mnie ośmiela.

– Jeśli to nie jest tajemnica, chciałbym wiedzieć, co jest napisane na mojej karteczce. Nie potrafiłem tego zrozumieć – mówię.

Portierka uśmiecha się lekko.

– Nie, to nie jest żadna tajemnica. To ta mała z parteru uczy się przed ślubem nazwiska swojego narzeczonego. Bazgrze na wszystkim, co jej wpadnie pod rękę. Ale i tak się pewnie nie nauczy. Blondynki z okrągłym tyłkiem nigdy niczego się nie uczą. A te znaczki w jego języku znaczą pewnie: „Po szóstym bachorze będziesz miała cycki jak uszy zdechłego osła” – kończy filozoficznie.

– Wie pani, i mnie tak się wydawało. To znaczy, że tak jest tu napisane.

Oczy portierki rozbłyskują wesołymi iskrami.

– Niech pan już idzie, one nie tolerują spóźnień. Powodzenia, panie lingwisto.

Idę długim korytarzem, ruch jest tu mniejszy niż na dole. Mijam galerie portretów pań od psychologii behawioralnej. Pod każdym zdjęciem wielkimi czerwonymi cyframi podana jest liczba wyleczonych pacjentów. Widzę, że rywalizacja traktowana jest tu bardzo serio. Niepokoi mnie jednak ciemna liczba tych, którzy ugrzęźli w chorobie na stałe. Ranking takich wyrzutków nie obejmuje. Cóż, klęska nie ma matki.

Korytarz prowadzi do wielkiej okrągłej sali, której środek wypełnia naturalnej wielkości posąg Pani Prezydent – Pierwszej Wielkiej Matki. Posąg stoi na cokole obrośniętym żywą rzeżuchą, ustawionym wewnątrz sadzawki ze złotymi rybkami. Wielka Matka ubrana jest w letnią sukienkę i owinięty zielonym powojem kapelusz. Jedną wzniesioną dłonią podtrzymuje globus. Drugą prowadzi korowód roztańczonych dzieci wszystkich ras oraz narodowości. Moją uwagę przyciąga golutki Murzynek, ściskający za rączkę okutanego od stóp do głów w foczy kombinezon Eskimosika.

To czysty kretynizm. Przecież ten w futrze umrze z przegrzania albo jego goły kolega zamarźnie – myślę, przejęty tym cymbalstwem.

Nie mogę jednak dłużej kontemlować dzieła. Goni mnie czas. Jeszcze jeden zakręt i znajduję się na korytarzu, którego białe ściany poprzecinane są czarnymi płaszczyznami drzwi, obitych wyciszającą tapicerką. Prowadzących do kolejnych gabinetów.

Mijam milczące czarne prostokąty, czytając ich numery. Serce zaczyna mi łomotać niczym źle przymocowana płachta pokrowca na silnik w czasie gwałtownej burzy.

Jest moje przeznaczenie – pokój 233. Do kata. Ta baba to jakaś ważna szych. Całe drzwi obwieszane są kolorowymi dziękczynnymi laurkami od wyleczonych pacjentów. Widzę także bursztynowe i srebrne wota. Patrząc zaciekawiony na te cacka sztuki jubilerskiej. Są tu śliczne przekreślone kufle na piwo, długa myśliwska i sportowa broń z wygiętymi lufami oraz sporo połamanych kijów bilardowych, a także wędek. Największy jednak zbiór reprezentuje galeria członków wyprężonych w zwycięskim wzwodzie. W równym szeregu od najmniejszego do największego. Wyglądają niczym defilująca, zwycięska armia przed wymarszem na front.

Cholera! Gdybym wiedział wcześniej... Te laurki to cenne ściagi, jak podlizać się pani doktor. Mógłbym także wyprosić u Ragaya jakąś deskę z tekowego drzewa i wyrzeźbić fiuta bardziej oryginalnego i piękniejszego od innych. Wręczony podczas badania, mógłby znacząco dopomóc mojej sprawie. Ale trudno. Zastosujemy wazelinę serwowaną werbalnie – pocieszam się w duchu.

Jak przestraszony prowincjonalny przygłup pukam w wolne miejsce na wyciszającej tapicerce i naciskam kłamkę.

Drzwi odjeżdżają gwałtownie, pociągając moją rękę. Przede mną wyrasta paśowy na twarzy facet. Nasze spojrzenia się spotykają. W jego oczach widzę strach i rozpacz – to oczy człowieka skończonego. Facet robi krok do przodu, jest roztrzęsiony i nie może zapiąć opadających portek. Ręce ma zajęte całą pryzmą urzędowych papierów. Ubrany jest w czarny kolejarski mundur z odprutymi naszywkami. Czapkę z czerwonym otokiem przyciska do boku łokciem. Z kolejarza wydobywa się skrzeczący jęk:

– Następny!

O w mordę, nie jest dobrze, lecz nie mogę już zwiać. Z wnętrza gabinetu patrzy na mnie upiorna biała twarz. Mijam nieszczęśnika i wchodzę do środka, zahipnotyzowany wzrokiem białego upiora.

Znajduję się w sterylnym gabinecie. Pod ścianą na półkolistej kanapie siedzi pięć lub sześć ubranych w śnieżne fartuchy kobiet. Jedna, którą zauważyłem jako pierwszą, stoi pod oknem ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Ta najważniejsza zajmuje miejsce za biurkiem z urzędowymi dokumentami. Na szarej teczce dostrzegam moje nazwisko. Wszystkie kobiety patrzą na mnie w milczeniu. Mierzą mnie wzrokiem przez czarne szparki w białych lakierowanych maskach rodem z japońskiego teatru no. Żadna z postaci

nawet nie drgnie, wyglądają jak białe manekiny w sklepie z kreacjami dla personelu prosektorium.

Nie wiem, co robić, decyduję się w końcu usiąść. Celuję już tyłkiem w stronę skórzanej leżanki, gdy postać pod oknem ożywa.

– Stop! Czy ktoś pacjentowi coś polecił? Siadać na wprost biurka – paraliżuje mnie stanowczym rozkazem.

Siadam na niskim żelaznym taboreciku, z siedziskiem nie większym od talerzyka na słodycze.

– Nazwisko, zawód i wiek – pada z kanapy.

Zbieram myśli, patrząc na kobietę za biurkiem. Fascynuje mnie i niepokoi jej biała twarzyczka, okolona chmurą ciemnobrązowych włosów. Przypominają jesienne kasztany, kryjące we wnętrzu perłę. Wygląda jak uwięziona w lochach średniowiecznej twierdzy wróżka, którą ma w swojej mocy zły czarownik. Jestem poruszony jej czystym, tajemniczym pięknem. Czuję, że cała wręcz pachnie ciepłą jesienią.

– Hubert Jugenmann, trzydzieści dziewięć lat. Inżynier pilot, uprawnienia drugiego stopnia. Trzynaście lat na stanowisku czynnego kapitana Europejskiego Skrzydła Transportowego. Dwa srebrne odznaczenia Nadzieja i Pomoc, za odwagę w trudnych misjach – mówię coraz pewniejszym głosem, patrząc na nią.

To dla ciebie, kasztanowa wróżko. Mówię do ciebie, nie do tych bab – przywołuję ją w myśli.

– Kilkakrotnie ranny od ognia broni palnej. W trakcie ewakuacji chorych i rannych z pola walki podczas plemiennych wojen w Afryce, Azji i Indiach. Honorowe Złote Śmigło od dowództwa sztabu Europejskich Sił Rozjemczych za przelot na uszkodzonej od ognia artyleryjskiego maszynie ze spalonym silnikiem oraz bez sprawnej hydrauliki. Z Omaruru w Namibii do Kadyksu.

Mieliśmy na pokładzie dzieci poparzone iperytem. Zdecydowałem się na start pomimo braku aprobaty dowództwa. – Biorę krótki oddech i opieram ręce o blat biurka.

– Dwie misje przy zrzuceniu pontonów dla „wielkich tratw” z uchodźcami na Oceanie Indyjskim. O ile wiem, tylko moja załoga startowała dwa razy i wywiązała się z zadania. Lataliśmy na ostatnich kroplach paliwa, w czasie tajfunu stulecia. Moja „Ana” dostała za ten wyczyn Trójzłąb Neptuna i prawo do namalowania kotwicy na kadłubie.

To ją chyba fascynuje? – myślę o mojej białej perle.

– Trzy sezony zrzutów trałowych na małym pułapie, na granicy rosyjsko-chińskiej oraz byłej koreańskiej. Zdetonowaliśmy miliony min przeciwpiechotnych. Maszyna wyglądała jak szwajcarski ser i nasze tyłki też – chcę ją rozbawić.

– Proszę zabrać ręce z biurka – pada z ust mojej wybranki.

Piękna perła osadza mnie w miejscu. Otwiera moją teczkę i spokojnym, miękkim głosem z dziwnym akcentem zwraca się do pozostałych:

– To, co słyszymy, jest udokumentowane w teście pacjenta. Mam nadzieję, że koleżanki zapoznały się wcześniej z jej treścią. Przystępujemy do badania komisijnego. Proszę koleżanki o zadawanie pacjentowi pytań – mówi z urzędową pewnością.

Jestem zaskoczony tym zupełnie nie pasującym do niej tonem.

– Co pacjent ma do powiedzenia na temat seksualnego molestowania kobiet przez przełożonych? – słyszę od strony kanapy.

Zapada cisza. Zbieram myśli, które uleciały gdzieś pod

niebo.

– Molestowanie jest obrzydliwe i godne potępienia. Ja osobiście nigdy nie zetknąłem się z podobnym przypadkiem. Zresztą teraz to chyba niemożliwe, ze względów formalnych. To kobiety są najczęściej szefami – odpowiadam z namysłem.

– Doprawdy pacjent nie zetknął się z podobnym przypadkiem? Pani kapitan Panada ma na ten temat inne zdanie. Stwierdziła mianowicie w wiarygodnym raporcie, że była obiektem napastowania. A molestował ją nie kto inny, tylko badany – atakuje mnie niespodziewanie ten sam głos.

– Ja ją molestowałem? – pytam, przebiegając błyskawicznie w pamięci wszystkie moje konflikty z małym, brzydkim jak mops tajskim potworkiem, którego władze wcisnęły na moje miejsce. Praca z nią to był koszmar. Byłem jej drugim pilotem i bez przerwy walczyłem o życie nasze i pasażerów. Już wiem! To wtedy, kiedy chciałem dogadać się ze złośliwym, niedouczoneym gnomem, przypominam sobie.

– Szanowna komisjo, to nieporozumienie. Raz mojemu dowódcy chciałem wręczyć bukiet róż. Jako wyraz szacunku za wyjątkowo trudny lot.

Za moimi plecami narasta szmerek, nie zadają na razie dalszych pytań. Postanawiam przejść do kontrofensywy.

– Poza tym jestem homoseksualistą i jestem z tego dumny. Mam tylko przejściowe problemy z erekcją, ale współczesna medycyna na pewno sobie z tym poradzi. Jak będę zdrowy, natychmiast oświadczam się mojemu ukochanemu, sprzedawcy sandałów Czen-li. On czeka niecierpliwie, kiedy ja także będę mógł go, no... Wiedzą panie – walę ze wszystkich luf.

Cisza w gabinecie materializuje się, słyszę tylko swój przyspieszony oddech.

– W aktach badanego, w rubryce „zainteresowania i relaks” wpisano: „odprężająca masturbacja”. Jak to więc jest z tym wzvodem? – powoli i wyraźnie pyta kobieta spod okna.

Strzał jest celny. Faktycznie, chcąc nadażyć za obowiązującym kanonem, wpisałem tam takie brednie. Gubię się.

– A jaką pacjent ma w ogóle długość członka w tym niby nie istniejącym wzwodzie? – kładzie mnie na łopatki ta sama psycholog.

Jest źle. Patrzę z nadzieją na białą perłę. Jesienna muzyko brązowych kasztanów, pomóż, ratuj! – wysyłam jej rozpaczliwe komunikaty.

Piękność nadal jednak milczy jak zaklęta.

– Nie wiem dokładnie, kiedyś chyba średnią. Teraz, siłą rzeczy, spadłem poniżej normy – odpowiadam niepewnym głosem.

– Nie wie badany? Aha. A czy nie jest prawdą, że mężczyźni w trakcie swoich samczych, alkoholowych libacji zawsze mierzą swoje fallusy cyrklem, by okazać innym wyższość? – dręczy mnie dalej okno.

– Cyrklem? – wyrywa mi się z autentycznym zdziwieniem.

– Proponuję przeprowadzić badanie sprawdzające. Niech obiekt zdejmie spodnie i zsunie slipy. Jeśli takie posiada. Marynarkę i koszulę trzymać na wysokości klatki piersiowej – rozkazuje ten sam głos.

Na kanapie atmosfera ożywia się, błyska próbny flesz. Zza białej maski, w którą patrzę jak urzeczony, odzywa się ciepły, spokojny głos:

– Znam pani pracę na temat zależności poziomu agresji od długości członka i doceniam jej wagę, koleżanko.

Proponuję jednak, by ewentualne pomiary odbyły się w gabinecie lekarskim po przesłuchaniu badawczym. Na tym etapie odpowiedzi badanego mają priorytet – mówi cicho i stanowczo moja perła.

Nareszcie przysłała mi z odsieczą! Usadziła ofiuciałe babsko bez najmniejszego wysiłku. Moja perła!

– Słuchaj uważnie, Jugenmann. Znamy wszystkie plotki, jakie krążą wśród pacjentów. O tym, jak bardzo preferujemy mniejszości seksualne czy obyczajowe. To tylko plotki. Gdyby tak było, Wielki Plan Zrównania Szans nie miałyby żadnego sensu. To wielkie dzieło ma zniwelować wszystkie niesprawiedliwe preferencje, jak kolor skóry czy pochodzenie i orientacje seksualne. Nie faworyzujemy nikogo.

Mówi dalej z takim przekonaniem w głosie, że zaczynam jej wierzyć. Jej włosy załamują światło, tworząc nad głową aureolę wszystkich odcieni ciepłego, upojnego brązu. Teraz pachną migdałami, są jak miękki dotyk bezpiecznego snu.

O biedny Steve, na darmo płakałeś w noc poślubną, kiedy obok ciebie położył się spocony gość, twój mąż – myślę o nim. Zaczynam bezwiednie potakiwać głową w rytm jej argumentów.

– To, co mówisz, to zwykle niezdarne konfabulacje. Dlaczego? Czy sądzisz, że to farsa? Czy nie pomyślałeś o tym, że my naprawdę pomagamy naszym sfrustrowanym, zagubionym pacjentom zaadoptować się do życia w nowym lepszym świecie? Część z nich przynosi tu później fałszywe wyrazy wdzięczności. Wiemy, kto nas oszukuje. Ale wyobraź sobie, że większość wyraża prawdziwe podziękowanie – mówi tym swoim dziwnym głosem.

Budzi się we mnie niepokój. Jeśli ona naprawdę wierzy, że chociaż jedna z tych bzdur wyraża prawdziwą wdzięczność, to mam do czynienia z wariatką.

– Wyjdź stąd, Jugenmann, albo traktuj to badanie poważnie. Powiedz, czego od nas chcesz, albo wyjdź. To nie są żarty – podkreśla, zaginając nerwowo róg trzymanej teczki z dokumentami.

Poprawiam nie istniejący krawat. Prostuję się na stołku, który coraz bardziej wrzyna mi się w tyłek. Wiem, że nie wyjdę stąd normalnie, kiedy chcę. Zwłaszcza po ewidentnej wpadce z ankietą. Pozostaje mi tylko ostateczna broń naiwnych szaleńców – naga prawda.

– Odebrano mi prawo do wykonywania zawodu. Od tamtego dnia jestem wrakiem. Chcę wrócić za stery mojej „Any” i znowu pomagać ludziom. Chcę, by przywrócono mi godność.

Kobieta odkłada spokojnie teczkę z moim życiem.

– Dobrze, będziemy kontynuować badanie. Tylko nie rób sobie z nas więcej żartów, zgoda? – pyta, wyciągając jakieś kwestionariusze z szuflady.

Kiwam głową na znak aprobaty. I tak nie mam innego wyjścia.

– Czy badany jest homoseksualistą? – pyta ta od mierzenia członków.

– Nie, nie jestem, ale nie wykluczam tego w przyszłości – odpowiadam spokojnie.

– Ile razy dziennie badany się masturbuje? – dręczy mnie dalej.

Zaczyna trafiać mnie szlag. Tu chodzi o moje życie, a babę interesuje tylko mój fiut.

– Pani doktor. Rozumiem wagę tego badania. Ale czy musimy rozmawiać cały czas o moim członku?

– Tak – odpowiada bez tłumaczeń i niedomówień.

– Dwa razy dziennie, a w niedzielę i święta państwowe przynajmniej trzy – mówię, opierając dłonie o skraj

stołeczka. Tyłek boli mnie coraz bardziej.

– To mogłoby się nawet zgadzać, a później i tak przystąpimy do pomiarów – nie ustępuje babsztyl.

Teraz bierze mnie w obroty kanapa, odwracam się do nich bokiem.

– Czy pacjent interesuje się kulturą i plemiennymi obyczajami innych narodów? Na przykład czy pacjent zna jakąś poezję lub legendy twórczych kultur? Innych niż zdegenerowana i szowinistyczna śródziemnomorska – zaczyna pierwsza, niedbale wyciągnięta na oparciu kanapy.

Zaczęło się! Boję się wyskoczyć z moimi słabiutkimi wiadomościami z encyklopedii. Obyczaje Ragaya, które znam dobrze, odpadają. Nagle olśnienie! Słuchałem kilka miesięcy temu, dopóki nie roztrzaskałem radia o podłogę, audycji o Mongołach i ich folklorze. Przypominam sobie, jak brzmiał głuchy dźwięk ich pasterskich pieśni.

– Oczywiście, pasjonuję się etnografią Azji. Wielką i cenną osobliwością jest na przykład śpiew gardłowy ludów z pustyni Gobi. Ten rodzaj improwizowanej opery opowiada o legendach i dorobku tej wspaniałej kultury – błyskam wiedzą.

– Niech pacjent zaprezentuje jedną z nich, skoro jest takim ekspertem – pada wyrok z ust jednej z nich. Przez te maski nie orientuję się, kto zadaje pytania.

Długo zbieram siły, patrząc na moją Nemezis o kasztanowych włosach. Delikatnie wprowadzam struny głosowe w drgania, później nie otwierając ust i nie poruszając językiem wydaję śliczny buczący dźwięk, który zaczynam modulować. Moja pieśń rozwija się w całą gamę szalonych improwizacji, stary zakochany ropuch nie wykonałby lepiej takiej arii. Pieśń ponosi mnie, buczę dla niej:

– Nie zdradź mnie, moja piękna perło, bo pęknie mi serce...

– Dosyć, wystarczy. O czym była ta pieśń? – przerywa mi brutalnie kanapa.

Odwracam się twarzą zdobną w szczerłość do białych mumii. Mam nadzieję, że powoli odzyskuję utracone pole.

– O moim rumaku szybszym od strzały wypuszczonej z łuku. Gnamy już drugi dzień bez przerwy. Musimy dostarczyć antybiotyki i mleko w proszku dla chorych dzieci w osadzie na drugim brzegu pustymi, gdzie rozbiło obóz międzynarodowe wędrowne przedszkole. Jego pani dyrektor ma zespół Downa i nie może prowadzić łazika. Oczywiście potrafi, tylko nie opuści dzieci – stawiam sobie pięć z poprawności politycznej.

– Czy pomyślałeś o męce biednego konia? Zagonisz go na śmierć, sadysto – kwituje moje wysiłki jakaś obrończyni praw zwierząt.

– A dzieci? Tak bez mleka...? – bąkam spłoszony.

– Mogłeś biec sam!

– Ciszej, koleżanki, proszę o ciszę! – To ona, moja perła. Zaraz rozstrzygnie się mój los.

– Czy ty, były kapitanie Jugenmann, kiedykolwiek podważyłeś kompetencje swojej bezpośredniej przełożonej, pani kapitan Panady, i nazwałeś ją dzikusiem z dżungli? – pyta, lekko przechylając białą twarz.

Lód ściska mi stopy jak stalowe imadło. Ta mała wredna suka wpięprzyła mnie w bagno bez dna. Rzeczywiście podważyłem kompetencje tego nasłańca. Ale o dzikusie nie było mowy.

– Próbowałem wyjaśnić pani kapitan pewne rozwiązania z techniki lotu transportowcem. Miała niewielkie luki. Nigdy wcześniej nie latała wielkim, czterosilnikowym samolotem. To wszystko – mówię, czując, jak podłoga osuwa mi się spod stóp.

– Kłamiesz, Jugenmann. Kłamiesz przez cały czas. Koniec badania.

To mówi moja piękna perła, której prawie zaufałem. Dla której wszedłbym do ciemnych lochów zamku, by ją uratować. Wszystko znika, cała nadzieja rozwiewa się jak mgła. Jak Stani, którego zabrał na zawsze ogień i wiatr.

– Proszę protokołować. Hubert Jugenmann, rozpoznanie: Utajony hetero-fanatyk, NF siedemnaście. Agresywny rasista, AR-R trzy, egocentryczne rozdwojenie jaźni, czterdzieści pięć JG łamane przez osiem. Druga skala płciowego szowinizmu, MS cztery. Tak, Jugenmann. Tobie się tylko wydawało, że niesiesz komuś pomoc. Naprawdę karmiłeś tylko własne patologiczne męskie ego. Czy pomyślałeś kiedyś o strachu reszty załogi, którą twoje nieodpowiedzialne rozkazy narażały na śmierć? – mówi, zamykając teczkę. – A ten bełkot nie był po mongolsku – dodaje na zakończenie.

– Stani i reszta chłopaków też to kochali. Inaczej nie byliby w załodze – mówię w przestrzeń martwym, zdrętwiałym głosem.

Teraz jej włosy nie pachną już dla mnie niczym.

– Milcz, Jugenmann! – Kasztanowa perła odwraca się w stronę okna. – Proponuję trzy lata obozu resocjalizacyjnego w ośrodku na Bornholmie. Czekam na wasze propozycje, koleżanki.

Z tyłu słyszę szelest sztywnego fartucha.

– To ciężki przypadek szowinizmu, musimy być czujne i konsekwentne. Proponuję cztery i pół roku. Z tego ostatnie półtora na Wyspie Niedźwiedziej – przygważdża mnie któraś z kanapy.

Aukcja trwa nadal, nabiera tempa, pada nawet nazwa czystego piekła na ziemi: Kuba.

– Koleżanki, doceniam wasze oddanie sprawie. Lecz

proszę jeszcze raz rozważyć moją propozycję. Jest oparta o solidną analizę oraz wieloletnie doświadczenie – podtrzymuje swoje stanowisko perła.

Opozycja cichnie, a później zaczyna gorliwie ją popierać. Kiwam się na stołeczku i jest mi wszystko jedno, co ze mną zrobią. Czuję nawet coś w rodzaju ulgi – dosyć życia z głupią nadzieją. Niech to się w końcu stanie, i tak tylko udaję, że żyję. Niech te idiotki zniszczą cały świat, zgadzam się. Ale nie pozwolę zdjąć sobie drugi raz spodni. Któraś z nich zapłaci za to rozwalonym nosem – jeżeli tylko spróbuje.

Z apatii budzi mnie głos spod okna.

– Jedną chwileczkę, koleżanki. Zwracam zebrany uwagę, że pozostała nie wypełniona rubryka cztery łamane przez osiem. Nie możemy więc przejść jeszcze do ostatecznych decyzji rehabilitacyjno-leczniczych – podkreśla stanowczo.

– Tak, rzeczywiście, to drobne przeoczenie. Nie sądzę zresztą, by to coś mogło zmienić. Chodzi o nasz czas. Przypominam, że mamy jeszcze siedmiu pacjentów – broni się perła.

– Czas jest, droga koleżanko, naszym sługą i nawet Pierwsza Matka nie liczy godzin swojej twórczej pracy, kiedy poświęca swoje bezcenne zdrowie dla sprawy. To jest badanie komisyjne i formalnościom musi stać się zadość – syci się triumfem fiuciara.

Rozpala się we mnie maleńka iskierka nadziei. Perła za biurkiem i fiuciara spod okna to śmiertelni wrogowie. Może jeszcze nie wszystko stracone? Może mnie stąd wygonią? – myślę, ocierając spocone dłonie o spodnie.

Fiuciara podchodzi do biurka i zdecydowanym ruchem bierze moją teczkę personalną. Jej fartuch śmierdzi lizolem. Kobieta mruczy coś pod nosem, wertując strony. Zatrzymuje

wzrok na jednej z nich. Czyta z uwagą.

– Byłeś żonaty, prawda? – zaczyna nową rundę przesłuchania.

– Tak, ale żona odeszła ode mnie cztery lata temu – odpowiadam, prostując się na taborecie.

– Żony nie odchodzą sobie jak na spacer. Prawda, kapitanie? Powiedz, dlaczego odeszła od takiego przystojniaka? Proszę o włączenie oscylatora zsynchronizowanych krzywych głosowych z mimiką twarzy pacjenta – wydaje komuś polecenie. – Dlaczego żadna z koleżanek nie uruchomiła do tej pory tego cennego sprzętu?! Dokumentacja i tak będzie niepełna – prycha rozdrażniona.

Coś w gabinecie zaczyna buczeć.

– A ty odpowiadaj! – ponagla mnie.

– Wykonywałem lot za lotem, w różnych częściach świata. Byłem ciągle zmęczony. Nie poświęcałem jej tyle czasu, na ile zasługiwała. Może też za dużo piłem... to była praca w ciągłym stresie – przyznaję szczerze.

– Czasu? No... i piłeś. To normalne u mężczyzn, czego można się było spodziewać? Ale jestem pewna, żeee... było coś jeszcze. Może ją seksualnie wykorzystywałeś? Co? Gadaj! – krzyczy, waląc teczką o blat biurka.

– Ja Agnes? Ja ją kochałem.

Na ramionach czuję ciężar jej dłoni.

– Jak ją wykorzystywałeś? W jakiej pozycji musiała cierpieć? Gadaj, jak brzmiały twoje wulgarne wyzwiska w trakcie gwałtu? – ogłusza mnie wrzaskiem.

Kasztanowa perła podnosi do góry białą twarz.

– Jesteśmy pewne, że gwałciłeś swoją żonę. Teraz dostaniesz jeszcze trzy dodatkowe lata i to nie resocu, ale ciężkich robót. Chyba że powiesz nam coś na temat spisku wśród lotników. Ty błazeńska kreaturo – jej głos aż drży z

nienawiści i pogardy.

Nie poznaję kasztanowej perły, nawet jej biała maska zmieniła grymas.

– Zeznaj o spisku, to wykreślimy z protokołu gwałt na tej twojej Agnes, mały świński łgarzu – dłonie fiuciary zaciskają się na moich ramionach.

Ciężar tych dłoni to nic w porównaniu z głazem, jaki mam w gardle. Agnes, kiedy zasypiałaś zwinięta w kłębek, jak mały kotek w białej piżamie w zielone grochy, czytałem tobie, już chyba śpiącej, bajki w kręgu złotego blasku lampy. Nigdy tego nie zapomnę i nigdy nie pozwolę, żeby ktoś się w tym babrał. Przysięgam, Agnes. Zamykam oczy.

– Liczę do pięciu, masz mówić o spisku. Gadaj, i tak o tym wiemy. Wyłapiemy wszystkich i każdy się dowie, że to ty ich wydałeś... kłamliwy pedale. Twoje milczenie nic już nie zmieni. Nawet milcząc, jesteś zdrajcą – dobija mnie kasztanowa perła, a jej oczy lśnią zza szpar maski niczym złowrogie ślepiec szcztura.

Zdrajca! Zdrajca! Robią ze mnie kapusia! Rośnie we mnie wycie oceanu. Wycie naszego kumpla, którego pasy ładunkowe rozdarły na pół, kiedy pruliśmy dziesięć metrów nad falami wielkimi jak góry. A Kraft czekał pośród oszalałego cyklonu do ostatniego ułamka sekundy ostatniej z pieprzonych sekund. Żeby trafić prosto w tratwy rozbitków pieprzonym, trzytonowym ratowniczym pontonem. Coś się wali z hukiem w moim wnętrzu.

– Neeeeee! Nie macie prawa! Zapiszcie sobie, zboczone idiotki: waliłem ją od tyłu, ale dopiero po tym, jak dostała łomot. Teraz dobrze!? I nie jestem kapusiem, podłe kurwy!

Zrywam się ze stołka tak gwałtownie, że fiuciara odbija się szczęką od moich pleców i spada na kanapę. Jestem jak wszystkie połączone wkurwienia świata.

– Pokaż mi swoją twarz... pokaż, czy się wstydzisz!

Gwałtownym ruchem zrywam maskę z twarzy kasztanowej brunetki. Jej nieziemska uroda oszałamia mnie i krzyk gaśnie w płucach. Patrzę na jej ogromne sarnie oczy, jej pełne karminowe usta – które rozwierają się w krzyku:

– Na poomoc! Straaaaż!

Ten krzyk budzi mnie z oszołomienia adrenaliną zalewającą zmysły. Widzę, jak dwie kobiety usiłują wygrzebać się spod oszołomionej nokautem fiucyary. To pewnie ochrona!

Jeszcze raz spoglądam na piękność i już jestem za drzwiami. Walę nimi z taką siłą, że część dupereli i kutasów odrywa się od tapicerki. Zanim dosięgną podłogi, jestem już w połowie drogi do pomnika.

Rwę jak gepard, tylko podeszwy lotniczych trzewików łomoczą o wymuskany parkiet.

Za późno! Od czoła zbliża się cały tłum wrzeszczących strażniczek. Ich białe pałki kreślą w biegu świetliste półkola. Jedyne luka w nagonce to pomnik z fontanną. Wskakuję tam w pełnym biegu. Łapię za któreś z dzieciątek i siła odśrodkowa obraca mnie dookoła cokołu w drugą stronę. Posążek odrywa się od podstawy. Robię jeszcze jeden obrót, odrywając tym razem drugą ręką z cokołu wielką połączoną rzeżuchę, i wyskakuję z wody. Ciskam zielskiem za siebie.

Z przodu nikogo nie ma! Moje piruety zmyliły pościg, który teraz mam za sobą. Strażniczki wpadają na mokry dywan zieleniny. Słyszę głuchy łoskot padających ciał i przekleństwa – nie oglądam się! Gnam w poślizgach przez Galerię Sukcesów. Na schodach muszę zwolnić. Prawie jadąc po poręczy, widzę oszołomioną portierkę. Teraz przestrzeń głównego holu. Ryczy alarm! Zbiegam na parter, słysząc trzask blokowanych automatycznie drzwi. Dobiegam do nich

i z wysoku walę posążkiem dziecka w szkło – szyba pęka z hukiem. Wolność! Lecę jak kometa, ciągnąc za sobą świetlisty ogon odłamków z rozbitej szyby.

Jedna ulica, druga. Tłum zlewa się w rozmazane plamy wesołego miasteczka oglądanego z rozpedzonej karuzeli. Oddech zaczyna palić, nogi nie chcą poddawać się rozkazom woli. Nie mogę już dalej biec. Ciężar ciała najpierw drewniany, później betonowy, wreszcie ołowiany zatrzymuje mnie pod samotnym drzewkiem. Opieram się barkiem o jego wąły pień, pochylam i wspaniały obiad Ragaja tryska kaskadą na ludzkie gówna i czubki moich butów. Kwiczę jak zarzynane prosię, przy każdym skurczu napierając barkiem na uginające się drzewko. Nie zostaje mi nic, żołądek wyciska z siebie wszystko, aż do ostatniego głębokiego spazmu.

– Steve, Steve... zgadzam się. Mogę nosić na plecach brata twojego męża całkiem sam. Choćby bumel miał wagę półrocznego słonia. Steve, miałeś rację, ugotowały mnie. Jestem, kurwa, ugotowany, za późno na wszystko. Już po mnie – bełkoce, wycierając ślinę z ust.

Przez zażawione oczy widzę rosnący wokół mnie tłumek. Kolorowe postacie patrzą w milczeniu. Pora stąd spadać, zanim ktoś wezwie policję albo sam mi dokopie. Prostuję się, podnosząc ściskany przez cały czas w rękę posążek dziecka. Lśni w mojej dłoni niby jakiś totem – znak spełnionej ofiary. Tłum rozstępuje się w milczeniu przed moim groźnym tabu. Niektórzy opuszczają nawet wzrok z szacunku, a może i z trwogi. Nikt mnie nie zaczepia i nie próbuje zatrzymać, ruszam jak zarzygana Statua Wolności z jaśniejącą mosiądzem pochodnią. Idę na wprost, nie wiem, dokąd i po co. Moja obojętność staje się doskonała. Pozwalam mojemu ciału, żeby samo decydowało o kierunku

wędrowni. Bezmózgi korpus reaguje na hałas i tłum. Nie lubi także światła, wybiera miejsca zacienione i ciche. Kieruje się tam, gdzie trotuar zachował jeszcze swój pierwotny charakter, bez dziur i wystającej kostki. Przechodnie widzą mój wzrok. Spojrzenie człowieka, który patrzy – ale jest ślepy. Wzrok wybrańca, którego dotknęło przeznaczenie. Napawa ich to pierwotnym lękiem. Schodzą mi z drogi nawet fanatyczni marabuci, przez których ulicę właśnie wlecze się mój własny fantom.

Po godzinie, a może po kilku docieram w okolice Dworca Zoo. Ruiny po ogrodzie zoologicznym przekształciły się w zdziczały, zaniedbany park, pełen chaszczki i ciemnych zakamarków. Od kiedy sztafety wojowników o prawa zwierząt wypuściły z niewoli wszystkich futrzastych i opierzonych jeńców, którzy szybko zdechli z głodu lub zostali wybici w ulicznych polowaniach, władze przestały się nim interesować.

Teraz zoo jest azylem dla wszystkich odmieńców i ekscentryków. Policja pojawia się tam rzadko i niechętnie. A osadnicy wpadają tylko, żeby wyciąć kilka drzew i szybko uciec ze strachu przed wariatami – dziećmi przeszłości.

Podchodzę do wyłamanej bramy i ogarnia mnie bezpieczny cień zieleni. Muskają mnie słoneczne złote palce, przemykające pomiędzy liśćmi w koronach wiekowych olbrzymów. Spadają na mnie niczym krople ciepłej wody, jak złocisty deszcz. Zmywają zmęczenie, ból upokorzenia i smród strachu. Uspokajają rozedrganą duszę. Siadam na ławeczce, którą łagodnie potraktował los, pozwalając zachować kilka drewnianych deseczek. Stawiam obok posążek i gapię się przed siebie, słuchając szumu lekkiego wietrzyka wśród gałązek i liści. Nie mogę oderwać uwagi od krzewu jaśminu obsypanego białymi kwiatami, który urządził

pokaz wiosennej mody obok omszałego pnia dębu. Pozostałą przestrzeń rejestruję biernie. Wszystko płynie obok mnie niczym sekwencje przypadkowych obrazów.

W alejce pojawia się facet na szrudłach. Idzie długim, rytmicznym, bocianim krokiem. Ma na głowie smoliście czarny cylinder, a na nogach czarne trzewiki, przybrane śnieżnobiałymi getrami zapinanymi na guziki. Na szyi szrudłaka wisi ogromny szwajcarski krowi dzwon, dyktujący rytm jego kroków głuchym, dudniącym biciem. Poza tymi rekwizytami człowiek jest zupełnie goły. Mija mnie, nie odwracając głowy. Jakbym w ogóle nie istniał. Widzę, jak mrok alejki powoli pochłania jego plecy i biały tyłek, popaćkane plamami światła. Potem skrywa go całkowicie.

Do mojej ławeczki przyleciał drozd. Przekrzywia łeppek i zagląda mi paciorkowatymi ślepkami w oczy. Nic w nich nie dostrzega, bierze mnie więc za martwy przedmiot i zaczyna spokojnie gwizdać. Płoszy go dopiero jednoosobowa orkiestra. Grajek ubrany w pomarańczowy kraciasty garnitur maszeruje w takt bębna, który dźwiga na plecach. Pałka bijąca w bęben połączona jest z kolanem za pomocą przekładni z drutu. Ręce rozciągają wijącą się jak wąż harmonię. Grajek dmie z całej mocy w trąbkę umocowaną do ramion na stelażu. Jest przejęty, ma nabrzmiałe z wysiłku czerwone policzki, wszystkie siły angażuje w koncert. Tylko że instrumenty są całkowicie nieme. Nie powstaje w nich żaden dźwięk, żadna muzyka. Po chwili grajek także znika w ciemnościach, jakby zasłoniła go aksamitna kurtyna.

Czarny wir pochłania także maszerujące jak zsynchronizowana maszyna cztery dziewczyny ze skórzanymi obrożami na szyjach, spięte ze sobą srebrnym łańcuchem. Są zupełnie nagie, pomalowane każda innym,

krzyczącym kolorem: na żółto, fioletowo, czerwono i niebiesko. Od stóp aż do włosów, posplatanych w setki warkoczyków.

Świat przestaje być realny – już nic mnie tu nie trzyma. Pamięć przywołuje kolejno obrazy z przeszłości, bez cenzury wstydu. Widzę wszystkie starty i lądowania od pierwszego dnia, kiedy dotknąłem sterów „Any”. Może naprawdę bez sensu narażałem ich na śmierć? Ginęli przez moją brawurę i nie mogą mi wybaczyć – byłem zadufanym głupkiem. I ten drugi lot na tratwy. To naprawdę było samobójstwo. Nawet Stani, cierpiący na patologiczny zanik uczucia strachu, zmiażdżył wtedy między zębami ustnik swojej fajki, z którą nie rozstawał się prawie nigdy. Może bali się i nie chcieli lecieć? Zawiodłem też Agnes. Zawsze zawodziłem po kolei wszystkich, którzy mi ufali.

Wiatr szeleści wśród liści. Dźwięk przypomina słowa dalekiej szeptanej rozmowy. Płaskie, szare cienie pni i gałęzi grają ze światłem jak na starych, czarno-białych fotografiach. Wyobraźnia posuwa się o krok dalej, tworząc widmowe zarysy postaci. Zaczynam wyczuwać czyjąś obecność. Nabieram pewności, że ktoś tu jest i obserwuje innie.

– Jesteś tu, Stani? – pytam, przymykając powieki.

– Wszyscy jesteśmy, Hubert. Nawet ten żółtodziób, którego zabili w autobusie w Kalkucie, kiedy jechał na lotnisko – drży szelestem liści słaby głos.

– Nigdy go nawet nie widziałem – odpowiadam cieniom.

– Wszyscy jesteśmy. Tutaj, kapitanie... przy tobie.

– Powiedz mi, Stanisław, czy to prawda, że baliście się ze mną latać?

Szmer cichnie na chwilę. Potem wzmagą się, mocniejszy niż przedtem.

– Kapitanie, służba na „Anie” to było marzenie i zaszczyt

dla każdego z nas.

– Dziękuję wam wszystkim. Dziękuję, chłopaki – mówię, otwierając oczy.

– Żegnaj, kapitanie, pamiętamy – głos cichnie niczym brzęk skrzydeł odlatującego, wiotkiego owada.

•

Słońce wychyla się zza małej chmurki. Ostry blask rozprasza ciemne okna cienia, w których przed chwilą stali moi chłopcy.

Splywa na mnie ulga. Wszystko, co złe, wylewa się czarną strugą, tworząc połyskliwą, cuchnącą kałużę. Żwir alejki wsysa czerń do ostatniej kropli. Unoszę głowę, patrzę na słońce i białe obłoki.

– Jestem, świecie! Znowu jestem i jeszcze trochę pomęczysz się ze mną!

Zaczynam układać nowe plany na przyszłość. Może przyłączę się do ekscentryków? Zostawię na ławce mundur i na golasa, z gałęzią w dłoni będę krążył wśród drzew, nucąc moją mongolską pieśń. No, jak mogą mnie wylegitymować, kiedy będę goły!? Azyl przetrwa przecież jeszcze przez jakiś czas. Dopóki nie wytną reszty drzew na totemy albo dla samej przyjemności niszczenia. Do tej pory sprawa trochę przyschnie. To całkiem niezły plan – ta nagła myśl pociesza mnie.

Alejką zbliża się ubrana na czarno staruszka. W śmiesznym staroświeckim kapelusiku, kupionym zapewne w epoce przedpotopowych marek. Zatrzymuje się koło mojej ławki. Wyciąga z płóciennej szarej torby pokiereszowane skrzypce bez futerału. Powoli zdejmuje z głowy kapelik i kładzie go na ścieżce denkiem do dołu. Staje wyprostowana

jak muzealny eksponat z gabinetu figur woskowych. Skupiona, przyciska do podbródka skrzypce – wyrównuje oddech.

W jednej chwili, szybkimi jak mgnienie oka ruchami smyczka, z całą pasją wywołuje gamę skomplikowanych, wysokich i niskich akordów. Wiekowy porysowany instrument wybucha ognistą kulą sztucznych ogni. Uwalnia wszystkie kipiące żywioły natury, uwięzione w muzyce małego rudego geniusza. Księdza Antonio Vivaldiego. To *Cztery pory roku* w wirtuozerskim wykonaniu.

Z wrażenia zastygam bez ruchu, byle nie uronić ani jednej nuty. Ani śladu frazy.

Wiosna wciska moją jaźń w mydlaną bańkę, niczym szczęśliwą duszę z obrazów Hieronimusa Boscha. Unoszę się w niej ponad światem – i staję się nieskończenie lekki.

Lato, jesteśmy z Agnes na plaży w Sopocie. Leżymy na gorącym piasku, fale szarego Bałtyku załamują się na linii brzegu. Kołyszże nam się w głowach. Wcześniej piliśmy cudowną polską żubrówkę z sokiem jabłkowym. Nagle na jasny piasek pada cień czarnej, gniewnej chmury. Letnia burza z łoskotem spada na wydmy. Słomkowy kapelusz Agnes znika z jej włosów jak zaczarowana czapka-niewidka. Przytuleni do siebie, chowamy się pod koc. Na nasze plecy spadają pierwsze ciężkie, zimne krople ulewy. Czuję lodowaty strumyk płynący po plecach i ciepłe usta Agnes na szyi.

Jesień – jestem spóźniony ponad pół godziny. Biegnę, roztrzając kożuch złoto-purpurowych opadłych liści. A ona czeka na mnie koło naszej fontanny w parku. Dobiegam zdyszany. Kilka opadających liści przykleiło się do jej przeciwdeszczowej żółtej kurtki z kapturem. Jest obrażona, ale na mój widok rozpromienia się i nie ma już siły, żeby

mnie opieprzyć. Idziemy w głąb parku wdychając wilgotne powietrze, pełne aromatu palonych traw.

Teraz stoję przy oknie. Patrę, jak z czarnej przestrzeni wyłaniają się wielkie, podobne do łabędziego puchu płatki śniegu. Wirują, lecą do szyby. Pojawiają się nowe, ciągle nowe – do nieskończoności. Podejmują nadaremne próby sforsowania okna, by dotknąć chłodem mojej twarzy. Jest cicho, zima obdarowuje nas bajkową tajemnicą. Agnes podchodzi i kładzie mi głowę na ramieniu. Milczymy razem, spoglądając z naszego ciepłego, bezpiecznego pokoju w głąb drzemiącej zimowej nocy. Nieskończenie sobie bliscy, próbujemy przeniknąć jej białe sny.

Staruszka kończy solowy koncert. Patrzy na mnie z ciepłym uśmiechem.

Psiakrew, czuję wilgoć w oczach. Żeby ukryć łzy, zaczynam grzebać w kieszeniach. To tylko maskarada. Wiem, że mam sześćdziesiąt pięć centów, których nie mogę jej dać. Nagle przypomina mi się figurka oderwana z pomnika. Pierwszy raz od szalonej ucieczki oglądam ją z uwagą. To piękna ludwisarska robota. Polerowany mosiądz lśni blaskiem prawdziwego złota. Posążek przedstawia tańczącego chłopca, siedzącego na obcasie buta z wysoką cholewą. Drugą nogę ma wyprostowaną. W prawej dłoni ściska cienki gryf trójkątnej mandoliny, lewą przytrzymuje wielką futrzaną czapę. Wyziera spod niej okrągła, roześmiana beztrosko twarzyczka. Wydaje się, że chłopiec to mały Rusek.

Wstaję z ławki i z posążkiem w dłoni podchodzę do skrzypaczki. Kłaniam się, oddając cześć jej kunsztowi. Wyciągam rękę z figurką.

– Proszę, to dla pani. Chcę się odwdzińczyć za Vivaldiego, ale niestety nie mam tyle pieniędzy. Może go

pani sprzedać i kupić trochę żywności albo zatrzymać. Bardzo proszę, żeby go pani przyjęła. Ten koncert był naprawdę piękny. Proszę się nie obrazić, że mogę ofiarować tylko tyle.

– Mój drogi chłopcze, wzruszony słuchacz nie może obrazić artysty.

Bierze do ręki posążek. Przez chwilę nasze dłonie dotykają się, jej skóra jest ciepła i żywa. Zupełnie nie pasuje do zmarszczek i siwych włosów.

– Dziękuję ci, młodzieńcze, od dawna nikt mnie tak nie obdarował. Jaki on ma śliczny nosek... całkiem jak mój Michael, kiedy był malutki. Naprawdę taki sam i te policzki, jak wisienki – jej głos lekko się załamuje.

Teraz kłania się artystka. Natychmiast oddaję ukłon. Ona kłania się znowu i ja także. Przez chwilę śmiejemy się z naszej galanterii.

Staruszka patrzy mi uważnie w oczy.

– Koncertowałam kiedyś w najslynniejszych filharmoniach, nasza orkiestra zwiedziła cały świat. Kiedyś ludzie kochali muzykę mistrzów. Teraz nawet we własnym pokoju nie mogę dawać lekcji. Dlatego gram w tym parku. Drzewa mają duszę, lecz nie mają ust i nie donoszą. A czasami mam nawet prawdziwego słuchacza... jak dzisiaj ciebie. A jeśli kiedyś trafię na tajniaka, to żadna strata. Jestem za stara, żeby się bać. Umrę na scenie za sztukę... to ciche marzenie wszystkich artystów – staruszka znowu uśmiecha się szeroko.

– To nie może być, kiedy zabrania się sztuki, ginie cały świat.

– Nieprawda – śmieje się staruszka. – Wiele razy zabraniano sztuki, a świat trwał w najlepsze. Pewne rzeczy kończą się i następują inne. Wszystko ma swój kres, ich świat

także. Myślę nawet, że skończy się bardzo szybko. Tak szybko, że nie zdąży niczego po sobie pozostawić. Niczego nie trzeba będzie niszczyć, bo nic nie powstanie. Za sto lat ludzie będą mogli tworzyć od nowa, nie zarażeni chorobą zniszczenia.

Chowa skrzypce, smyczek i posążek do płóciennej torby. Podnosi z ziemi swój niedorzeczny kapelusik.

– Kupił mi go mąż, na pierwszą rocznicę naszego ślubu. Od przemytnika. Wydał połowę swojej miesięcznej pensji we wschodnich markach – mówi, jakby czytała w moich myślach. – Bardzo już do niego tęsknię, coraz bardziej. To nawet szkoda, że nie jesteś tajniakiem – dodaje po chwili.

Jestem zaskoczony.

– Przykro mi – odpowiadam jak skończony cymbał.

– Przepraszam, kochany. Wybacz starej kobiecie. Mam na imię Matylda. Mój wnuk był przed zmianami marynarzem, oficerem technicznym na statkach handlowych. Wydaje mi się, że i ciebie spotkał podobny los, młodzieńcze. Nie mów, że jest inaczej. To widać i nie ma się czego wstydzić.

Patrzę na zabrudzone plamami zaschniętych wymiotów czubki moich trzewików.

– Wnuk mieszka teraz na wysypisku w Tetlow, jest pracowity i uparty. Wśród zbieraczy złomu jest kimś bardzo ważnym. Odszukasz go i powiesz, że przysyła cię babcia Matylda. Wszyscy mówią na niego Otto, Otto mechanik. On ci pomoże. Tam można żyć wcale przyzwoicie, zobaczysz sam. Idź do niego zaraz, wiem, że dzisiaj jest na wysypisku. Co drugi dzień ciągną wózki z urobkiem do handlarzy, ale nie dzisiaj. A tego chłopczyka nie sprzedam. Będzie nagrodą za jeden z moich najpiękniejszych koncertów. Grałam dla ciebie i twojej ukochanej, młodzieńcze. Może ona musiała odejść,

lecz nigdy nie przestała cię kochać. Noś ją zawsze w sercu.

– Dziękuję pani, bardzo dziękuję. Jest pani wróżką? – pytam oszołomiony.

– Idź do Otta i nie przejmuj się całym światem. To nic nie da. Nie zmienisz go, tak jak nie ożywisz uschniętego drzewa. I nie wierz w magię... po prostu jestem stara. Dużo widziałam.

Odchodzi wyprostowana. Dumna niczym stara księga, której nikt już nie czyta, ale wszyscy patrzą z szacunkiem na jej niezrozumiałe karty. Stoję chwilę bez ruchu. Rany! Jestem uratowany. Słynne wysypisko! Nikt bez polecenia nie ma szans, żeby dostać się do hermetycznego klanu zbieraczy. W dodatku żaden kapuś z policji czy psyhawioru nie wsunie tam pyska. Chyba że ma dosyć swojego wszawego życia i chce skończyć jako biologiczny surowiec wtórny z ekspresową obróbką. To cud! Godzinę temu byłem zdechłym szczurem, a teraz będę miał pracę! Zapłacę Ragayowi za obiady. Poproszę też kogoś, żeby poszedł do Dagny z listem. Może uda się uratować trochę gratów z mojego spalonego mieszkania. Przecież nie będą pilnować go w nieskończoność. Nie jestem w końcu seryjnym mordercą ani jakimś terrorystą. Teraz muszę uspokoić myśli i zadbać o wygląd. Staruszka rozgryzła mnie od razu. Nie chcę wyglądać jak jakiś przegrany lump.

Otrzepuję marynarkę. Obciążam koszulę. Z niewielkiej kałuży nabieram trochę w miarę czystej wody do przyglądzenia włosów. Teraz buty. Skrapiam je wodą, a marsz po zdziczałej trawie zastąpi szczotkę. Możecie mi wierzyć: wszyscy pracodawcy podczas pierwszej rozmowy najczęściej gapią się na buty. Możesz, chłopie, przyjść w worku po ziemniakach, ale jeśli masz buty lśniące jak psie jaja w upalny dzień – wygrałeś, bracie! Poprawiam efekt kawałkiem łąty z podszewki marynarki i jestem prawie

zadowolony. Ogarnia mnie ogień entuzjazmu i dawno zapomniana duma.

– Pieprzcie się swoimi laurkami, pokrzywione zdziury w maskach! – oznajmiam głośno. Spłoszony drozd ucieka z furkotem skrzydeł. Ruszam różnym krokiem, jest mi prawie wesoło. Powiedziałem: „Nie”, nareszcie to powiedziałem! Nie pozwolę więcej sobą pomiatać. To oni nie mają racji. Zbyt długo łudziłem się, że jest w tym jakiś elementarny sens, usprawiedliwiający to wszystko choćby częściowo. Nie ma. Nie ma w tym żadnego sensu! Jestem ofiarą. Mam prawo bronić się na wszystkie możliwe sposoby. Kto mi powie, że jestem nieistotnym wiórem w tartaku dziejowych, ewolucyjnych procesów – dostanie po prostu w gębę.

Mijam bramę, znowu ogarnia mnie niebezpieczne obce miasto.

•

Wysypisko. Krążą o nim legendy. To *anus mundi* naszej umierającej cywilizacji. Ministerstwo Wszystkich Kultur zwozi tam z muzeów i zbiorów prywatnych dzieła sztuki oraz stare manuskrypty. Pałą je i niszcza, jako wytwór ery kolonialnej i seksualnego rasizmu. Nie wszystko ulega jednak unicestwieniu. Część skarbów udaje się przejąć ludziom z wysypiska. Tó prawdziwe źródło ich potęgi. Amerykanie i Japończycy są gotowi przejść na piechotę przez ocean, żeby kupić choćby odcisk kciuka Cezanne’a i innych. Jest tam także cała masa technicznego złomu. Może z czasem uda mi się z tego sklecić motolotnię. Taaaak! Mały samolocik, przelecę na nim nad Psychawiozem i z góry pokażę babom wała. Takiego jak z Ułan-Bator do Lizbony. Nie zestrzelą mnie, nie mają z czego. Wszystko, co choć z wyglądu

przypominało artylerię przeciwlotniczą, dawno trafiło pod prasy – dodaję sobie ducha.

Zoo zostało daleko za plecami. Wchodzę w sieć uliczek, których zupełnie nie znam. Staram się tylko trzymać kierunek ma Tetlow. Niestety muszę przejść przez kwartały miasta w całości opanowane przez muzułmanów ze wszystkich państw, gdzie rządzą mułlowie i szariat. To niebezpieczne. Ci ludzie nienawidzą nas najbardziej, ale innej drogi nie ma. Musiałbym okrążyć cały Berlin, żeby dostać się tam przez w miarę bezpieczne osiedla Hindusów i Chińczyków. A wszędzie krążą patrole, nie wspominając już o tym, że do wieczora będzie mnie skręcało z głodu. Staram się iść pewnie, zdecydowanym krokiem, z marsową miną. Liczę na to, że mój mundur wywoła odpowiednie wrażenie. Umundurowany białas maszerujący w pełnym blasku dnia przez dzielnicę fanatyków. Na pewno ma jakąś misję i oczywiście niewidoczną obstawę. To się chyba sprawdza, ścigają mnie zaciekawione spojrzenia brodaczy, ale na razie nic się nie dzieje. Maszeruję przez jakieś dwadzieścia minut wśród ludzi i ulic przeniesionych tu jakby wprost z Bagdadu. Z zacienionych bram patrzą na mnie siedzący w kucki starcy. Widzę kobiety przypominające żywe, poruszające się bele burych szmat. Zaskoczeni handlarze baraniny na mój widok przestają na chwilę oganiać od rojów much swój towar rodem z krainy kangurów. Dostają go od rządu gratis i mają dzielić się zyskiem z Państwem. Nie wiem, czy to robią, bo nie wyglądają raczej na urodzonych idiotów. Idę, trochę zaskoczony spokojem. Na razie tylko jeden siedzący na dywaniku starzec wymachuje w moją stronę wyschniętą jak konar ręką. Nie przechodzę jednak na drugą stronę ulicy. Bez okazywania strachu mijam go o dwa metry. Bezżębny staruch pluje mi na nogawkę białą śliną. Jego zmętniałe od żaru

pustyni oczy pałają nienawiścią. Może wcale nie chciał tu przyjeżdżać? Może rodzina oderwała go od ukochanych kóz i przyciągnęła na siłę do Europy, żeby brać jego emeryturę?

Po chwili wchodzę w ulicę usłaną setkami pustych puszek po skondensowanym mleku, które rząd hojną ręką rozdaje nowym obywatelom Europy. Nie wiem, czy urządzają tu mleczne sabaty, czy ekspozycja ma świadczyć o dostatku i zaradności mieszkańców. Największa sterta kolorowych puszek z uśmiechniętą krówką leży pod słupem latarni. Wisi na niej nadpalony manekin ze strzępami amerykańskiej flagi na piersiach. Gdyby tylko wiedzieli, że większość tego mleka sprowadza rząd za ostatnie rezerwy złota właśnie stamtąd. Połowa miasta poszłaby z dymem. Wiem o tym dobrze, ponieważ sam odbyłem kilka kursów z kontenerami masła i mleka z dalekiej Oklahomy. Kurwa! Też bym tak chciał. Chlać amerykańskie mleko i nienawidzić Amerykanów.

Puszki odtrącane moimi stopami toczą się z głuchym brzękiem po chodniku. Hałas przyciąga wzrok kilkunastu par czujnych oczu. Dzieciaki patrzą na mnie z wraków samochodów stojących wzdłuż ulicy. Zaczynają coś wrzeszczeć, jest niedobrze – ogarnia mnie strach.

Arabskie dzieci to najbardziej okrutne drapieżniki Berlina. Zasadzki innych malców to raczej zabawa. Te naprawdę mogą zabić. Zawsze napadają całą gromadą i nie wolno wtedy się bronić, bo natychmiast zatłuką cię w świętym gniewie ich rodzice. Można tylko uciekać. Przypieszam kroku, lecz wiem, że nie mogę biec – to na pewno spowoduje atak. Pocą mi się dłonie. Nie mogę sobie darować, że nie zapytałem staruszki, jak bezpiecznie dojść do ulic, którymi zbieracze wożą swój towar. Słyszę potępieńczy zgrzyt zardzewiałych zamków w drzwiach wraków. Nie oglądam się za siebie, idę jeszcze szybciej, rozglądając się za

drogą ucieczki. Wrzask z tyłu nabiera mocy, przeradza się w hasło do ataku. Już prawie zrywam się do biegu, kiedy z bocznej bramy wytacza się wóz ciągnięty przez chudego, sparszywiąłego konia. Zwierzę wzięło zbyt wielki rozpęd i teraz nie może wyhamować, żeby wejść w zakręt. Wóz zarzuca tyłem, coś z rezonującym łoskotem spada na ulicę. Koń tłucze kopytami po śliskim asfalcie, roztrzając puszki. Na wozie z piramidą mebli, pralek i lodówek stoi w rozkroku wymachujący batem Arab. Co chwila rzemień ze świstem spada na koński grzbiet oraz ściągnięty lejcami do tyłu kark. Koń siada bezradnie na zadzie, krzycząc ludzkim głosem z pyskiem rozdartym wędzidłem. Wściekły Arab tłucze batem już zupełnie na oślep. Dobiegam do konia i łapię za wędzidło przy jego chrapach. Miota się jeszcze bardziej. Jest ślepy od mojej strony i oszołomiony bólem, rzuca łbem jak oszalały. Na szczęście udaje mi się poklepać go kilka razy po mokrej grzywie oraz pod żuchwą. Staram się mówić do zwierzaka spokojnym głosem, dając jednocześnie woźnicy znaki, żeby przestał go wreszcie bić. Arab przestaje, miota tylko jakieś przekleństwa. Koń chrapie ciężko, coraz ciszej i ciszej. Nareszcie uspokaja się trochę i usiłuje podnieść się z jezdni. Arab zeskakuje z wozu, z rozmachu uderza go w zapadnięty bok pięścią. Koń z jękiem dźwiga się na tylne nogi, zwieszając łeb. Jakby zastanawiał się, po co właściwie wstał, zamiast skończyć z tym wszystkim raz na zawsze. Woźnica w brązowym burnusie przygląda mi się przez chwilę. Później dotyka końcem bata mojego ramienia i pokazuje na tył wozu. Otacza nas chmara dzieciaków, jednak on krzyczy na nie groźnie. Zawiedzione, oddalają się na bezpieczną odległość. Zdaje się, że mam na razie ochronę przed straszną gromadką ludzkich piranii.

Za wozem leży na chodniku srebrne aluminiowe pianino.

Teraz rozumiem, o co chodzi. Żaden z jego ziomków bez opłaty nie kiwnie nawet palcem, żeby mu pomóc załadować je z powrotem. Patrzą tylko ciekawie z otwartych okien, zwabieni zamieszaniem. Arab stuka końcem bata w pudło instrumentu. Kiwam głową, myśląc, że będzie musiał je przecież gdzieś wyładować. Zabiorę się z nim i w ten sposób wydotanę się bezpiecznie z tej okolicy. Stawiam pianino na podstawę, jest ciężkie niczym pełen skarbiec Alibaby. Nie wiem, jak wtaszczymy je na wóz. Zwłaszcza że woźnica stoi i ani myśli pomóc.

Pokazuję na skrzynię wozu i pianino, facet mamrocząc coś pod nosem włazi na pakę i spuszcza stamtąd długą, szeroką deskę. Mam po niej wepchnąć pianino, a on złapie je na górze. Zapieram się plecami, skrzynia pianina posuwa się centymetr po centymetrze. Arab wydziera się z wozu, ale nawet nie próbuje złapać za pudło. Pot zalewa mi oczy, pcham uparcie, przekręcając się do przodu – jak zwolnię, pianino zjedzie z powrotem na chodnik. Krzyczę do niego, podtrzymując ciężar ostatkiem sił. W końcu chwyta za pudło i wciąga je na skrzynię. Dyszę ciężko niczym jego skatowana chabeta. Kiedy woźnica zeskakuje z wozu, mówię:

– Tetlow, pomogę ci z rozładunkiem, jeśli jedziesz w tamtą stronę. Rozumiesz, na Tetlow, tam, gdzie wysypisko – powtarzam, pokazując ręką kierunek.

Człowiek mruży coś, wydaje mi się, że się zgadza. Czekam, aż wdrapie się na kozioł. Chcę wgramolić się za nim. Chwytam za dwa żelazne uchwyty, stawiam stopę na piaście koła, drugą na drewnianym stopniu przy burcie wozu. Podciągam się i widzę, jak na moją stopę na stopniu spada ciężki stalowy klucz. Widok jest tak szokujący i niespodziewany, że rejestruję to – ale nie czuję żadnego bólu. Wiszę jeszcze przez sekundę, dopóki dłonie nie puszczają

uchwyty. Później spadam jak granitowy głaz prosto na plecy.

Dopiero kiedy wygięty grzbiet uderza o twarde chodnik, do mózgu dociera paroksyzm bólu. Teraz gna niczym ognisty promień od palców stopy do biodra, kręgosłupa i dalej. Wije się po chodniku jak krojona dżdżownica. Dziki, przesywający spazm odebrał mi nawet głos. Mogę tylko pojękiwać skargą skrzywdzonego zwierzęcia. Męka trwa piekielną wieczność. Stopniowo zmysły sparaliżowane szokiem zaczynają odbierać dźwięk. Słyszę śmiech, rechot i piski wydobywające się z gardeł dużych i małych. Przez załzawione od cierpienia oczy widzę dzieciaki klepiące się po brzuskach i udach. Jeden malec wije się nawet po chodniku, naśladując wiernie moje ruchy. Dorośli, którzy nagle pojawili się nie wiadomo skąd, podrygują w dystyngowanej wesołości. Nie widzę tylko twarzy woźnicy, który stał się nagle bohaterem dnia.

Potężny klucz trafił mnie tam, gdzie palce łączą się ze stopą. Gdyby nie gruba skóra trzewików, zmiażdżyłby je na miazgę. Nie mam pewności, czy delikatne kości nie popękały. Próbuję nimi poruszyć. W tej samej chwili czerwona płachta zasłania mi oczy. Przez chwilę leżę nieruchomo czekając, aż przeminie nowy atak bólu. Woźnica tymczasem trzaska z bata i krzycząc coś do ludzi, rusza. Kilka kobiet żegna bohatera, wydając spod grubych zasłon wibrujące dźwięki. Ludzie znowu śmieją się z udanego żartu. Jestem więc jedynym smutnym facetem na całej ulicy. Do potwornego bólu, powracającego co kilka sekund falą pożaru, dołącza wizja pogotowia z niedouczonymi lekarkami, a później aresztowania z kilkuletnią odsiadką. Postanawiam za wszelką cenę wstać z chodnika. Najpierw na czworaka – długo zbieram siły przed kolejnym ruchem. Potem odbijam

się gwałtownie obiema dłońmi od chodnika i wracam do pionu. Stoję na jednej nodze, utrzymując równowagę dzięki podskokom. Przetracona stopa wisi w powietrzu niczym bolesne wahadło. Zaczynam kicać w kierunku odległej o kilka metrów ściany, gdy nagle jakiś rozbawiony gówniarz popycha mnie w plecy. Staję na bezwładnej stopie. Robię kilka kroków i półprzytomny, opieram się twarzą o chropowaty mur. Dyszę ciężko, gapiąc się na wiszący but oraz rosnącą powoli ciemną plamę na spodniach. Zamykam znowu oczy, wdychając zapach wapna z nieczulej ściany. Uciekam stąd do chłodnych, bezpiecznych piwnic domku babci, gdzie chowałem się przed światem każdego upalnego lata. Ale to nie jest schronienie. Tłum gęstnieje, patrzą na mnie setki oczu, szmer rozmów narasta. Jestem jak zajac we wnykach. Ten tłum będzie się gapił na moją agonię nawet przez kilka dni. Do chwili, kiedy zabije mnie gangrena albo zgarnie muzułmańska milicja.

Obok uderza w ścianę pusta puszką. Następna odbija się od niej z blaszonym brzękiem. Uświadamiam sobie nagle straszną prawdę. Nie zgarnie mnie milicja i nie zabije gangrena. Nie zdażą. Najpierw puszką, później zgniłe owoce, wreszcie polecą kamienie. Nie dociągnę pod tą ścianą do wieczora... na pewno nie. Widziałem już kamienowanych ludzi. Jeżeli tłumowi nie poniosą emocje i oprawcy nie celują zbyt często w głowę, może tylko łamanie kołem sprawia jeszcze większe cierpienie.

Chłopaki, zaraz u was będę. Boję się, ale to tylko jedna chwila i zaraz jestem – staram się opanować. Mam w czaszce płytkę po wypadku na szybowcu. Przeklinałem ją przez całe lata. Przez to świństwo nie mogłem latać na hipersonicznych myśliwcach. Teraz ta płytką jest przepustką do naszej knajpy pod białymi chmurami. Wystarczy, że oprę się na jednej

nodze, ugnę ręce w łokciach i uderzę lewą stroną głowy z całej siły w mur. *Adieu*, bando – nie będziecie mieć zabawy. To ja będę na was patrzył, kiedy zabraknie w końcu darmowego żarcia w całej Europie i zaczniecie polować na siebie. Wtedy przyniosę wam na skrzydłach śnieg, mróz i zarazę. Albo nie. Nie podniosę dla was tyłka ze stołka barowego – pieprzę was!

Uginam łokcie. Jestem spokojny, odchylam do tyłu głowę. Grudki tynku oddalają się jak zapomniane, odległe archipelagi. Biegnie pomiędzy nimi mała czarna mrówka, zbyt zajęta swoimi sprawami, żeby dostrzec moje istnienie. Tylko poczekam, aż przejdzie – niech mała wróci do domu i powie innym o jasnym dniu, jaki widziała na zewnątrz.

Ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Chcesz sobie rozbić łeb? Zaczekaj, i tak niedługo my to zrobimy – mówi po europejsku głos z lekkim tylko akcentem orientu.

Odwracam się. Człowiek ma na sobie śnieżny burnus. Jest wysoki i przystojny, z orlim nosem nad czarną brodą. Patrzy na mnie z dziwnym, jakby cynicznym uśmieszkiem.

– Dlaczego tacy jesteście? Pomagałem wam, wszyscy tu wam pomagali – mówię.

– Jesteś lotnikiem, prawda? Może nas ratowałeś, a może bombardowałeś moje miasto.

Nie odpowiadam, nie mam zamiaru się tłumaczyć.

– To nieważne, nie chcę z tobą rozmawiać, niewierny. Masz przejść do końca ulicy. Jeśli przewrócisz się wcześniej, ja odejdę... to wystarczy. Postawiłem na ciebie dużo pieniędzy. Lecz nie będzie dla mnie wielkim zmartwieniem, jeśli wygra je któryś z moich mużułmańskich braci. Nie życzę ci powodzenia, bo jeśli tam dojdiesz, twoje piekło będzie jeszcze gorsze. Dłużej będziesz tkwił w grzechu.

Jesteście obelgą dla prawdziwego Boga. Ruszaj, przeklęty – kończy, pokazując odległe skrzyżowanie dłonią, z której zwiesza się muzułmański różaniec.

Konam z bólu, ale muszę oderwać się od ściany. Przypominam sobie wszystkie historie z wojen światowych, kiedy ludzie z urwanymi stopami parli dalej w ataku na bagnety. Teraz! Odpycham się od ściany, rozchylam ramiona i stawiam stopę na chodniku. Idę, trzymając się płomiennego blasku dnia niczym zdezelowany robot. Szkło, drut kolczasty, ostrze brzytwy... stopa nie potrafi zdefiniować doznań, więc miesza wszystkie bodźce i zmienia w tętniący cierpieniem koktajl. Obok kłębią się dzieci, ale przez dudnienie krwi w uszach nie słyszę ich krzyków.

– Dante, ty egzaltowana cioto. Weź moją nogę, a zobaczysz, czym jest piekło! – mówię czy też myślę na głos.

Po kilkunastu krokach skala bólu została chyba przekroczona. Popadam w odrętwienie. Teraz plonie we mnie coś, co było dla mnie zawsze obce – straszliwa nienawiść do tych ludzi. Gdybym miał ręczny granat, bez wahania cisnąłbym go za siebie, prosto w te roześmiane gęby. Koniec ulicy zbliża się na szczęście z każdym krokiem. Już widzę każdy szczegół na wózku ciągniętym przez białego osła, kłusującego przez skrzyżowanie. Jeszcze dwie ocienione, wionące chłodem bramy i dojdę tam. Tak bardzo chciałbym usiąść na jezdni... tak bardzo. Królestwo za minutę słodkiego bezbolesnego spokoju! Potykam się, tłum krzyczy. Udaje mi się złapać równowagę. Zupełnie nie czuję teraz stopy, jakbym maszerował na starym drewnianym prawidło. Po jęku zawodu domyślam się, jak obstawiali. Bez wątpienia w tym wyścigu jestem fuksem. Może tylko facet w bieli postawił na to, że doczłapię do mety.

– Dojdę, zarobisz swoje pieniądze – mówię na głos.

A później bez fanfar i wstęgi stoję chwiejnie na skrzyżowaniu.

– Miałem rację, niewierny. Pomagał ci sam szatan, nie mogło być inaczej. Nie wyjawię ci, psie, swojego imienia. Dam ci imię swojego śmiertelnego wroga. Jest potężny, kiedy je wyjawisz, nikt nie podniesie na ciebie kamienia. Nie możesz dzisiaj zginąć, bo twój szatan zemści się na mnie. Dlatego to robię, wieprzoadzie – pieprzy bez sensu zwycięzca w bieli, wciskając mi do kieszeni kartkę z arabskim gryzmołem.

Wyciągam ją, zwijam w kulkę i rzucam na chodnik.

– Jeśli dopadnie cię mój szatan, to masz duży problem. Twoje męki będą liczne niczym ziarna piasku Sahary. Poza tym to moje rodzinne miasto i nie potrzebuję waszej zgody, żeby po nim chodzić – odpowiadam, nieprzytomny z bólu i wściekłości.

– Naprawdę oślepił cię szatan, jesteś głupcem – stwierdza facet i odchodzi, a za nim cały tłum.

Stoję jeszcze przez chwilę. Potem kuśtykam do rogu ulicy, opieram się plecami o ścianę i patrząc w niebo, odpoczywam. Mój instynkt szuka jakiegoś rozwiązania. Cholera, w tym tempie dojdę na wysypisko za dwa, trzy dni. W dodatku przez torsje po ucieczce z komisji straciłem cały zapas wody. Mam zgruchotaną stopę. Zaraz dopadnie mnie osłabiające pragnienie i jestem w środku wrogiego terytorium. Czuję się tu jak umundurowany esesman z tłustą golonką w łapie pod Ścianą Płaczu w Jerozolimie. Może ktoś mi jednak pomoże? Poda wodę lub chociaż jakiś kij do podparcia.

Zaczynam rozglądać się za przechodniami. Nie ma ich tu wielu. Ulica w przeciwieństwie do „mlecznej” jest prawie opuszczona. Pewnie dostali nowe przydziały. Przecież

wystarczy, że zgłoszą władzom petycję o niedogodnych warunkach życia. Widzę dwie kobiety taszczące na głowach wielkie paki z symbolem Europejskiego Centrum Pomocy – wianuszkami ludzików trzymających się za ręce. Defiluje przed nimi grubawy facet w czarnym turbanie. Staram się zwrócić ich uwagę, kiwając głową oraz gestykułując. Szybko odwracają ode mnie wzrok. Inni także omijają mnie, przyspieszając kroku i mruczając coś z gniewem. Pewnie boją się, że szklanka wody dana białasowi wywoła gniew sąsiadów. Ja się nie bałem. Nie wiem, ilu z nich mój olbrzym uratował od głodu i chorób.

– Dobra, nowi obywatele Oświeconej Europy! Dzięki za pomoc! – krzyczę, odrywając się od ściany.

Po kilkudziesięciu krokach, przypominających senny koszmar seryjnego mordercy noworodków, znajduję w końcu kawałek deski. Jest trochę za krótka, ale od biedy może zastąpić łaskę. Teraz z dechą marsz jest o wiele łatwiejszy. Nie muszę opierać całego ciężaru ciała na obolałej stopie. Stukam deską o jezdnię, maszerując najszybszym tempem, na jaki mnie stać. Od kiedy pomyślałem o wodzie, pragnienie męczy mnie coraz bardziej. W dodatku stopa szybko puchnie i przestaje mieścić się w bucie. Niedobrze, jeśli kość jest pęknięta, nie przyjmą mnie do pracy. Pozostanie mi żarcie w śmietniku i nadzieja, że zrośnie się bez zakażenia. Nie wrócę jednak prosić Anaka o pomoc. Tyle dla mnie zrobił, mając głęboko gdzieś opinię swojej klienteli o naszej przyjaźni. Nie mogę także narazić Dagny, a tym bardziej zjawić się na lotnisku. Nie wiem, kto jeszcze ze starej paczki tam został – oprócz Steve’a. To świetny lotnik, ale przy tym niezły cykor. Pewnie zaraz wezwałby karetkę, a później dostałby zawału na wiadomość, że ścigają mnie gliny. To wszystko odpada. Jednak niezależnie od tego, co mnie spotka, nie zgłoszę się

dobrowolnie na komisariat. Jak doczepią mi do resocu sprawę karną za ucieczkę – czyli przynajmniej cztery lata robót – nie będę musiał udawać świra w parku Zoo. Uśmiechnięty lub smutny Hubert Jugenmann z samolocikiem z papieru, zielonym glutem u nosa i śliną w kącikach ust. Koledzy będą wołać: Patrzcie, ten idiota chciał się odlać i znowu nie rozpiął rozporka – myślę, starając się zapomnieć o kompromitującej plamie na spodniach.

Od niewesołych refleksji odrywa mnie odległy jeszcze dźwięk silnika. Dostrzegam w oddali policyjną budę z zielonym półksiężycem, wyłaniającą się z bocznej wąskiej uliczki. Nie ucieknę daleko na obolałej stopie. Padam błyskawicznie na chodnik, przewracam się na prawy bok z dłonią pod głowę. Leżę bez ruchu, upodabniając się do klasycznego zalanego w trupa tubylca. To nam wolno, nawet część przydziału żywności możemy odbierać w wódzie. Możemy upijać się wszędzie. Byle nie w knajpach, gdzie jest tabu – czyli wszystkich – oraz okolicach meczetów, pod groźbą chłosty w szariackim sądzie. Nie widziałem tu meczetu. Mogę więc leżeć choćby do końca kadencji Wielkiej Matki. Buda zbliża się coraz bardziej, podjeżdża do mnie powoli. Słyszę męskie arabskie głosy, nic jednak nie widzę, symulując „białe gały” gościa w delirium. Po chwili z wnętrza patrolowca dobiega głośny śmiech, silnik nabiera obrotów i patrol oddala się. Oddycham z ulgą, moje zmoczone spodnie były dla glin argumentem nie do obalenia. Dały mi zwycięstwo jak poker z ręki. Jeśli nawet zastanawiali się, co tu u diabła robi zachlany autochton, to i tak nie chcieli im się dotykać degenerata, żeby go sprawdzić lub zatrzymać. Dla pewności leżę sobie jeszcze na słoneczku, nie kusząc losu. Z muzułmańską milicją nie ma żartów, z aresztowanym białasem mogą właściwie zrobić, co zechcą, zanim przekażą

go rządowej policji. Często zdarza się, że nie oddają go wcale. Mija mnie obojętnie kilku przechodniów. Po dziesięciu minutach plażowania koło mojej twarzy pojawia się pierwszy szczur. Stoi pół metra dalej, jego wąsiki drżą czujnie, badając otoczenie. Przesłępuje nerwowo na różowych stópkach, wahając się, czy podejść bliżej. Zza jego pleców wyłania się drugi, trzeci podchodzi od strony stopy. Są zdezorientowane, ponieważ nie śmierdzą wodą i nie zalatują rozkładem, w dodatku mam otwarte przytomne oczy. Nie boję się ich. W porównaniu do tych, jakie widziałem w Indiach, te gryzonie to niegroźne karzełki.

Pierwszy szczur podchodzi bliżej. Ludzkie wargi i nos, kawior i ostrzygi szczurzego wykwintnego stołu, to pokusa silniejsza od strachu. Kiedy zwiadowca jest prawie na odległość buziaka, dmucham mu w pysk. Ucieka z piskiem, reszta zamiera w wyczekiwaniu. Małe czy nie, nie chcę mieć takiej maskotki w nogawce. Pora wstać. Wtedy dostrzegam dwu chłopców w burnusach. Byli w gromadzie, która chciała mnie zlinczować. Chowają się za stertą pralek dwieście metrów w głąb ulicy, tam, skąd przyszedłem. Śledzili mnie przez cały czas. Postanawiam nie przejmować się nimi. To tylko dwóch szczeniaków, zwyczajna zabawa w detektywów, nic więcej – tłumaczę sobie.

Idę dalej. Wszędzie piętrzą się wyrzucone przez okna potrzaskane meble, wanny i ścienne telewizory. Wiele domów nosi ślady pożarów, w żadnym nie ma ani jednego całego okna. Porozbijane szyby lśnią niczym diamenty w czarnej oprawie wypalonych mieszkań. I te sterty ogryzionych baranich kości, które leżą dosłownie wszędzie, tworząc barykady grozy. Lśnią wśród nich wygotowane na zupę czaszki owiec i kóz, niczym po uczcie wielkiej armii Hannibala.

Ród nomadów opuścił swoje stare zużyte pastwisko i przeniósł się na nowe tereny. Może do Wiednia lub Berna czy Pragi – kto wie? To bez znaczenia. I tak autochtoni już nie mogą tu powrócić. Autonomia muzulańska nie przewiduje zwrotów. Gdzie raz rządził szariat, niewiernemu nie wolno plugawić powietrza dłużej niż przez siedem dni. A nie widziałem jeszcze takiego, który chciałby w takim miejscu przebywać dłużej niż piętnaście minut.

Pragnienie pali mnie coraz bardziej, ale boję się wejść do opuszczonych mieszkań w poszukiwaniu działającego kranu. Jeżeli ktoś tu został i zobaczy, jak wchodzę bez niczyjej zgody do domu muzulmanina, mogą mi całkiem legalnie odrąbać prawą dłoń.

Po chwili do udręki pragnienia i rwącej stopy dołącza nowy cios. Tabliczki, których nikomu nie chciało się zerwać, są tylko po arabsku. Po starych, z łacińskimi nazwami ulic, pozostały jedynie jaśniejsze plamy na tynku. Serce tłucze mi się z niepokoju – zabłądziłem! Jestem stąd, ale nigdy nie znałem dobrze tej części miasta. Zresztą po ukończeniu szkoły średniej w ogóle rzadko tu bywałem. Studia w Madrycie. Później przez całe lata prowizorka tam, gdzie nowe lotnisko, aż do ślubu. Rodzice żyli od lat w swoim idyllicznym domku pod Golssen. Mieszkali tam, dopóki nie zabrała ich zmutowana ebola, przywleczona z Togo przez wolontariuszy, którym pomagali zbierać odzież dla Afryki. Służby sanitarne zniszczyły chemikaliami domek wraz z ogródkiem. Sprzedałem później działkę z odkażoną ruiną i razem z Agnes zamieszkaliśmy w odległej części stolicy. W tej dzielnicy byłem może dwa razy w życiu, dwadzieścia kilka lat temu. Starając się trzymać kierunek na Tetlow, wchodzę na osiedle z niższą zabudową urozmaiconą pojedynczymi ogrodzonymi willami. Pytanie o drogę nie ma

sensu. Jeśli ktoś w ogóle zna tu europejski, i tak nie odpowie. Mogę za to tylko dostać po gębie. Mija mnie właśnie muzułmańska rodzina z Pakistanu, mężczyzna łypie groźnie. Za nim maszerują okręcone szczelnie w bure gałgany jego kobiety. Szybko odwracam głowę. Gdybym patrzył na nie o sekundę za długo, mąż mógłby rzucić się na mnie z nożem. Idąc ze wzrokiem wbitym w parkan, potykam się o krawężnik. Ból ze spuchniętej stopy wbija mi w kręgosłup niczym rozżarzony pręt. Jęczę przez chwilę, znowu ogarnia mnie wściekłość.

– Macho w portkach z kalesonów grubej Berty! Wolałbym przelecieć rolkę papy niż te twoje kociaki – syczę i wtedy przypomina mi się ostatni papieros.

Grzebię nerwowo w kieszeni. O w śmigło! Jest, nawet się nie złamał. Znajduję też kilka zapalek przyklejonych do kartonika z napisem: NIE PIJ MLEKA! ODDAJ SZKLANKĘ MALCOM! Pod hasłem zagłodzone dziecko wyciąga chude rączki. Pocieram zapalką o draskę i nic. Druga bucha smrodliwym dymkiem i to wszystko, na co ją stać. Kolejne zachowują się rozmaicie. Jedne budzą nadzieję zielonym błyskiem, z innych fosfor osypuje się niczym stary tynk. Konam z niepokoju, zostały tylko dwie.

– Mały, kiedy zarobię na wysypisku, kupię u Etiopczyków cały litr. Oddam go do Komitetu. Tylko nie wypij go od razu, bo dostaniesz skrętu kiszek – obiecuję dziecku, z trwogą przykładając ostatni łeppek do draski.

Bucha płomieniem! Przypalam papierosa i znowu staję się człowiekiem. Patrzą na niebieską chmurę unoszącą się w ciepłym powietrzu. Niczym dzinn uwolniony z moich płuc, przenika przez dżunglę liści bluszczu pnącego się po parkanie. Lekko kręci mi się w głowie. Uwielbiam palić. Gdyby nie Wielka Matka i szaleństwo świata, pewnie

skonałbym na raka w naszej lotniczej klinice w Karlovych Varach. Wszystko jest względne. Nigdy nie wiemy, czy los nas krzywdzi, czy próbuje ratować sposobami, które nas przerażają – dumam, zaciągając się dymem.

W głębi ulicy dostrzegam znowu dwóch chłopców. Mam ogon, nie opuścili mnie. Moją uwagę przykuwa jednak coś innego. Ulicą nadjeżdża żółta ryksza. Gna na złamanie karku, podskakując na dziurach w asfalcie. Kolarz ciśnie pedały, jakby ktoś cygarem przypalał mu tyłek. Teraz widzę, że to mokry od potu biały. Zaciągam się nerwowo papierosem. Kiedy rozpedzona ryksza zbliża się na dziesięć metrów, wychodzę na jezdnię i podnoszę rękę, jakbym chciał zatrzymać taksówkę.

– Kolego, jak na Tetlow? – pytam, wyciągając szyję.

Rykszarz unosi spocone czoło.

– Odpierdol się! – krzyczy zdyszany.

Widzę jeszcze czarną, upierścienioną dłoń jego pasażera uniesioną w niecierpliwym geście i ekspres pokazuje mi swój tył, ozdobiony numerem pojazdu w otoczce napisu: „Baza Cho-tay”.

– Dzięki, stary – mówię cicho, dopalając papierosa.

Może przestraszył się tej deski? Trzeba było rzucić ją pod parkan – podpowiada mi z nadzieją wewnętrzny głos. Nie, po prostu był złamanym kutasem – odpowiadam mu, ruszając w dalszą drogę.

Papieros ukoił nerwy, lecz wzmógł pragnienie. W ustach czuję gorzki, suchy smak, pieką mnie oczy. Stopa pulsuje jednostajnie, jakby tam przeprowadziło się zażenowane tym wszystkim serce. Muszę jakoś ją ochłodzić, inaczej chyba rozerwie but. Jeżeli go zdejmę, już nie da się go założyć. Będę musiał maszerować w skarpetce, a to jest jeszcze gorsze. Przez chwilę zastanawiam się czy się na nią nie odlać.

To sprawdzona metoda. Zresztą i tak śmierdzący uryna. Podejmuję już ekstremalną decyzję, kiedy z dalekiego świata słyszę niewiarygodny okrzyk:

– Wodaaaa! Wodaaa!

Słucham z niedowierzaniem.

– Pieprzona fatamorgana ma płodne dni, więc suka kusi wędrowców – mówię na głos.

Jednak okrzyk nie jest mirażem. Rozbrzmiewa jeszcze raz, głośno i wyraźnie. Następnie ten sam przeciągły ton w innym języku, później jeszcze w innym, dla spragnionego to nieistotne. To hasło jest zrozumiałe dla wszystkich. Jak słowo „matka”, jak ład dla marynarza po długim rejsie wśród wichrów i burz. Woda! Moja deska postukuje w szalonym rytmie, staram się kuśtykać na pięcie. Wchodzę w ciemny zaułek, zavalony piramidą automatów do gier liczbowych. Po chwili wychodzę na ulicę, której wylot zasłania sterta opon. Za wrakiem spalonego autobusu dostrzegam źródło okrzyku – chłopca.

Jest bardzo drobny. Trudno powiedzieć, ile ma lat, może dziewięć, a może dwanaście? Do pleców ma przytroczoną na grubym powrozie wielką glinianą amforę z miedzianym kranikiem u dołu. Z ucha amfory zwiesza się żelazny łańcuszek z kubkiem. Te amfory świetnie chłodzą wodę, mają jednak wadę – są cholernie ciężkie. Chłopiec jest Europejczykiem. Dlatego wołał po francusku i niemiecku oraz w zniekształconym języku Unii. Ugina się pod ciężarem glinianego naczynia. Na zapadniętej piersi, w koszulce z napisem: „Dywany Alego”, ma drewnianą półeczkę ze skrętami haszyszu lub innego gówna. Chłopiec stoi u wylotu bramy, której strzegą dwa ryczące u jej sklepienia lwy z herbami Luksemburczyków. Z jej wnętrza gapi się na mnie trzech siedzących na piętach facetów w białych burnusach.

Nie pytam o cenę, nie pytam o nic. Łapię za kubek i niczym z odwłoku jakiegoś owada, toczę do kubka przezroczysty płyn. Chłodna woda, ożywczy pokarm Matki Ziemi wypełnia moje łąpczywe usta. Pierwszy haust rozlewa się po brodzie i marynarce. Krztuszę się. Opanowuję zachłanność i piję teraz powoli, bez pośpiechu.

Rozkosz kończy się na widok odrapanego dna kubka. Muszę mieć jeszcze jeden, by ochłodzić spuchniętą, rozpaloną gorączką stopę. Wyciągam dłoń do kranika. W tej chwili mały odwraca się twarzą do mnie. Zatacza się lekko, gdy wzburzona woda w amforze wytrąca go z równowagi, kołysząc drobnym ciałem na boki.

– Najpierw zapłać – żąda chłopiec.

– Dobrze, masz dwadzieścia centów. Dziesięć za ten i biorę jeszcze jeden kubek – odpowiadam, grzebiąc po kieszeniach.

– Trzydzieści za jeden – pada z bramy w całkiem niezłym europejskim.

To facet w czerwonym zawoju, robi wrażenie szefa interesu. Wysokość kwoty oszałamia mnie. Mam wszystkiego sześćdziesiąt pięć centów, zostanę bez grosza.

– Jak to trzydzieści za jeden? Tyle kosztuje butelka gazowanej mineralnej – odpowiadam zdziwiony.

Dyrektor amfory bawi się różańcem z pestek granatu, cedzi, nie patrząc na mnie:

– A co myślisz, białasie? Wszyscy widzieli, jak pijesz w porządnej firmie. Teraz ten kubek musimy wymienić. Nikt po tobie nie weźmie do ust wody z parszywego kubka.

Jestem wściekły, chociaż od początku spodziewałem się zaczepek.

– Słuchaj, synu pustyni. Tyle to mogła kosztować woda w namiocie twojego dziadka. My tu mamy jej jeszcze sporo,

nawet wy nie zdołacie wypić jej całej. Daję trzydzieści za dwa kubki i ani centa więcej – odpowiadam w miarę opanowanym głosem.

Ta riposta chyba wywołała jakiś skutek, chłopak nie protestuje, a oni milczą, kiedy napełniam naczynie. Polewam stopę wodą. Ulga jest natychmiastowa, ból co prawda nie mija zupełnie, ale spada o kilka kresiek na mojej skali cierpień. Wyciągam z kieszeni trzy dziesiątki i daję monety chłopcu.

Chcę odejść stąd jak najszybciej. Odwracam się, ale to nie koniec – bałem się tego.

– Ty, biały, zapłać za wodę. Wtedy możesz iść – zatrzymuje mnie głos z bramy.

– O co wam chodzi? Przecież zapłaciłem. Nie pieprzcie mi, że tego nie widzieliście.

– Widziałem, jak dajesz napiwek chłopakowi, a zapłatę przyjmują ja. I tylko ja – mówi spokojnie facet w zawoju.

Zatyka mnie.

– Słuchaj, nie dałem się oszukać nawet na bazarze w Marakeszu. Więc i ty nie próbuj. Szanuj swoje prawa, synu pustyni. Dostałeś pieniądze, trzydzieści centów – mówię, czując wzbierający strach i gniew.

Jest ich trzech, a ja jestem sam z przetrąconą stopą. Facet w zawoju dźwiga leniwie tyłek z pięt, pozostali podnoszą się także.

– Chłopak jest mój, bo zapłaciłem za niego. Ale ma prawo brać napiwki, żeby się wykupić... to jego forsa. Szanuję swoje prawa, biały obdartusie... masz zapłacić sześćdziesiąt centów i wynoś się stąd – cedzi przez zęby.

To, co słyszę, jest tak niewiarygodne, tak niesłychane, że nie mogę znaleźć słów. Stoję, kiwając się na zdrowej nodze, próbuję złapać oddech. Słowa wzbierają jak mętna,

wzburzona woda. Nagle gniew przerywa tamę. Nie panuje nad sobą.

– To niewolnik? Co ty bredzisz, wielbłądzi ryju? Jesteś, kurwa, w Europie! A nie na swojej zapchlonej pustyni... wypieprzajcie stąd ze swoimi prawami. Tu jest cywilizacja, ciemna bando! – krzyczę jak oszalały, wbijając paznokcie w drewno deski.

Następuje coś, czego zupełnie się nie spodziewałem. Beduini ryczą ze śmiechu.

– Chłopiec powinien być w szkole! – wykrzykuję, nie dbając już o to, że mogą mnie zabić. Tylko dołałem paliwa do ognia. Teraz po prostu ich skręca. Berber w zawoju nawet nie przejął się śmiertelną obrazą, klepie się ze śmiechu po udach. Nie jestem dla niego mężczyzną ani w ogóle człowiekiem. Jego kumpel z lewej, okryty chustą w czarną kratę, z trudem kleci zdanie, przerywając i krztusząc się ze śmiechu.

– Białe w szkule, białe w szkule... być świnia w haremie – rozbawia kolegów.

Ten z głębi bramy pokazuje palcem na moje spodnie.

– Patrzcie, tu jest cywilizacja i szcza się w spodnie. Brudne gównojady pieprzą w śmietnikach swoich ojców.

Dalej gada coś po arabsku, chwytą ich nowy atak ryku. Mam na twarzy płomień, przez ciało przebiegają gwałtowne dreszcze.

– Dosyć – szef podnosi do góry rękę.

Milkną w ciągu sekundy. Beduin podchodzi do mnie, zatrzymuje się w przyzwoitej odległość. Mówi, jakby przemawiał do wypełnionego po brzegi wychodka.

– Teraz masz zapłacić sto euro. Jeżeli mi je dasz, za obrazę obetnę ci tylko jęzor. Rozumiesz?

Chłopiec szybkim ruchem nogi wykopuje mi nagle deskę z ręki, ledwo udaje mi się utrzymać równowagę.

– Co tak się gapisz, białasie? Wyciągaj portfel, bo oprócz jęczora za każdą brakującą dziesiątkę obetnę ci jeden palec – cedzi, podchodząc coraz bliżej.

Bez pośpiechu wyciąga z fałd burnusa półmetrowy oksydowany hadżar. To moje ostatnie chwile, to musiało kiedyś w końcu przyjść. Już się nie boję... ogarnia mnie lodowaty spokój. Facet jest dwa metry przede mną, drugi zachodzi mnie od lewej strony. Wszyscy chłopcy w niebie będą się ze mnie nabijać, jeśli dam się zarznąć Arabom jak baran. Mój umysł przełącza się na polecenia dyktowane przez czysty instynkt. Ramię wypełnia siłą, jakby było wspomagane kilkoma innymi. Bez żadnego ostrzeżenia walę jak piorun prosto w uśmiechnięty pysk – z całą mocą strachu, upokorzenia i bólu. Beduin pada bezwładnie jak szmaciana lalka. Leży wyprostowany z hadżarem w ręku. Widzę jego owłosione łydki i szare gacie do kolan. Rzucam się na jego kumpla, który nie próbuje nawet się bronić. Okładam go obiema pięściami jak oszalały, dopóki jego twarz nie zmienia się w krwawą masę. Moja ofiara zaczyna popiskiwać jak przetrącone szczenię, pada na kolana. Chcę go rozszarpać, ale nie mam już sił. Gonię uciekającego na czworaka, dopóki brocząc krwią ze zmasakrowanej twarzy, nie zrywa się do oślepego biegu.

Wstaję z kolan, ociekając śliną i barbarzyństwem. Ból sprawia mi nieskończoną rozkosz.

Pozbawiony resztek człowieczeństwa, pragnę jednego: rozerwać gardło ostatniemu gnojowi. Berber w bramie wywraca oczy niczym bezgłówny cień rodem z niemego kina. Przywarł rozwartymi ramionami do muru, jakby chciał wtopić się w cegły. Siny od szoku, bełkoce coś, jakby zobaczył pustynnego dżinna zemsty.

– Nie, kapitanie! – słyszę nierealny głos Staniego.

Stoję szalony, obszczany i straszny. Rozglądam się po jasnym świecie. Dopiero twarz dziecka zwraca moją uwagę. Dzieciak zamiera z przerażenia, gdy zrywam z jego ciała konopne sznury. Gliniana amfora pęka, woda tryska srebrzystą strugą. Obmywa moje stopy i splukuje smugi czerwieni wąwozami szarego bruku.

Trzymam wąż dłoń dziecka w mojej. Poprzez papier cienkiej skóry wyraźnie czuję, jak łopocze jego ptasie serce. Mając przy sobie chłopca, mówię jeszcze do faceta w bramie:

– Pozbieraj swoich koleżków i zapamiętaj: tu nie ma niewolników. Wyoście się z powrotem do siebie, wielbłądojebcy, razem ze swoim jaskiniowym prawem.

Odwracam się i idziemy dalej. Ja i mój syn, którego tak pragnąłem mieć. Stopa zaczyna znowu mnie rwać i nie mam swojej deski. To nic, teraz mam na kim się oprzeć. Podnoszę głowę.

– Dzięki, chłopaki – mówię, patrząc na dachy domów. Rozpiera mnie radość, chce mi się śpiewać. Muszę teraz szybko nawiązać kontakt z dzieckiem.

– Nie bój się, mały, zajmę się tobą. To byli źli ludzie, wykorzystywali ciebie... a ty musisz pójść do szkoły. Jak się nazywasz? – pytam go.

Chłopiec milczy przez kilka kroków, przelęknięty, podobny do schwytej w sidła przepiórki.

– Stanisław – odpowiada z powagą w głosie.

– Jak? Naprawdę, to nie do wiary.

Wstrzymuję oddech. W podnieceniu przyglądam się jego umorusanej twarzy. Ma wielkie stalowoszare oczy i falujące włosy koloru zbrązowiełej, spalonej słońcem trawy. Brak tylko fajki w zębach i lotniczego szalika. Jak mogłem od razu nie zauważyć?

– Wiesz, Stani, miałem kiedyś przyjaciela, który miał na

imię tak samo jak ty. Najlepszego przyjaciela.

Mały zadziera głowę, patrzy mi w twarz. Nagle jego wzrok ucieka w bok. Nagłym, niespodziewanym szarpnięciem wyrywa swoją dłoń z mojej. Odwracam się. Jak na zwolnionych kadrach widzę faceta w bramie. Unosi do ramienia karabinek z odciętą lufą – tryska z niego długi, pomarańczowy jeźzor ognia. W moją łopatkę rąbie z potęgą kamiennej maczugi coś szybszego niż myśl. Dostrzegam tylko kręcące się okna domów i już nic więcej.

•

Stoję na dachu letniskowego domku moich rodziców, do ramion mam przywiązane sznurkami skrzydła z tektury. Macham nimi, czując opór powietrza – jest tak silny, że na pewno uniesie w przestworza ciężar mojego ciała. Wtedy będę tam, wysoko, gdzie jeszcze nikt nigdy nie dotarł.

W oddali majaczy tajemnicza, skłębiona zielenią ściana lasu, za nią jezioro. Zobaczę z góry wszystko, co leży na dnie, poprzez błękit jego tafli. Jest tam statek piratów – cały wypełniony złotem i drogocenną bronią. Tylko trzeba wypatrzeć jego wrak. Chcę mieć srebrną szpadę, chcę mieć hełm z pióropuszem i parę nabitych pistoletów. Muszę tylko dolecieć.

Przed domkiem stoją rodzice – jacy oni maleńcy.

– Huberciku, synku! Stój spokojnie na górze, błagam, nie ruszaj się. Zaraz przyjedzie straż pożarna z drabiną. – Matka patrzy na mnie ze złożonymi dłońmi, chyba płacze, jak zwykle wszystkie dziewczyny.

– Złaż zaraz, gówniarzu! Jak cię dorwę, tyłek odpadnie ci od kości! Słyszysz, baranie!?! Złaż zaraz albo ja tam wejdę. – Tatuś miota się w śmiesznych podskokach po podwórku, ale

nie wchodzi na dach.

Jestem kimś cholernie ważnym. Czuję na sobie spojrzenia sąsiadów, a przede wszystkim Claudii z sąsiedztwa. Najpiękniejszej dziewczyny w całej okolicy. Pięknej i niedostępnej. Claudia patrzy z lekką pogardą na mój wyczyn. Jeśli nie skoczę, jestem na wieki stracony. Zaczynam szybciej młócić skrzydłami i robię krok w przepaść. Najpierw powoli, po sekundzie szybciej i szybciej nieuchronnie zbliża się zielona murawa. Jest twarda jak skała, boli mnie noga. Znowu unoszę się w górę, ktoś bardzo silny niesie mnie na rękach. Słyszę rozgorączkowane głosy.

– Co koleżanka wyprawia? Głębiej ciąć, głębiej, kochana... tak, jak mówiłam na wykładzie. Spała koleżanka? No mówiłam, głębiej i szybciej. Narkoza przestaje działać. Dać jeszcze porcję... albo nie. Przywiązać obiekt. Zbadamy przy okazji bodźce szokowo-obudzeniowe.

Porażający ból rozlewa się po moich nogach i pośladku. Ojciec bije mnie po gołym tyłku nie jak zawsze paskiem od spodni, tylko rozżarzoną do czerwoności stalowym pogrzebaczem.

– Tato, nieee! – krzyczę, zapadając na powrót w ciemną otchłań niepamięci.

Jak rozbitek kurczowo trzymam się dziurawej boi świadomości. Co jakiś czas głowa wynurza się z odmetów prawiecznego snu. Widzę wtedy oślepiający blask i zjawy w zielonych maskach z przezroczytymi przyłbicami, pochylone nad moją twarzą. Światło oznacza ból. Plecy, gardło, nogi, boli mnie wszystko. Nie chcę widzieć tego światła. Znow muszę uciec w bezpieczną ciemność. Czasami słyszę z głębi mojego schronienia jakieś głosy. Nie obchodzą mnie, ale pragnę przed nimi uciec. Słucham bezwolnie dźwięków sączących się niczym przez ścianę z waty.

– Koleżanki, lekcja czterdziesta piąta: transplantacja nerki. Dajcie tamtą. Zaraz je zamienimy, przygotować instrumenty. Sungei! Myjesz ręce od pół godziny, gdzieś ty wcześniej grzebała, dziewczyno?

Z letargu wyrywa mnie podniesiony głos.

– Zaraz, pani doktor. Czy ten pacjent wymaga transplantacji? Czy ten zabieg jest niezbędny do ratowania życia? – pyta stanowczo.

– A co pani do tego? To moje zajęcia, ja tu decyduję, kogo operować i po co. Kim pani w ogóle jest? Proszę natychmiast stąd wyjść!

– Nazywam się Ada Witte. Jestem adwokatem i urzędniczką kancelarii sprawiedliwości przy biurze Pani Prezydent. Ten człowiek nazywa się Hubert Jugenmann i jest moim klientem.

Zapada cisza.

– To, co tu wyprawiacie, to zbrodnicza wiwisekcja. Czy pani zdaje sobie sprawę z konsekwencji? Chce pani udawać, że umie leczyć trędowatych na Nowej Gwinei? Proszę bardzo. Załatwię pani przeniesienie jeszcze dzisiaj.

– Ależ, koleżanko, mam pozwolenie na prowadzenie zajęć dydaktycznych na dowolnym materiale. Poza tym to tylko profilaktyka. Zamiana nerek dobrze robi obiektom, proszę mi wierzyć. Jest dla materiału zupełnie nieszkodliwa – tłumaczy prosząco pierwszy z głosów.

– Nowa Gwinea to nie jest ostatnia propozycja. Ma pani słuchać, a nie gadać od rzeczy. Natychmiast przygotować pacjenta do transportu. Zostanie przewieziony do szpitala Ministerstwa Równej i Powszechnej Sprawiedliwości. Proszę także o kartę z opisem wszystkich zabiegów, jakie dokonano na panu Jugenmannie... w trakcie tych waszych zabiegów dydaktycznych. Wie pani doktor, kim był Hipokrates?! – pyta

wzburzony głos.

– Hitlokrates? Tak, słyszałam o takim, ale dokładnie nie pamiętam. To chyba był jakiś szowinistyczny rasista – płacze się przerażony głos numer jeden.

– To nie ten. Do karty delegacyjnej załączymy informację. Na Nowej Gwinei w ośrodku Gordenu będzie pani uczyła personel salowych, kim był Hipokrates. Od chwili przyjazdu jest pani doktor ich szefem.

– Koleżanko, dlaczego? – błaga głos.

– Chcesz wyłądownać na Szpicbergenie? Stul pysk, idiotko!

•

Coraz częściej odzyskuję przytomność – światłu nie towarzyszy jednak ból. Powoli mija strach przed przebudzeniem, coraz częściej otwieram oczy. Na razie mogę patrzeć tylko na sufit i ramię kropłówki. Zwisa z niej woreczek wypełniony przezroczystym płynem. Liczę krople spadające do mniejszego zbiorniczka, przy dwudziestej zawsze zasypiam. Pewnego razu budzę się z postanowieniem, że już nie będę ich liczył. Tym razem postaram się zobaczyć coś więcej. Po wielu wysiłkach, kiedy udaje mi się poruszyć prawie bezwładną szyją, dostrzegam mały czerwony przycisk na wysokości twarzy – i znowu pochłania mnie mrok. Teraz, kiedy otwieram oczy, pamiętam o przycisku. Próbuję do niego sięgnąć, ale ramię przypomina staroświecką dętkę, z której spuszczone powietrze. Dłoń opada na prześcieradło przy każdej próbie naciśnięcia guzika. Dopada mnie mdląca fala snu, umieram po raz setny.

Znowu świt, nie wiem, ile minęło czasu. Dzień? Może tydzień lub rok? Koncentruję się i od razu bez przygotowań

unoszę rękę – przycisk wydaje cichy pisk. Gdzieś w oddali słyszę wibrujący sygnał.

Słyszę otwieranie drzwi i szmer cichych kroków. Pojawia się nade mną uśmiechnięta dziewczęca twarz, zwieńczona śnieżnobiałym czepkiem.

– Dzień dobry, panie Jugenmann, nareszcie się pan obudził. Witamy na najszcześniejszym ze światów – zęby dziewczyny lśnią bielą, oczy promieniają troskliwym ciepłem.

Mówi coś jeszcze, ale nie pojmuję sensu słów wypływających jak potok z uśmiechniętych ust. Dopiero po chwili dociera do mnie treść tej uroczej paplaniny.

– A to się pani mecenas ucieszy, zaraz ją zawiadomię. A pan niech tu nie zaczyna tańczyć na łóżku. Jest pan jeszcze bardzo słaby, proszę leżeć spokojnie. Za dwa, trzy dni wyciągniemy z ptaszka cewniczek i będzie pan znowu siusiał jak wszyscy chłopcy, na stojąco.

Boję się, że pielęgniarka uspi mnie swoim świergotem. Uspokajam oddech, wpycham do krtani powietrze.

– Gdzie... gdzie ja jestem?

– I niech pan na razie tyle nie mówi. Jak wróci pan do sił, to sobie jeszcze nie raz poplotkujemy. Najlepiej na nocnym dyżurze, wtedy większość personelu jest w domu. Jest bardzo spokojnie i cicho. A ci, którzy tu są, śpią jak Budda w czasie oświecenia. Ja wierzę w starą wiarę, ale czytałam o tym... wie pan, oświecenie. Iluminacja jest, kiedy nie musimy rozmawiać, tylko nasze umysły porozumiewają się ze sobą. Jak koleżanka z koleżanką i z całym kosmosem i najmniejszym robaczkiem po reinkarnacji. Bo był, dajmy na to, panią dyrektor w ważnym gabinecie na stanowisku. Musimy koniecznie tego spróbować.

Jestem pewien, że dziewczyna zapomniała o moim

pytaniu. Zmuszam jeszcze raz zdrewniałą krtań do wysiłku.

– Powiedz... gdzie jestem? – chrypię z trudem.

– Ale z pana gaduła. Jest pan w najlepszym szpitalu w całym mieście, należącym do Ministerstwa Równiej i Powszechnej Sprawiedliwości. To nowoczesna klinika rządowa z dyplomowaną kadrą. A ja jestem siostra Elza Barwicki i opiekuję się panem od dwu tygodni. Zdążyłam już pana polubić, prawie jak mojego tatę. Mam jeszcze małego braciszka i mamę. Mieszkamy przy placu Wolnych Od Głodu Narodów i mamy dwa duże pokoje z widną kuchnią. Tam jest nawet balkonik. Hodujemy na nim krzaczki pelargonii, które codziennie podlewa braciszek albo tata. On nie ma pracy... ech, co zrobić. No bo ja mam często długie dyżury i mogłyby uschnąć... teraz takie upały. Ale i tak lubię swoją pracę i jak powiedziałam, pana też.

Dziewczyna nie milknie nawet na moment, majstrując przy kroplówce i poprawiając mi pościel. Ja także ją polubiłem, lecz jej słowa zaczynają zlewać się w bezsensowną kakofonię dźwięków, męczą mnie. W duchu modłę się, żeby powróciła czarna chmura snu. Na szczęście nie czekam zbyt długo.

Mam już swój sen, dostałem od spokojnej nocy potworną, duszącą zmoreę:

Jestem nagi, otacza mnie wyjący tłum o strasznych, poblźnionych twarzach. Biją mnie na oślep tysiącem dłoni, popychają w stronę czarnej bramy z wieżą najeżoną blankami. Ktoś wciska mi w dłoń krótką drewnianą pałkę. Brama powoli otwiera okute miedzią podwoje. Ręce krzyżującej ludzkiej masy wpychają mnie w ciemną czeluść. Uciekając przed ciosami, wbiegam do środka, na dziwną, wysypaną piaskiem ulicę. Otaczają mnie miniaturowe domy, najwyżej czterometrowej wysokości. Tłum rzuca we mnie

kamieniami, a kilku strażników w skórzanych hełmach popycha mnie do przodu długimi drągami, zakończonymi rozdwojonym tęnym grotem. Zaczynam biec ciężkim krokiem, stopy grzęzną w miękkim piasku. Ulica krzyżuje się z następnymi w nieskończonym labiryncie groteskowych budowli. Nagle z domów zaczynają wpełzać martwe noworodki, setki trupów. Czołgają się w moją stronę. Pokryte ropiejącymi strupami, syczą jak węże, wysuwające spomiędzy bezzębnych czarnych dziąseł żółte widlaste języki. Zbliżają się, pełznąć niezdarnie na wzdętych rozkładem brzuchach. Widzę ich pionowe źrenice, zatopione w mętnych od zielonkawej zgnilizny oczach. Krzyczę ze wszystkich sił.

– Jugenmann! Hubert! Hubert! Obudź się! – domaga się ktoś, szarpiąc mnie za ramiona.

– Siostro! Elza, szybciej – głos wzywa kogoś.

Wynurzam się z mary jak z lepkiej smoły, chwytając z trudem powietrze. Ktoś delikatnie ociera mi pot z czoła.

– O Boże, co te suki z nim zrobiły. Wykończę te kurwy co do jednej – słyszę znajomy kobiecy głos.

Przemykam z ulgą oczy, kiedy zamiast bestii z głębi koszmaru widzę pochyloną nade mną kobietę o ciemnych, falujących włosach. Patrzy na mnie z niepokojem dziwnymi, ciemnozielonymi oczami, przypominającymi szmaragdy z zatopionymi ziarnami maku. W jej głosie brzmi szczerą troską.

– Elza, daj mi jeszcze jeden wacik i podaj porcję środka usypiającego. Masz ten, zaaplikuj go na moją odpowiedzialność.

Coś mnie lekko szczypie w ramię..

– Jak pan się czuje, kapitanie? – pyta kobieta, ściskając moją dłoń.

Kapitanie? Zaraz zacznę mnie przesłuchiwać. Na razie udaje dobrego policjanta. Za chwilę mnie przyciśnie – myślę, zaciskając w pięść lewą dłoń.

– Kapitanie Jugenmann, niech pan odpowie. Czy mnie pan rozumie? – nalega kobieta.

Patrzę na nią przez szparki powiek.

– Miałem straszny sen. Nie sen, zmoreę. Jestem słaby, bardzo słaby... nie mogę zeznawać – wykręcam się, pojękując słabym głosem.

Twarz kobiety przybliżyła się jeszcze bardziej do mojej. Czuję zapach jej kosmetyków, bardzo drogich, jakich nie czułem od lat.

– Kapitanie, przez długi czas podawano panu silne narkotyki, stąd letarg i te złe sny. Tu jest pan bezpieczny. Nazywam się doktor Ada Witte, jest pan pod moją opieką. Teraz zaśnie pan bez żadnych koszmarów, proszę się nie bać.

Słyszę jej głos i oddalam się od niego, jakby moje łóżko odjeżdżało gdzieś do cichego cienistego ogrodu. Jeszcze z daleka docierają do mnie słowa:

– Elzo, jest siostra osobiście odpowiedzialna za kapitana. Od dziś mieszka siostra w szpitalu. Tylko lekarz prowadzący, którego wyznaczę, ja i ty możemy wchodzić do tego pokoju. Zaraz pomogę umyć kapitana, kiedy tylko zaśnie. Pamiętaj, Elza, nikt inny nie ma prawa go dotykać.

– Dobrze, proszę pani – słyszę jeszcze dziewczęcy głos i po chwili otula mnie ciepły, jasny sen.

•

Kiedy się budzę, jestem wypoczęty i świeży. Obok łóżka siedzi na krześle z wysokim oparciem ta sama kobieta. Jak ona się nazywa? Ada... tak, Ada Witte. Kobieta ma

przymknięte powieki, zwieszoną głowę, ciemne włosy przycięte do połowy policzka zasłaniają twarz. Ubrana jest w ciemną garsonkę, na nogach ma pończochy w dyskretny wzorek. Nie jest zagłodzoną, chuderlawą pięknnością, jej pełne kształty wyglądają kusząco. Mogłaby się bardzo podobać, gdyby nie była „od nich”. Wyczuwa mój wzrok, unosi głowę i uśmiecha się lekko.

Na jej twarzy zmęczenie odcisnęło swój ślad, widzę podpuchnięte oczy oraz lekkie nitki zmarszczek w kącikach ust i na skroniach. Chyba przyjechała o świcie albo siedziała tu przez całą noc.

– Dzień dobry, kapitanie. Cieszę się, że pana widzę, wygląda pan zdecydowanie lepiej – mówi i robi coś dziwnego: delikatnie kładzie swoją dłoń na mojej. – Nareszcie poznałam dowódcę słynnej „Any”. Wśród lotników krążą o was legendy. Nawet jeżeli połowa z nich to fanfaronada, reszta i tak wystarczy. Byliście najlepsi z najlepszych.

Teraz lekko ściska moją dłoń. Alarm dzwoni we mnie niczym kościelny dzwon. Przesłuchiwały kumpli, chcą zrobić ze mnie kapusia! Wszystko wypłynie, nasza cygarowa kontrabanda, czachy Ragaya, wszystko! Muszę zmylić trop i pójść w zaparte.

– Nie gwałciłem swojej żony, pani doktor. Do tego w zwisie mam tylko dziesięć centymetrów – podkreślam z przekonaniem.

– W zwisie? Nie rozumiem, kapitanie – pyta zdziwiona, unosząc brwi. Teraz jest bardzo ładna, ale muszę pamiętać, co się tutaj szykuje.

– No członka, pani doktor.

Kobieta uśmiecha się. Unosi dłoń, która leżała na mojej, i odwiecznym kobiecym gestem poprawia włosy.

– Kapitanie, jest pan bardzo skromny... to oznaka rycerskości – uśmiecha się łobuzersko. – Hubercie, czy mogą tak do ciebie mówić? – pyta, jakbym miał prawo do odmowy. Przyzwalająco kiwam głową.

– Hubert, wyobrażam sobie, jakie pranie mózgu przeszedłeś w czasie tych wszystkich komisji kwalifikacyjnych. Przyjmij do wiadomości, że nic, ale to absolutnie nic nie obchodzi mnie te wszystkie bzdury. Przy mnie nawet o tym nie myśl. Nie jestem learką ani psychologiem. Mam stary doktorat prawa dobrej, renomowanej uczelni. Jestem twoim adwokatem z urzędu i będę cię bronić przed sądem. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że czeka cię proces karny – mówi, podając mi szklanekę z sokiem.

W tej chwili przypominam sobie o całym łańcuchu zdarzeń, w jaki zaplątałem się tamtego dnia. Nie wiem tylko, czy ta kobieta wie o wszystkim.

– Trochę tego jest – bąkam, nieskończenie zdziwiony, że do takiego zera jak ja zgłosił się adwokat i to nie byle jaki. Coś mi tu nie pasuje.

– Tak, ciąży na tobie kilka poważnych zarzutów. Nie chcę jednak teraz o tym rozmawiać. Jesteś jeszcze zbyt zmęczony i czas tak bardzo nas nie goni. O linii obrony porozmawiamy później, już nad tym pracuję. Zapewniam cię, że zgłosiłam się sama do tej sprawy... na pewno niczego nie zaniedbam. Na razie możesz spokojnie wracać do zdrowia. Mam duże doświadczenie zawodowe. Jest jeszcze coś, o czym musisz wiedzieć. Nie jestem zwyczajną panią adwokat, jakich w Europie są teraz setki tysięcy. Jestem urzędniczką kancelarii Pani Prezydent. Reprezentuję konkretnie gabinet prawny wiceprezydenta, pani Dorothy Muslih. Dla mnie i najbliższych koleżanek Dodo.

O mało nie oblewam się sokiem. Ale wdepnąłem! Za co, za danie dwóm Arabom po łbach? Kręci mi się w głowie. Ona jest od samej Dodo! Ukochanego męża Wielkiej Starej. Ta obsceniczna lesba Dodo to druga osoba w państwie. Baba trzęsie połową Europy, ma nieograniczone wpływy i absolutną władzę. Jeden kaprys tego przyznanego brylantyną hegemonia w nieodłącznej dwurzędowej marynarce powoduje przesiedlenie z kąta w kąt całych narodów lub budowę kolejnej gigantycznej wytwórni ozonu, do której i tak nikt nie podłączy prądu. Ponieważ jednocześnie niszczy się elektrownie atomowe. Urodziny Dodo to globalne święto sadzenia drzew i siania trawy. Nie dalej jak trzy miesiące temu, stojąc o świcie w kilometrowej kolejce po kartki na przydział żywności, sam wpadłem w łapankę zastawioną przez hycli świętującej Dodo. Bydlaki z Hiszpańskiego Legionu Kochanków i policjantki upchnęli nas jak śledzie na odkrytych ciężarówkach. Jechaliśmy w zacinającej lodem mżawce przez dwie godziny. Ja miałem szczęście. Stałem na przodzie, skulony za transparentem z wielkim portretem solenizantki. Inni mogli schronić się tylko za plecami kolegów. Wyglądali jak chore ptaki: półprzytomni, miotani dreszczami, których nie mogli opanować. Dotarliśmy w końcu na jakieś mroczne zadupie. Tam podzielono nas na pilnie strzeżone grupy i zagnano do roboty. Ja i inni dostaliśmy wiązki jakichś burych, dawno uschniętych badyli, które próbowaliśmy sadzić na kamienistej hałdzie czarnego, twardego jak skała gruzu. Zanim przyjechała z kamerami ekipa „Kroniki sukcesów i entuzjazmu”, spędziliśmy na hałdzie dwie doby. Oblazły mi wszystkie paznokcie i przez tydzień nie mogłem wyprostować pleców. Do dziś nie rozumiem, w jaki sposób wywinąłem się od zapalenia płuc. Zwłaszcza że wracaliśmy stamtąd na piechotę, konając z

głodu, porzuceni wśród marcowej śnieżycy. Tylko z tym kojarzy mi się ta pieprzona „caryca z kutasem na szelkach” – Dorothy Muslih.

– To ci na razie powinno wystarczyć. Masz jakieś pytanie, Hubercie? Tylko jedno, bardzo proszę.

– Pani doktor – zaczynam, ale ona przerywa mi niecierpliwym gestem.

– Hubert, będziemy się teraz często spotykać. Proszę, mów do mnie po imieniu. Po prostu Ada.

– Dobrze, Ada. Jestem zaskoczony tym wszystkim. Ten szpital... Pamiętam, że dostałem postrzał w plecy, a boli mnie wszystko. Nawet tyłek. I dlaczego podjęłaś się tej obrony?

Znowu mi przerywa, łapiąc za rękę.

– Proszę, nie teraz. Wszystko ci wyjaśnię za kilka dni. Na razie mogę powiedzieć, że interesujemy się tobą od pewnego czasu. Trochę nam namieszałeś w planach swoimi wyczynami, ale to jeszcze nic straconego... masz po prostu taki charakter.

Teraz lekko spuszcza głowę i ucieka wzrokiem.

– A tamto miejsce, gdzie byłeś, to nie był szpital, tylko Akademia Medyczna. Uczyły się na tobie przeszczepów skóry, usunęły migdałki i szykowały się do ćwiczeń z transplantacji nerki. Znalazłam cię w ostatniej chwili. – Widzi moją minę i szybko dodaje: – Na szczęście rana postrzałowa była przelotowa i czysta. Nie eksperymentowały na niej, prawie się już zagoiła.

– Chłopiec? – pytam krótko.

– Szukamy go, kiedy go znajdziemy, będzie pod dobrą opieką. Koniec pytań, Hubert, musisz wrócić do sił. Nie myśl o tym wszystkim. Proszę – mówi z lekkim naciskiem.

Podnosi się z krzesła, obciąża spódnicę. Jest naprawdę bardzo kobieca. Nawet pociągająca.

– Zaraz Elza przyniesie prawdziwy obiad. Możesz pożegnać się z kropłówką. Jeszcze coś, dobrze, że mi się przypomniało. Elza to kochana, pracowita i uczciwa dziewczyna ze starej katolickiej rodziny, którą sama utrzymuje. Ale ty masz wracać do zdrowia. – Przez chwilę szuka czegoś w eleganckiej torebce. – Proszę kapitanie, to prezent. Znam dobrze Elzę.

Podaje mi małą kapsułkę. To higroskopijne wojskowe stopery. Przewodzą dźwięk alarmów komputerowych, ale nie częstotliwości ludzkiego głosu. Może pieprzyć ci do woli pijany w sztok pasażer, który nagle wdarł się do kabiny pilotów – a ty, chłopie, nie słyszysz ani słowa. Jestem tej dziwnej kobiecie ogromnie wdzięczny.

Szybko zakładam stopery. Zatycki są prawie przezroczyste, Elza na pewno ich nie zauważy.

Ada i siostra mijają się w drzwiach, wymieniają jakies uwagi na temat tacy niesionej przez Elzę.

Za chwilę taca ląduje na moim stoliku. Porcyjki są maleńkie, ale wszystko jest świeże i zabójczo pachnące. Elza śmieje się, nakładając na talerzyk porcję wołowiny z ryżem. Mówi przez cały czas, ale oczywiście nic nie słyszę. Rozkoszując się smakiem prawdziwych potraw, patrzę na siostrę.

Od czasu do czasu ze zrozumieniem kiwam głową, okazując szczerze zainteresowanie jej wywodami.

Obserwowanie dziewczyny, kiedy się jej nie słyszy – to czysta przyjemność.

Elza jest młoda i śliczna, porusza się z gracją tancerki. Po posiłku rozmarzam się. Poczucie bezpiecznej sytości oraz obecność młodej, pachnącej konwaliowym mydełkiem kobiety robią swoje. Kiedy poprawia mi poduszkę, widzę jej małe opalone piersi z nabrzniętymi sutkami koloru

dojrzałych brzoskwiń. Kurczę, cholerny cewnik! Zamykam prędko oczy. Mój głos dudni wewnątrz czaszki, nie wiem, czy głośno mówię, czy też krzyczę.

– Siostrzo, trzeba wyjąć ze mnie tę rurkę.

Elza potakuje główką, jak zwykle długo komentuje moją prośbę. Później przytyka mi do ramienia automatyczną strzykawkę, zasypiam po kilku minutach.

Kiedy się budzę, do okna zagląda blady księżyc, na budziku jest wpół do czwartej. Sprawdzam natychmiast stan „podwozia”: przeklęty piesek zniknął.

– Elza, drogie dziecko, jesteś w opałach – mruczę zadowolony.

Zaraz postanawiam wysikać się po ludzku i przy okazji przeprowadzić zwiad. Wyciągam z uszu zatyczki, zapalam małą lampkę w budziku. Koło łóżka stoi para nowych kapci.

Boję się pierwszego kroku, ale ból stopy to na szczęście tylko przykre wspomnienie. Czuję tylko mrowienie w stawie skokowym, natomiast tyłek i łydki pieką jak jasna cholera. Po pierwszym chwiejnym kroku odzywa się jeszcze rana postrzałowa, ale można jakoś wytrzymać. Wyliżę się z tego, to już moja trzecia. W lotnictwie transportowym nabiera się pod tym względem sporego doświadczenia.

Cicho otwieram drzwi, nigdzie żadnych wart. Długi, ginący w półmroku korytarz jest pusty. Po kilkunastu krokach mijam jedyne oświetlone miejsce – dyżurkę. Przy małej nocnej lampce, w głębokim fotelu śpi Elza. Podwinęła nogi, głowę oparła o szerokie oparcie. Twarz ma spokojną i słodką – to jednak jeszcze dzieciak. Wstyd mi teraz za moje kosmate myśli. Jak najciszej, żeby jej nie zbudzić, ślizgam się narciarskim krokiem w kierunku niebieskiego światelka w głębi. Światelko wskazuje wejście do łazienki. Wciskam

przycisk i drzwi z cichym sykiem chowają się w ściany. Łazienka wygląda jak pałac królowej Szeherezady, nikiel, marmury i chrom. Ściany ozdobione są fantastycznymi mozaikami, przedstawiającymi zaczarowane ogrody. Wśród drzew obwieszonych owocami fruują bajeczne rajskie ptaki oraz ogromne motyle. Piękna równość w sprawiedliwym społeczeństwie. Wystrój tego kibla musiał kosztować tyle, co cała sala operacyjna miejskiego szpitala. Załatwiam się na marmurową ściankę, po której spływa niewidzialna warstewka pachnącej wody.

Jestem w rozterce. Nikt mnie nie pilnuje, mogę spokojnie zwiać. Tylko jak daleko ucieknę w szpitalnej piżamie? Nie wiem nawet, gdzie jestem. Luksusowy szpital dla uprzywilejowanych może znajdować się kilkadziesiąt kilometrów od miasta. Elżę mogą przywozić do pracy samochodem z jej mieszkanek. Resztę personelu także. Nie wiem, jaki jest naprawdę mój stan zdrowia. Może padnę i wykrwawię się gdzieś w przydrożnym rowie po godzinie marszu? A jeżeli mnie złapią, stracę obrońcę z potężnymi koneksjami.

Jest jeszcze coś – to, co powiedziała Ada. „Byliście najlepsi z najlepszych, to wystarczy”. Do czego ma wystarczyć? Zamach? Kontrabanda przez ocean? Zostają. Może to jest jakaś szansa – postanawiam po namyśle.

Wracam do pokoju, myślę o tym wszystkim, patrząc na różowiejące niebo.

A rano jak zwykle przychodzi Elza. Ada nie zjawia się przez dwa dni, telefonuje tylko kilka razy.

Czuję się coraz lepiej, zwłaszcza kiedy udało się okiełznać gadatliwość siostry. Świat ludzi głuchych jest straszny. W stoperach nie można wytrzymać zbyt długo, wpadłem więc na pomysł, żeby mi czytała. Wybrałem

Cervantesa. Jego dziwaczny, nieugięty, walczący z niezachwianą wiarą rycerz zawsze bardzo mnie wzruszał. Elza nie potrafi czytać na głos, ale potrafi przeżywać i nawet pochlipuje nad książką, czego nie byłby w stanie zagrać żaden zawodowy aktor. Powieść w jej wydaniu staje się rzeczywistością. Te dwa dni są piękne. Za oknem kipi wiosna, a my razem z niedorzecznym, zakochanym szlachcicem przeżywamy jego nieziemską miłość.

Trzeciego dnia o ósmej trzydzieści rano, jak co dzień, dostaję bułeczki z dżemem, do tego kakao i coś nowego – oprawione w półprzezroczysty plastik gazety. Jem śniadanie, patrząc z zaciekawieniem na mojego opiekuńczego anioła. Elza zachowuje się dziwnie. Przycupnęła na stołeczku obok łóżka, z nogą założoną na nogę... i milczy. Unosi twarz, wlepiając we mnie rozanielone spojrzenie. Dostrzegam jej dyskretny makijaż. We włosy wpięła nową spinkę, delikatne płatki uszu ozdobiła maleńkimi kolczykami podobnymi do błękitnych kolibrów. To chyba szczyt jej wyobrażeń o wyzywającym wyglądzie. Jej długie, opalone na miodowy brąz nogi kontrastują z oślepiająco białą krótką spódniczką. Nagle przymyka oczy, odchyła głowę. Słońce kładzie jasny refleks na jej twarzy i szyi, zmieniając profil dziewczyny w linie antycznego marmuru. Wypręża ciało, opiera się dłońmi o skraj stołka i jeszcze bardziej odchyła się do tyłu, prostując powoli nogi. Przeciągam wzrokiem po jej lśniących, gładkich, lekko rozłożonych udach – aż do ich spojenia. Dostrzegam trójkątny zarys ciemnej bielizny. Zaraz – to wcale nie jest bielizna! Elza nie ma na sobie majteczek. Zaskoczony jej pięknem, płoszę się jak młokos. Uciekam wzrokiem, spoglądam na teczkę z gazetami. Serce przestaje mi bić tylko po to, żeby w ciągu sekund zmienić się w pneumatyczny młot. Drży mi ręka, kiedy odstawiam kubek,

żeby otworzyć teczkę.

Patrzę zamarły na wielką fotografię z tytułowej strony gazety. Reporter wycelował obiektyw w otwartą platformę ładunkową „Any”. Zamarłe w kadrze małe, skulone postacie z tobołkami wbiegają do ładowni transportowca. Ja stoję odwrócony bokiem, patrząc na wylot dyszy silnika. Stani obok mnie gapi się prosto w obiektyw. Stary drań trzyma w gębie swoją fajkę. Lewą rękę trzyma zwieszoną malowniczo na temblaku, owiniętą bandażami. W czarnej furażerze, spod której zwiesza się na czoło pukiel włosów, wygląda zupełnie jak ranny kondotier.

To Laos – straszny lot.

Pół godziny wcześniej z zarośli pobliskiej dżungli jakiś porąbany gówniarz otworzył do nas ogień z kaemu. Trafił kilku cywili, w tym dwuletnie dziecko. Oberwali też Stani i Gruby Ben, oficer ładunkowy. Ben sam założył sobie opatrunek nad biodrem. Twierdził, że nic mu nie jest, nie chciał się położyć na noszach. Pilnował ładowni, siedząc na krześle. Po starcie stracił przytomność. Zmarł kilka dni później w szpitalu w Europie.

Zanim biorę do ręki następną gazetę, mówię martwym głosem do siostry:

– Elza kochanie, wybacz mi... ale muszę pobyć chwilę sam.

Elza oblewa się rumieńcem i cichutko wychodzi.

Kolejne płachty papieru, akcje, loty, starty i lądowania. Strach, śmierć, przemoc i krew. Afryka, Azja, Indie. Prymitywne lotniska wyrabane maczetami na pogorzeliisku dżungli. Sypki piach pustyni ubity ręcznymi walcami jak za czasów faraonów. I przerażone twarze ludzi, którym szalone, chaotyczne wojny bez przyczyny, bez początku i końca odebrały wszystko – oprócz zwierzęcego instynktu ucieczki.

Setki, tysiące przerażonych istot czekających na chwilę, kiedy ciemne wnętrze ładowni naszego olbrzyma wybawi je od ciosu maczety, od napalmu, głodu i bólu.

Biorę do ręki kolejną, to tygodnik „Tech”. W środku jest artykuł o naszym przelocie z Omaruru w Namibii do Kadyksu, za który dostałem Złote Śmigło. Jedno ze zdjęć ma przewijacz, naciskam strzałkę.

Mikroskopijne procesory ożywiają obraz. Stani pokazuje ustnikiem fajki spalony silnik, wyglądający niczym czarna okopcona beczka po smole. Przechodzi kilka kroków, wskazując na ogon. Kamera podąża za ruchem jego ręki. Z dumnego, sięgającego na cztery piętra, pionowego steru „Any” został tylko zdewastowany kuper, dwie trzecie normalnej wysokości. Resztę odrąbała seria z szybkostrzelnego przeciwlotniczego działka. Sam płat steru trzymał się jakimś cudem na ostatnich łożyskach. Stani drapie się po czuprynie, pokazując kamerzyście dziesiątki dziur od odłamków artyleryjskich w kadłubie, jakie zaliczyliśmy na lotnisku i w czasie startu. Na koniec kopie w strzępy opony jednego z czterech kół lewego rzędu podwozia. Przewijam zdjęcie kilka razy, niestety w tygodnikach dźwięk działa tylko przez kilka miesięcy. Nie mogę usłyszeć jego głosu.

Nie było mnie tam wtedy. Zachlewałem się w kasynie na umór, próbując zapomnieć o dzieciach w ładowni. Gaz bojowy zrobił z nich nieme, wijące się, bezkształtne strzępy cierpienia. Te poranione odłamkami w trakcie startu na pewno nie poczuły bólu nowych ran. Nie mogło już bardziej ich boleć.

Tam, gdzie trwała wojna, strzelali do nas prawie zawsze. Jakby ci na ziemi nie mogli darować ewakuowanym, że ktoś próbuje ująć z życiem z piekła, które sami stworzyli.

Prawie nie zauważam, kiedy do pokoju wchodzi Ada.

Siada bez słowa. Nie chce mi przeszkadzać.

Następna gazeta otwiera drzwi do przeszłości. Czuję na twarzy żar ogromnego białego słońca. W nozdrza wdziera się smród kościotrupich zjaw, nie mających nawet siły, żeby umrzeć, leżących w równym szeregu aż po horyzont. Słyszę brzęk milionowej chmury much, wypasionych na setkach tysięcy trupów. Nasz pierwszy lot do krainy cichej, pokornej śmierci, witanej bez krzyku samym gasnącym powoli wzrokiem. Etiopia – masowe wymieranie wszystkich mieszkańców. Głód, jakiego tu jeszcze nigdy nie było. Szok w kraju, gdzie śmierć tysięcy była zawsze normą, o której nie wspomina się nawet w mediach.

Stani siedzi na workach z ryżem. Jest wyczerpany, jego oczy straciły blask. Na powiekach i koło uszu roją się dziesiątki much. Nawet ich nie odpędza. Patrzy jak ktoś, kto odjeżdża na zawsze i pogodzony z nieuchronnym rozstaniem nie widzi sensu, żeby się jeszcze ludzić. Dłonie położył na kolanach, nieodłączna fajka wystaje mu z kieszeni kombinezonu. To chyba jego ostatnie zdjęcie. Oglądając je teraz, jestem pewien, że już wiedział.

– Kto to? – przerywa ciszę Ada.

– To twój najlepszy z najlepszych. Stanisław Basti, mój drugi pilot. – Odkładam gazetę na stertę innych. – Jeśli w niebie mają porządne kasyno, gdzie piwo podają panienki w topless, to Stani powinien dostać miejsce przy samym barze.

– Na pewno mają – zapewnia mnie z przekonaniem Ada.

Słyszac to, otwieram się przed tą dziwną kobietą.

– Byliśmy najlepszymi kumplami. Właściwie rodzonymi braćmi, przez całe sześć lat. W bazie na Cyprze drugi pilot z „Szybkiej Loli” pękł po tym, co zobaczyliśmy w Etiopii. Chłop spił się jak kot. Nie mogli lecieć i Stani zgłosił się do nich na ochotnika... my mieliśmy wtedy trzy dni wolnego.

Przy lądowaniu w wąwozie Udu wpadli w burzę pyłową. Lądowali poza przygotowanym terenem. Wszyscy zginęli.

– Tobie się udało – mówi cicho Ada.

– Tak, lądowałem na tym klepisku kilka dni później, już z nowym drugim. Kiedy wyszedłem z kabiny, podszedł do mnie nagi szkielet chłopca. Miał na głowie nadpalony hełm Staniego. Kable wisiały mu prawie do pięt. Dzieciak wyglądał, jakby w nim mieszkał. Pierwszy raz w dorosłym życiu rozplakałem się wtedy przy ludziach.

– To było mistrzowskie lądowanie, czytałam o tym w raporcie – przerywa mi.

– Starty i lądowania pomiędzy górami, w nieznanym terenie zawsze są trudne. Ja w dodatku miałem nowego drugiego.

Sięgam znowu po kubek. Chcę się opanować, ale wspomnienia z Etiopii wracają z kolejną falą wzruszenia.

– Wiesz, Ada, dewizą skrzydła było: „Wleć do tyłka Lucyfera, jeśli ktoś tam na ciebie czeka.” Ale te loty do Etiopii, nie wiem, czy miały sens. Ta garść ryżu, jaką udało nam się przywieźć, i tak lądowała w magazynach szefów lokalnych band. To, co dostali głodujący, tylko przedłużało ich agonię. Co może zmienić jedna porcja ryżu? Raz ze stu pięćdziesięciu osób, jakie zabraliśmy na pokład, połowa zmarła w trakcie lotu, przez szok spowodowany samym ruchem. Z pozostałych prawie wszyscy zmarli już w Europie.

– Nie możesz w to wątpić, Hubert. Daliście im nadzieję, pokazaliście, że nie są sami. To jest ważniejsze od ryżu – przerywa mi.

– A światu czyste sumienie – mówię, wyrываяc z gazety zdjęcie Staniego. – Lotnicy nie lubią zdjęć, przynoszą pecha. Dlatego fotografii z przyjacielem i załogą miałem tylko kilka.

Ada milczy przez chwilę.

– Mogliśmy bardziej pomagać im na miejscu. Kluczem była edukacja, ale wszyscy w miarę wykształceni chcieli stamtąd tylko uciec. Pewnych problemów nie da się rozwiązać w prosty sposób – mówi zamyślona.

Kładzie dłoń na mojej, już nie obawiam się tego gestu.

– Zebrałam te gazety w archiwach. Chciałam żebyś sobie przypomniał, kim byłeś ty i twoi przyjaciele.

Ośmielam się i zamykam jej dłoń w mojej. Jej skóra jest chłodna i delikatna, nie zabiera jej.

– Dobrze pamiętam, kim byłem. Chociaż ostatnio mam przez to masę kłopotów – odpowiadam.

– To dobrze, że pamiętasz – mówi, wysuwając dłoń. Wyciąga z torebki papierośnicę. Zapala srebrną zapalniczką w kształcie delfina wonnego damskiego papierosa. Aż mnie skręca z pożądania. Muszę jakoś zbałamucić Elżę, żeby, kurczę, zdobyła dla mnie chociaż jednego.

– Niezła z ciebie szycha, skoro palisz w szpitalu – dopiekam jej.

– Masz rację, całkiem niezła – odpowiada z udawaną oschłością, wypuszczając błękitny dym w stronę okna.

– Nie wiedziałem, że media tak się nami interesowały. Nigdy nie lubiłem prasy i afer. Widziałem w życiu zbyt wiele zła, żeby jeszcze przejmować się złodziejami z rządu. Agnes także za tym nie przepadała. Nie miałem w domu albumu z wycinkami.

– Byliście gwiazdami dzienników i doniesień prasowych. Najlepsi z najlepszych.

– To dziennikarskie bzdety. Inne załogi były równie dobre, u nas wszyscy byli najlepsi – przerywam tę chwalbę.

– Dobrze, więc może szum powstał na skutek waszych innych wyczynów – mówi, nachylając się do mnie. – Na przykład jak to było, Hubercie, z panem prezydentem Syjamu

Południowego? – pyta, ledwo skrywając uśmiech.

Domyślam się, że dobrze zna tę historię. Może tylko bez bliższych szczegółów.

– Mam nadzieję, że to nie będzie wykorzystane przeciwko mnie? – pytam.

– To żart w złym guście, kapitanie. Proszę, opowiedz mi.

– Pan prezydent, którego nazwiska nie wymienię, to była niepospolita szmata i bydlę. Łajdak kradł całe dostawy z pomocy międzynarodowej. Pacyfikował wsie podejrzane o sprzyjanie opozycji, jeńców torturował sam. Kiedyś widzieliśmy, jak policja wypędziła z jednego domu wszystkich mieszkańców. Biedacy nie wywiesili jego portretu w rocznicę zwycięskich wyborów. Gliniarze ustawili kilkanaście osób w szeregu. Myśleliśmy, że ich aresztują, ale policjanci spędzili wszystkich sąsiadów skazańców i dali im swoje drewniane pałki. Kazali im bić tamtych, dopóki katowani byli w stanie ustać na nogach. Po tym przedstawieniu cała nasza załoga postanowiła solidarnie złamać zakaz mieszania się w lokalne sprawy i wręczyć bydlakowi specjalny prezent. Wieczorem mieliśmy odbyć lot kontrolny po przeglądzie. Wiedzieliśmy dobrze, w której rezydencji przebywa. Był tam trzy godziny wcześniej nasz mechanik zastępujący kierowcę starego, który coś tam załatwiał. Po cichu załadowaliśmy naszą niespodziankę. Później na niskim pułapie, z silnikami ustawionymi na wyciszony ciąg, nadlecieliśmy nad jego korty tenisowe i dokonaliśmy zrzutu.

– W raporcie napisali o kontenerze z odpadkami z kuchni – przerywa mi Ada.

– Skąd, to był wypełniony po korek plastikowy kibel z naszego lotniska. W dodatku podenerwowany zrzutowy pomylił się i palnął w jego basen akurat w trakcie kąpieli tego

gnoja. Sracz pękł i zrobił falę jak małe tsunami – wyznaję jej całą prawdę.

Ada skręca się ze śmiechu na stołeczku.

– Mogliście go zabić tym kibelem – krztusi się, podrygując w kolejnym ataku chichotu.

– Mała szansa, prezydent miał metr pięćdziesiąt w cylindrze, a basen był wielki – uspokajam ją.

Ada nie wytrzymuje, jej śmiech wypełnia cały pokój, od czasu do czasu udaje jej się coś powiedzieć.

– Mały gnojek w wielkim gównie... to wspaniałe! Jak kaczuszka w wannie. A później, co było później... chcę wiedzieć!

– Stary chciał nas rozstrzelać. Ale ktoś przytomny przezornie schował jego pistolet, a wszyscy inni właśnie swoje pogubili. Staremu potem przeszło i zabrał nas na ostrą wódkę. Następnie wkroczyła niezawodna dyplomacja. Rozumiesz, ta świnią dużo na tym zarabiała i potrafiła się dzielić. Plan dostaw trzeba było realizować i tak. Sprawa przyschła, przenieśli nas tylko do Birmy. A tam każdy przywoity birmański wieśniak wychodzi na swoje opiumowe poletko z własną artylerią. Chłopi mają kierowane na anomalie ciśnienia atmosferycznego, koreańskie rakiety przeciwlotnicze. Zabawkę nosi się pod pachą jak parasol. Cudo nazywa się „Szumiącym, ucieleśniającym słowa wszystkich mędrców, podniebnym poematem jaskółek nad rzeki Jalu...” lub, kurwa, jakoś tak. Patent i prototypy dali im oczywiście Amerykanie. Po naszymu to SKY 032. Zestrzeliwanie tym samolotów to birmański sport narodowy. No i wstrzymali nam nagrody na cały rok. Ale i tak byliśmy z siebie dumni – kończę, trochę zmęczony długim gadaniem.

– Hubert, jestem pod wrażeniem. Wybacz, ale ta „kurwa”... Taki język w ustach oficera? – udaje dziewicę.

– Ada, nie byliśmy harcerzami. Uwierz mi. Nie masz zielonego pojęcia, jak się ucieka przed takim zajadłym świństwem. Musisz dodawać i ujmować ciąg silników co cztery sekundy... a, Ana” miała cztery. Przysięgam. Raz, jako pierwszy pilot w historii, przez chwilę leciałem z pełnym obciążeniem ogonem do przodu.

Milknę zawstydzony, widząc jej pełen triumfu uśmiech.

– Wszyscy piloci w naszym skrzydle to potrafili – dodaję.

– Nie wszyscy, Hubercie. Nic nie ujmując twoim przyjacielom – mówi zwycięski śledczy. – Sprawy, które poruszemy jutro, nie będą miłe. Cieszę się bardzo z twojego lepszego stanu zdrowia, kapitanie. Na pewno wytrzymasz, Hubercie.

Ada wstaje z krzesła, poprawia garsonkę. Jej palce gładkimi ruchami wędrują wzdłuż ciała.

– Hubercie, pokładałam w tobie wielkie nadzieje. Jesteś wspaniałym człowiekiem, ale sprawiedliwość może mieć zupełnie inne zdanie na ten temat. Postaram się, żeby jej waga stała tam, gdzie podłoga jest krzywa z naszej strony.

– Zaczynam wierzyć w twoją dobrą wolę, Ada. Tylko że ty wiesz o mnie wszystko, a ja o tobie nic.

– Nie wiem wszystkiego. Nie wiedziałam na przykład o tym kiblu. O człowieku nigdy nie można dowiedzieć się wszystkiego. To niemożliwe. Teraz na przykład nie wiem, co się dzieje w umyśle mojej naiwnej Elzy. Ona ma zakodowany, wsparty katolickim wychowaniem, instynkt niesienia pomocy słabym i chorym. Naczytała się o tobie z tych gazet. Jesteś teraz jej bohaterem... może nawet zakochała się w tobie na śmierć – mówi, pochylając się nad moim łóżkiem. – A ty nie podejrzewasz nawet, jak bardzo jej tego zazdroścę. Ponieważ nie wiem, czy jeszcze tak bym potrafiła. Może mam ochotę pocałować cię na pożegnanie,

żeby to sprawdzić. Nie, nie bój się, żartowałam. Jestem profesjonalnym adwokatem. Cześć, Hubercie, do jutra.

Podchodzi do drzwi, odwraca się do mnie już na progu.

– Nie skrzywdź tylko Elzy. Jest teraz łatwym łupem dla orła z chmur. Pamiętaj, że ona jest pod moją opieką – ostrzega.

Wcale nie jestem pewien, czy żartowała. Kiedy przechodziła przez pokój, wprawiała biodra w ten niezwykle, niepowtarzalny magiczny taniec, przekazujący zmysłowe zaproszenie. I ta wyraźna zazdrość o Elzę. Więc ja, podziurawiony ludzki wrak, miałbym być adorowany? To niedorzeczne, chyba jednak źle odczytałem jej sygnały. Rozważania przerywa wejście Elzy.

Zafascynowany mną podłotek dźwiga potężnych rozmiarów tacę z obiadem. Ma na sobie spódnicę do kolan. Jest zawstydzona swoim dzisiejszym aktem szalonej, desperackiej odwagi. Nie potrafi pojąć, dlaczego została odrzucona. Nie wie, że przegrała tylko z moją straszną przeszłością.

– Elza.

– Słucham, kapitanie?

Jej głos drży z napięcia, zmieszanie jest widoczne na miłą. Czerwieni się i ucieka wzrokiem. Oczy ma podpuchnięte, chyba płakała.

– Elza, chciałem ci bardzo podziękować za wspaniałą opiekę. Dzięki tobie jestem już prawie zdrowy... jesteś najlepszą pielęgniarką, jaka można sobie wyobrazić – mówię, patrząc jej w oczy.

– Naprawdę pan tak uważa, kapitanie?

– Naturalnie, siostró od cudów. Nawet neandertalczyka wykopanego z wiecznej zmarzliny postawiłaby siostra na nogi. Twój chłopak to szczęściarz... ech, gdybym był

młodszy. Poczytasz mi wieczorem? Przez te psychotropy boję się zostawać sam.

– Dobrze, kapitanie, z przyjemnością. Pani doktor przyjdzie za godzinę. Później jest obiad i będziemy mieli wolny czas. Lubię czytać, w domu czytam często braciszkwowi, a tacie dzienniki. I jeszcze na wszelki wypadek wymasuję panu stopę. Kiedy pana przywieziono, była zupełnie sina. Dbałyśmy o nią z panią doktor przez cały czas, lecz masaż jest jeszcze wskazany.

Elza rozkręca się, rozładowując emocje. Zamykam oczy dając jej do zrozumienia, że chcę spać. Cieszę się z normalizacji naszych stosunków, ale nie pamiętam, gdzie schowałem przekłete koreczki.

– Nie mam chłopaka, ale chciałabym, żeby był podobny do pana – mówi cicho, wychodząc z pokoju.

Po obiedzie Elza czyta mi Juliusza Verne'a. Później zasypiam. Budzę się o drugiej w nocy, targany niepokojem. Jestem w luksusowym szpitalu. Mam właściwie prywatną pielęgniarkę. Nawet w starych dobrych czasach taką opiekę można było mieć tylko za spore pieniądze. Czego ode mnie chcą? To na pewno ma związek z tym, że jestem pilotem. Mam być lotnikiem samobójcą czy jak?

Postanawiam wziąć samodzielnie prysznic, to mnie orzeźwi i odegna złe myśli. Poza tym nie chcę, żeby dalej myślała mnie zakochana nastolatka. Idę przez znany mi korytarz do łazienki, nie spotykając nikogo. Elza jak zwykle odsypia w swojej dyżurce. W chodzę do łazienki jak ze snu ekscentrycznego milionera. Wybieram kabinę z mozaiką *Źródła Ingres*a. Woda spływa po moim ciele naznaczonym przez ludzkie okrucieństwo. Na prawej piersi mam teraz – oprócz starych – nową, niewielką, prawie zagojoną bliznę. To był sportowy karabinek o małym kalibrze i dużej prędkości

początkowej pocisku. Miał wzmocnione ładunki, stąd płomień z lufy i mała rana wlotowa. Pocisk przeszedł przez ciało jak ostrze szpady przez stary flak – miałem szczęście. Nie chcę przesadzać z kąpielą. Rany zaczynają trochę szczypać, a przez leżenie w łóżku zwiotczały mi mięśnie. Staję pod suszarką naprzeciw wielkiego lustra. Widzę w nim wychudzonego, bladego niczym trup, wysokiego faceta, gapiącego się na mnie zmętniałym wzrokiem przygłupa. Przez chwilę podziwiam swój słynny tatuaż. Co taka dama jak Ada i ten podlotek Elza we mnie widzą? Gdybym był kobietą, nie zapytałbym takiego zdychającego dupka nawet o godzinę. Staram się dostrzec w swoim ciele jakiś atut przyciągający kobiety. No, chyba że to. Tak, na pewno chodzi właśnie o to. Cyrklem? Skończona idiotka. No i oczywiście moje męskie feromony. Agnes po pieszczotach często nie chciała iść pod prysznic. W końcu zbieram się na odwagę i odwracam się tyłkiem do lustra.

– Kurwa! Pieprzone źdzyry! Dlaczego? Za co? Czy człowiek już nic nie znaczy? – mój krzyk odbija się echem od kolorowych mozaik.

Lustro nie oszukuje. Na obu pośladkach mam prostokątne, porośnięte gęstym futrem łaty, kilka mniejszych kwitnie na plecach. Na łydkach i udach mam za to gładkie placki. Skórę z łydek i ud przeszczepiono mi na tyłek i odwrotnie.

– Kurwa! Jak dorwę te baby, to przykleję im do pleców cztery cycki!

Zalewa mnie krew. Walę słabą pięścią w glazurę. W głowie tętni mdły wir.

Rana na piersi zaczyna nagle krwawić. Czuję, jak nogi zamieniają się w kokony z waty. Mdlejąc, dopływam do drzwi. Udaje mi się zrobić jeszcze kilka kroków na korytarzu.

Widzę biegnącą Elzę. Dziewczyna łapie mnie w locie, krzycząc:

– Pani doktor! Pani doktor, na pomoc!

Kiedy otwieram oczy, jest już świt. Wpatruje się we mnie zmęczona siostra. Zaczyna bez wstępów:

– Kapitanie, co pan narobił? Dbam o pana najlepiej, jak potrafię. Poświęcam panu każdą chwilę... od tygodnia nie byłam w domu. A pan pierwsze, co robi, to funduje sobie sam gorący prysznic. Mógł pan powiedzieć, pomogłabym się panu umyć – kończy z wyrzutem.

– Elza, nie rozumiesz? Ja się wstydzę, ciągle oglądają mnie gołego tabuny kobiet. Nie jestem, wybaczyć, do cholery, manekinem ani zabawką. Czy któraś z was wie, co znaczy słowo „wstyd”?

Twarz Elzy przypomina rozwinięty polny mak.

– Ja wiem, co to znaczy. A pan wie, dlaczego. Ale jestem zawodową pielęgniarzką i bez mojej pomocy nie wróci pan do zdrowia. Wybaczy pan, ale wstyd naprawdę nie jest tu najważniejszy. Najważniejsze jest pana zdrowie – mówi poważnym głosem, jakiego jeszcze u niej nie słyszałem.

Robi mi się trochę głupio.

– Przepraszam, Elza. Od teraz będę ci mówił, kiedy chce się umyć. Tylko proszę o powieszenie zasłony w kabinie. Dobrze?

– Za kilka dni, kapitanie, możemy ją powiesić. Teraz powinien siedzieć pan pod prysznicem na krześle. A ja nie powinnam spuszczać pana z oka.

Naszą rozmowę przerywa wejście Ady. Wchodząc, z trzaskiem zamyka za sobą drzwi. Mówi głośno, prawie krzycząc od progu:

– Hubert! Co ty wyprawiasz? Zachowujesz się jak mały chłopiec, mogłeś dostać krwotoku. Mogłeś rozbić sobie

głowę... mogłeś umrzeć. Źle się tobą opiekujemy? Nie możesz tak – wyrzuca z siebie, podchodząc do łóżka.

Siada gwałtownie na krześle zwolnionym w ciągu sekundy przez Elżę, a jej teczka z grzotem pada na podłogę.

Teraz ja jestem wściekły.

– Nie jestem już, kurczę, małym chłopcem. Jestem dorosłym mężczyzną, który dziesiątki razy patrzył śmierci w oczy. Widziałem rzeczy, jakich tobie wystarczyłoby na trzysta lat życia. Bardzo dziękuję za waszą opiekę, ale może mi w końcu powiesz, o co tu chodzi? Od lat traktujecie mnie jak małą na łańcuchu, każdy ma władzę nad moim losem. Byłem laboratoryjnym zwierzęciem... nie, gorzej. Prawo zabrania eksperymentów na zwierzętach. I ten szpital. Nie powiesz mi, że może tu trafić każdy ranny tubylec. Takim opiekują się larwy much albo arabskie dzieciaki. To jeszcze nic w porównaniu z tym, co nas czeka. Kiedy wpadniemy w ręce studentek, wtedy najlepiej od razu się powiesić. Pani mecenas, jeżeli jestem tu legalnie, wychodzę jeszcze dzisiaj. Albo dowiem się w końcu wszystkiego... – lekki kaszel nie pozwala mi dokończyć zdania.

Ada, wyraźnie zbита z tropu, bierze mnie za rękę.

– Uspokój się, Hubert. Właśnie chciałam o tym z tobą porozmawiać.

Nie puszczać mojej dłoni, przesiada się na skraj łóżka. Zakłada nogę na nogę. Ma prawdziwe czarne koronkowe pończochy z wzorem przypominającym kryształowe malowidło na zamarznętej szybie. Musiały kosztować fortunę. Zdejmuje czarny żakiet i rzuca go na krzesło. Na widok jej bluzki od razu mija mi cholera. Materiał przypomina mgłę unoszącą się o poranku nad rzeką. Nic pod nią nie ma. Jej piersi są białe i pełne. Widzę, że ich posiadaczka jest z nich bardzo dumna, nie okazuje żadnego

skrępowania. W naszych starych, dobrych, niezakłamanych czasach nagość była czymś normalnym i nikt nie zwracał na nią uwagi. Teraz, przez panoszący się islam, odzwyczajiliśmy się zupełnie od widoku kobiet. Nawet na zamkniętym elitarnym raucie takie ubranie może kosztować karierę.

Przypomina mi się demonstracja pomalowanych dziewcząt w parku Zoo. To był niemy protest przeciwko bezwzględnej, obcej kulturze. Narzucanej nam przez prymitywnych, nawiedzonych ponurych typów i oszalałe z nienawiści do wszystkiego kobiety, rewolucyjne feministki. Wolność wyboru, która była podstawą potęgi naszej cywilizacji, to dla nich zbrodnia.

– Ada, masz w sobie coś z ducha starych anarchistów – mówię, z uznaniem gapiąc się na jej biust. Nie mam gdzie uciec wzrokiem. Zresztą dlaczego miałbym się kryć? Wygląda pięknie.

– A co? Może ci się nie podoba? Zresztą ty masz tu klimatyzację, a na zewnątrz jest piekielny upał. Chyba, że nawróciłeś się na jakąś religię, która nie pozwala patrzeć na kobiety. Niczego takiego nie widziałam pośród innych bredni w twojej ankiecie – odpowiada zaczepnie, poprawiając włosy.

Włosy. Ich odwieczna, niezawodna broń. Nawet teraz zwycięskie samice nie potrafią odrzucić tego tradycyjnego gestu. Robi to jeszcze raz, a kiedy unosi ramiona, jej sutki odbywają miękką, rozfalowaną wędrówkę po widmowym materiale bluzki. Teraz dostrzegam jej lekkie skrępowanie. Jednak trochę się wstydzi, tylko potrafi to ukryć. Po chwili wewnętrznej walki rozpina zdecydowanym ruchem jeden guzik. Wie, czym jest zmysłowe pożądanie, i sama go poszukuje.

– Nie Ada, nie wyję pod minaretami i gdybyś siedziała na

moim łóżku zupełnie naga, byłbym zachwycony – przerywam milczenie, wybawiając ją z opresji wstydu.

– Dziękuję, Hubercie. To bardzo miłe, ale niestety nie dzisiaj. Mamy wiele spraw do omówienia. Po śniadaniu pójdziemy do ogrodu. To będzie twój pierwszy od długiego czasu spacer na świeżym powietrzu... musisz się dotlenić.

Wchodzi Elza z tacą. Przez mój prysznic na pewno dostała solidny opieprz. Jest przestraszona, niepewnym ruchem stawia tacę na stoliku.

– Słuchaj, Ada. Elza nie ma nic wspólnego z moim wyjściem do łazienki. Sam na to wpadłem i zakradłem się po cichu pod prysznic.

– Wiem, ona w przeciwieństwie do ciebie jest odpowiedzialna. Musi też kiedyś spać po całodobowym dyżurze. Lecz gdybyś umarł, poszłaby siedzieć na długie lata. Przemyśl to – odpowiada Ada twardym głosem, patrząc surowo na siostrę.

Elza wycofuje się rakiem. Spod samych drzwi przesyła mi pełen wdzięczności uśmiech.

– Zjedz śniadanie, Hubercie. A ja zrobię sobie w końcu makijaż. Lekarka narobiła alarmu i nie zdążyłam w domu. Chyba nawet zapomniałam włączyć rejestrator i łącze z gabinetem. Widzisz, jaki jesteś dla mnie ważny – mówi, wyrzucając na pościel wydobyte z teczki kobiece skarby.

– Ada, mam problem – wyznaję, przerywając żucie bułki z serem.

– Nie masz żadnych problemów, Hubercie, dopóki pani mecenas Ada czuwa nad tobą – odpowiada, robiąc przed lusterkiem gimnastykę warg pokrywanych warstwą szminki. Odkłada ją. Zabiera się teraz do rzęs i brwi. Małeńka szczoteczka rozdziela włoski z szokującą precyzją.

– A właśnie, że mam. Te baby zrobiły mi na tyłku

owłosione łaty – oświadczam ze skargą w głosie.

Ada maluje sobie na powiece grubą czarną krechę, jej ramiona drżą lekko w tłumionym śmiechu.

– Wiem, widziałam... są śliczne, aż chce się pogłaskać – odpowiada wesoło.

Znowu trafia mnie szlag.

– Nie wiem, dla kogo, bo nie dla mnie. Chcę pić ich krew!

– Nie gorączkuj się. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, zrobimy przeszczep i kawałki wrócą na swoje miejsce. No i moja Elza znowu będzie mogła się tobą opiekować – stwierdza oschłym tonem.

To zabrzmiało jak ultimatum: Chiny kontra Wyspa Czterech Zjednoczonych Ananasów. Sygnał był wyraźny: mam trzymać się z daleka od małej. Nie mogę w przyszłości wywołać wojny samic. Szkoda by było siostry Elzy.

– To, co zrobiły jest chore, to nieludzkie – jęczę dalej, żeby zmienić temat.

– Nie płacz, Hubert, jak baba nad swoim tyłkiem. Mogłeś stracić głowę. Kończ śniadanie i idziemy. Nie mam dla ciebie całego dnia – rzuca ostro Ada, zakładając zakiet.

Zakładam kaptcie i szlafrok, nie mogę się doczekać dotyku prawdziwej ziemi pod stopami, przestrzeni, nieba i drzew. Jedziemy na dół windą o ścianach ozdobionych cielistymi aktami. W zleżalej dębinie wryto płaskorzeźby naturalnych rozmiarów. Dwie dziewczyny o miękkich rysach i dwu młodzieńców. Jedna z dziewcząt nalewa z małej amfory wino do pucharu trzymanego przez chłopca z sąsiedniej ściany. Druga para dzieli się muzyką, ona ma altówkę, on podaje jej smyczek, ich dłonie stykają się w rogu kabiny.

– Optymistyczne. Alegoria radości życia w szpitalu –

mówię z uznaniem.

– Czas na test twojej inteligencji, Hubercie. – Ada mruży oczy.

– Optymistyczne i naprawdę piękne. Pani mecenas, która to zamówiła, miała gust – wydaję ostateczny werdykt.

– Dziękuję panu. To oczywiście mój projekt – śmieje się znowu Ada.

Winda otwiera drzwi na parter. Przed windą czeka pani doktor, ordynator szpitala. Widziałem ją kilka razy, ale jest bezbarwna niczym szkło. Nie potrafię zapamiętać jej twarzy. Jest biała, podobnie jak cały personel szpitala. Nawet technik, którego dostrzegłem przez okno, jedyny mężczyzna w lecznicy, także jest Europejczykiem.

Pani ordynator zamarła w pozie pełnej pokory i niemego uwielbienia. Robi wrażenie, jakby chciała paść przed Adą na kolana. Nie śmie nawet podnieść zakotwiczonego w moich kapturkach wzroku.

– Pani profesor. Idę z pacjentem do altany. Proszę dopilnować, żeby nikt nam nie przeszkadzał, i niech Elza przyniesie jakieś chłodne napoje i koce.

– Oczywiście, pani Ado, zaraz zawiadomię Elzę – pani profesor gnie grzbiet w gorliwych skłonach.

Wychodzimy z budynku. Rozglądam się ciekawie. Tylko wewnątrz jest taki luksusowy. Mury starego dziewiętnastowiecznego pałacu są zaniedbane, okna z zewnątrz wydają się stare i brudne. Park natomiast stanowi przepyszny widok – pełen wiekowych, omszałych drzew, które piją wodę z rzeczki spiętej ażurowym łukowym mostkiem. Dostrzegam także altankę z pagodowym chińskim dachem. Wsparta na kolumnkach robi wrażenie, jakby pływała wśród żywej zieleni.

– Te mury to tylko kamuflaż. Specjalnie nie robimy

remontu – wyjaśnia Ada, widząc moje zdziwienie.

– Masz wielką władzę, pani mecenas.

Ada rozpina żakiet, zdejmując i przewiesza przez ramię. Jej przezroczysta bluzka odbija światło.

– Mam, ale nie wykorzystuję jej dla siebie. Tak robią tylko mali głupcy, którym raz coś się udało... gardzę takimi. Moja władza służy konkretnemu celowi. Tylko ten cel jest ważny. Cała reszta jest tłem bez żadnego znaczenia. Poza tym władza ma to do siebie, że łatwo można ją stracić. Ja w każdej chwili mogę wylądować w jednej z wielu tysięcy zababionych po dach kancelarii adwokackich. A może się zdarzyć jeszcze gorzej... to szczerza prawda, Hubercie. Módl się, jeśli w coś wierzysz, żeby tak się nie stało. To byłby także twój koniec, koniec Elzy i wszystkich tutaj – zawiesza głos.

Te słowa robią na mnie wrażenie.

Dochodzimy w milczeniu do japońskiej altanki. Jest zanurzona w cieniu, ale i tu dociera fala upału.

Ada nie przesadzała, mówiąc o spiekocie. Siadamy na antycznej ławce z wygiętym oparciem.

– Pozwolisz?

Ada, nie czekając na moją zgodę, szybko zdejmując pantofle. Następnie pończochy. Później rozpina trzy guziki swojej mglistej bluzki i patrząc mi w oczy, syci się moim skrępowaniem.

– Nie bój się, Hubercie. Niestety nie mogę cię zgwałcić, naruszyłabym kodeks etyczny. Chociaż bardzo mi się podobasz i mam ochotę na przestępstwo. Jednak, w przeciwieństwie do ciebie, czuję strach przed wstąpieniem do nieba, kapitanie.

– Za taki grzech chcesz dostać przepustkę do kotła z płonącym ajerkoniakiem? Marzycielka. Daj lepiej pani

biskup kilka zniżkujących akcji Państwowej Pożyczki Mlecznej – mówię, zdejmując szlafrok.

Ada znowu się śmieje.

– Mówiłam, mało jest już takich facetów jak ty. Nie potrafisz się poddać, to podoba się każdej kobiecie. – Kokietuje moją samczą pychę, podciągając spódnicę. – Chętnie zrzuciłabym to wszystko, ale nie mogę. Ty natomiast wyskakuj z tego ubranka. Masz, kupiłam dla ciebie zakazane kąpielówki. Nie pytaj, ile kosztowały. Na rozprawie masz wyglądać jak kwitnący, opalony facet z klasą – rozkazuje, podając mi paczuszkę.

Chowam się skromnie za oparcie ławki. Kąpielówki są w samoloty – lubię Adę coraz bardziej.

– Nie wiedziałem, że kąpielówki są zakazane.

– Tak, od początku tego roku. Budzą zgorzienie. To była parlamentarna klęska ekologicznych gejów i lesbijek w starciu z frakcją nowo nawróconych muzułmanek. Niedługo każą wszystkim chodzić w namiotach z dziurami na nogi – wyjaśnia bez emocji.

– Nie lubisz ich – stwierdzam, wychodząc zza oparcia.

Ada nie odpowiada na moje pytanie.

– Tak, rzeczywiście jestem zgorziona. Poleż trochę na słońcu, wyglądasz jak młynarz. Tylko uważaj na blizny – mówi, patrząc na moje wychudzone ciało.

– Myślałem, że taki chorowity wygląd wzbudzi współczucie ławniczek – mówię, rozkładając na trawie szlafrok.

– Nie masz o tym pojęcia, bohaterze. Temida zakłada opaskę na oczy tylko na widok bezbronnego, zagubionego biedaka. Robi to z obrzydzenia. Do ludzi z pieniędzmi i władzą mruga okiem i śle czuły uśmiech. A opalony i dobrze ubrany facet na takiego wygląda – obala moje szczeniackie

wyobrażenie o prawie.

Kładzie się obok mnie na brzuchu, z dłońmi pod brodą. Pachnie rozgrzaną kobiecą skórą i subtelnym, ledwo wyczuwalnym aromatem tropikalnych owoców. Jej ciemne włosy załamują światło, tworząc tysięczne ogniska miniaturowych tęczy.

– Hubert, teraz bez żartów. Wymasuj mi kark i ramiona. Ślęczę nad papierami przez całą noc. Boli mnie – prosi, zsuwając bluzkę.

Kładę dłonie na jej karku, zaczynam powoli masować naprężone ciało. Głowa Ady opada, mięśnie rozluźniają się, a oddech uspokaja. Przez chwilę wydaje mi się, że zasnęła.

Jednak obowiązek nie pozwala jej na chwilę relaksu.

– Zaczynamy, Hubercie. Ja pytam, ty odpowiadasz. Tylko nie przerywaj, masz delikatne dłonie – prosi.

– Dobrze, będę szczerzy jak mediolański lichwiarz w godzinie śmierci.

– Właśnie, mów mi tylko prawdę. W twoich papierach jest taki bełkot, że chwilami nie mogę się w tym połapać. Oczywiście prawdziwą długość członka możesz sobie darować. Może kiedyś? – kończy enigmatycznie.

– Od czego mam zacząć?

– Od sprawy twojej degradacji, były kapitanie.

– Na lotnisku w Belgradzie pani kapitan Panada, mój nowy dowódca, chciała startować na wstecznym ciągu. Dała pełną moc i darła się na mnie, żebym zwolnił hamulce. Zablokowałem je na komputerze. Gdybym jej zwolnił, „Ana” zaparkowałaby ogonem w hali cargo.

– Ładnie. I co dalej? – chce wiedzieć Ada.

– Była komisja i sąd dyscyplinarny. W obu członkiem była pani kapitan. Tajka naopowiadała o mnie niestworzonych rzeczy... że naraziłem maszynę na

uszkodzenie i odmówiłem wykonania rozkazu.

– A „czarna skrzynka”? – pyta Ada.

– Czarna skrzynka potwierdziła jej wersję. Wzięli odczyt z markowanego startu – odpowiadam.

– Jeszcze chciało im się kombinować? Teraz ramiona, mów dalej.

Przenoszę dłonie, dotykam także miejsc pod pachami, w pobliżu piersi. Z przejęcia głośno przelykam ślinę i wracam do mojego koszmaru.

– Potem doszedł zarzut o seksualnym napastowaniu. Ada, to absurd. Akurat wtedy prawie w ogóle nie piłem – wyznaję szczerze.

– Eee, słabiutko. Normalna procedura robienia miejsca nowym. Co do pani kapitan miałam nadzieję, że naprawdę się do niej dobierałeś.

– Nie, była brzydka. A ja permanentnie trzeźwy.

– I dlatego wredna, Hubercie. To był twój błąd. Mogłeś ją przelecieć z zamkniętymi oczami.

– Ada, seks i miłość to dla mnie sprawy poważne i bardzo intymne – mówię, marząc o tym, żeby poczuć w dłoniach ciężar jej piersi.

– Niebawem zobaczysz, czym jest intymność na sali sądowej. Poza tym, mój Pegazie, ile zaliczyłeś burdeli na ziemskim globie? – pyta rzeczowo.

– To co innego. Byliśmy samotni i spragnieni ciepła. Naprawdę kochałem i kocham tylko moją Agnes.

Ada siada do mnie tyłem i zdejmuje bluzkę. Zakrywa nią biust, podtrzymując materiał lewą dłonią.

– W to, Hubercie, wierzę bez zastrzeżeń... teraz tył, aż do pupy – prosi nachylając się.

Masuję okrężnymi ruchami jej plecy wzdłuż paciorków kręgosłupa. Walczę z chęcią pokrycia pocałunkami jej karku.

Dobrze, że właśnie zbliża się do nas Elza. Dziewczyna niesie walizkowy termos, przez ramię ma przewieszony koc. Kiedy staje przy ławce, dostrzegam na jej twarzy grymas złości. Odwraca się tyłem i z hałasem zaczyna rozpakowywać termos.

Z głośnym brzękiem ląduje na ławce szklana karafka z kompotem, za nią szklanki. Elza nie rozkłada koca, rzuca go niedbale na oparcie ławki i odchodzi nerwowym krokiem.

– Elza! – zatrzymuje ją Ada.

Dziewczyna przystaje, zwraca twarz w stronę Ady.

– Siostrzo Elzo, o szesnastej proszę podać kapitanowi obiad. Pan Hubert będzie na świeżym powietrzu do osiemnastej. Ty w tym czasie posprzątasz pokój. Nie będziesz się opalać razem z kapitanem, jasne?

– Dobrze, pani Ado.

Elza spuszcza głowę. Kiedy tak stoi, przepelniona gniewem i zarumieniona, jest prześliczna.

– I jeszcze jedno, siostrzo. Jesteś przemęczona, jutro po południu zmieni cię Paulina. W końcu odpoczniesz i zobaczysz rodzinę. Teraz dziękuję, Elzo, możesz wrócić do obowiązków – kończy Ada pacyfikację zbuntowanej pielęgniarki.

Elza odchodzi szybkim krokiem, sztywna jak na wojskowej paradzie. Rozkładam koc i nalewam do szklanek zimnego kompotu z truskawek. Ada przenosi się na nowe miejsce, odkłada bluzkę i półnaga, wsparta na łokciach, kładzie się na puszystym pledzie.

– Cholera. Przez chwilę bałam się, że oberwę tym kompotem po głowie. Moja kochana mała Elza już dorosła. Jest teraz kobietą i będzie o ciebie walczyć. Domyślałam się, mój błąd... mogłam odesłać ją wcześniej. Ale im mniej osób wie, tym lepiej – mówi, wyciągając białe ramię po

szklaneczkę z chłodnym płynem.

Milczę, taką wojnę lepiej omijać dużym łukiem.

– Masz powodzenie, Hubercie. Mówiłam, już niewielu takich jak ty zostało na świecie.

– Mam takie powodzenie, że baby z psychawioru chciały mnie przepuścić przez maszynkę do mięsa. A te z Akademii o mały włos nie przyszyły mi do czoła mojego własnego fiuta. I powiedz mi, co z chłopcem – przerywam babską vendettę.

Ada siada. Kuli się, zasłaniając kolanami piersi. Przez chwilę widzę wszystko – chyba pęknię.

Zaczyna poważnym tonem, patrząc mi w oczy:

– Miałam zadawać pytania, lecz mogę najpierw wyjaśnić pewne sprawy. Może lepiej zrozumiesz powagę sytuacji.

Wyciąga z leżącej obok teczki papierosa, zapala go. Płone teraz z podwójnego pożądanía. Nie wiem, czy najpierw rzucić się na nią, czy na tytoń.

– Te z psychawioru to przejęte władzą nadgorliwe wariatki. Rozumiesz, każda chce się wykazać. Ty trafiłaś na najgorszą. To była Katrin Kowacz z instytutu w Budapeszcie. Wściekła, szalona suka. Mało który facet wychodzi od niej bez kilku lat obozu. Gdyby mogła, zamknęłaby wszystkich. Niedawno przez trzy tygodnie wyciągałyśmy z obozu techników jądrowych z kolońskiej elektrowni. Interweniowała tak skutecznie, że zwolniono tylko jedenastu. Tym technikom udało się jakimś cudem zapobiec katastrofie, przy której ta sprzed czterech lat w Dublinie to święteczna petarda.

– To elektrownie jądrowe jeszcze działają? Myślałem, że ekolodzy... – przerywam jej, zdziwiony.

Ada patrzy na mnie z politowaniem.

– Hubert, a skąd masz prąd w żarówce? Z wiatraków? Ekolodzy tylko przed kamerami powiesili kłódki na

reaktorach. Rdzenie działają jak diabli, tylko praktycznie bez personelu. Nikt nie potrafi ich wyłączyć i pozbyć się odpadów. Tak będzie, dopóki nie wyczerpie się paliwo albo nie nastąpi katastrofa. Tak czy inaczej bez energii nastąpi koniec.

– Siedzimy na bombie – mówię martwym głosem.

– Żeby na jednej – odpowiada.

Patrzę na nią, ale w tej chwili nie widzę jej piękna, zapominam o nim.

– A ta Kowacz. Dlaczego taka jest? – pytam, sunąc na czworaka po karafkę z kompotem.

– Miała trzynastoletnią córkę. Kiedyś, gdy dziewczynka wracała ze szkoły, porwali ją Somalijczycy. Przez kilka miesięcy była gwałcona i katowana na jakimś odludziu. Dopóki nie zaszła w ciążę. Wtedy jej narzeczony wysłał do matki drużbów z zaproszeniem na wesele. Katrin była jeszcze zwyczajną panią psycholog... nic nie mogła zrobić. Prokurator i sąd uznali ich starożytnie prawo do porwań. Później mała i dziecko zmarli przy porodzie, przy którym asystowały średnio domyte babcie porywacza. Katrin zwariowała z bólu, poszła przez to w karierę. Mści się teraz na wszystkich mężczyznach, bez żadnych wyjątków – opowiada, podstawiając swoją szklaneczkę. Wypija kilka łyków, patrząc gdzieś w dal. – Było na nią kilka zamachów. Rozumiesz, jakieś dziewczyny chciały ją sprzątnąć. Ma suka nieprawdopodobne wręcz szczęście. Właśnie dlatego wszystkie z jej oddziału ubierają się identycznie, noszą maski i często zamieniają się perukami. A takie porwania zdarzają się cały czas. Chociaż udało nam się przeforsować artykuł o molestowaniu seksualnym, stojący nad prawami zwyczajowymi. I dziewczęta mają teraz jakąś ochronę. No i białe nie są już takim symbolem bogactwa jak kiedyś.

Dotykam jej stopy, zaczynam delikatnie masować drobne palce.

– Mam wroga? – pytam.

– Wroga? Jeszcze nigdy w historii żadna matka nie mściła się tak straszliwie. Ty w dodatku nawiałeś jej z komisji. Została ośmieszona na wieki. Hubert, przez ryżowe pole goni cię tygrys ludojad, a ty masz na nogach betonowe sandały. Gdyby Katrin dopadła cię w Akademii przede mną, miałbyś teraz głowę, razem z tym twoim fiutem na czole, przyczepioną do karku knura.

Ada kładzie się znowu i milknie. Nie czekając na jej prośbę, zaczynam masować jej skórę nad biodrami.

– Dziękuję, Ada.

– Tylko nie całuj, Hubercie. Mogą być róże po procesie. Teraz trochę niżej i krzyż, ale nie za nisko – mówi, zsuwając spódnicę aż do połowy pośladków.

Widzę jej koronkową bieliznę. Jeden ruch dłoni i mogę mieć wszystko. Pożądanie miesza się ze strachem. Chyba tak czuje się pajęczy macho idący na randkę z pięciokrotnie większą panienką. Z przejęcia raczej głaszczę niż masuję jej chłodne ciało.

– Jak wygląda akt oskarżenia? Jest tam coś o tym, że to była obrona konieczna? – pytam zachrypniętym głosem.

– Właściwie jeszcze nie jest gotowy. Nie ma też protokołu policji, tylko zeznania świadków. Czyli tych Arabów i chłopca. Dwóch zabrała karetka autonomii, po ciebie miał przyjechać samochód z kostnicy miejskiej. Jednak ktoś, nie wiem, kto, zapłacił trupiarniom. Wezwali przez swoją linię sanitarkę spoza strefy.

– Ja chyba domyślam się, kto. Tylko cały czas nie wiem, dlaczego – przerywam jej, myśląc o dziwnym szejku.

– Dziewczyny stwierdziły, że jesteś w stanie śmierci

klinicznej. Tak przynajmniej zeznały. Zawiozły cię do Akademii, mają do tego prawo. Co było dalej, wiesz.

– Jak mnie tam znalazłaś?

– To moja słodka tajemnica, Hubercie. Nie było to łatwe, bo nikt nie wciągnął cię do ewidencji, pomimo że miałaś przy sobie papiery. Polecą za to głowy – kończy mściwie.

– Masz jakąś linię obrony? I powiedz, co mi grozi, jeśli... no wiesz, nie spodobam się sądowi.

– Ile możesz dostać? – Ada opiera czoło na zaciśniętych pięściach. – Dwóch przetrąconych Arabów. Zniszczenie cennej własności w postaci zabytkowej rodowej amfory. I oczywiście gwóźdź do trumny: ucieczka z komisji behawioralnej. Możesz liczyć na dziesięć lat. Pięć resocu o zaostrzonym rygorze i pięć ciężkich robót. Jedno od drugiego nie różni się praktycznie niczym. Jesteś, Hubercie, groźnym przestępcą, który przed chwilą masował moją zmaltretowaną krzesłem, samotną pupę.

Słońce znalazło sobie lukę pomiędzy gałęziami drzew. Ada zamyka oczy i kładzie się, wyciąga ciało na kocu.

– Dziesięć lat. Nie przeżyłbym tego. Nie przeżyłbym nawet trzech – mówię, głaszcząc znowu jej plecy.

– Szczegóły twojej linii obrony ustalimy później. Tamtego, który strzelał, przycisnę za nie udzielenie pomocy rannemu. Miałaś zmiażdżoną stopę. Dołożę jeszcze coś o dyskryminacji rasowej autochtonów.

– Ada, to absurd. Chciałem tylko wody i chciałem za nią zapłacić, a oni chcieli mnie za to zabić. Ich szef szedł na mnie z pieprzonym półmetrowym nożem... chciał zabrać mi portfel i obciąć język. Bronilem się, to była obrona konieczna.

– Hubert, nie gorączkuj się. Po pierwsze żyjesz, po drugie jeszcze nie siedzisz za drutami. Więcej optymizmu. Obrona konieczna to mało istotny element sprawy. Twoje moralne

racje naprawdę nikogo nie obchodzą. Liczy się tylko mechanizm procedury. Uwierz mi. Jestem doświadczonym adwokatem i zaręczam, że wszystkie sądy świata najbardziej nienawidzą ludzi, którzy bronią się sami. System, Hubercie, działa tak, że normalny człowiek ma bać się o wiele bardziej sądu i prokuratora niż bandyty. Bandyty są podporą prawa, dają sądom i policji poczucie władzy. Bandyta nawet o tym nie wie, ale trzyma w ryzach społeczeństwo, zupełnie jak wierny owczarek stado baranów. Jego zadaniem jest przypominać ludziom o tym, że w starciu z państwem są zerem. Mają płacić podatki podtrzymujące system i bać się. – Ada zapala się: – A ty opowiadasz o obronie koniecznej. To dla sądu ciężka obraza. Kradniesz ich prawo do decydowania o karze, wywracasz wszystko do góry nogami. Tylko sąd ma prawo decydować, kto jest ofiarą, a kto katem. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby wszyscy pokrzywdzeni porzucili strach przed prawem i zaczęli bronić się sami. Całe rozdęte władzę zastępy w togach stałyby się niepotrzebne. Myślisz, że taka baba z łańcuchem na szyi pójdzie sprzedawać buty? – Odwraca głowę i patrzy na mnie przez ramię. – Zresztą z trupem mają mniej roboty. Trup nie zeznaje i nie zawraca im głowy takimi głupotami, jak twoje prawo do obrony koniecznej. Obowiązkiem przyzwoitej ofiary napadu jest leżeć w kostnicy i trzymać buzię na kłódkę. Wtedy sąd może spokojnie zająć się motywami i trudnym dzieciństwem sprawcy. Ofiary to portreciki baranów bez znaczenia. Dostarczają tylko surowca potrzebnego sądowi do normalnej pracy. Jednak ty, napadnięty przez kilku facetów, obroniłeś się i śmiesz dalej żyć? Jak będziesz upierał się przy swojej wersji, dopisz sobie jeszcze pięć lat. Nie, to była zwyczajna bójka powstała na skutek nieporozumienia i nieszczęśliwego zbiegu okoliczności – kończy swój wywód, kładąc głowę na

dłonie.

– Jestem zaskoczony twoją interpretacją prawa – mówię zdumiony.

– To tak działa. Wiele razy broniłam ludzi, którzy ciężko poranili lub zabili napastnika w czasie obrony. Po kilkunastu miesiącach aresztu i latach więzienia wszyscy bez wyjątku twierdzili, że lepiej było umrzeć tamtego dnia... ich życie i tak nie miało już sensu.

– Dobrze, Ada. Słyszę, że jesteś przekonana do swoich racji. Wierzę ci i zdaję się na twoje doświadczenie. Kwestię wyboru adwokata pominę milczeniem – mówię po namyśle.

Ada śmieje się cicho. Czekam, aż się uspokoi.

– Co z chłopcem? Chcę wiedzieć, a odnoszę wrażenie, że unikasz tego tematu – pytam.

Ada bierze w dłoń bluzkę, opiera się na łokciu i zakrywa nią piersi. Skraj jej opuszczonej spódniczki sięga do początku ciemnej koronki włosów na łonie. Patrzą na jej biały delikatny brzuch, na którym pręgami odbiły się zagięcia materiału koca.

– Hubert... chłopiec będzie zeznawał przeciwko tobie.

Dostaję pałką w ciemność.

– Trzymali go tam jak niewolnika. To przez niego rzuciłem się na nich, z nienawiści – przerywam jej.

– Nienawidzisz ich, Hubert? – pyta z napiętą uwagą.

– Tak, chyba ich nienawidzę. Za to, że nami gardzą. Za to, że robią z dzieci niewolników. Za wszystko.

Ada patrzy mi prosto w oczy. Jej głos nabiera tego strasznego tembru, kiedy kobieta przestaje być kobietą i poczucie władzy bierze w niej górę.

– Jeśli chcesz zemsty, tylko mi powiedz. Po rozprawie wezwiemy ich, żeby zapoznali się z treścią wyroku, a wtedy moje dziewczyny zawiozą synów pustyni do kliniki. Obudzą

się rano z psimi jajami zamiast własnych. Chcesz? – pyta, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Przelykam ślinę.

– Nie, Ada, nie chcę. To nie mój styl – odpowiadam, wahając się przez chwilę. – Tamci już dostali. A ten z obrzynem... Świat jest mały, może kiedyś? Zresztą znam ich zwyczaje. Za strzał w plecy bezbronnego wroga u swoich będzie raczej skończony. To jednak byli wojownicy – zwalczam pokusę.

Ada siada zwrócona do mnie plecami, zakłada bluzkę i podciąga spódnicę.

– Uspokoileś mnie. Zemsta jest motywem działania małych ludzików. Nasz cel jest sto razy ważniejszy, nawet od nas samych.

– Ada, nie wiem, jaki jest nasz cel i może mi w końcu powiesz. Co z chłopcem? – nie ustępuję.

– Jaki mamy cel, dowiesz się niebawem. Jesteś ważnym elementem układanki. Może nie powinnam ci tego teraz mówić. Ale tak ważnym, że w razie klapy z twoją sprawą dostaniesz lewe dokumenty. A co do chłopca... posłuchaj i staraj się to przyjąć spokojnie. – Klęka, układając jedną dłonią papiery w torbie. – Hubert, nie na wszystko mamy wpływ. Wielka Matka wpadła na pomysł, że można przyspieszyć asymilację ras i kultur. Powierza się przyjezdnym europejskie dzieci. Oddaje się je za niewielką opłatą na rzecz skarbu państwa, na naukę i wychowanie. Nowi opiekunowie mają pełnię praw, w tym do karania według swoich plemiennych obyczajów. Dzieciaki pracują za darmo, a ich rodzice nie mają na to wpływu. Asymilują się, zamiast pochłaniać w szkołach szkodliwe szowinistyczne nauki. Państwo zarabia na opłatach i nie musi wydawać na szkoły. Czysty interes! Ten chłopiec był wykupiony na

dziesięć lat. Beduin cię nie okłamał. Mały był legalnym niewolnikiem.

Ada wstaje, odwraca się tyłem i zakłada bluzkę.

Siedzę i nie mogę ruszyć nawet ręką. Nie mogę wprawić w drgania strun głosowych. Nie mogę niczego, tylko z płuc wydobywa mi się świst. Przewracam się w końcu na plecy, patrzę w spokojne niebo. Staram się wtopić twarz w białe skłębione chmury. Ada czeka.

– Wykup go, a zgodzę się na wszystko. Na każde ryzyko. Teraz i tu zgadzam się. Rozumiesz? – bardziej rozkazuję niż proszę.

– Mieszasz wątki. Nie możemy zagubić naszego głównego celu. Takich dzieci są tysiące, Hubercie.

– Wykup go albo zapomnij o mnie. Ten mały był podobny do mojego przyjaciela. To tak, jakby Stani był w niewoli u jakichś archaicznych dzikusów.

– Hubert, o czym ty mówisz? Ten chłopiec miał matkę z Maroka, a jego ojciec był synem Algierczyka, który ożenił się z Francuzką. Nie wiem, dlaczego Komisja Równości Ras uznała go za białego. Nie ma w nim żadnego podobieństwa do twojego przyjaciela.

Milczę, to mnie przerasta. Duchy, zjawy – szaleństwo świata.

– Jednak wykup go – proszę.

– Dobrze, ale po rozprawie – obiecuje Ada.

– Jeszcze jedno pytanie, Ada.

– Słucham.

– Żartowałaś z tymi psimi jajami? – pytam.

– Nie. Masz u mnie sto na sto punktów, ponieważ tego nie chciałeś. Ale to nie były żarty. Przy takiej stawce jądra trzech Beduinów to drobiazg. Twoja i moja głowa także. Na dzisiaj dosyć, Hubercie. Odpoczywaj, a ja wpadnę jutro.

Cześć, kapitanie – słyszę po chwili.

Zamykam oczy. Nie patrzę, jak Ada odchodzi. Wolę obserwować kolorowe plamy rojące się pod powiekami.

•

Cieszę się, kiedy po godzinie przychodzi Elza. Wiem już na pewno, że powierzą mi jakąś ważną misję. Wiem także, że się zgodzę. Byłe nie pozostać biernym widzkiem – fotografią barana.

Ale teraz słońce, spokój i śliczna Elza. Dziewczyna, która popadła w skrajność. Spowita w milczenie, siedzi jak zaklęta. Przyniosła nową chłodną karafkę z czymś, co wygląda jak rozwodnione czerwone wino, i kanapki z wołowiną. Ma także środki uspokajające.

– Elza, nie chcę prochów. Chcę papierosa – wykorzystuję cynicznie jej uczucia.

Nie zdążyłem dojeść drugiej kanapki, kiedy jest już z powrotem. Na wyciągniętej dłoni podaje mi trzy sztuki.

– Nasz technik pali, ale to bardzo szkodzi, kapitanie – przestrzega mnie.

– Wiem, Elza, słuchanie radia także. Masz zapalki?

Elza wyciąga z kieszeni fartucha papierowy bloczek.

Zapalam, zaciągam się dymem niczym wygłodniałe szczenię mlekiem. Dziewczyna siada na ławce, podciąga kolana i obejmuje je ramionami. Opiera brodę na kolanach i patrzy.

– Mogę przez chwilę z panem zostać? – pyta prosiącym tonem.

– Elza, wiesz, że tak. Tylko żebyś nie miała przez to kłopotów.

– Pani Ada już odjechała, a pokój zdążyłam posprzątać

dwa razy – odpowiada bez nuty tłumaczenia się.

– Lubisz Adę? – pytam, żeby przerwać milczenie.

– Tak, bardzo lubię. Pani Ada mnie uratowała. Tb było prawie trzy lata temu.

– Jak? Miałaś wypadek i nie chcieli przyjąć cię do szpitala? – zgaduję.

Widzę, że to nie jest dla niej przyjemne wspomnienie. Dziewczyna, zupełnie jak małe dziecko, zaczyna bawić się sznurowadłem swojego płóciennego szpitalnego pantofla.

Zaczyna mówić, nie przestając zaplatać na palcu białej tasiemki:

– Sąsiad bardzo chciał mieć nasze mieszkanie. Pobił mnie i zawiózł do swojej rodziny w innej dzielnicy. Trzymali mnie w piwnicy. Tam było bardzo zimno i mokro. Bardzo się bałam, nie dawali mi nic oprócz zgniłych jabłek i starego chleba. Sąsiad powiedział ojcu, że mnie nie wypuszczą, dopóki nie przepisze na niego prawa własności naszego mieszkania. Tata był bardzo chory i słaby. Mama poszła na policję, ale tam jej powiedzieli, że awantury autochtonów ich nie obchodzą.

– To on był biały? – pytam zaskoczony.

– Tak – potwierdza.

– Plugawy skurwysyn. Przepraszam cię, Elza. Dziewczyna zostawia w spokoju swoje sznurowadło, zaczyna nerwowo poprawiać spinkę we włosach.

– Mama poszła do punktu społecznej opieki prawnej. Tam właśnie miała dyżur pani Ada. Poszły razem na posterunek i pani Ada zrobiła tam piekło. Policja przyjechała po mnie, a policjantki były bardzo grzeczne. Później odwiozły mnie do domu, tata długo płakał. Później pani Ada dała mi skierowanie na kurs pielęgniarek, zaliczyłam go z najlepszą lokatą.

– A ten człowiek, to bydlę. Odczepił się od was?

– Tak, wyjechał ochotniczo osuszać bagna w delcie Mekongu. Nie było go przez półtora roku. Teraz kłania nam się z daleka – kończy opowieść niewinnym głosem.

– Mecenasa Ada, niezwykle.

– Lubi ją pan? – ożywia się Elza.

– Wiesz, Elza, czasami trochę się jej boję. Ale tak, lubię ją – odpowiadam.

– Podoba się panu?

– Nie wiem. To mój prawnik i tak staram się na nią patrzeć.

Dziewczynę wyraźnie cieszy moja mętna odpowiedź. Rozpogadza się, opiera się jedną ręką, rozprostowuje nogi. Teraz, pólżąc na ławce, wygląda niczym pozująca modelka.

– Jak tam jest, kapitanie?

– Gdzie, Elza?

– No tam, wysoko nad nami – zadaje pytanie, na które musiałem odpowiadać setki razy w życiu.

Kładę się na wznak. Zapalam drugiego papierosa, szary dym miesza się z białą chmur.

– Tam jest nieskończenie pięknie. Przestrzeń głębsza niż twoje sny. Śnieżne obłoki podobne do fantastycznych zamków stojących na srebrnych górach. I cisza, i absolutna wolność. Gdyby nie paliwo, żaden lotnik nigdy nie wróciłby na ziemię, zapewniam cię.

Elza siedzi cichutko jak myszka. Chyba stara się wyobrazić sobie to wszystko.

– Tak, siostrze, kiedy umieramy, nasze dusze zostają tam na zawsze. Jesteśmy dziećmi nieskończonego błękitu.

Papieros dopala się. Gaszę niedopałek w trawie, zapadam w drzemkę.

– Panie kapitanie – słyszę głos Elzy. Patrzę na słońce,

minęło chyba pół godziny.

– Panie kapitanie, chodźmy już do budynku. Chyba spiekł się pan na raka.

Elza denerwuje się, gorączkowo zbiera naczynia. Idę za nią, niosąc koc i piżamę. Ostre słońce zrobiło swoje. Kręci mi się trochę w głowie, kiedy kładę się na chłodną, świeżą pościel. Elza delikatnie naciera moje plecy kremem. Pieszczota jej dłoni uspokaja mnie. Szkoda, że zaborcza pani mecenas odprawia ją do domu. Pewnie dostanę teraz jakiegoś wąsatego, babskiego dragona. Nie zgodzę się. Jeśli mam wlecieć samolotem wypchanym chemteksem do pałacu Wielkiej Matki, zażądam wódki i pięknej dziewczyny, jak kamikadze przed ostatnim lotem. W półdrzemce jem szybko skromny obiad i zaraz zasypiam. Grzęznąć jeszcze we śnie, słyszę głos siostry:

– Kapitanie, proszę. Niech się pan obudzi, pora na kąpiel i kolację.

Podnoszę powoli lepkie od snu powieki. To, co widzę, sprawia jednak, że budzę się w ciągu sekundy. Na środku pokoju stoi Elza... zupełnie naga. Jednym ramieniem osłania piersi, w prawej dłoni tuli cię podbrzusza.

– Elza, dzieciaku, co ty wyprawiasz? Ubierz się natychmiast, wylecisz z pracy – szepczę głośno.

Odpowiada mi drżący głos dziewczyny:

– Tu na piętrze nikogo nie ma. Lekarka jest na parterze i przychodzi tylko wtedy, jeśli nacisnę dzwonek. I nie jestem dzieckiem, kapitanie.

Opuszcza lekko głowę i prostuje ramiona, odsłaniając całe ciało. Stoi tak bez ruchu – jest przepiękna. Szczupła i smukła niczym pień młodej brzozy. Jej długie nogi są etiudą czystej harmonii, trójkąt łona przechodzi płynnie w płaski, gładki brzuch. Gdyby jeszcze wybierano Miss Europy,

powinna otrzymać koronę przed rozpoczęciem konkursu.

– Musi się pan wykąpać. Pomyślałam, że nie będzie się pan wstydził, jeżeli ja także będę rozebrana.

Jej małe piersi wznoszą się i opadają w przyspieszonym oddechu. Umiera ze wstydu i jest jednocześnie podniecona.

– Jest pan pierwszym mężczyzną, przed którym tak stoję. Proszę, kapitanie, niech pan już ze mną pójdzie – mówi cicho.

Zrzucam kąpielówki. Biorę ją za rękę, na mojej dłoni zaciskają się chłodne palce. Idziemy korytarzem, podobni do pierwszych ludzi na świecie. Te marmury, tworzywa i metal nie pasują do nas. Adam i Ewa zawalili sprawę. Trzeba było wygnać z raju zawistnego Boga, który stworzył taki świat. I zostać tam, wśród wiecznej zieleni i łagodnych zwierząt.

W strudze wody dziewczyna delikatnie muska gąbką moje blizny. Myje mnie całego, jakby malowała obraz. Spowalnia półkoliste ruchy dłoni, żeby upajająca pieśczoła trwała jak najdłużej. Woda spływa po jej otwartych powiekach i rozchylnych ustach, mówiących wszystko bez jednego wypowiedzianego słowa.

Zamykam oczy, żeby moje ciało na zawsze utrwaliło ten dotyk. Czuję na skórze ucha jej wilgotne, ciepłe usta.

– Hubercie, jestem wszystkimi kobietami, które uratowałaś przed śmiercią... nie odrzucaj mnie.

Przywiera do mnie całym ciałem. Jej twarde piersi, gorący brzuch i delikatne jak jedwab, drżące uda zrastają się ze mną bez końca.

– Nie spotkam już kogoś takiego... nigdy. I więcej cię nie zobaczę, Hubercie.

Kłęczymy w kaskadzie ciepłego, tropikalnego deszczu. Dotykam jej twarzy. Przyciska moją dłoń policzkiem do szyi i ramienia. Wypuszcza ją po chwili z wilgotnej pułapki.

Wolno przechyla się do tyłu i kładzie na plecach. Zgina w kolanach nogi, rozkłada szeroko uda, aż nabrzmiewają ścięgna ich sklepienia. Jej ciało mówi: „Zobacz. Już nie mogę być bardziej naga. Przez całe moje życie robiłam wszystko, żeby być gotowa na tę jedną chwilę. Właśnie dla ciebie”.

Obejmuję jej biodra, unoszę je jak najcenniejszy skarb całego świata. Obdarowuje mnie, wyginając w łuk plecy. Trzymam w rękach giętkość i piękno młodej gazeli z tętniącego krwią pierwotnego żywiołu.

Woda spływa po moich plecach, karku i włosach. Patrzę w oczy dziewczyny, poruszające się pod na wpół zamkniętymi powiekami. Jej piersi unoszą się spazmatycznie wraz z coraz szybszym oddechem.

Ostatni głośny jęk zagłusza szum dziesiątków małych wodospadów, które nas przygarnęły. Leżymy niczym para zagubionych morskich stworzeń, wyrzuconych siłą nieokiełznanego sztormu z przepastnych głębin na ląd. I jak one, z wysiłkiem łowimy głębokimi haustami powietrze.

A później nadchodzi noc, wymarzona bezpieczna ciemność obok spełnionej kobiety. Elza śpi ze mną w moim łóżku, czuję na ramieniu ciężar jej główki. Łaskocze mnie ciepłym, rytmicznym oddechem. Warto przejść przez ogień za takie ciepło. Nie zasypiam, dopóki nie obudzi się, nie pocałuje ostatni raz i nie wyjdzie.

•

Rano, kiedy do pokoju wpada zdenerwowana Ada, Elza wchodzi właśnie ze śniadaniem. Owiewa ją subtelna aura tajemniczego zwycięstwa. Ale dostrzegam to tylko ja. Głos pielęgniarki brzmi pewnie, kiedy składa zwięzły raport z wczorajszego dnia. Nie drgnęła jej nawet powieka, nie

zadrzał głos.

Elza jest już prawdziwą kobietą, w starciu z którą najlepszy wykrywacz kłamstw jest tylko kupą żalosego szmelcu. Odrywam wzrok od Elzy, niepokoi mnie zachowanie Ady. Zazwyczaj pewna siebie i władcza, teraz krąży nerwowo po pokoju. Widać, że ubierała się w pośpiechu, pantofle i bluzka pasują do garsonki jak więzienny pasiak do cylindra. Ada odwraca się nagle do stojącej przy moim łóżku siostry.

– Elza, przykro mi, ale musisz zostać do jutra. Nastąpiły pewne zmiany i nie ma sensu wtajemniczać we wszystko innych. A ty, Hubert, kończ śniadanie. Twoja rozprawa jest już jutro, musimy porozmawiać – oznajmia nagle.

Jest tak zdenerwowana, że nie dostrzega uśmiechu Elzy, której rano zesłał jeszcze jedną noc rozkoszy. Dla mnie ta wiadomość oznacza koniec rajów oraz kamień w przelyku. Elza wychodzi, kiedy zakładam szlafrok. Od rana zachmurzyło się i ciągnie chłodem. Na portierni wszyscy gnący się w pokłonach pracownicy zostają uprzedzeni, żeby absolutnie nikt nam nie przeszkadzał. Idziemy do parku, poca mi się dłonie. Boję się zawsze, kiedy wróg jest niewidzialny i nie można spojrzeć mu w twarz.

Ada maszeruje szybkim krokiem, żeby za nią nadążyć, prawie biegnę. Przeszkadzają mi szpitalne kapcie i zaczynają piec szwy na pośladkach. Kiedy siadamy w końcu na naszej ławeczce, cicho syczę z bólu i muszę otrzeć pot z twarzy. Jestem jeszcze naprawdę bardzo słaby. Ada jest daleka od swojej wczorajszej, wyzywającej kokieterii. Wyjmuje z teczki notes w granatowej okładce, otwiera go. Przez chwilę wertuje kartki. Nie odrywając wzroku od rzędów równych, ręcznie pisanych literek, mówi:

– W tym szpitalu działa agent Wielkiej Matki, wiemy o

tym od dawna. Zresztą tego nie da się uniknąć. Agent milczał, nie wiedząc, po co tu jesteś. Stąd moja wczorajsza rozbieranka i ten masaż.

– Domyślałem się. Kobiety takie jak ty nigdy nie robią niczego pod wpływem emocji – kłamię.

– Gadasz od rzeczy, Hubert. Nie wyobrażasz sobie, jak mi się podobało – gasi mnie. – To, co robimy, to wielka, niebezpieczna gra. Teraz bierzesz w niej udział, czy chcesz, czy nie. Musimy wspierać sprawę Dodo. Niezależnie od okoliczności zachowajmy spokój i rozwagę. Jesteś pilotem, wiesz, co to znaczy – mówi dalej z powagą.

– Rozumiem, Dodo walczy ze swoją ukochaną małżonką. A ja jestem pionkiem na szachownicy.

Ada odwraca się do mnie.

– Wielka Matka straciła kontakt z rzeczywistością. Otacza ją zgraja kadzących jej karierowiczek, które mało się przejmują losem świata. Chcą tylko władzy dla samej władzy. Chcą zaszczytów i pieniędzy, reszta ich nie obchodzi. Dodo od dawna sprzeciwia się temu. Staramy się ratować, co jeszcze można. Na razie nie możesz wiedzieć więcej.

Ada zapala papierosa, drażni mnie wonnym dymem, lecz nie śmiem jej poprosić.

– Twoja jutrzejsza rozprawa to uderzenie we mnie, nie w ciebie. Na szczęście nie wiedzą, do czego będziesz nam potrzebny. Zabiłyby cię, gdyby wiedziały.

– Tego nie wiem nawet ja – stwierdzam.

– Dowiesz się wszystkiego po rozprawie, obiecuję – mówi, dotykając mojej dłoni. – Na razie są pewne, że hoduje sobie kochasia niewolnika. To w naszym świecie zdarza się często. Większość kobiet jest feministkami tylko dla kariery. Teraz dziewczyny Starej cieszą się, że mają na mnie haka i

zrobią mi głupi numer, przyspieszając rozprawę. Liczą też na to, że nie zdążę się przygotować i przegram. Zresztą może to ostrzeżenie? Nie jestem jasnowidzem, nie zawsze można przewidzieć ich motywy działania – wyznaje szczerze.

Słuchając Ady, nagle uświadamiam sobie, że właściwie każdej jej zdanie to zdrada stanu. Przypominają mi się wszystkie szpiegowskie filmy. Kładę ostrzegawczo wskazujący palec na ustach, psykając nerwowo. Ada patrzy na mnie z politowaniem.

– Masz mnie za idiotkę? Mamy najlepszy sprzęt na świecie. Słyszą tylko świergot ptaków i buczenie muszek. Jestem jednak pewna, że szefowa wywiadu oglądała wczoraj do kolacji piękne fotki, na których czule masujesz mój tyłek. Przekaze je natychmiast pani prokurator, która będzie twoim oskarżycielem. Przed rozprawą dowiem się o tym. Dosyć drętwej rozmowy, Hubercie, dziewczyna z teleobiektywem gdzieś na drzewie dwa kilometry stąd umrze przez nas z nudów. Zakochani nie gędzą przez całą randkę. Przybliź się do mnie, weź za rękę i całuj. Tylko tak z języczkiem. Później przelecisz mnie na trawie, tylko nie na serio. Inaczej agentka uwieczni moment, kiedy skręcam ci kark. Jak będziesz na mnie leżał, pogadamy spokojnie – mówi, ściskając mocniej moją dłoń.

Obejmuję ją w talii, jak na staroświeckiej fotografii z wycieczki zakochanych. Ada przymyka oczy i rozchyła usta. Są słodkie i pełne. Jestem jednak zbyt spięty, żeby poczuć choć odrobinę namiętności. Gniotę niezręcznie jej wargi swoimi, markując podniecenie.

Ada odchyła głowę.

– Hubert, co ty wyprawiasz? Cholera, domyślą się. Ściągaj szybko spodnie – rozkazuje.

Wstaję, niezdecydowanym ruchem ściągam spodnie od

piżamy. Ada szybko rozpiną bluzkę, zdejmując pantofle, podciąga spódnicę i zsuwa majtki. Kładzie się na trawie z rozchyłonymi udami. Stoję oniemiały z portkami na piętach, patrząc na jej białe uda i ciemne łono, które przecina różowawy szlak.

– Hubert, dobijasz mnie. Nie gap mi się w krok, włącz w końcu – jęczy Ada.

Kładę się na jej miękkim, pachnącym ciele. Ręce Ady obejmują moje plecy. Przejęty, zaczynam nagle tłumaczyć się przed nią:

– Nie obawiaj się, kiedy jestem spięty, jestem kompletnie do niczego. Nie nadaję się na aktora pornosów.

– Myślisz, że ja się nie wstydzę? Ta cipa z teleobiektywem ma nas jak na patelni. Hubert, zapomniałeś, co robi na kobiecie normalny facet? Poruszaj trochę swoim łaciatym tyłkiem. Proszę, nie mogę cały czas myśleć za ciebie.

W jej oczach, zielonych jak trawa, drzemie ukryty lęk. Głos wibruje na skórze mojej twarzy.

– Jeszcze dziś pani prokurator obejrzy nowe zdjęcia. Mam dla niej lepszą niespodziankę, nie wyłączy mnie ze sprawy za zażyłość z klientem. To tylko szczegół. Prawdziwy problem polega na tym, że nie wszystko jest dobrze przygotowane. Musimy trochę improwizować, a ja nienawidzę prowizorki. Sztukowana guma w majtkach pęka zawsze, gdy właśnie wręczają ci medal. Hubert, szybciej i czasem cmoknij mnie w buzię albo pogłaszcz po biuście – upomina mnie i natychmiast wraca do sprawy: – Sąd jest nasz i większość ławy społecznej także. Ty jesteś głupkowskim lotnikiem, szpanerem bez ambicji. Nie wychylaj się, nie rwij szat. Tu nie chodzi o żadną sprawiedliwość. Tylko o to, żeby cię z tego wyciągnąć. Hubert, więcej energii. Jesteś, kurczę,

Rasputinem. Taka niewyżyta dziwka jak ja nie chroniłaby jakiegoś dupka – dudni znowu w moim uchu.

Zwiększam amplitudę teatralnych ruchów, ale dyszeć zaczynam na serio.

– To istotne dla ciebie. Gdyby jednak nastąpiła kłapa – kontynuuję z sapaniem wymuszonym przez moje podrygi – nie bój się, nie zostaniesz na lodzie. Załatwię ci odsiadkę w lekkim agroobozie. Poobierasz sobie kapustę najwyżej przez dwa miesiące i wyjdiesz na wolność. Tak czy inaczej, po rozprawie poznasz naszą propozycję. Możesz się na nią nie zgodzić. Ukryję cię wtedy na zawsze przed światem i będziesz pracował dla nas w inny sposób. Choć szczerze wątpię w twoje „nie”, Hubercie.

Zaczynają opuszczać mnie siły. Pytam, sapiąc nerwowo:

– To ma związek z moim zawodem?

– Tak. Więcej ci teraz nie powiem. Uwaga, teraz krzyknę sobie dla zasady, nie przestrasz się. Muszą usłyszeć to w szpitalu – ostrzega Ada.

Jej miłosny zew spełnienia wypełnia przestrzeń i moją głowę. Opadam bezwładny.

– Poleż sobie chwilę, mój biedny kochanku na niby. Odsapnij. – Ada głaszcze mnie po włosach.

Leżymy bez słowa przez kilka minut, później Ada delikatnie tarłosi mnie za ramię.

– Muszę już jechać. W szatni jest torba z twoim ubraniem i kosmetykami. Masz być gotowy o ósmej rano – mówi cicho.

Kiedy wracamy do szpitala, uginają się pode mną kolana.

– Mogłeś jednak spróbować naprawdę. Twojemu karkowi chyba nic nie groziło – kpi ze mnie Ada i znów śmieją jej się oczy.

– Ada, potrzebuję wina i muzyki. I ciebie w blasku świec.

Obiektyw w tyłku psuje nastrój, mówiłem ci – odcinam się niezręcznie.

Zbliżamy się do czerwonego ceglanego muru szpitala. Ada nie wchodzi tam ze mną. Dostaję na pożegnanie prawdziwy, rozkoszny pocałunek.

– Do jutra, Hubert – słyszę, kiedy przekraczam próg.

Leżąc w łóżku, dyszę ciężko. Zaczynam bać się kobiet. Dwie walczą o mnie jak o łup. A trzecia, psychopatka, chce przyszyć mi do czoła mojego własnego kutasa. Może jednak wiać na wysypisko?

Rozmyślenia przerywa Elza. Naga wślizguje się pod kołdrę i bez skrępowania domaga miłości, w której zdążyła się rozsmakować. Od teraz już zawsze będzie jej szukać – aż do dnia, kiedy zamknie oczy i więcej ich nie otworzy.

•

Budzę się tuż przed świtem. Minęła noc, a ja jestem zmęczony jak po ciężkim locie nad oceanem. Stres i miłość zupełnie mnie wykończyły. Całuję ciepłe, różowe, przypominające skórę chomika ucho śpiącej słodko Elzy. Budzi się. Zaciska jak dziecko dłonie w piastki i przeciąga się z cichym westchnieniem. Kiedy dociera do niej, że to już ranek i noc – która miała trwać wiecznie – skończyła się, zaczyna płakać. Płacze, kiedy biegniemy pod prysznic. Płacze w strugach wody, które płyną po jej twarzy razem ze łzami. Płacze, kiedy ją wycieram. Szlocha, przynosząc mi kawę i śniadanie. Nie wiem, czy udało jej się ukryć rozpacz na portierni, kiedy musiała tam pójść po moje ubranie. Jeżeli czyjś czujny wzrok dostrzeże jej łzy, na pewno doniosą o wszystkim Adzie. To było o jedną noc za dużo dla jej serca, sparaliżowanego pierwszą miłością.

Wraca z torbą, ciska ją na podłogę i rzuca mi się na szyję. Trwamy tak przez kilka minut. Głaszczę ją po głowie i staram się uspokoić. Przez jej szloch prawie zapominam o swoich kłopotach. W końcu udaje mi się jakoś ogolić z Elzą wtopioną w moje plecy. Następnie ubieram się w przepiękny sportowy garnitur. Dziewczyna zamiera, kiedy staję w nim wyprostowany przed lustrem. Zakochała się w pokancerowanym facecie w pogniecionej szpitalnej piżamie. Widzi teraz przystojnego playboya. Moja nagła metamorfoza powoduje atak nowych spazmów. Znowu tulę ją długo w ramionach, na klapie jasnej marynarki rośnie wielka ciemna plama jej łez. Już wiem, że wpadniemy, i nie dbam o to. Szepczę w nieskończoność jej imię. Teraz zrobiłbym wszystko, byle przestała płakać. Wtedy unosi podpuchniętą twarz i patrząc mi w oczy, mówi:

– Idź już, idź, proszę. Samochód czeka na dole. Pamiętaj o mnie, gdziekolwiek będziesz. Idź, kochany.

– Nie zapomnę cię, Elza – tylko tyle mogę wydusić. Udziela mi się jej wzruszenie i zatyka gardło.

Kiedy dochodzę do drzwi, dziewczyna rzuca się ze szlochem na łóżko. Czuję się podle, jakbym okradł dziecko. Niepotrzebnie uległem. Wychodzę na zewnątrz ze zwieszoną głową.

Na podjeździe stoi czarna rządowa limuzyna z przyciemnianymi szybami. Czyjaś ręka uchyla drzwi. Zapadam w pachnący skórą półmrok.

– Cześć, Hubercie. O, czymś się oblałeś – słyszę głos Ady.

– Tak – odpowiadam suchym warknięciem, rozglądając się po wnętrzu pałacu na kółkach. Dostrzegam wykładany wiśniowym drewnem barek.

– Ada, chcę lampkę koniaku.

Z tyłu ktoś pakuje moje manatki do bagażnika, zamyka kufer. Wóz rusza miękko, falując na resorach jak jacht płynący po spokojnym jeziorze.

Ada otwiera barek i bez słowa napełnia dwa kieliszki bursztynowym koniakiem. Jego aromat poczuł na pewno sam Dalajlama na szczytach Tybetu. Biorę kieliszek drżącą z przejścia dłonią, nie piłem takiego od kilku lat. Ada stuka się ze mną szkłem.

– Za powodzenie. Teraz trochę poboli, a później odwiedzimy twoje stare mieszkanko i zabierzemy cenne pamiątki. Wieczorem możemy pójść na kolację lub gdzie tylko chcesz – wznosi toast.

Wypijam destylowane serca winogron jednym haustem.

– Proszę o dokładkę, pani mecenas. Bardzo mi smakował i był potrzebny. Twoja Dodo nie ukręci ci chyba głowy – nalegam.

– To moja limuzyna i koniak także, ale nie pij więcej. Możesz nabrać odwagi i narozrabiać w trakcie rozprawy. Nie potrzebujemy kłopotów – ostrzega, wypełniając jeszcze raz kieliszki płynną rozkoszą.

Tym razem upajam się smakiem, rozcierając małe porcje alkoholu po podniebieniu. Mijamy szpalery drzew na pustej szosie dalekiego przedmieścia. Ada sączy swój koniak w milczeniu, co mnie niepokoi.

– Ada, powiedz coś. To ostatecznie mój proces.

– Pani prokurator przed północą dostała odbitkę swojej starej fotografii. Tuli się na niej do pewnego białego faceta.

Przez chwilę nie wiem, co mam powiedzieć.

– To chyba nie jest jeszcze karalne? – pytam z wahaniem.

– Jeszcze nie jest. Chyba że facet jest w mundurze wyższego oficera Ku-Klux-Klanu i obejmuje swoją dziewczynę pod flagą amerykańskiego Południa. Teraz

wszystko zależy od tego, czy ona zrozumie, że ma przyjść na rozprawę i nie naciskać, czy też schowa głowę w piasek i zostanie pod jakimś pretekstem w domu. Jeżeli za bardzo się przeraziła, poprosi kogoś o zastępstwo. Wtedy nie wiem, z kim będę walczyć – odpowiada.

– I co wtedy, Ada?

– Znajdę jakiś błąd w procedurze i odroczy my rozprawę. Na nową prokurator też znajdziemy jakiegoś haka. A nasza wielbicielka płonących krzyży wylądjuje na śmietniku i już się z niego nie wygrzebie.

– To wszystko brzmi strasznie – mówię.

– A co, myślałeś, że robimy na drutach zagryzając ciasteczkami? To walka o władzę, twarda i bezwzględna jak wszędzie i zawsze.

Ada przez chwilę szpera w swojej teczce.

– To ona – mówi, podając mi fotografię.

Patrzę na twarz ciemnej blondynki o ostrych, zdecydowanych rysach. Zdjęcie zrobione jest na placu zabaw. Elegancka kobieta w rozłożystym kapeluszu ozdobionym sztucznymi kwiatami trzyma za rączkę pięcio-, może sześćioletnią dziewczynkę. Dziecko wygląda na Mulatkę o bardzo ciemnej, prawie oryginalnej karnacji.

– Stać ją było na katalogowego nababa – stwierdzam z podziwem.

Ada patrzy na mnie z politowaniem.

– Stać ją było na tygodniową sesję z najdroższym nababem dla wyższych sfer. Byli w Alpach. Wynajęła piętro luksusowego ośrodka narciarskiego dla jego całego dworu. To ostra kosa z towarzystwami, ale jak mi podskoczy... – Ada nie kończy zdania, unosi kieliszek i zwilża koniakiem wargi.

– Może trzeba było dać jej fotkę przed samą rozprawą. Nie mogłaby się już wycofać.

– Hubert, jesteś uczciwym człowiekiem. Nic nie wiesz o ludzkim strachu. Gdybym zrobiła tak, jak mówisz, zaskoczona, mogłaby z przerażenia stać się nieobliczalna. Prawdziwy strach potrzebuje czasu, musi dojrzewać jak wino. Największym wrogiem człowieka jest jego własna wyobraźnia, która nie pozwala zasnąć. Nie można też dać celowi zbyt wiele godzin do namysłu, bo ze swoim strachem można się w końcu oswoić. Hak wczoraj przed północą to była dobra pora – mówi w zamyśleniu.

– Jak sądzisz, przyjdzie? – pytam, patrząc na pierwsze większe budynki widoczne zza przyciemnianej szyby.

Ada bierze fotografię z mojej ręki, jej dłoń jest sucha i chłodna. Chowa zdjęcie do teczki.

– Nie jestem pewna, to wszystko to cholerna prowizorka. Pamiętaj, Hubert, ty masz tylko milczeć i miło się uśmiechać. Reszta to mój problem – mówi, stukając lekko szkłem w mój kieliszek.

– No, nie wiem, Ada. To nie ty będziesz zginać kark na plantacji – wyrażam wątpliwość.

Ada uśmiecha się pierwszy raz dzisiejszego dnia.

– A skąd wiesz, czy mnie to kiedyś nie spotka? Z tobą to brzmi nawet przyjemnie. Skromna chatka z blachy falistej, żadnych stresów. Życie proste i piękne. Wieczorem na ganku oglądałabym zachodzące słońce, przytulona do twojego silnego ramienia. Już ci mówiłam. Masz powodzenie, każda chce cię mieć tylko dla siebie. Katrin także – kończy, wymawiając twardo jej imię.

Wzdłuż kręgosłupa przepływa mi zimny dreszcz. To chyba bat za Elżę. Dopijam swój koniak w milczeniu. Otwieram barek i bez pytania biorę papierosa ze srebrnej puszki. To pozwala opanować niezręczne milczenie. Dojeżdżamy już do miasta, przez dym obserwuję gęstniejący

uliczny tłok. Wszystkie wózki, riksze i lektyki pierzchają przed nami jak przestraszone kurczaki. Odgradzony od nas ciemną szybą kierowca, pewnie piękna brunetka, prawie nie używa klaksonu. Z niepowtarzalną perfekcją prowadzi wóz pomiędzy objuczonymi kosztami pieszymi i straganami, które wylewają się aż na jezdnię. Ada przerywa w końcu niebezpieczną ciszę.

– Na dzień dobry czeka cię niestety niezbyt miła niespodzianka. Teoretycznie jesteś zwykłym aresztantem. Nie możesz wejść na salę rozpraw wprost z korytarza. Musisz być doprowadzony przed oblicze sądu przez policję z aresztu. Pójdiesz do celi na jakieś pół godziny. Staraj się nie okazywać wyższości i nie zadzieraj z policjantkami oraz strażniczkami aresztu. Bywają nieprzyjemne. Rozumiesz, dużo władzy, tłuste tyłki i małe łebki. Nie daj się sprowokować. Siedź cicho i myśl o wieczornej kolacji.

– Będzie rewizja? Nienawidzę tego – pytam, patrząc na klamkę w drzwiach limuzyny.

– Nie. Nie będzie żadnej rewizji – rozwiewa moje obawy Ada.

Dopałam papierosa. Wjeżdżamy już w zabudowania gigantycznego kompleksu sądu dla stolicy Europy. Na ogromnym dziedzińcu stoi pomnik Pierwszej Matki prowadzącej za rękę ociemniałą Temidę. Dalej jest brama i kolejny dziedziniec. Budowle tworzą prawie samodzielne, autonomiczne miasto o powierzchni kilku olimpijskich stadionów. Główny budynek, górujący nad resztą na dobre piętnaście pięter, przypomina monstualną kopię pałacu cesarza Dioklecjana w Splicie. Tylko osoby tam zatrudnione nie mają pojęcia o rzymskim *civis*. Pod togami obywateli noszą staniki. Kohorta, centuria – to słowa dla nich obce i niezrozumiałe. Za słabe, by rzucić w niedźwiedzia

oszczepem, by mieczem rozłupać czaszkę wroga albo przebić go bagnetem, uczyniły z prawa swoją tarczę i narzędzie nieudolnej władzy. Staliśmy się przez naukę zbyt potężni, nie mogliśmy już z nikim walczyć bez unicestwienia świata. Oddaliśmy im rządy. To koniec wszystkiego, co stworzyliśmy. One nie potrafią tworzyć, mogą tylko naśladować.

– Ile was tu pracuje? – pytam, patrząc na niebotyczną budowlę.

– Dokładnie nie wiem, razem z administracją około dwunastu tysięcy. Kiedy zsynchronizujemy okres, zatykają się najgrubsze rury. To przez te nowe: nałogowo wyrzucają tampony do sedesów. Wtedy szambo zalewa archiwa w piwnicach. Nazywamy to „śmierdzącym przypiływem”. Sędziny przypominają wtedy wściekle dobermany i walą najwyższe wyroki. Dla oskarżonej to okoliczność łagodząca, ale prawo wstydzi się przyznać, że sędzia także może mieć okres. Mamy szczęście, że „przyływ” skończył się kilka dni temu. To zresztą jedyne dni, kiedy widać tu facetów bez kajdanek. Odkładają te cholerne rury z regularnością naszych miesięczek – wyznaje szczerze Ada.

Samochód wtacza się tymczasem na mniejszy dziedziniec. Widzę dwie czekające na nas policjantki. Rzeczywiście mają wielkie biusty i grube tyłki. Wsiadam z bezpiecznej, pewnie opancerzonej skorupy, by oddać się w ręce prawa. Policjantki z unізoną uprzejmością witają Adę. Przez wzgląd na nią nie zakładają mi kajdanek. Prowadzą nas do wejścia oznaczonego literą „F”. Ada macha mi na pożegnanie ręką. Wchodzę z eskortą do krótkiego korytarza klatki schodowej. Prowadzą mnie schodami w dół, do aresztu w piwnicy gmachu. Szybko przekazują mnie policji mającej pod dozorem areszt. Zaraz zatrząskuje się za mną krata drzwi

celi. Siadam na obitej poplamioną ceratą leżance. To jedyny mebel w mikroskopijnej przejściowej celi, dwa na dwa metry. Czuję się jak doświadczalna małpa w klatce, gdy po drugiej stronie kraty zjawiają się trzy policjantki. Gapią się na mnie bez słowa, mają prymitywne, wulgarne twarze.

– Chodźcie, dziewczyny, mamy tu kogucika pani mecenas Witte – woła w głąb korytarza jedna z nich.

Z głębi pieczary aresztu odpowiada jej niski, zachrypnięty, prawie męski głos:

– Tej, co liże piczę samej Dodo?

– Tak. To ta podpicowana lesba i jej dogadzac – potwierdza podeksycytowana policjantka.

Nadchodzą dwie nowe. Jedna z nich mogłaby przerazić na śmierć samego Kubę Rozpruwacza. Mała, gruba, przypomina ważący sto pięćdziesiąt kilogramów kwadrat z doczepionym łbem brązowego buldoga. Patrzę ze zdziwieniem, jak powoli wyciąga z uchwytu przy pasku czarną pałkę i zaczyna ją lizać.

– Tak ci robi, koguciku, co? A potem ty jej wsadzasz. Ile razy możesz ją zerznąć, że zawyje jak suka? Pochwal się nam, pizdolie!

Odwracam się do ściany. Wiem, że za bardzo boją się Ady, żeby tu wejść. Tyle że sobie pogadają. Tylko nie dać się sprowokować – uspokajam się w myśli. Ogarnia mnie jednak groza na samą myśl, co robią z innymi aresztantami. Zboczony potwór sapie dalej:

– Może nam też wsadzisz? A może mamy za mało szmalu? Nie podobamy się panience? Powiedz, ile ci płaci twoja pańcia, mała kurewko.

Opieram głowę na dłoniach i zatykam uszy. Słyszę dudniący rechot i dudnienie własnej krwi. Mógłbym rozwalić jej łeb, nawet przez te kraty. Tylko spokój – upominam się.

– Poczekaj, dziewczynko. Kiedy przegrasz, wrócisz do nas, laleczko. Wtedy wsadzę ci moją Krysię w dupę aż po rękojęść. Będiesz, kurewko, wyć z rozkoszy – drażni mnie dalej buldog przy wtórze udających śmiech porykiwań koleżanek.

Śmieją się z własnej prymitywnej głupoty. Są samym dnem kloaki. A jednak sprawiły, że z wściekłości drżą mi kolana. Oddycham z głęboką ulgą, gdy słyszę głos dyżurnej aresztu.

– Jugenmann! Na rozprawę – woła.

Buldog otwiera kratę. Kiedy wychodzę, klepie mnie z rozmachem w tyłek. Krew w ułamku sekundy zalewa mi oczy. Na szczęście dyżurna w porę łapie mnie z wprawą za łokieć.

– Idziemy – rozkazuje stanowczo, popychając mnie w plecy ramieniem.

Żegna mnie okrzyk kwadratowej strażniczki.

– Moja Krysia czeka, dziewczynko!

Nie odwracam się, za pół godziny koszmar powinien minąć.

•

Wychodzimy z podziemi, dołącza do nas druga policjantka. Te dwie wyglądają i zachowują się o niebo lepiej od degeneratów z aresztu. Jedna z nich prosi mnie o rozwagę, inaczej będą zmuszone założyć mi kajdanki. Obiecuję spokój. Powoli odzyskuję grunt pod nogami. Mijamy po drodze dziesiątki korytarzy i pokonujemy kilka pięter windą. Wszędzie widać gromadki kobiet w togach i mundurach. Najliczniejsze są jednak cywilne pracownice sądu. Wszystkie razem szemrzącą masą wypełniają szczelnie wnętrza fabryki

wyroków. Poruszają się szybkim, nerwowym, wyrażającym powagę ich roli krokiem. Te z aktami w szarych tekturowych teczkach prawie biegną. Od czasu do czasu mijają nas inni konwój. Wszyscy prowadzeni mężczyźni mają na rękach kajdanki i patrzą zdziwionym wzrokiem na moje swobodne nadgarstki. Uważają mnie za szczególnie cennego kapusia, którego musi pilnować eskorta – odczytuję ich wzrok.

Po kilku minutach wchodzimy do ogromnej sali, przypominającej aulę mojej politechniki. Ławy z czarnego tworzywa wznoszą się piętami do tylnej ściany, ostatni rząd sięga do połowy jej wysokości. Widzę kilkadziesiąt siedzących tam kobiet, stanowiących publiczność. Z przodu wznosi się podium, na którym stoi ogromny stół sędziowski. Po bokach znajdują się biurka stron procesowych ze sterzącymi prętami mikrofonów. Wszędzie wiszą portrety Pierwszej Matki oraz slogany propagandowe. Nie mam czasu ich czytać. Zbliżamy się do biurka, za którym siedzi skupiona Ada. Policjantki podprowadzają mnie do niej i wracają, by zająć miejsce przy wejściu.

Siadam obok mojego obrońcy. Ada jest podenerwowana niczym student przed trudnym egzaminem. Przez krótką chwilę dotyka mojej dłoni.

– Nie jest dobrze, Hubert. Coś się szykuje. Chyba nasza prokurator kupuje właśnie bilety na Antarktydę.

– Wiesz już, kogo wybiorą na zastępstwo? – pytam zaniepokojony.

– Nie wiem. Będą losować z „kosmetyczki”.

Do sali wchodzi grupa wesoło i swobodnie rozmawiających kobiet.

– To ława społeczna... są trzy nasze. To za mało. Coś się dzieje, Hubert – powtarza Ada.

Grupa trzynastu sędzin społecznych, nie przerywając

paplaniny, zajmuje miejsca po naszej lewej stronie. Tylko cztery są białe, reszta to Afrykanki, Hinduski i Azjatki. Na razie zajęte są plotkami, nie patrzą na nas. Przyglądam się jednej z Afrykanek, trochę przypomina mi buldoga z aresztu. Ogarnia mnie pierwotny lęk. W tej samej chwili Ada kopie mnie pod biurkiem w stopę.

– Jest, przyszła z córką. To prośba, żeby nie niszczyć jej kariery. Nie będzie naciskać – mówi z ulgą na widok dystyngowanej, znanej mi z fotografii kobiety, prowadzącej za rączkę kilkuletnią dziewczynkę.

Tamta tylko raz spogląda na Adę pełnym wściekłości wzrokiem. Teraz także ja oddycham z ulgą, widząc, z jaką troską sadza dziewczynkę na krześle.

– Masz rację, nie wygląda na kogoś, kto chce zniszczyć przyszłość sobie i dziecku – szepczę do Ady. Rozglądam się jeszcze raz po sali. – Ada, gdzie są pokrzywdzeni? To znaczy ci, co mnie napadli, i chłopak?

Odpowiada, nie odrywając wzroku od swoich papierów:

– Nie przyjdą. Muzułmanie nigdy nie przychodzą, gardzą naszym prawem oraz sądem. Reprezentuje ich prokurator jako oskarżyciel. O chłopcu opowiem ci później.

Nagle z korytarza dobiega do nas ogłuszający łoskot bębnow i rytmiczny śpiew. Dźwięk przybliża się i oddala, jakby kapela zebrała się na jednej stronie wirującej teatralnej sceny. Ada zamyka oczy i zaciska pięści, aż bieleją jej palce. Dostrzegam, jak na ustach prokuratora pojawia się przelotny uśmiech.

Do sali wtacza się podrygujący w tańcu orszak. Patrząc osłupiałym wzrokiem na tancerki w barwnych sukniach, śpiewaków w wiśniowych turbanach oraz kilku facetów z podłużnymi bębnami. Prowadzi ich wszystkich gruba Murzynka w todze udrapowanej na kształt wiktoriańskiej

sukni, z dziwacznym, przypominającym bawole rogi czepcem na głowie. Ma tłustą, spoconą twarz z karykaturalnie szerokim nosem. W pełnych ustach trzyma grube cygaro. Wyjmuje je co kilka kroków spomiędzy warg, bierze do ręki i zatacza nim nad głową koło, wypuszczając jednocześnie z ust wielki kłęb dymu. Wygląda wtedy niczym staroświecki zasapany parowóz, ciągnący kolorowe, cofające się w tył i jadące przez chwilę do przodu wagony. Rogatą kobietę, jak Księżyc Ziemię, okrąża chudy, przypominający dwumetrową zapalną facet w czarnym surducie i cylindrze, z twarzą pomalowaną na trupią biel. Groteskowy jegomość wymachuje z wprawą tamburmajora długą laską z miniaturą ludzkiej czaszki na końcu. Kiedy jest zwrócony w stronę publiczności, wyciąga język i przewracając oczami, wydaje z siebie gulgoczący dźwięk. Korowód powoli zbliża się do sędziowskiego podium. Trwa to długo, ponieważ jego uczestnicy robią do przodu cztery kroki, żeby za chwilę cofnąć się dwa do tyłu, przez cały czas wyginając rytmicznie ciała w takt bębnow. Całość wygląda jak kolorowa gaśienica motyla, która nie może się zdecydować, czy wejść na smaczny liść, czy też raczej zejść po łodydze w dół. Wszyscy na sali powstają z miejsc. Część sędzin społecznych oraz kobiet w ławach publiczności zaczyna tańczyć i rytmicznie klaskać, podejmując pieśń za refrenem z korowodu. Kręci mi się w głowie.

– Ada, do ciężkiej kurwy, co to jest, cyrk czy sąd? – pytam, oszołomiony widowiskiem.

Ada stoi ze spuszczoną głową. Syczy w blat biurka:

– Stul dziób, wstawaj i klaszcz.

Wstaję i kłapię bezgłośnie dłońmi, patrząc, jak rogata baba wdrapuje się na krzesło za sędziowskim podium. Przez łoskot oklasków dociera do mnie głos Ady.

– To Mądra Bawolica, księżniczka Herero, Johanna. Najlepsza kumpela Starej. Módl się, Hubert, za siebie i za mnie.

Opadam na krzesło, jakby ktoś napełnił mi tyłek łożem.

Sędzia nie przestaje kopcić cygara, a chór nucić pieśni. Wszyscy na sali zdążyli usiąść, stoi tylko facet w cylindrze oraz orszak księżniczki. Ada milczy, widzę, że próbuje się skoncentrować. Nie przeszkadzam jej, choć mam tysiące pytań. Niespodziewanie księżniczka wyjmuje z ust cygaro i zaczyna mamrotać coś pod nosem. Czarno-biały asystent zdejmuje błyskawicznie cylinder i gorliwie przyciska ucho do blatu biurka koło jej lewej dłoni. Po wysłuchaniu relacji prostuje się, wykonuje imponujący wyskok w górę i po wylądowaniu z powrotem na parkiecie oznajmia radośnie w łamanym europejskim:

– Mądra Bawolica przemówiła, ooooo!

Chór natychmiast podejmuje okrzyk, a bębny przyspieszają rytm, aż wibruje metalowy światłopis na blacie naszego biurka.

Trupia głowa łamie grzbiet pod kątem prostym i znowu przykleja ucho do biurka.

– Mówi! Mówi! Głosem Bawoła! Ooooooo! Głosem Burzy! Rykiem Lwicy! Mówi, niech mówią usta prawdy! Ooooo! – komentuje dalej, a chór powtarza za nim każde słowo.

Tłum ogarnia chwilowa euforia. Bębniści walą w napięte skóry, aż czuję pękające szwy czaszki. Ada, udając zamyślenie, lekko przytyka dłonie do uszu. Nasz szok zostaje rozebrany do naga na środku ulicy, gdy w ułamku sekundy na sali zapada cisza katakumb. Przełykam ślinę, nad moimi powiekami zapanował nerwowy tik. Mrugam nimi bez żadnej

kontroli, dopóki nie powstrzymałem ich dłonią. Słyszę teraz chrząkanie w mikrofon, otwieram oczy i widzę stojącą za biurkiem oskarżycielkę. Poprawia toę i znowu chrząka, grzebiąc w swoich papierach. Wreszcie zaczyna.

– Wysoka Bawolico! – Przez salę przelatuje szmer. Oskarżycielka ploszy się lekko i natychmiast poprawia. – Wielka Mądra Bawolico, sędzino! Siedzi tu oto na ławie oskarżonych człowiek, który za nic ma normy współzycia społecznego. Kilka razy tego samego dnia złamał prawo. Uciekł z komisji psychawioralnej, raniąc jedną z pań psychologów. Posiadam obszerne pisemne zeznanie członkiń komisji oraz samej poszkodowanej, która ze względu na nawał obowiązków nie mogła stawić się osobiście na rozprawę. Następnie pobił dotkliwie dwu synów pustyni, z których jeden ma złamaną szczękę, drugi natomiast naruszone kręgi szyjne.

Oskarżycielka zawiesza głos, widząc, jak Mądra Bawolico kręci z niedowierzaniem głową tonącą w szarej mgłę tytoniowego dymu. Ucho asystenta czeka już w gotowości na stanowisku. Bawolico mamrocze coś pod nosem. Po chwili biała czaszka szybuje w górę jak wyrzucona w powietrze bilardowa kula. Łąduje, przytrzymując z wdziękiem czarny cylinder, a stopka laski wali z grzmiotem w podłogę.

– Zły biały, bardzo niedobry biały. Mądra Bawolico smuci się – oznajmia.

Przez salę przelatuje jęk, który akompaniament chóru i dźwięk bębnow rozciąga w namiętne pasmo rozpaczy. Pot na moich plecach zmienia się w rzekę, niosącą lodowatą kaskadę w dół kręgosłupa. Kładę dłoń na udzie Ady. Słyszę tylko:

– Spokojnie, Hubert, i zabierz łapę.

Oskarżycielka perfekcyjnie wykorzystuje moment, kiedy

chór nabiera powietrza w płuca, i natychmiast kontynuuje:

– W dodatku próbował wprowadzić ucznia odbywającego szczęśliwą praktykę u dobrych synów pustyni oraz rozbił ich wartościową amforę. Świadek, który powstrzymał oskarżonego przed popełnieniem dalszych przestępstw, twierdzi, że ten musiał znajdować się pod wpływem złego ducha i czarów. Przychylam się do tej wersji, ponieważ wcześniej nie był karany.

Głos oskarżycielki tonie w zamęcie. Mądra Bawolica wypuszcza nerwowo ogromne kłęby dymu, popluwając na podłogę z obu stron krzesła. Facet w cylindrze podskakuje, wykrzykując coś nerwowym skrzekiem. Chór natomiast wraz z asystą nuca jakąś groźnie brzmiącą pieśń. Zaszło mi w gardle, rozglądam się za wodą, która na filmach zawsze stała w karafce obok oskarżonego. Niczego takiego tu nie ma.

– Zrób coś. Zatlukaj mnie – proszę moją obronę chrapliwym głosem, niemal oszalały z przerażenia.

Ada nachyla się do mikrofonu i z jej ust wydobywa się wzmocnione głośnikami, długie, przeciągłe:

– Oooooommm...

Sala cichnie. Patrzą na nas zdziwione oczy, wśród nich również Bawolicy. Ada bez zająknięcia urywa sylabę i zaczyna przemawiać:

– Wysoki Sądzie... Mądra Bawolico, zgadzam się z szanowną koleżanką. Mój klient musiał znaleźć się pod wpływem niewytłumaczalnych, ponadrozumowych czynników. Jest to bowiem człowiek nieposzlakowanej uczciwości. Był kilkakrotnie odznaczony jako lotnik lotnictwa transportowego, które, jak wiemy, zawsze niosło pomoc. Niosło ratunek wszystkim cierpiącym z powodu starych, złych, szowinistycznych oraz egoistycznych rządów. Na jego postępowanie złożyło się wiele czynników. Wysoki

Sąd pozwoli, że skoncentruję się na opisie zajścia na ulicy Oazy Ulad Raffta.

Bawolica przyzwalająco kiwa głową. Chór potwierdza zgodę odpowiednią zwrotką, co asystent kwituje sprintem dookoła podium.

Ada czeka, aż facet zatrzyma się na swoim miejscu, i przemawia dalej:

– Stare, niegodne i niesprawiedliwe rządy, mające w pogardzie wszystkie wartościowe kultury, z premedytacją nie zapoznawały społeczeństwa ze szlachetnymi, twórczymi obyczajami ludów Afryki, kolebki cywilizacji – kończy zdanie wzmocnionym akcentem.

Wysoki Sąd z widoczną uwagą słucha jej perory. Kiedy chór chce skomentować przemówienie Ady, podnosi do góry dymiące cygaro i wszyscy natychmiast połykają nie wyśpiewaną zgłoskę. Ada widząc skutek, jaki wywiera jej przemówienie, nabiera pewności siebie.

– Przez te niecne knowania zbankrutowanej rasistowskiej klikki mój klient, Hubert Jugenmann, nie miał szans na zapoznanie się choćby z podstawowymi formami dobrego obyczaju szlachetnych synów pustyni. Nieświadomy nie wiedział, że pokazanie rodowego noża jest gestem przyjaźni. Co w języku nomadów przekłada się na: „Pójdź, mój gościu, drogi przyjacielu, zapraszam cię na filiżankę herbaty” – opowiada słodkim głosem.

Kiedy to słyszę, rośnie mi serce. Robię niewinną minę, rozkładając dłonie w geście otwartej szczerości. Ada opiera się o blat biurka, jej głos grzmi teraz oskarżycielsko:

– A zły duch rzeczywiście opanował jego ciało. Mój klient uległ mu z nieświadomości. Kim był ten podstępny duch? Tego dokładnie nie wiem, zło ma wiele twarzy. To twarze prezydentów i premierów starego świata. To potwory,

które sprowadziły choroby, wojny i głód na szlachetnych braci z Afryki, Azji i Indii. Robili to, by pławić się w pieniądzach za wylewane do morza mleko! To przez nich siedzący tu Hubert Jugenmann postąpił jak niecny przestępca! Zatruty ich jadem, wziął gest przyjaźni za wrogość, a szczęśliwego ucznia za niewolnika, którego w porywie serca ten nieszczęsny ślepiec, powtarzam: ślepiec chciał uwolnić. Jest niewinny! To oni ponoszą winę. Oni, zdrazieccy szowiniści! – kończy dramatycznym okrzykiem.

Na sali słychać tylko szmer oddechów. Widzę, że Ada także rozgląda się za karafką. Rezygnuje jednak i ciągnie:

– Wysoki Sądzie, szlachetna Mądra Bawolico. Złe czary i zbrodnicza dezinformacja są przyczyną tego nieszczęsnego nieporozumienia... to pewne. Wnoszę zatem o uniewinnienie mojego klienta i skierowanie go do biegłego odczyniacza uroków. Proszę także o wyznaczenie stosownego odszkodowania za zniszczoną własność w postaci zabytkowej, cennej amfory.

Czekam z nadzieją na jakiś gest sądu. Czekam w ciszy cała sala. Bawolico w końcu podnosi się dostojnie z krzesła. Usłużny asystent łapie je za oparcie i odsuwa do tyłu. Sąd zaczyna drobić kroczkami, kręcąc się w miejscu i co chwila popluwając na podłogę. Chór podkłada odpowiedni, pełen skupienia tusz. Milknie, kiedy sąd siada z powrotem na w porę podsunięte krzesło. Bawolico mówi cicho z zamkniętymi oczami. Asystent nasłuchuje chciwie wibracji gładkiej powierzchni mebla. Patrzę na to jak urzeczony. Do rzeczywistości przywraca mnie dopiero piekący ból. Ada trzyma swoją dłoń na mojej. Zaciska ją coraz mocniej, aż jej paznokcie głęboko wbijają mi się w skórę. Nie cofam ręki.

Chór podejmuje teraz podobną do wyliczanki pieśń. Bębny walą w rytmie wiosłowej galery, ciągnąc za sobą falę

słów. Nagle asystent podbiega do naszego biurka, klęka przed nim i patrzy mi z bliska w oczy swoimi przekrwionymi oczami o żółtawym odcieniu. Zbliża się jeszcze bardziej i zaczyna mnie obwąchiwać pomalowanym na biało nochalem. Farba na twarzy łuszczy się, zbita w grudki. Wypływają spod nich strużki potu. Gość śmierdzi rumem zmieszany z jakimś zielskiem. Zaczynam odruchowo się odsuwać, ale Ada powstrzymuje mnie ręką. Niespodziewanie przebieraniec wystrzeliwuje pionową świecę w górę, opada na jedną nogę z rozłożonymi ramionami i balansując laską, krzyczy:

– Olelelelelllele!

Z wrażenia o mało nie spadam z krzesła. Okrzyk podejmuje cała sala. Wszyscy szaleją, przechodzą samych siebie, byle wydać najgłośniejszy wrzask.

Zapominam, po co tu jestem. Widzę, jak Ada podnosi się z krzesła i przyłącza do reszty, krzycząc i unosząc rytmicznie ramiona. Właśnie mam zamiar wstać i zrobić to samo, gdy Bawolica unosi do góry kopące cygaro. Pan Trupia Czaszka kuca natychmiast na podłodze, by za chwilę skoczyć jeszcze wyżej niż poprzednio. Tym razem nie krzyczy, tylko trąbi na krowim rogu, wydobyłym w czarodziejski sposób spod surduta. Róg grzmi jeszcze kilkakrotnie, kiedy gość wznosi się na niewiarygodną wysokość i opada z łoskotem obcasów, wzmocnionym trzaskiem końca laski uderzającej w parkiet.

Zebrani milkną, ogłuszeni rykiem rogu oraz niezwykłym kunsztem asystenta. Bawolica po trzykroć wypuszcza z ust kłęby dymu. Asystent na ten znak zrywa się do pędu w kierunku podium. Zamiera w pełnej gorliwości pozycji, z głową obok jej dłoni. Sąd wydaje wyrok szeptem. Następnie wkłada do ust cygaro, skrywając swoje oblicze za dymną zasłoną. Łomocze mi serce, nie mogę przełknąć śliny. Czuję znowu dłoń Ady na swojej. Asystent prostuje się na całą

dwumetrową wysokość. Następnie robi kilka piruetów na jednym obcasie, bełkocąc coś i w przerwach monologu porykując na rogu.

W końcu przystaje. Jego czarne niczym pieczara w wapiennej skale usta rozciągają się w uśmiechu, gdy w europejskiej mieszance ogłasza radośnie:

– Największy Sąd, Ogromna Pani Wielkiego Baobabu, Wielka Mądra Bawolica mówi rykiem lwa i bawoła, głosem wielkiego pioruna: Źle, jak zły biały dręczy i bije niewinne dziecko sawanny. Dobrze, jak dobre dziecko sawanny ukarze złego białego.

Na chwilę zawiesza głos. Przez salę przetacza się wibrujące koło szmeru. Paznokcie Ady pokonały opór skóry mojej dłoni. Wiem o tym, lecz nic nie czuję.

– Mądra Bawolica mówi: Dziesięć lat na Haiti złamie urok złego czarownika. Dwa na Kubie. Niech biały dziękuje i zapłaci dwadzieścia mlecznych krów. Dziesięć dla Mądrej Bawolicy i dziesięć dla dobrych synów pustyni. Olelelllle! – kończy sekwencję proceduralnym podskokiem oraz zadęciem w róg.

– Co on pierdoli, jaka sawanna – szepczę bezmyślnie.

Ada kopie mnie pod biurkiem.

– Wstawaj i dziękuj – rozkazuje.

Wstaję, zaczynam kiwać się w podzięcie ze złożonymi dłońmi niczym porcelanowy Chińczyk.

Wszyscy zrywają się z miejsc. Salę wypełnia ognista fiesta. Okrzyki zebranych wyrażają aplauz oraz zachwyt dla wyroku. Mój pusty szklany wzrok rejestruje, jak prokuratorka wstaje. Chowa do teczki dokumenty i bierze dziecko za rączkę. Idą razem w kierunku drzwi. Kiedy mija nasze biurko, patrzy na mnie. Jednak w jej wzroku nie dostrzegam już wrogości, tylko rezygnację albo coś podobnego do

współczucia. Przestrzeń pomiędzy naszym biurkiem a sędziowskim podium wypełnia się publicznością. Z korytarza napływają wciąż nowe kobiety, które chcą błysnąć entuzjazmem przed Mądrą Bawolicą. Ławniczki tańczą i śpiewają, skandując:

– Piętnaście lat! Piętnaście lat!

Najgorliwsze są białe, które, jak myślałem, są moimi sojuszniczkami. Ich głosy wyróżniają się czystym europejskim.

– Dwadzieścia, dwadzieściaaaaa!

Bawolica podnosi się ze swojego tronu. Natychmiast ustawia się za nią kolorowa kolumna. Sprawnie sformowany wężowaty szyk opuszcza salę tak, jak się zjawił, drobiąc w tańcu. Cztery kroki do przodu i dwa wstecz. Przyłącza się do niego część publiczności oraz wszystkie ławniczki. Sala pustoszeje. Zostaje tylko nasze biurko, portrety Pierwszej Matki i pani adwokat.

Jestem teraz zupełnie spokojny. To, co się wydarzyło, nie może mnie dotyczyć. To nie może być prawda... to tylko jakiś test albo kabaret. Wyrok wydany na podstawie takiej farsy nie ma przecież żadnej mocy prawnej.

Jednak dla zasady pytam Adę:

– Powiedz mi, ile w końcu dostałem? Nie mogę zrozumieć.

– Nie wiem – odpowiada.

Twarz ma białą jak kreda, subtelny karmin szminki podkreśla jeszcze jej bladość. Patrzy przed siebie, nieobecna i wyczerpana.

Wyłączam mikrofon.

– Nie przejmuj się. Będziemy apelować, przecież to jakaś groteska. Wpłać kaucję i odszkodowanie za amforę. Chodźmy już stąd – pocieszam ją.

Powoli zwraca do mnie twarz. Naciera dłońmi policzki.

– Powiedziałeś: chodźmy stąd. To dobry pomysł. Masz rację, Hubert, trzeba postąpić właśnie tak.

Rzeczywistość powraca do nas w postaci dwu policjantek, które pojawiły się nagle przed naszym biurkiem. Powoli dociera do mnie, że to nie sen i nie teatr. Na moich przegubach zatrzaszkują się zimne kajdanki. Umysł wypełnia białe przerażające lśnienie. Będę siedział w tym piekle. Naprawdę oddadzą mnie w łapy zбочzonych sadystek. A później zdechnę na tropikalnej wyspie. Słyszę swój głos:

– Ada, zrób coś. Pakują mnie za kraty. Ada... miałem zbierać kalafiora tylko przez kilka miesięcy. Pamiętasz?

Policjantki nie skrywają teraz dobrego humoru. Wyższa zaczyna ciągnąć mnie za łokieć. Protestują, kiedy Ada mówi, że odprowadzi mnie do aresztu. Jedna z nich rzuca z kąpiącym uśmiechem:

– Pani się nie martwi, pani mecenas. Damy mu zaraz piżamkę i pójdzie lulu. Nawet mu zaśpiewamy.

Słyszac przerażające szyderstwo, próbuję się wyrwać. Lecz Ada odzyskuje właśnie formę i odgarnia włosy z czoła. Mówi do mnie władczym głosem:

– Uspokój się, idę z tobą!

Odwraca się do policjantek niczym spiżowy pomnik.

– Mam do tego prawo! I schowajcie mi tu zaraz te swoje głupie uśmiechy. Zrozumiano?! Druga runda będzie moja. A wtedy ja się pośmieję przed waszym straganem z fistaszkami.

Policjantki topnieją do połowy wysokości.

– Dobrze, pani Ado. Rozumie pani, przepisy... ale jeżeli ma pani do tego prawo, to oczywiście. Tylko proszę, żeby pani nie rozmawiała po drodze z aresztowanym. Przed apelacją adwokat musi wpisać się na listę widzeń. Dopiero wtedy można rozmawiać – tłumaczy się policjantka,

puszczając mój łokieć.

Wychodzimy na korytarz. Ja i Ada idziemy przodem, eskorta maszeruje trzy kroki za nami. Nikt nie zwraca na nas uwagi, mijamy rzędy okien i drzwi. Tłum gęstnieje. Jeśli zdecyduję się wiać w tej chwili, nawet z kajdankami na rękach mam jakąś szansę. Ada odgaduje mój zamiar.

– Nie rób tego – słyszę jej szept.

Z tyłu dobiega natychmiast:

– Bez rozmów proszę, bo wezwiemy panią komendant.

Idziemy dalej, przed windą tracę jeszcze jedną okazję. W tej chwili nie mogę sobie darować, że jej zaufałem. Ze szpitala mogłem uciec setki razy. Zaraz znajdziemy się w podziemiach, a to będzie mój kres.

Tylko płytka w czaszce daje mi nikłą gwarancję wolności. Jak w transie schodzę z Adą do piwnicy aresztu. Otwiera się przed nami brama z grubych stalowych krat. Przekraczam próg, znowu czuję smród strachu i taniej pasty do podłogi. Tylko teraz boję się sto razy bardziej niż za pierwszym razem. Wypełnia mnie paraliżujący lęk otyłego dziecka, które matka pierwszy raz prowadzi do nowej szkoły, pełnej rozwydrzonych, sadystycznych bachorów. Zatrzymujemy się przed moją klatką, chyba wszyscy słyszą, jak wali mi serce. Strażniczki patrzą na mnie bez słowa. Z małej dyżurki wyczłapuje kwadratowy potwór, pobrzękując kluczami. Wygląda niczym dozorca w lochach nieskończenie zatroskanej o dobro ludzkiej duszy Świętej Inkwizycji. Zbliża się z triumfującym uśmiechem przyklejonym do pyska średniowiecznego maszkarona. Grzebie kluczem w zamku i przedłużając chwilę swojego zwycięstwa, powoli otwiera drzwi do celi. Policjantka z eskorty popycha mnie lekko w stronę więzienia.

– Mam prawo jeszcze do czegoś – stwierdza nagle Ada.

Policjantki i buldog zamierają na chwilę.

– To na pewno tylko niepotwierdzone pogłoski. Ale słyszałam, że zdarzały się tutaj przypadki nieregulaminowego obchodzenia się ze skazanymi, zanim trafią do konwoju. Proszę o wasze nazwiska na wypadek, gdyby coś takiego spotkało pana Jugenmanna. Nie ominą was wtedy bardzo przykre konsekwencje – mówi, wyciągając z torebki notes oraz złote antyczne pióro.

Potwór wzdycha lekceważąco, przesuwając w górę i w dół swojej pałki zaciśnięte w pierścień paluchy.

– Dajcie pani mecenas wasze nazwiska, dziewczyny. Jak nasza ukochana Wielka Matka wręczy nam medale za opiekę nad skazanymi, będzie wiedziała, komu gratulować – kończy lekceważąco.

Wstrzymuję oddech. Jeżeli to jest cały plan Ady, to zaufałem idiotce i spadam właśnie z dwudziestego piętra. Moja płytką po trepanacji to jedyny konkret w tym surrealizmie. Lepiej już pójść spać. Jednak znowu muszę unieść powieki, kiedy zamiast pierwszego nazwiska słyszę stłumione: „Uuuuuuch...” jednej z kobiet.

Policjantka pada z łoskotem ekwipunku, jakby cicha lotna śmierć wysała z niej w sekundę oddech i zamroziła serce. Dwie pozostałe osuwają się na podłogę bez jednego jęku. W krtani każdej z nich błyszczy maleńki srebrny grot. Kolejna strzałka z sykiem rozprężonego gazu wyskakuje z grzbietu czarnego notesu Ady. Wbija się w policzek kwadratowego potwora. Babsko z bezgranicznym zdumieniem, zupełnie jak człowiek zaskoczony żądłem pszczoły, próbuje wyrwać grot niezgrabnym ruchem dłoni. Drugi wbija jej się w wiszące podgardle. Oszołomiona, zupełnie nie pojmując, co się dzieje. Pałka wypada jej z dłoni, odbija się od podłogi ze stukotem. Dopiero teraz strażniczka budzi się z szoku i rusza nagle na

Adę sztywnym krokiem glinianego Golema, z wyciągniętymi przed siebie potężnymi ramionami. Jej twarz w sekundowych odstępach przebijają kolejne ostrza. Trafiają w górną wargę i powiekę prawego oka, a przerażające monstrum kroczy dalej przed siebie. Dopiero kiedy piąta strzałka przebija skórę szyi w okolicach tętnicy, baba przystaje na szeroko rozstawionych kłocowatych nogach, po których spływa ciemna maź. Ada kopie ją w klatkę piersiową z siłą i wprawą zawodowego tajskiego boksera. Więzienny tyran wypuszcza z płuc powietrze i przewraca się na plecy z głuchym łoskotem.

– Cholera! Hodują tu mutanty czy jak? Poczwórna dawka powinna powalić konia – sapie z przejęcia Ada.

Po chwili mam wolne ręce. Nerwowo pocieram nadgarstki, wracając do rzeczywistości.

– Już starożytni pisali o chimerach – plotę, żeby uspokoić nerwy.

– Masz filozoficzne skłonności do zamyśleń w najmniej odpowiednich momentach. Pomóż mi, musimy stąd zaraz wiać – ściąga mnie na ziemię mój prawnik.

Układamy policjantki w równym rzędzie na podłodze mojej celi. Z Cerberem jest najwięcej problemów. Wlecemy ciało, trzymając je pod ramiona. Jest tak szeroka w barach, że w drzwiach musimy przekręcić ją na bok. Przez cały czas spod jej mundurowej spódnicy wypływa cuchnące potwornie żółtawe błocko.

– Biedne dziewczyny. Obudzą się jak na podłodze dworcowego kibla – mówi Ada, zamykając drzwi celi.

– To one żyją? – pytam z ulgą.

– Jeżeli mają zdrowe serca, a chorych raczej nie przyjmują do tej służby, osłabiona pochodna kurary ich nie zabije. W tego słonia wątpię, ale to ulga dla świata – odpowiada, chowając notes do torebki.

Wchodzimy na schody. Ada zamyka także zewnętrzne, okratowane, wzmocnione blachą drzwi. Zanim zorientują się, że coś jest nie tak, minie sporo czasu. Idziemy przez dziedziniec spokojnym krokiem, niczym para świetnie ustawionych notabli reżimu. Limuzyna czeka na swoim miejscu. Wsiadamy do bezpiecznego wnętrza i samochód rusza natychmiast. Nie odzywamy się, dopóki nie wyjedziemy poza teren muzeum spleśniałych kodeksów.

– Nalej mi podwójną, nie, potrójną porcję, kapitanie – prosi Ada.

Otwieram barek, wybieram czystą polską wódkę. Koniak nie pomoże komuś, kto właśnie zabił człowieka i pomógł uciec z więzienia skazańcowi. Napęlam sporą koktajlową szklankę prawie do ćwierć wysokości.

– Proszę, Ada. To drink twardzieli. Tylko dupki i mięczaki wlewają do wódki różne śmiecie.

– Wcale nie miałam takiego zamiaru – stwierdza, nabierając oddechu. Wypija wódkę z wprawą rzeźnika.

– Jeszcze raz. Tylko nie lej tyle. Może być na dwa palce.

Wypija drugą kolejkę, krzywiąc się fachowo. Szklanka wraca do mnie. Tym razem nalewam sobie. Barek jest chłodzony, a wódka gatunkowa. Spływa po przetyku niczym ciekły kryształ, mieszając się błyskawicznie z krwią. Jej opar po chwili dociera do mózgu. Myśli stają się ostre, logiczne i jasne.

– Do ostatniej chwili nie byłem pewien, czy coś w końcu wymyślisz – mówię.

Ada zapala papierosa. Otwieram barek i także częstuję się z papierośnicy.

– Tak? To z ciebie prawdziwy szczęściarz, bo ja nie miałam żadnego planu. Na początku chciałam je tylko postraszyć Dodo i przekupić, żeby przymknęły oko, jak

będziesz wiał z aresztu. Na szczęście notes mam prawie zawsze przy sobie. Inaczej nie wiem, chyba musiałabym pozarzynąć wszystkie pilnikiem do paznokci. Wszystko się popieprzyło. Dokładnie wszystko, w każdym punkcie. Cholera! Trzeba było od razu załatwić dla ciebie lewe papiery, ale Dodo uparła się na zachowanie pozorów jakiejś kretyńskiej legalności.

Dolewam sobie wódki.

– Co teraz, Ada? Zaliczyłem drugą ucieczkę, bardzo ci za nią dziękuję. Chcę tylko wiedzieć, jakie są konsekwencje i czy masz teraz jakiś plan. No i jeszcze martwa strażniczka. To już ciężki kaliber, morderstwo. – Wypijam wódkę. – Zresztą nie. Nie mów o konsekwencjach. Nikt nie przeżyje więcej niż pięć lat ciężkich robót w kopalni czy kamieniołomach. A jestem pewien, że dostanę co najmniej dziesięć. Więc i tak jestem już skończony. Mogę to wziąć na siebie. Napiszę oświadczenie, że zostałam sterroryzowana, szczegóły dopracujemy później. Tylko załatw mi papiery i udział w misji – kończę.

Ada patrzy mi w oczy. Mówi z powagą:

– Moje grzechy dźwigam sama. Nie wtrącaj się, nie ty poniesiesz karę. Morderstwo? I tak doszłoby do morderstwa. O ile w ogóle pojechałbyś na Haiti, to z trocinami w brzuchu, nasączony formaliną jak gąbka. Zobaczyłam w oczach tej grubej krowy, że ma cichą zgodę na to, żeby się tobą pobawić, a później skrócić ci kark. To jasne, Stara musiała coś zwąchać. W dodatku przysłała na rozprawę księżniczkę, która normalnie nie lubi męczyć się w sądzie. To była dopiero jej czwarta rozprawa.

– Pewnie, dlatego nie ma zbyt wielkiego doświadczenia w procedurze – kwituję.

– Szybko się uczy. Na swojej pierwszej rozprawie skazała

meża zamordowanej żony i dwóch świadków. Morderczyni, zazdrosna kochanka, wywinęła się pięcioma krowami i wyszła na wolność – odpowiada, wyjmując z teczki telefon. Odsłuchuje przez chwilę komunikaty i prosi: – Nie gadaj przez chwilę, Hubert, muszę zadzwonić.

Nalewam sobie wódki, jestem spokojny. Co mnie to wszystko obchodzi? Świat oszalał i nie mam na to żadnego wpływu. Przed kwadransiem byłem gotowy na śmierć. Teraz piję wódkę w limuzynie wartej odrzutowca, a obok mnie siedzi twarda jak stal agentka jakiegoś spisku. Pieprzyć to wszystko i żyć – dopóki się da.

Ada uzyskuje połączenie, ale przestrzeń nad stopką aparatu pozostaje pusta. W tym modelu powinna pojawić się nad nią trójwymiarowa twarz rozmówcy.

– Halo, tu Witte. Proszę przyjść o jedenastej do kancelarii numer 34. Proszę przynieść ze sobą pierwszą wersję Kodeksu Napoleona. Dziękuję – kończy połączenie.

– To ciężki karabin maszynowy? – pytam.

– Co? – Ada patrzy na mnie zdziwionym wzrokiem.

– No, ten kodeks.

Wzdycha ciężko.

– Rozumiem, że przeżyłeś szok i musisz odreagować, ale kpisz z bardzo poważnych spraw. Słuchaj, pojedziemy teraz do jednego z moich mieszkań. Pojadę tam z tobą, pokażę ci wszystko... jest do twojej dyspozycji. Później wyjadę na jakiś czas, muszę się zorientować, na czym teraz stoimy. Ty odpoczywaj. Wykap się, upij i prześpij. Rób wszystko na co masz ochotę, tylko nie wychodź.

– Boisz się? – przerywam jej.

– Jeszcze nie. Jeszcze nic się nie stało. Stara robi czasami takie numery, żeby przypomnieć nam wszystkim, kto tu rządzi. Możliwe, że chciała mi tylko dopiec i tak naprawdę

niczego nie wie. Przekonam się o tym w ciągu trzech godzin. Cholera, jeszcze ta strażniczka. – Ada zaciąga się nerwowo papierosem. – O tym mieszkaniu wie tylko Dodo i ja. To kwartał dyplomatyczny, więc normalna policja nie ma tam wstępu. Gdyby jednak wydarzyło się coś nadzwyczajnego, na dnie szybu windy jest ukryte przejście do kanałów. Podniesiesz płytkę w podłodze, jest lekko przybrudzona smarem. Zobaczysz pod nią klawiaturę i aparat telefoniczny. Podaj kod TOR 12 AC, który otwiera właz. Później weź telefon i wiesz. Ktoś do ciebie zadzwoni i powie, co masz robić dalej. Pamiętaj, Hubert: TOR 12 AC, inaczej po całym budynku zostanie w ziemi wielki dymiący lej.

– Masz wielkie zaufanie do swojego kierowcy. Mówisz przy nim o wszystkich tajemnicach – zauważam.

– Pewnie, że mam do niej zaufanie. Ona nie pije przez całą noc w barze. Nie bierze prochów i nie moczy majtek na widok każdego przystojniaka w obcisłych spodniach. Nie potrzebuje też pieniędzy i władzy. Roboty to idealne, niezawodne pracownice – podsumowuje obojętnym głosem.

– Wozi nas po całym mieście robot? – pytam zdumiony.

Ada pierwszy raz się uśmiecha.

– Musisz przygotować się na więcej niespodzianek.

Mechaniczny szofer wjeżdża przez rozsuwaną bramę na teren zamkniętego osiedla. Budynki mają najwyżej po dwa piętra, głównie jednak to parterowe wille, stojące w sporej odległości od siebie i otoczone ogródkami. Na uliczkach panuje błogi spokój, nigdzie nie widać riksz, rowerów ani hałaśliwych sprzedawców. Samochód zwalnia przed dwupiętrową, pokrytą szarawym tynkiem willą, utrzymaną w stylu połowy dwudziestego wieku. Otwiera się zwijana na bębnach brama i wóz powoli stacza się do garażu w piwnicy. Podłoga na obrotnicy kieruje maskę samochodu w kierunku

bramy, możemy wysiadać. Chcę zabrać butelkę czystej.

– Zostaw to, Hubert, w barku znajdziesz całą kolekcję. A po twoje rzeczy z bagażnika ktoś przyjdzie – powstrzymuje mnie Ada.

Idziemy do windy. Kabina wyłożona jest dębową boazerią i ozdobiona kryształowymi lustrami. Ada naciska jedną z listewek boazerii, otwierając małą skrytkę.

– Tu jest klucz do wjazdu w podłódze. Niżej jest szyb, którym można przedostać się do tunelu i kanałów. Na pewno nie będziesz musiał uciekać, ale pamiętaj: hasło TOR 12 AC – przypomina mi jeszcze raz, wciskając przycisk z cyfrą 1.

Kabina po krótkim skoku zatrzymuje się, otwieranie drzwi sygnalizuje tylko lekki powiew. Widzę ogromny salon, pogrążony w półmroku. Wychodzimy z windy. Ada prowadzi mnie za łokieć w stronę jasnej wysepki oświetlonego baru.

Siadam na wysokim barowym stolku. Ada z hukiem rzuca na blat swoją teczkę i przechodzi na drugą stronę kontuaru. Przygotowuje sobie drinka, odmierzając składniki z aptekarską precyzją. Koktajl składa się z rumu, szarego likieru z mango oraz porcji ajerkoniaku. Ja pozostaje wierny wódce pod koreczki z wędzonego łososia.

Po chwili rozlega się nostalgiczny głos Franka Sinatry.

– Sto lat temu to były czasy. Można było katrupić komary DDT. W atlasach oglądać ostatnie białe plamy. Pić wodę prosto z rzeki albo rzucić wszystko w cholere i zostać traperem – rozmarzam się.

– Można też było zgnić w obozie koncentracyjnym albo umrzeć na koklusz, mój drogi Hubercie – rozszerza wachlarz dwudziestowiecznych możliwości Ada.

Milczymy przez chwilę. Potem Ada skarży się, patrząc na rzędy butelek:

– Widzisz, jak się popieprzyło. Powinam teraz porządnie

się zaprawić, a później zaciągnąć cię do łóżka. Zamiast tego muszę pojechać na dywanik. To znaczy mam nadzieję, że to będzie tylko dywanik, a nie rosyjska ruletka.

– Aż tak źle? – pytam.

– Chyba nie. Wszystkie siedzimy w tym głęboko, ale mogą mnie gdzieś wysłać. To skomplikuje plan. Gdybym nie wróciła do rana, przyślę kogoś. Dostaniesz kartę bankową oraz dokumenty. Nic poza tym, słuchasz tylko moich rozkazów. Znajdę cię, jak się uspokoi, o to się nie martw. A jeżeli więcej się nie odezwę, możesz się nawet nieźle ustawić i żyć spokojnie przez długie lata.

– A moja misja? Czy będzie aktualna, gdybyś nie wróciła do rana... albo wcale?

– O misji mogę powiedzieć ci tylko ja. Gdybym wcale nie wróciła, nie idź do swojego mieszkania i nie pij tu przez cały tydzień. Możesz zostać tylko do następnej nocy. Wyjedź jak najszybciej do innego miasta. Nie szukaj też chłopca i Elzy. A najbardziej nie szukaj mnie. Masz zapomnieć – mówi, patrząc mi w oczy.

Stawiam kieliszek na ladzie i spoglądam na nią. Napelnia go natychmiast. Znowu zapada milczenie. Ona zatapia się w rozważaniach nad swoją niepewną przyszłością, ja żuję łośosia, nie myśląc o niczym.

– Muszę już iść – odzywa się Ada po chwili. – Zostawiam cię na razie. Baw się dobrze i czekaj.

– Jestem zmęczony. Posiedzę tu chwilę i kładę się spać – mówię, ściskając jej dłoń na pożegnanie.

Ada zeskakuje ze stołka i szybko wchodzi do windy. Macha mi jeszcze wesoło ręką, zanim zniknie za niklowanymi drzwiami.

Siedzę sam, sącząc wódkę, jest mi dobrze jak nigdy. Piję, nie przejmując się jutrem. Dopiero kiedy idę do łazienki,

nagle wali mnie w głowę wypita woda. Nie mogę się wyprostować, na czworakach włączę po schodach na piętro w poszukiwaniu sypialni.

Wtaczam się do pokoju, który wypełnia łożo o rozmiarach połowy tenisowego kortu. Ostrożnie przysiadam na krawędzi, ale podłoga daje mi kopniaka i przewracam się na wznak. Pełznę po falującej powierzchni, aż docieram do pluszowego zagłówek o kształtach kobiety. Opieram głowę we wgłębieniu za jej biodrem. Sufit nade mną przypomina bezkresne śnieżne pole.

•

Budzi mnie koszmarne wycie sprężarki, którą ktoś uruchomił w pękającej skorupie czaszki. Obok leży Ada, wsparta na łokciu. Patrzy na mnie z uśmiechem.

– Cześć, kapitanie. Spiłeś się jak bela. Gdyby po ciebie przyszły, zawinęłyby cię po prostu w dywan – mówi na dzień dobry.

Unoszę obolały czerep.

– Bez przerwy przed kimś uciekam. Pieprzę to. Powiedz mi w końcu, o co w tym wszystkim chodzi. Może zacznę się jeszcze bardziej bać. Powiedz, to zaraz wyrośnie mi trzecie oko.

Ada całuje mnie w czoło.

– Jedziesz wodą jak prawdziwy facet. Śpisz w butach w towarzystwie petów. Tęskniłam za tym. Jęczysz także jak prawdziwy mężczyzna. Boli cię główka? – Całuje mnie jeszcze raz.

– Jestem prawdziwy i mam prawdziwego kaca. Ada, co z nami? Co z tobą? – pytam, kiedy sparaliżowane szare komórki przypominają mi o wszystkim.

– Nie jest tak źle. Mamy dwa dni dla siebie. Całe dwa długie dni, tylko nie możemy pokazać się w twoim starym mieszkaniu – odpowiada po namyśle.

– Jak to? Zabiłaś strażniczkę, a ja uciekłem z więzienia i nic?

Ada z dziwną czułością głaszcze mnie po głowie.

– Tego nie powiedziałam. Za dwie doby zacnie szukać cię policja, ale nie znajdzie. Będziesz już daleko, nie martw się. A ja... o mnie także nie musisz się martwić. Wstawaj i biegnij pod prysznic, później dowiesz się o wszystkim.

Przetacza się na skraj łóżka, wstaje i poprawia włosy.

– No już, tygrysie, szkoda dnia. Pobawimy się w normalną rodzinę. Jako przykładowa żona zrobię ci nawet śniadanie – ponagla mnie.

– Zgadzam się na stanowisko męża pod warunkiem, że nie będziemy odwiedzać twoich ciotek i stryjków. Jeżeli miałaś taki zamiar, podaj mi od razu kubek cykuty – mówię, zwlekając się z łóża.

Idę do łazienki na piętrze. Długo stoję pod strumieniem na przemian gorącej i chłodnej wody. To trochę pomaga wypłukać z siebie truciznę wczorajszego dnia.

Na wieszaku wisi przeznaczony dla mnie szlafrok i paczka z nową bielizną. Szlafrok jest oczywiście w samoloty. Małe dwupłatowce szaleją wśród kolorowych chmur. Piloci mają brązowe pilotki, a ich jedwabne białe szaliki łopoczą na wietrze. Nie mam pojęcia, jak ona w takich chwilach potrafi jeszcze pamiętać o prezentach.

Spotykamy się w bibliotece, którą odnajduję idąc za głosem wołającej mnie Ady. Biblioteka jest ogromna, wypełniona po sufit tysiącami książek. Taki księgozbiór zadowoliliby niejeden uniwersytet. Pod oknem stoi wielki okrągły stół z ciemnego drewna. Ada bezceremonialnie

stawia na zabytku parującą misę spaghetti. Siadam na krześle z wysokim oparciem. Przed moją twarzą ląduje talerz z parującymi kluchami pomazanymi pomidorową pastą. Nienawidzę ich, ale dla niej zjadłbym nawet talerz cynaderek, których nienawidzę jeszcze bardziej. Ada siada naprzeciwko, ale jeszcze nie nakłada sobie porcji. Patrzy na mnie. Ubrana w bawełniane spodnie i sportową koszulkę z wielką siedemnastką, wygląda na zwyczajną zabieganą kobietę. Dopiero teraz bez makijażu widać, jaka jest blada i zmęczona. Wygląda nawet pięknie. Szlachetna i czysta – chociaż trochę obca.

– Dziwisz się, dlaczego jemy w bibliotece? – pyta.

– Trochę – przyznaję.

Ada nakłada sobie małą porcję spaghetti.

– To stół z mojego domu, meble w bibliotece także. Dobrze się tu czuję. Ten księgozbiór nie pochodzi z konfiskat, jeżeli coś takiego przyszło ci do głowy. Moja rodzina uzupełniała go przez pokolenia. Niestety nie wszystko udało się uratować. Widzisz tylko część. Resztę straciliśmy, a prawdziwe białe kruki są gdzie indziej. Jesteśmy bardzo starą rodziną. To znaczy właściwie byliśmy, zostało tylko kilka osób. Dosłownie kilku kuzynów.

Przerywa i zaczyna jeść. Po kilku kęsach przerywa i odstawia talerz. Czeka, kiedy skończę.

Kiedy ja także mam dosyć walki z makaronem, Ada prowadzi mnie do salonu za biblioteką. W wielkim staroświeckim komiku płoną grube polana. Stoją przed nim dwa skórzane fotele, oddzielone od siebie małym barkiem na kółkach. Czuję ulgę na widok butelki czerwonego wina oraz paczki papierosów przygotowanych na barku. Ada siada w fotelu z podwiniętymi pod siebie nogami. Nalewam po lampce wina, zapalam papierosa i czekam. Gdyby nie

sytuacja, byłbym szczęśliwy. Tak samo siadaliśmy przy kominku w domku moich rodziców. Patrzymy na tańczące jezory płomieni. Bierwiona trzeszczą, pachnie dymem i wszystkimi młodzieńczymi wycieczkami z obowiązkowym ogniskiem.

Wpatrzona w kominek Ada zaczyna bez wstępu:

– Umieramy. Nie wiadomo, co będzie za miesiąc, za rok. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Jeszcze niedawno sama Europa mogła wyżywić połowę ludzkości. Wkrótce grozi nam wszystkim głód. Automatyczne fabryki jeszcze pracują, ale nie wiadomo, jak długo zdołają utrzymać produkcję. Wszędzie brak fachowej kadry. Codziennie dostajemy raporty o kilku katastrofach, ranni w nich umierają bez żadnej pomocy. Nie istnieje sprawna straż pożarna ani inne służby. Prawdziwa klęska nastąpi, kiedy staną jeszcze działające oczyszczalnie ścieków. Epidemia wybuchnie wtedy jak bomba, a nikt nie potrafi wyprodukować szczepionek. Najwyższe stanowiska zajęły tysiące idiotek, nie mających o niczym pojęcia. Ich jedynym zajęciem jest tępienie ludzi, którzy jeszcze coś umieją. Robią w ten sposób miejsce dla swych równie głupich protegowanych. Ta rewolucja nie tylko zjada swoje dzieci, ale pije własną krew i będzie to robić, dopóki nie zdechnie, a my razem z nią.

Milknie, jakby nie wiedziała, co dalej powiedzieć. Dolewam jej wina. Milczę, o takich sprawach nie czyta się w gazetach.

Po chwili zaczyna mówić dalej spokojnym, smutnym głosem:

– To było oczywiste. Nie mogliśmy, oparci o drzwi lodówki wypchanej po sufit żarciem, odwracać dłużej głów od puchnących z głodu sąsiadów. To nic, że są jak dzieci. Zamiast edukować swoje społeczeństwa, wydawali pieniądze

na broń. Najchętniej masowego rażenia. Nędzarz lubi mieć rewolwer, wydaje mu się wtedy, że jest kimś ważnym. To nic, że zamiast myśleć o rozwoju, mnożyli się jak bakterie, nie przejmując się konsekwencjami. Wyprodukowali ponad osiem miliardów ciemnych, wiecznie zagłodzonych analfabetów. Musieliśmy im pomóc, nie było alternatywy. Gdybyśmy nie uchylili drzwi, próbowaliby wyłamać je sami. Globalny konflikt jądrowy północ-południe wisiał na włosku jeszcze za starej demokracji. Tylko nasze społeczeństwo nie miało o tym pojęcia. Gdyby do niego doszło, z planety zostałyby kulka wypalonego żwiru. Autorzy Wielkiego Planu, który wcale nie jest osobistego autorstwa Starej, mieli nadzieję, że zadziała kontrolowany system naczyń połączonych. Kultury wymieszają się i powstanie nowa, może nawet lepsza. W założeniach był to korzystniejszy wybór niż totalne unicestwienie życia na Ziemi. Szybko jednak okazało się, że przybysze nie chcą się tak naprawdę niczego uczyć. Zależy im tylko na pustych tytułach, chcą wszystkiego od razu. Byli biedni, więc im się należy i koniec. Ci z ostatnich fal emigracyjnych nie chcą już nawet tego. Po prostu przenieśli się do Europy ze swoimi zwyczajami. Pragną tylko jeść do syta oraz mieć jeszcze więcej dzieci. Czują do nas nieskończoną pogardę, bo oddajemy wszystko za darmo. Nawet siebie i własne rodziny. Ciągną nas w dół. Naczynia wyrównały poziom, tylko nie tak, jak chcieliśmy. Za dwa, trzy lata w Prowansji zapanuje taka sama nędza, jak w Bangladeszu. A po Europie nie zostanie śladu. Naprawdę, uwierz mi, Hubert. Nie jestem rasistką, ale czy nie mamy prawa protestować? Co byś zrobił, gdyby jakiś oszalały reżim uprzywilejował na przykład tylko leworęcznych?

Ada milknie, podnosi kieliszek wina drżącą ręką.

Złości mnie bunt prominentki.

– Rozumiem, że ty i ja jesteśmy w tym wszystkim bez znaczenia. Wiem także, że masz porywy szlachetności. Ale nie pytaj mnie, co bym zrobił. To wasz twór, wasza polityka zrobiła z nas niewolników. Przypominacie szalonego kucharza, który wrzuca wszystko do jednego kotła. Jesteś w tym, zawsze byłaś... nie zapominaj o tym. A ja i bliscy mi ludzie padliśmy ofiarą waszych chorych ambicji – mówię, zapalając papierosa.

Wydmuchuję z irytacją kłąb dymu i biorę wino z barku. Piję prosto z butelki. Ada mówi, nie patrzę na mnie:

– Byłam w tym od początku, to prawda. Co więcej, podobało mi się to wszystko. Ale nie chcę dłużej patrzeć na naszą agonię. Poza tym nie zwalaj wszystkiego na feministki. Przynajmniej wykazywały jakąś aktywność. Stare państwo zdechło z lenistwa i głupoty, nie na skutek zamachu stanu. To wina wszystkich Europejczyków. Pamiętasz ostatnie debaty w parlamencie? Tokowanie, komu dać jeszcze więcej wolności i praw. Systemy preferencyjne dla wszystkich, tylko nie dla zwyczajnych podatników. Głupota napędzała głupotę, każdy poseł chciał być jak największym neodemokratą. Po co więzienia? Obniżyć kobietom o połowę próg wymaganych prawem głosów w wyborach parlamentarnych. A my potrafimy dobrze odrabiać lekcje i lubimy, jak pani w klasie głaszcze nas po głowach. Tak kobiety zdominowały parlament. Ale to wy, mężczyźni, nas sprzedaliście! – zapala się. – Tylko podupczyć raz na miesiąc, piwko i bzdurne mecze. Gamonie. Nawet na wybory nie chciało wam się ruszyć tyłków. – Uspokaja się trochę. – Dalej wiesz sam. Kiedy Zgromadzenie rozwiązało się, wykorzystując kruczki konstytucyjne, na arenę wkroczyła Pierwsza Wielka Mamusia ze swoją partią i anarchoekologami. Teraz już poszło jak z płatką. Miernota musi być bardziej gorliwa niż jej szef. Tak

napędzają się wszystkie reżymy. A każdy reżym przyciąga miernoty jak magnes. Efekty tego błędnego koła pseudohumanizmu widzisz sam. Nie tylko otworzono drzwi do Europy, ale rozwalono ściany, żeby każdy mógł tu przyjść.

Ada już nie patrzy w płomień, patrzy na mnie, ściskając kieliszek, jakby przez szkło chciała wycisnąć z niego wino.

– Czego chcecie? – pytam.

– Chcemy zatrzymać falę osadników. Nie będziemy wysiedlać tych, którzy już tu niestety są. Ale przywrócimy normalne prawo. Wszyscy muszą mu się podporządkować. Musimy uzdrowić finanse i szkolnictwo, zrównać prawa mężczyzn. Mamy do rozwiązania tysiące problemów. Jednym słowem chcemy powołać do życia Federalną Republikę Europejską jako demokratyczne państwo prawa. Żeby tego dokonać, po pierwsze musimy uwolnić z obozów specjalistów. Bez tego grozi nam wszystkim chaos i śmierć.

Wstaje z fotela, poprawia szczypcami płonące polano. Ogień bucha wysokim wesołym płomieniem, a my właśnie rozmawiamy sobie o antyrządowym spisku.

– Chcecie obalić Pierwszą Matkę i jej klikę, to oczywiste. Tylko czy to coś zmieni? Nawet jeżeli zamach się uda i Stara zostanie aresztowana lub zginie, natychmiast zastąpi ją jakaś inna wariatka. Reżym ma tysiące wiernych urzędniczek, które zawdzięczają systemowi pozycję i stanowiska. Dopóki będą mogły cieszyć się władzą, pozostaną wierne systemowi. Pierwsza Mamusia ma armię policji, poprą ją także przybysze. Przecież to dzięki jej polityce czują się tutaj jak zdobywcy, właściciele naszej ziemi i miast. Stare społeczeństwo jest rozbite i bierne. Zostanie w domach, czekając na rozwój wypadków. W dodatku przez lata propagandy część uwierzyła, że rzeczywiście są kimś

gorszym. Jeżeli macie chociaż cień szansy, a nawet jeśli nie macie, pomogę wam. Chociaż uważam, że wasz plan to czysta utopia. Stara i nowi panowie zrobią z nas miazgę, a są jeszcze miliony muzułmanów. Nie, jesteśmy bez szans – wygłaszam najdłuższą polityczną mowę w moim życiu.

Ada zapada się w fotel, nikt nie w nim.

– Muzułmanie są drugim z głównych powodów, dla których jak najprędzej musimy przejąć władzę. Ich przywódcy religijni starzeją się. Oni często w tajemnicy leczą się w naszych rządowych klinikach. To pozwala nam kontrolować ich do pewnego stopnia, przy pomocy szczególnego rodzaju implantu. Seniorzy mają jeszcze posłuch, ale ekstremistyczna młodzież zaczyna coraz jawniej buntować się przeciw mułom i starszyźnie. Już teraz coraz częściej kastrują europejskich chłopców oddanych na praktyki, chociaż meczet oficjalnie tego zabrania. Pewnego dnia młodzi muzułmanie po prostu nas wymordują, tak jak zrobili to z Żydami. A z reszty zrobią swoich niewolników. Stara będzie bezradna, nie powstrzyma ich. Więc albo my odsuniemy ją od władzy, albo oni. A później pogodzą nas wszystkich zarazy i głód.

– Mów, jak mamy się bronić? – pytam, zdecydowany na wszystko.

Ada przypala dwa papierosy, podaje mi jeden.

– Potrzebujemy pilota, najlepszego z najlepszych – mówi poważnym głosem. – Polecisz na Marsa.

Jestem tak zaskoczony, że próbuję pić wino z pustego kieliszka.

– Mars? Mam lecieć na Marsa? Kobieto, ty nie wiesz, o czym mówisz. To jakiś obłąd – mówię, nachylając się do niej.

– Uspokój się, Hubert, to tylko tak niedorzecznie brzmi. Zaraz wszystko ci wyjaśnię – obiecuje, idąc na czworaka do

barku.

W moich dłoniach pojawia się druga butelka wina oraz korkociąg.

– Ręczę ci, Hubert, że ten lot dla dobrego pilota to bułka z masłem. Otwórz wino i skup się. Słyszałeś na pewno o profesorze Leonie Mentzlu?

– Czy słyszałem? No wiesz, jak można nie znać Sztukmistrza z Poznania? Ten wizjoner wyprzedził wszystkich naukowców o kilkaset lat. To Leonardo da Vinci naszego wieku. Miał zmienić nasz świat i otworzyć wrota do innych wymiarów. „Jedyna rzecz niemożliwa dla nauki – to rzecz niemożliwa do osiągnięcia”, brzmiała jego dewiza. Nie zdążył zmienić świata. Zmieniają go idioci – mówię, wyciągając korek z butelki.

Ada podstawia swój kieliszek.

– Właśnie, nie zdążył uratować świata. Lecz zdążył uratować część swojego dorobku. Zapisy jego odkryć są na Marsie i są nam potrzebne.

Z wrażenia o mało nie oblewam jej kolan winem.

– Tam? Jego praca... to musi być niesamowite! Lecę, Ada, nawet jutro. Tylko czym? Wiem, że macie spore możliwości. Ale szczerze wątpię, czy dysponujecie sprawnym statkiem kosmicznym z załogą i obsługą techniczną. Doniesienia o zniszczeniu floty kosmicznej były prawdziwe. Jestem pilotem, słyszeliśmy o tym od naocznych świadków – mówię, siadając obok niej na podłodze. Ada wyciąga do mnie dłoń.

– Zgodziłeś się, kapitanie. Odtąd jesteś zobowiązany do zachowania bezwzględnej tajemnicy. Ryzykujemy życiem oraz przyszłością Europy.

Ściskam po męsku jej rękę.

– Wiem. Życiem ryzykuję już od dawna, a ostatnio

zawdzięczam je tobie. Jestem z wami, chociaż nie jestem pewien, czy na coś się przydam. To, o czym mówisz, jest tak skomplikowane, że właściwie niewykonalne. Zwłaszcza teraz, kiedy cała flota poszła na medale za pracę społeczną. Mentzel musiał użyć bezzałogowego lądownika, a miał pieniądze i pełne zaplecze techniczne. Nie mam pojęcia, jak chcecie tego dokonać – stwierdzam pesymistycznie.

– Dziękuję, Hubert. Od początku wiedziałem, że jesteś właściwą osobą, kapitanie.

Ada wstaje z podłogi i zamyślona opiera się o zagłówek fotela.

– Wahadłowce i program lotów międzyplanetarnych poszły na pierwszy ogień. Były symbolem marnotrawienia środków, które można było przeznaczyć na żywność dla przeludnionej, głodującej Afryki. Z pompą zniszczono wszystkie jednostki oprócz jednej. Wielka Matka nie jest już młoda, a na Księżycu znajduje się unikalna aparatura hibernacyjna. Skuteczna tylko w słabym polu grawitacyjnym. Stara zatrzymała dla siebie całkowicie sprawną Lunę 23 z ostatniej serii. Trzyma ją, bo chce istnieć wiecznie. Mamy dostęp do tego wahadłowca.

Pociągam łyk wina, znowu ogarnia mnie przerażenie.

– Ada, Luna 23 to tramwaj. Można nią latać tylko na Księżyc i z powrotem. Znałem gościa, który je pilotował... dla nas to był szczyt marzeń. Nie mogliśmy pojąć, że ten dupek w trakcie lotów czytał z nudów komiksy. Nie doleczę tym na Marsa, wykluczone. Już ci mówiłem, że to prawie niewykonalne. Nawet gdybyście miały najnowszego Tarana, pewnie nic by z tego nie wyszło. Wszystkie załogowe wyprawy skończyły się klęską. Jak wiesz, ostatnia ekspedycja nawet orbitowała, ale mieli awarię i przekroczyli czas... ledwo uszli z życiem. Mars okazał się trudniejszy, niż

wszystkim się wydawało. Ja polecę, Ada. Za taką przygodę mogę nawet umrzeć, ale musicie opracować inny plan. To, co mówisz, to czyste marzycielstwo. Ada robi niecierpliwy gest dłonią.

– Mam wyrzuty sumienia, że cię rozpijam. Jeszcze jutro pełny luz, a potem musisz wrócić do formy. Cykl treningów i wykładów potrwa około czterech tygodni. Teraz najważniejsze. O tym, co usłyszysz, wie tylko kilkanaście osób. Daj butelkę, Hubert – prosi.

Rozlewam wino do kieliszków, czekam niecierpliwie na jej słowa.

– Po nieudanych próbach załogowych lotów na Marsa opinia publiczna, a za nią politycy uwzięli się na cały program. Trzeba było kontynuować wszystko w tajemnicy przed dziennikarzami. Zatrudnili wtedy Mentzla i jego zespół. Jednocześnie kontynuowano wcześniejszy program Bruno. Profesor jak zwykle odrzucił wszystkie znane rozwiązania i zostawił konkurencję sto lat za sobą. Zbudował unikalną jednostkę o możliwościach, jakie nikomu nawet się nie śniły. Udało mu się tego dokonać, ponieważ nikt go nie nadzorował. Wszyscy bali się odpowiedzialności za fundusze i trzymali się od projektu z daleka. Luna ma tylko dostarczyć załogę do bazy. Na Księżycu czeka największe dzieło profesora. To nie jest żaden wahadłowiec. To prawdziwy okręt międzygwiazdny. Stoi zacumowany w księżycowym kraterze. Nazywa się „Hekate”. Lot na Marsa dla tego cuda to żabi skok – kończy poetycko.

Zapada cisza, słychać tylko trzask płonących polan i szmer rozmów z knajpy na dole. Czuję się tak, jakbym został panem świata. Serce tańczy ogniste flamenco, krzycząc z radości. Z trudem staram się zachować lodowaty spokój wojownika.

– I Stara nic o tym nie wie? – pytam głosem, który wydaje mi się w miarę opanowany.

– Ten temat to tabu w jej otoczeniu. Chciała zniszczyć statek, ale kilku techników, narażając życie, nie wykonało rozkazu. Przywieźli tylko część modułu pamięci oraz kody startowe. Ostatnią Lunę trzeba oszczędzać, więc drugiego startu już nie było. Technicy zaginęli bez śladu. Natomiast Stara, wiedząc, że z kodami startowymi i tak trzyma wszystko w garści, odpuściła na razie całą sprawę.

– Chciała zniszczyć taki statek? – pytam z głupim niedowierzaniem.

Ada patrzy na mnie jak na dziecko.

– To cię dziwi? Zniszczyła wszystko, co kojarzyło się z nauką, a zwłaszcza z eksploracją kosmosu. Nigdy nie zgodziłaby się na podróże międzyplanetarne. Chce zniszczyć cywilizację techniczną i ludzkość. Ta jej miłość do dzieci to błaga dla tłumu. Dla niej przyroda jest najważniejsza. Uważa, że dla naszej planety jesteśmy szkodliwym robactwem i tacy będziemy także dla wszechświata, jeżeli jakimś cudem uda nam się stąd uciec. – Milknie zapatrzona w płomienie.

W moim umyśle rozkręca się wir. „Hekate” – władczyni czarownic i mroku, najstraszniejsza z wiedźm.. Prawdziwy gwiazdolit. Tak, dla Mentzla nie istniały żadne ograniczenia, statek na pewno osiąga niewyobrażalną prędkość. Wszystkie eksperymentalne rodzaje napędów zawiodły oprócz słonecznego żagla. Ale on nadaje się tylko dla sond. Nie można nim manewrować.

– Ten statek był na Marsie? Czy archiwum Mentzla dostarczyła tam jakaś bezzałogowa jednostka? – pytam.

Ada znów siedzi tuż obok mnie. Nawet nie zauważyłem, kiedy się przysunęła.

– Był z załogą. Zajęło im to siedemnaście dni w jedną

stronę. Statek dosyć długo nabiera szybkości, a w dodatku był to pierwszy, jeszcze testowy lot i nie wykorzystano pełnej mocy.

– Siedemnaście dni? Ada, normalny statek leci tam ponad siedem miesięcy – znów mnie zatyka.

– To była tylko próbna jazda na pierwszym biegu po parkingu. „Hekate” może dotrzeć do innych systemów słonecznych. Zresztą sam się przekonasz. Po wykonaniu zadania polecicie jeszcze raz, na Ganimedesa. Pozostała część wyników pracy profesora i jego zespołu jest właśnie tam. Nowe źródła energii, rewolucyjna molekuliastyka i genetyka. Gdyby tylko udało się powstrzymać tempo przyrostu naturalnego, Ziemia może stać się jeszcze kwitnącym ogrodem ze snów.

– Byli na Ganimedesie? – przerywam jej.

– Mentzel wyczuł, co się święci. Bał się, że nadgorliwi kretyni zniszczą jego dorobek. Zapisy z eksperymentów oraz gotowe prototypy ukrył tam. A najprawdopodobniej także na innych księżycach i planetach układu. Nie wiemy dokładnie, gdzie, ponieważ większość danych zaszyfrował, a nie potrafimy złamać kodu. Nie ma także świadków. Syn profesora, Robert, zginął właśnie na Ganimedesie w trakcie drugiego lądowania. Zginął on i dziewięciu innych kosmonautów. Ci Kolumbowie stanowili coś w rodzaju jego zaufanego oddziału. Zostali tam na zawsze. Wszystko leży w magazynie, którego usytuowanie mniej więcej znamy, oraz we wraku lądownika. Co się stało z resztą archiwum Mentzla? Tego chyba nie dowiemy się nigdy.

– Człowiek zdobył Układ Słoneczny – powtarzam z niedowierzaniem.

Ada kładzie swoją dłoń na mojej.

– Byli o wiele dalej, „Hekate” odbyła kilkanaście lotów.

W trakcie czterech zbliżyła się do prędkości światła.

– Zdobywaliśmy kosmos! Nikomu nie powiedziano nawet słowa. Dzienniki podały, że syn profesora zginął w wypadku motocyklowym. Dlaczego każdy gnojek, kiedy tylko zakotwiczy za biurkiem, zaczyna traktować społeczeństwo jak małpy na drzewach?! – krzyczę.

Ada zabiera dłoń. Wstaje i bierze z barku paczkę papierosów. Zapala jednego i rzuca mi pudełko.

– A kogo to tak naprawdę obchodziło? Dla tego twojego społeczeństwa najważniejsze były real-seriale. Kto dziś przeleci słodką Susi na jej nowym jachcie? I inne debilstwa. Teraz interesuje ich tylko, jak przetrwać. Nowych nie obchodziło to nigdy. Dla nich to symbol ekspansji naszej kultury – mówi, paląc nerwowo papierosa.

Dociera do mnie, że ona także siedzi po „tamtej” stronie biurka.

– Ten Robert był dobrym pilotem? – pytam na zgodę.

Ada przy pomocy wielkich szczypiec znów zaczyna przekładać polana w kominku, drewno obsuwa się, sypiąc iskrami.

– Podobno niezłym, ale to nie on pilotował lądownik. Macierzysty statek zawsze zostaje na orbicie. Lądownik jest łatwy w pilotażu i zautomatyzowany, lecz żaden komputer nigdy nie zastąpi dobrego pilota. Robert i jego ludzie trochę za bardzo zaufali sztucznej inteligencji. Tylko tyle wiemy o przyczynie wypadku. Taki lądownik został tylko jeden, musisz się dobrze przygotować – odpowiada.

Wstaję i zabieram jej szczypce, żar płomienia owiewa mi twarz. Ada siada znowu na podłodze, jakaś maleńka i zagubiona.

– Ada, co z tobą? To pewnie przez twoją wczorajszą odprawę – pytam z troską.

Patrzy na mnie ze smutkiem.

– Nie, nie tylko to. Chociaż nie było to miłe. Bardzo ci zazdroszczę, może jako jeden z ostatnich przeżyjesz prawdziwą wielką przygodę. Nasze życie chwieje się jak domek z kart. A ty masz szansę doświadczyć czegoś wyjątkowego i uciekniesz stąd chociaż na chwilę.

Zostawiam w spokoju niepokorne polana. Siadam obok niej.

– Ada, postaramy się to wszystko jakoś naprawić. Znowu będziemy spacerować po parku, chodzić do kina i pić piwo pod parasolami rozstawionymi na ulicach – pocieszam ją.

– Wykonaj zadanie najlepiej, jak potrafisz. Dopadły twój rezerwowego pilota. Nie mamy już czasu szukać kogoś innego – prosi, wyciągając rękę po butelkę wina.

– Domyślałem się, że nie stawiacie na jednego konia. Mogę wiedzieć, jak się nazywał ten pilot? Może go znałem.

– Nie, wybacz. Lepiej, żebyś nie wiedział. To jeszcze nie koniec złych wiadomości. Dwa dni temu wywiad Starej wywiózł z Pragi Mentzla. Nie wiemy, dokąd.

– Miałyście profesora? – wpadam jej w słowo.

– Tak. Udało nam się zarzucić Wiedniowi niekompetencję i zabrać go do innego szpitala. Ośrodek pomocy psychiczno-dostosowawczej w Pradze, a Praga jest obstawiona przez dziewczyny Dodo.

– Mentzel współpracował z wami?

– Profesor, kiedy widziałam go ostatnio, rozmawiał tylko ze swoją prawą dłonią. W chwilach, gdy wykład nabierał rozmachu, do dyskusji włączała się lewa. Miałyśmy nadzieję, że wyzdrowieje, ale te z Wiednia znają się na rzeczy. Zrobiły na nim o kilka doktoratów za dużo.

– Jakich doktoratów?

– Chyba się domyślasz, sam widziałeś wstęp.

Standardowe oraz eksperymentalne leczenie z rasizmu i antyfeminizmu – mówi z szyderstwem w głosie, kończąc swoje wino.

– Wiem. Po dwu latach resocu nawet Attyla nauczyłyby się słodkiego śpiewu oraz gry na harfie – stwierdzam.

Ada znowu wstaje i zaczyna swój marsz wzdłuż kominka.

– Musimy się spieszyć. Stara robi się podejrzliwa nawet w stosunku do Dodo, którą uwielbia. Podwyższyła ostatnio pensję wywiadowi, a awansami sypie na lewo i prawo. To zawsze tak wygląda, kiedy dni dyktatora są już policzone. Jeżeli nasz plan się nie powiedzie, starą wariatkę wcześniej czy później zastąpią młodzi mułłowie. Znamy ich nastroje. Oni nas wymordują – powtarza.

– Przeraziłaś mnie tym kastrowaniem dzieciaków. Przeraziłaś mnie tym wszystkim.

– Nie obawiaj się, ten twój chłopak jest bezpieczny. Wykupiłam go od Arabów, tylko teraz nie możesz się z nim spotkać. Wywiad ma go na oku. Pewnie myślą, że to mój tajny hak na ciebie... niech tak myślą. Dopóki nie wiedzą, jaki mamy cel, wszystko jest w porządku.

Wstaję. Podchodzę do niej.

– Dziękuję, Ada. Los tysięcy dzieci to dla mnie abstrakcja. Los dziecka, które widziałem i znam, porusza mnie do głębi. Nie potraktuję tej misji jak wycieczki.

Ada ciągnie mnie za rękę. Siadamy razem w fotelu. Ada wierci się i znajduje w końcu wygodne miejsce na jego grubym oparciu.

– Polecą was siedmiu. „Hekate” może zabrać nawet kilkadziesiąt osób, ale do tej misji wystarczy kilku. Jeden z twoich nowych kolegów brał już udział w kilku lotach. Jest prawdziwym kosmonautą i zupełnie wyjątkowym człowiekiem. Jestem pewna, że się zaprzyjaźnicie – mówi,

gładząc mnie lekko po włosach.

– Jak wygląda ten statek? Masz może film albo chociaż fotografię? – pytam.

– Huberciku, jestem zawodowcem, nie trzyma się czegoś takiego w domu. Ale rzeczywiście, widziałam film z bazy na Księżycu. – Zastanawia się do czego porównać gwiazdolit. – Wygląda jak czarny ogromny robal. Tak, wygląda zupełnie jak czarny karaluch z dwoma parami czulek zakończonymi packami na muchy. Szczerze mówiąc, jest paskudny – mówi bez cienia entuzjazmu.

– Marzyłem, żeby pilotować choćby szybowiec. A ten statek... Oni widzieli Charona, ziarno maku w studni głębokiej na sto kilometrów. Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić. Ten statek jest dla mnie piękniejszy od Giocondy. I ty w tej chwili także – mówię, patrząc w twarz pełnej tajemnic kobiety.

Dostrzegam dwie łzy płynące po jej policzkach. Dwie maleńkie krople płyną powoli. Jakby przejęte własną nieśmiałością i zawstydzeniem, zatrzymują się na wysokości ust, by uciec do podbródka i ukryć się za nim.

– Ada, co z tobą? Powiedz – pytam zaskoczony.

Kuli się, obejmując dłońmi kolana.

– Mówiłam ci już kiedyś, że tak naprawdę jestem nieśmiała. To wszystko czasami mnie przerasta, ale obiecałam ojcu i przysięgłam sobie: będę twarda i uczciwa. Tylko czasami coś we mnie pęka – mówi łamiącym się głosem.

Próbuję ją przytulić, ale odpycha mnie. Zeskakuje z oparcia, przez chwilę stoi odwrócona do mnie plecami.

– Chodź do łóżka. Prześpiamy się dwie godziny, a później poszalejemy na koszt państwa. Muszę się teraz uspokoić. Dodo trochę mnie podłamała, no i jednak zabiłam człowieka.

Przytul mnie w łóżku, ale nie obmacuj. Nie jestem w nastroju. Przyjdź zaraz, bardzo cię potrzebuję – prosię, wychodząc.

Palę papierosa zapatrzony w ogień. Po fali emocji nadchodzi nieomal absolutny spokój. Biedna Ada. Musi prosić o czułość. Niepotrzebnie o tym mówiła, i tak chciałem ją przytulić. Za te dwie łzy.

Idę do sypialni. Śpi już zwinięta w kłębek, ma na sobie zwyczajną bawełnianą bieliznę. Jej głowa spoczywa na zwiniętych w pięści dłoniach z ukrytymi wewnątrz kciukami.

– Zupełnie jak dziecko, brakuje tylko palca w buzi – mówię cicho, przykrywając ją żółtym kocykiem.

Kładę się obok, słucham, jak oddycha. Wiem, że nie zasnę, chociaż znowu kręci mi się w głowie. Gapię się w sufit, ale tym razem widzę na nim roje gwiazd. Powraca podniecenie. Jak w dniu, kiedy zdałem końcowy egzamin i zostałem dyplomowanym inżynierem pilotem.

Wtedy, wieczorem po egzaminie, także nie mogłem zasnąć. Byłem tak napompowany euforią, że nie mogłem także się upić. Śpiewałem ze szczęścia jeszcze po dwunastym piwie, a mój biedny, zamieniony w bukłak żołądek doznał ulgi dopiero wtedy, kiedy udławiłem się własnymi namoczonymi w piwie oficerskimi naszywkami. Uśmiecham się do wspomnień. A teraz dokąd zawiódł mnie los? Ze szcurzej nory na sam szczyt. Wszystko, co znam, musiało umrzeć, żebym ja, Hubert Jugenmann, mógł dotknąć absolutu marzeń. Odwracam głowę od mojego nieba i najdelikatniej, jak potrafię, przytulam Adę. Wcale nie spała, czekała na mnie przez cały czas. Szybkim gestem, jakim łapie się uciekające szczęście, obejmuje mnie i przywiera mocno. Zamieram w niewygodnej pozycji, delikatnie gładząc jej włosy. Teraz zasypia naprawdę, słyszę głębokie pomruki zadowolenia,

jakie wydaje ciało, gdy opuszcza je lęk. Zamykam oczy oślepienie korowodem mgławic wirujących w warkoczach kosmicznego pyłu. Dotknę tego pyłu niczym piasku na plaży. Moją twarz opalą promienie nieznanego słońca, a płuca wypełnią się powietrzem, jakim nie oddychała jeszcze ludzka istota. Może umrę i pozostanę na wieczność pośród obcych skał. Po tysiącach lat znajdą mnie inni przybysze z głębi wszechświata. Patrząc na moje wyblakłe naszywki, powiedzą w skupieniu: „Byli tu przed nami. To starożytni zdobywcy galaktyk”.

Ada przekręca się na bok, pociągając moje ramię. Ten ruch sprowadza mnie z powrotem na ziemię. Dotykam ustami jej ciepłego karku. Nie budzi się, znowu zapadła w mocny, bezpieczny sen. Otula nas cisza. Tylko dopalające się w kominku polana opowiadają sobie szeptem stare baśnie. Ta chwila jest jak marzenie o domu. A tam, za oknem, wszystko umiera. Może zostaliśmy tylko my? Gdyby nie lot do obcych światów, to byłby dobry czas, żeby pięknie się ubrać i odejść przy dźwiękach muzyki. Ale musimy poczekać do mojego powrotu. Chociaż nie wierzę, że uratujemy cokolwiek, obalając ten reżym. Przedłużymy tylko agonię naszej cywilizacji. Jesteśmy za starzy, mieliśmy zbyt wiele. Zdobyliśmy wszystko, o czym od zarania dziejów marzył człowiek. A teraz nie istnieje już motor naszej cywilizacji, jakim była wola poznania. Nie mamy po co istnieć.

Znikniemy więc z przeludnionej Ziemi. Nowy Świat przejdzie przez fazę barbarzyństwa, z której podźwignie się lub nie.

Na dębowej szafce koło kominka stoi zabytkowy zegar. Polana dopaliły się i słychać aż tutaj, w sypialni, jego tykanie. Przemijamy z każdym uderzeniem jego mechanicznego serca. Co godzinę muskularny Chronos uderza kosą w pokryty

błękitną emalią globus z brązu, głosząc tryumf nowych władców. Bóg czasu przetrwa nas i stanie się totemem, zatkniętym na szczycie skórzanego namiotu. Będzie patrzył, jak kości koczowników bieleją w słońcu. A jeszcze później zostanie już tylko on.

Drugie uderzenie kosy boga czasu zaskakuje mnie. Dwie godziny skurczyły się do kwadransa. Ostrożnie wyciągam zdrętwiałe ramię spod śpiącej Ady – może się nie obudzi.

Płonne nadzieje. Ada siada sztywno jak powstający z trumny wampir na starych filmach. Toczy wokół zwycięskim wzrokiem.

– Hubert, sprawdź, czy masz jaja na miejscu. Będą ci potrzebne, albowiem udajemy się do miasta szastać rządową gotówką na cele reprezentacyjne. Będziemy pławić się w luksusie i rozpuście jak marynowane śledzie w koprowej zalewie. Spalimy tę nędzną dziurę, a po nas niech wyrośnie trawa.

Salutuję z zamachem.

– Generale, czy zapalać pochodnie?

– Zapalaj, kapitanie, niech lunę zobaczą w Lubece. Nie brać jeńców! Lepiej być przez jeden dzień lwem, niż świnia przez całe życie. Hasło dnia: pieprzyć Wielki Plan. *Avanti*, kupimy sobie Berlin! – krzyczy Ada, zeskakując z łoża.

Biegnie pod prysznic. Ja w małej kuchni parzę dwie mocne kawy. Ada wybiega po chwili z łazienki w koronkowych majtkach i staniku. Cięgnie mnie za rękę do garderoby. Tam otwiera wszystkie szafy i wyrzuca z nich naręcza kapeluszy wraz z całą resztą damskiej garderoby. Ze skupioną miną przebiera w piramidzie ubrań. Sukienki, które nie zdobyły w jej oczach uznania, rzuca za siebie przez ramię. Na mnie czeka elegancka brązowa marynarka z zamszu i pudełko z prawdziwym szwajcarskim zegarkiem,

jakich dzisiaj mrukliwi górale już nie potrafią produkować. Rado ma swoje lata, lecz dla tych okazji nie ma to żadnego znaczenia.

Ada śpiewa coś po francusku, dopasowując teraz do swojej wizji kapelusze. Piję gorącą kawę, patrząc na ten cud przemiany. To niezwykle, ta ekwilibrystyka wprawia mnie zawsze w zachwyt. Jak można dłubać sobie czymś w rzęsach, naciągając drugą ręką pończochę? Albo zakładać i zapinać coś, co ma rozporek na wysokości łopatek? W czarodziejski sposób z tego chaosu wyłania się w końcu piękna i elegancka kobieta. Czesze się i dopracowuje makijaż przed lustrem. Ma na sobie czarną obcisłą suknię do pół uda z szerokim pasem i rękawiczki do łokci. Wieczorowy strój uzupełnia szalonym kapeluszem rozmiarów karcianego stolika z pofalowanym rondem, monoklem na łańcuszku oraz naszyjnikiem ze srebrnym delfinem bawiącym się trzymaną w pysku perłą. Jeszcze torebka z funduszem reprezentacyjnym rządu Pierwszej Matki, który zamierzamy przehulać – i już jesteśmy gotowi. Prawie zbiegamy po schodach do windy. Po chwili siedzimy w limuzynie.

– Do centrum, wierna słuگو! – rozkazuje Ada.

Samochód wytacza się na podjazd w chwili, gdy wrota prawie zniknęły, nawinięte na bębny. Wypadamy z bramy niczym bandyci po skoku na bank. Szofer zwalnia przed szlabanem przy wjeździe do osiedla, a później zapomina, do czego służy hamulec. Po kilku minutach wciskamy się w uliczny ruch. A za moment gnamy już przez kipiący egzotycznym żywiołem Nowy Bombaj. Kierowca znowu pokazuje mistrzowską klasę. Pędzi slalomem pomiędzy kolorowymi zaprzęgami, rikszami oraz wszystkim, co porusza się po ulicach próbując dotrzeć w tym szalonym zgiełku do miejsca przeznaczenia. Tył wozu co chwila

miętko przechyla się na boki. Na każdym wirażu podpieram się dłonią o udo Ady lub wpadam na drzwi, przyciskany jej ciężarem. Wamp pali papierosa w długiej lufce, śmiejąc się cały czas głosem zblazowanej kabaretowej kokoty. Bawi się w najlepsze tym szalonym, zapierającym dech pędem. Neurotyczną serpentyną przecinamy już kwartał Lagos, gdy limuzyna hamuje tak ostro, że dla odmiany opieram się czołem o hebanowy barek na ścianie dzielącej nas od szofera. Szyba nad barkiem zmniejsza filtr. Widzę zacieniony tył czapki szofera oraz przednią szybę auta.

Przeszkodą nie do pokonania – nawet dla naszego wirtuoza kierownicy – okazują się lektyki dwu dostojnych nababów w czerwonych fezach na głowach. Eminencje dyskutują zawzięcie, wymachując buławami z ogonów zebr. Ich barwne pojazdy suną przed siebie z największą szybkością, na jaką stać nogi tubylczych tragarzy. Ruch jest przez to zakorkowany na amen na całej szerokości ulicy.

Przez opancerzony kadłub słyszę dźwięk klaksonu. Szofer uruchamia go raz za razem, ale jedynym rezultatem jest widok białych spoconych twarzy, oglądających się na nas spod frędzli zdobiących pudła lektyk.

Ada bez słowa otwiera jakąś klapkę na ścianie barku i wciska przycisk z mrugającą diodą. Powietrze na zewnątrz staje dęba. Czuję bezgłośną wibracje nawet wewnątrz samochodu. Fala rozchodzi się po zębach oraz szwach czaszki niczym tysiąc mrówek, biegnących wzdłuż kości w podkutych kryształowymi igłami butach. Zatykam dłońmi uszy, chowając w ramionach głowę. Kiedy wibracja gaśnie, patrzę przez szybę. Nie ma lektyk, nie ma niczego, co stoi na własnych nogach. Ludzie siedzą ogłupiali wśród stert rupieci, jakie powypadały im z rąk. Zewsząd łypią na nas przerażone oczy. Ada grzebie w torebce, uchyla okno, przyzywając

kogoś lufką z tłącym się papierosem.

– Masz za straty moralne. Podziel się ze wszystkimi. Z kolegami z drugiej obsady także. Tylko niczego nie odpalajcie swoim szefom – mówi do schyłego na wysokość okna tłustawego mężczyzny o wyglądzie mojego nauczyciela biologii z podstawówki.

Facet ściska w dłoni banknoty, mrugając w szoku. Cofa się tyłem do rupieciarni, w jaką zmieniło się jego stanowisko pracy. Ada odwraca się do mnie. Słyszę spod ronda kapelusza:

– Nie cierpię takich gestów. To obraża ich i mnie. Dosyć lamentów. Naprzód, droga wolna!

Limuzyna rusza z kopyta, roztrącając leżące przed maską rumowisko. Niezręczna cisza nie trwa zbyt długo. Ada wraca zaraz do swojej roli.

– Całuj, Hubert, a potem skatuj i porzuć w rynsztoku – żąda stanowczo, napierając na mnie.

Rondo jej kapelusza dźga mnie w nasadę nosa i ugniata powieki. Ada ponawia natarcie, w trakcie którego o mało nie pęka mi łuk brwiowy. Przywiera do mnie całym ciałem z dzikim charkotem drapieżnika. Czuję na brodzie jej zęby. Nie wytrzymuję, dostaję ataku śmiechu, szamocząc się z tą furją namiętności. Miotany drgawkami łaskotek, odpieram jej namiętne szarże, dopóki nie spadamy oboje na podłogę pomiędzy ścianę barku i kanapę. Przez własny śmiech słyszę spod siebie zduszony głos:

– Utop mnie w szampanie i weź nieprzytomną, ty brutalu!

Próbuję wygrzebać się jakoś z wąskiej szczeliny, w której utknęliśmy. Szukam na oślep jakiegoś uchwytu. Moja ręka trafia na coś metalowego, próbuję się na tym podciągnąć. Nagle z hukiem otwiera się hebanowa kłapa barku, zamykając nas w szczelinie niczym wieko trumny. Za chwilę

stacza się po niej jakaś butelka, odbija od krawędzi kanapy i ląduje obok kapelusza krzyczącej z zachwytu Ady.

– *Merci*, nalać damie do pantofelka. Hubert, złaż już, muszę się napić!

Próbuję podnieść klapę plecami. Nic z tego. Zaczep zabezpieczający blat przed podskokami zatrzasnął się w dolnym położeniu. A przez półkoliste wycięcia na kolana pasażerów nie da się wyjść. Żaden projektant tego mebla nie mógł przewidzieć, że ktoś wpadnie na pomysł, żeby schować się pod spodem blatu.

– Ada, mamy mały problem. To cholera się zatrzasnęło. Nie wyjdziemy stąd, dopóki samochód się nie zatrzyma – mówię spokojnie.

– Nie, nie będziemy teraz robić widowiska. Za nami jedzie moja eskorta, ma rozkaz odczepić się dopiero w śródmieściu. A ty, jak już na mnie leżysz, to całuj i pieść... albo chociaż zabierz łokieć z mojego żołądka. I zdejmij mi ten kapelusz, nic nie widzę – gdera, sapiąc pod moim ciężarem.

Udaje mi się jakoś zsunąć z jej czoła fantazyjne rondo. Nasze twarze są tuż obok siebie. Patrzą w jej dziwne zielone oczy. Nie widzę ich wyraźnie w półcieniu. Odbija się w nich tylko blask słońca, kiedy samochód mija niższy dom. Ada milknie. Dotykam ostrożnie wargami ciemnej linii brwi. Ona odwraca lekko głowę. Całuję gorącą konchę ucha, wdycham aromat kobiecego ciała zmieszany z wonią perfum. Moje usta badają smak szyi, wracają do miękkiego podbródka. Ada wydaje ciche westchnienie, podsuwając swoje usta pod moje wargi. Muskam ich słodką, gorącą powierzchnię, zapowiedź paraliżującej rozkoszy.

Limuzyna faluje łagodnie sunąc szeroką aleją, kiedy upajam się karminowym smakiem. Nasze szybkie oddechy

mieszają się ze sobą. Podniecenie uderza falami jak wezbrana rzeka, która zniosła tamę i rwie w dzikim pędzie, kipi, gna dolinami, aż połączy się z morzem płomieni dwu rozszałanych pożarów. Całuję ją, jakby zaraz miał skończyć się świat. Wolną ręką gładzę jej włosy. Ada nie może oddać żadnej pieśczoły oprócz pocałunków. Odwraca głowę i skarży się, dysząc z podniecenia:

– Dlaczego tak? Jak w kaftanie w domu wariatów.

Leżymy spokojnie, dopóki kołysanie podłogi nie ustaje. Jesteśmy na miejscu.

Pełnę po Adzie, próbując dosięgnąć do klamki drzwi. Czuję już chłód metalu, kiedy rozlega się jej zduszony głos:

– Są zablokowane. Zabierz łokieć z mojej twarzy, dusisz mnie. Jesbell, rusz się, otwórz drzwi!

Słyszę trzask otwieranych i zamykanych drzwi od strony szofera. Za chwilę otwierają się wrota naszego więzienia. Wypełzam tyłem po mojej damie, starając się narobić łokciami jak najmniej siniaków na jej delikatnym ciele. Kiedy sięgam twarzą do jej bioder, nogi znajdują oparcie na twardym gruncie. Przyklekam, przenosząc ciężar ciała na zgięte kolana. Wyciągam ze szczeliny ramiona oraz głowę. Punkt ciężkości przesuwam się do tyłu i w rezultacie siadam z rozmachem. Pierwsze, co widzę, siedząc na chodniku – to niesamowite łydki oraz uda opięte granatową spódniczką do kolan. W górze granatowy mundur skrywa najpiękniejszy biust, jaki można sobie wyobrazić. Znad piersi, które robią wszystko, by wyrwać z materiału złote guziki, patrzą na mnie błękitne oczy, przypominające dwa górskie jeziora. Platynowe proste włosy sięgają do ramion. Jesbell wygląda wręcz nieziemsko, niczym anioł wygnany z nieba za urodę. Trzyma w jednej dłoni szoferską czapkę, drugą przytrzymuje drzwi. Jest niezdecydowana, widząc mnie siedzącego na

chodniku, analizuje sytuację. Wstaję spokojnie, jakby to był mój normalny styl wysiadania z samochodu, otrzepuję spodnie i poprawiam marynarkę.

Wokół zaczyna zbierać się tłumek ciekawskich. Na jego czoło wysuwa się jeździec w czarnym zawoju, ze spaloną wiatrem pustyni twarzą. Bodzie swojego osła piętami żeby przysunąć się jeszcze bliżej. Za jego rumakiem drepczą posłusznie dwie zawinięte w czarne szaty kobiety w czadorach. Facet nie gapi się na mnie, jest oszołomiony i zafascynowany widokiem anielskiej Jesbell. Złazi szybko z osła i wciska mi do ręki lejce wierzchowca, wskazując jednocześnie na swoje czarne jak para kruków kobiety. Cały czas gardłuje coś podekscytowanym głosem. W końcu klepie osła po czole i łapie Jesbell za łokieć. Robot patrzy na napalonego szejka z doskonałą obojętnością. Domyślam się, o co mu chodzi. Lecz nie mam czasu przerwać targu, ponieważ z samochodu dobiegają zniecierpliwione jęki szamoczącej się Ady. Kobiece kształty uniemożliwiają jej wydostanie się z pułapki o własnych siłach.

– Hubert, pomóż mi w końcu, do cholery. Szybciej! – ponagli mnie.

Schylam się, łapię Adę za łydki. Czubki wierzgających pantofelków wbijają mi się pod pachy. Wyciągam ją powoli, żeby sukienka nie zatrzymała jej się na uszach, przemawiając jednocześnie do podnieconego Araba.

– Kolego, zostaw blondynkę, ona jest na baterię. Jak pofiglujesz, rąbnie cię prąd i twoje klejnoty pójdą z dymem. Patrz, ta jest prawdziwa – mówię, demonstrując widowni wyciągniętą do połowy Adę.

Wszyscy gapią się zafascynowani na jej białe uda i koronkowe majteczki. Wreszcie udaje się – Ada z plaśnięciem ląduje pupą na chodniku. Jest czerwona na

twarzy i zaskoczona zbiegowiskiem. Pomagam jej wstać. Obciąga spódnicę, która zatrzymała jej się pod biustem. Przerzuca z pleców swój monokl i formuje kapelusz, wyglądający jak zmaltretowany naleśnik. Jest gotowa w ciągu sekund. Mogłaby nocować w bębnie pralki i prosto stamtąd pójść na arystokratyczny bal. To autentyczna dama.

Zakochany Arab trzymający ramię Jesbell stoi jak wryty. Ada kumuluje na nim swoją rosnącą wściekłość.

– Co tak się gapisz, Alibabo? Nigdy, kurczę, nie całowałeś swoich żon na podłodze limuzyny?

Arab puszcza łokieć Jesbell i wyrывa mi z dłoni uzdę. Podejrzewa, że nie sprzedam mu blond piękności, tylko w zamian próbuję wcisnąć za cenne zwierzę i dwie kobiety jakąś wściekłą heterę.

Ada patrzy na mnie pytająco.

– Ma jakiś problem?

Odpowiadam spokojnie:

– Zobaczył twoje nogi i teraz nie chce dać ze ciebie osła.

Twarz Ady przybiera purpurową barwę.

– Cooooo? Ty chytra zmijo... pustynny Szkocie! Kup sobie starą dętkę na wieczór i spływaj – syczy z ogniem w oczach.

Zbity z tropu jej brakiem szacunku, szejk postanawia się wycofać. Wyraźnie boi się szalonej kobiety, wysiadającej z samochodu nogami do przodu. Znika w tłumie gapiów razem z marzeniem o anielskiej piękności, osłem i żonami. Ada tymczasem opanowuje sytuację.

– Jesbell, kochanie, państwo idą teraz trochę poszaleć. Dam ci sygnał, kiedy i gdzie masz po nas przyjechać – zwraca się do robota.

Jesbell potwierdza przyjęcie rozkazu skinieniem głowy,

zamyka nasze drzwi i wraca na swoje miejsce.

Ada wciska rękę pod mój łokieć, ruszamy przed siebie na podbój miasta.

– Co się tak na nią gapisz? Jesbell jest tylko maszyną model KKK 3. Erotyczna fantazja profesora, czyli sto procent pociągu seksualnego... ale nie dla wszystkich. Jest bardzo cnotliwa, bez kodu dostępu zgmiotłaby cię udami jak kurczaka – oznajmia, nie mogąc ukryć zazdrości.

– Piękna i niebezpieczna. Jak ty, pani mecenas.

Ada mruczy coś z aprobatą w głosie. Porównanie wywarło na niej pozytywne wrażenie.

– Dlatego rzadko pozwalam wychodzić jej z samochodu. Faceci mogliby się o nią pozabijać.

– Albo ją ukraść – dodaje, omijając z wprawą białego kulisa zgiętego wpół pod ciężarem ogromnego wiklinowego kosza.

– To raczej nie wchodzi w rachubę. Jest silna jak byk. A gdyby mimo wszystko jakiś pluton siłaczy zdołał ją porwać, Jesbell trzy kilometry od limuzyny zmieni się w atomowy grzyb. Ona jest także posłańcem zagłady. Ale dosyć o tym, teraz tylko my i nasza miodowa doba – mówi, obserwując z wyraźną satysfakcją moją wędrującą w górę grdykę.

Idziemy po starym Ku'damie. Nasi dziadkowie i rodzice odpoczywali tu po szaleństwach Love Parade, paląc trawkę i śmiejąc się, wypełnieni energią młodości. Mijani przechodnie są wyraźnie zaskoczeni widokiem przytulonej pary eleganckich tubylców, spacerujących sobie spokojnie, zupełnie jakby byli u siebie. Zaczynamy wzbudzać sensację i ciekawość. Podobną do naszej, kiedy wiele lat temu patrzyliśmy na pierwsze wielbłądy, obsrywające aleje miasta.

Teraz nostalgiczna ulica nosi imię Jasira Arafata i o jej dawnym charakterze świadczą tylko skorupy budynków.

Całość, jak wszystkie kwartały opanowane przez muzułmanów nie będących nomadami, bardziej przypomina ulice Damaszku niż europejskiego miasta. Orientalną scenografię wypełnia przytłumione pastelowe światło letniego dnia, przesycone aromatami sandałowego drewna, różanego olejku i ziołowych przypraw. Gwar rozmów miesza się ze świergotem jaskółek uganiających się nad dachami, okrzykami kobiet nawołujących dzieci oraz metalicznym stukotem młotków snycerzy z ulicznych warsztatów.

– Jaki piękny wieczór, Hubercie. Zapamiętam go na zawsze – mówi ze wzruszeniem w głosie Ada, tuląc się do mnie jeszcze bardziej.

– Tak, jest piękny niczym z baśni Szeherezady. Może kupimy tu gdzieś starą lampę. Dżinn, który w niej mieszka, stanie się naszym sługą. Chcę tylko jedno życzenie, reszta jest twoja – odpowiadam.

Ada zmienia krok, podskakując niczym mała dziewczynka.

– Nie, to ja chcę wypowiedzieć jedno życzenie. Chcę, żeby ten dzień trwał w nieskończoność.

Ulica zabudowana po obu stronach straganami zwięża się. W niszach bram siedzą na poduszkach gromadki starców, podłączonych węzami do wodnej fajki. Przerywają na nasz widok swoje rozmowy o minionym życiu. Wyglądają, jakby wysysali jakąś ośmiornicę, trzymając w ustach jej macki. Patrzą na nas zmętniałymi od pyłu pustymi oczami, które widziały już tak wiele, że wszystkie niezwykle zjawiska stają się obojętne. Dalej jest pralnia pachnąca mydłem i mokrym lnem. Rozbrzmiewa wesołym śpiewem kobiet, szumem wody oraz wilgotnym płaskiem drewnianych kijanek.

– O czym śpiewają? – pytam Adę.

– Nie udawaj, że nie wiesz. Przecież kobiety od początku

świata śpiewają tylko o jednym. O miłości – odpowiada wesołym głosem, gdy nad naszymi głowami przemyka stadko krzyczących jaskółek.

W rynsztoku odprowadzającym wodę z pralni chlapią się nagie dzieci. Zamierają z otwartymi buziami na widok księżniczki jakiegoś tajemniczego ludu, o którym nie słyszały nawet w bajkach.

Ada odwraca się z uśmiechem do umorusanych maluchów. Kilkoro szkrabów, wiedzionych silniejszą od strachu ciekawością, przez chwilę idzie za nami. Pierzchają, kiedy zawraca je okrzyk czujnej matki.

Dochodzimy już do ruin Gedachtniskirche. Przetrwały jakimś cudem do tej pory. Może niszczenie czegoś, co już zostało zniszczone, nie sprawiało nikomu przyjemności? A może pozostawiono je po to, żebyśmy pamiętali, do czego była zdolna nasza rasa. Gołębie uwiły setki gniazd wśród wypalonych średniowiecznych cegieł. Klaskanie skrzydeł odbija się echem we wnętrzu wieży. Wypełnia je owacją dla niewidzialnych aktorów przeszłości: naszych przodków, którzy ją wznieśli.

Naprzeciwno resztek kościoła wznosi się ku niebu symbol nowej ery.

Biały strzelisty minaret pochłania hełmem miedzianego grotu dojrzałe promienie południowego słońca i oddaje je przestrzeni czerwono-złotą aureolą. Jak morska latarnia, której blask jest widoczny na dziesiątki kilometrów. Wszyscy wierni, uspokojeni tym symbolem potęgi, wiedzą, dokąd kierować myśli, by usłyszeć słowa jedynej Prawdy. Nie trzeba pracować, nie trzeba niczego tworzyć. Nie trzeba myśleć. Trzeba tylko uważnie słuchać – a wszystko będzie dane.

Kiedy zadzieramy wysoko głowy, patrząc na niebotyczny

szczyt, nagle w dół po gładkim pniu iglicy spływa pulsujący śpiew muezzina. Zmienna, jękliwa nuta przypomina zawroźenie pustynnego wiatru, przesypującego milionowe ziarnka piachu. Muzułmanie rozkładają małe dywaniki, kłękają na nich.

Ada kładzie mi dłoń na ramieniu, siadamy wprost na chodniku. Nie można stać, kiedy się modlą. To pewna śmierć. Widzę przed sobą morze wypinanych tyłków w bufiastych portkach, gdy wszyscy jak zsynchronizowane polipy koralowca biją pokłony w rytm zawroźeń muezzina.

– Co się stało z naszym światem? – Ten szept słyzy tylko okaleczona dusza i siedząca obok kobieta z mojego wymarłego plemienia.

Patrzy mi w oczy, wyciąga rękę i bez słowa kładzie palec na ustach. Teraz jej dłoń lekko gładzi mnie po policzku. Mówię do niej, milcząco: Stałaś mi się bardzo bliska. Jesteśmy tylko ty i ja, zupełnie sami.

Siedzimy wśród rozmodlonych Arabów. Słyhać tylko monotonne słowa odwiecznej poddanej miłości, rozlewające się niczym stutysięczny pomruk. Niespodziewanie ich harmonię przerywa ostry krzyk drapieźnego ptaka. Wprost z wieczornego nieba w stado gołębi uderza ze złożonymi skrzydłami sokół. Trafia z siłą pocisku, zmieniając jednego z gołębi w bezwładną, sypiącą pierzem masę. Konający ptak spada na plecy mężczyzny w białym burnusie, znacząc na nich krwawy kleks. Osuwa się na chodnik, kilka razy trzepie spazmatycznie skrzydłami i umiera. Arab, popielaty na twarzy, rozgląda się wokół przerażonym wzrokiem. Wszyscy widzieli, co go spotkało, i nie był to dobry znak. Bóg odtrącił jego modlitwę, zamiast wina i hurys czekają na niego pomyje i chlew. Muezin zakończył już surę, wszyscy wstają ze swoich dywaników. Naznaczony tłumaczy coś desperacko

sąsiadom. Próbuje zetrzeć z pleców ślady gołębiej krwi. Nagle dostrzega nas, podnoszących się właśnie z chodnika. Wskazuje na mnie i Adę wyciągniętym palcem, wrzeszcząc coś w podnieceniu.

No tak. To my trzasnęliśmy go w plecy zdechłym ptakiem. Teraz, żeby przypodobać się Bogu i odzyskać jego łaski, musi szybko zarznąć jakichś niewiernych – odgaduję jego gesty.

Mówię cicho:

– Ada, liczę do trzech i pryskamy. Ty przodem, ja jakoś ich zatrzymam... Ściągaj pantofle.

Słyszę jej stanowcze:

– Nie, Hubert, stój spokojnie. Nie ruszaj się, nic nie rób. Arab wyciąga nóż, zbliża się, wykrzykując coś bez sekundy przerwy. Stoimy bez ruchu, patrząc na niego.

– Ani drgnij, Hubert – słyszę ponownie.

Kiedy szejik jest o kilka kroków i widzę wyraźnie pryskające z jego ust kropelki śliny, Ada niespodziewanie unosi do góry lewą dłoń. Gdzieś w oddali rozlega się trzask łamanej suchej gałązki. Mężczyzna zatrzymuje się, zapada cisza. Powoli na jego białym burnusie, na wysokości serca, rośnie szkarłatna plama. Patrzy na nią zdziwiony, klęka. Podpiera się dłonią o bruk i skulony przewraca się na bok.

Człowiek i ptak leżą jednakowo martwi. Zaskoczeni, że to już, tak niespodziewanie wypadło ostatnie ziarno piasku z czarnej klepsydry.

Ada tłumaczy coś głośno po arabsku, tłum rozstępuje się. Przepuszczają nas z pochylonymi głowami.

Idziemy naprzód szybkim krokiem, nie rozglądając się. Obejmuję ją ramieniem, drżą mi trochę kolana, kiedy stres wypalił już zasoby energii i wraca zwyczajny szok.

Ona mówi zdenerwowanym głosem:

– Nie pozwolę nikomu. Nie pozwolę, cholera... to mój dzień!

– Co im powiedziałaś?

– Powiedziałam im szczerą prawdę. To nie ja i mój snajper. To był znak od Boga, naznaczył go i zabrał – odpowiada, dysząc jak po długim biegu.

Po chwili dodaje, próbując zapanować nad nerwami:

– Tego nie było. Nie mamy z tym nic wspólnego, byliśmy tylko świadkami. Nic o tym nie wiemy. Nie pozwólmy im zepsuć wspomnienia tego wieczoru.

– Ja na jego miejscu, po takiej wpadce, poszedłbym napić się czystej pod schabowego. I tak w niebie miał już przechłapano – stwierdzam, nie wiedząc, jak to wszystko skomentować.

– Właśnie, czysta i schabowy, żadnych pędów bambusa i cholernych pałeczek. Tu gdzieś jest jedna z ostatnich przyzwoitych knajp, gdzie podają noże i widelce – postanawia.

Idziemy w milczeniu. To, co zaszło, położyło się cieniem nad naszymi głowami.

– Dlaczego nic nie mówisz, Hubert? Byliśmy tylko przypadkowymi świadkami czyjejś śmierci. To pech, złe miejsce, zły czas. Wstyd się przyznać, ale umiera tak wielu ludzi, że nie potrafię za bardzo się przejmować śmiercią jakiegoś faceta, dla którego jedynym argumentem jest nóż. Nie miej złudzeń, twoja śmierć także nie obeszlaby nikogo... tylko mnie – przerywa milczenie.

Wchodzimy w coraz węższe uliczki. Na rogu jednej mały chłopiec trzyma za uzdę oślicę. Obok objuczonej koszami matki bryka mały osiołek.

– Zobacz, Hubert, jaki śliczny, jak pluszowa zabawka – woła Ada, ciągnąc mnie do żrebaka za rękę.

To prawda, nie istnieją chyba bardziej urocze zwierzaki. Ada już przy nim klęczy, tuli malca, głaszcząc jego puchaty pyszczek. Malec jest zadowolony i rozbawiony pieszczotami. Zabawa z osiołkiem wyraźnie przywraca jej dobry nastrój. Może tak właśnie trzeba. I tak żyjemy na krawędzi unicestwienia. Musimy czerpać z tych resztek, które udało się wyrwać rzeczywistości. Dla szejka to była sekunda. Zginął z ręki niewiernego i pewnie jest już w swoim raj. My musimy trwać w niepewności aż do dnia, gdy zaczną obdzierać nas żywcem ze skóry.

– Zostaw go już, księżniczko. Ja także mam śliczne futerko do głaskania – mówię z zazdrością.

Ada spogląda na mnie z uśmiechem, który wrócił na jej twarz.

– Nie masz przy nim żadnych szans.

Na szczęście długoucha matka, zniecierpliwiona zamieszaniem wokół jej dziecka, wydaje przeciągły, porażający ryk. Ada szybko całuje osłać w chrapy i bierze mnie pod łokieć. Uśmiecha się. Wygląda szałowo w tym swoim wariackim kapeluszu. W tej chwili nikt by się nie domyślił, że ta kobieta potrafi zesłać śmierć jednym skinieniem dłoni.

Idziemy, a ja nie potrafię się oprzeć, żeby co kilka kroków nie spojrzeć na nią.

– Jesteś taka ładna. Chciałbym pokazać się z tobą w knajpie mojego kumpla, który daje mi na krechę obiady. Tylko wydaje mi się, że trasa naszego spaceru została z kimś uzgodniona.

– Zrób listę swoich znajomych. Przekażę ją komuś, kto pomoże im w razie kłopotów. Długami się nie przejmuj. Jutro twój przyjaciel dostanie zapłatę za cały ubiegły rok, tak jakbyś jadł tam codziennie homary – zrzuca mi jeden kamień

z serca.

– Dziękuję, Ada.

– Umiesz na czymś grać? Chciałabym posłuchać prawdziwej muzyki – zmienia temat.

Gapię się na uciekające do tyłu kostki chodnika i wspominam zamierzchłą przeszłość.

– Próbowałem kiedyś grać na gitarze, ale tego chyba nie można nazwać grą. Miałem szesnaście lat, pomalowane na kolorowo włosy i szarpałem struny, drąc się wniebogłosy. To był mój bunt. W tej chwili już nie pamiętam, przeciwko czemu.

– Ja byłem grzeczna, dobrze się uczyłam. Trzymałam się z daleka od takich chłopaków jak ty. Brałam lekcje fortepianu u najdroższych nauczycieli. Grałam Beethovena i Chopina. Miałam nawet kilka solowych koncertów. Rodzice mnie rozpieszczali. Mój ojciec był sędzią Sądu Najwyższego. Przez to wszystko chłopcy bali się mnie. Nie wiem, czy uwierzysz, ale całowałam się pierwszy raz mając siedemnaście lat. Bardzo chciałam pójść na całość, lecz mój kochany Mikki przestraszył się i pozostałam jedyną dziewicą w klasie. Zawsze byłem sama, przedwcześnie dojrzała i smutna. Moja mama zginęła w czasie wielkiej powodzi w 2019. Fala przeszła przez centrum handlowe, gdzie robiła zakupy. Kiedy miałam dwadzieścia dwa lata, zmarł ojciec. Musiałam zapomnieć o muzyce i poświęcić się czemuś konkretnemu. Czyli prawu. – Milknie, uciekając w przeszłość.

– Pamiętam powódź, w której zginęła twoja matka. Było ich wiele, ale tamta była naprawdę straszna. Zginęło dwóch kolegów z naszej klasy. Gdyby nie oni, ta powódź byłaby dla nas świętem. Budę zamknięli na cały miesiąc, a my cieszyliśmy się, że wszystko trafia szlag. Cieszyliśmy się z

końca świata, wiedząc, że on tak naprawdę nie nastąpi. Dopiero kiedy w zawalonym domu zginęli ci chłopcy, coś do nas dotarło. Tamtego dnia upiliśmy się piwem na smutno. A ci dwaj na swój sposób wygrali. Odeszli młodzi w pięknych czasach. Patrzy na mnie zaskoczona.

– Dziwnie to postrzegasz.

– Myślę, że to forma samoobrony. Chyba trochę im zazdroścę. Nasze czasy nie napawają optymizmem – tłumaczę się.

– Nie mów tak, Hubert. Nie zazdrość umarłym. Oni zrobiliby wszystko dla najmniejszej części prawdziwego bytu. Nawet gdyby jakaś siła przywróciła ich do życia w obozie koncentracyjnym, na pięć minut przed wejściem do komory gazowej.

Tuż obok nas przebiega z głośnym krzykiem zapłakana bosa dziewczynka w czerwonej sukience w białe grochy. Trzyma kurczowo za rączkę poszarpaną szmacianą lalkę. Wygląda na to, że ktoś chciał zabrać jej jedyny skarb.

Mówię, patrząc przez ramię w ślad za biegnącym, zapłakany nieszczęściem:

– Dużo wiesz o śmierci, Ada.

– Nie chcę nic o tym wiedzieć, ale czasami czuję się jak umarła. Ostatnio coraz częściej... ale nie dzisiaj. Dzisiaj chcę być normalną kobietą, twoją żoną. Jak wrócimy do domu, zrób mi straszną awanturę, że... że puściłam się z twoim kolegą z pracy. Proszę, Huberciku.

– Masz to jak w banku. Który to?! Ty łatwa kobieto, przynosisz mi wstyd! – zgadzam się bez oporów.

– Chyba mi wybaczysz? To się więcej nie powtórzy, przysięgam. Będę cię prosić o przebaczenie w przezroczyściej podomce, bez majteczek – błaga, patrząc mi poddańczo w oczy.

– To brzmi zupełnie rozsądnie. Może ci wybaczę – mruczę jak kapciarz z dwudziestoletnią praktyką.

– Huberciku, masz złote serce. Już mi wybaczyłeś! – cieszy się niczym wyrachowany zdrajca.

Szczebiocąc słodko, zbliżamy się do knajpy, którą pamiętam jak przez mgłę. Chyba nazywała się kiedyś „Golonka u Willego”. Można tu było zdrowo oberwać po gębie i my, młodziaki, omijaliśmy takie miejsca wielkim łukiem. Teraz wygląda na elegancką restaurację. Przed wejściem stoi dwu białych szwajcarów, a nad frontową ścianą pobłyskuje neon z japońskimi hieroglifami.

– Jesteś pewna, że tu mają noże i widelce? – pytam Ady.

– Mają tu wszystko. To lokal dla grubych ryb. Przychodzą tu hurtowi handlarze spermą nababów, bossowie od narkotyków, broni i diabli wiedzą, czego jeszcze.

Ada bez słowa wciska banknot w dłoń jednego z odźwiernych. Facet w trójgraniastym kapeluszu tkwiącym na szczycie trefionej peruki łypie na nas podejrzliwie, lecz w końcu otwiera wrota lokalu. Wchodzimy do obszernego holu obwieszanego japońskimi drzeworytami. Szczężą z nich kły japońscy samuraje w ataku ciężkiego delirium. Każdy ma miecz i wygląda niczym przedstawiciel handlowy Hitachi-jo, kiedy usłyszysz, że ich rykoprojektory to tandeta.

– Milutko – stwierdzam.

Omijamy szatnię ze starą drewnianą ladą i wyfraczonym szatniarzem. Podchodzimy do szklanych drzwi prowadzących, do sali restauracyjnej, gdzie dostrzegam palmy i kilku kręcących się nerwowym krokiem kelnerów. Przy wejściu tkwi major obsługi, kierujący gości do stolików. Cała obsługa knajpy jest biała.

– Stolik na wieczór – mówi do majora Ada.

Major jest w rozterce. Jesteśmy ubrani w drogie ciuchy.

Widać, że mamy pieniądze, ale niewątpliwie jesteśmy parą tubylców. W erze totalnej tolerancji nie istnieje żaden oficjalny zakaz, jednak gość autochton to dla lokalu duża plama na honorze. Ada patrzy mu wyzywająco w oczy.

– Czemu pan się tak przygląda? Przypuszczam, że spodobał się panu mój kapelusz od Tahiry. Dziękuję, a teraz niech pan nam w końcu wskaże stolik.

Major postanawia splawić nas delikatnie, stosując stary wybieg.

– Szanowna pani – wymawia to, jakby trzymał w gębie wielbłądzie łajno. – Mamy miejsca rezerwowane przynajmniej z dwugodzinnym wyprzedzeniem. Obecnie nie mamy wolnych stolików – stwierdza oschle.

Ada wkłada rękę do swojej torebki. Naśladuje dokładnie jego styl, kiedy mówi:

– Szanowny panie, jest pan wyraźnie przepracowany. Rezerwowałam stolik jeszcze przed południem. Oto dowód. – Wciska mu w dłoń pięćdziesiąt euro.

Major, któremu nie drgnęła nawet powieka, ruchem iluzjonisty dematerializuje papierek i zapraszająco wskazuje na salę. Biorę moją damę pod łokieć, jednak w przejściu wyrasta ogromny jak parowiec z Missisipi czarny facet w wiśniowym meloniku. Widząc nas, przystaje na chwilę zaskoczony i rusza, pchając cielsko w złotej kamizelce na wprost, tak że musimy prawie przykleić się do ściany. Podziwiam z bliska jego obszyty prawdziwym jedwabiem zbiornik na wlewkę, tkwiący pod pachą białej koszuli.

– Ta buda schodzi na psy. Zaraz będą wpuszczać tu świnię – stwierdza na cały głos, maszerując w stronę toalet.

Major jak cięty batem robi natychmiast krok i zasłania nam ramieniem przejście. Z pobladałą twarzą patrzy, jak niewzruszona Ada znów wkłada dłoń do torebki. Jego grdyka

startuje się w górę, gdy dostrzega w niej fioletowy papierek. Tańczy na nim Pierwsza Matka, obejmując ramionami słońce. To cała pięćsetka z nowej edycji! Znam ją tylko z opowieści, nigdy nawet nie dotknąłem takiego nominału.

Major wywała jęzor. Z wrażenia zapomina o honorze knajpy oraz obrazie ważnego klienta. Łapie banknot niczym kalmar szprotkę.

– Szanowni państwo. Już wcześniej chciałem państwa zaprowadzić do wolnego stolika. Zamówieni goście przyjdą za dwie godziny. Przez półtorej zdążycie państwo zjeść obiad. Proszę – ponownie robi zapraszający gest.

Prowadzi nas pod ścianami, żebyśmy nie rzucali się w oczy. Łgał oczywiście od samego początku, ponad połowa stolików świeci pustką. Nasz znajduje się w odległym, zacienionym kącie sali. Od reszty gości oddziela nas szpaler ozdobnych palm w kamiennych donicach. Miejsce jest spokojne i intymne, podoba mi się. Major nie pomaga Adzie usiąść. To ja odsuwam jej krzesło. Siadając, mówię do niego spokojnie:

– Dziękujemy, jest pan bardzo uprzejmy.

Szef sali odchodzi, dając znak kelnerowi. Ada opiera brodę na splecionych dłoniach. W tym kapeluszu wygląda jak dama z trzydziestych lat ubiegłego wieku, uwieczniona na artystycznej fotografii. Długo patrzymy na siebie. Przez liście palm ponad jej głową widzę grubasa w meloniku, który zdążył już wrócić. Siedzi z trzema czekoladowymi ślicznotkami. Panienki chichocą, jakby co sekundę opowiadał im nowy kawał. Nie wiem, w jaki sposób, bo głowę ma zatkaną szarą papką, po którą co chwila sięga dłonią do wielkiej michy.

– Jestem tu, kapitanie. Chyba że wolisz ich towarzystwo – przywołuje mnie Ada i znowu ma w oczach wesołe ogniki.

Najwyraźniej to wszystko ją bawi.

– Przez chwilę byłem pewien, że ten Cerber każe nam się tu doczołgać – mówię, zapalając świecę w lichtarzu.

Ada kładzie swoją dłoń na mojej.

– Nie przejmuj się tym. To tylko mało istotne tło. Najważniejsi jesteśmy my. To, że siedzimy razem przy tym stoliku i możemy patrzeć sobie w oczy. Dbaj o mnie, jesteś dzisiaj moim mężem. Przyszliśmy tu uczcić piętnastą rocznicę ślubu. Dzieciaki wyjechały na obóz, więc cały świat i ten wieczór są tylko dla nas. Zjemy coś i później potańczymy, od dawna marzę o prawdziwym tangu.

– To piękne, że po piętnastu latach małżeństwa podnieca nas jeszcze randka i puste mieszkanie – wpadam w jej rytm.

Siedzimy, uśmiechając się do siebie. Kolejne minuty zlewają się ze sobą. Po całym kwadransie nie wytrzymuję. Zaczynam nerwowo tupać obcasami w podłogę. Major bez wahania przyjął od nas pięćset pięćdziesiąt euro – ponad miesiąc życia w dostatku – a nikt do nas nie podchodzi. W dodatku knajpę wypełnia ni to chińska, ni to arabska muzyka, na którą składają się jakieś bełkotliwe jęki pomieszane z trzaskiem azjatyckich talerzy. Coraz bardziej zalewa mnie krew.

– Kelner! Co jest, do jasnej cholery! Ile mamy czekać!? – krzyczę.

Widzę zaskoczone twarze gości. Szmer rozmów cichnie niczym koncert cykad, kiedy gdzieś spada granat. Z zaplecza wybiega młody chłopak w haftowanej smokami kamizelce. Purpurowy na twarzy, staje przy stoliku, ściskając w rękę zmiętą serwetę. Robi gest, jakby chciał wcisnąć mi ją w gardło.

– Co jest? Co to za wrzaski! Masz siedzieć cicho, przeszkadzasz gościom – opieprza mnie jak gówniarza.

Do mojej czary goryczy spada ostatnia kropla. Przelewa mi się w środku. Jeszcze jedno drgnienie powieki tego żółtodzioba, a zasadzę go w donicy z palmą głową do dołu.

– Słuchaj, chłopcze. Jestem kapitan Hubert Jugenmann. Musiałbyś oblecieć dziesięć razy świat dookoła i wypić ze mną wiadro wódki, żeby mówić mi na ty. Rozumiesz? Po drugie prawdziwy zawodowy kelner zaczyna od: „Dzień dobry państwu”. Po trzecie stań przyzwoicie, bo obrażasz moją żonę. Po czwarte zaraz będziesz zbierał z podłogi swoje zęby, jeśli nas nie przeprosisz – mówię w miarę spokojnie.

Chłopak stoi niezdecydowany. Na pewno słyszał o wypadkach, gdy para białych sprzedawała swój majątek za bezcen i szła się zabawić. Później na do widzenia jedno z nich wyciągało bombę i posyłało całą knajpę w objęcia Buddy albo kogoś równie ważnego. Rozsądek bierze w nim górę.

– Dobry wieczór państwu, czym mogę służyć? I bardzo przepraszam panią i pana. Pan tak krzyczał, proszę mnie zrozumieć – tłumaczy się, chowając ścierkę za siebie.

– Co macie? – rzeczowo pyta Ada.

– Mamy przysmaki ze wszystkich stron świata oraz wysmienite wlewki. Końcówki są jednorazowe z pozłacanego srebra w dowolnym kształcie – odpowiada normalnym tonem silącego się na uprzejmość kelnera.

Stosowanie takich wlewek to teraz wyznacznik sukcesu i awansu społecznego. Tak jak kiedyś szampan i markowe cygara.

– Z pewnością orientuje się pan, jak dozować? – pyta.

– Wiem, wsadza się końcówkę w odbyt, a wlewka spływa rurką ze zbiorniczka pod pachą. Naciskając bicepsiem zbiorniczek można dozować ilość naparu z mieszanki ziół na bazie marihuany. Jelito wchłania szybciej i wydajniej niż

płuca. Lekki odlot i świetny nastrój są gwarantowane – rozwiewam jego wątpliwości.

Kelner przytakuje, jego usta rozciągają się w dyskretnym uśmiešku politowania.

– Nie zawsze pracowałem tutaj i zdarzało się, że niektórzy goście...

– Próbowali to ssać – kończę za niego. – Drogi panie, widziałem to już z dziesięć lat temu w Bangkoku. Szczytem klasy było tam wycinanie w spodniach dziurek. Biedniejsi eleganci, których nie było stać na prawdziwą wlewkę, raczyli się zwyczajną herbatą. Wlewali nawet w trakcie rodzinnych obiadków. Później rozpowszechniło się to w Europie, która małpuje różne bzdety – wyjaśniam.

– Dziękuję panu za ciekawą informację o twórczych obyczajach innych kultur – rzuca ironicznie kelner.

– Wlewki nas nie interesują, proszę przynieść kartę i cygaro dla mnie – polecam.

– Cygaro? Proszę pana, to może obrażać uczucia innych gości – przeprowadza próbę sił.

– Mnie napelnia niesmakiem widok rury w czyimś tyłku w trakcie obiadu. Proszę o cygaro. Jakie macie? – nie ustępuję.

– Mamy włoskie i portugalskie po dwa euro oraz prawdziwe kubańskie po dziesięć za sztukę – miażdży mnie wzrokiem.

– Proszę portugalskie i hawanę. Muszę sprawdzić, czy potraficie je przechowywać. Osobiście w to wątpię. Proszę także o koniak polecony przez barmana – gaszę go.

– Koniak – jęczy kelner.

– Właśnie, koniak i inne alkohole są dla nas szczególnie ważne. A jeżeli obraża to czyjeś uczucia religijne, proszę, by ten ktoś pofatygował się do nas osobiście i oficjalnie

zaprotestował. Z góry jednak zaznaczam, że należymy do wyznawców Wielkiej Świetlistej Dupy i wlewki obrażają nasz symbol religijny. Lecz jesteśmy tolerancyjni i możemy przymknąć oko. Oczywiście tylko w przypadku, gdy nikt nie będzie nas się czepiał – ostrzegam, wyciągając pod stołem nogi.

Teraz bierze go w obroty Ada.

– Huberciku, co ty robisz swojej słodkiej pusi? Pusia chce słodkiego – piszczy jak bogata infantylna idiotka, podskakując pupą na krześle.

Całuję ją w rękę.

– Wybacz, cukiereczku. Proszę o butelkę tego koniaku oraz dodatkowo kieliszek likieru, ciastko z truskawkami i paczkę cameli – dobijam kelnera.

Chłopak wydaje cichy jęk i pogodzony z faktem, że to nie będzie dla niego łatwy wieczór, wlecze się zrealizować wstępne zamówienie.

Ada ukrywa twarz w dłoniach. Zaczynają jej podrygiwać ramiona.

– Jesteś wyznawcą Wielkiej Świetlistej Dupy? Od kiedy? – pyta, gdacząc w napadzie chichotu.

– Od kilku lat. Ten kult polega na gaszeniu takich pacanów jak nasz kelner. Podlizują się nowym. Myślą, że ze stołu spadnie wielka nie ogryziona kość, ale dostaną tylko baty. Zresztą użyłem liczby mnogiej. Zapraszam cię oczywiście na wspólne modły.

– Hubert, masz niewyparzoną gębę. Dobrze, że wyjedziesz na jakiś czas, tu miałbyś tylko kłopoty. Mój Hubercie, to wszystko takie popieprzone. Dlaczego nie poznałam cię wcześniej, staroświecki zbuntowany bohaterze? Chyba właśnie się w tobie zakochuję – mówi z westchnieniem.

Wraca nasz kelner. Kładzie na obrusie cygara, każde w aluminiowym pojemniku. Zdziwiał mnie, ustawiając obok świecznika gilotynkę. Następnie nalewa po kieliszku koniaku. Zielona butelka, ciastko i likier urozmaicają pustynię naszego stolika. Chłopak posuwa się do tego, że otwiera nawet paczkę papierosów. Próbuje koniaku, to *courvoisier*, unikat w naszych czasach. Dowódca częstował nas takim po piekle lotu na tratwy. Smakuję aromat. Nie jest chyba prawdziwy, lecz na pewno piekielnie drogi i nieźle podrobiony. Najwyraźniej chcą z nas wydoić jak najwięcej pieniędzy, zanim nas stąd wypędzą.

Daję kelnerowi aprobowany znak głową. Ma taką minę, jakby poił krwią swego ojca parę ludożerców. Sięgamy po karty dań. Nazwy potraw są dla mnie nierozwiązywalną zagadką. *Lo-Ti-Umai* z kremem *wakele* może być równie dobrze świńską glistą duszoną w małym sadle, jak gulaszem ze szczurzych zwieraczy w sosie z treści żołądka hieny. Ada orientuje się chyba lepiej, ponieważ znowu rozlega się jej pisk.

– Różowy prosiaczku! Oni serwują tylko robale. Twoja pusia umrze z głodu.

Patrzę z niemym wyrzutem na kelnera, wyciągając z etui hawanę. Odcinam koniec gilotyną i wącham pełen słodczy, lekko rumowy aromat.

– Drogi panie. Ja to nawet lubię stawonogi na przystawkę, ale moja pusia ich nie cierpi. Nie ma pan pojęcia, jaką kolekcję mieliśmy w poprzednim mieszkaniu, zwłaszcza w tapczanie i za zlewem. Chcemy zamówić coś bardziej odpowiadającego naszym gustom. To nie musi być bardzo skomplikowane danie. Wystarczy smażone mięso lub ryba z jarzynami i ziemniakami. Byle bez tych wszystkich syjamskich kombinacji. Rozumie pan, coś, co można zjeść

nożem i widelcem – tłumaczę mu.

Kelner wydyma policzki.

– To nasz najlepszy zestaw dań dla osób otwartych na kultury świata i ceniących rozkosze podniebienia. Proponuję, aby państwo zamówili coś z karty. Rezerwacja tego miejsca jest dokonana czasowo i nie zostało go państwu zbyt wiele. Zresztą kucharz nie zgodzi się przygotować czegoś równie wulgarnego, jak kuchnia zbankrutowanych neokolonialnych szowinistów. Czekam na zamówienie – wyznacza nieprzekraczalną granicę ustępstw.

– Golonka duszona w piwie albo schabowy oraz prawdziwe sztuce – zmienia ton Ada.

– Tylko danie z karty. Chciałbym usłyszeć państwa podziękowania, kiedy za czterdzieści minut będziemy się żegnać – upiera się kelner.

– Cholesterol i ziemniaki, a do tego czysta wódka – żądam, zapalając cygaro.

– Dosyć – syczy kelner.

Wydecham kłęb aromatycznego dymu.

– Czego dosyć? Traktowania nas jak trędowatych kretynów czy naszych pieniędzy? Nie wierzę, że nie można tu przygotować normalnej potrawy. Wierzę w to, że nami gardzicie, chociaż nikt was do tego nie zmusza. Wie pan, nadgorliwiec przypomina psa pieprzącego nogę od stołu. Nic z tego nie wynika oprócz zmęczenia. Proszę zapamiętać to na przyszłość i zrealizować nasze zamówienie – mówię, zapatrzony w następny obłok niebieskiego dymu.

– Czterdzieści minut na specjalność zakładu – grozi, cofając się krok do tyłu.

Podaję Adzie moje cygaro. Zaciąga się lekko i oddaje mi je z wdziękiem.

– Za czterdzieści minut będę tutaj z żoną tańczył tango.

Lubimy poruszać się przed kolacją, którą także zjemy u was. Bardzo nam się tu podoba – oznajmiam spokojnie.

Ada natychmiast wyraża swój entuzjazm.

– O tak, bardzo nam się podoba. Tak słodziutko i ślicznie. Potańczymy i po tańcach zamówimy jeszcze raz deserek z truskawkami – szczebioce, trzepiąc entuzjastycznie rzęsami.

– Koniec tego, idę po szefa sali. – Kelner wypowiada nam wojnę.

Odchodzi sztywnym krokiem zameldować o rodzącym się anarchistyczno-szowinistycznym buncie.

– Taka jestem głupiutka. Dlaczego ten pies pieprzył stołową nogę? Nie rozumiem – skarży się Ada.

– Nie przejmuj się. Wymyśliłem to na poczekaniu, to taka metafora.

– Aha, rozumiem. Ale cieszę się, że potańczymy – mówi, klaszcząc w dłonie.

Tymczasem wraca nasz kelner z majorem. Stają nad nami niczym żądne ofiar totemy okrutnych bożków z wysp Pacyfiku. Major nie patrzy na nas. Gada gdzieś w przestrzeń ponad naszymi głowami.

– Zaufałem państwu, ponieważ jestem człowiekiem pozbawionym uprzedzeń. Zawiedliście moje zaufanie, siejąc ferment i zamieszanie wśród ważnych gości. Słyszałem wiele skarg, które są ujmą dla tego lokalu. Wasze żądania są skandaliczne, proszę uregulować rachunek i wyjść. W przypadku, jeśli będziecie państwo sprawiać dalsze problemy, wezwę policję, z którą jestem w bardzo dobrych stosunkach. Areszt dobrze by państwu zrobił – chrzęści jak automat, podając rachunek.

Przejmuję w powietrzu świstek. Przeglądam go, rozkoszując się cygarem.

– Pusiutka pachnąca, posłuchaj, co panowie tu napisali –

dzielię się z Adą sensacyjnym kwitem.

– Cytaj, misiu – prosi, sepleniąc przez truskawkę przyklejoną do koniuszka języka.

– Koniak markowy, trzysta siedemdziesiąt euro. Likier i ciastko czterdzieści, cygara i papierosy szesnaście. Teraz najważniejsze: oprawa muzyczna pięćdziesiąt oraz obsługa ekstra, dwadzieścia pięć. Razem pięćset jeden – czytam na głos.

– Broniłam fasety, który fałszował ten koniak. W hurcie spsedawał go po czterdzieści pięć. Jest nawet niesły, mam w domu jeszcze kilka butelek – przypomina sobie Ada.

– A my przemycaliśmy z Bangkoku te same cygara. Płacili nam za hawanę niecałe dwa euro – dodaje.

Ada połyka w końcu truskawkę.

– Ale za obsługę jest bardzo zaniżone. Naprawdę bardzo. Obsługa po prostu mistrzowska – stwierdza z uznaniem, poprawiając kapelusz.

– Zgadzam się z tobą, kwiatuszku, co do obsługi. Lecz nie ma mowy o płaceniu za te jęki, określone jako oprawa muzyczna – protestuję stanowczo.

Starszy posąg nie wytrzymuje.

– Płacić i precz albo policja – charczy.

Ada wyciąga z torebki skromną kremową wizytówkę. Kładzie ją na obrusie. Major nawet na nią nie patrzy.

– To nie są pieniądze. Zaraz wyskoczysz z biżuterii, a ten twój facecik z ciuchów i zegarka, białe pajace – warczy z pogardą.

Gaszę cygaro w popielniczce. Ada, widząc to, robi uspokajający gest dłonią.

– Po co policja! – rozlega się nagle zza szpaleru roślin. Wyłania się stamtąd cielsko faceta w wiśniowym meloniku. – Sam ich wywalę. Ta biała cipa zbrzydziła moje panienki. Nie

będą teraz szczytować po jej smrodzie. Co to w ogóle ma znaczyć, kurwa, że białe gówna wpuszcza się do lokalu, gdzie siedzą ludzie? Co, panie ober? Jak jeszcze raz zobaczę, że wpuszczasz tu białe świnię, to zeżresz własne flaki – huczy elegant, zakładając na palce stalowy kastet.

– Niech najpierw zapłacą – błaga major.

Ada ma wyraźnie dosyć przedstawienia.

– Chciałam zaprosić tu wiceprezydent Dorothy Muslih. Dałam panu wizytówkę z jej numerem telefonu. Jestem mecenas Ada Witte – przedstawia się, uchylając runda kapelusza. – Lecz po tym pokazie chamstwa nie zrobię tego. Jesteście bandą oszustów. Ma pan teraz pójść i nagrać na sekretarkę informację, że odwołuję ten obiad. Ma pan także rozmiąć pięćset pięćdziesiąt euro, które panu powierzyłam. Lubię mieć drobne na napiwki. Następnie ma pan wezwać kogoś na zmianę. Nie reagował pan na prostackie groźby tego człowieka. Prywatnie powiem panu, że jest pan gnojkiem i nie chcę oglądać pana twarzy, panie szefie sali – mówi, bawiąc się szklaneczką z likierem.

Pierwszy z szoku budzi się major. Wyciąga po wizytówkę rękę, lecz zatrzymuje ją w powietrzu. Nie śmie dotknąć kartonika, jakby był z rozpalonego do białości żelaza.

– Niech pan idzie zadzwonić, a pieniądze proszę oddać przez kelnera – ponagla go Ada.

Nieprzytomny z przerażenia major łapie wizytówkę. Próbuje coś powiedzieć, lecz słowa chowają mu się gdzieś w głębi płuc. Porusza tylko bezgłośnie ustami, cofając się z karkiem zgiętym w czymś na kształt ukłonu.

Demon pomsty zwraca się do młodego kelnera.

– Nie pozwalaj tak traktować kobiet. A gdybym była twoją siostrą? Pomyślałeś o tym?

– A co miałem zrobić? Proszę pani, co miałem zrobić?

Tak już jest, ja tu nie mam nic do gadania. Czy zapisze pani zamówienie na kartce? – szeptem pobladył chłopak. Ada zapala camela, patrząc na niego z uwagą.

– Rozumiem twoją sytuację, ale nie zauważyłam u ciebie poczucia wstydu. Wolny człowiek zawsze ma coś do powiedzenia. Chociaż gestem. Co do obiadu, to bez przesady. Przygotujcie jakieś normalne proste danie z dużą ilością jarzyn i przynieś polską czystą wódkę. Macie oryginalną czy podróbkę z Chin?

– Mamy najprawdziwszą żytnią, z samej Łodzi – gorliwie zapewnia chłopak, ulatniając się w jednej sekundzie.

Koło naszego stolika został tylko grubas w meloniku. Kastet spadł mu z palców, które rozprostowuje i zgina w nerwowym tiku. Piję koniak. Od początku wiedziałem, że to się tak skończy. Szkoda tylko, że nie zdążyłem kopnąć majora w tyłek. Goryl z kastetem też nie miał szans. Za gruby i zbyt powolny. Stoczyłem w gorszych knajpach kilkadziesiąt walk i wiem, do czego służy krzesło.

– Skąd jesteś i jak się nazywasz? – pyta Ada, celując w twarz faceta zapalniczką.

Grubasowi nie powiodła się próba zapadnięcia pod ziemię, samozapłonu lub rozbicia jąder atomów, z jakich zbudowane jest jego cielsko. Pozostaje mu tylko mówić:

– Mamudu, Mamudu Emanuel z Angoli.

Ada patrzy na niego jak pyton na kurczaka.

– Mamudu, dokonałeś wielkiego naukowego odkrycia. Czy naprawdę zapach białej kobiety wpływa do tego stopnia na reakcję twoich znajomych?

– Nie, proszę pani, nie wpływa. Wcale zupełnie nie wpływa – zapewnia grubas, zagryzając wargi.

Za plecami Mamudu pojawiają się twarze trzech jego dziewczyn oraz głowy kilku innych gości.

– Za naukowe, empiryczne odkrycie nie mogłabym cię ukarać. Głupio zrobiłeś, że się wyparłeś. Chciałeś mnie zatem upokorzyć, bo lubisz czuć strach kogoś bezbronnego. Czujesz się wtedy kimś bardzo wielkim... mały, prymitywny prostaku. Pokażę ci, czym jest prawdziwy strach, Emanuelu Mamudu – mówi Ada z rosnącym gniewem w głosie.

Grubas wali się na kolana, przeczuwając swój bliski koniec. Składa ręce jak do modlitwy. Ściśnięty zbyt silnie woreczek pod pachą wypycha zbyt dużą porcję wlewki. Mamudu klęczy teraz w kałuży brązowej cieczy, kapiącej mu z tyłka. Król ulicy zderzył się z potęgą prawdziwej władzy i tonie niczym Titanic po pocałunku z górą lodową. Upadek władcy obserwuje z rosnącą obojętnością jego dwór. Już wszyscy wiedzą, że umarł.

Ada wyjmuje z torebki małeńki flakonik, spryskuje się lekko perfumami.

– To przez wzgląd na twoje szlachetne powonienie, Mamudu. Teraz słuchaj, prostaku, już dostałam informację, jakimi pieniędzmi obraca twoja banda. Jutro o dziewiątej rano wpłacisz siedemset tysięcy euro na konto pomocy głodującym dzieciom. Później zgłosisz się z dowodem wpłaty do ośrodka pracy społecznej. Koleżanki zadecydują, dokąd cię wysłać na trzy lata. – Ada chowa zapalniczkę i wyciąga z torebki notes, w którym coś szybko notuje. – Aha, wspominałeś coś o świniach, w grę wchodzą więc chlewnie w Finlandii lub gdzieś w Afryce. Świnie to miłe i bardzo inteligentne zwierzęta. Możesz się wiele od nich nauczyć. A jeżeli będziesz coś kombinował, pošlemy cię na Orkady, do nowego eksperymentalnego obozu dla przesiedleńców. Pamiętaj, Mamudu. Twoje dane, mapa termograficzna, linie warg oraz wzorce tęczówek są już w centralnym rejestrze. Precz stąd! – podnosi głos.

Mamudu stracił resztki godności, płacze.

– Nie, jutro zapłacę i pojedę do świń, ale tylko nie Afryka – błaga.

Jakiś facet w cylindrze i skórzanych czarnych spodniach, pewnie członek jego obstawy, odciąga go łapiąc pod ramiona. Widzowie rozchodzą się bez komentarzy. Po chwili słychać szuranie krzesel. Wszyscy wolą stracić jeden wieczór niż kilka lat w obozie pracy.

Ada mówi tylko:

– Czasami tak trzeba, Hubert. Musiałam. Człowiek jednego dnia jest panem, następnego śmieciarzem. Co do niego, ulica ubierze zajście w legendę. Zaczynj rozdawać takie kapelusze i monokle kobietom. Może którąś uratujesz.

Po chwili wraca uśmiech. Ada patrzy na mnie przez kieliszek koniaku, jej oko powiększone przez soczewkę bursztynowej cieczy jest ogromne. Wygląda jak egzotyczna ryba, szukająca drogi ucieczki ze swojego więzienia w szklanej kuli.

– Zjem cię, Hubert. Zjem całutkiego, zostaną tylko białe, oblizane do czysta kosteczki. Zakopię je w ogródku i co noc będę kłaść na mogiłce lilie. Chrzanić obiad! Porwij mnie teraz! – podaje hasło, ciskając przez ramię pusty kieliszek.

– Tango! Chcemy argentyńskie tango. Ostatnie tango w Berlinie! – krzyczę w kierunku baru, zrzucając na podłogę marynarke.

Chwytam Adę za rękę i prawie wywlekam od stołu. Potyka się, ale zaraz staje wyprostowana. Ciska kapeluszem, który mknie pod sufitem niczym wirujący bajkowy stwór. Zanim spadnie, ona z pasją rozdziera materiał sukienki – aż do biodra. Idziemy przytuleni na parkiet koło barku. Po drodze zrywam jakiś czerwony kwiat, który z grubsza przypomina różę. Z łodygą w zębach i Adą w ramionach

czekam na muzykę. Z zaplecza dobiegają do nas rozpaczliwe okrzyki kelnerów oraz łoskot przewracanych przedmiotów. Nieszczęśnicy szukają w panice nagrania z tangiem. Muszą przekopać się przez sterty rupieci aż do warstwy sprzed rewolucji.

– Każę im grać na grzebieniach – mruczy Ada.

Nagle rozlega się drżący płacz skrzypiec. Łkające nuty przedzierają się przez opar tytoniowego dymu podłej argentyńskiej speluny. Siedzący w półcieniu akordeonista unosi twarz, zasłoniętą do tej pory przez rondo kapelusza, pooraną bliznami, mroczną i straszną jak sama śmierć. To portowy nożownik. Rano za jedno bezczelne spojrzenie zadźgał na środku ulicy jakiegoś gringo. Wysokim, okutym czystym srebrem obcasem zaczyna wystukiwać rytm. Dotyka klawiatury. Śpiew akordeonu rozwija się i niknie w ślad za czarnym rękawem miecha. Dogania i pozwala uciec łkaniu skrzypiec, aż osiągną razem tętniącą harmonię rytmu, który wypełni szkarłatną krwią martwe serca marmurowych posągów.

Tango! Taniec piękniejszy od samej miłości. Ruszam przyciskając partnerkę, która poddaje się mojej sile. Płyniemy uniesieni muzyką ponad parkietem. Czuję jej naprężone uda i opór piersi, kiedy się do mnie tuli – by za chwilę odepchnąć. Chce mnie kochać i zabić, poddaje się i atakuje. Przemierzamy parkiet, tocząc walkę ognia i wody, miłości i zdrady. Ponad nami oślepiająca kula żyrandola kręci się jak oszalałe słońce. Wiruje cała sala, tylko plama jej twarzy pozostaje na miejscu. Nic nie jest już takie, jak czujemy. Ciało i oddech odrywają się od nas, pozostaje tylko szaleńczy lot ponad światem.

Tango umiera niczym sen, kiedy milknie muzyka. Wydaje się, że trwało sekundy. Zdyszana Ada opiera głowę o

moją pierś.

– Hubert, naprawdę świetnie tańczysz. Byłeś fordanserem czy jak?

Wypływam cierpkie zielone strzępy łodygi mojej róży na podłogę, gdy na końcu sali wybucha huragan oklasków. Prędzej można się było spodziewać chóru gregoriańskich zakonników, śpiewających za barem swoje chorały. Odwracamy z Adą zdumione twarze w tamtą stronę.

Koło ostatniego stolika stoi para elegancko ubranych Japończyków. Klaszczą z ogniem, kiwając się w ukłonach. Rozpromieniony mężczyzna zaczyna pokrzykiwać z drewnianym akcentem:

– Brawooo! Brawo, Mister and Miss Europa, tango brawo!

Podbiegają do nas i zaczynają ścisnąć nasze dłonie. Zaczyna się następne argentyńskie. Mała Japonczka, naśladując Adę, rozdziera swoją sukienkę w kolorowe orchidee. Na parkiecie są już dwie pary, znowu porywa nas potop namiętności. Kiedy próbuję poskromić swoją roznamiętnioną kobietę, widzę jej szczęśliwy wzrok. Obok wirują Japończycy, dają sobie radę całkiem nieźle. Brak techniki nadrabiają ambicją i zaangażowaniem, improwizują kroki i bawią się wspaniale.

Przy kolejnym tańcu wymieniamy się partnerkami. To mnie dobija. Żeby objąć Japonkę, tańczę zgięty niczym biskupi pastorał. Dziewczyna ma za krótkie nogi do mojego wzrostu, co chwila wchodzi mi na buty, toteż cudem utrzymujemy równowagę. Jest za to wesoła jak szczygieł i przez cały taniec coś szczebioce. Z ulgą witam koniec tanga, mokry od potu, jakbym brał prysznic w ubraniu. Nasze kobiety wracają do partnerów, ale musimy chwilę odpocząć. Zapraszamy uroczą parę do naszego stolika. Z ich relacji

wynika, że Yasushi i Fukie są parą nowożeńców z Osaki. Wybrali się w podróż poślubną po wymarzonej Europie. Byli już w Wenecji, lecz resztki pozostającego jeszcze na powierzchni miasta są zamknięte dla turystów. Nie wpuszczono ich także do Rzymu, gdzie właśnie trwa wielka przebudowa, polegająca na wysadzaniu w powietrze wszystkiego, co kojarzy się ze spleśniałą starzyzną. Dopiero teraz w Berlinie łyknęli trochę europejskiego klimatu. Tylko są zdziwieni brakiem kabaretów i w ogóle wszystkim. Pojutrze wybierają się do Paryża, po którym spodziewają się najwięcej.

Nie chcę im psuć zabawy informacją, że Paryż jest właściwie arabskim miastem i oprócz meczetów nie zobaczą tam nic więcej. Nawet chińskiej dzielnicy. Ich wyteścniiona Europa od wielu lat nie istnieje, a jedyny działający obecnie kabaret w starym stylu – to Ada i ja.

Zjawia się nasz kelner z wózkiem zastawionym daniami. Przygotowano takie ilości jedzenia, że bez problemów możemy poczęstować naszych nowych przyjaciół. Pieczona wołowina, schabowe i ziemniaki z kapustą wywołują entuzjazm Japończyków. Niezgrabnie nadziewają porcje na widelce, pokrzykując co chwila: „Oooo, super!” Pijemy lodowatą wódkę pod schabowe, śmiejemy się i próbujemy śpiewać. Kelner gorliwy jak paź królowej nie pozwala nam na chwilę wytchnienia.

Po pół godzinie jesteśmy już nieźle wlani, postanawiamy więc spalić trochę kalorii – życie odzyskuje smak.

Klan zdradzieckich kelnerów tym razem bez problemów odnajduje w archiwum starego ostrego rocka. Porywa nas szal pradiadków. Ada łąduje na moim karku, mam ją pomiędzy nogami, pod pachą. Japończycy nie dają nam jednak żadnych szans. To prawdziwi mistrzowie. Krucha,

leciuteńka dziewczyna zamienia się nad głową partnera w śmigło helikoptera, by za sekundę spadając na jego plecy wykręcić fikołka i stanąć do niego twarzą, nie gubiąc ani na chwilę rytmu. Poddajemy się, zwalniamy kelnera i nalewamy sobie sami. Pijemy pod prawdziwe słońce śledzie w śmietanie. Następnie bierzemy na cel bukiet wędlin, po które ktoś z obsługi musiał chyba biec do podziemnego punktu zaopatrzenia. Uczta, na widok której każdy brodaty mułła popełniłby ze zgorszenia harakiri, trwa w najlepsze.

Później jeszcze raz tango, a po nim walc. W naszych kobietach wymieszany z alkoholem taniec rozpala namiętność letniej pożogi. Japoneczka wykonuje solo pełen zmysłowości erotyczny taniec koło stolika. Ada co chwilę gładzi się po szyi i dmucha dla ochłody w odsłonięty dekolt. Yasushi i ja, rozparci na krzesłach, palimy cygara, obserwując z dumą nasze dziewczyny. Postanawiamy dać im szansę wyskoczenia z krępujących ich wdzięki ciuchów. Będziemy rzucać monetą. Kiedy wypadnie orzeł, czekają nas powaby wschodu – striptease zrobi Fukie. Później rzucimy drugi raz, żeby żadna z pań nie została pominięta. Kładę na dłoni dwa euro. Zarumienione Fukie i Ada piszczą z dobrze zagranym przerażeniem. Rzucam monetą, ale po licznych kolejkach coś dzieje się z moją koordynacją ruchów. Pieniążek przelatuje połowę sali, odbija się od sufitu i z brzękiem ląduje za mniejszym rezerwowym barkiem. Biegniemy tam, żeby sprawdzić wynik. Yasushi wskakuje kolanami na blat, jedzie po nim jak po tafli lodowiska. Zaraz jednak nurkuje na drugą stronę lady głową w dół. Zaglądam tam. Japończyk chyba cały i zdrowy stoi na czworaka, spoglądając z niezmiennym uśmiechem ku górze.

– Yasushi kamikaze, super, bum, bum – stwierdza entuzjastycznie.

Złazę do knajpianego samobójcy, siadam obok niego w kucki. Już dawno nie przebywałem w towarzystwie człowieka zadowolonego ze swojego życia oraz tak beztroskiego. Mam gwałtowny atak wylewnej szczerości. Muszę się komuś zwierzyć.

– Yasushi, słuchaj, stary. To moja pożegnalna impreza, lecę w kosmos, chłopie. W prawdziwy czarny kosmos. Nie na jakiś zasrany Księżyc, tylko na granicę układu i jeszcze dalej. Tam, gdzie nie było jeszcze nikogo. Jestem szczęśliwy, że stąd uciekam, i jestem szczęśliwy, że jesteście tu z nami. Porządny z ciebie kumpel – wyznaję, klepiąc go po ramieniu.

Japończyk patrzy na mnie zamglonymi oczkami, uśmiechając się całą gębą.

– Twoja Ada piękne cycki. Nie leć w kosmos, cycki lepsze – radzi mi najrozsądniej, jak potrafi.

Obejmujemy się, porwani prawdziwą męską miłością. Yasushi całuje mnie z dubeltówki i wciska mi do ręki luksusowe wieczne pióro ze złotą obsadką.

– Bierz, mój przyjaciel, ale nie leć – prosi ze łzami w oczach.

Natychmiast ściągam z ręki swój zegarek i wciskam mu do kieszeni. Kochamy się coraz bardziej.

– Cycki dobre i wódka z Yasushi dobre. Tam nie ma dobre – bełkocze, wskazując na sufit.

Mój wzrok odruchowo wędruje w górę za jego ręką. Zjawisko, jakie tam dostrzegam, blokuje mi kark. Znad kontuaru patrzy na nas z napiętą uwagą nieziemska Jesbell w czapce szofera na platynowych włosach. Yasushi dostrzegł ją także. Z jego gardła wydobywa się głucho:

– Ooooooo, suuuuperrr!

Jesbell, nie odrywając od nas wzroku, okrąża barek i przechodzi przez małe westernowe drzwiczki. Klęka obok,

wysuwając spod spódniczki białe kolano. Yasushi wydaje drugi przeciągły jęk zachwytu, co o mało go nie zabija. Dopiero moja pomocna, waląca go w plecy dłoń przywraca mu zapomniany wdech. Tymczasem niewzruszona Jesbell ogląda nas dokładnie, oceniając wagę oraz rozmiary, a następnie jednym ruchem łapie obu pod ramiona. Wznosimy się gwałtownie, porwani jej siłą. Nasze głowy spoczywają na niepowtarzalnych piersiach, erotycznej fantazji geniusza. Po drodze do naszego stolika ogarnia nas błogość, niczym przedszkolaków niesionych przez czekoladowy tort do łóżeczka z pierników.

Szczęście trwa dalej. Nie dbam o to, co piękność ma w środku. Nieziemska Jesbell trzyma nas przytulonych do swojego ciała niczym ślepe kocięta przez cały czas, kiedy żegnają się nasze dziewczyny. To koniec imprezy, ale odwieziemy jeszcze Japończyków do ich hotelu. Jesbell taszczy nas do limuzyny i delikatnie układa na siedzeniu. Później zasypiam w ramionach przyjaciela.

Jeszcze później budzę się na chwilę i słyszę czyjś płacz. Czuję też na twarzy wilgoć oraz dotyk ust. Zasypiam znowu, z trudem łapiąc równowagę na pokładzie transatlantyku toczącego się przez rozbujane sztormem fale.

Rano budzimy się jednocześnie. Otwieram oczy i natychmiast muszę je zamknąć. Wewnątrz mojej głowy toczy się drogowy walec, miażdżący na placek opuchnięty mózg.

– Masz, Huberciku. To ci pomoże – mówi Ada, podając mi szklanekę z musującym płynem.

– Zawsze masz wszystko zaplanowane? – wydobywam z gardła zdziwiony skrzek.

– Nie, nie zawsze. Nie mogłam przewidzieć, że się w tobie zakocham. Stało się, kocham cię, żigolaku – odpowiada.

Wypijam mdlawy płyn. Już po chwili łoskot w głowie gaśnie niczym zdmuchnięta świeca, a z ust znika mdlący odór zgniętego sera. Ada patrzy na mnie, obserwując każdy mój ruch. Przekręcam się na bok i wsparty na łokciu, dotykam jej twarzy. Ma lekko podpuchnięte oczy i kilka zmarszczek, których wcześniej nie zauważyłem. Jednak biorąc pod uwagę skalę wczorajszego szaleństwa, wygląda zaskakująco świeżo. Ściągam z niej pikowaną lekką kołdrę, pierwszy raz widzę ją zupełnie naga.

Odwraca się powoli, kładzie się na plecy. Dotykam rowka pomiędzy piersiami, widzę, jak twardnieją jej sutki. Prawie nie dotykając skóry, przesuвам dłonią w dół po gorącym brzuchu. W ślad za ciepłem moich palców biegnie po niej fala gęszej skórki. Muskam trójkąt ciemnych włosów, ona jednak odpycha moją rękę i siada na łóżku.

– Nie, Huberciku, ma być romantycznie. A ty zalatujesz jak przepity kozioł. Szybciotko do wanny – rozkazuje, łapiąc mnie za nadgarstek i ściągając z łóżka.

Biegnę za nią niczym obleśny podniecony satyr, przez wielką sypialnię do łazienki z wanną rozmiarów małego basenu. Ada patrząc na mnie piszczy ze śmiechu, jak głupiutka panienska zasłaniając usta dłońmi.

– To nie moja wina, tak wyglądamy. To komplement – tłumaczę zawstydzony.

– Dziękuję, wiem, ale to takie niedorzeczne – odpowiada, wskakując do wanny.

W wannie zamieniamy się w parę rozbawionych dzieciaków, ochlapujemy się wodą niczym wróble w kałuży. Wraca bez troskie dzieciństwo, kaskady lądują na suficie i ścianach. Raz w trakcie walki udaje mi się nawet ugryźć ją pod wodą w piętę. Ada tonie osłabiona atakami łaskotek, piszczy jak mała dziewczynka, kiedy udaje jej się na chwilę

zacerpnąć powietrza. Wychlapawszy z wanny połowę wody, wypelzamy na puszysty dywanik.

Tam znowu stajemy się dorośli. Mężczyzna i kobieta w odwiecznym misterium oddania. Kochamy się w łazience, przyjmuje mnie w bibliotece. Później przed kominkiem. Stajemy się jednym ciałem na cały dzień. Po szybkim posiłku leżymy wyczerpani w naszym ulubionym miejscu, koło płonącego ognia. Ada wodzi palcem po moim ramieniu.

– Zawsze chciałam się zapytać, co oznacza twój tatuaż. To jakaś tajemnica? Nie widziałam jeszcze czegoś takiego.

– To nie jest tajemnica. To dowód na zgubne działanie wódki. Chciałem mieć nurkującego orła z piorunem w szponach. Nawet sam narysowałem wzór, ale wcześniej wypilem coś na odwagę. Później wybrałem się do małego obskurnego studia w Hongkongu, gdzie dałem mistrzowi kartkę z moim wzorem.

– To nie jest orzeł – oznajmia odkrywczu Ada.

– Niestety nie jest. To niezły szkic pomocniczej pompy układu hydraulicznego sterów głębokości. Mistrz był bardzo precyzyjny – oddaję mu cześć.

Ada zaczyna drżeć.

– Pomyliłeś kartki.

– Właśnie – stwierdzam, rozglądając się po pięknym stylowym wnętrzu.

Na wąskiej, wysokiej, stojącej przy wejściu szafce dostrzegam fotografię młodego mężczyzny w mundurze Legii. Wcześniej jej nie zauważyłem.

– Kto to? – pytam.

Uśmiech znika z jej twarzy.

– To mój kuzyn Adam Remarque. Był czarną owcą rodziny, urodzony buntownik. Miał wspaniałe perspektywy, ale wybrał armię, a później Legię. Wychowaliśmy się razem,

zawsze bardzo go kochałam. Adam zginął pod Marsylią – mówi ze smutkiem.

– Przypadkowy wybuch zapasów amunicji starej armii. Albo sabotaż zbankrutowanej kliki, jak podały media – przypominam sobie.

– Kłamstwa – oświadcza, siadając. Zapatrzona w płomienie, obejmuje ramionami kolana. – Wszystko zaczęło się jeszcze w Izraelu, kiedy Żydzi zostali zaatakowani przez zjednoczonych Arabów jednocześnie ze wszystkich stron. Nie mogli użyć swojej broni jądrowej, popełniliby samobójstwo. W dodatku Europejczycy, bojąc się nuklearnego konfliktu, pomogli arabskiemu wywiadowi zneutralizować izraelski system kierowania rakiet z głowicami atomowymi. To, co się później stało, to była masakra, o której nie wolno głośno mówić. Ci, którym udało się przetrwać nowy holokaust, rozproszyli się po Afryce. Generał Zinger sformował z uciekinierów dwudziestotysięczny oddział złożony z najlepszych żołnierzy świata. Zingerowi i jego armii Stara obiecała ziemię w Europie Wschodniej, tam, skąd kiedyś wyszli. Mogliby tam ściągnąć ocalałych ziomków i zacząć wszystko jeszcze raz, od początku. Generał i jego wojsko mieli motywację jak nikt. To oni rozbili zrewoltowane garnizony w Glasgow, Mediolanie i Kopenhadze. Inne, rozmiękczone techniką i kobietami w oficerskich mundurach, którym wydawało się, że armia to większe biuro, nie stawiały oporu. Po pacyfikacji Zinger miał chronić wschód Europy przed Azjatami i pilnować Polaków, którzy ciągle robią rabunkowe wypadki na tamtą stronę.

– Słyszałem, że docierają za Nowogród – przerywam jej. Zapalamy po papierosie. Ada zaciąga się i opowiada:

– Docierają znacznie dalej, ale to już problem Starej.

Rozumiesz chyba sam, że Żydzi nie pałali miłością do Europejczyków, a po spacyfikowaniu garnizonów przestali być aż tak potrzebni. Stara zaczęła się ich w końcu bać. Na osadnictwo i straż granic mogła się zgodzić. Lecz dwadzieścia tysięcy wyborowego wojska, które mogło pewnego dnia zwrócić się przeciwko niej, spędzało jej sen z powiek i wołała już ogień na Wschodzie. Problem w tym, że teraz nie wiedziała, jak się pozbyć armii Zingera. Czekwała na okazję. Zresztą chodziło jej nie tylko o Żydów. Drugą zadrą był garnizon pod Lyonem. Legia Cudzoziemska nigdy nie zapomniała o swojej tradycji. Stara bała się ich tknąć. Lojalni jak zawsze wobec legalnej władzy, czekali na rozwój wypadków w koszarach. Nie pomogli zbuntowanym kolegom. Ich posterunki jako ostatnia zorganizowana siła skutecznie chroniły przed rzeziami uciekinierów w obozach na afrykańskim brzegu. Podaję jej kryształowy kielich z winem.

– Pamiętam ich z Afryki. Często organizowali i ochraniali konwoje ewakuacyjne. Nie mieliśmy dla nich słów podziwu, chociaż nikt z nas nie przepadał za widokiem facetów z karabinami w rękach. – Przypominam sobie surowych, jakby wykutyh w skale żołnierzy.

Ada przez chwilę waży kryształ w dłoni. Patrzy na powierzchnię rubinowego wina, jakby widziała w niej przeszłość i przyszłość.

– Zdesperowana Stara poszła w końcu na całość. Wysłała do sztabu Legii najbardziej nawiedzone baby z nowej armii humanizmu i postępu. Miały wręczyć dowódcy najemników dekret o rozwiązaniu formacji. Pułkownik Gerard Patey może nawet wykonałby rozkaz, ale jedna pani major razem z panią kapitan chciały zdegradować go od razu, zrywając z jego munduru dystynkcje i odznaczenia. Patey, były

spadochroniarz, wykopał je za drzwi, a jego żołnierze wściekli się jak rój os. Przegonili pasami całą delegację do bramy koszar. Ściągnęli z masztu flagę ONZ i powiesili swoją. Później wyjęli z gabloty drewnianą rękę swojego legendarnego bohatera, zabrali resztę zabawek i poszli na Marsylię. Po drodze, nie zwalniając nawet tempa, roznieśli i wdeptali w ziemię arabską milicję, którą w okolicy rozmieściła Stara. Dalej zastąpił im drogę czarny koń Starej, generał Zinger. Izraelczycy mieli ponad dwukrotną przewagę, byli jednymi z najlepszych żołnierzy świata i mieli czołgi. Legioniści przed atakiem zdjęli hełmy, założyli białe kepi. Podobno ranni w walce nie krzyczeli, tylko śpiewali swój hymn. Tam, gdzie padł jeden, natychmiast wyrastał następny. Atakowali wyprostowani przy dźwięku trąbki. Rozumiesz, Hubert, jak w dziewiętnastym wieku! Izraelczycy nie wytrzymali. Myślę, że przede wszystkim psychicznie. Legia przetrąciła im kręgosłup. Patey poszedłby dalej na Paryż, a później Berlin, po drodze rosnąc w siłę. Godziny Pierwszej Matki i jej koleżanek były policzone.

Przerywa na chwilę. Ściskam kurczowo kieliszek, domyślając się prawdy.

– Ograniczona eksplozja nuklearna. Stara pozbyła się jednych i drugich. To był ten wypadek czy też sabotaż – oznajmia Ada, kuląc się jeszcze bardziej.

Zapada cisza, jak nóż wbija się w nią kolejne uderzenie kosa Chronosa.

– A skażenie w tak gęsto zaludnionym obszarze? Jak zatuszowano taki kataklizm? – pytam, gdy Pan Czasu wytrąca mnie z odrętwienia.

Ada uśmiecha się ze smutkiem.

– Nie było wielkie. Nasi inżynierowie stali się geniuszami zbrodni w białych rękawiczkach. To był wybuch głowicy

taktycznej rakiety międzykontynentalnej ostatniej generacji. Thera jest najdoskonalszą bronią jądrową, jaką można sobie wyobrazić. W ślad za głowicą z ładunkiem nuklearnym leci druga, wystrzelona z korpusu rakiety. Ma potężny silnik raketowy, zdolny do przebicia się przez falę uderzeniową po eksplozji jądrowej. Ta głowica niesie ładunek powodujący implozję o niesłychanej mocy. Wszystko: pył, gleba, ruiny i reszta śmieci zostaje zassane z powrotem do epicentrum wybuchu. Kilkaset metrów od punktu zero możesz po roku spokojnie uprawiać sałatę. Nie wiemy, ile ich jeszcze jest ani gdzie są ukryte.

– Awantura w knajpie i szufla do zbitych szyb – stwierdzam.

– Nie myśl o nich, Hubert, nigdy ich nie użyjemy. Ratując siebie, musielibyśmy unicestwić miliony.

Ada siedzi nieruchomo, blask płomieni zabarwia jej skórę. Podchodzę i klękam za nią. Obejmuję ją od tyłu, czuję jej ciepło.

– Jestem idiotką, Hubert, wszystko straciłam. Dzisiaj dotarło to do mnie. Tak, straciłam wszystko, co życiu nadaje sens – wyznaje, kładąc głowę na moich ramionach.

– Nie jesteś idiotką. Gdyby nie twoja władza, leżałabyś teraz zapchlona pod przęsłem mostu. A ja pewnie pławiłbym się w formalinie, ciesząc oko studentek. Zresztą może uda się przywrócić choć trochę normalności. Będiesz mogła, jeżeli jeszcze potrafisz, zostawić swoją Dodo i zacząć normalne życie. Wtedy może jakiś pokancerowany kosmonauta zgodzi się, żebyś prała mu skarpetki – pocieszam ją.

– Za późno, Hubert, za późno. Zresztą od sześciu lat jestem mężatką. Ona ma skazę naszych czasów, zespół Downa, ale pięknie maluje i jest kochana. Pojechała na kongres do Genewy. Jesteś zdziwiony? – pyta, odwracając

głowę.

Jestem zdziwiony, lecz jakie to może mieć znaczenie.

– Nie, skąd, jeżeli twój mąż jest uroczą malarką. Może przecież mieszkać z nami i z małym Stanim, gdyby nie udało się odnaleźć jego rodziców. No i jeszcze z kimś, ale musimy mieć trochę więcej czasu i zdobyć łaski ostatnich bocianów. Na pewno wszyscy jakoś się dogadamy – odpowiadam, starając się, żeby moje słowa brzmiały przekonująco.

– Kochany jesteś. Cieszę się, że się nie pomyliłam. Tak bardzo bym tego chciała. Chodźmy do łóżka, chcę się przytulić – prosi.

Idziemy do sypialni, przykrywam nas kocem. Mija dzień rozciągnięty do półmroku letniego wieczoru. Ada przynosi nam kolację, którą jemy w milczeniu. Później opowiada o Europie i świecie. Przestaję już na to reagować emocjonalnie. Kilka razy zapadam w drzemkę, starając się uciec myślami od tego, co było. A jeszcze bardziej od tego, co spotka mnie jutro.

•

Rano budzę się wypoczęty i świeży. Kiedy przypominam sobie, że właśnie dzisiaj rozpoczyna się moja przygoda, ogarnia mnie podniecenie niczym ucznia w maturalny poranek. Obok łóżka na stoliku paruje kawa z mlekiem w kubku z pejzażem sielskiej winnicy. Są także pachnące piekarnią rogaliki z masłem. Jedząc śniadanie, zastanawiam się, w jaki sposób jeszcze pojawiają się takie cuda.

Idę do antycznego zegara. Nie przyznałem się Adzie, że podarowałem Japończykowi zegarek od niej, a mój stary jest gdzieś w rzeczach ze szpitala. Jest już dziewiąta. Owijam się w koc i wyruszam na poszukiwanie Ady. Znajduję ją po

chwili w małym zacienionym pokoju obok windy. Siedzi za biurkiem ubrana w ciemny stonowany kostium, jakby wybierała się na elitarny koktajl.

– Cześć, Ada. Wcześniej wstałaś, mogłaś mnie obudzić, jest już dziewiąta – witam ją zdziwiony, bladością i zmęczeniem rysującym się jej na twarzy.

Patrzy na mnie ze zdziwieniem, jakby ujrzała ducha.

– Dzień dobry, Hubercie. Właśnie robiłam notatki z Juliusza Cezara. Bardzo ładnie komponujesz się z nimi w swojej todze, ale to nie ty jesteś Brutusem – uśmiecha się. – Chciałam, żebyś jeszcze pospał, nie denerwuj się, zdązysz. Pocałuj mnie na dzień dobry, twoje ubranie leży w łazience.

Podchodzę do niej. Całuję w chłodny policzek, następnie w powieki.

– Nie spałaś.

– Patrzyłam na ciebie prawie przez całą noc. Od świtu siedzę nad notatkami, ale już kończę. Dzisiaj twój wielki dzień – mówi, mrugając dziwnie powiekami. Ma zaczerwienione oczy.

– Usiądź na chwilę – prosi.

Siadam naprzeciwko, patrząc na jej twarz.

– Zobacz, jaki mamy piękny dzień. Patrzyłam na ciebie, kiedy wschodziło słońce. Było cicho, dopóki nie odezwał się pierwszy ptak. Później przyłączyły się inne. Śpiewały tylko dla nas. Miasto jeszcze spało i ty spałeś, mrużąc coś przez sen. Tam, gdzie niedługo będziesz, nie usłyszysz ptaków. A niebo będzie jak lodowata smoła. Nie chciałam cię budzić, gdy tak spałeś i śpiewały pierwsze ptaki. Byłeś naprawdę mój, a ja czułam się bezpieczna i spokojna. Spotkało mnie to pierwszy raz w życiu i pierwszy raz przez całą noc ani razu nie pomyślałam o mamie. To chyba miłość? Powiedz, czy to miłość? – pyta, łapiąc mnie za dłoń.

– Jeżeli jest ktoś, kto bardziej zajmuje twoje myśli niż matka, za którą tak bardzo tęsknisz, to znaczy, że jesteś zakochana. Właśnie tak wygląda miłość – odpowiadam, gładząc jej dłoń.

– Jestem głupia, a świat zwariował. Idź się wykapać, chcę sobie trochę popłakać – mówi, odpychając moją dłoń.

Idę pod prysznic. Ogarnia mnie przygnębienie. Kocha mnie, dałem jej nadzieję, będzie teraz tęsknić. Miłość, miłość – po co jej ta męka? Ja ją znam i jestem przez to jak martwy wypalony wrak. Jestem martwy od dnia, kiedy ona odeszła na zawsze, bez nadziei na powrót. Od tamtej pory mogę tylko udawać, że w ogóle coś czuję. Taka jest prawda, nie ma sensu się oszukiwać. Nic nie czuję do Elzy, tak samo będzie z Adą. Tak będzie ze wszystkimi. Przypominają mi twarze pasażerów w oknach odjeżdżającego pociągu. Zanim zniknie ostatni wagon, już stają się dla mnie obojętne. Nie wiem, co jeszcze robię na pieprzonym świecie. Więc nie boję się gwiazd; jeżeli mnie zabrają, poczuję tylko ulgę.

Myję się szybko, zakładam moje odświeżone ubranie. Muszę teraz wrócić do Ady i patrzeć na jej łzy.

Siedzimy bez słowa, patrząc na siebie.

– Ada, co się z tobą dzieje? Nie bądź taka smutna, chcę pamiętać twój uśmiech – proszę.

Na jej ustach dostrzegam słaby uśmiech.

– W gabinecie czeka twoja torba, jest w niej wszystko, czego będziesz potrzebował. W szafie w gabinecie wisi jeszcze jeden prezent dla ciebie. To lotnicza kurtka. Nie jestem pewna, czy będzie ci potrzebna, ale wiem, że piloci są przesądni. Niech przyniesie ci szczęście.

Idę szybko do gabinetu, coś drapie mnie w gardle. Wolę to ukryć. Przewieszam torbę przez ramię i wracam do smutnego pokoiku.

Później znowu patrzymy na siebie. Nie wiem, co powiedzieć.

– Ada, nie wyprawiaj mi pogrzebu. Możesz mnie przecież odwiedzić na tym szkoleniu – przerywam milczenie.

Znowu łapie mnie za dłoń, ale tylko na chwilę.

– Niestety nie odwiedzę cię teraz. Masz, to jest kartka z szyfrem do drzwi wyjściowych. Poczekaj na samochód, taki sam jak mój. Muszę wykonać jeszcze kilka dyskretnych telefonów. Idź już, Hubercie – mówi, wstając z krzesła. Ścisza mnie i lekko całuje w policzek. – Idź już, kochany. Nie chcę, żebyś pamiętał mnie z podpuchniętymi oczami.

Wychodzę, nie oglądając się. Schylony pod ciężarem bagażu, wystukuję na płycie kod z kartki. Uchylam drzwi i wtedy z trzaskiem pęka klamra od paska torby. Upchany majdan ciężko wali się na podłogę, a ja ledwo łapię równowagę. Drzwi zatrząskują się z hukiem. Jestem wściekły. Muszę rozgiąć cholerną klamrę i zamocować ją z powrotem w uchwycie. Prawie łamię przy tym paznokcie. Kiedy wieszam znowu na ramieniu ciężką niczym worek z mąką torbę, z góry dobiega nagle głuchy huk. Kamienieję, zamieniam się w pęd i krzyk.

– Aaaaaaa! Niiieee!

Później klęczę przy niej. Leży zwinięta w kłębek obok przewróconego krzesła. Klękam, układam jej głowę na swoich kolanach. Na jej szyi jak korale błyszczą małe rubinowe kropelki.

– Oszukałaś mnie. Nie, nie oszukałaś. To ja byłem taki głupi, zapatrzony w swoje rany. Każdy by się domyślił, tylko nie ja. Wybacz mi, jeśli możesz – mówię cicho.

Jej twarz jest spokojna, dostrzegam nawet lekki uśmiech. Wygląda, jakby śniła o czymś nieskończenie pięknym. Na pewno widzi rodziców, jest znowu dziewczynką i bawi się w

ogrodzie. Matka zaraz zawoła ją na podwieczorek.

– Byłaś cudowna, Ada. Wybacz, że nie rozpaczam, ale ja także od dawna nie żyję.

Rozwieram jeszcze ciepłe palce. Wyjmuję z jej dłoni mały niklowany pistolet do zastrzyków. Zbiornik strzykawki jest pusty. Zaaplikowała sobie całą dawkę trucizny.

– Muszę już iść. Śpij, królewno – żegnaj ją.

Kładę delikatnie jej głowę na podłodze. Na stole leży piękna skórzana lotnicza kurtka. Zapomniałem ją zabrać. Jeszcze po nią poszła i wyjęła z szafy – ale mnie już nie było.

Zabieram kurtkę, będzie moim talizmanem.

Schodzę powoli po schodach. Na dole podnoszę swoją torbę i otwieram drzwi. Przez chwilę zastanawiam się czy jednak nie uciec.

Jednak nie ucieknę. Ufam ci, Ada, nawet martwej.

•

W alejce prowadzącej do drzwi willi stoi czarna limuzyna. Taka sama jak Ady. Gdy podchodzę bliżej, bagażnik wozu otwiera się automatycznie niczym ciemna paszcza. Wkładam do niego swoją torbę i skórzaną kurtkę, zamykam wieko.

Bezszelestnie uchylają się boczne drzwi. Wsiadam do ciemnego wnętrza. Siedząca po lewej stronie kobieta bada mnie wzrokiem. Ma krótkie krucze włosy. Jest ubrana w świetnie skrojony garnitur z prawdziwej ciemnogranatowej wełny. Ostry makijaż upodabnia jej twarz do głowy drapieżnego, przebiegłego ptaka. Na świętach państwowych wygląda inaczej. Z ciepłym, dobrotliwym uśmiechem macha do tłumów ręką. Ubrana zawsze po męsku, lecz jednocześnie bardzo kobieca.

– Musisz wiedzieć, kim jestem – ożywia się maska.

– Jest pani wiceprezydentem, mężem Pierwszej Matki. Nazywa się pani Dorothy Muslih, na naszym świecie wiedzą o tym wszyscy.

– A ty jesteś Hubert Jugenmann, kapitan lotnictwa transportowego. Protegowany Ady i chyba jej bliski przyjaciel – przedstawia mnie sama.

– Tak.

Kobieta z trzaskiem papieru rozpościera płachtę gazety.

– Tu masz artykuł o sobie, został wydrukowany dzisiejszej nocy. Jesteś mordercą. Szantażowałaś Adę, trzymając w kryjówce jej porwanego męża, tę idiotkę. Zabiłaś dzielną policjantkę, która była na twoim tropie. Następnie zamordowałaś samą Adę Witte. Zostałeś pojmany i przewieziony do ciężkiego więzienia na Grenlandii, gdzie odsiedzisz swoje dożywocie. W szczegółach mogę się mylić. Tam, dokąd jedziesz, nikogo to nie obchodzi. Byłeś przy jej śmierci? – pyta, nie zmieniając nawet tonu.

– Nie, nie chciała, żebym o tym wiedział. Myślała, że już wyszedłem z willi. Wróciłem na górę przez przypadek... już nie żyła.

Dorothy odkłada gazetę i spogląda na zegarek z dewizką.

– Niezawodna oraz punktualna jak zawsze. Będzie mi jej brakowało. Uprzedzałam ją, że staje się zbyt sentymentalna. Mogłyśmy wybrać innego pilota, ale uparła się na ciebie. To dodatkowo skomplikowało sprawę i jeszcze ten idiotyczny proces. Wiesz, że byłyśmy przyrodnimi siostrami?

– Nie, nic o tym nie mówiła.

– Cóż, miała rację. To fakt bez znaczenia – zawiesza na chwilę głos. – Jugenmann, lot jest aktualny, tylko nie pod adres, który na pewno już znasz. Zanim dowiesz się więcej, przyjmij do wiadomości, że w tej chwili pewna młoda

blondynka i mały chłopiec wsiadają na pokład statku. Popłyną nim na pewną wyspę. Jeżeli będziesz nieodpowiedzialny i narobisz nam kłopotów, oboje umrą tam na febrę. Powiedz, czy czujesz gniew? – pyta, łapiąc mnie za brodę i odwracając twarz.

Przebija mnie wzrokiem.

– Pytam cię drugi raz. Do cholery, czy czujesz gniew? Nie wytrzymuję tego spojrzenia. Gdy odpowiadam, zamykam powieki.

– Nie wiem, chyba nie. Ja już w ogóle mało czuję.

– Zaskoczyłeś mnie, Jugenmann. Jeżeli tak, to zachoruje jeszcze twój kumpel z Borneo i jego harem. Febrę złapią wszyscy kolesie z twojego lotniska wraz z rodzinami. Wszyscy, którzy cię znali, znikną w dole z wapnem. Może teraz coś poczułeś!? – krzyczy.

Bierność mija. Strach o bliskich łapie mnie za gardło jak wściekły pies. Jestem gotów paść przed nią na kolana.

– Nie róbcie nikomu krzywdy, będę lojalny. Nie zbuntuję się. Chcę przede wszystkim stąd uciec, chociaż na jakiś czas. Jest mi obojętne, kto wydaje rozkazy i jak bardzo niebezpieczna jest ta misja.

Wamp patrzy mi prosto w oczy. Małe czarne plamki jej źrenic przypominają sprzężony laser. Penetrują mój umysł, powodując mrowienie w potylicy. Tym razem udaje mi się wytrzymać jej wzrok.

– Tak, zrozumiałeś. Nie będziemy więc angażować nowego bohatera. Wierzę ci. Ludzie obojętni mają sporo zalet. Dobrze, że nie muszę dzwonić do Katrin, nie cierpię tej zwariowanej kurwy – wypluwa z nienawiścią.

Wyciąga przed siebie dłoń. Z uwagą obserwuje złotego żuka o rozmiarach chrabąszcza, który spaceruje w jej zagłębieniu. Kiedy lśniący klejnocik dociera do krawędzi,

Dorothy chwyta go dwoma palcami lewej ręki. Odziera ze złotej folii przebierające bezradnie nóżkami maleństwo. Z ust kobiety niczym z paszczy kameleona wystrzeliwuje nagle długi język. Przykleja się do drogocennej czekoladki i wciąga ją do ust. Dorothy zamyka oczy, rozkoszując się smakiem. Później rozchyła pomalowane szarą szminką wargi, powoli, z lubością zlizuje z nich resztki słodczy. Nie zwraca na mnie uwagi. Tkwi w niej coś, co budzi atawistyczną odrazę i strach. Jestem zaskoczony, kiedy ta gadzia istota przemawia ludzkim głosem:

– Moja droga Ada była pewna, że wpadła tylko ona i resztę planu da się jeszcze uratować. Z pełnym poświęceniem przyjęła więc mój ostatni rozkaz. Jednak sprawy wyglądają inaczej. Pani prezydent już od dawna wie o wszystkim. Jest mądra i potrafi przewidywać. Skoro front został przygotowany, postanowiła wykorzystać go dla siebie. Ten lot stanie się naszym wielkim propagandowym sukcesem. To triumf myśli technicznej nowego, humanistycznego społeczeństwa. Przy okazji może naprawdę uda wam się odkryć nowy raj, nie splamiony piętnem cywilizacji. Pani prezydent chętnie przeprowadzi się w takie miejsce, powierzając mi ciężar całej władzy. Jest zmęczona i coraz gorzej znosi odór odchodów pochodzących z przemiany materii tego wielomiliardowego ludzkiego potwora. Nie polecicie na Marsa. Polecicie w kierunku gwiazdy, którą okrąża całkiem interesująca planetka. To wszystko, co możesz wiedzieć. Jakieś pytania? Masz prawo tylko do jednego – mówi, przeglądając się w wysuwanym ze ściany barku lusterku.

Odwracam od niej głowę, patrzę przez przyciemnianą szybę. Z willi wychodzą właśnie cztery kobiety w kombinezonach, dźwigają czarny podłużny worek, opinający

ludzki kształt. Nikt nie pożegna Ady. Spłonie w piecu, wrzucona do jego gardzieli jak zniszczony manekin. Ona, kobieta, z którą tańczyłem tango i kochałem się kilkanaście godzin temu.

Dlaczego dopiero wtedy, kiedy widzimy czyjeś martwe ciało, żałujemy, że nie zdążyliśmy powiedzieć wszystkiego?

– Czy umarła przeze mnie? – pytam.

Zapada cisza, która trwa, aż strażniczki z czarnym workiem znikną we wnętrzu wozu. Słyszę przyspieszony oddech Dorothy.

– Przez ciebie?! – Jej głos załamuje się ze zdziwienia. Rozprostowuje dłoń, szczupłe palce z pomalowanymi na czarno paznokciami zbliżają się do mojej twarzy. – A kim ty jesteś, człowieczku? Kim wy wszyscy dla nas jesteście? Umarła, bo brała udział w spisku. Też coś, jakiś pionek przyczyną śmierci Ady Witte – gotuje się od pogardy.

Bierze leżącą między nami gazetę, zwiija ją i jakimś dziecięcym gestem uderza mnie papierową pałką w głowę. Kulę się, ukrywając twarz w ramionach. Słyszę jej głos, modulowany na przemian jak pisk rozkapryszonej dziewczynki i ton dorosłego mężczyzny:

– Drażnisz mnie, faceciku... nie odzywaj się więcej. Dostaniesz axylon. Przez kilka tygodni będzie ci wszystko jedno. Będiesz jak potulny kastrat, jak wół. Będiesz jadł, srał i uczył się swojej roli. Niczego więcej nikt od ciebie nie wymaga. Rozumiesz, człowieczku? – grzmi łamiącym się barytonem.

Na moich kolanach ląduje biała fiołka.

– Weź trzy tabletki albo zaraz przytulisz się do niej w tym worku. Tylko ona już nic nie czuje, a ty będziesz musiał przegryźć sobie żyły, żeby zdechnąć. Wpadnę na wasz pogrzeb, pary romantycznych kochanków. Zidiociała Julia i

połatany alfons z mokrym fiutem. W pizdę! Ty oślizgły robaczywy kutasie! Jak mogłeś pieprzyć moją Adę?! – ogarnia ją furia.

Na moją głowę spada grad ciosów, czuję tępy ból uderzeń. Jedno jest tak silne, że odrzuca mi głowę na słupek drzwi. Później rozlega się przepelniony wściekłością alt:

– Bernard, jedziemy!

Limuzyna rusza na wstecznym biegu. Otwieram flakonik, nie patrząc w stronę strasznej kobiety. Pastyłki są maleńkie, podobne do banieczek powietrza z uwięzionym wewnątrz ziarnkiem piasku. Nie wiem, czy mają jakiś smak, w ustach czuję tylko krew z rozbitej wargi. Wiotczeję natychmiast, moja zwieszona głowa kiwa się w rytm łagodnych przechyłów samochodu. Patrząc, jak z ust wypływa mi nitka śliny, zakończona maleńką kropelką.

•

Unoszę głowę, kiedy samochód zatrzymuje się przy parterowym budynku, przykrytym dachem z porzewiałej blachy. Tabletki powodują, że czas przyspiesza i zwalnia. Wydarzenia pojawiają się znikąd. Jakbym budził się w nieznanym świecie w poszczególnych chwilach, oddzielonych od siebie kordonem zapomnienia.

Ktoś prowadzi mnie labiryntem oślepiająco białych korytarzy. Rozbierają mnie, czuję na skórze dotyk zimnych metalowych narzędzi. Później w pomieszczeniu z zieloną glazurą dwie dziewczyny wciskają mi do ust jakieś giętkie przewody. Zimno, straszny przenikający chłód spada razem z biczem wody. Lodowaty płomień zalewa mi twarz, wypełnia nozdrza. Duszę się, padając na drewnianą klatkę podłogi. Próbuję się ukryć w kącie, moje dłonie są zielonkawo-

fioletowe. Jestem zdziwiony. Nie wiedziałem, że mogą tak wyglądać.

Z bezpiecznego schronienia w kącie wyciągają mnie jakieś ręce w długich rękawicach z czarnej gumy. Światło korytarzy pali mi oczy blaskiem atomowego ognia. Dopiero w wielkiej sali mogę otworzyć powieki. Stoję na środku w wielkim złotym kole, namalowanym na brązowej podłodze. Jestem tu zupełnie sam. Wiatr tłucze otwartym oknem, słyszę jakieś podniesione głosy. Mija czas. Odmierzają go wstrząsające mięśniami w regularnych odstępach fale dreszczy. Rozchodzą się od środka pleców, docierają do pięt i potylicy i zamierają, żeby dać miejsce nowym. Zaczynam się do nich przyzwyczajać. Zapadam w odrętwienie.

Budzą mnie uderzenia w twarz. Otwieram oczy. Przedemną stoi kilkanaście kobiet w białych fartuchach. Ktoś popycha mnie w plecy, zmuszając do zrobienia kilku kroków. Potem jakiś głos każe mi biec. Biegnę po obwodzie sali. Co chwila oślepia mnie salwa z fleszy aparatów fotograficznych. Po trzecim okrążeniu wpadam na ścianę. Wstaję z podłogi, chcę biec dalej, lecz w miejscu osadza mnie rozkaz. Bieg rozgrzał mnie i przyspieszył tętno, krew ożywiła zatruty mózg. Zaczynam coś rozumieć.

Przywołują mnie z powrotem do kręgu. Otacza mnie gromada szepczących kobiet. Jedna, z wklęsłym zwierciadłem na czole, staje na wprost mnie. Każe mi klęknąć. Ogląda mnie uważnie, dźgając od czasu do czasu mięśnie ramion drewnianą linijką. Cyklop obchodzi mnie dookoła. Kiedy jest za mną, słyszę zdziwiony głos:

– Dlaczego osobnik ma na pośladkach jakieś łaty po przeszczepach? Czy któraś z koleżanek ma jakąś konsylijną teorię?

– Doświadczenie naukowe podpowiada mi niezawodnie,

że był to osobnik testowy, proszę pani profesor – odpowiada jej jakiś niepewny głos.

Zza moich pleców rozlega się władcze dudnienie:

– Pani doświadczenie naukowe jest bardzo skromne w porównaniu z moim, koleżanko. To pytanie było retoryczne. Widzę przecież, że ktoś prowadził już na tym materiale badania.

– Przepraszam, pani profesor. Pani styl pracy jest tak nieszablonowy, a zarazem twórczy. Czasami nie nadążamy – tłumaczy służalczo biały fartuch.

Cyklop znowu pojawia się przede mną. Ma rysy otyłej Azjatki, piwne przenikliwe oczy oraz wyskubane do gołej skóry brwi, zastąpione przez dwie nasmarowane czarnym barwnikiem krechy. Pani profesor nachyla się, widzę w zwierciadle swoją karykaturę, trupioblądą twarz z ustami niczym pysk hipopotama. Kobieta łapie mnie za żuchwę, zmusza do otwarcia ust na całą szerokość. Przyciska mi język drewnianą linijką. Czuję smak drewna i przeпоconych rąk. Grzebie mi w gardle, jakby szukała tam zgubionego ciasteczka z chińską wróżbą. Linijka kaleczy mi dziąsła, drażni popękane wargi. Ślina zmieszana z krwią zalewa mi krtań.

– Tfu, on krwawi. O bogini! Co one nam tu przysyłają? Te idiotki wcisnęły nam jakiś popękany wrak. Pobrać preparaty do namnażania tkanek i zutylizować go. Albo nie, przeszczepimy coś z tego na tamtych czy odwrotnie – zmienia zdanie.

Rozumiem, co się wokół mnie dzieje, lecz nie jestem w stanie zaprotestować ani w ogóle sklecić jakiegokolwiek zdania. Cyklop wyciera zakrwawioną linijkę o skraj fartucha.

Jedna z kobiet, wysoka, szczupła Etiopka, przestępuje nerwowo z nogi na nogę. Mówi z wbitym w podłogę

wzrokiem:

– Pani profesor. Ten osobnik... ten obiekt jest od pani Muslih. To skazany pilot, objęty naszym tajnym programem i na razie... – Jej głos brzmi czystą desperacją.

Zwierciadło odwraca się powoli w stronę kobiety.

– Wiem, idiotko, zamknij pysk. I nie wycieraj sobie gęby nazwiskiem pani wiceprezydent. Nie rozumiesz, kretynko, że to było pytanie sprawdzające bodźce strachowo-przełęknieniowe? Zdemaskowałaś przed obiektem sens badania, trzeba będzie zweryfikować twój dyplom z psychologii. Masz taki dyplom? – pyta, stukając mnie linijką po głowie.

Etiopka ma łzy w oczach.

– Pani profesor, ja przed medycyną skończyłam prawo i ekonomię. Psychologię dopiero zaczynam – tłumaczy ze skruchą.

– Daj sobie spokój, nie skończysz. Moja w tym głowa – wydaje wyrok, waląc mnie tym razem kantem listwy.

Impuls sprawia, że wstaję. Profesor odwraca się w moją stronę.

– Jaki żwawy – zauważa, podnosząc linijką moją brodę.

Mrużę oczy przed blaskiem lamp na suficie. Czuję, jak linijka sunie w dół po piersiach i brzuchu. Zatrzymuje się na wysokości skarłałego z zimna członka.

– Ale możemy go chyba wytrzebić. Co, dziewczyny? Przecież tam, gdzie ich wysyłają, to musi tylko przeszkadzać – pyta z nadzieją.

– Oczywiście, pani profesor. Doświadczenia naszych sióstr muzułmanek dowodzą bezspornie pozytywnego wpływu kastracji szowinistów na ich terapię adaptacyjną – przytakuje jedna z kobiet.

– No i przestają tak śmierdzieć – dodaje inna.

Jakiś głos z boku wtrąca nieśmiało:

– Ale to pilot, sama najdroższa pani, hmm... wice poleciła go naszej fachowej wiedzy. Może się skonsultujemy z ośrodkiem badań lotniczych?

– Słyszę, że masz coś do powiedzenia, Gizelle – cedzi chłodno Cyklop.

Gizelle jest biała. Nosi okulary o szklach grubych jak pancerna szyba. Zdejmuje je i przeciera szmatką. Jest tak zdenerwowana, że kiedy zakłada je z powrotem, wbija sobie w oko zausznik.

– Pani profesor raczyła zauważyć, że obiekt był przedmiotem badań medyczno-poznawczych. Może już czegoś nie ma? Może naprawdę był chory? Wzrost prymitywnej agresji przy dawkowaniu axynolu nie wchodzi w rachubę. Można go więc dokładniej zbadać bez naruszania norm bezpieczeństwa. A co do amputacji moszny, to oni tam noszą różne swoje hormony, które może mają wpływ na instynkt samozachowawczy w trakcie pilotowania maszyny. Absolutnie nie chcę podważyć nieocenionego autorytetu naukowego pani profesor. Ale uważam, że ten wpływ trzeba przekonsultować empirycznie i dokładnie. Mogę się skontaktować z koleżankami z rządowego ośrodka badań lotniczych – proponuje nerwowo urywanymi zgłoskami.

Zapada cisza. Ważą się losy mojej męskości oraz kariery Gizelle w pancernych okularach.

– Jeżeli wpływ taki nie istnieje, to oczywiście popieram ten rodzaj terapii. Słyszałam, że w wytrzebieniu chirurgicznym pani profesor jest mistrzem nie do pokonania: dwadzieścia trzy sekundy na zabieg. My o takim wyniku możemy tylko pomarzyć – dodaje mój pół ślepy obrońca. Cyklop odpowiada ciepło:

– Mądralinka z ciebie, Gizelle. Wiem, o czym myślisz.

Pewnie chcesz wiedzieć, jak zachowują się plemniki w stanie bez przyciągania. Nie przejmuj się, już wszystko o tym wiemy i nie jesteśmy gorsze od koleżanek z rządowego instytutu. Przyjdź do mnie po zajęciach, to wskażę ci odpowiednią lekturę na ten temat. Wysoko zajdziesz, Gizelle. Masz podobne jak ja podejście do działań odkrywczych. Wnikliwie rozpatrujesz wszystkie naukowe aspekty. Co do obiektu, dobrze, niech jeszcze ponosi to obrzydlistwo. Na razie – ustępuje.

– Pani profesor, za godzinę mamy następne konsylium. Może teraz w bufecie przeanalizujemy wcześniejsze materiały – proponuje korpulentna Afrykanka.

Cyklop przytakuje ruchem głowy.

Wychodzą z panią profesor na czele. W drzwiach grupę lekarek przepuszczają dwie rosłe kobiety w szarych jednoczęściowych kombinezonach. Jedna z nich trzyma podłużną skrzynkę. Kiedy mija je idąca jako ostatnia Gizelle, wchodzi do sali. Zatrzymują się przy mnie. Jedna stawia skrzynkę na podłodze i wyjmuje z niej coś podobnego do wielkiej pieczętki.

Druga podchodzi z tyłu i z siłą stalowego imadła przytrzymuje mi ręce pod łokciami. Z tyłu pada krótki okrzyk.

– Dawaj!

Wielki stempel dotyka mojej piersi. Kobieta przyciska go mocniej. Najpierw słyszę syk palonej skóry, ból rozrywa mi ciało sekundę później. Mój ryk odbija się stukrotnym echem od ścian sali. Kiedy ta z tyłu puszcza moje ręce, zgięty wpół padam na kolana.

– E, chłopaczkę, to przecież aż tak nie boli. Masz małego patuszka, ale jesteś, do cholery, facet. Wstawaj, nie bądź baba – przemawia kobieta ze stemplem.

Podnoszą mnie pod ramiona, swąd spalonej skóry przypomina mi matkę, nasz dom i smażone tłuste kotlety. Z bólu łzawią mi oczy, światła korytarzy, którymi mnie prowadzą, rozmazują się w świetliste pochodnie. Otwierają się drzwi do małego prostokątnego pomieszczenia z materacem na podłodze. Silne ręce wpychają mnie do środka.

– To twój apartament 3782. Na razie tak się nazywasz, twoje nazwisko masz na skórze. Siusiu i resztę do tamtej dziury z przykrywką. Jak nabrudzisz, dziewczynki się zdenerwują i będą klapsy. W paczce na materacu masz ubranko. Teraz możesz pobawić się spokojnie swoim fiutkiem. Śniadanko rano – żegna mnie strażniczka, zamykając drzwi.

Półprzytomny, siadam na zimnym materacu. Puchnie mi język, oparzenie na piersi pulsuje piekącym bólem. Po otepiałym mózgu płacze się mglista myśl. Żyję, nie zabiły mnie. Nie ma już Ady, nikt mnie nie chroni, jestem bezbronny. Niech wszystko przeminie, miech zapadnie noc.

Przewracam się na bok, kuląc się jak embrion, spadam w straszną przepaść, niepodobną do snu.

•

Kiedy otwieram oczy, jest jasno. Światło wpada przez małe okno, zasłonięte gęstą stalową siatką. Zdrętwiałem z zimna. Dopiero teraz, kiedy osłabło działanie narkotyku, przypominam sobie o paczce z ubraniami. Leży zepchnięta na podłogę. Wstaję, żeby ją podnieść, lecz ból rzuca mnie z powrotem na materac. Rana po oparzeniu rwie jak cholera. Jestem spragniony i głodny, ogarnia mnie wściekłość.

To nie jest ośrodek treningowy, to obóz zagłady. Te zwyrodniałe baby porzuciły już nawet pozory. Trzeba coś

zrobić, bronić się. Rozwalić kilka łbów i zginać z godnością. Nie pozwolę zrobić z siebie przerażonego kundla! Biali faceci zniewieścili, to fakt – ale teraz zachowujemy się po prostu jak skończone mendy. Koniec! – walę pięścią w materac.

Natychmiast odzywa się piekące piętno, a razem z nim słowa potwora rodem z tandetnego horroru: „Wszyscy wylądują w dole z wapnem”. Nie mam wątpliwości, że mówiła prawdę.

Wydaję bezsilny jęk, wstając z materaca. Cały mój samobójczy bunt tutaj się kończy.

Paczka odepchnięta przez sen leży w kącie. Rozrywam plastik. W środku znajduję koszulę z krótkim rękawem oraz szorty do kolan. Kolekcję uzupełniają zdumiewające plastikowe sandały, jakby odlane z zastygłego w ostatecznej rozpaczyniebieskawego gluta. Zakładam różowe wdzianko z kiczowatym wzorem dzieci, odbijających na plaży kolorową pasiastą piłkę. Ze zdumieniem stwierdzam, że jest zrobione z czegoś, co przypomina gruby papier wymieszany z syntetykiem. Od porannej gimnastyki powstrzymuje mnie strach, że spodenki i rękawy mogą pęknąć przy każdym gwałtowniejszym ruchu.

Schylam się ostrożnie do metalowej pokrywki. Pod nią ukazuje się zalatująca smrodem wydalin dziura rozmiarów małego talerza. Prowadzi wprost do rury kanalizacyjnej. Jak trafić w taki cel z odległości ponad metra i nie narobić odprysków? Nigdzie nie widzę papieru toaletowego ani żadnej ścierki. Muszę załatwić się „na babę”. Kucam, starając się wycelować jak najdokładniej... i właśnie wtedy otwierają się drzwi. Próg przekraczają trzy uzbrojone strażniczki, jedna biała oraz dwie Hinduski. Żadna nie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat, są zgrabne i piękne. Chce mi się płakać,

gdy słyszę:

– Jaki grzecznutki, jak kotek. Ładnie, misiaczk, susiaj spokojnie.

– Milutki, chyba mu nie przywalę – zgadza się z koleżanką Europejka z czarną pałką w dłoni.

Szczyt pały co kilka sekund rozświetla korona fioletowych błyskawic. To pałka ze wzmocnionym paralizatorem. Takim świństwem można spawać przęsła mostu, a uderzenie w ciało człowieka powoduje ciężkie porażenie oraz długotrwały szok.

Ze strachu i wstydu ledwo mogę wycisnąć z siebie cienki, ciurkający w nieskończoność strumyk.

– Prędeej, malutki, nie mamy czasu – ponagla mnie niecierpliwy głos.

Naciagam w pośpiechu papierowe gatki. Resztki moczu, których ze skrępowania nie mogłem się pozbyć, tworzą natychmiast na chłonnych niczym gąbka spodenkach wielką plamę.

Hinduska wyciąga do mnie dłoń ze znaną mi białą fiolką.

– Weź jedną tabletkę, nie musisz jej popijać. Nie chowaj jej pod język, to nic nie da. Wchłania się przy każdym zetknięciu z wilgotną tkanką. Musisz też dbać o spodenki, zmiana garniturów jest raz w tygodniu.

– Właśnie, na przyszłość zawiązuj swoją tasiemkę na supeł – dodaje biała.

Dziewczyny śmieją się z żartu, a mnie znowu ogarnia obojętność. Idziemy długim korytarzem, na ścianach wiszą tandetne reprodukcje martwych natur i plakaty z hasłami propagandowymi. Rozpoznaję charakterystyczny zapach. Tak pachną garkuchnie masowego żywienia w koszarach, akademikach i szpitalach. Smród jest zawsze taki sam, bez względu na kontynent i kulinarne zwyczaje.

Dochodzimy do pomalowanych na biało, dwuskrzydłowych drzwi. Po prawej stronie przed wejściem jest zamocowana umywalka, obok niej wisi żółty ręcznik.

– Umyj ręce przed śniadaniem – słyszę polecenie.

– Za każdym razem trzeba im o tym przypominać – narzeka druga z eskorty.

Nad umywalką wisi lustro. Kiedy mechanicznymi ruchami myję ręce, widzę w nim tępą, zarośniętą twarz. Ktoś odciąga mnie od lustra i popycha w stronę drzwi. Stołówka jest pomalowana na kolor pomidorowej zupy z jaśniejszym kożuchem lamperii. Wszędzie stoją stoły otoczone rojem plastikowych krzesełek. Jeden ze stolików pod ścianą, ozdobioną portretem Wielkiej Matki oraz transparentem z napisem: PATRZĘ NA WAS I JESTEM Z WAS DUMNA, jest zajęty. Siedzi przy nim trzech facetów, pilnowanych przez jedną, opartą o ścianę białą strażniczkę. Prowadzą mnie do tego stolika.

Głowy mężczyzn pochylają się jednostajnie nad talerzami. Strażniczka pod ścianą patrzy na nas znudzonym wzrokiem, uderzając rytmicznie pałką z paralizatorem w nogawkę spodni. Kiedy przystajemy przy stole, głowy mężczyzn unoszą się na chwilę, patrzą na mnie twarze równie obojętne jak moja. Po chwili wracają do przerwanego posiłku.

– Żadnych problemów? – pyta dziewczyna z mojej eskorty.

– Żadnych. Przy korycie, którego ja pilnuję, zawsze jest spokój. Możecie zostawić mi jeszcze tego i pójść do kuchni na kakao. Dam sobie radę. Przyjdźcie za piętnaście minut – odpowiada strażniczka spod ściany.

Moja eskorta odchodzi. Patrzą na siedzących mężczyzn. Dwóch jest ostrzyżonych na jeża, ma na sobie papierowe

piżamki w barwne tropikalne owoce. Są do siebie zdumiewająco podobni, dłoń jednego spoczywa na kolanie drugiego. Od czasu do czasu przerywają na chwilę posiłek i patrzą na siebie.

– Co tak się gapisz, ciemniaku? Siadaj i jedz – rozkazuje mi strażniczka.

Siadam na plastikowym krzeselku. Pośrodku stołu stoi zwyczajny, pokryty niebieską emalią blaszany garnek. Wystaje z niego trzonek aluminiowej chochli. Oprócz niego są jeszcze cztery poobtlukiwane kubki z brązowego fajansu, takie same talerze i metalowe łyżki.

– Jestem Peter van Vijk – przedstawia się mój sąsiad z lewej strony.

Ma na sobie taki sam komplet jak mój. Jest bardzo wysoki, musi kulić się na krzeselku. Na jego twarzy pobłyskuje rdzawą smugą kilkudniowy rudawy zarost, skóra wokół oczu pokryta jest siecią drobnych zmarszczek. Pomimo tego mężczyzna jest jeszcze młody. Taką cerę mają ludzie śpiący na pustyni pod nocnym niebem oraz rybacy chłostani niezliczonymi słonymi sztormami. Peter nakłada mi chochlą porcję na talerz. Szary makaron z grudkami białego sera i cukrem, który nie miał się w czym rozpuścić.

– Nie oglądaj tego gówna. Zamknij oczy i jedz, kolego – radzi.

– Dziękuję, Peter, nazywam się Hubert Jugenmann – odpowiadam.

Zaczynam jeść. Nie wiem, czy pastylki osłabiają zmysł smaku, czy ta papka po prostu go nie ma. Mam wrażenie, jakbym przeżuwał kilkuletnie zwietrzałe siano. Jestem jednak tak głodny, że prawie zapycham się świństwem. Suchy ser staje w gardle jak grudy ziemi, zaczynam się krztusić.

Peter w porę podaje mi kubek z kompotem. Jestem tak

ogłupiały, że sam chyba nie wpadłbym na pomysł, żeby to czymś popić.

– Mój Sacha też miał kaszelek – donosi jeden z pary ostrzyżonych na jeża, delikatnie strząsając z brody kolegi okruszki sera.

Kiwam ze zrozumieniem głową.

Facet głosem troskliwej babuni zwraca koledze uwagę:

– Masz bebe na buzi. Co chłopcy o nas pomyślą, świntuszku? Papuniaj wolniej i popij kompicikiem.

Świntuszek bierze podany kubek, a jego kumpel zamiata kantem dłoni kraciastą ceratę, skarżąc się:

– Sacha, on tak zawsze. Tak naświntuskuje, że cały dzień muszę sprzątać po nim mieszkanie. Ale kochany jest z niego brudasek. A ja jestem Rosa, jesteśmy chemikami. Rozumiecie? Sacha i Rosa, razem sacharoza. Dobry dowcipasek, co? Tak nas nazywali w instytucie: cukiereczki. Dwa pyszne, słodziutkie cukiereczki do całowania i dowcipasków – przedstawia siebie i kumpla.

Znowu skłaniam głowę, a Peter wydaje jakiś pomruk, zakończony zdaniem w chrapliwym języku.

– Skąd jesteś? – pytam go, wysilając umysł.

Rudy Peter popija kompotem makaron i odpowiada:

– To afrikaans. Jestem z południa.

– Zamknąć się! Pozwoliłam wam pogadać, ale teraz mordy na kłódkę. Macie jeszcze pięć minut – przerywa nam strażniczka.

Podchodzi do stołu. Dotyka szczytem swojej straszliwej pałki ramienia Bura.

– A ty, rudy, już dostałeś ostrzeżenie. Jeszcze raz odezwiesz się w tym bełkocie, to z twoich jaj zrobię sobie wisiorek do kluczy. Masz, żebyś nie zapomniał – cedzi przez zęby, biorąc zamach.

Pałka z głośnym łomotem spada na jego plecy. Raz, drugi i trzeci. Palce Petera zaciskają się na kubku. Podnosi go do ust i... pije!

Przestraszone „cukiereczki” pochylają się nad makaronem, gorliwie postukując aluminiowymi łyżkami o talerze.

– Pierwszy! – krzyczy Sacha, podnosząc rękę do góry.

– Koniec, wstać i przystawić krzesła do stołu – rozkazuje strażniczka.

Kiedy Peter przysuwa swoje krzesło, pałka jeszcze raz łąduje na jego grzbiecie. Echo uderzenia odbija się od ściany. Peter prostuje się z bólu, ale nie wydaje nawet jednego jęku.

– Peter, krzyknij – ostrzegam go, widząc w oczach dziewczyny rosnącą wściekłość.

Strażniczka za plecami Bura staje w lekkim rozkroku.

– Co, taki jesteś samiec alfa? Taki macho? – syczy, biorąc zamach trzymaną w obu dłoniach pałą.

Cios jest wymierzony w jego lewy obojczyk. Pałka tnąc powietrze zatacza półokrąg – wtedy Peter odsuwa lewą stopę i płynnym, miękkim ruchem unosi dłoń. Łapie paralizator w połowie długości i lekko pociąga do siebie. Dziewczyna z trudem łapie równowagę.

Przez chwilę oboje stoją bez ruchu. Zaskoczona strażniczka, ciężko dysząc, chce wyrwać mu pałkę z ręki. Peter cał po całunosi w górę ramię i przyciąga do siebie opierającą się kobietę. Szczyt pałki pobłyskuje wyładowaniami, kiedy dziewczyna trzymając kurczowo swoją broń unosi się na kilka centymetrów do góry. Ich twarze prawie się stykają.

– Dlaczego mnie bijesz? Taka ładna panienka – mówi Peter spokojnie do zszokowanej strażniczki.

Odpowiada mu jej krzyk:

– Dziewczyny! Na pomoc!

Drzwi kuchenne otwierają się z hukiem. Jako pierwsza wypada przez nie Hinduska z mojej eskorty. Jeszcze w biegu odczepia coś od paska. Unosi na wysokość ramienia mały czarny przedmiot i pocisk z sykiem wali w nasz metalowy gar z makaronem. Odbija się od niego, tłukąc kubek. Resztki kompotu, skwiercząc, błyskawicznie zamieniają się w obłoczek pary.

Odskakuję od stołu, a „cukierki” z piskiem kicają na podłogę, kiedy druga elektroda trafia Petera w uniesione ramię. Przez ciało Bura przelatuje spazmatyczny dreszcz, dłoń wypuszcza pałkę z uwieszoną na niej dziewczyną. Padają razem na podłogę. Strażniczka zrywa się w chwili, gdy do stolika dobiega eskorta. Hinduska pakuje w udo Petera jeszcze jeden strzał. Grot elektrody spawa z sykiem jego skórę. Bur miota się po podłodze jak ogłuszona ryba, zanim w końcu zastygnie bez ruchu. Wciąż jest przytomny, próbuje coś powiedzieć, otwierając i zamykając usta.

Hinduska szybko podnosi z podłogi pałkę naszej strażniczki. Przez chwilę patrzy na bezwładne ciało i zaczyna je bić. Dołącza do niej druga i trzecia. Tłuką go raz za razem. Słysząc tylko tępe odgłosy ciosów, regularne i równe niczym praca zawodowych drwali. Sapia coraz głośniej. Przestają dopiero, kiedy ciało Petera zmienia się w drgającą masę, tonącą w smugach rozmazanej krwi.

– Cholera, cholera, cholera! Pierdolona cholera! Mamy przesrane! Wyleją nas za brak dozoru albo wyślą do pilnowania resocu na zasranej Grenlandii! – krzyczy Hinduska.

Odwraca się do rozbrojonej przez Bura dziewczyny.

– To przez ciebie, ciemna pizdo! Gadałaś jak fachura, że dasz radę. Masz teraz, idiotko, swoje gorące kakao!

– Byli spokojni, przysięgam. Dziobali jak wróble w karmniku i przecież brali pastylki – tłumaczy dziewczyna łamiącym się głosem, przyciskając ramiona do piersi.

Hinduska podnosi jej pałkę, przypominającą mieszadło wyjęte z beczki ketchupu. Celuje nią w przerażoną strażniczkę.

– Wróble!?! Ty skretyniała cipo! To są faceci, nie wróble. Niewykastrowani i bez implantów, a ten był silny jak szympan... mógł cię załatwić. Ile jesteś w służbie? Bo ja cztery lata. Widziałam, jak taki skręcił karki dwu naszym, dopóki go nie kropnęłam. Jak już go sprowokowałaś, trzeba było tłuc w jaja albo pod kolana z doskoku, idiotko! – wrzeszczy, nie mogąc się opanować.

Druga Hinduska kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Zwolnij, taka jest służba. Łomot to normalka, tylko nikt do szczęściu cyków nie może się dowiedzieć, że pilnowała ich jedna i straciła broń – uspokaja furie.

Wszystkie odwracają się w naszą stronę.

– Wstawać, cioty – pada z ust białej strażniczki z mojej eskorty.

„Cukierki” pojawiają się znowu ponad stołem. Tulą się do siebie, drżąc ze strachu.

Hinduska wskazuje na nas po kolei zakrwawioną pałką.

– Było tak. Ta świnia klepnęła w tyłek naszą koleżankę. Mnie pokazał jęzor i mrugał. Byłyśmy tu wszystkie i wszystkie nas zaczepiał. Jak któryś nie przypomni sobie tego, kiedy będą pytać... – zawiesza głos.

Z pałki tryskają iskry, smażąc krew Petera. Odór sprawia, że kluchy w moim żołądku podjeżdżają do gardła. Przelykam ślinę.

– To mu zaspawam dziurę w dupie. Przysięgam – ostrzega.

Sacha czy też Rosa wydaje pełen rozpaczy jęk. Jego wytrzeszczone oczy przypominają żabi skrzek.

– Nie, inaczej. Jak któryś sypnie, zaspawam dziury wam wszystkim. Macie pilnować siebie nawzajem, zasrańcy. I pamiętajcie, znamy wasze numery.

Potakuję na znak zrozumienia. Sacha i Rosa kłaniają się, składając dłonie. Kiedy myślę, że jest już po wszystkim, podchodzi do mnie druga Hinduska.

– Te cienkie siurki przekonały nas, ale ty nie. Powiedz, że zrozumiałeś, parszywy pedale – mówi do mnie.

Zanim otwieram usta, na moje plecy spada cios. Osuwam się na kolana, a z gardła wyrывa mi się jakieś żenujące kwilenie. Ból jest straszliwy, ogarnia całe plecy i dół brzucha. Całą siłą ogłupiałej woli powstrzymuję się, żeby nie zmoczyć papierowych spodenek. To biała z mojej eskorty. Nie zauważyłem, kiedy zaszła mnie od tyłu. Dźga mnie teraz szczytem pałki pod łopatkę.

– Taaak! – ryczę wreszcie pełną piersią.

– Dobra. Cioty i ten do klatek, a tego zboczek do szpitala. Drugi posiłek dostaną u siebie. Powiemy, że jest ich jeszcze za mało i nie opłaca się zaganiać ich do stołówki. Zaraz napiszemy raport. Jazda, morskie świnki – decyduje Hinduska, oddając pałkę właścicielce.

Prowadzą nas w pośpiechu z powrotem. Rwie mnie rana po piętnie i puchnąca pręga od pałki. Nie mam pojęcia, jak ten Bur wytrzymał bez skrzywienia tyle ciosów.

Najpierw ląduje w swojej celi Sacharoza. Mieszkają razem, wpadają do środka, tuląc się do siebie niczym przerażone bliźnięta porwane przez Czarnego Luda na zatracenie. Później otwierają się moje drzwi. Słyszę jeszcze:

– Pamiętaj, bo będziesz srał przez gębę.

Zwalam się na moje legowisko. Za oknem pieni się i

grozi pomrukiem letnia burza, powietrze pachnie ozonem. Zapadam w drzemkę podobną do letargu.

Gdzieś daleko nawołują się przestraszone piorunami ptaki. Ptaki i grzmot błyskawicy. Ptaki, one zawsze są wolne. Należą do przestrzeni i nieba, ale swój śpiew oddają ziemi, gdzie przychodzą na świat. Najpiękniej ich głosy brzmią w tajemniczej, mrocznej dżungli. Widziałem jej resztki na Surabaya. Kilkanaście kilometrów za końcem pasa startowego, za szachownicą maleńkich poletek, za mrowiskiem chałupek z plastiku i blachy, wylaśniały się płaskie wzgórza. Ostatnie wojny unicestwiły tak wiele istnień, że zabrakło ludzi i znowu pokryła je gęsta zieleń. Szliśmy zawsze na niskim pułapie, żeby uniknąć trafienia rakieta, a Stani co jakiś czas odpalał fajerwerki. Zielony las oddychał, w dolinach kłębiły się białe mgły, z których jak grzbiety uspiomych lewiantów wynurzały się wierzchołki gór. Doznałem wtedy niepojętej chęci, żeby pchnąć wolant przed siebie i utopić kadłub „Any” w ciepłych zielonych falach, żeby kipiąca wilgoć wlała się przez rozbite szyby, a pędy niepokonanego istnienia wrosły w wapienne oczodoły naszych czaszek.

Z hipnotycznego transu wyrwał mnie atak dezynterii. Musiałem przekazać stery Stanowi. Później wędrówka przez arkę nędzarzy, słabo oświetlony żarówkami w drucianych kagańcach korytarz ładowni. Wszędzie ludzie o zielononiebieskich od światła twarzach oraz sterty tobołów. Matki z płaczącymi dziećmi, chorzy lub zdruzgotani wojną. Setki par oczu wlepionych we mnie ze wszystkich stron. Wzrok stuokiego organizmu odprowadzał mnie do drzwi ubikacji. Musiałem odwinąć z klamki sznurek, żeby dostać się do kibla. Do sznurka ktoś przywiązał dwie małe, cuchnące, przerażone kozy, zwierzęta szamocą się i płaczą

pod nogami. Wskoczyłem do ciasnego wnętrza dosłownie w ostatniej chwili. Nie miałem czasu przejmować się straszliwym fetorem ani widokiem brudnej kabiny. Byli tu wcześniej ludzie, którzy nigdy nie widzieli klozetu.

Załatwiłem sprawę, balansując na rozstawionych nogach z wprawą zjazdowego narciarza, i szybko wyskoczyłem ze śmierdzącego piekła. Stałem jeszcze w otwartych drzwiach, kiedy się zaczęło. Z podłogi poderwał się jakiś chłopak w burym zawoju. Przez chwilę tylko wytrzeszczał oczy, a później wydał z siebie przeciągłe, piskliwe wycie.

– Allllllaaaaahhhhhakbarrrrr! – wzywał Proroka, kręcąc się w kółko.

W wyciągniętej dłoni ścisnął zawinięty w gałgan pakunek. Innymi obwiązał się w pasie. Znowu krzyknął i drugą ręką uderzył w paczkę, z której trysnął dym, podobny do strugi pary z szyjki czajnika. To bomba!

Byłem za daleko, nie zdążyłbym do niego dobiegnąć przez te kozy, ludzi i całą graciamię. Chłopak piszczał jak siedząca na zaskrońcu panienka. Zastygli, czekaliśmy tylko na koniec – gdy wzdłuż ściany przemknął szary cień. Dосkoczył do gówniarza i złapał go wpół. Czteronogi stwór przetoczył się do burty, jedną nogą kopnął w szybkę odpalania awaryjnego luku. Zniknęli razem w huku eksplozji i dymie.

Do wnętrza kadłuba wdarł się cyklon wichury. Porwał podmuchem szmaty i toboły, wcisnął mnie z powrotem do sracza. Usiadłem na lepkiej od szczyń i gówien podłodze. Żyjemy! To niemożliwe... jeszcze żyjemy!

Stani widział to z kokpitu. Zmienili się w ognistą kulę pękającego meteorytu tuż nad koronami drzew. Oficer pokładowy Horst Nielaba i anonimowy, nawiedzony debil z chemteksem spadali na dżunglę jak szczepione szponami

ptaki. Strzępy ich ciał nakarmiły wiecznie zielone zachłanne tropikalne drzewa.

Tak, śmierć może być chwalebna. Taka śmierć jest piękna – warto dla niej żyć.

A my? A ja? Gdyby nie te pieprzone kozy i tłumoki, może bym zdażył. Zazdroszczę ci, Horst, mój przyjacielu. Ja, kosmonauta w papierowych gaciach, z numerem zamiast nazwiska.

•

Wpół śnię, gdy budzi mnie szept.

– Obudź się. Obudź się... niech pan się obudzi.

Otwieram oczy, chcę odwrócić głowę.

– Nie, nie odwracaj się, bo zginiesz. Siadaj twarzą do ściany. Masz, czytaj szybko – poleca szeptem głos.

Siadam twarzą do ściany. Na moje kolana spada biała koperta.

– Szybko, kapitanie, masz tylko kilka minut – ponagla mnie głos.

Wyjmuję z koperty białą kartkę, już poznaję ten charakter pisma. Ogarnia mnie podniecenie dziecka, kiedy na podłych koloniach dostaje list od dalekich rodziców.

Mój Ukochany Śnie!

Nie jesteś temu winien. Zrobiłam to z własnej woli. Wybacz jedyny, nie mogłeś wiedzieć. Nie mogłeś się nawet domyślać, nie zniosłabym takiego ciężaru.

Nie wiem, ile razy próbowałam napisać ten list. I przestawałam pisać. Wymarzyłam sobie te wszystkie litery w środku nocy. Teraz

świeci księżyc i słyszę twój oddech. Jestem szczęśliwa, że mogę go słyszeć. Nie jestem sama i już nigdy więcej nie będę otwierała drzwi, za którymi nikt nie stoi. Dzięki Tobie zaczęło bić moje wygasłe serce. Mój ukochany śnie, chrapiasz. Zagwizdałam cichutko. O czym teraz śniesz? Może o mnie?

Nie wiem, gdzie otworzę oczy. Lecz jeśli tam Ciebie zobaczę, chcę znowu z Tobą tańczyć tango. Jestem gotowa czekać długo, jak najdłużej. Nie śpiesz się kochany. Niech twoja odwaga pomoże Ci przetrwać. Niech los da Ci szansę, jaką jest ten lot. A jeśli nawet tam, wśród gwiazd nie znajdziesz mnie, proszę o miejsce w Twoim sercu – zanim zapomnisz o wszystkim.

Mój Jedyny Śnie, moja nadziejo.

Czytam ten list jeszcze kilka razy. Przy ostatnim prawie nic nie widzę. Litery rozmazują się w niewyraźne pasma. Bardzo chcę zatrzymać ten kawałek papieru, którego dotykała jej dłoń. Składam go w mały kwadrat, żeby zmieścić się w jakiejś kryjówce. Jednak głos zabrania mi tego.

– Oddaj list, kapitanie. Przez ramię... nie oglądaj się. Zostawiam ci antidotum na axynol, tylko nie pokazuj, że czujesz się normalnie. Bierz po jednej tabletki. Jesteśmy wierne pani Adzie i organizacji, będziemy ci dyskretnie pomagać. W razie zagrożenia powiedz: „Biały wieniec”. To ta suka Muslih zdradziła nas, żeby odzyskać zaufanie Starej. Musimy być bardzo ostrożne. Wychodzę, zaraz uruchomią znowu podsłuch. Siedź twarzą do ściany, dopóki nie zamkną się drzwi, i pal przy oknie – poleca szeptem.

Wyciągam rękę do tyłu i czekam, aż kobieta wyjdzie. Odwracam się. Na moim materacu leży kanapka z salami na białym chlebie. Jest tam także kilka papierosów, zapalki i strzęp draski obok małego zawiniątka z papieru. Wewnątrz znajduję kilkanaście płatków, przypominających żółte konfetti. Biorę jeden. Po chwili czuję, jak umysł odzyskuje sprawność. Mogę także rozkoszować się smakiem kanapki. Po przekłętym makaronie smakuje jak danie bogów.

Nareszcie przychodzi pora na tytoń. Wspinam się na palce, sięgając głową jak najwyżej do małego, na wpół otwartego okienka. Zapalka zapala się na szczęście od razu jasnym, żywym płomieniem.

Moje więzienie wypełnia się zapachem wolności. Czuję lekki zawrót głowy, uspokajam się. Ona pomaga mi nawet po śmierci. Ogarnia mnie wzruszenie i tęsknota. Gdybym cię dłużej znał, Ada, każdą naszą sekundę wydłużałbym w nieskończoność – przywołuję w myślach jej postać.

Mówię głośno w kawałek nieba, jaki widać przez okienko:

– Stanisław i reszta bandy. Słyszycie mnie, przepite, dziurawe spadochrony?! Macie się zająć moją kobietą... to rozkaz. Każdemu, kto ją tam zaczepi, dać po mordzie. I opiekujcie się nią, niech nie będzie sama. Dopóki nie przyjdę.

Razem z ostatnim zdaniem gdzieś w pobliżu zrywa się z wrzaskiem stado wron.

– Dzięki, koledzy – mówię, próbując je dostrzec. Lecz nie widzę nic oprócz tego kawałka nieba.

•

Następne dni mijają, ogłupiając mnie nawet bez axynolu. Może bez atidotum łatwiej byłoby znieść otepiającą

monotonie? Czas odmierzają wstrętne posiłki. Pojawiają się w klapie moich drzwi dwa razy dziennie. Kluchy z serem, z czymś przypominającym gulasz lub sosem, który udaje pomidorowy. Muszę to zjeść i oddać talerz oraz plastikową łyżkę. Najgorszy jest jednak brak napojów. Na cały upalny letni dzień i gorącą noc muszą wystarczyć cztery kubki zimnej zbożowej kawy bez odrobiny cukru. Zaczynają mylić mi się dni, lecz nie upłynął jeszcze tydzień, ponieważ nie było zmiany ubrań i prysznic. Brud i pieczenie zaognionego piętna dokuczają mi coraz bardziej. Najgorszą torturą jest jednak nuda. Ze swojej starej nory także nie wychodziłem czasami przez kilka dni. Tam jednak miałem okno i kilka książek. A wcześniej, dopóki gęba pieprzniętej w ciemię Pierwszej Matki nie doprowadziła mnie do ataku szału, nawet teleekran.

Gram w pamięci w kółko i krzyżyk, recytuję fragmenty wierszy. Robię pompki i powoli trafia mnie szlag.

W nocy znowu odwiedza mnie tajemniczy gość. Tym razem dostaję bułkę z mielonym kotлетem oraz, o niebiosach!, kawałek papieru toaletowego. Mój drugi rękaw został na razie uratowany. Posłaniec zostawia mi także plastikowy woreczek z wodą, kawałek mydła oraz wiadomość, że grupa jest skompletowana i już niedługo wszystko się zacznie.

Rzeczywiście, zaczyna się rano. Najpierw dostaję tylko lekko osłodzoną kawę, a kiedy biorę antidotum i kończę pić, drzwi otwierają się tak gwałtownie, że z wrażenia podrywam się z materaca. W drzwiach stoją trzy strażniczki.

Natychmiast przybieram wyraz twarzy tępego, zaspanego kretyna. Za późno.

– Co ty, misiu, taki jesteś bystry? Widziałyście, jak podskoczył? – zauważa jedna z nich.

– Trzeba zwiększyć dawkę dla 3782. Nowa, zapisz –

komentuje odkrycie inna.

Ogarnia mnie lekka panika, one jednak są czymś tak zaabsorbowane, że nie drażą tej sprawy.

– Szykuj się, bystrzaku. Mamy dla ciebie sprzęt sportowy, pobiegasz sobie trochę na słonku – słyszę rozkaz.

U moich stóp z płaskiem lądują płócienne tenisówki. Zakładam je. Są stare i brudne, do tego o numer za duże. Później strażniczki prowadzą mnie w milczeniu nieznanymi korytarzami. Czuję się jak skazaniec idący na egzekucję. Może jestem za stary? Może Dodo postanowiła mnie zabić jako niewygodnego świadka? Z bocznego korytarza wyłania się nagle inny konwój. Trzy dziewczyny eskortują faceta ubranego w komplet krzyczący kolorowymi paskami. Mężczyzna wygląda jak cyrkowy kłown. Nasze konwoje zbliżają się do siebie. Każdemu krokowi tamtego towarzyszy stalowy łoskot. Stwierdzam z ulgą, że facet ma na stopach sportowe kolce. Gdyby chciały nas rozwalić, nie kazałyby nam zakładać butów stanowiących mienie publiczne. Raczej rozebrałyby do naga. Uwielbiają to, czują wtedy całą potęgę rozkazu. W naszej kulturze rozbieranie to wyznacznik władzy i statusu społecznego. Ten, kto rozbiera, jest górą. Zakompleksiony ludzik w lekarskim fartuchu albo urzędniczym mundurku robi to, żeby poczuć się lepszy. Znałem celników i celniczki, którzy tylko dlatego pracowali w tym zawodzie, żeby kogoś upodlić. Gwałt urzędniczy – tak nazwał to kiedyś Stani, którego wzięła na cel słynąca z upartej głupoty służba celna USA. Po dwu godzinach rewizji, w której uczestniczyły tłustodupe czarne celniczki, stwierdził już w samolocie: „Ostatecznie to nie ja musiałem wkładać komuś palec w tyłek”. A później długo ryczał śmiechem, dumny z faktu, że znalazły tam to, czego można się było w tym miejscu spodziewać.

Wychodzimy na zewnątrz. Pierwszy raz od tygodnia mogę oddychać świeżym powietrzem. Skłębione jak wata chmury przesłaniają słońce. Żwirową alejką, obsadzoną rzędami strzelistych topoli, idziemy w kierunku jakiejś barwnej gromady, otoczonej przez ciemne figurki strażniczek.

Eskorta doprowadza mnie do grupy stojącej na skraju bieżni. Przypomina mi się koszmar sprawdzianów z lekcji WF w podstawówce. Jest nawet szkolny tyran, nauczyciel niby-przedmiotu: tłusta baba w granatowym bawełnianym dresie, z gwizdkiem dyndającym na szyi i dziennikiem w łapie. Wpychają mnie w tłumek facetów, poprzebieranych niczym banda wyrośniętych przedszkolaków. Na oko jest nas ponad trzydziestu. Z boku stoi pomalowana na zielono stara wojskowa ciężarówka. Do maski i zderzaka przyczepiono dziwną konstrukcję, coś jak rozwidlony wędkarski podbierak, z przednią krawędzią prawie dotykającą toru bieżni.

– Ten jest ostatni, pani doktor – melduje głośno dziewczyna z mojej eskorty.

– Dobrze, dziewczyny, zaczynamy – odpowiada trenerka, wkładając w usta gwizdek.

Przenikliwy dźwięk płoszy nas i paraliżuje strachem.

– Wszyscy do szeregu! Równać do szeregu, śmierdziele! – drze się baba, wymachując dziennikiem.

Zaczynamy się nerwowo poszturchiwać, kręcić bez ładu i składu. Nikt nie wie, gdzie mamy się ustawić. Naszprycowani axynolem faceci łażą jak pijane pingwiny po lodowej krze. Widzę miotającą się Sacharozę. Za chwilę wpadam na Petera. Bur ma twarz fioletową od siniaków. Prawe oko zakrywa czarna opuchlizna rozmiarów średniego bakłażana. Drugie jest przekrwione niczym ślepie wilka z bajki o perwersyjnej nimfetcie w czerwonym kapturku.

– Peter, to ja, Hubert ze stołówki. Jak się czujesz? Masz jaja? – wypytuję nerwowo, popychany przez kogoś.

Peter łapie mnie za łokieć.

– Wszystko w porządku. Tylko prawie nic nie widzę – odpowiada.

Trenerka gwizdże raz za razem, zaciekle okładając dziennikiem najbliższych sportowców.

– Trzymaj się mnie, będę obok – mówię, biorąc Bura pod łokieć.

Trenerka, przypominająca archetyp wszystkich sadystycznych wuefmenów, wzywa na pomoc strażniczkę. Te, popychając nas w plecy trzymanymi poziomo pałkami, formują z nas chwiejny szereg, co chwila rwący się na części. Niektórzy faceci są tacy ośpiali, że wychodzą z szeregu, po czym próbują się wepchnąć w inne miejsce albo siadają na bieżni. W ruch idą pały strażniczek. Gwizd, wrzaski oraz głuchy werbel młócających grzbiety gumowych maczug pokonują w końcu anarchię.

Nastaje cisza. Na nasze twarze spada nagle salwa białego słońca zza szarych chmur. Korowód półprzytomnych błaznów jak na rozkaz podnosi głowy.

– Jak w domu na sawannie – szepce Peter.

Później wypowiada jeszcze kilka zdań w swoim twardym, gardłowym języku.

Przymykam obmyte blaskiem oczy i pochylam głowę. Widzę przed sobą twarz trenerki, płaską jak krążek żółtawego sera. Chcę zrozumieć wyraz jej oczu, ale nie potrafię. Najbardziej wyrazisty jest łańcuch z rezerwuaru zabytkowego kibla, na którym powiesiła srebrny gwizdek. I jeszcze dłoń, gruba, szara, o popękanej skórze, trzymająca dzienniki w granatowej oprawie.

– Widzisz cokolwiek, ruda małpo? – pyta Petera.

– Wszystko, czego tylko pani zechce – odpowiada Peter.

Baba w dresie patrzy jeszcze przez chwilę na jego umęczoną twarz i oddała się od nas. Maszeruje przed czołem sennego szeregu na podobieństwo zwycięskiego generała potężnej armii.

– Jesteście tu z woli Pierwszej Matki – zaczyna podniosłym głosem. Milknie, nabiera oddechu. – Zlitowała się nad wami! Dała wam ostatnią szansę dokonania czegoś twórczego. Chociaż wielu z was jeszcze niedawno wymyślało w swoich laboratoriach nowe spaliny, nowe pestycydy. Wielu pracowało nad projektami broni, śmiertcionośnych samolotów. Kilku czynnie oblewało napalmem matki na ryżowych polach, karmiące z piersi mlekiem swoje niemowlęta. Zatrutowało studnie oraz życiodajne zbożowe silosy. Wszyscy chlali na umór i terroryzowali swoje zamarłe z przerażenia rodziny. Wszyscy napastowali seksualnie nieletnich! – głos kobiety przechodzi we wrzask. Rozpalają ją własne słowa. – Gardziliście kobietami! Chodziło wam tylko o to, żeby móc je wykorzystywać bez końca. Wsadzać i wyciągać! Wsadzać i wyciągać, w pracy, w domu, na ulicy! Tylko nam wsadzać i wyciągać te wasze ohydne amebie wypustki! – Niespodziewanie wtyka do ust gwizdek i świszcze kilka razy. Wyrывa go prawie z wnętrza gardzieli, nabiera oddechu i pyta: – Jak sądzicie? Co czułyśmy, kiedy taki zaśliniony gnojek klepał nas w tyłek? Albo puszczał świńskie oko? – zawiesza głos. – Czułyśmy pogardę! Wy samobieżne penisy, wy worki na świństwo. Koniec waszej władzy, na zawsze! Koniec wypełniania mlecznych piersi plastikiem dla waszej zboczonej zachcianki. Nie zasługujecie na miłość Pierwszej Matki. Wy cuchnące spermoplawy! Obmierzłe szowinistyczne wymiociny! Zaraz wam tak powsadzam i powyciągam, że pękną wam wszystkie flaki!

Zdyszana, milknie na chwilę.

– Będziecie biec dookoła ośrodka. Tych, którzy się przewrócą, złapiemy w siatkę pod napięciem. Złapiemy także tych, którzy będą zostawać w tyle. Dwudziestu pięciu pierwszych zostanie skierowanych do dalszego szkolenia. Jeżeli test zaliczy mniej kandydatów, dobierzemy nowych. Zejście z bieżni traktowane będzie jako próba ucieczki, straż użyje broni. Nie łudźcie się, łajdaki! Dziewczyny świetnie strzelają i mają rozkaz celować w kolana. Jeszcze coś, wiadomość dla chłopców, których złapiemy w sieć.

Zatrzymuje się, milknie na chwilę, przesywając wzrokiem szereg.

– Nasza kochana pani profesor Shao Aling postanowiła pobić dzisiaj swój rekord w trzebieniu na czas. Będzie na nich czekać wieczorem w swoim gabinecie. Jeżeli chodzi o mnie, życzę wam, żebyście spotkali się z nią wszyscy. Co do jednego! Gwałciciele, odpadki ewolucji... na start! – ryczy, podskakując w miejscu.

Nasz falujący rząd rozsypuje się, gdy rozlega się piskliwa skarga.

– Pani doktor. Pani doktor, przepraszam – w kierunku baby podbiega Rosa, ciągnąc za rękę swojego kochanka. – Proszę pani, to nieporozumienie. Jesteśmy ochotnikami, sami się zgłosiliśmy. Nie możecie nas... słodkich cukierków, na rekord w wycinaniu. Możemy ćwiczyć ze wszystkimi, ale bez siatki i rekordu – oznajmia.

Stoją spłoszeni własną śmiałością przed milczącą trenerką, mnąc palcami nogawki papierowych gatek.

Trenerka patrzy na nich niczym ultras partii wojujących wegetarian na kelnera serwującego żywe węgorze. Unosi kciukiem brodę Rosy do góry.

– Byliście ochotnikami. Byliście! Zaraz wypiszę

kwestionariusz skazania na pięć lat resocju, z zamianą na pobyt w ośrodku doświadczalnym. Po sprawdzianu otrzymacie swoje numery. Na start! – ryczy głosem zawodowego zupaka z dawnych dobrych czasów.

– Za co? Dlaczego!?! – jęczy zszokowany drugi cukierek.

– Dlaczego? Za co? Macie nas za idiotki, parszywe pedały? Za brak meldunku o zajściu na stołówce! Lojalna funkcjonariuszka o wszystkim zameldowała... a wy, ochotnicy, którzy powinni świecić przykładem, nie! To przestępstwo. Inni już mają swoje wyroki, teraz i wy się dochrapaliście. Na start! Ruszacie na sygnał drugiego klaksonu – wrzeszczy, odpychając ich od siebie.

Ciężarówka zapala silnik, wytacza się na bieżnię niczym oliwkowy prehistoryczny potwór, otoczona chmurą spalin. Na burtach, po cztery z każdej strony, kiwają się w rytm przechyłów paki głowy strażniczek. Oparły o burty lufy karabinów. Mają EG 2010, widziałem je kiedyś w akcji. Postrzał w kolano z tej broni to zwrot czysto grzecznościowy. Delikwent już go więcej nie zobaczy, reszty nogi także. Ciężarówka zbliża się do naszej zdezorientowanej gromadki. Rozdzierający ryk jerychońskiej trąby klaksonu wprawia wszystkich w popłoch.

– Klepnąłbyś w tyłek tego świstaka? – pyta spokojnie Peter.

– Nie, stary, to żelazna dziewica. Chyba że przeleciał ją kiedyś gość równie ślepy jak ty. Słuchaj, Peter, pieprzyć chorą babę. Będę biegł za tobą. Kiedy stracisz kierunek, klepnę cię w ramię, rozumiesz?

– Dzięki, kolego – odpowiada.

Drugi klakson rwie uszy niczym wrzask szarżującego mastodonta. Ruszamy. Jest ciasno, wszędzie kołyszące się plecy w kolorowych koszulkach. Ciężarówka zwiększa

obroty silnika. W nasze szeregi wdziera się panika, przeskakując iskrą z serca do serca. Do jakiegoś łysawego gościa w koszulce w pomarańczowe ananasy dociera nagle cała groza tego biegu. Facet ryczy wielkim głosem: – Jezuuuuuu!! – i waląc mnie w bok, rusza do przodu. Rwie jak żywa torpeda, roztrącając wszystkich z przodu. Ananas ma przetarte spodnie. Klepię Petera w plecy i wchodzimy w jego czysty tor, trzymając się sygnałów pobłyskujących półdupków zdesperowanej awangardy. Peter wpada w odpowiedni rytm, spycha resztę biegaczy i niczym ślepy taran wysuwamy się powoli na czoło. Ciężarówka ryczy klaksonem i znowu przyspiesza. Nagle straszny krzyk. Mają pierwszego!

Nasz przerażony peleton narzuca mordercze tempo. Wpadamy na siebie, potykamy się o własne nogi, tylko bieg na czele może uratować przed wywrotką. Klepię dwukrotnie Petera, jesteśmy już blisko wolnej przestrzeni, gdy ktoś wbija mi w ramię paznokcie i szarpie do tyłu. Na ślepo lewą pięścią wymierzam cios. Czuję wiotczejące ciało, facet potyka się i przewraca, podcinając kilku innych. Słysząc przekleństwa i jęki, a za chwilę rozdzierający wrzask. To drugi! Nie zdążył się podnieść. Byle się nie oglądać! Pędzimy przez czerwony poranek jak potępienicy uciekający przed dniem ostatecznego gniewu. Luźne tenisówki na moich stopach tańczą jak szalone kastaniety, podginam palce, żeby nie pofrunęły do gwiazd.

Warkot silnika ciężarówki przybliżyła się i oddała. Jeszcze jeden krótki wrzask i płacz skargi. Czarna bieżnia mknie do tyłu jak nieskończony taśmociąg panicznej udręki. Zbliżyła się zbawienny łuk toru, obietnica przetrwania. Siatka ogrodzenia porośnięta jest powojem, wśród liści pobłyskują twarze niemych kibiców. Ktoś z tyłu krzyczy:

– Pierdolę to... cześć, koledzy!

Po kilku mgnieniach suchy grom karabinu tnie na wskroś jasne letnie powietrze. Byle się nie oglądać! Widzę stary film o olimpijczykach, słyszę jego rytm, czuję muzykę. Już jesteśmy na czele! Klepię Bura, sygnalizując szeroki zakręt. Wtedy Peter potyka się po raz pierwszy. Biegnie przez chwilę z rozłożonymi ramionami, jak bawiące się w samolot dziecko, łapie równowagę, prostuje lot. Wyprzedzam go, słyszę, jak z sykiem ucieka z niego powietrze. Jego nie zrosnięte żebra pracują niczym pogruchotany kowalski miech. Zwalniam, czekam, kiedy zrównamy się ramionami. Peter wyciera usta dłonią, kreśląc na nich krwawy ślad, zwalnia jeszcze bardziej. Zostajemy z tyłu, pozwalamy się wyprzedzić ambitnej czwórce w lokomotywy, wesołe baloniki i jakieś infantylne kwiatki. Triumfalna wibracja klaksonu obwieszcza kolejny łup. Nie oglądać się! Została tylko ta ostatnia prosta!

Peter potyka się po raz drugi, podpira się ręką, prostuje z wysiłkiem. Czując, że ma zamiar się poddać, ciągnę go za rękę. Piekło! Piekło! Piekło! Z każdym tchnieniem do gardła wpływa wrząca lava. Spada mi prawy but, teraz kuleję, poję żwir bieżni krwią rozdieranej stopy. Wyprzedza nas reszta, wśród nich Sacharoza. Chcę krzyknąć: „Pomóż!”, ale on odwraca czarną od pyłu, umorusaną twarz. Słyszę już, jak piszczą napędzające wiatrak chłodnicy paski klinowe potwora, gdy Peter odzyskuje oddech i odtrąca moją dłoń. W samą porę! Przez mgłę gryzącego potu, który zalewa oczy, widzę szlaban mety oznaczający koniec próby. Klepię Petera w bark, dodając otuchy. Wtem znów złowrogo zgrzyta skrzynia biegów, pisk wiatraka przechodzi w wysoki skowyt. Przyśpieszyły! Każdy krok odmierza nowy dramat. Grzmot strzału rozdziera czaszkę i łupie kamieniem serce. Wszyscy ostatkiem sił rzucają się do przodu, ktoś znów mnie popycha.

Wtrącony z równowagi, przez chwilę tańczę na ugiętych nogach, a słabnąca czołówka zwalnia coraz bardziej. Niespodziewanie jeden z nich zatrzymuje się zgięty w pół i żeby na niego nie wpaść, robię unik i potracam Petera. Burkuli się wydając bolesny jęk, gdy z tyłu rozlega się wrzask z kilku gardeł. Mają tego, co się zatrzymał, i kilku ostatnich! Ich skarga rozbrzmiewa tuż za naszymi plecami. Peter potyka się trzeci raz. Pada! Podnosi się, robi kilka kroków na kolanach. Chwytam go znów go za rękę i ciągnę po bieżni. Widzę teraz rosnące czoło ciężarówki oraz straszliwie spokojną twarz dziewczyny za kierownicą. Niżej, w sieci, spleceni w jedną drgającą z szoku i cierpienia bryłę, wiją się rażeni prądem. Stopy Petera orzą w bieżni grube bruzdy, które połyka bulgoczące silnikiem monstrum. Szare twarze o czarnych wargach i szklanych oczach są już na wyciągnięcie ręki. Usta ofiar poruszają się, wydając nieludzki skowyt.

– Peter, wstawaj! – charczę.

Patrzy na mnie, wlecze się na kolanach, podpierając się ręką niczym postrzelony goryl. Niespodziewanie, w jednej chwili, odrywa moją dłoń od nadgarstka.

Uwolniony od ciężaru, odskakuję gwałtownie do przodu. Patrzę bezradnie, jak siatka pełna ofiar nasuwa się na leżącego. Ciężarówka hamuje z wizgiem startych hamulców i zatrzymuje się, plując czarnym dymem. Nie mam już zamiaru biec, kulejąc przechodzę pod otwartym szlabanem. Kilkanaście kroków za nim walę się na skoszone ściernisko murawy. Papierowe ubranie przykleiło mi się do ciała, pot pali ranę od piętna, jakby znów mnie cechowano. Nie mam siły ruszyć ręką, żeby rozpiąć koszulę czy choćby zetrzeć pot z twarzy.

Jednak gdy słyszę zgrzyt skrzyni biegów, unoszę z trudem głowę. Ciężarówka cofnęła się na wstecznym,

ściągnął z Petera wypełnioną ludźmi sieć. Cztery strażniczki łapią go za ręce i nogi. Biorą zamach niczym plażowicze wrzucający kogoś do basenu i na trzy ciskają bezwładne ciało na stertę potępionych.

Zielona bestia krztusi się spalinami, rusza w końcu, potrząsając na nierównościach swoim łupem. Oddala się bez pośpiechu do swojej nory, żeby ich tam pożreć.

Składam głowę na ściernisko. Zamykam oczy, wsłuchany w odbijające się echem w moich arteriach tętno Ziemi. Zrównuję oddech z jej tchnieniem i staję się niewidzialny. Roztapiam się w przestrzeni, płynę nad połyskującą w ciepłym mroku rzeką zapomnienia.

– Wstawać, podnosić się, słabowite gnojki! – Wrzask wspomagany koszmarnym gwizdkiem każe mi wrócić do rzeczywistości.

Nic z tego. Nie wstanę, choćby miały mnie zabić – myślę obojętnie. Ziemia trzyma mnie jak gigantyczny lep na udręczonych ludzi. Słyszę bolesne pokasływania kolegów i krzyki strażniczek. Dźwigam się na przedramieniu, podciągając kolano. To wszystko, na co mnie stać w tej chwili. Odzwyczajone od wysiłku mięśnie zmieniły się w wodnistą galaretę. Patrzę na świat przez surrealistyczne plamy, rojące się pod powiekami.

Nagle ktoś wsuwa mi ręce pod ramiona, pomaga wstać. Opieram dłonie o kolana, walcząc z falą mdłości.

– Jak się nazywasz? – słyszę.

Podnoszę głowę. Stoi przed mną wysoka, szczupła Mulatka o pociągłej twarzy, zatopionej w kuli czarnych poskręcanych włosów.

– Ja? Ja nie mam imienia, proszę pani. Mam jakiś numer, ale zapomniałem, jaki. Proszę o tym zameldować, będzie awans – odpowiadam, czując, jak ogarnia mnie amok

wściekłości.

Prostuję się z wysiłkiem. Chcę odgarnąć prawą stronę koszuli, lecz przepocony papier odrywa się. Ciskam strzępek na ziemię.

– To właśnie ten – prezentuję zaognione piętno.

Kobieta patrzy na ranę z dziwnym wyrazem smutnych oczu.

– Nieprawda, masz swoje imię, nie ten numer – mówi z naciskiem.

Co dziwne, jest spokojna i przemawia ludzkim językiem. Jednak po tym pokazie nienawidzę wszystkich kobiet jednakowo.

– Nazywam się Hubert Jugenmann – rzucam gniewnie.

– Co robiłeś dawniej, Hubert?

W jej pytanie wdziera się wrzask trenerki, ostry trel gwizdka i czyjś rozdzierający krzyk. Ktoś zaliczył kilka pałek. Do rozkazujących wrzasków oraz błagania o litość dołącza jeszcze ujadanie psów.

– Pokazywałem kutasa pod żeńskim sierocińcem, proszę pani – walę, patrząc jej w oczy.

Nie dzieje się nic. Nie spada cios, nie rozlega się znajomy stek wyzwisk.

– Uspokój się, Hubert, widziałam, co zrobiłeś dla kolegi. Dostajesz awans do następnej tury z najwyższą notą, jaką mogę wystawić. Teraz będzie już trochę lżej – hamuje mnie.

– Byłem lotnikiem skrzydła ratowniczo-transportowego. Macie to w swoich papierach, jeżeli kogoś to jeszcze interesuje. Chcę wody – dodaję po chwili.

– Mnie interesuje. A w aktach nie można opisać człowieka... trzeba go poznać, zobaczyć jego twarz. Zaraz idziecie pod prysznic, będziesz miał tyle wody, ile zechcesz, lotniku. – Spuszcza wzrok, mówiąc z namaszczeniem: –

Wybacz nam, wybaczcie nam. Jestem Danielle Alba i wstydę się.

Odchodzi tyłem, z rękami w kieszeniach fartucha.

– Wybaczyć? Nie wiem, czy to możliwe, pani Danielle – odpowiadam bez gniewu.

Ona lekko kiwa głową ze zrozumieniem. Nagle coś mi świta. Słowa mojego tajemniczego, wiernego Adzie opiekuna. Danielle jest inna. Może to jedna z nich?!

– Jestem olimpijczykiem. Chcę dostać biały laurowy wieniec. Zasłużyłem na biały wieniec! – domagam się głośno.

Kobieta się zatrzymuje.

– Faszerają was prochami. Weź kilka głębokich oddechów, panuj nad sobą. Po prysznicu poczujesz się lepiej – odpowiada z troską.

Odwraca się i odchodzi prawie biegiem. Ogląda się jeszcze kilka razy, zanim dołączy do grupki kobiet w białych fartuchach.

Koniec, Peter, już po tobie. Już nic cię nie ocali, kolego – myślę bez nadziei.

Jakaś strażniczka popycha mnie pałką, człapię w jednej tenisówce do pokasłującego szeregu. Stoimy ze spuszczonymi głowami, dysząc ciężko. Nikt nie wie, czy to koniec selekcji i czy mają dla nas jeszcze jakieś inne atrakcje. Rozglądam się. Przetrwiała Sacharoza oraz około dwudziestu innych. Wszyscy to biali w średnim wieku. Nie ma wśród nas dwudziestolatków. Ci mężczyźni należeli kiedyś do inteligencji, teraz – jeśli czekają nas inne podobne testy – nie mają szans dożyć starości, choćby na jakiejś przyzwoitej plantacji.

Trenerka staje przed szeregiem. Najpierw zgodnie ze swoim zwyczajem popisuje się grą na gwizdku. Później

splata ręce z dziennikiem za plecami i stojąc w policyjnym rozkroku, rozkazuje:

– Baczość!

Szuramy stopami, czując na sobie jej władczy wzrok.

– Jest was dwudziestu trzech. Tylu zaliczyło najprostszy sprawdzian. Tasiemce! Mosznowe worki na ohydztwo! Moje dziewczyny nie dostałyby nawet zadyszki. A musimy jeszcze rodzić dzieci, troszczyć się o państwo, o wszystko. Po co wy w ogóle istniejecie? Zakały natury! Dwóch z was próbowało zdezerterować, byle się nie przemęczać. Gnuśne, szowinistyczne, obślinione bydło! – Gwizdże trzykrotnie, dając upust zdenerwowaniu. – Udało się wam tym razem... ale dopadnę wszystkich, co do jednego. Pani profesor dostanie swój materiał, zobaczycie, gnojki – grozi z błyskiem w oku, celując w nas gwizdkiem.

Porzuca swoją statyczną pozę i podejmuje marsz przed czołem szeregu.

– A teraz to, czego tak bardzo nienawidzicie. Higiena! Higieeena, brudna bando. Pokażemy wam, co to woda i mydło. Spocznij! Za mną marsz! – rozkazuje.

Baba rusza majestatycznie jak cesarzowa Mandżurii, prowadząca jeńców z podbitej prowincji. Wlecemy się za nią w podartych papierowych mundurkach, usmarowani czarnym pyłem bieżni. Tandetny materiał porozłaził się na szwach, gołe tyłki przezierają spod strzępów spodenek. Ja także czuję w kroku oraz na plecach orzeźwiający powiew. Szpaler kobiet gęstnieje w miarę, jak zbliżamy się do niskiego ceglanego baraku.

Budzimy obrzydzenie, pogardę i kpiny. Facet idący z przodu zalicza solidnego kopniaka od potężnie zbudowanej czarnej strażniczki. Niektóre plują, wszystkie wygrażają pięściami i krzyczą. Strażniczka zamykająca nasz pochód

luzuje dla zabawy smycz, do której przypięte są dwa wilczury. Psy rzucają się z charkotem na wlekącą się w ogonie Sacharozę. Kochankowie, nie mogąc uskoczyć na boki, z piskiem przerażenia napierają na plecy kolegów, a wtedy fala potknięć dociera aż do czoła kolumny. Kobiety śmieją się za każdym razem, gdy strażniczka ponawia atak. Popychani przez spanikowaną parkę, zatrzymujemy się wreszcie przed wejściem do baraku. Tu musimy dać jeszcze jeden show. Każą zrzucić nam nasze szmaty. Stoimy zupełnie nadzy, czekając nie wiadomo na co. Kobiety, groźne i podniecone naszym widokiem, otaczają nas kręgiem. Nigdy nie przypuszczałem, że nasze klejnoty i tyłki można nazwać na tyle sposobów. Bawią się naszym wstydem, bez zażenowania pokazują palcami wybrane egzemplarze. Są skrajnie obrzydliwe, choć nie sądzę, żeby zdawały sobie z tego sprawę. W końcu zjawia się niska, pulchna blondynka. Starając się na nas nie patrzeć, zbiera nasze stare ubrania do worka. Spłoszona widokiem nagich mężczyzn, czerwieni się coraz bardziej. Robi się purpurowa, kiedy z gromady kobiet pada okrzyk:

– Obetnij sobie przed akcją paznokcie. Udanej nocnej jazdy, prosiaczk!

Kobiety wybuchają sprośnym rechotem. Dziewczynie drżą ręce, bliska płaczu ucieka, ciągnąc po ziemi worek pełen brudów.

W końcu prowadzą nas do zbiorowej łaźni z prysznicami oddzielonymi od siebie przepierzeniami. Zapewnia to chociaż trochę intymności. Jednak nie na długo. Kiedy stoję pod zardzewiałym sitkiem, przychodzi dziewczyna. Ma ciemne okulary i zsunięty na czoło daszek czapki. Resztę twarzy ukrywa za trzymaną w rękach papierową torbę. Podaje mi żółtawe mydło.

– Nie gap się na mnie. Odwróć się do ściany i odkręć wodę – rozkazuje ostro.

Odkręcam żelazny karbowany kran. Rura wydaje przeciągły, wibrujący ryk okrętowej syreny, a z sitka bucha struga wrzątku koloru parzonej kilka razy kawy. Ciecz tryska mi na stopy, odskakując, ryzykując upadek na mokrej podłodze.

– Kurwa mać! Czy u was nic nie działa normalnie!? – wrzeszczę na cały głos.

– Stul dziób i odkręć zimną – odpowiada podenerwowany głos.

Omijam bokiem potok parującego ukropu. Odpryski kaskady parzą mi stopy i łydki.

Kran z zimną jest ułamany, zaciskam zęby, klnąc cicho. Muszę sobie poradzić, ściskając w palcach sam trzpień zaworu. W końcu udaje mi się doprowadzić wodę do znośnej temperatury. Wchodzę z ulgą pod orzeźwiającą kaskadę.

– Nie mamy hydraulików – słyszę tłumaczenie.

– Pewnie ich zeżarliście – odpowiadam, rozkoszując się wodą spływającą po twarzy.

– Możliwe. Zamknij się, łaciata dupo, i słuchaj. Nic tu nie działa normalnie poza nami, białym wieńcem. Gadaj szybko, czego chcesz – odkrywa karty.

Połykam i wypluwam kilka razy wodę. Cholera, jednak mnie znalazły! Muszę zebrać myśli – teraz tylko spokojnie.

Mówię cicho, żeby mój głos nie był silniejszy od szumu wody.

– W sieć ciężarówki wpadł Peter van Vijk. Musicie pomimo tego załatwić mu drugą turę treningów. To wszystko.

Zapada milczenie. W łaźni rozlega się spotęgowany szum wody i wspomagane gwizdkiem głośnie porady wariatki, jak

używać mydła.

– To wszystko? Co ty pieprzysz? To ten, co podpadł i dostał ostry łomot. Teraz ma go Chinka, a ona jeszcze nigdy żadnemu nie odpuściła. To niemożliwe – oświadcza stanowczo dziewczyna.

Namydlam włosy. Mydło śmierdzi zdechłym dorszem i pali jak kwas siarkowy. Nie wiem, czy kiedy otworzę oczy, jeszcze coś zobaczę.

– Ten facet jest wyjątkowy, jest dla mnie jak ktoś z mojej załogi. Bez niego ta ekspedycja nie ma sensu. Przysięgam, że już nigdy niczego od was nie będę chciał. Jeżeli nie możecie tego zrobić, to znaczy, że ta wasza konspira jest zabawą lalkami. Składałaś ślubowanie, pamiętaj o tym – postanawiam bronić Petera za wszelką cenę.

– Pamiętam o moim przyrzeczeniu – mówi dziewczyna.

Splukuję cuchnące świństwo z twarzy.

– Jeżeli tego nie zrobicie, będę musiał pogadać z Dodo. O nim i nie tylko – walę z najgrubszej rury.

– Falszywy fiut, miałyśmy pomagać tylko tobie. Zakapujesz nas? – syczy przez zęby.

– Nie, śpij spokojnie, miałem co innego na myśli. Chciałem ci tylko pokazać, jak bardzo mi na nim zależy – tłumaczę.

– Dobra, zobaczymy, co się da zrobić. I nie żartuj nigdy z kapowania. Nie bawimy się lalkami. Ci, którzy tak myśleli, śpią głęboko, bardzo głęboko. Teraz stój grzecznie plecami do mnie. Kiedy kogoś zawołam, policz do dziesięciu. Dopiero kiedy przyjdzie, możesz się odwrócić.

Za chwilę woła jakąś Ksju-li. Stoję, pozwalając wodzie spływać po całym ciele. Rozkosz kończy się szybko, jej kres sygnalizuje głośne:

– Koniec, wycieraj się!

Młoda Azjatka podaje mi szary ręcznik. Wycieram się szybko, popędzany chłodem bijącym od starych ceglanych murów. Teraz dostaję nowe spodenki. Chcę je założyć jak najszybciej, jednak szmielec jest sklejony od wewnątrz. Muszę odrywać warstwy materiału centymetr po centymetrze. Ksju tymczasem pożera mnie wzrokiem. Zaczynam się coraz bardziej krępować.

– Nie możesz pooglądać sobie swoich braciszków? – nie wytrzymuję.

– Nie mogę, mam trzy siostrzyczki – odpowiada bez cienia zażenowania. – Podoba mi się to. Jak bardzo rośnie? Pokaż, chcę zobaczyć – żąda stanowczo.

Szczerłość dziewczyny szokuje nawet mnie, starego wróbla.

– To nie takie proste, Ksju-li. Musiałabyś się uśmiechnąć, porozmawiać przez chwilę. Musiałabyś być miła i zamiast tego munduru mieć na sobie sukienkę, którą mógłbym z ciebie zdjąć – tłumaczę jej, jak działa mężczyzna.

– Jestem miła, nie dostałeś jeszcze pałką. A gdybyś coś ze mnie zdjął, odrąbałabym ci ręce – wyjaśnia mi, jak działa gwardia Pierwszej Matki.

Wolę się więcej nie odzywać. Moje nowe ubranie jest żółte, w niebieskie i pomarańczowe samochodziki. Gdybym próbował w czymś takim uciekać, wytropiłby mnie nawet emerytowany portier związku szachistów.

Wracamy do budynku bez ekscesów, maszerując w rytm gwizdka trenerki. Kiedy zamykają się drzwi mojej celi, wreszcie czuję ulgę. Tu jak ślimak w skorupie mogę być sam i nie muszę oglądać tej przerażającej tragifarsy. Nie sędzę, żeby świat kiedykolwiek zmądrzał. Bezpłodny gniew upodabnia nas do osy, która chce użądlić człowieka przez okienną szybę. Jeszcze tylko strażniczka z axynolem. Nie

biorę antidotum, jestem zbyt zmęczony i dzisiaj chcę się pograżyć w otepieniu. Siedzę na skraju materaca, patrząc znów na wyciekającą z ust nitkę śliny. Obojętnie słucham rozrywających ściany, ludzko-zwierzęcych skowytów piętnowanej Sacharozy. A później zapadam w lepkie odretwienie. I nie śni mi się nic, zupełnie nic.

•

Rano budzi mnie łoskot otwieranych drzwi.

– Wstawaj, śniadanie! – obwieszcza wesoly głos.

To chyba miraż. Strażniczka z łoskotem stawia koło mojego materaca odrapany żelazny taboret. Druga kładzie na nim plastikowy talerzyk, na którym pachnie smażone jajko. Małe, przypalone, zbite w szarą grudkę – ale prawdziwe. Do tego jest jeszcze bułka i kubek cieczy przypominającej herbatę.

– A tu masz jeszcze biszkopty. Stołek, naczynia i zastawa zostają u ciebie – oznajmia, kładąc obok talerza trzy ciasteczka.

– Widzisz, grzeczni chłopcy dostają przysmaki. Żli śpiewają ciekim głosem w chórze pani profesor – dodaje jej koleżanka.

Wychodząc, obie wybuchają śmiechem. Zostawiają otwarte drzwi. Na korytarzu na pewno stoi warta, lecz ta przestrzeń łączy mnie ze światem. Słyszę echa rozmów, stukot kroków, trzask otwieranych oraz zamykanych drzwi. Serce zaczyna bić szybciej. Biorę antidotum i kac po axynolu mija błyskawicznie. Mogę rozkoszować się smakiem królewskiej uczyty. Jajko jest niesione, herbata bez cukru, ale w porównaniu z przekłętymi kluchami to rarytasy. Później załatwiam się szybko, drżąc, czy nie zobaczę czyjejs twarzy

w otwartych drzwiach. Ożywiony kąpielą i obfitym śniadaniem, decyduję się nawet na gimnastykę. Wstyd się przyznać, chyba przyzwyczajam się do mojego więzienia. Muszę także tłumić poczucie dumy, że należę do tych, którzy przetrwali. Peter, wstyd mi. Dobrze, że nie widzisz mojej gęby. Więźnia, który czuje cichą wdzięczność, bo nie oberwał pałą i dostał smażone jajko.

Chodzę po mojej klatce, wspinam się na palce, wyglądam przez okno. Widać stąd kawałek naszej bieżni. Patrzę, jak kilka dziewczyn w paskudnych granatowych szortach i gimnastycznych koszulkach na ramiączkach trenuje skoki przez płotki. Nie mają staników i chyba bielizny pod szortami. Ich piersi i pośladki falują rozkosznie, przywołując ciepłe wspomnienia. Jakie to absurdalne i niedorzeczne, że te najcudowniejsze istoty na Ziemi stały się potworami.

Od okna odrywa mnie krzyk rozkazu, dobiegający z korytarza. Mamy wyjść ze swoich cel. Po chwili prowadzą nas w parach pod eskortą trzech strażniczek. Jest nas ośmiu z Sacharozą. Za to jedna z dziewczyn dźwiga na plecach butle miotacza płomieni. W rękach ściska wyrzutnik przypominający pistolet maszynowy, z błękitnym płomykiem tańczącym u wylotu dyszy. Potworna broń może w jednej chwili zmienić naszą gromadkę w wyjące żywe pochodnie. Na widok tego urządzenia przeraża nawet sama myśl o ucieczce. Jej koleżanka niesie co prawda na szelkach sporą gaśnicę, ale na pewno nie po to, żeby nas w razie czego ratować.

Odrywam się od ponurych wizji i przypominam sobie, że nie dały nam rano axynolu. Mamy więc zachować w miarę trzeźwe umysły. Test pewnie będzie wymagał koncentracji.

– Panowie, zaczyna się prawdziwy trening – dzielę się spostrzeżeniem z idącą przed mną Sacharożą.

Facet z lewej odwraca spłoszoną twarz.

– Zamknij się. Mogą nas spalić przez ciebie – szeptce w panice.

Idziemy przez nieznaną korytarz, ozdobiony ścienną gazetką. **KOBIETY NAPRZÓD!** – to pierwszy z wielkich tytułów. Na fotografiach młode mamy wszystkich ras tulą w rękach noworodki. Kolejne slogany to: **MLEKO I MY** oraz **TWÓRCZY ŚWIAT MUZUŁMANKI**. Wyróżniona portretem czarnowłosa Arabka w wojskowym mundurze z radosnym uśmiechem łupie wielkim kilofem jakąś skałę. Nie mam pojęcia, w jaki sposób chcą pogodzić feminizm z islamem, lecz to ich problem. Moim są plastikowe klapki na nogach. Nie dostałem drugiej pary sportowego obuwia i jeśli test będzie polegał na biegu, nie mam żadnych szans.

Wchodzimy do wielkiej hali, która wygląda na starą montażownię jakiejś fabryki. Podłoga jest wylana cementem poprzecinanym siatką stalowych szyn. Pod dachem z blachy falistej, niczym szkielet olbrzyma, sterczą ażurowe elementy konstrukcji dźwigarów nośnych oraz belki, po których jeździła kiedyś suwnica. W oknach brakuje wielu szyb i wlatują tamtędy gołębie. Stado ptaków kręci pod sklepieniem zręczne ewolucje. Patrząc na nie, dostrzegam cienkie stalowe linki zwieszające się w dół od środkowego dźwigara do podłogi. Jedna wisi luzem, inne zebrane w pęki przywiązane są do kaloryferów pod ścianami. Na dole stoją naprzeciwko siebie dwie zagadkowe wieże z rur do budowy rusztowania. Siegają prawie do sklepienia hali. Rozglądam się i próbuję odgadnąć, co nam szykują i do czego służy ta konstrukcja.

Pod ścianami stoi kilka strażniczek, a obok skrzyni gimnastycznej ze zdziwieniem dostrzegam faceta w granatowym kimonie. Prowadzą nas do niego i ustawiają w

szereg. Teraz mogę przyjrzeć mu się z bliska. Nie wygląda na więźnia ani kogoś z obsługi. Stoi ze splecionymi ramionami, patrząc na nas z dziwnym, bezczelnym uśmiechem. Nie ma w nim śladu strachu czy niepewności. W szczupłej, jasnej twarzy usta się uśmiechają, lecz ciemne oczy pozostają martwe. Najdziwniejsze jednak są sięgające ramion włosy, nie siwe, tylko zupełnie srebrne. Nie widziałem jeszcze takiej barwy czystego metalu, nawet u stuletnich starców z gór Pamiru. A on nie wygląda na więcej niż trzydzieści pięć lat. Zafascynowany niesamowitym siwym mężczyzną, odwracam od niego spojrzenie dopiero wtedy, gdy rozlega się czyjś szloch. Grubawy facet z łysinką rozkleił się zupełnie.

– Mogłem jechać do Stanów... Mam tam rodzinę, byłem głupi. Załatwią nas, mówię wam... teraz nas wszystkich załatwią. Za co? Dlaczego? Moje mieszkanie zajęli Pakistańczycy. Sam je oddałem, bez oporu. Wszystko mi zabrali, jestem niewinny, niewinny. Każdy to potwierdzi w biurze i w domu. Dostałem trzy razy premię kwartalną za wyniki w pracy... to fakty. Pierwsza Matka na pewno nie wie, co się tu wyprawia. Poskarżę się! – grozi, przechodząc od szlochu do buntu.

Strażniczki słuchają tego obojętnie, tylko dziewczyna z miotaczem zaczyna bawić się spustem broni. Facet przestaje jęczeć dopiero na widok orszaku kilkunastu kobiet wchodzących do hali. Wszystkie są w białych lekarskich fartuchach, kilka ma na szyjach staroświeckie stetoskopy oraz zwierciadła na czołach. Prowadzi je gestykując i tłumacząc coś z ożywieniem nasza trenerka, która swój tors oprócz łańcucha z gwizdkiem ozdobiła dodatkowo kamerą oraz okrągłym komputerem na pasku. Podchodzą do naszej gromadki.

Z ulgą rozpoznaję wśród nich moją znajomą Danielle.

Ona także patrzy na mnie. Wydaje mi się nawet, że puszcza do mnie oko.

Trenerka gardłuje tymczasem na całego, pokazując wieże na kółkach:

– Ćwiczenia kwalifikacyjne przygotowała pod moim kierunkiem pani magister Aisha Agave. Warunki w pełni odpowiadać będą stanowi nieważkości orbitalnej. Poza naszym przyciąganiem ziemskim, tutaj prawie bez przyciągania – tłumaczy mętnie.

Kobiety wyjmują z kieszeni aparaty fotograficzne, błyskają fleszami, pilnie robią notatki. Trenerka studiuje z uwagą nasz szereg, zatrzymuje wzrok na łysawym, załamany nieszczęśniku.

– Ryczałeś? Co, rozkleiłeś się, pętaku? Dziewczyny, ten egzemplarz ronił łezki. Jak z takim materiałem mamy zmieścić się w terminie? Te na górze to kompletne indolentki – skarży się, dając czas na uwiecznienie ofiary.

Błyskają flesze utrwalające jego nieszczęście i wstyd.

Z grupy naukowców rozlega się gorliwy okrzyk:

– Dla naszej ukochanej przywódczyni musimy pokonać wszelkie przeciwności! Nie ma co zwać na innych. Im większe problemy, tym bardziej wartościowy owoc naszego zbiorowego sukcesu!

Trenerka kuli się jak zrugany mops.

– Oczywiście! Potrafimy to zrobić i zrobimy. Nie liczy się nasze zmęczenie. Plan będzie wykonany! – zapewnia z pasją, wyciągając za kark biedaka z szeregu.

– Proszę zanotować jego numer. Ten pierwszy – obwieszcza.

Pobladły ze strachu mężczyzna wyjąkuje swoje nowe nazwisko. Drżą mu łydki. Jakaś młoda lekarka z wielkim notesem pod pachą podnosi do góry rękę.

– Pani doktor, mam pytanie.

Trenerka koniecznie chce zatuszować swoją wpadkę.

– Słucham, złotko – mówi z ostentacyjną uprzejmością.

– Piszę pracę o prymitywnej szowinistycznej agresji. Czy po teście będę miała możliwość zbadania ich *penis glanis*? – pyta z pewną siebie miną.

Twarz trenerki zmienia się w wielki znak zapytania.

– Co chcesz im badać, słoneczko?

– Przecież pani doktor doskonale wie, że chodzi o czubki penisów. Muszę zbadać zależność ich ukrwienia w stosunku do ogólnej sprawności fizycznej, która, jak wiadomo, warunkuje agresję – wyjaśnia lekarka, sycąc się przewagą.

– Ależ oczywiście, kochanie. Możesz ich sobie badać do woli – trenerka przełyka cios, maskując wściekłość dobrą wolą. – Nawet zrobić sekcję, jak nadarzy się okazja. Zawsze udostępniam materiał młodym naukowcom, którzy są paleniskiem w kuźni postępu – zapewnia z przyklejonym uśmiechem.

– Zaczynamy! – rozkazuje z ulgą, odwracając się do strażniczek.

Dwie dziewczyny pod komendą magister Aishy prowadzą mężczyznę do podstawy jednej z wież. Zakładają na niego uprzęż podobną do mocowania spadochronu oraz gruby pas, spinający obie nogi w kostkach. Do uprząży na plecach faceta i pasa na nogach przypinają klamrami liny: jedną zwieszającą się ze szczytu wieży, nawiniętą na bęben u jej podstawy, oraz drugą przymocowaną do belki nośnej dachu. Kilka obrotów korbką i akrobata wisi jak rozciągana żaba tuż nad podłogą. Teraz strażniczki pchają toczącą się wieżę, a magister Aisha kręci korbą bębna, wybierając nadmiar linki. Plecionki napinają się, holując grubasa niczym startującego w górę rozplaszczzonego anioła.

Wieża zatrzymuje się jakieś trzy metry od ściany. Zadzieramy głowy, patrząc na faceta dyndającego pod samym sklepieniem. Wisi wygięty w łuk, z nogami powyżej głowy, a jego biały, obły brzuch wypelzający spod koszulki łypie na nas czarnym okiem pępka z wysokości dobrych dwudziestu metrów.

Trenerka wskazuje dłonią w górę, tam, gdzie spadochroniarz przeciera w popłochu twarz.

– Oto gotowe urządzenie symulacyjne wykonane przez panią magister według mojej koncepcji. System w szczytowym ekstremum energii będzie oddawać wiernie stan nieważkości. Pozwoli nam to ocenić, który z badanych nadaje się do dalszych testów kwalifikacyjnych. Zwracam także uwagę na oszczędność środków zużytych przy budowie symulatora – wyklada drżącym z emocji głosem.

Wśród zebranych narasta szmer szeptów, błyskają flesze cyfrówek. Część kobiet nie poprzestaje na tym. Robią odręczne szkice i nagrywają głos trenerki na palcówki dyktafonów.

Trenerka wyciąga z kieszeni rozepchanego bawełnianego dresu mały startowy rewolwer. Huk strzału odbija się wysokim, rozdzierającym echem od blaszanego dachu i ścian. Magister przy wieży ciągnie za cienką linkę i facet startuje do nurkowego lotu. Pędzi po krzywej i gwałtownie przyspiesza, goniąc własne rozdzierające:

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!

Mknie niczym wyjący pocisk, dopóki z całym impetem nie wali w okno nad pasem ceglanej ściany. Rozlega się trzask ram i brzęk tłuczonego szkła. Lotnik znika po drugiej stronie. Po sekundzie napięta linka ściąga go z powrotem przez wybity ciałem otwór – facet wyskakuje stamtąd jak diabeł z pudełka, nabierając przy tym poziomej rotacji.

Ludzkie rozkręcone wahadło pruje teraz w górę.

– Kurwyyyyyyyyy! Idiootkiiii! Zabijeeeecie mnieeeee!!!

Jeszcze kilka razy przemyka w obie strony, znacząc krwawy ślad na cemencie podłogi i przeklinając przeraźliwym głosem babską głupotę, Pierwszą Matkę, Arabów do piętnastego pokolenia oraz subtelności nowego porządku. Oniemiała trenerka daje rozpaczliwe znaki. Pani magister przytomnie luzuje linkę na bębnie, a zwinne jak pantery strażniczki przechwytyują obrazoburcę, łapiąc go za nogi dwa metry nad podłogą. Zszokowany, nieustępliwy buntownik śle je do wszystkich burdeli świata, nawet gdy siedzi już bezpiecznie na tyłku. Milknie dopiero po uderzeniu pałąk z paralizatorem.

– Ekstra, czują w cyckach testosteron – wśród martwej ciszy stwierdza z podziwem siwowłosa w kimonie.

Milczenie kobiet przerywa „moja” Danielle.

– Pani doktor, doprawdy nie pojmuję, co pani wraz ze swoją asystentką chciałyście w ten sposób udowodnić. Że rozwalanie murów ludźmi jest możliwe? Znamy bardziej racjonalne sposoby. Wystarczy na przykład ciało badanego zastąpić żelazną kulą – tłumaczy wśród narastających chichotów.

Dołącza do niej brunetka o wielkich sowich oczach.

– Ja nie mam wątpliwości, że dane nam było obserwować test na wątpliwą inteligencję mężczyzn. Ten nie zdał, nie wstawił okna z powrotem, kiedy wracał. Gratulacje, pani doktor.

Miażdżona spojrzeniami trenerka, gapi się tępo na szczyt wieży. Zaczyna niepewnym głosem:

– Empiryczno-sprawdzalny eksperyment jest eksperymentem naukowym i czasem jakiś zewnętrzny czynnik go wypacza. Wypacza fizycznie oraz obserwacyjnie.

Zresztą właśnie się udał! Czynniki rozciągliwości liny był prawidłowo wyliczony na komputerze i obiekt w dodatku rotował! Zaraz wszystko poprawimy. Prawdziwa nauka eksperymentalna to nauka na błędach, a tutaj wcale błąd nie wystąpił. To te z magazynu! To one! Leniwe oślice nie sprawdziły rozciągliwości zamówionej linki i dały inną. To czysty sabotaż! – nabiera pewności. – Dziewczyny, skrócić dla następnych naciąg o dwa metry! A tego tam do pani profesor i wpisać mu do akt zbrodnię stanu, migiem! Szykować obiekty, tym razem wszyscy jednocześnie – sypie rozkazami.

Warta w szarych kombinezonach wywleka za nogi prekursora lotów z wieży. Nasz szereg na ten widok wzbiera szumem morza, które zaraz zakipi białą pianą panicznego sztormu. Ktoś cicho szlocha, inny głośno wyklina matkę, która dla chwili przyjemności wydała go na taki zasrany świat. Sacharoza przywiera do siebie w porywie tragicznej namiętności, głaszcząc się po głowach i obsypując pocałunkami. Ja milczę. Jeżeli baby skrócą o dwa metry naciągi, powinniśmy wyjść z tej hecy bez szwanku.

Zaganiają nas czwórkami pod obie wieże, ubierają w uprząż. Innowacja w porównaniu z poprzednim doświadczeniem polega na tym, że musimy przez chwilę obracać się w miejscu, skręcając linkę mocującą szelki do dźwigara dachu. Później kładziemy się na podłodze, a strażniczki pętają nam nogi. Idą w ruch bloki, czwórka przyczepiona do wieży naprzeciwko naszej jedzie w górę jak pęczek związanych za nóżki, upolowanych przepiórek. Teraz napinają się nasze naciągi, podłoga oddala się powoli. Za sąsiadów mam zapłakaną Sacharozę oraz dobrze zbudowanego bruneta. Ten jest twardy. Kiedy dojeżdżamy pod dach, szepce mściwie z francuskim akcentem:

– Runę na te gęsi jak jastrząb.

Kobiety na dole rozpraszają się na małe grupki stojące wzdłuż ścian. Z tej wysokości są maleńkie jak białe i granatowe nieszkodliwe robaczki. Nagle jeden z nich eksploduje hukiem wystrzału.

Z naszych nóg odpina się przytrzymująca linka. Gnamy wachlarzem w dół na łeb, na szyję. Skręcona linka oddaje energię, rozkręcając nasze ciała niczym baki. Hala wiruje dookoła w oszalałym tempie. Zaraz pochłonie nas talerz szarej podłogi. W ostatniej chwili linka napina się i szarpie nas z powrotem w stronę dachu. Widzę, jak z naprzeciwka nadlatuje rozpędzone ciało. Twarz – stopy, twarz – stopy. Nie ma czasu na unik. Oślepiający czerwonym błyskiem cios nogą w twarz zakłóca i zwalnia moje obroty. Wirowanie ustaje na chwilę, lecz linka rozkręciła się i nagromadzona energia zaczyna skręcać ją w drugą stronę. Hala i białe fartuchy kobiet znowu tworzą rozmazany pędem krąg. Na dole słychać jakieś wrzaski. To mściwy Francuz tryska wymiocinami niczym ogrodowy spryskiwacz. Rzygi lecą w dół szarą, rozciągniętą spiralą, pokrywając prawie całą podłogę. Kobiety uciekają z piskiem. Po chwili białe plamy fartuchów pierzchają w drugą stronę, gdy kaskadę Francuza zasila ktoś z drugiej grupy. Na szczęście rotacja powoli ustaje. Bujamy się coraz wolniej, wytracając pęd.

Opuszczają nas w dół. Łąduję brzuchem na podłodze, ktoś rozpina krępujące mnie klamry. Lecz i tak nie mam szans, żeby usiąść. Szorstka powierzchnia pod moim ciałem wierzga we wszystkich kierunkach z furią betonowego mustanga. Rozpościeram szeroko ramiona, żeby nie spaść z jej grzbietu. Ściany hali unoszą się i opadają niczym burty sztormującego transatlantyku. Znowu ktoś ma atak skurczy żołądka. Słychać charakterystyczne beknięcia i głośny

chlupot.

Robi mi się słabo. Jeżeli szybko nie usiądę, pulsujące flaki rozepchną mi przetyk, żeby wyrwać się na powierzchnię. Siadam po turecku, podpierając się ramionami, z odchylną do tyłu głową. Nie raz siedziałem w prawdziwej wirówce, ale teraz, osłabiony głodem i chemią, długo nie mogę uspokoić błędnika. W czaszce bulgocze mdły chaos, rozbity czyjaś piętą nos puchnie jak przyklejony do twarzy pieczony pomidor. Lecz tu nie ma lekarskich zwolnień. Wariatka zaczyna swoją arię – koniec laby!

Otwieram oczy, inni oprócz siwowłosego nie mogą nawet siedzieć. Rzuca nimi po podłodze, jakby szarpały ich setki niewidzialnych ramion. Kolejny kandydat z jękiem topi swój los w fali wymiocin.

– Zabrać stąd natychmiast obrzyganych. Szybciej, na blok medyczny – rozkazuje trenerka.

Na trzech kredowo białych mężczyzn rzucają się strażniczki. Coś nowego: zakładają im kajdanki.

– Jestem Michael Brianone z Brukseli, pamiętajcie! – krzyczy rozdzierająco mój jastrzębi sąsiad.

Jedno dotknięcie elektrycznej pałki i jego głowa wali głucho w podłogę. Strażniczki rozkazują dwóm skutym ciągnąć go za nogi. Zataczając się, mężczyźni w milczeniu wykonują rozkaz. Już nie należą do nas ani do tego świata.

Podniecona trenerka nie zawraca sobie głowy błahostkami. Gestykułując, przywołuje do siebie cały naukowy sztab.

– Widziałyście, koleżanki... widziałyście?! Eksperyment udany w stu procentach, pełna nieważkość bez przyciągania. Wspaniały sukces! Tak możemy przetestować wszystkich kandydatów w stanie bez grawitacji, kiedy lecą po łuku do góry. Zaraz zobaczycie drugą część testu. Uwagi proszę

składać po tej drugiej części... musimy się śpieszyć, dopóki jeszcze są zakręcenii po pierwszej nieważkości – grzmi radosnym trelem.

Słucham tego pieprzenia i jest mi to obojętne nawet bez ogłupiacza. Żadna broń nigdy nie zwycięży głupoty. Głupota jest wieczna. Zawsze istniała i zawsze będzie istnieć – jak samotność i strach.

Z nosa kapie mi krew, nie mam w co jej wycierać. Powalam kroplom spadać wprost na podłogę. Kałuża przybiera kształt rozdeptanego przez krowę motyla. Kiedyś na jakimś kolejnym kretyńskim teście pokazano mi podobnego kleksa. Powiedziałem, że przypomina mi rozdeptanego przez krowę motyla, na co pani psycholog wyjaśniła mi z napuszoną miną, że jestem seksualnie nadpobudliwy, i zaleciła grupową terapię masturbacyjną. Zgodziłem się oczywiście z jej rozpoznaniem i oczywiście na tym poprzestałem.

Odrywam od plamy wzrok, gdy obok pojawiają się stopy w białych lekarskich pantoflach. Unoszę głowę. Z góry patrzy na mnie Danielle. Podaje mi kawałek waty.

– Wytrzymaj nos, Hubert. Później zrób sobie waciki i zatkać dziurki.

Robię użytek z waty i znowu odchylam głowę.

– Hubert, ogarnia mnie zgroza, kiedy to widzę, ale nic nie mogę zrobić. Ty na razie także, uwierz mi – mówi drżącym z emocji głosem.

Odchodzi szybko nerwowym krokiem, ja zaś dźwigam się ciężko do pionu. Siwowłosa oczywiście także jest już na nogach, a nawet gimnastykuje się jak gdyby nigdy nic, krążąc biodrami. Człapię chwiejnie za wskazaniem pałki pod ścianę, gdzie mamy się zebrać. Oprócz mnie i siwowłosego pozostał jeszcze szczupły, jak gdyby nieobecny duchem blondyn oraz

podtrzymująca się pod ramiona Sacharoza. Są najslabsi z nas wszystkich i wciąż trwają. Tylko prawdziwa miłość pozwala walczyć o życie z takim uporem – myślę o nich z podziwem.

Przy wejściu do hali zaczyna się jakiś ruch. Strażniczki ciągną z wysiłkiem długą drewnianą kłodę, inne dźwigają wysokie stalowe taborety. Za ich plecami rozlega się dudniący łoskot, przypominający echo letniej burzy. Tak huczy wielka stalowa beczka, toczona przez trzy dziewczyny w szarych kombinezonach.

Trenerka wskazuje tryumfalnie na stalowy walec.

– Koleżanki, to druga część eksperymentu. Pamiętacie, ile równowartości mleka w proszku przeznaczał na swoje badania zbankrutowany szowinistyczny reżim?! Setki, tysiące ciężarówek, które nigdy nie dotarły do głodujących maleństw! My, kobiety wszystkich narodów, osiągniemy lepsze wyniki za cenę jednej szklanki mleka. A tę szklankę i tak oddamy potrzebującym! Niech żyje Pierwsza Matka! Wielka karmiąca pierś dla głodnych! – krzyczy, zagrzewając do entuzjazmu.

Kobiety podejmują okrzyk. Skandują imię Wielkiej Karmicielki, mającej w wielkich cyckach sproszkowane mleko dla wszystkich – oprócz nas. Okrzyk odbija się echem od ścian i blaszanego dachu, płosząc ostatnie gołębie. Kilka z nich usiłuje uciec tłukąc skrzydłami o brudne szyby.

– Koleżanki naukowcy! Siostry w czynie! Za mną do równoważni – dyryguje dalej trenerka.

Wszystkie maszerują za nią, pobłyskując fleszami aparatów. Już ma murowane miejsce na tablicy sukcesów z wielkim napisem: TRENER ROKU.

Dziewczyna z miotaczem kieruje w naszą stronę wylot swojej straszliwej broni. Inne tworzą tyralierę i jak żywy mur zagarniają nas w kierunku drzwi, gdzie stoi beczka.

Sens doświadczenia jest jasny. Trzeba odbyć podróż w toczonej bece, a później przejść po belce ułożonej na stołkach. Kto spadnie, tego zgarnie do worka Czarny Lud.

Pierwszego w otwór beczki wciskają jednego z Cukierków. Drugi poucza go rozdzierającym głosem:

– Nie otwieraj oczu, kochany... myśl o łonie matki!

– Faktycznie wygląda to nawet podobnie, z tym, że wyda go na świat bęben rozkręconej betoniarki – kwituje dramat dziwny facet w kimonie.

Trzy dziewczyny pochylają się, opierając dłonie o pojemnik z przerażonym Cukierkiem w środku. Gotowe do akcji, w napięciu czekają na sygnał. Podziwiamy ich kształtne tyłeczki opięte szarym płótnem kombinezonów. Jedna z nich jest wyjątkowo zgrabna. Pasma jej miedzianych włosów wymyka się spod szarej furażerki. Dziewczyna nieśmiałym, kobiecym gestem ukrywa szybko niesforny kosmyk pod czapeczką. Odwraca się jeden raz w naszą stronę. Przez jedno мгновение rzęś jej zielone oczy patrzą na srebrnowłosego.

– Niezła dupcia, co, kolego? – stwierdza ten pytająco, nie odwracając od niej wzroku.

Drań żuje spokojnie wykałaczkę, z lekceważeniem obserwując cały ten cyrk.

– Niezła i nawet umie prowadzić. Sama zawiezie cię na randkę – odpowiadam.

Siwy śmieje się urywanym rechotem, nie wyjmując z ust dREWienka.

– Nie boisz się, czym ta randka może się skończyć? – pytam.

Odwraca się do mnie. Przez chwilę patrzy mi w oczy swoimi rekinimi ślepiami.

– Nie, to mnie bawi. Widziałem już ostrzejsze jatki. Ty na

pewno także – stwierdza, jakby znał mój życiorys.

Rozmowę przerywa świst piekielnego gwizdka trenerki. Dziewczyny pokonują bezwład stalowej beki, zapierając się nogami o beton. Ciężki walec rusza, toczą go coraz prędzej.

Beka podskakuje na nierównościach i resztkach stalowych szyn. Rozlega się ostrzegawczy krzyk, kiedy zbaczają z prostej. Beka sunie po ostrym łuku, dopóki do pchających nie dołączają w porę jeszcze dwie objuczone ekwipunkiem strażniczki. Zdyszanej piątce z trudem udaje się skorygować kurs walca. Beczka toczy się teraz tak szybko, że pchające z trudem za nią nadążają. To jasne, za bardzo ją rozpędziły i nie mają szans na wyhamowanie ciężkiego, zataczającego się stalowego walca. W gromadce kobiet stojących pod przeciwległą ścianą narasta popłoch. Dziewczyny odskakują na boki i cały naukowy eksperyment wali z porażającym hukiem w ścianę, odłupując dobre dwa metry tynku. Odbija się, toczy kilka metrów i wreszcie zastyga w bezruchu.

Wszechogarniającą ciszę po grzmocie znowu przerywa dziwaczny srebrnowłosy cynik.

– Już ci mówiłem, te laski mają napalm w jajach – wzdycha zachwycony.

Po nim zaczyna swoją litanię szlochów i zaklęć kochanek zawirowanego nieszczęśnika. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Nawet dziewczyna z miotaczem ognia odwraca się od nas, obserwując w napięciu wynik eksperymentu. To mniej więcej trzydzieści pięć metrów, ale widzimy wyraźnie pochylone nad beczką głowy. Za chwilę wyciągają z jej wnętrza wymięte coś, co przed minutą było ochotnikiem, kandydatem na zdobywcę wszechświata. Włoką go pod ramiona do prowizorycznej równoważni. Pozbawiony wsparcia rąk pada natychmiast na beton. Kręci się na

podłodze nieporadny niczym noworodek, który jest jeszcze za głupi, żeby raczkować. Podnoszą go, zatacza się dwa razy i znów pada. Jego luby, nie wytrzymując napięcia, krzyczy rozdzierająco:

– Rosa! Stój prosto, bo cię zabiorą! Stój, kochany!

Jedna ze strażniczek doskakuje do niego.

– Zamknij się, cioto! – wrzeszczy, waląc Sachę otwartą dłonią w twarz.

Ten kuli się z łkaniem. Strażniczka, chcąc go uciszyć, odpina od paska pałkę. Wtedy dzieje się coś niezwykłego. Srebrnowłosa spokojnie ściąga z nadgarstka aptekarską gumkę i spina nią swoje długie włosy. Nawet na sekundę nie przestaje patrzeć przy tym strażniczce prosto w oczy. Dziewczyna waha się przez chwilę i niepewnym ruchem przypina broń z powrotem.

– Stul pysk, pętaku – ostrzega tylko popiskującego i cofa się na swoje miejsce.

Patrzę na kpiarza, ale znów widzę tylko jego maskę z zagadkowym uśmiechem.

Tymczasem tam, przy równoważni, widowisko trwa w najlepsze. Rosa przybiera w końcu namiastkę postawy stojącej i chwiejnie wspina na taboret. Rozkłada szeroko ramiona, robi dwa kroki, balansując na belce i frunie z niej niczym manekin zdmuchnięty ze sklepowej witryny przez podmuch huraganu. Zostaje odciągnięty pod ścianę – drugiej próby nie ma.

Mamy okazję pogapić się znowu na rudą strażniczkę, kiedy grzmiąca beka wraca na miejsce startu. Sacha, chcąc jak najprędzej znaleźć się koło ukochanego, sam wysuwa się naprzód. Kiedy walec zatrzymuje się, czeka niecierpliwie na zdjęcie pokrywy. Szybko wpełza do środka.

Dziewczyny nabrały w toczeniu trochę wprawy, lepiej

panują nad utrzymywaniem prostego kierunku oraz odpowiedniej szybkości. Nie wychodzi im tylko hamowanie. Po huku uderzenia ze ściany dwa metry obok pierwszej wyrwy odpada kolejny kawał tynku.

Sacha kończy jeszcze gorzej niż Rosa, nie robi nawet jednego kroku. Od razu wprost z belki daje nura głową w dół.

Następny jest milczący blondyn. Wchodzi do beczki z miną zatopionego we wspomnieniach skazańca, który wybaczył już katu, a reszta świata stała się dla niego tylko szarą mgłą.

– Nie ma szans – ocenia go siwowłoso.

– Nikt nie ma. To niewykonalne dla żadnego człowieka – odpowiadam.

– Bzdura, to kwestia woli. Mogę się z tobą założyć, że przejdę po tej belce – mówi i akcentując wypowiedź, wypływa dumnym łukiem przeżutą wykałaczkę.

Ten facet ma w sobie dziwną moc, udziela mi się jego spokój. Chociaż na pewno jest tylko mistrzem blagi i aktorskiej gry.

– Może się zgodzę, niczym nie ryzykuję, tylko nie wiem, z kim się zakładam – wchodzę do rozgrywki.

Mężczyzna zatapia we mnie swoje czarne, niczym zalane atropiną ślepie.

– Jestem Kay Hansen. Stawiam butelkę wódki, że przejdę.

– Kapitan Hubert Jugenmann. Cofam słowo, nie zakładam się ze świrami. Musiałeś zdrowo oberwać pałą w łeb, kolego – przerywam zakład, słysząc czysty absurd.

Kay utwierdza mnie w tym przekonaniu, gdy słyszę jego śmiech, imitujący chichot hieny.

Naszą rozmowę przerywa trochę słabszy huk hamującej jak zwykle na ścianie beczki. Badany po zwyczajowym tańcu

na falującym betonie urozmaica przedstawienie, rozbijając sobie na miążgę twarz o twarde drewno belki.

Kay patrzy bez emocji na powracającą beczkę.

– Trzymam pod łóżkiem dziewczą flaszkę wody – materializuje szaleństwo.

Pewność, z jaką to mówi, rozpala moją wyobraźnię.

– Niech ci będzie. Ostatecznie te kilka kropel nie zaszkodzi mi do kolacji. A ty w przypadku cudu czego chcesz? – pytam pro forma.

– Jak wygram, nagrodą będzie twoje towarzystwo, kapitanie. Coraz bardziej nie lubię luster.

Przybijamy zakład. A później patrzę, jak jego srebrna czupryna niknie we włazie.

Ogarnia mnie prawdziwe podniecenie kibica na widok nabierającej szybkości beczki. Kay ma ułatwione zadanie, bo beka nawet nie odłupuje betonu. Zostawia na nim tylko grubą rysę – farciarz!

Jako pierwszy sam wychodzi z beczki. Staje na rozstawionych nogach, sparaliżowany błędnik rzuca nim jednak na bok tak, że musi oprzeć się o walec. Kobiety w białych fartuchach mówią coś do niego podnieconymi głosami. Ucisza je niecierpliwym gestem. Później wyprostowany jak tyka kroczy do równoważni, prawie nie zginając kolan. Wspina się na stół i bez przystanku wchodzi na belkę. Rusza z pochyloną głową. Jeden krok, trzy, cztery. Jest o metr od zwycięstwa, gdy bije w niego blask kilku fleszy. Oślepiony, stawia stopę centymetr od belki. Nie spada jednak jak bezwładny worek, tylko zeskakuje ze wściekłym rykiem. Trenerka gwizdże, trwa jakaś kłótnia. Kay uspokaja się nagle i sam maszeruje pod ścianę, gdzie siedzi osowiała gromadka przegranych.

Kobiety tymczasem spierają się dalej, słyszę podniesiony

głos Danielle. W końcu cztery strażniczki wloką skądś stary gimnastyczny materac i opierają go o poobijaną ścianę. Będę miał amortyzację! – pocieszam się.

Twarze toczących beczkę dziewczyn są mokre od potu. Prześliczna ruda strażniczka ociera sobie czoło furazerką. Kiedy włożę do ciemnej, ciasnej jamy, słyszę ich zmęczone oddechy.

Wewnątrz śmierdzi jakimś lakierem i jest niewiarygodnie twardo. Zwijam się w kulę jak przed zrobieniem fikołka, mocno opierając o ściany plecy i ramiona. Uspokajam i wyrównuję oddech.

Strażniczki zakręcają pokrywę, topiąc mnie w nieprzeniknionej czerni. Ruszamy! Najpierw powoli, fikołek za fikołkiem. Beka nabiera obrotów, podskakuje z łoskotem na dziurach. Jeden skok przesuwam w bok, tracę oparcie. Rzuci mną teraz we wszystkich płaszczyznach. Jęczę jak szczur zatrzaśnięty w dzwonie toczącym się z wierzchołka egipskiej piramidy. Własny kciuk próbuje wybić mi oko, a kolana walą co chwila w szczękę. Nagły cios rzuci moim rozbitym nosem na ścianę beki, drugi w potylicę oznajmia wsteczny bieg. Walec po odbiciu od materaca cofa się jeszcze i kilka razy opadam na jego dno jak zgniły melon.

W końcu do mojej kapsuły wlewa się światło, prosto na mój wypięty tyłek. Robię nieporadny zwrot, czując, jak pękają mi na szwie papierowe spodenki. Wysuwam przez otwór ręce, za które ktoś ciągnie.

Wyłażę, podobny do raka pustelnika wiejącego ze swojej muszli. Przez chwilę stoję na czworaka. Nie jest tak źle, panuję chyba nad ciałem. Do startu na nogi zmusza mnie wrzask strażniczek, rwący nos oraz kompromitujący powiew przeciągu na poślądkach.

Wstaję i teraz zaczyna się naprawdę. W mojej głowie jak

rozkrecony żyroskop wiruje dalej przekłeta beczka. Strażniczki zamieniają się w dwu i trzygłowe potwory, a żołądek przykleja się do podniebienia, wirując jak flegma w odpływie zlewozmywaka. Jak wszyscy przedtem opieram się o bekę, żeby nie upaść, i jak wszyscy zbieram za to ognisty opierdół. Odrywam od niej dłonie i starając się nie zamykać oczu, kroczę chybotliwie do równoważni. Jakimś nadludzkim porywem wchodzę na stołek. Jeszcze przez chwilę widzę dwie belki niczym kolejowe szyny sześciometrowej długości. Sklejam je w całość, rozkładam ramiona i wspinam się na twarde drewno. Robię trzy pierwsze kroki, pomaga mi to, że jestem na bosaka. Nadzieja rośnie, lecz nagle mój błędnik staje dęba. Macham ramionami i zginam kolana, obniżając punkt ciężkości. Próba kroku w tej sytuacji to pewna klęska, muszę przeczekać atak. Ostrożnie pochylam się jeszcze bardziej robiąc coś, co przypomina szermierczy wypad. Karnawałowa samba w moim mózgu cichnie powoli i już mam zamiar wyprostować się, żeby ruszyć dalej, kiedy niespodziewanie z piskiem i charkotem ożywa jakiś zapomniany, powieszony pod sufitem megafon. Hala eksploduje brzękiem metalu i stukotem setek młotków. Zaraz po serii ostrzegawczych wysokich trzasków na pierwszy plan przebijają się zdyszany z przejęcia, dziewczęcy głos.

– My, uczennice powszechnej szkoły rolniczej imienia Męczennic Feminizmu, przysięgamy pani prezydent, że nasza drużyna mlecznych pszczołek w dziesięć dni zmontuje z dwóch złomowanych kombajnów zbożowych jeden sprawny kombajn zbożowy i konną ekologiczną kosiarkę do pokosów paszowych. – Dziewczyna z westchnieniem nabiera oddechu, a plan uzupełnia zbiorowe gdakanie i szelest tysięcy piór. – W dodatku przodownica z klasy trzeciej c, Hasina Zuberi, zobowiązuje się, że w godzinę prześwietli przy pomocy

sześciopunktowej prześwietlarki półtora tysiąca zarodkowych jaj.

Przelykam głośno ślinę, koncentrując się nad czwartym krokiem. Dziewczę zaś przy akompaniamencie chrumkań i pokwikiwań pieje dalej:

– A koleżanka Tisha Kight wytrzebi w piętnaście minut dwadzieścia sześć bekonowych knurków.

Tej deklaracji towarzyszy rozdzierający, płaczliwy kwik. Włos stają mi dęba, a jądra i serce ruszają w panicznej ucieczce do góry. Zamieram przy dźwięku skoczego ludowego marsza. Zmaltretowany żołądek zaczyna naciskać na trzewia, które za wszelką cenę chcą otworzyć zawór bezpieczeństwa. Teraz mogę już tylko trwać w bezruchu niczym martwa skała ze świadomością, że czeka mnie wieczna hańba albo okaleczenie oraz powolna śmierć w kacecie.

– Co tak stoi? Przekroczył czas! – Trenerka rozwiązuje dylemat, popychając moje udo.

Walę się na bok niczym woskowy posąg mistrza równoważni. Nie zważając na ból łokcia, leżę bez ruchu na betonie, walcząc z jelitami o honor. Na szczęście nikt mnie nie popędza. Trenerka chce przemawiać, każe wyłączyć megafon. Zaczyna się rejwach, dzięki któremu mogę zapanować nad organizmem. Pudło milknie w końcu, a ja nareszcie mogę zaryzykować powstanie z podłogi.

Siadam obok Sacharozy i blondyna w oczekiwaniu na werdykt selekcjonerki w dresie. Kay stoi z pewną siebie miną, oparty niedbale o ścianę. Tak naprawdę tylko on się nie boi.

Trenerka stoi naprzeciw wianuszka lekarek. Gwiżdże jeszcze kilka razy, wydając energicznie rozkazy strażniczkom. Rozpoczyna gromkim, pewnym siebie głosem:

– Koleżanki! Widziałyście same. Odkrywcze i obligatoryjne obiektywne badanie dowiodło niezbitcie nieprzydatności tych obiektów. Od razu mówiłam, że to zły materiał. Muszą przysłać nam lepiej przygotowanych do nieważkości i wirowania orbitalnego. Proszę teraz koleżanki o uwagi na temat nowych narzędzi badawczych. A młoda koleżanka niech zbada sobie te tam glanc penisy, zanim pójda do ambulatorium, do pani profesor – decyduje.

Ten bełkot istnieje jakoś poza mną. To mnie nie dotyczy. To niemożliwe, mnie tu w ogóle nie ma, to jakaś psychologiczna zabawa, a ja jestem tylko widzem – bronię się przed rzeczywistością kolejny raz. Z trudem pojmuję, co się dzieje wśród kobiet. Z gromady lekarek występuje Danielle, staje twarzą w twarz z trenerką. Zaczyna bez żadnych wstępów:

– To sabotaż! To ewidentny sabotaż albo wynik przerażającego nieuctwa pani doktor. Reakcja badanych jest prawidłowa, tak właśnie reaguje ludzki błędnik. Gdyby ktoś nie miał zachwianej równowagi po tych doświadczeniach, miałybyśmy do czynienia z zachowaniem patologicznym! Natychmiast, powtarzam, natychmiast trzeba unieważnić wyniki tej pseudonaukowej farsy. Wobec już odesłanych do pani profesor także!

– Sabotaż? – powtarza w bezgranicznym zdumieniu osłupiała trenerka.

– Tak, sabotaż lub zbrodnicza niekompetencja! Przy tak niodorzecznych kryteriach nigdy nie wykonamy zadania i genialny plan pani prezydent zostanie storpedowany. Dlaczego? Komu na tym zależy i kto za tym stoi?! Odpowiemy na to pytanie, droga pani doktor! Zaraz piszę raport do kancelarii Pierwszej Matki! – krzyczy Danielle, wkładając i wyciągając w irytacji ręce do kieszeni fartucha.

– Ty, ty! – syczy trenerka.

Danielle prostuje rękę, celując oskarżycielsko w granatowy tors z gwizdkiem.

– Opiszę także waszą psychopatyczną zabawę w torturowanie i okaleczanie badanych. Ten ośrodek nie jest waszą prywatną salą tortur! Dosyć tego zбочzonego sadyzmu! – wybucha, nie panując już nad sobą.

Trenerka jest w ciężkim szoku. Otwiera i zamyka usta jak karp wyjęty z wody.

– Ja sabotaż? Ja? – wydusza z siebie. – O bogini! – zaskakuje skargą, robiąc dwa kroki w stronę Danielle. – Od ponad dwudziestu lat walczę z szowinistyczną globalną tyranią. Nie nosiłaś jeszcze podpaski, gówniario, kiedy ja i Magdalena, Pierwsza Matka, i inne ciemną nocą piłyśmy herbatę, radząc, jak skończyć z naszą niewolą. Gówniario! Bronisz tych świń! To ja złożę na ciebie raport, niewyżyta zdziro! Chcesz, gówniario, żeby ci wsadzali i wyjmowali, tego chcesz! – kontratakuję, pompując ramieniem z zaciśniętą pięścią niczym parowym tłokiem. Danielle chwyta ją za luźny bawełniany dres.

– Tobie nie będą! Chyba że wystawisz tyłek przez lufcik w piwnicy, stara ropucho. Kastrujecie ich z zawiści, wy suche cipy! – strzela w babę żywym ogniem.

Trenerka wydaje z siebie głośnie: – Iiiiiiiiiiiiiiiii! – jak napięty resor i rzuca się z szybkością kobry na Danielle. W ruch idą pięści i paznokcie. Walka kobiet jest nieokiełznana i straszna. Bez reguł, bez żadnych zasad. Ich zaciętość nie zostawia złudzeń. Tu nie będzie pokonanej – tu będzie trup rozdarty na strzępy.

Gapimy się oniemiałi na wirujący szal, zapominając, że zaraz mamy iść pod skalpel sadystki. Miarę chaosu przepelnia kibicujący mojej Danielle srebrnowłosy Kay.

– Dowal jej! Dowal mongolskiej gębie! Ostro, lewy sierp... teraz! Dobrze! – doradza, podskakując na ugiętych kolanach z profesjonalizmem zawodowego trenera.

Cios Danielle trafia w podbródek przeciwniczki, która wali się z jękiem na łopatki. Danielle w jednej chwili wskakuje na nią okrakiem, młóci leżącą po głowie i torsie. Kay pełza teraz po podłodze z twarzą przyklejoną do cementu.

– W żołąd ją, w bebechy! Ostro! – wrzeszczy wprost w ogarnięte amokiem walki ciała.

Strażniczki chcą rozdzielić walczące kobiety, boją się jednak ich wysokich stanowisk oraz przyszłej zemsty. Krążą przestraszone i niezdecydowane dookoła pola walki, nakazując spokój.

Bójka dobiega końca, gdy ręka Danielle zaplątuje się w klozetowy łańcuch od gwizdka trenerki. Otumaniona żądzą krwi lekarka ciągnie go z całych sił do siebie.

– Urwij jej łeb! Mocniej! Ciągnijjjj! – dopinguje ją Kay.

Danielle jest już bliska ostatecznego zwycięstwa, kiedy rozlega się porażający, paniczny wrzask:

– Pożar! Dziewczyny, pali się!!!

Strażniczka z miotaczem zagapiła się na porywającą walkę i w podnieceniu niechcący nacisnęła na spust. Czerwonawy, plujący czarnym dymem jezor płomieni mlasnął po podłodze i drzwiach. Wypuszczony z butli żywiół kłębi się teraz niczym wściekły chiński smok pożerający kosmos. Jeżeli obejmie całe wejście i kupę rupieci pod ścianą, będziemy musieli spieprzać przez okna, umieszczone na wysokości pierwszego piętra.

– Gaśnicaaa! – krzyczę do osłupiałych strażniczek.

Dziewczyna z gaśnicą na plecach biegnie do pożaru, mierzy z płaskiej kieszki w ogień, przekręca zawór – i nic.

– Wybij iglicę! – ryczę, przerażony na serio.

Zbijak iglicy umieszczony jest na dnie butli, dziewczyna rozpaczliwie szarpie się z klamrą szelek mocujących gaśnicę do jej pleców. Płomienie tymczasem karmią się resztkami wykładzin i starymi paletami transportowymi. Co chwila nabierają w purpurowe piersi nowego oddechu i rzucają się z rykiem startującego odrzutowca na nowy pokarm. Halę wypełnia czarna, gryząca mgła.

– Kopnijcie ją w zadek! – drze się Kay, porzuciwszy rolę trenera ringu.

Strażniczka z ciężarem na plecach pada na kolana i podpierając się rękoma, odsłania spód gaśnicy, gdzie tkwi zbijak. Dwie koleżanki, przepychając się w zdenerwowaniu, nie mogą celnie trafić w pręt iglicy. Klęcząca dziewczyna obrywa kilka kopniaków po udach i pośladkach, ale czeka cierpliwie, uginając tylko łokcie. Nareszcie jeden but trafia celnie, wgniatając bezpiecznik w korpus butli. Gaśnica strzela białą, odbijającą się od podłogi krechę w ścianę. Dziewczyna podrywa się na nogi, mocnym chwytem łapie za wylot węża i kieruje strumień w ogień. Żywiół odpiesza ataki, prychając niebieskawymi jęzorami. Przyduszony w jednym miejscu, wysuwa ucięte wcześniej paszcze w kilku innych. W końcu kapituluje, plując czarnym kopciem. Całe szczęście, bo kończy się również ciśnienie w starej gaśnicy. Wątpię, czy jest tu gdzieś druga.

– Brawooo, dzielna straż! – gratuluje z entuzjazmem Kay.

Nikt oprócz niego nie wykrzykuje głupot. Wszędzie słychać pokasywanie. Dym jest gryzący, drażni spojówki i krtań, lecz na szczęście szybko ulatnia się przez powybijane szyby i dziury w dachu.

Sytuację wykorzystuje hinduska lekarka, przypominająca lśniący od lukru pączek.

– Cisza! Mam trzy doktoraty i habilitację. Koleżanki, spokój, zostać na miejscach, przejmuję dowództwo – ogłasza tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Wstańcie z podłogi. Dowiodłyście, z jaką odwagą w obronie swoich racji potrafią walczyć kobiety – zwraca się do trenerki i Danielle. – Tamta z miotaczem do karnego raportu, ta z gaśnicą do wyróżnienia. Badani, zachować spokój, a ty, siwy w kimonie, wracaj do szeregu! – sypie rozkazami.

Anarchia została okiełznana. Kilka fleszy oświetla postać nowego przywódcy. Trenerka i Danielle wstają z podłogi. Rozczochrane niczym więdźmy po sylwestrowym sabacie, mają podrapane paznokciami twarze oraz poszarpane ubrania. Rękaw dresu trenerki dynda na kilku nitkach, a stetoskop Danielle zwiesza się smętnie na naderwanym przewodzie. Obie patrzą na siebie z nienawiścią, która w sekundę zagotowałaby wiadro pełne lodu. Daje się wyraźnie wyczuć, że kobiety zdążyły podzielić się na dwa wrogie obozy. Straż i starsze trzymają stronę trenerki, młodsze lekarki pójdą za Danielle.

Kay trąca mnie w łokieć, w uchu rozbrzmiewa jego radosny szept:

– To była niezła walka, co, kolego?

Nowa przywódczyni mówi stanowczo i szybko, żeby stłumić rodzący się konflikt:

– Koleżanki, dzisiejsze wyniki badań omówimy po kolacji, całe zajście także. Raport jest nieuchronny i musimy zająć stanowisko wobec tego, co zaszło. Nie będziemy udawać, że nic się nie stało, to zaszкодziłoby wielkiej sprawie. Teraz proszę o postulaty oraz krótkie, związane pytania i ze względu na swąd po pożarze proponuję zakończyć tę turę badań.

Z gromadki śmiało wychodzi naprzód młoda dziewczyna

z notesem oraz kamerą na pasku.

– Pani doktor, miałam obiecane żołędzie. Są niezbędne do moich badań – stwierdza stanowczym głosem.

Hinduska jest zaskoczona.

– Dziewczyno, teraz? Nie możesz odłożyć tej sprawy na później?

Młody naukowiec, chyba jeszcze magister, odpowiada z powagą:

– Te burdy, o których złożę niezależny raport, nie mogą zakłócić rytmu mojej pracy. Jestem odpowiedzialną badaczką i obiecano mi materiał pogładowy. Reszta mnie nie interesuje – podkreśla.

Wystąpienie tej gęsi jednoczy wrogie obozy. Wszystkie kobiety patrzą na nią, jakby urwała się właśnie z windy dla obłąkanych. Hinduska jest w głupiej sytuacji, formalnie nie może jej odmówić.

– Dobrze, byle szybko, który panią interesuje?

– Ten. – Młody naukowiec wskazuje na Sachę, przygotowując kamerę. – Niech wyeksponuje członek i ściągnie z *penis glanis* napletek – poleca.

– Słyszysz, baranie?! – ponagla Sachę Hinduska.

Spłoszony jak królik Sacha pąsowieje na twarzy. Robi jakieś manewry przy gumce od spodenek, ale ich nie zdejmuje.

Dziewczyna z kamerą niecierpliwi się.

– No ściągnij – ponagla.

Sacha jęczy z przestachem w głosie:

– Nie ściągnę, proszę pań, bo nie mam.

Teraz wybucha Hinduska:

– Czego nie masz, kretynie? Jeszcze nie byłeś u pani profesor. Zresztą fiuty wam zostawia.

– No, napletka nie mam. Nigdy nie miałem, od

maleńkości – wyznaje jęklonie.

Hinduska nabiera powietrza i krzyczy strasznym głosem:

– Robisz sobie żarty z poleceń? Podważasz nasze kompetencje?! Zdejmuj gacie, do sześciu cycków, i ściągaj ten pieprzony napletek!

Sacha zrzuca spodenki, jakby ktoś polał je kwasem, i robi gest markujący wykonanie drugiego polecenia.

Pokaz wzbudza spore zainteresowanie i klejnoty Sachy pieści srebrna poświata kilku fleszy. Szeleszczą kartki w notatnikach. Pokaz rozładowuje emocje oraz zażęgnuje groźbę konfliktu kompetencji.

Patrzę na Danielle. Ciężko poturbowana, dysząca ze zmęczenia odsuwa się na bok. W pewnej chwili odwraca się do mnie, lekko się uśmiecha i puszcza oko. Odwraca się, zanim zdążę wykonać gest podziękowania.

Tymczasem biedny Sacha stoi cały czas z opuszczonymi spodenkami. Coraz bardziej zdenerwowana Hinduska przerywa oględziny.

– Jeszcze coś? – pyta naukową młodzieżówkę z wyraźnym zniecierpliwieniem w głosie.

– Oczywiście, pani doktor. Przecież użyłam liczby mnogiej: żołądź. Chciałabym także, korzystając z okazji, rozszerzyć obserwację o anus. Muszę wiedzieć, czy testosteron ma wpływ na jego ubarwienie oraz ewentualne rozwarcie – oznajmia chłodno.

– Który? – pyta zwięźle Hinduska.

Dziewczyna ssie światłopsis. Patrzy na nas jak na kosz jabłek, w którym można grzebać do woli, ale wybrać można tylko jedno.

– Zbadam jeszcze żołądź i odbytnicę tego aktywnego – decyduje, wskazując wilgotnym czubkiem światłopsisu na Kaya.

– Zdejmuj szybko spodnie i wypnij tyłek – natychmiast poleca mu Hinduska.

Kay splata na piersi ramiona, kiwa się lekko na piętach i palcach stóp, tocząc pogodnym spojrzeniem po twarzach zebranych. Potem, cedząc każde słowo, mówi spokojnie:

– Moje drogie panie. Co do penisa, mógłbym się jeszcze zastanowić. Nie ukrywam, że mam się czym pochwalić i trudno mi odmawiać tak uroczym prośbom. Ale drugi postulat odrzucam stanowczo. Moje drogie panie, oświadczam, że sprawę ubarwienia mojego odbytu mam głęboko w dupie.

Do kobiet długo nie dociera sens tej wypowiedzi. Znowu zapada grobowa cisza. Jak atomowy grzyb wyrasta z niej grzmiący głos jednej z lekarek:

– Powaga badania. Ten tu narusza powagę badania medycznego!

Kay hamuje narastający przypływ wrogości, unosząc do góry dłonie.

– Powagę tego badania medycznego, drogie panie, także mam w dupie – oznajmia z godnością.

Narasta szmer, pod który nerwy leją czysty ekstrakt adrenaliny. Szepty eksplodują nagle zwielokrotnionym wrzaskiem:

– Bunt! Bunt! Aresztować go... straż!

– Obiecano mi odbyć, moja praca! – przez zew pomsty przebija krzyk młodego naukowca.

Kay znów dokonuje czegoś niezwykłego. Wkłada palce do ust i wydaje wysoki, przenikliwy świst. Kobiety milkną, a biegnące strażniczki zwalniają niezdecydowane. Kay poprawia starannym gestem swój koński ogon i węzeł paska od kimona. Mówi gładko niczym doświadczony adwokat:

– Wszystkich zebranych informuję, że jestem tu

dobrowolnie. Podpisałem kontrakt z panią Muslih i moja umowa gwarantuje mi wpływ na rodzaj badań oraz treningów. Mam zatem prawo nie zgodzić się na podobne nedorzeczne prezentacje. Wie o tym kierownictwo ośrodka.

Z gromadki kobiet dobiega piskliwy krzyk:

– On podważa nasz autorytet naukowy! To karygodne, to niedopuszczalne!

Kay tym razem nie wykonuje żadnych gestów. Mówi, patrząc im w oczy:

– Moje drogie, zapiszcie to sobie wielkimi literami. Wasz autorytet naukowy mam w dupie najgłębiej ze wszystkich rzeczy, które mam w dupie. Zawiadomcie o tym panią Muslih. To wszystko.

Hinduska ma niezdecydowany wyraz twarzy. Inicjatywę pragnie przejąć pokonana, podobna do siostry Gorgony trenerka, której pod lewym okiem rośnie spora śliwa. Wysuwa się naprzód i już otwiera opuchnięte usta, ale Kay odbiera jej wolę walki w trzech zdaniach.

– Z pani wdziękiem i zaangażowaniem można wiele zdziałać na nielegalnym zawodowym ringu. Tylko, moja droga, nie masz pojęcia o technice pięściarskiej i walczysz nie fair. Chętnie pomogę w treningu. Teraz do widzenia. Wracam do siebie i zapraszam kapitana Huberta na męskie plotki. Wyznaczcie mu straż, ta jest groźna i profesjonalna – decyduje, wskazując na rudą strażniczkę.

Następnie podaje mi dłoń, pomagając podnieść się z podłogi, otacza po przyjacielsku ramieniem i popycha do wyjścia.

Kobiety zgłupiały do szczytu. Taka postawa oznacza tylko jedno: Ten facet ma plecy szerokie jak chiński mur i lepiej z nim nie zadzierać. Hinduska boi się, że wydarzenia znów wymkną się spod kontroli. Krzyczy bardziej dla efektu

niż z przekonaniem:

– Obiecuję, koleżanki, że jeszcze dzisiaj połączę się osobiście z panią wiceprezydent i wyjaśnię ten eksces. Wszyscy winni zostaną surowo ukarani! Ty, ruda! – wskazuje na wybraną przez Kaya strażniczkę.

– To Iwicz z czwartej drużyny – podpowiada jej ktoś z warty.

– Iwicz, odprowadzisz badanych, a za skazanego jesteś odpowiedzialna osobiście. Mają godzinę – wydaje rozkaz już w nasze plecy.

Kay prowadzi mnie ku drzwiom. Słyszając to, nie odwraca nawet głowy, tylko podnosi do góry dłoń z wyprostowanymi dwoma palcami.

Stał się prawdziwy cud, idziemy jak gdyby nigdy nic. Obok nas maszeruje, przekładając pałkę z ręki do ręki, niepewna swojej roli dziewczyna. Iwicz, co za oryginalne imię. Pasuje do niej. Wychodzimy z hali, mijamy kolejne korytarze. Kay pogwizduje wesoło. W pewnej chwili odwraca się do naszej eskorty.

– Jesteś piękna, Iwicz. Mówił ci już ktoś o tym? – pyta spłonioną strażniczkę.

– Daj jej spokój, Kay. To wykracza poza ich regulamin – bronię jej.

– Wiesz, gdzie mam ich regulamin? – pyta Kay.

– Wiem, ale ja jestem tu dłużej i wiem, na co je stać. Jestem więźniem, Kay.

– Właśnie, Hubert, powiedz, za co spotkał cię ten zaszczyt. Chyba że nie masz ochoty.

Przechodzimy obok starego stołu do ping-ponga, zamienionego na model pastwiska. Na środku bieli się stadko małych krówek, obok stoi maciupęńki traktor z przyczepą. Widać także podobne do kolorowych robaczek figurki

pracowników. Co jakiś czas z regularnością pozytywnie rozlega się stamtąd ciche muczenie i zwrotka jakiejś wesołej ludowej piosenki.

Wracam do przeszłości, wspomnienie Ady wali mnie obuchem bólu i smutku. Staram się, żeby mój głos brzmiał jak najbardziej obojętnie.

– Nie, skąd, to taka banalna historia. Porwałem dla okupu upośledzoną umysłowo kobietę, która była mężem mojej przyjaciółki. Później, kierowany niejasnymi motywami, zamordowałem tę ostatnią. Odsiaduję teraz wyrok w ciężkim obozie na Grenlandii – oświadczam skromnie.

Kay maszeruje zadumany.

– Masz całkowitą rację. Porywanie upośledzonych kobiet, które są mężami naszych przyjaciółek, stało się smutną normą w naszych ciekawych czasach. Ja także czuję się zagrożony. Jeszcze dziś zażądam nocnej straży, a to odpowiedzialne zadanie powierzę naszej ślicznej Iwicz. – Odwraca się do niej. – Strażniczko Iwicz, awansujesz i wyjdiesz na ludzi. Może nawet zdołam ocalić twoją skrytą gdzieś w głębi niewinną jaźń – puentuje filozoficznie. – Tylko zostaw w spokoju swoją elektrownię, bo nie dasz mi szansy – dodaje, patrząc na jej zonglerkę pałką.

Iwicz jest zmieszana w najwyższym stopniu. Chyba pierwszy raz, od kiedy dorosła, polecenia wydaje jej mężczyzna. Wiesz jednak na uchwycie paska swoją broń. Efekt jest taki, że teraz nie wie, co zrobić z rękoma. Decyduje się więc spleść ramiona na piersiach. Kiedy nie potrząsa narzędziem bólu, po prostu poraża wdziękiem.

Po przejściu jeszcze trzech bocznych zaniedbanych korytarzy docieramy na miejsce. Pokój Kaya mieści się w ciemnej niszy, oddzielonej dodatkowo od korytarza małym przedpokojem. To nie jest cela pod nadzorem, prowadzą do

niego normalne drzwi ze sklejki, pomalowanej łuszczącą się szarą farbą. Kay grzebie w zamku kluczem. Może je sam zamykać!

– Panowie i panie. Proszę, oto moje królestwo – otwiera je, szarmancko zapraszając nas gestem do środka.

W mrocznym pomimo dnia pomieszczeniu zapala się automatycznie światło. Robimy dwa kroki i zamieramy z Iwicz w miejscu. Pokój wygląda niczym marzenie zwariowanego nastolatka z czasów mojej młodości. Na ścianie wiszą prawdziwe elektryczne gitary, skrzyżowane gryfami. Lakierowane na czerwono i niebiesko pudła odbijają pulsujące światło neonu: 1000 MIL COCA-COLA. Wszędzie na ścianach wiszą trójwymiarowe portrety rockowych gwiazd.

– Co was tak wmurowało? Rano sprzątałem – ponagla nas Kay. – Iwicz, kotku, zrób kilka kanapek, a ty, Hubert, siadaj i czuj się jak u siebie.

Wchodzimy, stawiając ostrożnie stopy pomiędzy stertami starych czasopism oraz częściami garderoby gospodarza. Staramy się nie wdepnąć w puszki po piwie i tacki z resztkami czegoś wołającego rozpaczliwie o pleśń. Zatrzymujemy się na środku pokoju obok łóżka, zarzuconego jakimiś malowniczymi płachtami. Króluje na nim przykryty do piersi manekin kobiety. Lalka trzyma dłoń w pełnej petów popielniczce, wpatrując się z otwartymi ustami w fotos nagiej blondynki na suficie, która ściska w dłoni hotdoga z wystającą parówką.

– Widzisz, Iwicz, jak mi smutno. One nie cieszą się kiedy gram na gitarze – skarży się Kay. – I przepraszam za te kanapki, pewnie nigdy nie przyjmowałeś gości na imprezie. To nic, nauczysz się – tłumaczy, przemykając zrecznie przez swoją graciarnię.

Wraca z krzeselkiem i małym pudełkiem w ręku.

– Usiądź, proszę. Nie bój się, nie łamiesz regulaminu – podaje jej krzesło.

Iwicz siada posłusznie na jego skraju. Kay klęka przy niej, opierając lekko dłoń na kolanie dziewczyny.

– Zobacz, co dla ciebie mam. – Podnosi na wysokość jej ust złotą szminkę z karminowym wsadem. – Weź ją, jest twoja. Należy do ciebie.

Tamtego dnia wyglądałem chyba tak samo, jak teraz Iwicz. To był dzień, gdy ojciec pierwszy raz położył mi na dłoni kluczyki od samochodu. Zabrałem koleżankę z klasy na przejażdżkę. Później na tylnej kanapie udało mi się zdjąć jej stanik. Jeszcze później odwiozłem ją do domu. Sam wróciłem na piechotę, tak bardzo trzęsły mi się kolana i dłonie.

Iwicz przełyka ślinę, jej oczy lśnią blaskiem szalonego pożądanego. Ten mały przedmiot w ciągu sekund posłał w diabły wszystkie lata jej szkoleń i propagandy o mężczyznach, rasistach i tyranach. Szybkim ruchem łapie złoty klejnot. Ogląda z bliska pomadkę, dotyka nią lekko ust. Nagle chowa sztyft i szybko zamyka skarb pod klapą kieszeni swojego beznadziejnie brzydkiego kombinezonu.

Kay uśmiecha się.

– Nie bój się, nikt ci tego nie odbierze. Dostaniesz jeszcze coś, ale tym razem musisz zapłacić – mówi, gładząc jej kolano. – Musisz powiedzieć chociaż jedno słowo. Jedno słowo za prezent. Zgadzasz się?

Rudy lok dziewczyny drga na znak przyjęcia warunku.

– No, powiedz. Jedno słowo – nalega Kay.

– Iwicz – mówi Iwicz, patrząc pożądliwie na pudełko.

Kay podskakuje radośnie.

– Mówi, odezwała się do mnie! – rży ze szczęścia, grzebiąc w swoim skarbczyku. Wyciąga coś, ukrywając

przedmiot w dłoni. Tym razem jest to flakonik markowych perfum.

Iwicz jest nieprzytomna, cały świat przestał dla niej istnieć. Dotyka buteleczki stojącej na jego dłoni czubkiem wskazującego palca, jakby przestraszona, że miraż się ulotni, gdy tylko spróbuje wziąć go do ręki.

Odwracam się w kierunku szafy stojącej w rogu pokoju. Na jej dnie leżą rzucone w nieładzie ubrania i puste torby. Niektóre wypadły na podłogę, uchylając jedno skrzydło drzwi. Wewnątrz ciemnego pudła dostrzegam coś, co przypomina wisielca z wielką, spuszczną smętnie głową. Ciało postaci jest matowo czarne, poprzecinane zgrubieniami karbowanych przewodów.

To skafander i hełm! Teraz ja zapominam o całym świecie. Wyteżam wzrok, próbując przeniknąć mrok wnętrza szafy. Na widocznym rękawie jaśniej plakietka z białymi literami. Moje usta układają się w ślad za kolejnymi literami. HEK... HEKATE!

Nazwa eksploduje w głowie, zapierając dech w piersiach. CZARNA WIEDŹMA, szybka jak światło – Kay był w załodze! Ostatni, który ciał kosmos we wnętrzu tej strzały. Przez dudnienie krwi w uszach docierają do mnie jego słowa.

– Iwicz, małeńka. Bardzo cię polubiłem, naprawdę, ale teraz poczekaj na zewnątrz. Bardzo cię proszę, muszę spokojnie porozmawiać z kolegą.

Nie mogę oderwać wzroku od skafandra. Nie odwracam się do chwili, gdy słyszę ciche cmoknięcie i szcęk klamki zamykanych drzwi.

– Szybki podryw, co, kolego? – ściąga mnie na ziemię Kay.

Odwracam się do niego.

– Byłem lepszy. Tylko zamiast perfum miałem

przeciwodławkową dętkę z koła naszej maszyny. To była córka rybaka. Na Bali używają tych dętek w charakterze luksusowych rodzinnych jachtów – nie dają mu szans.

Kay śmieje się. Przez chwilę zapalają się nawet jego martwe oczy.

– Wygrałeś, Hubert, siadaj – zaprasza, roztrącając nogą puszki i plastikowe puste pojemniki po daniach na wynos.

Siadam wygodnie na podłodze, opierając się o krawędź łóżka, na wprost wiszącego na ścianie plakatu z cycatą panienką, która siedzi okrakiem na rakiemie pędzącej w kierunku otoczonej pierścieniami pomarańczowej planety.

– Możemy rozmawiać tu zupełnie swobodnie. Ich podsłuch to dla mnie dziecinna zabawka. Słyszą w tej chwili, jak opowiadam świńskie dowcipy, a ty mlaszczesz opychając się bez opamiętania. Od czasu do czasu usłyszą także potężne beknięcie. Mam w dupie, czy się domyślają – mówi dudniącym głosem spod łóżka, gdzie właśnie czegoś szuka.

Wyciąga stamtąd pojemnik przykryty błyszczącą aluminiową pokrywą. Zdejmuje wierzch i ciska go gdzieś za siebie.

– Masz, jedz, wiem, jak was karmią. To świństwo z hinduskiej knajpy jest niewiele lepsze, ale ja nie przywiązuję wagi do jedzenia.

Sięgam po zimną kulkę ryżu z mięsem i jarzynami. Zanim pochłaniam pierwszą, trzymam już w palcach następną.

– Przywiązuję natomiast ogromną wagę do picia – kontynuuje gospodarz, wyjmując spod poduszki małego pilota.

Z wrażenia dławię się kolejną porcją, kiedy z ciemnego kąta pokoju z szumem silnika i klekotem porcelitowych gaśnic wytacza się spory model księżycowego eksploratora.

Na pokrywie przedziału ładunkowego stoi rząd pięćdziesięciogramowych szklaneczek. Pojazd kołysze się dostojnie na miniaturowym zawieszaniu, przetaczając korpus przez zwały śmieci na podłodze. Zatrzymuje się pod wiklinowym koszykiem przymocowanym do ściany. Obraca ostrożnie łyżką radaru. Róg anteny otwiera jakiś zawór i z koszyka spływa wprost do kieliszka bursztynowy płyn. Explorer powtarza czynność czterokrotnie. Następnie rusza z łoskotem i biorąc głęboki zakręt, toczy się wprost na mnie.

– W ten sposób nie widzę pełnej butelki, co poskramia moją pazerność na wodę. No i muszę zdać test, czy mogę wypić jeszcze jednego. Kiedy nie mogę trafić „Goliatem” prosto pod kran, przestaję pić. Ponieważ bez twardych, żelaznych zasad niechybnie schodzi się na psy, kolego – wyjaśnia gospodarz.

Podejmujemy ładunek. Whisky pachnie jak destylat ambrozji w najlepszej knajpie olimpijskich bogów. Znowu czuję się jak wolny człowiek, dzierżąc sztandar wyzwolenia, czekając na toast.

Kay przez chwilę gapi się na szklaneczkę, potrząsa nią lekko.

– Dalekie słońca i niezdobyte planety. Idący na śmierć pozdrawiają was – wypowiada uroczystym głosem i jednym haustem opróżnia szklaneczkę.

Niezwłocznie idę w jego ślady. Zanim przypominam sobie wszystkie subtelne niuanse tego aromatu, w mojej dłoni pojawia się drugie szkło. Kay stuka się ze mną.

– Mamy ze sobą wiele wspólnego, Hubert. Przez całe życie swędziały nas tyłki. Nie potrafiłiśmy usiedzieć w jednym miejscu, choćby ktoś bliski musiał przez to bardzo cierpieć. Kapsle i gazeta dla takich jak my to tortura. Nie umrzemy jak przyzwoici ludzie, w zasikanych szpitalnych

piżamach. Nasza śmierć to będzie krzyk i płomień. Bogowie umierają, kiedy sami wybiorą swój czas. Pieprzymy długie trwanie i zgon z rurką w przelyku, dlatego z tobą piję. Zdrowie, kapitanie! – kończy kolejnym toastem.

Piję, choć nigdy nie myślałem o sobie w ten sposób. Ogałacamy skrzynię ładunkową „Goliata” z ostatnich dwu pełnych baków. Kay bawi się pilotem, księżycowy czołg bucząc silnikiem ze zdumiewającą precyzją hamuje pod koszykiem.

– Byłeś tam, Kay. Zobaczyłem w szafie skafander z plakietką „Hekate” – mówię, patrząc na tankowanie.

– Byłem – potwierdza.

– Ada Witte opowiadała mi o tym statku i chyba o tobie. Powiedz mi, jak tam jest? – pytam wprost.

Kay rozlewa trochę whisky, obracając anteną.

– Cholera, nie wiem. Nie wiem, jak można to komuś powiedzieć. To jakbyś próbował opowiedzieć somalijskiemu ślepcowi, jak wygląda hiacyntowy ogród. Powiem ci w ten sposób, może zrozumiesz – mówi, ruszając czołgiem spod koszyka. – Od kiedy byłem tam, skąd nasze Słońce wygląda jak świecący w gazecie przecinek, mam gdzieś wszystko i wszystkich. Ten kretyński reżim, choroby, katastrofy ekologiczne, a nawet ostatnią zdychającą na syfa rudą wiewiórkę. Widzę kosmos, kiedy tylko zamknę oczy. Pieprzone gwiazdy nie dają mi spać. Muszę tam wrócić, choćbym wiedział, że trafi mnie szlag. Choćbym miał sprzedać Arabom własnego ojca i matkę.

Czołg parkuje posłusznie przy naszych nogach. Sączymy trunek niespiesznie, w milczeniu. Wyczuwam jednak, że Kay bardzo chce o tym mówić.

– Wielu z was zginęło, prawda? – pytam dalej.

– Wielu, bardzo wielu. No i co z tego? Gwiazdy muszą

dostać swój łup. Lubią pić ciepło naszych ciał, widziałem, jak to robią. Ja miałem fart. Przy pierwszej podświetlonej tylko osiwiąłem w ułamku sekundy, ale mojemu kumpłowi przekreśliło krtań w drugą stronę. Wyobrażasz sobie? Tyłem do przodu... działa się różne jaja – opowiada z podziwem.

– Powiedz mi, Kay, gdyby ta wyprawa doszła do skutku, możemy liczyć jeszcze na kogoś? Co stało się z resztą twojej załogi... to znaczy z tymi, którzy przeżyli?

– Jak ci mówiłem, wielu kumpli zginęło. Resztę wykończyły te idiotki. Byliśmy traktowani najostrzej i poszliśmy na pierwszy ogień. Mnie też miały już na widelcu, ale Wielki Mleczny Cyc nagle złapał zajoba na punkcie tej wyprawy, a tylko ja potrafię kierować statkiem. Dlatego teraz boją się do mnie przypieprzyć. Mam wpływ na wybór załogi. Przeglądałem twoje papiery i znałem Adę – podkreśla. – Wiem o jej śmierci. Lubilem ją, miała klasę... to rzadkość na tym padole kretynstwa. Ale do rzeczy, uważam, że się nadajesz. Jeżeli nic się nie popieprzy, pozeglujemy razem wsadzić fiuty prosto w czarną dziurę. Zdrowie, kapitanie!

Opróżniamy następną kolejkę. Jestem wygłodzony i zaczyna mi ostro szumieć w głowie. Postanawiam się tym nie przejmować. Rozkręcam się, ponure myśli pierzchają, spłoszone whisky i towarzystwem kosmonauty.

– A ta „Hekate”, jaka jest? – chcę wiedzieć.

– Jaka jest? – powtarza Kay. – Jak czarna sowa z lochów piekła, która w nocy na cmentarzu dla samobójców urywa diabłom łby. Wtapia się w mrok i sama staje się mrokiem. Jest niesamowita, surowa i bezlitosna. Ma osobowość... to się wyczuwa. Jeśli jej nie pokochasz, wypruje ci flaki, chłopie. Stary Mentzel dobrze wybrał nazwę. To był skończony geniusz, tylko nie przewidział własnego końca. Nie przypuszczał, że naprawdę zamkną go do czubków – mówi,

częstując mnie papierosem.

– Znałeś jego syna? Ada opowiadała mi trochę o nim – pytam, obawiając się, czy nie stąpam po kruchym lodzie.

Kay bawi się pilotem, po whisky zaczyna szarżować. Mały czołg wpada z rozpędu na kartonowe pudło, pcha je przed sobą aż do ściany, bucząc gniewnie silniczkami.

– Roberta? Pewnie, że znałem. Rob jest w tej chwili najszcześliwszym trupem Układu Słonecznego. Już wtedy nie bardzo chciał wracać do ziemskiego chłamu. Snuł plany podboju kosmosu bez tego całego humanistycznego pieprzenia. On i jego załoga to byli prawdziwi zdobywcy. Przypominali krzyżowców idących na Jerozolimę albo konkwistadorów Corteza. Mieli cel i wolę, żeby zdobyć niezbadane lądy. Postawić żelazną stopę w obcych miastach. Nosili sygnety. – Kay rozchyła kimono, pokazuje błyszczący matowo pierścień na łańcuszku. – O takie.

Nachylam się, żeby lepiej zobaczyć. Sygnet wykonany jest z metalu przypominającego tytan. Na tarczy widać cztery gwiazdy i krętą linię, ujętą w dwa słowa: „Fluvis” i „Roma”.

– Rzeka Rzym, nieustępliwa i niezwyciężona siła podboju – odczytuję sens grawerki.

Kay jest zaskoczony, chowa sygnet.

– Cieszę się, że rozumiesz sens tych słów. W naszych czasach prawie nikt nie ma pojęcia o łacinie i rzymskiej kulturze. Wiem, że zaraz o to zapytasz. Tak, byłem i jestem z nimi całym sercem. Jestem członkiem załogi rezerwowego lądownika „Hasta”. „Gladius” z całą załogą, jak na pewno wiesz, został na Ganimesie. A ten sygnet? Nie mam prawa włożyć go na palec, dopóki nie dotknę nim pyłu dziewiczej planety. Może teraz? – mówi z nadzieją, parkując obok naszych stóp czołgiem ze świeżą dostawą.

Podaje mi szklaneczkę, stukamy się, rozlewając whisky.

– Chwała kosmonautom! Niech piach obcych planet przyjmie wasze ciała, polegli towarzysze – wznosi toast.

Wypijam razem z nim. Alkohol wzbiera mi w przetyku. Muszę przegryźć szybko kulka ryżu z curry. W oczach mam łzy, lecz nie poddam się. Nigdy! Najwyżej do celi odniesie mnie Iwicz.

Zapominam o niedopałku, który wrzuciłem niedbale do popielniczki. Kay patrzy obojętnie na małe ognisko z warkoczem cuchnącego dymu.

– Brak mi moich kumpli, to byli świetni kosmonauci.

Wyszkoleni, zdyscyplinowani i odważni jak rzymski legion. Zwłaszcza teraz, kiedy mam lecieć z bandą żółtodziobów. Nie wiem, po co każą mi zabrać taką gromadę. Wystarczyłoby mi sześciu, może siedmiu w miarę przeszkolonych facetów. Chociaż z tego, co widziałem, niełatwo wybrać nawet tyłu. Ci ludzie są do chrzanu, mają przetrącone kręgosłupy. Nawet jeżeli fizycznie są wystarczająco sprawni, to w miejsce serca noszą zgniły ochłap, a zamiast krwi mają w żyłach szczyny. To nasz najslabszy punkt, mówię ci, to śmierdzi bezsensowna jatka – otwiera się, rozgrzany coraz bardziej alkoholem.

– Spotkałem tu kogoś, kto nadaje się do załogi. Mówię ci, znam się na ludziach, możesz mi wierzyć – przerywam jego smutny monolog.

– Kto to? – ożywia się Kay.

– Peter van Vijk. Bur, chyba myśliwy albo strażnik buszu. Tam przyjmują tylko łebskich gości z wyższym wykształceniem i uprawnieniami technicznymi. To inteligentny, twardy jak cholera facet – oddaję Peterowi szacunek.

– Tak, czytałem o nim. To rzeczywiście strażnik, ale wcześniej był inżynierem hydrauliki i informatykiem.

Asystował także przy budowie mostów z lekkich stopów. Tak, jasne, miałbym dla niego robotę. Co z nim? Był na pierwszej liście, ale teraz jakoś go nie widzę – pyta, przeglądając wyciągnięty nie wiadomo skąd zwijany monitor podręcznego komputera sieciowego.

– Podpadł strażnicze. Dostał pały i przez to nie zaliczył pierwszego testu. Teraz ma go ta profesor, od rekordów – mówię.

Kay niedbale zwija komputer w rulon i wciska go pod poduszkę.

– Dobra, będę o nim pamiętał. Chinka wyjechała na dwa dni, wraca dopiero dziś wieczorem. Może mi się jeszcze uda – mówi, stukając się ze mną szklaneczką.

Widzę, że gwiazdny wilk potrafi pić. Kiedy na czymś się koncentruje, trzeźwieje natychmiast.

– Mam wielką nadzieję, że przed startem uda mi się poderżnąć tej kurwie gardło – cedzi lodowatym głosem.

Przez uchylone drzwi zagląda do wnętrza Iwicz. Jest zaniepokojona, lecz nic nie mówi, tylko patrzy na Kaya.

– Iwicz, ślicznotko, spokojnie. Nie chcę narobić wam kłopotów, jeszcze pięć minut i odprowadzisz kapitana – uspokaja ją Kay.

Iwicz cicho zamyka drzwi, a Kay znowu znika pod łóżkiem, gdzie najwyraźniej ma swój podręczny magazyn. Po chwili na moich udach ląduje hermetyczny pakunek z całodobowym wyżywieniem, paczka papierosów i zapalki.

– Nie zabiorą mi tych skarbów? – pytam zaniepokojony.

– Jak będą próbować, wrzeszcz, że złożysz skargę. Jesteś co prawda skazańcem, ale także moim zastępcą, kapitanie – ogłasza uroczyście, potykając się znów o zgłoski.

Zanim zdążę odpowiedzieć, Kay mierzy we mnie palcem.

– Nawet nie próbuj tego mówić, między kumplami nie

używa się tego słowa. Zaslugujesz na tę funkcję jak nikt. To wszystko – ucina.

Jesteśmy już na zdrowym gazie, a jeszcze dwoma kolejkami opijamy mój awans. Nagle, nie wiedzieć czemu, przez opar whisky wbija mi się w głowę ćwiek współczucia dla niewinnych ofiar konkwisty.

– Kay, Cortez sprowadził śmierć na Azteków... był mordercą. Spróbuj czasem na to spojrzeć z drugiej strony.

Whisky zdążyła już zrobić melasę z mózgu Kaya. Przez dłuższą chwilę przypomina sobie treść naszej rozmowy.

– Hubert, Aztekowie też byli mordercami dla innych plemion. Rozumiesz? Większa ryba zżera mniejszą – tłumaczy.

Chce jeszcze coś powiedzieć, ale nie może znaleźć słów. Macha ręką z rezygnacją.

– Zresztą najpierw musimy tych obcych znaleźć. Wtedy zobaczymy, czy będziemy pić z nimi wodę, czy zabierzemy im portfele i zgwałcimy żony. O ile nie będą podobne do tego kaszalota z gwizdkiem w gębie. Idź już i nie martw się o Azteków. Masz na razie przerabane bardziej niż oni. Cześć, kapitanie, i powiedz Iwicz, że ma tu wrócić, kiedy cię odprowadzi – żegna mnie.

Wychodzę od Kaya na miękkich nogach jako zastępca dowódcy pierwszej sięgającej poza Układ Słoneczny ekspedycji Zjednoczonych Wolnych Narodów. Daje mi to pewność siebie, śmiało niosę swoje pudełko z prowiantem. Obok, otoczona obłoczkiem cudownego zapachu perfum, maszeruje moja eskorta. Harmonię zwycięskiego spaceru zakłóca zbliżający się z naprzeciwka konwój. Czar pryska, gdy dociera do mnie, co widzę. Cztery strażniczki prowadzą nagiego mężczyznę z rękami skutymi na plecach. Zgięty wpół, idąc z uniesioną głową, przypomina łyżwiarza

trenującego przed startem. W nie widzących oczach ma piętno obłądnego strachu. Idzie na wiwisekcję. Wódka płonie we mnie odwagą i buntem.

– Trzymaj się, kolego! – krzyczę, porwany falą bezradnej wściekłości.

– Stul pysk, gnoju! – słyszę, jak pachnąca Iwicz zamienia się nagle w bestię.

Moje pudełko leci pod sufit, kiedy na prawym bicepsie ląduje pałka. Tracę kontakt z ramieniem, jakby odrąbało je ostrze stalowego miecza. Po sekundzie zaskoczone nerwy przewodzą do mózgu impuls i z bólu aż rzuca mnie na ścianę. Klęczę przykładając czoło do chłodnego tynku, który studzi cierpienie.

– Nie rób tak. Proszę – nieśmiało kleci zdanie Iwicz..

To jej niesłychane „proszę” uspokaja mnie. Po chwili mogę wstać. Iwicz zaskakuje mnie jeszcze raz, podnosząc z podłogi prowiant. Wciska mi pojemnik pod pachę. Mówię z całym spokojem, na jaki mnie stać:

– Iwicz, jak już koniecznie musisz, to wal w udo. O mało nie złamałaś mi kości. Ze złamaną ręką nadawałbym się tylko na konserwy dla skazańców i twój Kay musiałby szukać drugiego zastępcy.

„Twój Kay” rozpętuje burzę hormonów. Iwicz pąsowieje i lekko spuszcza wzrok.

– Dobrze, będę w udo – szepce głębokim, schrypniętym z przejęcia głosem.

Gotowa. Może kiedy Kay ją przeleci, naprawdę uratuje zdziczałą duszę rudej kotki.

Ruszamy dalej. Tak, Wielka Skretyniała Rzeżucho, przegrałaś. Miłość potrafiła obrócić w proch opokę Wielkiej Troi, a co dopiero taki głupekowaty reżym jak twój. Jeszcze będziemy mieli w tej dziewczynie sojusznika – myślę o niej z

sympatią.

– Iwicz, rozumiem, że jesteś na służbie. Nie mam żalu. Kay prosił, żebyś do niego wróciła, kiedy mnie odprowadzisz. Czeka na ciebie – mówię, patrząc, jak dyżurna z kluczami, gruba Hinduska, wlecze się do nas krok za krokiem.

Iwicz w tym czasie zmienia z biegłością kameleona barwy policzków – od śnieżnobiałej, przez wszystkie odcienie różu, aż do krwistego karminu. Nozdrza ma rozszerzone, oddycha nerwowo jak rasowa arabska klacz. Gruba Hinduska przygląda jej się podejrzliwie, kręcąc kluczem w zamku.

– Dziewczyno, jesteś chyba chora. Idź na izbę przyjęć, bo nas wszystkich pozarażasz – mówi, szczęśliwie dla mojego opilstwa skupiając na niej uwagę.

Później padam na barłóg, strącając z niego jakąś paczkę w szarym papierze. Nie ma nawet siły do niej zajrzeć. Ramię po ciosie Iwicz rwie mdlącym bólem, ale i tak zasypiam bez snów, jak martwa tonąca kłoda.

•

Budzę się późnym południem. Mam wszelkie objawy lekkiego, błogosławionego kaca – ale na szczęście w moim kubku jest jeszcze trochę lurowatej herbaty. Gaszę pragnienie, z trudem unosząc rękę do ust. Po eksperymentach z wirowaniem orbitalnym oraz pałce Iwicz bolą mnie wszystkie mięśnie.

Otwieram w końcu paczkę, jej zawartość napawa mnie otuchą. W środku są granatowe spodenki i zielona koszulka z prawdziwej bawełny. Do tego prawdziwe, czarne sportowe tenisówki i para skarpet. W samą porę, mój papierowy

garnitur ciągnie wszystkimi szwami niczym podarta firanka.

Kiedy kończę ubierać się w wykwintny nowy strój, otwierają się drzwi. Stoi w nich gruba Hinduska.

– Obiad, ruszaj się. Musisz go sobie przynieść, tu nie ma kelnerek – mówi, patrząc na mnie z dziwnym uśmiechem.

Baba stoi w progu jak wmurowany głąz, nie ma zamiaru mnie przepuścić. Muszę przeciskać się pomiędzy jej cielskiem a framugą.

– Jaki sprytny samczyk. Przydałby mi się taki. Najedz się, ptaszku, wieczorem wpadnę do ciebie na kontrolę. Musisz mieć dużo siły – sapie babsztyl, patrząc mi w oczy.

Na korytarzu stoi wózek z garnkami. Pcha go i nakłada porcje do aluminiowych misek mężczyzna, który wygląda jak zjawa z faszystowskich fabryk śmierci. Ubrany jest w szary papierowy komplet i plastikowe sandały na nogach. Wiednące ciało podtrzymują patykowate nogi z bulwiastymi kolanami. Podchodzę do wózka, chuda szponiasta dłoń podaje mi miskę. Chochłą na drewnianym trzonku nalewa do niej jakąś burą ciecz.

– Jak się nazywasz, kolego? – pytam nieszczęśnika.

Łysa czaszka podnosi się znad garnka. Patrzę w wodniste, bezbarwne pęcherze, które były kiedyś oczami żywego człowieka.

– Jestem 2634 – odpowiada, nie podnosząc głowy.

– Dawno tu jesteś?

– Tak, dawno. Rok albo dwa – mówi matowym, obojętnym głosem.

Strażniczka stoi za moimi plecami.

– Widzisz, nie mam żadnej pociechy z tego wałacha. Ty to co innego. Przyjdziesz do ciebie, ptaszku, wieczorem do celi. Jak będziesz miły, dostaniesz papieroska – obiecuje i klepie mnie lekko w tyłek.

Wracając do siebie, odpalam jej w progę:

– Kiedy pani funkcjonariusz przyjdzie wieczorem, proszę przynieść mi z biblioteki podręcznik z teorii lotów kosmicznych, a także zeszyt i coś do pisania. Jestem zastępcą dowódcy lotu i na jutro muszę rozpisać plan zajęć. Muszę także napisać raport o warunkach socjalnych i wystawić oceny strażniczkom odpowiedzialnym za stan bezpieczeństwa – podbijam stawkę.

Strażniczka wzrusza ramionami z pogardliwym prychnięciem, ale nie odzywa się. Metoda jest dobra.

Kiedy tylko zamykają się moje drzwi, wylewam szarą breję do dziury w podłodze. Otwieram paczkę z prowiantem od Kaya. Żując słodkie kostki skondensowanej żywności, myślę o więźniu z korytarza. Nie mogę zapomnieć jego spojrzenia. Dociera do mnie, jak wielkie miałem szczęście. Ile zawdzięczam Adzie, Danielle, a teraz Kayowi. Gdyby nie oni, po kilku miesiącach wyglądałbym jak starszy brat numeru 2634.

•

Kay swoimi kanałami dotarł jakoś do samej Mleko-dajnej Wielkiej Magdy. Wariatka z gwizdkiem została odsunięta od wyłaniającej się powoli załogi gwiazdolotu „Hekate”. Jest nas dwudziestu kilku, zaczynamy powoli się poznawać. Czasami udaje się nawet przez chwilę porozmawiać, bo nie jesteśmy teraz tak bardzo szykanowani. Tylko nie wolno zbierać się w grupie większej niż trzy osoby. Z innymi więźniami ośrodka nie mamy żadnego kontaktu. Nie wiemy nawet, ilu ich jest.

Obiady przywożą nam do cel na strasznym wózku. Kay wywalczył dla nas prysznic i golenie co dwa dni oraz czas na

zajęcia indywidualne i edukację. Atrakcją jest codzienny trening kondycyjny w sześciuosobowych grupach. Trening polega na tym, że przez godzinę pływamy sobie na golasa w straszliwie brudnym basenie z zielonkawą od glonów wodą. Te treningi gromadzą prawdziwe tłumy kobiet, które akurat wtedy mają tam coś pilnego do załatwienia. Zauważyłem, że część chłopaków zaczyna zachowywać się wówczas jak top-modelki z zamierzchłych czasów. Zaciekawienie kobiet sprawia im wyraźną przyjemność, a styl grzbietowy przeżywa swój złoty wiek. Na basenie często zjawia się Danielle. Stała do raportu karnego i będzie miała sprawę dyscyplinarną, dlatego nie może odwiedzać mnie w celi. Dostaję od niej witaminy i miły uśmiech. Zawsze rozmawiamy przez chwilę o pogodzie i świecie – bardzo ją lubię.

Kay, zaabsorbowany problemami z harmonogramem lotu, jest prawie nieobecny, często wraca z Berlina dopiero w nocy. Bez niego dni wloką się niczym monotonna mantra, prawie można zapomnieć, po co tu jesteśmy. Nudę urozmaica Iwicz, która promienieje. Przychodzi do mnie, kiedy nie ma służby, a Kay jest zajęty. Wtula się z kolanami pod brodą w kącie mojej celi i słucha opowieści o „tamnym świecie”. Opowiadam jej, jak ubierały się kobiety, jak rozmawiały, jak zapraszały się na herbatki z babskimi plotkami. Mam wieczny problem z wyjaśnieniem jej, na czym polega trudna sztuka flirtu. Sam do dziś nie bardzo rozumiem, w jaki sposób dawaliśmy się wplątywać w jego lepkie sieci. Na razie zrozumiała tylko, że ma mówić: „Nie”. Zwłaszcza wtedy, kiedy najbardziej chce zgodzić się na wszystko.

Następnego dnia dostrzegam w jej włosach nową spinkę, a na przegubie dłoni subtelną srebrną bransoletkę. Natomiast Kay, który wpadł na basen z awanturą, że jeszcze nam nie

wydano kapielówek, jest wściekły. Zdezorientowany i niepewny, wygląda jak przegoniony od posiłku głodny wilk.

Rozmowy z Iwicz przywołują bolesne wspomnienia o moich kobietach. Proszę wtedy o zajęcia w czasie własnym i pod eskortą jednej strażniczki idę do pokoju treningowego, gdzie stoi stary dziecięcy symulator lotów. Kiedy moja eskortą jest Iwicz, zamyka mnie w sali, a sama znika na długie godziny w pokoju Kaya. Odbywam wtedy w zapamiętaniu misję za misją, nadrabiając wyobraźnią luki w programie archaicznego komputera. Kiedy jestem zmęczony i chcę wracać do siebie, muszę połączyć się z głównym komputerem w pokoju Kaya, żeby przypomnieć Iwicz o jej obowiązkach. Przywiązałem się do tej dziewczyny i zaczynam się o nią martwić. Doszło do tego, że muszę jej przypominać, żeby trzymała pałkę w ręku podczas eskortowania, a także od czasu do czasu wrzasnęła na mnie, kiedy na korytarzu mija nas patrol. Coraz bardziej się obawiam, że gdy nas stąd zabiorą, oswojona ruda puma nie przetrwa w tej bezwzględnej dżungli.

Dzisiaj rano, gdy jak co dzień studiuje pożółkłe tablice logarytmiczne, zjawia się Iwicz. Siada na stołku, oglądając z uwagą swoje pomalowane na rubinowo paznokcie. Rozczapierza palce jak drapieznik czyszczący pazury. Odkładam książkę, wdychając jej nowy zapach. Dziewczyna pachnie jak biały bez, cała zresztą przypomina rozwinięty kwiat. Miłość zawładnęła nią bez reszty – będą z tego kłopoty.

– Kay czeka, chodź, kapitanie – mówi, zaabsorbowana widokiem swoich dłoni.

– Iwicz, posłuchaj. To nie moja sprawa, ale możesz mieć kłopoty. Moim zdaniem za bardzo obnosisz się z tymi drobiazgami... to znaczy kosmetykami, chciałem powiedzieć.

Dziewczyna odrywa wzrok od swoich wspaniałych szponów. Nie wie o tym, że ma na ustach uśmiech tajemniczej Giocondy.

– Dokuczają mi od dawna. Rano znalazłam w swojej szafce zdechłego szczura. To już drugi, ale to mnie mało obchodzi – stwierdza pewnym siebie głosem.

– Co? To cię powinno chociaż trochę obchodzić. Doniosą, a wtedy wylądujesz na przymusowych robotach gdzieś w Albanii. Jesteś strażniczką, mogą przyłożyć ci ostry artykuł za stosunki seksualne na służbie – wybucham.

Iwicz podrywa się błyskawicznie z krzesła, wyciągając swoją pałkę. Zasłaniam się odruchowo ramieniem.

– Chciałeś, skazańcu, żebym do końca świata nosiła to święństwo?! Dzisiaj podwójna porcja! – krzyczy, rzucając się na mnie.

Oślupiały czekam na cios pałki, ale dostaję całą Iwicz. Wisi mi na szyi, czuję na twarzy grad pocałunków.

– Kay mi się oświadczył! Weźmiemy ślub przed waszym odlotem. Będę na niego czekać i dostanę dobrą pracę. Tylko to jeszcze tajemnica. Jak się wygadasz, baby z zazdrości mnie zatłuką – grzmi w moim uchu jak rozpalony dwustuwatowy megafon.

Przyciskam ją ramieniem.

– Gratuluję, Iwicz, życzę wam szczęścia. Chociaż to nie do wiary... ślub tutaj?

Iwicz jest tak podniecona, że klęka na moich piszczelach.

– Kay wymusił taki warunek na pani prezydent. Napisał, że to wzmocni jego motywację do kierowania wyprawą i do szczęśliwego powrotu. Pierwsza Matka zgodziła się. Po ślubie nikt już mnie nie tknie.

Ślub... już zapomniałem, co oznacza to słowo. Nie bardzo wiem, co jeszcze powiedzieć.

– A twój feminizm? – pytam jak ostatni kretyn.

Iwicz patrzy na mnie ze szczerym zdziwieniem.

– Sprawdzaliśmy z Kayem, wcale nie mam suchej cipy. Zresztą to staroświeckie i głupie – stwierdza z rozbijającą szczerością.

Czuję, jak moją twarz zalewa rumieniec, który należy się Iwicz.

– Chodźmy, śliczna panno młoda – mówię, zdejmując ją pod pachy z moich bolących łydek. – Kiedy wpadniesz do mnie wieczorem, wysłuchasz wykładu o dobrym wychowaniu. O tym, co możemy powiedzieć przy znajomych, a czego nie. Dobrze? – pytam, podając jej porzuconą broń.

– Dobrze! I jeszcze powiesz mi, kapitanie, jak zmusić faceta, żeby nie przestawał co chwila, jak już na mnie leży. Kay robi sobie przerwy na posapanie, a mnie jest wtedy bardzo smutno – dobija mnie prostym sztychem.

Postanawiam na wszelki wypadek więcej się nie odzywać. Iwicz, wytresowana w feministycznych koszarach, nie ma o miłosnej sztuce zielonego pojęcia.

Idziemy we wspaniałych nastrojach do pokoju Kaya. Iwicz, nie mogąc inaczej wyrazić swojego szczęścia, od czasu do czasu tryska radośnie fontannami niebieskich iskier z pałki.

– Iwicz – przerywam te fajerwerki.

– Co, kapitanie?

– Nie wyrzucaj tej swojej maczugi po ślubie – ostrzegam ją.

– Dlaczego? Na co mi to? – pyta zdziwiona.

– Na Kaya, kiedy wróci. Może ci się przydać, wierz mi. Gdyby moja Agnes miała taką... – nie kończę.

Iwicz zastanawia się głęboko nad tym, co usłyszała.

Nagle wybucha szczerym dziewczęcym śmiechem. Ten śmiech brzmi nedorzecznie w tych ścianach, niczym radosne piski malucha w kostnicy domu starców.

W celi Kaya panuje oszałamiający porządek. Na drzwiach wisi niebieska sukienka i cały pokój pachnie kobiecą ręką. Iwicz zostawia mnie samego z Kayem.

Dowódca siedzi przy małym biurku, manipulując palcami we wnętrzu walca komputera. Poznając ten model, był krzykiem mody starego świata. Dostępny tylko dla bogaczy i dużych firm WIRTUAL R 4000 jest oparty na najnowszej generacji nadprzewodnikach oraz interaktywnym inteligentnym programie. Bije na głowę wszystko, co powstało do tej pory. Kay jest z nim sprzężony przekaźnikiem przyklejonym do podniebienia. To, co dzieje się w programie komputera, dzieje się jednocześnie w jego mózgu. Spoza narogówkowych ekranów, poprzez przesuwane się przed wzrokiem kolumny cyfr i wykresów patrzą na mnie jego zamglone oczy. Sferyczna, pracująca w podczerwieni kamera przesyła mój obraz do komputera i do zmysłu wzroku. Teraz Kay widzi mnie jako rozmazaną plamami termiki meduzę. Inaczej stałbym tu całymi godzinami.

Kay wychodzi z programu, ostrożnie odkleja z rogówek kontaktowe ekrany i umieszcza je w roztworze soli fizjologicznej. Mrugając powiekami, odkleja także od podniebienia przekaźnik.

– No, mogę w końcu zapalić – stwierdza z ulgą, wyciągając do mnie paczkę papierosów.

Częstuję się i siadam na krzeselku.

– Witaj w rzeczywistym świecie. Uważaj, słyszałem, że ten sprzęt może nieźle namieszać w głowie. Musisz co półgodziny robić przerwy bo później możesz nie wiedzieć,

czy jesteś bajaderą w haremie sułtana, czy imbrykiem do herbaty twojej cesarzowej – witam go, popisując się wiedzą.

Kay z westchnieniem ulgi wypuszcza wielki kłęb dymu.

– Niewiele słyszałeś. Fakty są takie, że ten sprzęt to zwietrzałe zerojedynkowe gówno w porównaniu z tym, na jakim pracowaliśmy u Metzla – gasi mnie, wstając.

Robi kilka energicznych wymachów ramionami i maszeruje w stronę nęcącej drewnianej skrzyneczki. Bez słowa wyciąga butelkę whisky z przemytu oraz dwie szklanki. Osobiście nalewa kolejkę, w sam raz dla wysuszonych zbiorników supertankowców. Widocznie od kiedy rządzi tu Iwicz, pneumatyczna lala oraz poczywy „Goliat” połączyli się w ostatnim uścisku gdzieś na stercie haniebnie zdradzonych przedmiotów. Podaje mi szklankę.

– Na razie to głupawe liczydło musi nam wystarczyć. A tak przy okazji, znasz ten program? – pyta.

Topię usta w whisky.

– Mniej więcej – rozanielony, mocno naginam fakty.

W rzeczywistości tylko sporo o nim czytałem.

– To musisz znać go więcej. Jutro wyjeżdżam na cały dzień... popracuj nad nim. Program, jak wiesz, uczy sam, ale musisz do perfekcji opanować koncentrację nad wybranym zagadnieniem. W przeciwnym razie ten szmelc zrobi sobie z twojego mózgu zapasową twardą sferę pamięci albo kosz. Jak zauważyłeś, to nie żarty. Widziałem gościa, który nie brał tego na serio, a później zamiast mówić: „Piwo proszę”, podawał skład polimerów pancerza transporterów piechoty. Na jutro ustawię go na opcję dla frajerów. Nie obraż się, nie mogę przez takie bzdury tracić ludzi – decyduje.

– Kosz w mojej głowie to nie brzmi zachęcająco. Dałbym sobie radę, ale skoro nalegasz – zgadzam się łaskawie.

Siadamy obaj na dywanie koło łóżka, na naszym starym

miejscu. Tutaj najlepiej nam się gada, no i mamy blisko do skrzynki. Kay jest zmęczony i zirytowany.

– Przyspieszamy, Hubert, to już niedługo. Stara zaraz poda konkretny termin. Jak znam jej zwyczaje, to będzie na pojutrze. Nie wiem, jak zdążymy, normalnie takie przygotowania od podstaw trwają lata. Mamy nową nazwę statku. Nasza czarownica oficjalnie nazywa się od teraz „Ania z Zielonego Wzgórza”. To jej ulubiona książka. Jeżeli ktoś na pokładzie użyje tej nazwy, wykopię go w próżnię – sapie ze wściekłości.

Nie mogę utrzymać powagi.

– Nie ciskaj się. To też kobieta, tylko młoda... nie wiadomo co z niej wyrośnie. Może señiorita jeszcze straszniejsza od Hekate? Będziemy to malować na kadłubie? – pytam dowódcy lirycznego statku.

– Mogą to sobie namalować na czołach. Nie pozwolę tym kretyństwem uszkodzić poszycia – syczy Kay, uzupełniając braki w szkle.

– Nasz start ma być globalnym show, dowodem na sukcesy nowego porządku. Boję się, czy nie każą nam holować portretu starej albo pomnika mlecznej krowy. Dla nich nie ma żadnych granic.

Zapalamy po papierosie i stukamy się szkłem. Widzę, że to nie jedyny problem, jaki go dręczy. Pali nerwowo, rozglądając się po swoim pokoju.

– To chyba nie koniec niespodzianek, Kay. Co jeszcze? Mogę w czymś pomóc?

– Nie, nie możesz, Hubert. Muszę przełknąć to sam. Nie do końca rozumiem, o co im chodzi z doborem załogi. Wszyscy są niedoświadczeni, przez to selekcja musi być bardzo ostra. Ale po co, do cholery, taka liczba kandydatów? Po ostatnich uzupełnieniach jest was znowu prawie

trzydziestu. Lecieć ma nie więcej niż czternastu, a to i tak zbyt wielu. Muszę dziś skreślić sporo nazwisk i oddać listę. Skreśleni wrócą do swoich obozów odsiadywać resztę kary. Mam zamiar zostawić osiemnastu i liczyć, że kilku przestraszy się później. Jak nie pękną, znowu będę musiał skreślać. Wiesz, jeszcze nigdy nie musiałem wydawać takich wyroków. Kurwa! Jak to zrobić? Właściwie wszyscy są na tym samym poziomie, czyli do atomowej dupy. Mam losować czy co? – Targany wyrzutami sumienia, znowu otwiera skrzynkę. – Napijmy się, kapitanie... zaraz, Hubert. To ja jestem kapitanem, a ty pierwszym oficerem – nagle przypomina sobie o kompetencjach.

– Wiesz, ja miałem świadomość, o co chodzi, ale większości nikt nie pytał o zdanie. Może wcale nie chcą ryzykować? Może niektórzy poczują ulgę, że wylosowali życie prawdopodobnie bez jaj, ale za to z głową na karku – pocieszam go.

– Chyba masz rację, Hubert. To, co dla mnie jest jedynym celem, dla innych może być tragicznym koszmarem.

– Będzie, co ma być, i tak chcesz uratować nas jak najwięcej. Nie weźmiesz przecież na pokład całej chorej Europy. Lepiej opijmy mój awans na pierwszego oficera gwiazdolotu. Czyli admirała normalnej floty powietrznej. No i twoje zaręczyny, kapitanie Hansen – przypominam.

– Obawiałem się, że przyjmiesz to jako małą degradację – przyznaje Kay.

– Nie, Kay... to znaczy kapitanie. Degradacja to pozostanie w tym syfie.

– Dobrze, więc za awans i moje zaręczyny. Moje zaręczyny to wynik trójstronnego porozumienia. Stara chce mieć na mnie haka, Iwicz dojrzała, żeby się stąd wyrwać, ja zaś nie jestem aż taką świnią, żeby zostawić ją bez wsparcia

w tym domu wariatów. Zresztą to nawet trochę pomaga w kosmosie. Człowiek lepiej to znosi, kiedy ma o kim myśleć. Nie kocham jej... kocham tylko gwiazdy, ale bardzo ją polubiłem. Jest taka dzika, przypomina nieznaną łódź. To niepojęte, lecz jest nam ze sobą bardzo dobrze. No i moje ubrania przestały porastać pleśnią – odkrywa słoneczne strony trwałego związku.

Wznosimy jeszcze raz toast za zaręczyny Kaya z rudą niepokorną kotką, którą ktoś tak dziwnie nazwał.

– Mam ważną sprawę, muszę pojechać do miasta na kilka godzin. Na czas mojej nieobecności powierzam panu, pierwszy oficerze, odpowiedzialne zadanie. Będzie pan pilnował naszych skromnych zapasów spoczywających w tej skrzynce. Żeby dodać panu odwagi przy pełnieniu tak odpowiedzialnej funkcji, oddeleguję tu jeszcze jednego oficera – kończy uroczystość, wstając energicznie z podłogi.

Zgarnia z biurka jakieś papiery i już jest przy drzwiach. Porusza się z energią kulistego pioruna. Zapowiada się na świetnego, zdecydowanego dowódcę.

Po jego wyjściu ogarnia mnie niepokój. Tak długo wyczekiwana chwila naprawdę się zbliża. Od kiedy tu jestem, zbyt często ocierałem się o anonimową śmierć, żeby jeszcze pamiętać cel tego wszystkiego. Muszę opanować podniecenie, nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. Niezrównoważona psychicznie Wielka Krowa może w każdej chwili zmienić lub odwołać cały program. Czy dziewczyny Ady zdążą mnie wtedy ostrzec i ułatwią ucieczkę? Ale jeżeli ten cały Biały Wieniec jest tylko dziecięcą konspiracją? Lepiej nie zapominać o facecie, który pcha wózek z kuchni. Pora znaleźć jakiś schowek i przygotować trochę zapasów. Muszę także przygotować plan ucieczki w razie najgorszego – postanawiam.

Od czarnych myśli odrywa mnie ciche skrzypnięcie drzwi. Podnoszę wzrok, spodziewając się uśmiechniętej Iwicz. W drzwiach pojawia się jednak zupełnie inna twarz – na jej widok szklanka o mało nie wypada mi z ręki. To Peter! Przez chwilę gapię się na jego roześmianą od ucha do ucha gębę. Wchodzi do środka, ciągnąc za sobą jakąś wielką pakę. Za jego plecami dostrzegam Iwicz i jeszcze jakąś ciemnoskórą dziewczynę.

Przesuwam się, żeby obca strażniczka nie dostrzegła butelki. Pierwsza odzywa się Iwicz, przekonując swoją koleżankę:

– Chodź, stara, niech sobie pogadają. W oknach są kraty, nie mogą nawiać.

Druga strażniczka patrzy na nią niezdecydowana. Pęka dopiero wtedy, kiedy Iwicz obiecuje, że pokaże jej nowe cienie do powiek. Najwyraźniej aż się pali, żeby podzielić się z koleżanką cennym łupem. Peter stoi tymczasem w swoim ubranku w kolorowe baloniki zawieszzone wśród białych obłoczków, a jego ruda szpetna gęba płonie niegasnącym uśmiechem.

Gdy dziewczyny znikają za drzwiami, Peter podchodzi i siada po turecku naprzeciwko mnie. Nalewam mu whisky do szklanki Kaya. Bur długo wacha trunek, później pochłania od razu połowę szklanki. Nieludzka rozkosz sprawia, że jęczy i sapie niczym stara kokota, której ślepy traf podsunał naiwnego młodzianka z bogatej rodziny.

Patrzę na jego twarz, przeciętą świeżą blizną od czoła poprzez oczodół aż do połowy prawego policzka.

– Peter, masz imponującą gębę – wyrażam swój podziw.
– Wiesz, że jeszcze niedawno frajerzy, którzy bali się prawdziwej szermierki, fundowali sobie za grube pieniądze takie ozdoby? Rwali w ten sposób panienki. To znaczy na

studiach w Heidelbergu.

– Ja sobie tego nie zamawiałem za opłatą, tej i kilku innych. Pal zresztą licho te krechy, nie ma o czym gadać – mówi, przerywając co chwila niecierpliwymi siorbnięciami.

– Możesz nadawać otwartym kodem, Kay zadbał o zagłuszanie. Dzięki temu nasze opiekunki odbierają tylko jakieś duperele i szum wody w klozecie.

Peter rozgląda się po pokoju.

– Jeżeli tak, to moje brylanty wiszą tam, gdzie trzeba... co godzinę sprawdzam. Ale przeżyłem chwilę grozy. Dosłownie w ostatnim momencie zjawiała się jakaś ważna baba z prokuratury. Zrobiła straszliwą awanturę, machając jakimiś papierami. Wywiozły mnie pod strażą do ośrodka w jakiś podziemiach... nie mam pojęcia, gdzie. Tam było nawet znośnie, leżałem sobie w szpitalnej izolatce, a później w pojedynczej celi z dużym okratowanym oknem. Nikt się mnie nie czepiał i dostałem nawet sztangę. Ćwiczyłem do upadłego. Teraz jestem w takiej formie, że gdyby podeszły do mnie z pałkami, musieliby odklejać baby od ściany centymetr po centymetrze.

Milknie, macając się po kroczu.

– Mówisz, że rwali cizie na szramy. Po tym, co widziałem, cizie na długo wywietrzały mi z głowy. Widziałem kolejkę do wiwisekcji – łamie mu się głos.

Podaję mu papierosa i dolewam whisky. Peter zapala i zaciąga się łapczywie. Popija małymi łykami.

– Ja na razie przeżyłem. Ale reszta? To ludobójstwo, masowa zbrodnia. Dobrze, że są jeszcze tacy ludzie jak ty, chcę ci podziękować...

Nie pozwalam mu skończyć. Kopię go w łydkę, aż spada mi tenisówka.

– Kapitan Hansen zabronił używania tego słowa wśród

załogi, pod karą przewietrzenia tyłka w otwartym kosmosie – ostrzegam przyjaciela.

– No dobra, masz u mnie ostrą kolejkę, jak się odkuję. Na razie muszę raczyć się twoją, Hubercie.

– To nie jest moja wóda, tylko nasza, czyli załogi „Hekate”. Rozumiem, Peter, że jesteś w bandzie? – pytam, stukając swoim szkłem w jego szklaneczkę.

– Jestem dowódcą grupy zwiadowczej. Mam prowadzić zasrańców na rozpoznanie na jakimś zadupiu, sto razy dzikszym niż środek Antarktydy. Robiłem to wiele razy na pustyni, dam sobie radę – stwierdza z powracającym optymizmem w głosie.

– Jako pierwszy oficer witam pana na wirtualnym pokładzie. – Długo i serdecznie ściskamy sobie dłonie. – I mam nadzieję, że jeśli ten lot to propagandowa lipa, mogę na ciebie liczyć.

Peter kiwa głową.

– Jasne, w razie czego będziemy stąd spieprzać choćby przez żelbetonowe ściany. Jako starszy stopniem daj tylko hasło, kiedy – potwierdza.

Peter z ochotą nadrabia braki podstawowych witamin oraz nikotyny we krwi. Nalewam mu znowu pełną szklanekę, Peter zasysa menisk i z wyprostowanym serdecznym palcem wznosi toast:

– Niech tę żółtą rurę przeleci wściekły jeżozwierz.

– Niech! – zgadzam się.

– Dobra, Hubert, jeszcze na czwartą nogę i idę, bo zamienię się w stonogę. Nie możemy przesadzać – postanawia.

Spełniam jego prośbę, obserwując pokaz prawdziwego pijackiego kunsztu. Odzwyczajony od trunków Bur pomimo swojej wagi ma ostro w czubie. Wstaje z podłogi. Nagły cios

alkoholowego trzęsienia mózgu płacze mu nogi. Opiera się o łóżko Kaya.

– Na żyrafie gównu, tego mi było trzeba! Wiesz, Hubert, z jakiej wysokości sra żyrafa? Z takiej, że może jednym pączkiem rozwalić łeb każdego gównojada – odpowiada sam na frapującą zagadkę.

– To tylko mrówczy strzał. Zapominasz o pilotach wysokościowych balonów. Ich bomby mogą skruszyć metrowy strop Muzeum Ucisku i Nietolerancji. Lotnicy zawsze górą! – stawiam na swoim, oddając cześć powietrznej braci.

Peter trzyma pion, koncentrując się ze zmarszczonym czołem.

– Racja. Cześć, Hubercie – mówi i rusza chwiejnie w kierunku drzwi. Nagle zatrzymuje się i wali z płaskiem otwartą dłonią w czoło. – Błogosławiony zanik pamięci! Kiedy stamtąd wychodziłem, czekała na mnie tamta prokuratorka. Dała mi to i powiedziała, że będziesz wiedział, od kogo – przypomina sobie, wyciągając zza gumki spodenek jakąś kopertę.

Rzuca ją na podłogę obok mnie. Nie widzę, jak wychodzi, patrzę na pomięty papier jak na kolejny list zza grobu. Wewnątrz koperty wyczuwam jakiś twardy prostokąt. Po chwili trzymam w palcach fotografię i zatapiam się w tamtym dniu, kiedy siedzieliśmy na ławce w szpitalnym parku. Ada ma rozchylone usta, mówi coś, głaszcząc mnie po włosach. Światło przenika przez jej przezroczystą bluzkę, jej dłoń jest biała jak alabaster. Zaginam fotografię, żeby siedzący obok niej wymoczek w szpitalnej piżamie zniknął z tyłu. Nie chcę go oglądać... chcę patrzeć tylko na nią. Chcę mieć tę fotografię zawsze przy sobie. Ada, Ada, jesteś wiecznym żalem, wieczną stratą, o której nigdy nie zdołam zapomnieć.

Wzruszony, chowam zdjęcie z powrotem do koperty i moje palce natrafiają na małą karteczkę. Odczytuję napisane na niej w pośpiechu tylko jedno słowo: „Przepraszam”.

Po farsie w sądzie wróg Ady, pani prokurator, nie mogła dłużej sycić się władzą. W kabarecie nie ma miejsca dla poważnych ról. Widocznie przestało jej to smakować. Ale kto pomógł Peterowi? Ona, Biały Wieniec czy Kay? A może wszyscy? To zresztą bez znaczenia, najważniejsze, że drań jest cały – myślę, chowając kopertę do kieszeni bluzy.

Alkohol i wzruszenie zaczynają mnie rozklejać. Chcę wracać do siebie. Na szczęście Iwicz jakby czytała w moich myślach. Zjawia się, kiedy chowam pustą butelkę do skrzynki. Zawiadamia mnie, że Kay wróci dopiero w nocy. Ja mogę trenować, ile chcę, albo poczytać coś u siebie w celi. Wybieram celę i tablice gwiazdne.

Staram się iść prosto, pewnym krokiem, zagadując Iwicz, lecz ona milczy uparcie. Czuję, że coś ją męczy. Kiedy jesteśmy na miejscu, Iwicz siada na moim materacu, wtulona w róg celi. Nie mogę dłużej wytrzymać.

– Iwicz, co się stało? Jak wiesz, jestem nikim, ale może zdołam ci jakoś pomóc?

– Miałaś kobietę, taką na stałe, Hubert? – pyta.

Jestem zdziwiony. Zawsze zwracała się do mnie per „kapitanie” albo mówiła bezosobowo.

– Miałem żonę, którą bardzo kochałem. I inne kobiety też – łapię się na tym, że odpowiadam machinalnie. Naprawdę myślę teraz o Adzie.

Iwicz wierci się na materacu, podciąga kolana.

– Przyszła zgoda na nasz ślub. Te z sekretariatu natychmiast wszystko rozpadła. To mnie mało obchodzi, tylko słyszałam od koleżanki, a wcześniej to samo od innych... – milknie na chwilę. – Powiedz mi, te twoje kobiety

na pewno ci mówiły... Czy to naprawdę tak straszliwie boli?
– wyrzuca z siebie z desperacją w głosie.

– Co ma tak straszliwie boleć? Nie rozumiem.

– No jak to co? Dziewictwo w noc poślubną, a niby co innego? Powiedz, ty na pewno wiesz. Tak się boję! Nie chcę, żeby mnie straszliwie bolało. Lubię Kaya i lubię czuć go w środku, ale jeśli ta noc poślubna to takie tortury... to już sama nie wiem.

Szybko wstaję z mojego taborecika. Odwracam się udając, że otwieram uchylony lufcik. Później długo szukam papierosów i zapalek. Ten czas pomaga mi jakoś zapanować nad wzbierającą salwą śmiechu. Pytam, starając się, żeby mój głos brzmiał mądrze i dostojnie:

– Nie rozmawiałaś o tym z matką?

Iwicz kuli się jeszcze bardziej, opuściły ją resztki odwagi. Mówi cicho do swoich kolan, tak że ledwo mogę rozróżnić słowa:

– Ona wcale ze mną nie rozmawiała. Zostawiła mnie. Zabrali mnie do sierocińca, a później do szkoły z koszarami.

Siadam z powrotem na taborecie, zapalając papierosa. Już nie chce mi się śmiać.

– Teraz rozumiem, Iwicz. Zapewniam cię, że twoje koleżanki chcą ci tylko napędzić strachu. Nie masz się czego bać, możesz mi wierzyć. Jeżeli Kay bardzo cię lubi, a ty jego, to dziewictwo nie boli nic a nic. Jeżeli cię okłamałem, możesz walnąć mnie trzy razy prądem z twojej pałki, gdzie tylko zechcesz. Zgoda?

– Mogę w nerki? – pyta, patrząc mi uważnie w oczy.

– Naturalnie, kochanie – odpowiadam z czułością.

Iwicz wstaje z materaca. Bez słowa, z niewinnością małego dziecka podchodzi i siada mi na kolanach. Obejmuje mnie za szyję ramionami. W uchu dudnią mi jej słowa.

– Jesteś taki dobry.

Siedzimy, kołysząc się lekko.

– Ale jak kłamiesz, to tak cię walnę... – mówi groźnie, lecz czuję, że mi uwierzyła. – A tym wrednym sukcom wrzucę jutro do owsianki pogniecione karaluchy – planuje zemstę, wstając z moich kolan.

W drzwiach odwraca się jeszcze na chwilę.

– Nie, nie walnę cię. Przyjdę tu i będę długo płakać.

Później, zatopiony w samotności, studiuje w ciszy konstelacje gwiazd tak dalekich, jak tamte moje motyle dni. Staram się myśleć o ich blasku, który zbudził w nas wieczną, przekłątą tęsknotę. Zmusił nas do stworzenia bogów i pisma, do odkrycia żelaza. Próbuje je sobie wyobrazić, ale widzę tylko skuloną w kącie pokoju, przestraszona Iwicz.

Kobiety.

Wy, gwiazdy, jesteście tylko samotnymi latarniami w bezgranicznej pustce. Kobiety są tajemnicą – obok nas i zarazem tak odległe, tak niepojęte. Zawsze miały nad nami magiczną władzę. Nawet ich nieobecność zmuszała do tego, żeby ciągle o nich myśleć. Zostaliśmy stworzeni właściwie tylko po to, żeby je chłonać napiętymi zmysłami. Niczym rafa obmywana przez morskie fale, niczym drzewo smagane pachnącym wiatrem.

•

Rano mamy trening kondycyjny. Niczym banda przerośniętych białych żab taplamy się w zniszczonym basenie, wypełnionym zielonkawą wodą. Z galerii na górze obserwują nas kobiety, które akurat mają czas wolny od służby. Słyszymy głośne uwagi na nasz temat, ale zdążyliśmy już do tego przywyknąć. Płynę dostojnie obok Petera.

Trenerka, młoda dziewczyna, na początku próbowała dyktować nam tempo, ale szybko wybiliśmy jej to z głowy. Speszona gromadą gołych facetów, tylko udaje, że panuje nad przebiegiem zajęć. To w końcu ich problem. Kay kilka razy naciskał na administrację, żeby wreszcie wydano nam kąpielówki. Nic z tego, na razie musimy udawać topmodelki, co niektórym z nas sprawia wyraźną frajdę.

– Czuję się jak w delcie Okawango, nie jest źle – chwali zajęcia Peter.

– Chyba tylko dla nas, kosmonautów, mają tutaj takie luksusy. Trzeba na nie zapracować. Właśnie, Peter, za co tu właściwie trafiłeś? – pytam.

Obok przepływa właśnie Sacharoza, ich ogolone głowy podskakują na falach niczym rybackie boje. Peter chce odpowiedzieć, ale połyka falę z tryliardem bakterii. Odbijamy się od ściany basenu i żeglujemy w drugą stronę.

– Jestem tu za zęby faceta, z którym pracowałem w parku Masai-Mara, i za róg – odpowiada.

Teraz ja raczej się porcją przecieru ze skisłych glonów.

– Jak to? Przeleciałeś mu żonę i jeszcze dałeś w szczękę? – męczę go dalej.

– No, za róg nosorożca. To był stary poczciwy Sam, jeden z pięciu ostatnich w parku czarnych nosorożców. Był łagodny, wozilem nawet na nim dzieciaki. – Bierze kilka głębokich oddechów. – Ale jeden gnojek obiecał Chinolom jego róg, a raczej kikut, bo dla bezpieczeństwa obcinaliśmy rogi już młodym osobnikom. Rozumiesz, Chinole mają obsesję na punkcie swoich małych fiutów. Tym wypierdkom zdaje się, że sproszkowany róg działa na rozmiary i potencję. Płacą za taki proszek dosłownie każde pieniądze... jakby ich, kurwa, było jeszcze za mało na świecie!

Z wściekłości zachłystuje się wodą. Prycha przez chwilę

niczym rozjuszony kaszalot. Robimy kolejny zwrot.

– Jak chcą mieć knoty do nieba, to powinni wpięprzać mielone słupy trakcyjne – ciska się dalej.

– No i co z tym Samem? – przerywam mu.

– Ta szumowina Victor chciał mieć pretekst, żeby zastrzelić Sama zgodnie z przepisami. Wsadził mu więc w tyłek świeżo ugotowany kartofel. Biedny Sam z bólu rozwalił swoją szopę i ogrodzenie. Miotał się jak oszalały. Wtedy tamten go zastrzelił. Stary Sam, kiedy zdychał, wypuścił z tyłka ten ziemniak. Domyśliłem się od razu, o co chodziło, i dorwałem gnoja. – Peter nagle milknie.

– I co? – pytam, znowu połykając zielone glutę.

– Wsadziłem mu ten kartofel w gębę i przywaliłem kilka razy. Wbiłem mu ten zasrany ziemniak razem z zębami w podniebienie. Gówniarz jakoś przeżył, a mi dali piętnaście lat. To było akurat wtedy, kiedy Afryka podpisała z Europą konwencję o walce z rasizmem. Victor był czarny jak największa nadzieja ludzkości. A ja skończony. Wysłali mnie na ciężką odsiadkę do Maroka, później na resoc w Europie.

– Żałujesz, Peter?

– Tak, że nie załatwiłem go w buszu – odpowiada i nurkuje.

Kiedy wynurza się koło ściany, znów jesteśmy razem. Pocięszam go klepnięciem w ramię.

– Nie łam się, ten statek osiąga szybkość światła. Tu na Ziemi twoja odsiadka skurczy się do kilku kwadransów.

– Jasne, przez tego skurwiela będę szybszy od błysku gołej dupy w bambusowych chaszczach. Zawdzięczam mu awans – przyznaje, poruszony wspomnieniami.

Widzę, że zjawiała się Danielle. Czekam, kiedy rozlega się gwizdek oznajmiający pięciominutową przerwę, podpływam do niej. Danielle przykucnęła na obramowaniu basenu z

podciągniętymi na uda brzegami fartucha. Wynurzam się u jej stóp niczym tresowany delfin.

– Otwórz usta – mówi dziewczyna, wyciągając rękę.

Dostaję pół garści żelowych witamin, które dobiera specjalnie dla mnie.

– Mam zaklaskać płetwami czy przynieść piłeczkę dla pani treser? – pytam, przełykając resztę słodkich żelków.

– Nie musisz, ale bardzo chciałabym cię pogłaskać, foczko. Nie, przepraszam... słoniu morski. Przytyłeś, już ci nie wystają żebra, wyglądasz całkiem, całkiem – odpowiada z uśmiechem.

Proszę ją, żeby dowiedziała się czegoś o Elzie i chłopcu. Ursula natychmiast poważnieje.

– To, o co mnie prosisz, jest bardzo trudne i nie wiem, czy zdążę. To tajemnica, więc bądź dyskretny – zniża głos do szeptu. – Niedługo leciecie, to już pewne. Zostało mało czasu na odnalezienie tej pielęgniarce, ale zrobię, co będę mogła – obiecuje, dając mi flakonik witamin dla Petera.

– Dziękuję, Danielle.

– Dla ciebie wszystko, złota rybko – mówi, odchodząc.

Po naszej rewii na basenie i obiedzie w celach Iwicz prowadzi mnie do pokoju Kaya. Jest tu u siebie, bez skrzepowania zdejmuję kombinezon. Pod nim nosi białą koronkową bieliznę. Jest śliczna, Kay dokonał świetnego wyboru. Zakłada letnią sukienkę w kolorowe kwiaty.

Później przed lusterkiem na ścianie rozczesuje gęste rude włosy. Jeszcze przez chwilę patrzę na nią, ciesząc się namiastką domowej atmosfery. Potem siadam za biurkiem kapitana, patrząc z obawą na walec wirtualnego komputera. Przyklejam do podniebienia przezroczysty przekaźnik. Płytką połączy nadajnik komputera z moim zmysłem słuchu, węchu i smaku. W rozwiniętych opcjach może także przesyłać

impulsy bezpośrednio do mózgu, dając złudzenie aktywnego ruchu całego ciała. Nie decyduję się na ekrany narogówkowe, w opcji dla frajerów to zbędne. Mam tremę jak cholera, taki wirtual widziałem tylko raz na wystawie w centrum handlowym. Cena była astronomiczna, drożej kosztował tylko niedostępny jeszcze w sprzedaży wirtual obejmujący całe ciało. Próbuję przypomnieć sobie wszystko, co o nich czytałem.

Tymczasem Iwicz pełni honory domu: na biurku pojawia się filiżanka parującej herbaty. Nie mogę jej teraz pić, lecz i tak jestem wdzięczny gospodyni, która znika w wielkim fotelu z naręczem starych ilustrowanych kobiecych pism. Słuchając szelestu przierzucanych stronic, zakładam zwyczajne wizyjne gogle i rozpoczynam bój ze sztuczną inteligencją.

Wsuwam dłonie do wnętrza walca. We wgłębieniach znajduje się rodzaj miękkich rękawic, czuję przez nie opór cieczy o konsystencji gliceryny. Przemieszczająca się pod ciśnieniem ciecz za pośrednictwem siatki czujników i mikroturbin na wewnętrznych ścianach walca symuluje i przewodzi bodźce dotykowe oraz chłodzi układ. Poprzez płyn dotykam ostrożnie dwu gąbczastych półkul, stanowiących odpowiednik klawiatury. W głębi znajduje się jeszcze sfera pamięci rozmiarów piłki tenisowej. Kula ma strukturę cebuli. Jej wnętrze wypełniają coraz mniejsze sfery połączone rurką osi, wzdłuż której poruszają się czytniki. Pozwala to na uzyskanie powierzchni zapisu miliony razy większej niż płaski dysk.

Włącznik to jedyny mechaniczny przycisk w całym komputerze. Reszta operacji odbywa się na czułych półkulach gąbek, które można objąć dłonią, oraz przez odpowiednie ułożenie rękawic i poszczególnych palców.

Wcisgam starter. Przed oczami rozbłyskuje logo firmy Mag-tech. Charakterystyczny znak dwóch granatowych sześciokątów połączonych linią krąży swobodnie w holu nowoczesnego biurowca, stylizowanego na wnętrze dziewiętnastowiecznej giełdy. Przestrzeń wypełnia zapach czystości oraz drogich kosmetyków eleganckich kobiet, stukających obcasami po marmurowej posadzce. Mężczyźni ubrani są w garnitury, ich przylizane włosy błyszczą od żel. Pracownicy i interesanci mają przyklejone do twarzy lalkowate uśmiechy istot nieskończenie szczęśliwych, że dane im było znaleźć się w tym miejscu. Muszę wejść głębiej. Naciskam lekko gąbkę i... siadam z rozmachem na marmurze. Widzę szczyty swoich gołych kolan i przedramiona z kawałkiem rękawa mojej własnej koszulki.

Jakiś facet z przezroczystą, pełną papierów teczką zatrzymuje się obok mnie. Wyciąga rękę, jakby chciał pomóc mi wstać.

– Za silnie naciskasz, dotykaj delikatnie, muskając kursor kciukiem i palcem wskazującym – poucza mnie uprzejmym głosem.

– Trzymaj się przynajmniej dwa metry od mojego kursora, żigolaku – odpowiadam, wściekły.

Facet czeka, dopóki nie wstanę o własnych siłach z podłogi. Oddala się z niezmiennym uśmiechem, pozdrawiając mnie gestem dłoni.

– Palant – wyrywa mi się na głos.

Po chwili gnam przez hol w kilkumetrowych kangurzych skokach. Hamuję dopiero na plecach jakiejś ślicznotki w kapelusiku przypominającym okrągłe ciastko, oblane opalizującym lukrem. Czuję wyraźnie na dłoniach opór jej łopatek i ciepło jędrnego ciała. Dziewczyna zbiera szybko rozrzucone papiery, odwraca się zaczynając litanie

przepraszam. Jestem pod wrażeniem możliwości tego sprzętu. Dotykam ostrożnie jej łokcia.

– Co pani robi po pracy? – pytam.

– Jestem całkowicie do pana dyspozycji – odpowiada, patrząc mi w oczy.

– Tak zupełnie?

– Dopóki nie zmieni pan opcji – mówi kokieteryjnie, przyciskając wstydliwym gestem dokumenty do piersi.

– Jestem tu pierwszy raz. Kiedy nabiorę wprawy i trochę się rozejrzę, wpadnę do ciebie – obiecuję.

Nie wiem, czy mi się zdaje, ale zawiedziona dziewczyna lekko wzdycha. Poprawia włosy i odwraca się jeszcze, znikając w anonimowym tłumie.

Pieprzyć sentymenty, to tylko program, swobodne elektrony uwięzione w okowach ludzkiej mentalności – pocieszam się. Podejmuję dalszy marsz. Poruszanie się po eleganckim wnętrzu wkrótce przestaje sprawiać mi problemy. W dalszym ciągu nie wiem jednak, czego szukam.

– Gdzie tu jest jakaś informacja!? – pytam głosem wołającego na puszczy.

W moją stronę zwraca się setka uprzejmych twarzy.

– Proszę ze mną do biblioteki – mówi dziewczyna w staroświeckich okularach i szarym swetrze, która nie wiadomo skąd pojawiła się obok mojego ramienia. – To tam.

Szara niczym mysz bibliotekarka wskazuje ramieniem na ceglana ścianę. Kiedy robię krok, na ścianie pojawiają się drzwi ze stosowną tabliczką: „Biblioteka”.

Wchodzimy do środka. Wnętrze jest gigantyczne, sklepienie sięga do wysokości kilkunastu pięter, niebotyczne ściany zabudowane są setkami tysięcy drewnianych szafek z katalogami.

– Koniec, zdechnę tu z głodu, zanim cokolwiek znajdę –

skarżę się na głos.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że chcesz jeść? – słyszę z realnego świata zatroskany głos Iwicz.

– Nie przejmuj się, rozmawiam z maszyną.

– Aha, ale jak skończysz, i tak zrobię ci kanapkę – postanawia w chwili, gdy pachnąca starym papierem bibliotekarka delikatnie dotyka mojego ramienia.

Wskazuje na niepozorny stolik pod ścianą. Stoi na nim najprawdziwszy starożytny pecet. Jestem w domu! Po chwili odpalam zabytek wpisując hasło: „Hekate”. Gigantyczny katalog znika w wirtualnej głębi, ustępując miejsca korytarzowi, wzdłuż którego ciągnie się nieskończony szereg drzwi. Idę w bezludnej ciszy pod pobłyskującymi świetlówkami, wpatrując się w mosiężne tabliczki. Na wszystkich mijanych do tej pory widnieje napis: „Wstęp tylko z kluczem”.

W końcu docieram do drzwi bez ostrzegawczej tabliczki. Z niecierpliwością łapię za klamkę, lecz drzwi okazują się na głucho zamknięte. Szamocę się z nimi, próbuję nawet pukać i kiedy już rezygnuję, ktoś otwiera je od wewnątrz.

Oślupiałą, patrzę na opartą biodrem o framugę, zupełnie naga Iwicz z rozpuszczonymi włosami. Skromnie spuszczam wzrok na wysokość jej złotawego łona, a nieskromna piękność nagle przemawia do mnie głosem Kaya:

– Spadaj, to prywatny katalog. Szukaj hasła: „Hasta”, napalony zgredzie.

Kay-Iwicz zamyka drzwi, zostawiając mnie z rozdziawioną gębą. Widok pięknej Iwicz rozkojarzył mnie, włąkę wprost na ścianę, później robię kilka długich skoków, zanim wpadam na właściwe drzwi. Stoję, patrząc na tabliczkę z groźną, tajemniczą nazwą. Nie mogę się doczekać. Wyciągam dłoń do klamki – ale to jeszcze nie koniec

popisów mojego dowódcy. Te drzwi także otwierają się same, ale zamiast miłej niespodzianki czeka mnie horror. Niczym diabeł z pudełka, wyskakuje stamtąd nasz prześladowca z gębą buldoga. W pysku trzyma swój nieodłączny gwizdek, którego wibrujący dźwięk przewierca mi uszy.

– Padnij i biegiem, Jugenmann! – ryczy głosem mordercy.

Zanim dociera do mnie, że tyran jest tylko elektronicznym fantomem, kulę się w obronnej pozycji. Trenerka odwraca się i ściąga spodnie od dresu, bijąc w oczy oślepiającym blaskiem jaskrawo cytrynowych majtek.

– Jak chcesz tu wejść, musisz klepnąć mnie w pupcię, Huberciku – zmienia ton na zalotny słowiczy trel.

– Kay, ty fałszywa świnió! – wrywa mi się na cały głos.

– No to będzie bolało! Oszukałeś mnie! Oszukaliście mnie, Pierwsza Matka ma zawsze rację! – wraca do swoich lęków ogarnięta paniką Iwicz.

Chcąc w końcu poznać tajemnicę, walę z rozmachem w żółty tyłek.

– Będzie bolało, ale nie ciebie, tylko Kaya! – uspokajam narzeczoną tego kretyna.

Tymczasem pojękująca z rozkoszy trenerka podciąga z lubieżnym uśmiezkiem bawełniane spodnie i wpuszcza mnie w końcu do środka. Wchodzę do czarnego pomieszczenia, oświetlonego kilkoma punktowymi reflektorami.

Na wysokim podium tkwi, odbijając blask reflektorów, przyczajony w mroku twór.

Błękitnawoczarny ładownik czeka na rozkaz do skoku na podwoziu ugiętym pod ciężarem porcelitowego cielska. Nawet uśpiony, poraża mocą. Nie przypomina niczego, co widziałem do tej pory. Wydaje się zbyt potężny, żeby mógł

się unosić w gazowej atmosferze. Podchodzę bliżej. Czuję zapach smarów, lakierowanych kompozytów i czegoś nieuchwytnego, jakby tęsknoty za przestrzenią, którą emanuje maszyna.

Kadłub przypomina ręczną wiertarkę giganta, do której jakiś szalony konstruktor przymocował przysadzisty statecznik pionowy oraz krótkie, zakończone walcami silników odrzutowych skrzydła. Trzeci silnik, zamontowany w obejmie o kształcie poziomej podkowy, tkwi na końcu kadłuba. Trenerka usłużnie informuje mnie o parametrach maszyny:

– Długość kadłuba dwadzieścia dziewięć metrów, wysokość dziewięć. Waga z paliwem dwieście pięćdziesiąt ton w warunkach ziemskiego przyciągania. Trzy silniki turbogazowe nowej generacji. Wszystkie są wychylne, co umożliwi pionowy start i lądowanie. Start z badanej planety odbywa się za pomocą silników głównych lub w warunkach większej grawitacji przy pomocy wspomagających silników raketowych jednorazowego użytku.

Podchodzimy do lądownika od strony ogona. Trenerka wskazuje na czarny, głęboki jak studnia wylot dyszy. Znajduje się w niej dziwny pierścień o średnicy dwóch metrów.

– Tylne silniki, podobnie jak inne, wychyła się dzięki ruchomemu mocowaniu o dziewięćdziesiąt stopni.

Jestem pod wrażeniem.

– Słyszałem, że to silniki nowej generacji. Jak działają? – pytam, patrząc na ażurowy wychylny kołnierz, sterujący odrzutem gazów.

Trenerka tworzy w przestrzeni nad swoją dłonią trójwymiarowy przekrój techniczny silnika.

– To silnik z dodatkową zewnętrzną komorą spalania.

Układ ma dwie komory spalania, zewnętrzna otacza wewnętrzną. Dwa przeciwbieżne wieńce turbin za komorami wprawiają strumienie gazów spalinowych w ruch wirowy. Jak widzisz, także dysza wylotowa jest przedzielona pierścieniem na dwie komory. Tak więc strumienie gazów, które z nich wypadają, wirują w przeciwległych kierunkach jeden wewnątrz drugiego. Pomędzy wirującymi strumieniami znajduje się wolna przestrzeń, w którą tłoczony jest tlen. Powierzchniowe tarcie wirujących rozgrzanych gazów wytwarza dodatkową energię, potrzebną do zmiany tlenu w plazmę. To zwiększa moc odrzutu o kilka razy w stosunku do normalnego silnika odrzutowego tych rozmiarów. Można więc powiedzieć, że właściwa komora spalania znajduje się poza silnikiem, a jej korpusem są ściany wirującego rozpalonego gazu – wyjaśnia, wpatrzona w tryskający jęzorem ognia model wirtualny.

– Zewnętrzna komora spalania ze ściany gazów. Nieźle! – z trudem ukrywam podniecenie.

– Przy takiej mocy jednostka może startować z Ziemi, mając kilka razy mniej paliwa niż klasyczne wahadłowce. „Hasta” jest właściwie niezależnym statkiem kosmicznym, zdolnym penetrować Układ Słoneczny – podpowiada usłużnie trenerka. – Może lądować na powierzchni większości planet o stałej powierzchni, nawet tam, gdzie istnieje chociaż mały kawałek równej powierzchni.

– Jak?

Nad dłonią trenerki pojawia się nowy przestrzenny model.

– Statek może lądować na własnym podwoziu jak każdy wahadłowiec. Wymaga to lądowiska o płaskiej, równej powierzchni, jak pustynia albo zamrznięty gaz lub ciecz. W wytraceniu szybkości pomagają hamulce aerodynamiczne

umieszczone w usterzeniu pionowym oraz hamulec otwierający się jak parasol pod przodem kadłuba. Jeżeli teren jest nierówny, lądownik przyziemia na spadochronie typu Retikulum. Jest to latające skrzydło zbudowane z sieci pustych w środku polimerowych rurek. Polimer jest odporny na działanie skrajnych temperatur, bardzo rozciągliwy i lekki. Włókna krzyżują się w pustych wewnątrz kulkach z tego samego materiału, co umożliwia swobodny przepływ gazu w ich wnętrzu. W miarę opadania w zależności od ciśnienia atmosferycznego planety zwiększa się ciśnienie gazu w rurkach, co umożliwia płynne hamowanie i zabezpiecza przed zerwaniem spadochronu. Włókna mogą kilkakrotnie zwiększyć swoją średnicę, aż do całkowitego zamknięcia szczelin w czaszy.

– Można nią sterować?

– Do czaszy przymocowane są naciągi, których długość można zmieniać za pomocą bębnow w kadłubie. Umożliwia to dużą precyzję kierowania lotem – odpowiada, demonstrując odpowiedni przekrój. – Jeżeli planeta lub księżyc ma słabą grawitację i rozrzedzoną atmosferę lub nie posiada jej wcale, lądowanie odbywa się za pomocą ustawionych pionowo silników głównych – wyjaśnia, prowadząc mnie w kierunku płata zakończonego obłym korpusem silnika. – Płat ma zmienną powierzchnię nośną. Jego część skrajna jest wysuwana teleskopowo, co umożliwia zmianę powierzchni w zależności od gęstości atmosfery o dwadzieścia pięć procent.

Podchodzimy do kadłuba na wysokości podwozia. Wąskie koła o wysokości dwu metrów są połączone po cztery wspólną osią, tworząc rzędy walców po obu stronach kadłuba.

Trenerka odgaduje moje myśli.

– Większa ilość kół przydaje się w razie przebicia którejs opony.

Idąc wzdłuż kadłuba, zbliżamy się do kabiny pilotów o oknach zasłoniętych czarnymi matowymi przesłonami. Patrząc na namalowane poniżej godło. To purpurowa, prostokątna rzymska tarcza przecięta złotymi błyskawicami, nad którą wznosi się muskularne ramię, ściskające włócznie. Ponad godłem widnieje napis złożony ze złotych liter o rzymskim kroju: HASTA Tak nazywała się włócznia legionisty.

– Jesteś piękna, włócznie – mówię na głos. – Chcę wejść do kabiny.

Kobieta zdobi swą szpetną twarz zalotnym uśmiechem.

– Żeby tam wejść, musisz mnie pocałować, żołnierzyku.

Mam już dosyć tych wygłupów.

– Masz otworzyć wejście, prowadź! – rozkazuję.

Trenerka odpowiada głosem Kaya:

– Na dzisiaj wystarczy, Hubert. Nie znasz jeszcze programu, a dalsze stopnie wymagają bezpośredniej aktywacji mózgu. Wracaj na ziemię.

Ma rację. Do tego poziomu trzeba przyzwyczajać się stopniowo. Wracam na korytarz, pozostawiając w hali upiorną zjawę z tamtych przeklętych dni. Przed zamknięciem programu uruchamiam jeszcze pracującą w podczerwieni sferyczną kamerę. Ciało Iwicz tętni kolorowymi plamami, widzę jej bijące serce. Elektryczny czajnik wygląda jak rozpalony kocioł parostatku, tryskający purpurowym dymem.

Zdejmuję gogle, rozglądam się po pokoju, oswajam umysł z rzeczywistością.

– Chcesz jeszcze gorącej herbaty? – pyta Iwicz, patrząc na mnie z uwagą.

Potakuję.

– Cały czas gadałeś coś do siebie. Kay, jak przy tym

siedzi, jest cicho.

– Nie przejmuj się, nie odbiło mi. Rozmawiałem z tą maszyną i jednocześnie ze swoim alter ego – uspokajam ją.

Iwicz krząta się przy czajniku. Coraz bardziej przypomina normalną kobietę. Zamyślona, wyciąga wskazującym palcem ze szklanki jakieś paprochy.

– Cholerne papierowe ściereczki. To z tych waszych spodenek. Z alter kim? – dziwi się, nalewając świeży napar.

– To moje drugie ja – wyjaśniam, nie śmiejąc zapytać, czy swoje ściereczki robi z nowych, czy używanych elementów naszej garderoby.

Iwicz potakuje, nic nie rozumiejąc. Jej irytacja przejawia się energicznym dzwonieniem łyżeczki o ściany szklanki. Wyjaśniam jej dokładniej:

– Każdy człowiek ma takie. Jedno „ja” jest zazwyczaj złe, a drugie dobre, ale oba mieszkają w jednym sercu. To, które weźmie górę, zależy od wielu czynników, jak wychowanie, środowisko, charakter. Tylko ludzie święci lub oświeceni jakąś fundamentalną prawdą, nie pozwalającą na czynienie drugiemu krzywdy, mają dobre obie połówki duszy.

– A ja takie mam? – chce wiedzieć Iwicz, podając mi szklanke.

– Oczywiście. Powiem więcej, od pewnego czasu twoja lepsza połowa daje solidny wycisk tamtej złej – zapewniam.

– Tłucze tamtą złą pałką i trzaska prądem po kroczu? – interpretuje po swojemu wiadomość.

– Właśnie tak.

Iwicz, słysząc to, robi radosny piruet na jednej nodze i podbiega do lustra. Uśmiechnięta, długo podziwia odbicie dobra promieniującego z jej twarzy.

Z zamyślenia wyrывa mnie głos Kaya, którego gęba niespodziewanie pojawiła się w drzwiach.

– Cześć, grzeczne stokrotki. O czym tak sobie gruchacie?
– szczebioce, wchodząc do środka.

Widać, że spadł z niego straszny ciężar.

– Dyskutujemy sobie o dualistycznej strukturze ludzkiej natury, czyli alter ego. Iwicz robi postępy, a dobro zaczyna wypełniać złote naczynie jej duszy. Twoją natomiast zżera cuchnący robak dowcipów w fatalnym, prostackim guście. Ten numer z potworem w żółtych gaciach może stać się przyczyną mojej trwałej impotencji – skarżę się, siadając na łóżku koło Iwicz.

– To był test odporności na stres i przepyszny kawał. Obejrzałeś sobie lądownik, panie pierwszy?

– Daruj sobie, komendancie. Testy źle mi się kojarzą, ale poświęciłem się dla dobra sprawy. „Hasta” wygląda jak statek z Gwiezdných Wojen. Jutro chcę wejść do środka i obejrzeć dokładnie kabinę.

Kay otwiera naszą skrzynkę.

– Wspominałeś coś o złotym naczyniu, taka metafora działa na mnie jak bicz boży – stwierdza, podając mi szklaneczkę pełną po brzegi bursztynowego płynu.

Później, ze swoją szklaneczką w dłoni, całuje w czoło siedzącą obok mnie Iwicz.

– Myślałem o tobie, piegusie. Ostatnio często o tobie myślę. Martwi mnie to, chyba staję się sentymentalny, starzeję się jak nic – wyznaje jej miłość, kładąc na kolanach oblubienicy niebieską kopertę. – Proszę, zanieś swojemu dowódcy nasze kajdany. To oficjalna zgoda na nasz ślub.

Iwicz zrywa się jak oparzona, aż z mojej szklaneczki chlupie na podłogę.

– Zdejmij sukienkę, jesteś jeszcze strażniczką. I pamiętaj o naszej umowie – upomina ją Kay.

Iwicz zrzuca przez głowę cywilne ubranie. Podskakując

w pośpiechu na jednej nodze, zakłada swój szary kombinezon. Odwracam skromnie wzrok, nie widzę więc, jak wybiega. Słyszę tylko trzask zamykanych drzwi.

– Taaaak, kocham tylko gwiazdy, muszę to sobie częściej powtarzać. Ruda Iwicz jest dla mnie zbyt ziemską, rozumiesz, pilocie Jugenmann?

Wlewa w siebie alkohol i rozwala się na łóżku.

– Jak program? Nie miałeś problemów typu zawroty głowy lub zerwanie poczucia z rzeczywistością? – pyta.

– Na tym poziomie nie, ale jeśli mówisz, że to zabytek, nie potrafię sobie wyobrazić, na jakim sprzęcie pracowaliście u profesora – odpowiadam.

Kay kładzie palec na ustach.

– Zachowaj to dla siebie, a co do jego wynalazków, wkrótce dowiesz się wszystkiego. Lista jest już gotowa i pojutrze zaczynam szkolenia z kosmonautami. Co do tych, którzy niestety odpadną w najbliższym czasie, postawiłem sprawę na ostrzu noża. Zasańcy pojedą ekstra eszelonem do całkiem ludzkiego miejsca w obozie na Sycylii. Nie jestem oczywiście pewien, czy baby dotrzymają umowy. Będziemy zbyt daleko, żeby to sprawdzić. Tyle mogłem zrobić.

Wpatruje się w sufit z rękami założonymi za głowę. – Jeszcze coś mnie niepokoi. Jutro przyjeżdża tu doktor Jakub Pawłowski. To lekarz neurolog z ekipy naszego profesora. Wiem, że pracuje teraz dla Starej i jego przyjazd ma związek z naszym lotem. Chyba nawet się domyślam, o co chodzi – mówi, waląc mnie w ramię. – Hubercie, weź butelkę z naszych skromnych zapasów i nalej bez fałszywej skromności. Ostatecznie to mój kawalerski wieczór, a jutro będzie, co ma być. Nie musisz wracać dzisiaj do swojej celi... damy sobie gazu z panienkami, aż zadudni.

– Z panienkami? – pytam zdumiony.

– No jasne, że z panienkami. Widziałeś kiedyś kawalerski wieczór bez lasek? Wpadną tu z zapasami dwie całkiem niezłe sztuki. Będziesz mógł sprawdzić, jakie skutki wywarł na tobie ten traumatyczny wstrząs.

– A Iwicz? – pytam.

– Przyjacielu, jestem prawdziwą szowinistyczną męską świnią i jestem z tego dumny. Wyjaśniłem jej, że tego wymaga stary, przynoszący szczęście zwyczaj pradziadów. Sama wybierała dla nas dziewczyny – odpowiada.

Leżymy na łóżku, pociągając burbona. Opowiadam mu o moich wrażeniach na temat ładownika. Kay zna go na wylot. Udziela mi wyjaśnień, ale czuję, że błądzi gdzieś myślami.

Przestaję go męczyć. Milczymy, czując, jak ogarnia nas błogi spokój.

Po godzinie przychodzą objuczone torbami zapasów dziewczyny. Jedna to moja Danielle. Nie wiem, czy to przypadek, czy Iwicz ma siódmy zmysł. Wali mi serce, jakbym dostał karekę asów w stawce o tysiąc euro. Ledwo mogę skupić uwagę na drugiej, wysokiej, zgrabnej i ognistej jak flamenco brunetce.

Chcę wstać, przywitać się i pomóc im przy wypakowywaniu prowiantu, ale Kay przytrzymuje mnie za rękę.

– Pozwól im pobycć kobietami, niech sobie porządzą w kuchni – mówi cicho.

Byczymy się dalej w wyrze na podobieństwo markowych nababów, kiedy one wykładają na stolik koło kuchenki frykasy przeznaczone na ucztę. Słysząc tylko szeleszczenie toreb i stukot konserw. Dziewczyny są trochę skrepowane i nie odzywają się do siebie ani do nas. W końcu Kay królewskim gestem przywołuje je do naszego leża i nalewa im burbona.

Po chwili ośmielają się i zaczynają chichotać. Danielle szybko odzyskuje pewność siebie, co ośmiela brunetkę, Marię. Kiedy taca jest pełna kanapek, złazimy z Kayem na podłogę i siadamy po turecku obok dziewcząt.

Rozmawiamy o bzdurach, pijemy czerwone wino i jemy kanapki. Kay opowiada coraz głupsze świńskie dowcipy, wywołując potoki śmiechu dziewczyn. Maria śmieje się rwanym srebrnym sopranem, przy którym dźwięczy szkło. Dawniej śpiewała w chórze, czego dowody słyszymy coraz częściej.

Krew krąży szybciej, a nasze dłonie i oczy stają się głodne. Danielle przysuwa się do mnie. Maria wachluje szyję dłonią, żeby zademonstrować, jak jej gorąco. Po chwili rozpina fartuch i w końcu go zdejmuje. Ma na sobie krótką, całkiem ładną koszulkę oraz czarne pończochy, które na pewno dostała od Iwicz. Tańczy, naśladując tancerki z dawnej rewii.

Danielle ze śmiechu kładzie głowę na moich kolanach. Jesteśmy już nieźle wlani i sytuacja dojrzewa do czynu.

Kay z Marią znikają za wysokim oparciem łóżka. Dobiega stamtąd rozbawiony szept, a po chwili pod sufit szybuje damska bielizna.

Siedzimy z Danielle, patrząc na siebie. Nie pozostaje nam nic innego, niż zająć miejsce za drugim oparciem u szczytu łóżka. Ona rozbiera się powoli, zdejmuje fartuch i resztę. Kładzie się na podłodze.

– Chodź, niczego nie chcę. Tylko bądź obok mnie – szepce.

Rozbieram się, kładę obok. Przykrywam nas oboje jej lekarskim fartuchem. Gorąca dłoń dotyka moich pleców. Przywieramy do siebie, chroniąc się przed światem. Czuję twarde piersi i szorstkie łono. Zamykam oczy, wdycham

delikatny zapach jej ciała.

Leżymy w półśnie przez całe wieki. Dopóki nie pytana o zgodę miłość nie nadchodzi sama, otwierając kolejne drzwi do świata wrażliwości. Danielle gładzi mnie delikatnie, kiedy zasypiam.

Później szary świt budzi mnie razem z powracającą Iwicz. Pani Hansen szarpie za ramię tulącą się do Kaya Marię. Energicznie pomaga jej się ubrać i odprowadza ją do drzwi. Zdejmuje kombinezon, z westchnieniem ulgi kładzie się obok śpiącego małżonka.

Kiedy blask pełnego słońca znów otwiera mi oczy, widzę nad sobą twarz Danielle. Patrzy na mnie, jakby chciała mnie wchłonąć.

– Musimy wstać. Chociaż miałam nadzieję na koniec świata – mówi, zamykając mi ustami powieki.

Ubieramy się.

– Pamiętam o twojej pielęgniarkie i chłopcu. Zawiadomię cię, kiedy czegoś się dowiem. Gdybym musiała wyjechać, wiadomość przekaże ci Maria. To moja przyjaciółka, porządna i uczciwa dziewczyna – zapewnia, wkładając na stopy białe pantofle.

Śniada skóra jej napiętych łydek, kontrastującą z tą bielą, budzi falę podniecenia. Bardzo chciałbym coś powiedzieć, ale brakuje mi słów. Danielle całuje mnie na pożegnanie.

– Ta noc musi mi wystarczyć na bardzo długo. Może na zawsze – mówi, wychodząc.

Nadal nic nie mówię. Tylko patrzę, jak zamykają się drzwi. Kolejne drzwi w moim życiu, za którymi znika czułość. Ostatnie drzwi.

Zostaję sam. Popijam słabe białe wino i dojadam resztki kanapek. Do celi nie mogę wracać bez eskorty, muszę poczekać, aż obudzi się Iwicz.

Kiedy z korytarza zaczynają dobiegać nawoływania, Iwicz się budzi. Przeciąga się z westchnieniem, naga niczym niewinne dziecko natury siada na łóżku. Zaręczynowy pierścionek, naśladowując Kaya, powiesiła na łańcuszku na szyi. Patrzy na mnie zaspanym wzrokiem.

– Już nigdy nie oddam go żadnej babie. Nawet mnie nie przytulił – kipi gniewem jej głos.

– Po to są właśnie wieczory kawalerskie. Teraz zrozumie, że jesteś najlepsza – uspokajam ją.

Iwicz rozkłada ramiona, przeciąga się jeszcze raz.

– Bo jestem – podkreśla, idąc do umywalki.

Przemywa twarz i czesze długie miedziane włosy, zupełnie nie przejmując się moją obecnością. Nie ma w tym cienia kokieterii, po prostu taka jest. Patrzę na jej szczupłe plecy, lśniące pośladki, długie nogi. Bardzo chciałbym teraz, tak jak Kay, kochać tylko gwiazdy.

Iwicz, podskakując, wciska się w kombinezon. Nie traci czasu na bieliznę. Na pewno chce wrócić jak najszybciej do swojego mężczyzny i nacieszyć się jego bliskością.

W progu muszę jej jeszcze przypomnieć, żeby zabrała swoją pałkę. Już nie nadaje się na gwardzistkę Pierwszej Matki.

Wracam do swojej celi. Postanawiam przespać się trochę i pozbyć szumu w głowie. Niepokoi mnie tylko dziwny spokój na korytarzu. Nie ma śniadania, nikt nie wygania na zajęcia.

Zapadam w nerwowy sen. Budzi mnie trzask otwieranych gwałtownie drzwi. Dochodzi południe, słońce wypełnia moje okratowane okienko, czarny cień pada w róg celi.

Patrzę oniemiały, jak próg przekraczają strażniczki w czarnych mundurach nie znanej mi formacji. Nie mają pałek, tylko automatyczną broń, hełmy zasłaniają im połowę twarzy.

– Idziesz z nami – rozkazuje jedna z nich.

Podnoszę się, a po głowie znów płacze mi się natrętna myśl. Cholera! Mogłem uciec... zawaliłem sprawę. Próbuje jakoś opanować panikę. Na szczęście nie wychodzimy poza budynek, prowadzą mnie na pierwsze piętro. Wiem, że nie warto o nic pytać, prędzej dostanę kolbą w plecy, niż usłyszę jedno słowo.

Jeszcze kilka zakrętów korytarza, które pokonuję na sztywnych ze strachu kolanach, i wchodzimy do małej, jasno oświetlonej poczekalni. Tu z wrażenia zupełnie zapominam o lęku. Na krzesłach pod ścianą tkwią dwie niewzruszone bryły komandosów w czarnych, przypominających broje ochraniaczach. Jeden odwraca w moim kierunku twarz ukrytą pod czarną kominiarką. Podnosi się z krzesła niczym Empire State Building idący na spotkanie z Mahometem. Otwiera drzwi do jaskrawo oświetlonego pomieszczenia.

Przestępuję próg lekarskiego gabinetu, czując na karku oddech komandosa. Widzę bezcieniową lampę oraz niklowany stół. Panika wraca ze zdwojoną siłą. W obozach takie miejsca już dawno przestały się dobrze kojarzyć. Przełykam ślinę, patrząc na urządzenia medyczne i olśniewającą, sterylną biel ścian. Człowiek zawsze czuje się mały i bezbronny wobec narzędzi, które mają wnikać w jego ciało. Lekarze to wykorzystują, podobnie jak kiedyś wymachujący grzechotkami, ubrani w wilcze skóry szamani. Przybierają tajemnicze, wszechwiedzące miny, choćby podawali nam na patyku zwyczajną, pieprzoną cukrową watę. Gapię się na ten niklowany szajs i boję się.

Zza białego parawanu wylania się facet w białym fartuchu, z uniesionymi do góry dłońmi w rękawiczkach. To o nim mówił Kay. Neurolog ma twarz zasłoniętą przezroczystą maską z systemem soczewek na wysokości

oczu.

– Proszę zdjąć koszulkę, podać swój numer i położyć się na stole – pada zza maski.

Z ociąganiem wykonuję polecenie, patrząc na stalową siatkę w oknie. Drut nie wygląda na zbyt solidny, a komandos stoi dobre dwa metry za mną. Gdybym nie zdradził się żadnym gestem i od razu skoczył na szybę, powinna pęknąć.

– Niech pan się nie obawia. Interesuje mnie tylko górna połowa pańskiego ciała, a sam zabieg jest zupełnie bezbolesny – uspokaja mnie lekarz.

Ta uprzejmość jest zaskakująca. Od dawna nikt nieznany tak się do mnie nie zwracał. Kładę się na zimnym metalu, w którym znajduje się otoczone gąbką wycięcie na twarz.

– Poczujcie pan tylko ukłucie przy miejscowym znieczuleniu.

Oczywiście łże, jak każdy z nich. Po muśnięciu wataż ze środkiem dezynfekcyjnym na karku do stołu przybija mnie piorunujący ból. Zaciskam palce, lecz ból ustępuje szybko, a później rzeczywiście nie czuję już nic. Tylko lekki ucisk palców na skórze.

– Ten zabieg ma związek z waszą misją. Wie pan, zazdroszczę wam. Będziecie kontynuować dzieło wielkiego naukowca. Pewnie domyśla się pan, o kim mówię. Podziwiałem go i podziwiam – przemawia lekarz głosem dobrotliwego wujka.

Zamykam oczy, nasłuchując odgłosów za oknem. Prawie zasypiam.

– Gotowe – oznajmia niespodziewanie facet po zaledwie kilkunastu minutach.

Siadam na łóżku. Czuję się tak, jakbym miał głowę przykręconą do martwego drewnianego korpusu.

– Ma pan małe opatrunki na karku i plecach. Proszę na nie uważać przez dwie doby i spać na brzuchu. Pod tym na plecach pod łopatką znajduje się sonda z zaworem, przez którą bezpośrednio do płuca będzie podawany tlen z butli. Pod drugim na karku zainstalowałem implant kontrolny. Do czego służy, zaraz pan się przekona – wyjaśnia.

Wstaję z łóżka, zakładam koszulkę. Mam wrażenie, że zmieniłem się w manekina, którego właśnie sam ubieram. Lekarz tymczasem manipuluje przy jakimś urządzeniu na stoliku z narzędziami chirurgicznymi. Odwraca głowę, patrzy na mnie z uwagą.

– Niech pan teraz powie: „Pani prezydent to stara kurwa” – rozkazuje.

Teraz naprawdę ogarnia mnie już nie strach, tylko zwierzęcy popłoch. Zwariował! Ten prowokator zwariował albo to psychopata!

Patrzę na komandosa. Czarna postać pozostała doskonale obojętna, żadnej reakcji.

– Proszę powtarzać. To badanie, nikt nie posądzi pana o zbrodnię. Daję panu moje słowo – zapewnia łapiduch głosem zmęczonego anioła.

Chrząkam w garść. Mówię niezbyt głośno:

– Pani prezydent to stara kurwa.

Zanim zdążyłem zarejestrować uderzenie bólu, już wije się na podłodze. Przez kręgosłup przelatuje błysk świetlnego ostrza, tnącego nerwy niczym piorun. Prawie walę piętami w potylicę, nie mogę oddychać.

– Na razie w porządku – słyszę głos medyka. – Podnieś go – rozkazuje komandosowi.

Chwytam powietrze, ale stalowa obręcz ściska mi żebra.

– Drogi kolego, teraz niech pan na mój znak powie w myśli: „Nie wykonam rozkazu tej suki, pani prezydent”. I

niech pan stara się zacisnąć pośladki, bo przy impulsie może napytać pan sobie biedy.

Oszalały ze strachu, zaciskam pódupki z siłą, która zmiażdżyłaby stalową podkowę. Gdy dłoń lekarza opada, myślę: „Jesteś piękna i mądra, moja Pierwsza Matko”.

Natychmiast zginam się jeszcze bardziej i osuwam na kolana, opierając czoło na chłodnej podłodze. Zamierzam przewrócić się na bok, żeby kontynuować przedstawienie.

– Panie kolego, to normalna reakcja obronna. Jeden z pana kolegów dla efektu nawet zmoczył, za przeproszeniem, spodenki. Niech pan wstanie i pomyśli naprawdę – słyszę nieubłagany werdykt.

Wstaję, znowu zmieniając tyłek w stalową twierdzę. Na znak myślę, co mi każą. Tym razem walę się na grzbiet wyprostowany jak odpadająca od pionu rynna. Przez roje przelatujących przed oczami diamentowych gwiazd słyszę głos zadowolonego doktora:

– Świetnie, nie trzeba nic poprawiać. Jest pan wolny.

Żołnierz znowu pomaga mi wstać. Doktor patrzy mi z uśmiechem w oczy.

– Zapewniam pana, że zwyczajne brzydkie wyrazy karane są słabszym impulsem. Trzeba się do tego przyzwycząić. Samodzielna próba zdjęcia implantu spowoduje natychmiastowy zgon. Proszę mi wierzyć, brałem udział w tym projekcie. Ta kontrola ma także dobre strony, uczy mianowicie samodyscypliny. Mistrzowie Zen mówią: „Kto włada umysłem, włada całym światem”. Żegnam i niech pan pozdrowi w moim imieniu kosmos.

Komandosi oddają mnie pod eskortę strażniczek. Idziemy z powrotem do celi. Przez całą drogę koncentruję się, żeby nie myśleć. A zwłaszcza o niej. Bujam myślami nad ukwieconą łąką. Im bardziej jednak chcę wymazać z pamięci

jej twarz, tym wyraźniej z podświadomości wyłania się widziany tysiące razy portret. Już zbliżamy się do mojej bezpiecznej celi, gdy nagle mijamy gazetkę ścienną, o której zapomniałem. Zdobi ją otoczona wieńcem kwiatów i chorągiewek właśnie Ta Gęba.

Napięte niczym postronki nerwy nie wytrzymują. Ty pierdolona kurwo! – krzyczę w myśli. Padam na kolana, zastygły w cierpieniu niczym średniowieczny męczennik. Klęczę ze ściśniętym tyłkiem bez słowa, tylko z oczu kapią mi łzy.

– Patrz, ulżył sobie – słyszę głos strażniczki.

– Wiesz, to już przegięcie, że nie można nawet pomyśleć – stwierdza druga.

– Lepiej głośno nie gadać. Nie wiadomo, ile jeszcze tego mają i komu będą zakładać. Wstawaj, biedaku – słyszę litościwy głos.

Podnoszą mnie obie pod ramiona. W celi patrzę tylko na ścianę, tworzę na niej płaskorzeźby twarzy. Mojej Agnes, Elzy, Ady w wariackim kapeluszu. Przy niej pojawia się jednak szczurzy pysk Dodo. To nieuniknione, zwijam się w kłębek... po sekundzie rozprostowuje mnie wstrząs. Jest słabszy niż tamte, ale nie mam pojęcia, jak z tym żyć i pracować. Jeszcze nikt nie wymyślił takiej tortury. Jeszcze nikt nie nosił łańcuchów na własnych marzeniach.

Strach przed myślami przerywa na szczęście chrobot zamka w drzwiach. Do celi wchodzi stara strażniczka o twarzy pomarszczonej jak zimowe jabłko. To przyzwoita kobieta, nigdy nie krzyczy i nie używa pałki.

Zamyka drzwi, przez chwilę patrzy na mnie smutnymi, wyblakłymi oczami.

– Pewnie nie uwierzysz, ale byłam kiedyś bardzo ładna, nawet piękna. Wiele lat temu na przyjęciu zgwałciło mnie

trzech pijanych facetów. Byli bardzo bogaci i mieli świetnego adwokata, który udowodnił, że to była moja wina. Od tamtego dnia już nie czuję się piękna. Masz, kiedy poczujesz, że coś zakazanego może ci przyjść do głowy, spójrz na to.

Podaje mi fotografię formatu starych pocztówek. Oglądam najpiękniejszy akt, jaki widziałem w życiu. Szczupła, opalona dziewczyna robi mostek na tle błękitnych morskich fal. Jej dłonie i stopy oparte o złoty piach prawie stykają się ze sobą. Podane do przodu biodra opina misterny sznur kolorowych paciorków. To musiał być wybitny artysta i niesamowita modelka. Przyglądam się strażniczce, szukając w niej śladów tego piękna. Może pozostał tylko ten głos i ten spokój?

– Dziękuję, to mi pomoże – mówię, gotowy do wyjścia.

Strażniczka prowadzi mnie do sali, budzącej wspomnienia z dzieciństwa. To klasa z uczniowskimi ławkami i stojakami na mapy. Rolę belfra pełni tkwiący pod tablicą w swoim granatowym kimonie kapitan Kay.

Siadam w ławce obok nie znanego mi z imienia mężczyzny. Przed każdym z nas leży niebieski zeszyt i staroświecki długopis na tusz. Rozglądam się po sali. Jest Peter, dalej jak zawsze razem Sacharoza oraz reszta, wszyscy z plastrami na karkach. W sali panuje cisza jak przed klasówką. Strażniczki doprowadzają resztę kandydatów. Kiedy wszystkie ławki są już zajęte, Kay stuka wskaźnikiem w tablicę.

– Koledzy, jestem dowódcą statku „Hekate” i zarazem całej ekspedycji. Jak wiecie, nazywam się Kay Hansen. Witam was wszystkich i gratuluję przejścia przez kwalifikacje – zawiesza głos. – Na wstępie zawiadamiam zebranych, że wasze zapewnijające lojalność wobec rządu bezpieczniki mają od tej chwili do dnia startu przytłumione

impulsy.

Przy słowie: „rząd” przez salę przebiega fala tłumionego jęku. Ja także czuję lekkiego kopniaka w kręgosłup.

– Pozwoli wam to uczestniczyć w zajęciach bez dodatkowego stresu – kontynuuje Kay, nie zwracając uwagi na nasz ból.

– Teraz pora na przedstawienie pierwszego oficera. Jest nim kapitan lotnictwa transportowego, wielokrotnie odznaczony za odwagę Hubert Jugenmann.

Wstaję z krzesła czując na sobie wzrok Kaya i wszystkich na sali.

– Dowódca grupy zwiadowczej Peter van Vijk, inżynier, geolog i przewodnik afrykański.

Peter także unosi zbolały tyłek. Po chwili Kay daje nam znak ręką, siadamy trochę przejęci oficjalną nominacją. Kay przez chwilę chodzi wzdłuż rzędu krzeseł z dłońmi splecionymi na plecach.

– Naszym celem jest planeta w gromadzie Plejad – podejmuje po chwili. – Dotrzemy tam przy pomocy jednostki dysponującej napędem nowej generacji. Jest jednak kilka ciemnych stron tego projektu i nie zamierzam ich przed wami ukrywać.

Siada przy małym stoliku pod oknem. Patrzy na każdego z nas z napiętą uwagą.

– Jak się okazało, nie mamy dostatecznej ilości sprawdzonych skafandrów. Kilkadziesiąt sztuk zaginęło lub zostało zniszczonych w trakcie badań prowadzonych przez nowych inżynierów. Skafandry będziemy musieli dobierać losowo z pozostałych prototypów różnych modeli. Trudno powiedzieć, ile, ale na pewno część z nich zawiedzie, a mający je na sobie ludzie zginą lub zostaną kalekami. Sprawne i sprawdzone to typ IGLO 345 R. Mamy takie trzy,

w tym mój, a ja nie mogę brać udziału w losowaniu.

Przez salę przelatuje szmerek przelęknionych szeptów. Kay zagłusza go zdecydowanym głosem:

– Nawet bez problemów ze skafandrami to skok w nieznane, zginąć możemy wszyscy. Jednak ci, którzy przeżyją, zobaczą rzeczy, o jakich nie śniło się żadnemu śmiertelnikowi. Po powrocie czeka ich darowanie kar, wysoka renta oraz święty spokój we własnym domu za wysokim parkanem. Decyzja zależy tylko od was samych. Jeżeli ktoś chce zrezygnować, nikt nie będzie uważał go za tchórza. A zwłaszcza ja, który jako jedyny znający statek nie mogę brać udziału w losowaniu. Teraz zastanówcie się, czy jesteście gotowi podjąć takie ryzyko. Tym, którzy nie zdecydują się na start, postaram się jakoś pomóc, żeby mogli dotrzeć do końca swoich kar w znośnych warunkach. Oczywiście natychmiast zostaną im zdjęte bezpieczniki.

Profesor czeka.

– Jeszcze raz proszę, przemyślcie to spokojnie. Chcę wam uświadomić, że w razie wycofania się po ujawnieniu szczegółów budowy statku i celu wyprawy nie gwarantuję bezpieczeństwa ze strony władz.

Kay odpina zegarek i kładzie go na stoliku.

– Macie od teraz cztery minuty na podjęcie ostatecznej decyzji. Czas start.

Zapada martwa cisza. Każdy zapada się w głąb wspomnień. Rozważa, czy dalej tkwić w bagnie, czy rzucić się w nurt rwącej rzeki. Ja nie zastanawiam się, chociaż przez chwilę dręczy mnie wstydliva myśl: dlaczego jako jedyny doświadczony pilot nie mam zagwarantowanego bezpiecznego skafandra? Porzucam ją szybko. Nie mam już żadnych dylematów. Tutaj czeka mnie tylko powolne gnicie. Tam – może szybka, bezbolesna śmierć. A może wróce

wolny, żeby pomóc Elzie i innym? Wybór jest prosty. Patrząc na zdjęcie z dziewczyną. Ciekawe, jakiego koloru jest tam morze, jeżeli istnieje? Ma kolor rtęci, purpury czy płynnego szmaragdu? A może jest błękitne jak nasze i zachodzi nad nim takie samo słońce?

Powoli podnosi się kilka rąk. Cztery... pięć... jest szósta... Dostrzegam na twarzy Kaya ulgę. Nie musi nikogo skreślać – sami wybrali.

Zostało nas piętnastu, mieścimy się więc w limicie i dowódca daje znak skinieniem głowy. Wszyscy, którzy podnieśli ręce, wychodzą. Wracają do swojej starej, bezpiecznej, dobrze znanej niewoli. Do upodlenia i strachu, lecz z ziemią pod stopami. Nie znałem ich dobrze i nie chcę o nich pamiętać. Niech znikną w brudnym zmierzchu minionych dni.

Kay podnosi się zza stolika, przerywa ciszę:

– Koledzy, przyjaciele. Od tej chwili jesteśmy załogą. Jesteśmy zdani tylko na siebie. Musimy polegać na sobie nawzajem, żeby stworzyć jeden dobrze pracujący mechanizm. Tam, dokąd się wybieramy, nikt nie przyśle nam łodzi ratunkowej. Tam strach i samotność są tak realne, jak te krzesła pod waszymi tyłkami. Pożrą nas wszystkich, jeżeli nie będziemy na sobie polegać. Przekonacie się o tym już za dziesięć dni – kończy szokującą wiadomością.

Przez salę znów przelatuje gwar gorączkowych głosów. Patrzymy na siebie. Na wszystkich twarzach widać zaskoczenie pomieszane z lękiem.

– Od dzisiaj przejmuję pełne dowództwo nad zespołem. Władze zobowiązane są tylko do dozoru oraz ochrony. Z każdym będę prowadził indywidualny cykl szkoleń na jedynym nowoczesnym komputerze, jaki posiadamy. Dysponuję unikalnym programem, utrwalającym w

podświadomości materiał. Czasu jest mało, ale na absolutne podstawy powinno go wystarczyć. W trybie przyspieszonym poznacie zakres swoich zadań i obowiązków. Reszta po starcie, wtedy uzupełnicie braki. Tydzień musztry i na front, po krzyż z drewna albo srebra, jak powiedziałyby mój pradziadek – uspokaja nas z łobuzerskim uśmiechem.

Atmosfera rozluźnia się, tu i tam słychać gorączkowe rozmowy i śmiech.

– Plejady są dosyć daleko. Musimy chyba zbliżyć się do szybkości światła i przejść hibernację. Te domki z parkanem dostaniemy od naszych następców, dwumetrowych karaluchów – pada gdzieś z tyłu sali.

Kay bawi się swoim sygnetem.

– Prędkość światła to punkt numer jeden. Zaraz w przybliżeniu wyjaśnię, jak działa napęd – odpowiada.

– A jak wpadniemy w czarną dziurę? – popisuje się wiedzą następny ciekawski.

Kay skupia uwagę na pytającym.

– To jako pierwsi ludzie obejrzymy na własne oczy słynną osobliwość – mówi z powagą.

Wyraźnie zaintrygowany osobliwością Peter wygarnia niespodziewanie z nadzieją w głosie:

– To może zobaczymy, jak dziki rogaty wiking wali od tyłca Pierwszą Matk...

Zapada cisza. Słychać tylko, jak coś bulgocze Peterowi w krtani. Twarz zmienia barwy z brązowoczerwonej na czarnozielonkawą i fioletową. Trzymając się kurczowo za gardło, Peter spada z krzesła na podłogę. Kay jest przy nim w dwóch skokach, jedną ręką ściska mu kark, a drugą pakuje do ust. Grzebie głęboko, jakby chciał wyrwać nieszczęśnikowi trzewia.

Peter rzezi jeszcze bardziej, odzyskuje jednak oddech.

Kay wyciąga z jego gardzieli oślinioną dłoń, gdy klatka piersiowa Bura zaczyna się unosić, tłocząc do płuc powietrze.

– Ostatni raz, Peter, ostatni raz, stary durniu. Powiedziałem, że impulsy są osłabione, nie że przestały działać – mówi z gniewem, wycierając rękę o jego koszulkę. – Nie mogę tracić ludzi w tak głupi sposób. To uwaga do wszystkich. Zapamiętajcie to sobie! Wszystkie urazy zostawiacie na Ziemi. Nieważne, kto nas tam wysłał i dlaczego. Należycie do pierwszych ludzi, którym dano szansę zobaczyć prawdziwy, głęboki kosmos... tylko to się liczy. Cała reszta to cień i proch! Rozumiecie?! – kończy, prawie krzycząc.

Peter, trzymając się cały czas za gardło, zajmuje z powrotem swoje miejsce. Kay opanowuje się błyskawicznie. Podchodzi do tablicy i rozwija przyczepiony do niej schemat.

– To plan napędu. Nie musicie jeszcze niczego notować. Na razie posłuchajcie – mówi zupełnie spokojnym głosem. – Przez dziesięciolecia wszyscy inżynierowie ograniczali swoją wyobraźnię do różnych wersji i odmian napędu odrzutowego. Gazy, fotony, jony... coś musiało koniecznie wypadać z dyszy lub ekranu. Zaraz ktoś z was zapewne doda, że z wyjątkiem słonecznego żagla. Zgoda, lecz to układ, który rozpędza się w nieskończoność, a w dodatku nie dający się sterować. Potrzeba pokoleń, żeby taki żaglowiec w ogóle gdzieś dotarł, i to zdając się na ślepy los. Wracając do tematu, odrzut zdominował wyobraźnię tak, jak kiedyś silnik parowy. Profesor Mentzel poszedł inną drogą. Tak wygląda napęd kinetyczny jego pomysłu – wyjaśnia, wskazując szkic z grubsza przypominający przekrój starożytnej strzykawki lekarskiej.

– To jest młot – mówi, wskazując na jej tłok. – A to jest kowadło. – Teleskopowy wskaźnik z podświetlaczem

wędruje w stronę przedniej ściany cylindra. – Tłok i kowadło to zwyczajne, poruszające się w cylindrze elektromagnesy. Energia jest do nich dostarczana z prądnicy napędzanej przez reaktor jądrowy. Prąd magazynowany jest w kondensatorze, a system sterowania uwalnia ładunek elektryczny. Wtedy młot przyciągany przez kowadło wali w nie, oddając energię kinetyczną, przy czym system fototarek Mentzla zamienia energię reakcji w falę rozproszonego światła i w ten sposób ogranicza działanie wektora siły skierowanego w przeciwnym kierunku. Cały układ skacze do przodu. Napięcie zostaje wyłączone i odciągany mechanicznie młot wraca do pozycji wyjściowej.

Kay zapala się jak młody, pełen entuzjazmu nauczyciel. Rozwija następne wykresy.

– „Hekate” ma szesnaście takich cylindrów z młotami uruchamianymi po dwa. Zawsze skrajny ze skrajnym, żeby nie odchylić wektora ruchu. Osiem cylindrów, po cztery w rzędzie, umieszczono na wierzchu oraz spodzie kadłuba. Kolejne, jak widzicie także po cztery, zainstalowano w dwóch kontenerach umocowanych na wysięgnikach po bokach kadłuba. Kontenery z zespołami cylindrów mogą wychylać się w poziomie i pionie, co umożliwia zmianę kierunku lotu. Po dokonaniu obrotu o sto osiemdziesiąt stopni w płaszczyźnie pionowej przechodzą w funkcję hamującą. Jednocześnie wyłączane są młoty na kadłubie i statek zaczyna zwalniać. Stałe rosnące przyspieszenie, spowodowane pracą młotów, zapewnia grawitację na pokładzie. A dzięki odpowiedniej sekwencji uderzeń jest praktycznie niewyczuwalne. Wyobraźcie sobie, w środowisku pozbawionym tarcia i grawitacji każde uderzenie pary młotów przyspiesza jednostkę o poprzednią wartość w postępie arytmetycznym, aż do szybkości przyświatlnej. To

rozwiązanie jest genialnie proste i niewyobrażalnie skuteczne. Są jakieś pytania?

– Nie dostaniemy czkawki? – pyta jakiś dowcipniś.

Kay fuka gniewnie.

– Mówiłem, że młoty uruchamiane są w specjalnie wyliczonych sekwencjach. Lekkie szarpnięcia odczuwalne są tylko na początku.

– Czy ten silnik w ogóle działa? – pyta Gerd Wicke, z którym rozmawiałem już kilka razy, jeden z niewielu, których kojarzę z nazwiska.

Kay opiera dłonie o stolik. Toczy wzrokiem po sali.

– Działa jak rajdowe porsche z dopalaczem. Miałem okazję przekonać się o tym osobiście. I jeszcze coś. Ten silnik jest tylko rozrusznikiem do właściwego napędu autorstwa profesora oraz jego zespołu. Na dzisiaj jednak wystarczy. Chcę, żebyście się teraz odprężyli, ten dzień dla nikogo z nas nie był łatwy. W przypadku szykan zgłaszać się do mnie. Proszę jednak, żeby wasze poczucie bezpieczeństwa nie wzięło góry nad zdrowym rozsądkiem. Nie prowokujcie nikogo, żeby nie wywoływać niepotrzebnych komplikacji. Bardzo wam dziękuję za zaufanie, koledzy. Za to, że zdecydowaliście się podjąć ryzyko wyprawy. Teraz, zgodnie z zaleceniem naczelnej psycholog, oddaję was do dyspozycji pani od rytmiki i wdzięku. Miłej zabawy. Cześć, do jutra o ósmej! – żegna się rozbawiony, zostawiając nas z opadłymi z wrażenia szczękami.

Do sali wchodzi dama w wiśniowym kostiumie. Ma około sześćdziesiątki, jest dystygowana i mówi z francuskim akcentem. Przeciągając nosowo zgłoski, prosi nas o wyniesienie ławek do sąsiedniego pomieszczenia. Stoi tam stare pianino na kółkach, które wtaczamy do naszej sali. Ktoś przynosi mały okrągły taborecik. Dama siada na nim z

uderzającym wdziękiem, obciągając na kolanach spódnicę.

Rozpoczynamy lekcję. Na początek mamy biegać po sali na paluszkach. Dama akompaniuje naszym kroczkom, dzióbiąc w klawiaturę niczym jedzący okruszki wróbelek. Kiedy plumkanie cichnie, zastygamy tam, gdzie dopadła nas pauza. Czekamy na sześć głębokich akordów, podczas których musimy ustawić się w dwuszeręgu. Zawsze na tym samym miejscu. Kosmos, nie kosmos, paranoja trwa w najlepsze.

Na początku wszyscy jesteśmy zdrowo wkurwieni. Później, gdy absurd tej surrealistycznej sceny dociera do nas w pełni, zaczynamy naprawdę się bawić.

W czasie polki, którą tańczymy w zmiennych parach, odnawiam znajomości i poznaję innych kolegów. Bruno Spiss oraz Gerd Wicke proszą do tańca elegancko i z klasą. Mam powodzenie, więc zaczynam grymasić. Rola adorowanej panienci ma swoje zalety! Chociaż może te podstępne wieprze rwą mnie tylko ze względu na moje wysokie stanowisko. Cierpię, kiedy podaję rękę Romanowi Ciastkowi, który chyba jest Czechem. Ma spocone, oślizgłe łapy, sapie, myli krok i co chwila włazi mi na tenisówki. Opieprzam go ostro, a kiedy stoi zawstydzony, pani każe mi go przeprosić. Robi mi się głupio i tańczę z nim już do prawie końca zajęć.

To niesamowite, ale ta bzdura rozładowała stres. Widzę uśmiechnięte twarze kolegów, do stołówki idziemy wyluzowani. Tu dowiadujemy się, że od dzisiaj będziemy jeść razem. Dopiero w trakcie obiadu nastrój pryska, cichną rozmowy i każdy zaczyna bić się z myślami. Do swoich cel rozchodzimy się w milczeniu.

Wieczorem przychodzi do mnie Iwicz. Kuca obok bez słowa, a później kładzie mi rudą głowę na ramieniu i zaczyna

płakać.

– Co się stało, żołnierzu? – pytam, gładząc jej miedziane włosy.

– Nie wiem, co zrobię, jak go nie będzie. Chcę być z nim cały czas. Nawet prosiłam, żeby zapisali mnie na wyprawę, ale powiedziały, że my, kobiety, jesteśmy zbyt wartościowe – skarży się, pociągając nosem i ocierając rękawem kombinezonu twarz mokrą od łez.

– Kochasz go, moja mała. Twoja dusza obudziła się ze snu, dlatego płaczesz.

– To moja dusza lubi łązy? – pyta, chlipiąc.

– Tak. To jej krew, pokarm i oddech.

– Podła, głupia, zła dusza... nienawidzę jej. Zabiję ją – grozi, zaciskając dziecinny gestem pięści.

– Już nie możesz, żołnierzu. Jak w tobie ożyła, już nigdy nie da się zabić. Jest nieśmiertelna.

Siedzimy przytuleni, każde z nas karmi swoją duszę gorącymi łzami. Później Iwicz wychodzi smutna, dźwigając brzemię swojego człowieczeństwa. Może lepiej nie mieć nieśmiertelnej duszy? Może lepiej jest tylko trwać, bez uczuć, bez rozpacz? Nie potrafię odpowiedzieć.

•

Rano przed zajęciami odwiedza mnie Maria, tylko na chwilę. Dowiaduję się, że baby toczą między sobą zajadłą wojnę. Stara konserwa kontratakuję, donosząc naczelnym władzom o rozprężeniu dyscypliny w ośrodku.

– Niestety, nikt nic nie wie o twojej pielęgniarce i chłopcu. Przepadli jak wielu ludzi, ale to jeszcze nie koniec – mówi, podając mi paczuszkę z witaminami od Danielle, którą wysłano gdzieś na kilka dni przed rozprawą dyscyplinarną.

Po śniadaniu nareszcie dostajemy czarne kimona, nowe sportowe buty i kąpielówki. Co więcej, możemy sami chodzić do wyznaczonej łazienki, brać prysznic i golić się. Na miejscu, co prawda, okazuje się, że jedna plastikowa golarka przypada na trzech – ale to i tak postęp.

Poznaję bliżej chłopaków. Są wśród nich inżynierowie, chemicy, biolog, matematyk. Oprócz fizyków znalazł się także prawdziwy mechanik od silników spalinowych wszystkich rodzajów, Irlandczyk O’Neal, oraz krzykliwy marynarz z łodzi podwodnych, Hugo Konrad. Najdziwniejszym przypadkiem jest jednak wiecznie smutny Egon Weisse, były dyrektor najprawdziwszego w świecie teatru. Tylko niezrównana logika Pierwszej Matki potrafi wyjaśnić obecność tego niskiego człowieczka wśród nas.

Co do narodowości tej zbieraniny ze wszystkich zakamarków Europy, jeszcze nie do końca potrafię się połąpać. Niemcy, Bałtowie, kilku Skandynawów, Czech, Walończyk, Węgier i Polak Czapiński o imieniu, które potrafi wymówić tylko fakir nawykły do trzymania gwoździ w gębie. Wszyscy po przejściach, skryci, nawykli do samotności. Potrafią śmiać się hałaśliwie z wygłupów O’Neala i Czapińskiego, by za chwilę zamilknąć i pogrążyć się we wspomnieniach.

W sali wykładowej już czeka na nas Kay. Chodzi niecierpliwie ze splecionymi na plecach rękami. Zajmujemy miejsca w ławkach, szanując jego skupienie. Zaczyna bez wstępów:

– Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o odkryciach profesora Mentzla, myślałem, że słucham bredzenia szaleńców. Nawet kiedy zobaczyłem napęd we wczesnej fazie budowy, nie mogłem uwierzyć. Przecież obiekt zbliżający się do prędkości światła powinien mieć

nieskończoną masę, powinien zapaść się w sobie. Ten eksperyment odbywał się poza prawami fizyki i rozumu. Nie mieścił się w żadnych kryteriach. Nikogo z was to nie dziwi?

Siada za swoim stolikiem.

– Jeżeli człowieka nic nie dziwi, to znak, że myśli o powrocie na drzewo. Chociaż może się myłę i po prostu boicie się zadawać pytania. Tak czy inaczej należymy do ostatnich, którzy mogą jeszcze czegoś dokonać.

Znowu się podnosi i zaczyna nerwowy marsz pod tablicą.

– Może to lepiej, że nie zadajecie pytań. Nie na wszystkie jestem w stanie odpowiedzieć. W zespole syna profesora, Roberta Mentzla, pojawiłem się późno. A nawet ci, którzy byli tam od początku, nie wszystko pojmowali. Ci zgrywający oświeconych zwyczajnie kłamali. Ponieważ problem dotyczy zagadnienia zrozumiałego wyłącznie dla autorów rozwiniętej teorii strun Michaela Greena i Johna Schwarza oraz kilku ich współczesnych. A w naszych czasach dla profesora Mentzla, który ją zmodyfikował, udowadniając istnienie superstrun drugiego bieguna, tych, co są nieskończenie wielkie. W skrócie, jak wielu z was zapewne słyszało, nasz kosmos jest wielkim kotłem, w którym niczym bąbelki w piwie miotają się galaktyki. Struny to przestrzenie matematyczne, przez które te bąble oddziałują na materię. W przestrzeni strun nie obowiązują znane nam prawa fizyki. Poprzez ich obszar potrafią przemieszczać się całe galaktyki oraz materia kosmosu z szybkością miliony razy większą niż szybkość światła. Znikają i pojawiają się w innym miejscu w sposób, którego nawet nie jesteśmy w stanie zarejestrować. Może nawet w tej chwili nasza część wszechświata dokonuje takiego przeskoku, a paniąkom nie podwiewa nawet spódniczek. Dlatego nikt nigdy nie określił masy materii wszechświata. To jakby ktoś próbował policzyć

w ciągu doby łączną wagę wszystkich żywych ludzi. Zapominając o tym, że kilkadziesiąt tysięcy właśnie rozpada się w proch.

– Skoro dokonujemy takich przeskoków razem z naszą Ziemią, skąd bierze się w takim razie ryzyko? – przerywa mu Czapiński.

– Nie wiemy, czy za istnienia rozwiniętego życia na naszej planecie dokonał się taki przeskok. Poza tym pola grawitacyjne galaktyk, a nawet poszczególnych systemów słonecznych pełnią funkcję ochronną w trakcie przejścia – odpowiada Kay.

– Nie polecimy tam razem z naszą niebieską skorupą – stwierdza Polak.

Kay podchodzi do jego ławki.

– Masz rację, dlatego tak ważne są skafandry. W samej przestrzeni struny nic nam nie grozi. Niebezpieczne jest wejście w pole jej oddziaływania przy dziewięćdziesięciu procentach prędkości światła. W tym momencie, jeśli masz pecha, gałki oczne mogą ci wypaść przez tyłek. Później jest cisza i spokój, zupełnie jak po przekroczeniu przez samolot bariery dźwięku. Robert i jego ludzie na kilka sekund weszli w strunę. Słyszałem od nich, że to przypomina sen o życiu płodowym. Ciemno, cicho i mokro, jeśli jakiś dupek popuści w gacie.

Na sali słyhać nieśmiało, maskujące strach chichoty. Kay czeka, aż ucichną.

– „Hekate” jest wyposażona w urządzenie, które potrafi niejako ściągnąć na siebie strunę. Jakbyśmy dziurką w cedzaku odnaleźli koniec makaronu i nasuwali się na niego – tłumaczy. – Darujcie sobie pytania, jeżeli ktoś chce dokładniej wiedzieć, jak to działa. Powiem szczerze, że nie mam pojęcia. A nawet jeżeli się domyślę, nie potrafię tego

wytłumaczyć. To ma coś wspólnego z pantografem i jednocześnie z urządzeniem kumulującym fale grawitacyjne. Wszystko jest kontrolowane przez komputer o możliwościach nie znanych żadnemu niewtajemniczonym informatykowi. Pomijając szczegóły techniczne i sposób zapisu, który nie jest magnetyczny, tylko chemiczny. Jego program opiera się na zasadzie innej niż zerojedynkowa. Informatycy Mentzla wprowadzili dodatkowo znaki: „Bardziej nie” i „Mniej nie”, kodujące się zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa i równaniami ciągłości logicznej. W naszym języku oznacza to mniej więcej: „Wiem bardziej” i „Wiem mniej niż na pewno”. Komputer z takim programem może popełniać błędy i uczyć się na nich, redukując te znaki w trakcie działania. Doprowadziło to wprawdzie do zniszczenia pierwszego prototypu i kilkunastu bardzo groźnych wypadków, ale komputer nauczył się samoprogramować. Może teraz wybrać spośród tysięcy opcji rozwoju hipotetycznych wydarzeń najbardziej korzystną dla wypełnienia zadania. A nawet przewidywać. Posiada, jakbyśmy to określili, intuicję.

Przerywa na chwilę, zapalając papierosa.

– Umożliwia te cuda zapis chemiczny oparty na różnych stopniach półprzewodnictwa i nadprzewodnictwa prądu w solach. Programatorem jest pewien krystaliczny kwas, który koduje znaki na matrycy, ale to w tej chwili nie jest najistotniejsze.

– Zapis chemiczny, to intrygujące. Jesteśmy chemikami, gdyby pan kapitan powiedział na ten temat coś więcej – ośmiela się jedna Sacharoza.

Kay uśmiecha się, wypuszcza chmurę dymu.

– Będę na was czekał po kolacji w tej sali. Na razie mogę powiedzieć, że zapis chemiczny powstał z konieczności. W środowisku, gdzie operuje statek, anomalie pola

elektromagnetycznego są tak wielkie, że praca normalnego sprzętu jest praktycznie niemożliwa. Molekuły soli układają się na matrycy jak piksele w starych kineskopach. Zapis jest bardzo trwały, a sprzęt nie ustępuje szybkością działania normalnym procesorom z nadprzewodnikiem. Matryce z molekułami soli przypominają obracające się koraliki, nawleczone na szprychy rowerowego koła. Przesuwają się przez czytniki jak różaniec z pestek granatu w rękach mużłmanina. Suma kombinacji punktów zakodowanych na koralikach jest niewyobrażalna.

– Czy mamy do czynienia ze sztuczną inteligencją? – pyta ktoś z tyłu.

– Tak, niewątpliwie. Od ludzkiej różni się tym, że przez cały czas pracy angażuje się w rozwiązywanie zadania. Nie kombinuje, jak urwać się wcześniej do domu i skoczyć z kumplami na piwo. Skupia się wyłącznie na optymalnym rozwiązaniu problemu – odpowiada Kay.

– Na szczęście to jego problem, cieniasa bez fantazji – śmieje się Gerd.

Kay korzysta z okazji, żeby wprowadzić do zespołu trochę luzu. Opowiada, co wyrabiali, wykorzystując możliwości komputera. Sala co chwila wybucha rechotem.

Patrzę przez okno. Zaczyna dojrzewać lato, senna przyroda nabrzmiewa od słońca. Drzewa przeciągają się leniwie, wachlując gałązkami w lekkim ospałym wietrzyku. Pewnie nie zobaczę już stubarwnej jesieni, gałęzi ugiętych pod ciężarem rumianych jabłek i niezmiennych kluczy odlatujących ptaków. Z alejki wyłania się postać więźnia. Wychudzony, bosi mężczyzna w brudnych szortach pcha z wysiłkiem odrapaną taczkę. Przy każdym kroku napiera na uchwyty, wyginając pałakowato kościsty grzbiet. Idzie za nim pilnująca go strażniczka. Młoda, krzepka czarna

dziewczyna kroczy powoli, żeby nie wyprzedzić więźnia.

Wykład dobiega końca. Indywidualne zajęcia z Kayem mam dopiero jutro, zostało mi więc sporo wolnego czasu. Postanawiam skorzystać z okazji i popływać w basenie. Żeby uniknąć zaczepek, proszę Iwicz o eskortę. Godzi się od razu. Kay do późnego wieczora i tak nie ma dla niej czasu. Idziemy do budynku ciemnym korytarzem o ścianach upstrzonych płatami odłóżającej burej farby. W hali basenu jest pusto. Tylko dziwne, nie wiadomo skąd wylęgłe echa szepcą coś do siebie pod sklepieniem.

Zrzucam kimono i wskakuję do wody. Ogarnia mnie zielonkawy mrok. Szybuję ptasim lotem, kafelki na dnie uciekają do tyłu jak pola i miasta, nad którymi niesie innie siła moich skrzydeł. Robię zwrot, nabieram powietrza i nurkuję znowu. Odwracam się twarzą ku powierzchni. Przed oczami widzę falujące żywym srebrem lustro. Pomarszczona zasłona kusi, żeby ją przekroczyć i poznać inne światy.

Przy ścianie pojawiają się dwie jasne plamy. To bose stopy Iwicz. Wynurzam się obok niej, prychając zbutwiałą wodą.

Iwicz chlapie w zamyśleniu nogami, patrząc z poważną miną na zielone kręgi. Zgubiła gdzieś swoją dziką bez troskę i naiwność dziecka natury.

– Nie mam jednej duszy, wiem to od dzisiejszej nocy – mówi z powagą.

– Ta druga, zła, wróciła do ciebie?

– Nie, tamtej nie ma. Spaliłam ją i utopiłam, już nie wróci. To inna, zupełnie nowa dusza. Mam teraz w sobie dwie. To będzie chłopiec i będzie nazywał się Kay – stwierdza z przekonaniem.

– Skąd wiesz? Tak szybko! – Z wrażenia połykam porcję zielonego bagna.

Iwicz patrzy na mnie wzrokiem prastarego mędrca.

– My, kobiety, zawsze to wiemy. Tylko nie mów Kayowi, bo martwiłby się o nas. Chcę mu powiedzieć sama, jak wróci.

– Przy „wróci” zawiesza głos.

– Nie powiem, nie martw się. Chociaż myślę, że sprawiłabyś mu radość – zapewniam.

– Nie, nie teraz. Dopiero jak wróci – nie ustępuje. – Ale gdyby... gdyby miał tam zostać... dopiero wtedy mu powiesz – dodaje po chwili.

– Dobrze, Iwicz. Powiem dopiero wtedy.

Pojmuję nagle, że Iwicz, jak każda kobieta, wie nie tylko o swoim dziecku. Przeczuwa o wiele więcej. Tracę resztki nadziei. Nie wrócimy.

•

Ostatnie doby przed startem zlewają się w jedno pasmo wykładów i treningów na komputerze Kaya. Czas jak cenny skarb wyliczony jest do ostatniego ziarna. Poprzednią bezczynność zastępujemy mrówczą pracą w obłąkanym pośpiechu. Kay pada z nóg, zapomniał nawet pochwalić się swoim ślubem. Domyślamy się, że nie jest już kawalerem, tylko dlatego, że raz na wykład przyszedł w garniturze. Sama Iwicz ostatecznie porzuciła swój kombinezon, nosi letnie sukienki. Jest poważna, małomówna i stateczna. Robi dla wszystkich kanapki i podaje herbatę. Z łaskawym uśmiechem przyjmuje komplementy, których nie szczędzą jej chłopaki. Zasluguje na nie, jest piękna i wszystkim przypomina dom.

Kobiety natomiast wyraźnie jej zazdroszczą, budzi ich zapięklą nienawiść. Kiedy idzie korytarzem z zadbaną fryzurą, zostawiając za sobą zapach kosmetyków, zawsze towarzyszą jej kąśliwe uwagi byłych przyjaciółek. Iwicz

ignoruje je jak prawdziwa dama. Spotyka się tylko z Marią i Danielle, która już wróciła.

My zaś zatracamy powoli poczucie czasu. Poznają dokładnie budowę lądownika. Na szczęście przyrządy pokładowe z grubsza przypominają te z samolotów ostatniej generacji. Nowością jest aktywny, kierowany głosem układ obsługi komputera pokładowego oraz tworzywo, z jakiego zbudowana jest kabina. Wskutek przepływu prądu łańcuchy molekuł ustawiają się pod takim kątem, że cały kokpit staje się doskonale przezroczysty. Pilot widzi tylko dane wyświetlane na przedniej szybie na wysokości wzroku, kilka mechanizmów, układy elektroniczne oraz mgliste zarysy wiązek światłowodów. I to wszystko. Leci w fotelu zawieszonym w pustej przestrzeni na kawałku podłogi. Widoczność jest absolutnie doskonała, a krajobrazy zapierają dech. Reszta kadłuba zbudowana jest z konglomeratu tytanu, porcelitów i spiekanego tlenku berylu.

Odbywam kilkanaście wirtualnych lotów. Wrażenie jest niesamowite. Raz rozbijam się o skały w trakcie manewrów w wąskim wąwozie. Komputer generuje w moim mózgu iluzję uderzenia ciała o przyrządy i przód kabiny. Czuję smród płonącej maszyny i własnej przypiekanej skóry. Krzyczę z autentycznego przerażenia. Przełamuję strach i zaczynam jeszcze raz, dopóki manewr nie wychodzi prawidłowo.

Lądownik prowadzi się bardzo dobrze, ale nie sposób przewidzieć wszystkich warunków, jakie mogą panować przy lądowaniu. Możliwości są dziesiątki, a Kay wprowadza do programu ciągle nowe: lód, grzańskie bagno, porowate skały, zmienna gęstość atmosfery i skala grawitacji. Raz startuje pionowo, raz normalnie. To niemożliwe do opanowania w tak krótkim czasie. Pocieszam się, że po zbliżeniu do celu

otrzymam informacje o powierzchni planety. Zdążymy więc wprowadzić odpowiedni program do symulatora i zostanie trochę czasu na intensywny trening mój i mojego rezerwowego. Kay wyznaczył do tej roli małowódnego Szweda, Borisa Melberga. Chłopcy nazywają nas parą orłów, mnie jednak ten facet z obwisłą twarzą i nieobecny wzrokiem kojarzy się bardziej ze skacowanym sępem. Podobno pracował w skandynawskiej firmie kurierskiej, gdzie pilotował małe awionetki. Nie mam pojęcia, co transportowali, ale podejrzewam, że nawet gdyby przewozili granitowe obeliski, klient miałby niewielkie szanse odebrania ich w jednym kawałku.

Niestety ani ja, ani mój senny zastępca nie mamy zupełnie czasu na dokładniejsze poznanie składanego samolociku zwiadowczego, należącego do wyposażenia statku. Polimerowe cacko ma układ kaczkki. Wyposażony w dwa małe turbowentylatorowe silniczki wodorowe o łopatach niewiele większych od biurowego wiatraka, unosi trzy osoby i kilkadziesiąt kilogramów sprzętu! W gęstej atmosferze można także zamontować na grzbiecie kadłuba wirnik nośny i zmienić go w wiatrakowiec. W rozrzedzonej atmosferze na zaczepach montuje się dodatkowe wydajne silniki rakietowe. Samolocik jest arcydziełem techniki lotniczej i wprost nie mogę się doczekać, kiedy usiądę za jego sterami.

Pewnego wieczoru, kiedy wracam zmęczony po treningu, zostaję wezwany na badania. Przechodzą mnie ciarki na samą myśl o medycynie. Kiedy wchodzę do gabinetu, pulchna lekarka wstaje z krzesła i wyraźnie nadąsana wychodzi na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Zaskoczony, słyszę trzask klucza przekręcanego w zamku.

– Natychmiast się rozebrać, muszę dokładnie pana zbadać – słyszę wesoły głos zza parawanu.

Poznaję ten głos, należy do Danielle. Ona sama leży na lekarskiej kozetce, przykryta po szyję białym prześcieradłem. Patrzy na mnie z łobuzerskimi iskrami w oczach.

– Iwicz powiedziała mi, że masz wolny wieczór. Nie mogę cię odwiedzać w twojej celi, jestem na wylocie. Na szczęście pani doktor, którą widziałeś, wypłała zapas spirytusu na cały miesiąc w ciągu kilku dni. Nie doniosę na nią, jeśli nie wróci wcześniej niż o dwunastej – mówi, podciągając jedno kolano i splatając ręce na karku. – Taka wersja istnieje oczywiście tylko w jej wyobraźni. Ja i tak bym nie doniosła, dlatego nigdy nie zrobię kariery – dodaje po chwili.

Siadam przy niej na skraju kozetki i ściągam osłaniające jej ciało prześcieradło. Dotykam delikatnie czubkami palców gorącej równiny brzucha. W ślad za moimi palcami żywy jedwab pokrywa się meszkiem mikroskopijnych wzgórków. Danielle zamyka oczy i kładąc dłoń na mojej, mówi:

– Jesteś drugim mężczyzną w moim życiu. Może jestem głupia zielona gęś, ale trochę się wstydzę, kiedy tak na mnie patrzysz.

Zdejmuję kimono i ukrywam jej ciało pod swoim, zanurzając twarz w gęstych poskręcanych włosach. Tętnice na jej szyi drżą pod ciosami serca, oddech staje się płytkim urywanym szeptem rozchylonych warg. Ciało chce więcej i więcej, poddaje się rytmowi, uciekając od świadomości.

Później spokojna Danielle gładzi mnie po plecach.

– To wielka tajemnica. Nie mów nikomu, ale Iwicz na pewno jest w ciąży. Wszystkie baby wyczuwają to na kilometr. Wściekają się jak diablance tasmańskie w czasie rui. Robi się nerwowo, zaraz mogą polecieć drzazgi. Dobrze, że mnie już tu nie będzie.

Czuję na barku pocałunek.

– Ale może nie odejdę stąd sama. Może i mnie się uda?

Tak bardzo chciałabym mieć coś własnego, co można bez końca kochać – słyszę w uchu gorący szept.

Leżymy przytuleni na wąskiej kozetce. Nie pytam o Elżę. Wiem, że gdyby Danielle dowiedziała się czegoś o ich losie, powiedziała by mi natychmiast. Wzdycham.

– Nie myśl, nie myśl o niczym. Tylko o mnie, chociaż do północy – prosi Danielle, masując mi mięśnie karku.

W milczeniu kochamy się jeszcze raz. Rozstajemy się także w milczeniu, tylko na pożegnanie Danielle kładzie mi głowę na ramieniu. Wiemy oboje, że już teraz jesteśmy dla siebie odległym wspomnieniem.

Wracam do swojej pustej celi z okazałą torebką witamin. Rano chcę dać połowę nieszczęśnikowi pchającemu kuchenny wózek. Ale nigdzie go nie ma, Iwicz także nie może go odnaleźć. Zniknął, jakby nigdy nie istniał.

Oddaję porcję starej strażniczce, która była kiedyś najpiękniejszą modelką, jaką widział ocean od czasu narodzin Afrodyty. Resztę rozdaję chłopakom.

Po obiedzie ślęcę w celi nad spisem czynności awaryjnych lądownika, gdy nagle drzwi otwierają się z rozmachem. Na progu stoi Czesław Czapiński, astrofizyk z Warszawy.

– Kay czeka na wszystkich w sali wykładowej. Ma jakieś nadzwyczajne wiadomości! – wrzeszczy.

Po drodze zawiadamiamy resztę. W sali wykładowej zebrali się już wszyscy. Kay stoi odwrócony do nas plecami, patrząc na niebo za oknem. Zajmujemy miejsca. Nikt nie żartuje, wszystkim udziela się niepokój.

Po chwili Kay odwraca się do nas, bierze ze stolika okazałą paczkę i idąc wzdłuż rzędów krzeseł, rozrzuca arkusze gazet. Wielki nagłówki krzyczą z płacht papieru: HOŁD DLA GENIUSZU WIELKIEJ PIERWSZEJ MATKI.

POKOJOWE PRZESŁANIE DLA PRZYJACIÓŁEK KOSMITEK. EPOKOWY START RAKIETY PROJEKTU PANI PREZYDENT – JUŻ W PIĄTEK!!!

Hasła ilustrują fotografie pierwszoplanowej aktorki: Wielka Magda pochyla się nad deską kreślarską, ślęczy nad klawiaturą komputera. Na największym zdjęciu, zajmującym prawie całą tytułową stronę, godzi ręką, w której ściska wiązkę zboża, wprost w jasne bezchmurne niebo.

Tępy ból rąbie mnie pięścią w kark, walczę z nim, tłamsząc papier z gębą Wielkiej Krowy. Przez salę przelatuje wielotonowy jęk. Mój niewydarzony adorator Ciastek zrywa się z krzesła i biegnie do drzwi, trzymając się za tyłek. Sacha i Rosa cierpią przytuleni do siebie, a Wicke jęczy głucho i próbuje naciągnąć sobie gazetę na twarz.

– Czytać, wszyscy czytać! – rozkazuje Kay, nie pozwalając nam uciec od bolesnego szoku. – Kompletnie nie potraficie zapanować nad umysłem. To fatalnie! Wiecie, co się stanie, gdy w krytycznej sytuacji ktoś nie wykona rozkazu, bo nie potrafił zostawić swojego śmietnika tu, na Ziemi? Mówiłem wam, to wszystko gówno. Zwietrzałe gówno! Inaczej wszyscy zginiemy bez żadnego sensu. A teraz czytać! Nie odłóżycie gazet, dopóki ostatni z was nie przestanie skomleć. To tylko ból, do ciężkiej cholery! – przekrzykuje jęki.

Próbuję patrzeć na twarz Pierwszej jak na pozbawioną treści i sensu plamę. Ucisk powoli mija, cichną skargi.

Kay mówi dalej:

– No, moja bando, piątek jest jutro. Nareszcie pokażemy, co jesteśmy warci. Reszta szkolenia na pokładzie i w bazie na Księżycu. Możecie już odłożyć gazety... niech ktoś je poskłada na stertę. Odstawić ławki pod ściany. Do dziesiątej mamy przyjęcie, w południe losujemy skafandry. Później

czas wolny. Stan gotowości od północy, nie zabierać żadnych zbędnych gratów. Słyszysz, Czapiński? – patrzy na robiącego niewinną minę Polaka. – Aha, i niech ktoś przyprowdzi tego zasrańca Ciastka.

Ciastek zjawia się jednak sam. Czerwony na twarzy jak piwonია, w naszych znieawidzonych papierowych gatkach upstrzonych kolorowym wzorkiem.

– Kosmonauto Ciastek, lekceważycie rozkazy przełożonych! Mielicie na widok władz nadrzędnych zaciskać półdupki. Tak czy nie? – pyta go Kay groźnym głosem.

– Tak – bąka spłoszony Ciastek.

– No to je zaciskajcie, do kroćset! Inaczej przy prędkości światła możecie przestrzelić tylny pokład! – ryczy Kay niczym feldfelbel ze starej pruskiej szkoły.

Chłopaki reagują na koszarowy kabaret rehotem. Obiecane przyjęcie i tragedia Ciastka wprawiają wszystkich w doskonały nastrój. Kay pozwala mu zniknąć z oczu załogi, poleca przynieść projektor przestrzenny i skrzynki z piwem, które czekają na zapleczu. Rozstawiamy pod ścianami stoły, są nawet jakieś obrusy oraz papierowe talerzyki. A najważniejsze, że Czech już wtacza się z pierwszą skrzynką piwa.

Kay z wprawą otwiera swoim sygnetem kolejne starożytne kapsle. Podaje butelki tłoczącym się podkomendnym. Tylko Sacha i Rosa odmawiają. Prowadzą zdrowy tryb życia i nie piją żadnego alkoholu. Reszta z entuzjazmem stuka się butelkami z magicznym, dawno nie widzianym rarytasem. Złocisty płyn jest kiepskiego gatunku – wiadomo, zboże jest dla głodujących – ale i tak przypomina wszystkim stare dobre czasy.

Kay poufale obejmuje Ciastka ramieniem.

– Nie martw się, kolego. Taki drobiazg tam – wskazuje butelką na sufit – może przytrafić się każdemu.

Sala rozbrzmiewa gwarem. Ludzie odzwyczajeni od alkoholu szybko osiągają fazę lekkiego szumku w głowie. Twarze różowieją, głosy nabierają śmiałości. Knajpiany rozgwar przerywa wejście Iwicz. Nasza dama ma na sobie letnią sukienkę w kolorowe kwiaty. Jej opalone ramiona pachną słońcem, kiedy lekko pochylona pcha przed sobą wózek z kunsztownymi kanapkami.

– Koledzy, moja piękna żona, pani Iwicz Hansen – przedstawia ją Kay, a później długo całuje przy naszej owacji.

Iwicz kłania się lekko, jest urocza. Wychodzi jednak zaraz, wyraźnie nie chcąc nas krępować. Na pożegnanie z Kayem ma jeszcze wiele godzin.

Tymczasem ktoś uruchamia projektor. Na półsferycznym półprzezroczystym ekranie pojawia się film z jakiegoś baru go-go. Nagie, cycate tancerki wiją się na podświetlanych rurach. Zmieniają się szybko. Blondynki, brunetki – bezwstydnie i podniecające. Chłopaki podskakują, wyją i klaszczą. Nie mam pojęcia, gdzie Kay skombinował taki zabytek. Za oglądanie czegoś takiego grozi pięć lat odsiadki.

Następny film to transmisja z jakiejś walki bokserskiej. Dwóch zawodników wagi ciężkiej w dzikim zapamiętaniu okłada się pięściami. Chłopcy wpadają w ekstazę, zaczynają się gorączkowo zakładać. To dodatkowe lata resocju. Widzę, jak Sacha i Rosa zaczynają przesuwac się w kierunku drzwi. Ich manewry dostrzega także Kay. Wymierza w ich stronę palec.

– Hej, koledzy, jesteśmy załogą na dobre i na złe. Jak wyjdziecie, możecie już nie wracać – ostrzega.

– Ale, panie kapitanie... – tłumaczy się Rosa głosem

ginącym wśród hałaśliwego dopingu.

– Nie ma żadnego „ale”, musicie ufać swojemu dowódcy. Zresztą sala i korytarz należą do nas. Nikomu nic nie grozi, a za kilka godzin i tak mogą nas pocałować w dupę – uspokaja ich.

Sacharoza wraca na swoje miejsce.

– Myślałem, że to kapusie, ale to tylko zwyczajni tchórze – stwierdza Kay, otwierając kolejną butelkę. – Zresztą nie wiem, co gorsze. Jestem załamany. Może po roku pracy zmontowałbym z tych ludzi coś na kształt prawdziwej załogi. Nie mam roku, muszę polegać na tobie, Hubert, i może tym Peterze. Ta wycieczka musi się skończyć prawdziwą jatką.

– Właśnie, Kay. Mój zastępca, co się stanie, kiedy ja...

– Kiedy wylosujesz tandetny skafander? – kończy za mnie.

Kiwam głową.

– Wiem, ile to kosztowało, żebyś znalazł się wśród nas. Wiem, jak ważna jest twoja rola. Ale kto mógł przypuszczać, że zniszczono tyle sprzętu? Nie mogłem przydzielić drugiego sprawdzonego skafandra. To wzbudziłoby nieufność i rozbiło załogę. Musimy podjąć ryzyko, zagrać w ruletkę. Zresztą tobie nic się nie stanie, przemyślałem to. Tacy jak ty zawsze spadają na cztery łapy – stwierdza z przekonaniem.

Stukamy się butelkami.

– A gdybym się jednak mylił, ja także potrafię pilotować lądowik. Może nie mam takiego instynktu tak jak ty, ale jakoś dam radę. Zresztą nic ci nie będzie, nie mogę, do cholery, sam odkrywać Ameryki.

Piwo krąży z rąk do rąk, każdy pragnie powiedzieć coś o sobie, cieszy się, że nareszcie można z kimś pogadać. Ja nie chcę. Męcę się, słuchając irlandzkich pieśni Patryka i coraz głośniejszych rozmów. Zgarniam dwie butelki i proszę Kaya

o pozwolenie powrotu do celi. W spokoju piję podłe piwo na swoim materacu. Od jakiegoś czasu czuję się tu prawie bezpiecznie.

Postanawiam się przespać, zanim zacznie się zamieszanie. Lotnicy zawsze szanowali chwilę spokoju przed trudną akcją. Nigdy nie byliśmy pewni, czy nie jest to ostatni sen, poprzedzający ten wieczny.

Budzę się sam, tuż zanim promienie słońca padną na mój materac. Jest południe.

W sali odpraw, gdzie zbieramy się po raz drugi, Kay potwierdza datę startu oraz przydzielone każdemu funkcje. Potwierdza także gwarancje rządu. Po powrocie mamy prawo do osiedlenia się w dowolnie wybranym miejscu Europy. Dostaniemy wysoką, dożywotnią, wolną od podatków emeryturę, a także rodzaj immunitetu chroniącego nas przed kaprysami miejscowych władz. Jeżeli wrócimy, jeżeli Wielka Magda utrzyma się przy władzy, jeżeli nagle nie zmieni zdania...

Później idziemy do magazynu depozytów. Oglądam swoje rzeczy i drżą mi ręce. Z każdym drobiazgiem związana jest jakaś odległa historia. Biorę tylko mój stary portfel ze zdjęciami bliskich, złote wieczne pióro od Japończyka dla Danielle, skórzaną kurtkę lotniczą i zapas bielizny. Resztę niech pochłonie zapomnienie.

Po otwarciu zaplombowanego magazynu, ściskając swoje węzélki, gramy z losem o życie. Skafandry razem z hełmami i resztą ekwipunku czekają na półkach w zaplombowanych, hermetycznych pokrowcach. Na każdym jest przyklejona kartka z numerem. Na to losowanie Kay przyniósł specjalnie swój połyskujący matową czernią, odrapany hełm z napisem: „Kay Hansen” i rzymskim godłem „Hasty”. Patrzymy z nabożną czcią, jak wrzuca do niego kartki z numerami.

Pierwszy losuję ja, po mnie Peter, po nim Wicke i reszta. Po kolei każdy ściąga z półki swój wylosowany, ważący jakieś dwadzieścia kilogramów pokrowiec. Patrzą na żółty napis: KORA 68 na moim sprzęcie. Kay zapisuje nazwę w notesie. Kiedy myślę o tym, czy ta KORA uchroni moje życie, podchodzi do mnie Sacha. Jak ma to w zwyczaju, przedstawia sprawę zawile i pokrętnie:

– Wiesz, Hubert, ciebie znamy najlepiej. Wiemy, że jesteś porządny facet, taki jak my, Cukierki. Gdybyś się zgodził, gdybyś nie miał nic przeciwko temu... Wiesz, to ważne dla nas, to jest najważniejsze przecież i dla ciebie. Bo jak pomożesz, będziesz słodziutki.

Nie wytrzymuję, nie jestem w nastroju do tego lukrowanego pieprzenia.

– Sacha, powiedz, o co ci chodzi, albo się odpieprz – mówię zirytowany, zapominając o bezpieczniku.

Sacha zaczyna trajkotać jak karabin maszynowy, kiedy mnie trzepie piorun impulsu.

– Jesteśmy razem od dziewięciu lat. Tak bardzo się kochamy, że nie możemy bez siebie żyć. Wiesz, Roska wylosował taki sam skafander jak ty. Chcemy razem z moim Roską się zestarzeć albo razem umrzeć – wyznaje w końcu.

Teraz rozumiem, o co im chodzi, i mam problem. Stawanie na drodze prawdziwej wielkiej miłości przynosi pecha najgorszego rodzaju. Wymiana wylosowaną rzecz także. Jednak dwa pechy redukują się i wychodzi zero – przeprowadzam błyskawiczną kalkulację.

– Dobra, bierz – zgadzam się.

Sacha chwyta zachłannie za uchwyt mojego pokrowca. Grucha przymilnie, przysuwając skwapliwie swój srebrny worek.

– Będziesz zadowolony, kochany Hubercie, zobaczysz.

Ten jest ładniejszy i ładniej się nazywa.

Patrzę na żółte litery zdobiące worek mojego nowego skafandra i przesywa mnie dreszcz.

– STYKS 313 – czytam na głos. – Faktycznie, Sacha, piękna nazwa. To rzeka umarłych z farciarską trzynastką. Ale mnie wpakowałeś.

Sacha, wiejąc ze swoim łupem, uśmiecha się jeszcze raz przymilnie i przepraszająco. Kay widzi to, lecz nic nie mówi. Nasze decyzje co do skafandrów to nie jego interes. Kiedy zapisuje nazwę i numer mojego sprzętu, wszyscy spoglądają na mnie ze współczuciem. Nawet nie kryją, że już postawili krechę na mnie oraz mojej głupocie. Niezawodne igło wylosowali Walończyk Wilfrem Stam i na potwierdzenie przysłowia, że gówno przynosi szczęście, Roman Ciastek.

Peter wlecze się do mnie ze swoim workiem.

– Szczęściarze – mówi o wybrańcach losu, ledwie skrywając zazdrość.

Później gapi się na mój pakunek. Czytając głośno napis, kiwa głową.

– Nie łam się, Hubert, to trzeba odbierać we właściwy sposób. Mianowicie chodzi chyba o to, że oni tę rzekę jednak jakoś przepływali – baka pocieszająco.

– Masz rację, stary. Jedyne, co mnie martwi, to brak oboli dla Charona – odpowiadam.

Peter milknie. Tylko kiedy układamy wylosowane skafandry na półkach, klepie mnie po ramieniu.

Jutro wszystkie nasze graty pojedą stąd na pole startu. Nie wiemy, gdzie – Kay nie mówił, skąd wyniesie nas w kosmos „Luna”. Ruszamy do wyjścia z magazynu. Teraz już tylko władca naszej karmy – lodowaty kosmos – zdecyduje, kto nie zostanie rozszarpany na kawałki, uduszony lub spalony na popiół.

Patrzę na równe srebrne rzędy worków na nasze ciała. Kay upycha jeszcze w niszy regału wielki czarny pokrowiec, nie oznaczony żadnym napisem.

– Zasobnik z częściami zapasowymi do skafandrów – wyjaśnia głośno. – I po sprawie, panowie, możecie wracać i ostatni raz popatrzeć na wasze stylowe apartamenty. Jako asysta przy plombowaniu magazynu zostaje ze mną pierwszy oficer – dodaje.

Rozgadani ludzie wychodzą. Zamykam ciężkie, zabezpieczone dodatkowo stalową siatką drzwi. Kay tymczasem wyciąga z torby drut oraz starożytne szczęki do zaciskania plomb. Przetyka drut przez kapsel od piwa i upycha w zagłębieniu placek ołowiu.

– Myślisz pewnie, że masz wielkiego pecha – mówi, starając się utrzymać wszystko we właściwym położeniu. – Nieprawda, przyjacielu, jesteś kochankiem fortuny. Miałem ci o tym nie mówić, żeby nie psuć imprezy. Ale jak patrzę na twoją zafrasowaną głowę... Słuchaj, była tu w nocy pewna dama. Wpadła do mnie z wrzaskiem, akurat kiedy żegnałem się czule ze swoją słodką małżonką. Ta dama koniecznie chciała ciebie stąd zabrać, natychmiast. Rozumiesz, stary, w takiej pozycji nie bardzo mogłem z nią konwersować. Zaproponowałem więc, żeby sobie poszła. Dokładnie cytując, powiedziałem jej: „Spierdalaj!” – cytuje, zaciskając jednocześnie stalowe szczęki na plombie.

Ogląda z uwagą swoje dzieło.

– To była słynna Katrin Kowacz – mówi, niezadowolony z efektu.

– Jasna Perła! – wyrywa mi się na cały głos.

Kay patrzy na mnie zdziwiony.

– Nie wiedziałem, że jesteś romantykiem. Faktycznie jest niezła, ale bara-bara z nią to wyczynowy sport tylko dla

prawdziwych twardzieli – stwierdza, ssąc skaleczony drutem palec. – Słyszałem od pewnych osób, że ta laska robi z obciętych, wysuszonych fiutów portret swojej zmarłej córki. Przykleja te skwarki do deski metr na półtora. Artystka oddaje w ten sposób hołd swojej tragicznej matczynej miłości.

Robi mi się słodkawo i zimno, jakbym pod lodowatym prysznicem pił morwowy likier. Kay śmieje się, pakując plombownicę i drut do torby.

– Nie martw się, poszła sobie w cholerę. Start jest już jutro, a Stara go nie odwoła tylko dlatego, że ślicznej Katrin zabrakło materiału na jedną brew do portretu córeczki. Dlatego powiedziałem o twoim farcie. Gdybyśmy lecieli za jakieś dwa tygodnie, pewnie urobiłaby Wielką Magdę i byłoby po twoim małym, no i po tobie.

Wypuszczam ciężko powietrze.

– Masz wzięcie, stary. Zauważyłem, że bardzo jej na tobie zależało i pewnie suszyłaby twojego druha na żywca – chwali moje powodzenie.

– Mam, ale jak widzisz, to czasami ściąga na mnie pewne problemy – wyznaję skromnie.

– Co tam fiut, zazdrościsz ci tej Katrin... zobaczyć jej cycki i umrzeć. To potężne babsko... podnieca mnie. Gdyby nie Iwicz, zaraz zapomnieliby o swojej mało przydatnej kolekcji. Bo ja, bracie, jestem prawdziwy twardziel – mówi, patrząc mi swoimi rekinimi ślepiami prosto w oczy.

Wytrzymuję jego spojrzenie. Kay przerzuca przez ramię torbę z narzędziami.

– Swoją drogą, gdybym wcześniej wiedział, że mam w tym pierdlu taką władzę, otworzyłbym tu jaskinię hazardu i burdel. Iwicz sprzedawałaby bilety, a ja trzymałbym ruletkę i karty. Materiału na dziwki obu płci też tu nie brakuje –

stwierdza z pogardą w głosie.

– Nie rozumiem, Kay.

– Bierność to wstęp do zostania kurwą – rzuca gniewnie.

Czuję, że coś się stało, coś wyprowadziło go z równowagi. Mam jednak swój problem, który nazywa się Katrin Kowacz. Teraz cieszę się, że stąd nie uciekłem. Na świecie nie ma kryjówki przed psychopatką, która może postawić na nogi bataliony tajniaków. Tacy jak ona potrafią przekopać lody Antarktydy i poświęcić całe życie, żeby się zemścić. Tylko kosmos jest dla niej za daleko – myślę z ulgą.

Im dłużej o tym myślę, tym mi lżej. Później w łazience wprawiam obecnych w osłupienie, kiedy przy goleniu śpiewam beztrąsko arię z *Wesołej wdówki*. Chłopcy wyczuwają w tym jakiś potężny omen, związany z dzisiejszym losowaniem. Moje akcje idą w górę, kiedy kolejną wymianę skafandra z dopłatą w postaci wełnianego swetra proponuje mi Estończyk Arno Pukonenem. Odprawiam go z kwitkiem.

Do tego w celi czeka na mnie paczka. Jest na niej namazany flamastrem mój numer, ale także imię i nazwisko. Rozrywam szary papier. Wewnątrz jest niebieski dres z naszywką: „Ania z Zielonego Wzgórza”, dalej trzy zmiany bielizny i nowe sportowe buty. I jeszcze dwie koszulki z napisem, który wywołuje u Kaya ataki krwiożerczego szału. Na samym dnie paczki leży koperta. Zapominam o całym świecie, kiedy ją otwieram. Patrę na zielone oczy Ady żyjącej na tej fotografii. Dotykam jej twarzy i próbuję coś do niej powiedzieć. Ale to ona przemawia do mnie, kiedy odruchowo odwracam zdjęcie. Jej spokojny, odległy głos układa się w rzędy równych znaków stamtąd:

Mój kochany, byłam pewna, że wytrwasz.

*Niech spełnią się Twoje sny. Niech Twoje życie będzie pełne miłości i ciepła. Jestem i zawsze będę przy Tobie, ale Ty nie myśl o mnie zbyt często. Żyj pełnią życia i tym, co może ofiarować nasz albo obcy świat. Wystarczy, jeżeli czasem spojrzysz na mnie. Tylko błagam, nie chcę wisieć na ścianie Twojej kajuty, obok fotek gołych pańienek. (Żartowałam. Wiem, że tego nie zrobisz).
Zawsze przy Twoim Sercu.*

Ada

•

Ada. Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać – myślę, znów dotykając jej ust. Tak bardzo mi ciebie brakuje. Nie bój się, nie powieszę twojego zdjęcia obok gołych pańienek... w ogóle go nie powieszę. Jesteś moją tajemnicą. Moją nadzieją, że to wszystko ma jakiś sens, że ktoś po drugiej stronie będzie czekał. Wspomnienie o tobie pomoże mi przetrwać. Śpij spokojnie, moja księżniczko.

Chowam fotografię do portfela, gdzie trzymam wszystkie skarby. Mój dobry nastrój uleciał gdzieś daleko. Powoli zakładam nową bieliznę i dres, a resztę rzeczy chowam do podróźnej torby, z którą wyszedłem tamtego poranka z jej domu. Teraz siedzę na materacu, czekając niczym na peronie pełnym zjaw, aż przyjedzie pociąg, który zabierze mnie w nieznaną.

Dobrze, że przychodzi stara strażniczka z dwoma kubkami kawy i prowiantem na drogę. Daję jej wieczne pióro, jeżeli spotka jeszcze Danielle, ma je oddać na

pamiątkę. Reszta witamin jest dla niej. Bierze prezenty, wyraźnie nie wiedząc, co z nimi zrobić. Siada obok i patrzy na mnie. W jej wzroku jest niewiarygodna czułość i oddanie.

– Zawsze chciałam mieć dziecko, syna takiego jak ty – mówi, dotykając moich włosów.

Pozwalam jej na to.

– Uważaj na siebie tam, gdzie będziesz... nie odgrywaj bohatera. Bądź ostrożny, Hubercie.

Coś się we mnie kruszy.

– Dobrze, mamó – odpowiadam, widząc, jak jej wzrok rozbłyskuje wdzięcznością.

Strażniczka wsuwa paczkę z witaminami, które jej dałem, do mojej torby.

– Będą ci bardziej potrzebne niż mnie – tłumaczy i wychodzi tak cicho, jak się pojawiła.

•

Wypalam jeszcze ostatniego papierosa z paczki od Kaya, stawiam kubek po kawie na stolku i odchodzę z tego miejsca na zawsze. Ludzie nie mogą wytrzymać napięcia w samotności w swoich kłitkach. Zbieramy się prawie wszyscy przed czasem w hali, gdzie badano naszą odporność na stan nieważkości. Linki wiszą jeszcze pod sufitem, a przez okno wybite ciałem kandydata na kosmonautę wpada letni wietrzyk, niosący echa kobiecych rozmów. Siadamy na swoich torbach, Peter obok mnie. Zaraz dołącza do nas Czapiński, co ma swoje dobre strony, ponieważ Polak jest zawsze świetnie zaopatrzony. Nie jest też skąpy i częstuje nas papierosami. Dym zwabia chudego Egona Weissego, byłego dyrektora teatru, oraz Duńczyka Torstena Jangberga. Czapiński częstuje gości, w zamian chce jednak usłyszeć ich

historię.

– Za co cię przytrzasnęli? – pyta wprost dyrektora.

– Eeee – mruczy chudy Egon, machając dłonią.

– Co pękasz. Jutro robimy wiiiiuu, mogą ci obrać banana – ośmiela go Polak.

Mały człowieczek patrzy na dym z papierosa i zaczyna opowiadać zrezygnowanym głosem:

– Nic takiego, dostałem tylko cztery lata za casting do *Błaznów* Wertingera.

– Dlaczego? To przecież oficjalna sztuka – nie kryję zdziwienia.

– No bo robiłem nabór do roli marszałka Goeringa i zgłosił się aktor, rodowity Kongijczyk. Wytłumaczyłem mu jak najsubtelniej, że nie nadaje się niestety do roli faszystowskiego zbrodniarza, ponieważ, ani trochę nie jest do niego podobny.

– Gość się wściekł – zgaduje Czapiński.

– Właśnie, i pobiegł zameldować, że jest szykanowany z powodu koloru skóry – uzupełnia dyrektor.

– Ale to nie był finał całej sprawy. Przedstawienie jest arcypechowe, ma w sobie coś z pierwotnego dramatyizmu *Makbeta*, którego premierom zawsze towarzyszyły nieszczęścia. Mianowicie mój następca nie dał już żadnej roli tubylcowi, lecz z kolei ktoś złośliwie skojarzył obsadę dzieła z jego tytułem. Więc jemu wlepili już dziesięć lat. Za prowokację – dodaje nie bez cienia satysfakcji.

Kiwamy ze zrozumieniem głowami.

Nie naciskany Duńczyk zaczyna mówić sam:

– Gdzieś w Azji jakiś ping-pong sadził sobie ryż. Czuł się źle, bo miał tylko pięcioro chudych dzieciaków i nie miał lodówki ani roweru. Za procent od zbiorów wziął zatem sadzonki opiumowego maku. Rower miał już po roku, po

dwóch lodówkę. Później już nic nie musiał robić, więc w ogóle przestał zlaźić ze swojej baby. Czasami liczył tylko kolejne bachory, które pracowały w firmie.

Robi długą przerwę, patrząc z uwagą na cementową podłogę.

– Moja córka była piękna, świetnie się uczyła, nawet po tym, jak odeszła żona. Diana chciała zostać architektem. Ale wiecie, tubylcom można sprzedawać narkotyki bez kontroli. Handlarz Wietnamczyk był u niej prawie codziennie. Kiedy nie miała już jak płacić, brał ją na ulicę – wyrzuca z siebie urywanymi zdaniem. – Pewnego dnia ten handlarz wypadł przez okno naszej klatki schodowej, z siódmego piętra. Nikt nie widział, jak to zrobił, ale to bez znaczenia. Byłem jedynym białasem, który mieszkał na tym właśnie piętrze. Dostałem dożywocie. Nie to mnie martwi, tylko nie wiem, co z moją Dianą... – głos załamuje mu się niczym wiązka zwiędłych kwiatów.

Czapiński podaje mu kolejnego papierosa.

– Mówiłeś, że twoja córka jest mądra. Po tym nieszczęśliwym wypadku dziewczyna na pewno weźmie się w garść – pociesza go.

Niezręczną ciszę przerywa wejście Kaya z kroczącą dumnie obok niego Iwicz. Pani kapitanowa Hansen emanuje wprost klasą. Założyła dziś aksamitną suknię w kolorze ciemnego granatu, w dłoni opiętej sięgającą do łokcia białą rękawiczką niesie z gracją skórzaną torebkę tego samego koloru. Podnosimy wszyscy tyłki i zachwyceni jej urodą, formujemy luźny szereg. Iwicz idzie wzdłuż frontu, podając każdemu rękę. Kiedy żegna się z Czapińskim, ten nagle chwyta jej palce i schyla się wpół, cmokając szarmancko śnieżną rękawiczkę damy. Iwicz płoszy się jak sarna, odskakuje w tył. Polak miał więcej szczęścia niż rozumu.

Mógł zarobić kopniaka w krocze, gdyby kapitanowa nie była taka przejęta swoją rolą.

Czapiński, dumny z siebie, pręży pierś i prostuje się jak świeca. Szkoda, że galanteria Polaka kończy się na tym efekciarstwie. Jeszcze nigdy nie wpadł na pomysł, żeby umyć po sobie umywalkę oraz wytrzeć syf pod prysznicem.

Iwicz szybko odzyskuje opanowanie, z uśmiechem żegna resztę załogi. Ja jako oficer stoję na skrzydle ostatni w szeregu. Podchodzi do mnie, stajemy twarzą w twarz. Próbuje coś powiedzieć, w końcu nie wytrzymuje i rzuca mi się na szyję. Obsypuje mnie pocałunkami. Kiedy odsuwa się ode mnie, widzę łzy w jej oczach.

– Dziękuję, Hubert – tylko tyle przeciska jej się przez gardło.

– Będzie dobrze, moja ruda kotko – szepczę.

Kay klaszcze w dłonie.

– Całuj lepiej psa w nos, panie pierwszy. A ty, kobieto, nie rozklejaj mi załogi. Ten lot to spacer – stwierdza pewnym siebie głosem.

Staje przed frontem.

– Pierwszy oficer przejmuje dowodzenie. Spotkamy się przed startem wahadłowca. Was dowiezie tam autobus. Nasz sprzęt jest już załadowany do bagażnika. Teraz zaczekacie na eskortę, która będzie wam towarzyszyć do miejsca startu. Czołem, chłopaki! A ty, Hubert, odprowadź nas do drzwi – rozkazuje.

Idziemy we trójkę do wyjścia.

– Hubert, słuchaj, coś się popieprzyło. Nie wiem, o co chodzi, muszę zaraz jechać do kierownictwa lotu. Masz pilnować całej bandy, a w razie problemów dysponujesz moim pełnym pełnomocnictwem. Do widzenia na starcie, będę tam na was czekał. Nie przejmuj się. To na pewno tylko

wynik bałaganu, po takim wrzasku w mediach nie odwołają lotu – dodaje, znając przyczynę mojego strachu.

W progu Iwicz ogląda się jeszcze na mnie, zanim jej jasna twarz i blask płomiennych włosów znikną za drzwiami. Wracam do patrzących na mnie z wyczekiwaniem chłopaków.

– Wszystko w porządku. Jak słyszeliście, przejmuję dowodzenie. Który ma papierosy? – pytam głośno.

Wyciąga się błyskawicznie kilka dłoni z otwartymi paczkami z zapasów Kaya. Oto namacalne przywileje władzy. Powraca spokój, rozsiadamy się znowu na swoich podręcznych manatkach. Halę wypełnia szmer cichych rozmów. Chłopaki grają w warcaby, kilku pisze ostatnie listy do bliskich. Nie wolno im pisać o tym, że lecimy w kosmos. Nasz ukochany rząd nie może wysługiwać się skazańcami, gdy cały zjednoczony naród pragnie ze wszystkich sił służyć nowej wspaniałej rzeczywistości. Piszą więc o tym, jak bardzo są szczęśliwi pracując w państwowych gospodarstwach rolnych, co pozwoli im zmasać winy i powrócić do społeczeństwa. O tym, że każdy ma swój domek i dużo wolnego czasu na doksztalcanie. Później te listy i tak pójdą do cenzury, gdzie poleżą sobie około roku. Jeszcze później specjalna komisja weryfikacyjna zadecyduje, który z nich można powierzyć poczcie. Wtedy, jeżeli poczta nie pomyli się, a świat będzie jeszcze istniał, po mniej więcej dwu latach list dotrze pod wskazany adres, gdzie kiedyś przed wysiedleniem mieszkał adresat. Pisanie do rodzin to tylko stary, niedorzeczny nawyk. Uspokojenie własnej pamięci, ropiejącej od nie zagojonych ran pamięci. Pierwsza Matka zadbała o to, żebyśmy tkwili w samotności niczym kamienie na pustym polu popiołu z naszych domów.

Ja i tak nie mam do kogo pisać. Układam się wygodnie na

wyciągniętej z torby lotniczej kurtce. Patrę, jak niebo za odrutowanymi oknami naciąga na siebie ciemnosiną płachtę wieczoru. Za nim krok po kroku podąża noc w płaszczu z mglistej czerni. Cichną ostatnie głosy spóźnionych ptaków. Potok czasu spowalnia nasze myśli.

Jest prawie pierwsza. Budzi mnie odgłos rytmicznych, dudniących kroków dobiegający z korytarza. Wtórąje im gwałtowne bicie naszych serc. Nadeszła nasza pora.

Po chwili do hali wchodzi czarne posągi, w dwóch szeregach po sześciu. Na czerni rękawów żółcą się zębate korony. To pretorianie Pierwszej Matki, separatysty z batalionu komandosów Masada Elwi Natera. Ada opowiadała mi o nich. Zgasili w sobie ducha zemsty za atak jądrowy na armię Izraela i dogadali się ze Starą jeszcze raz. Większość Żydów uważa ich za kolaborantów. Ale oni wiedzą, że Arabowie wypełniają zbiorniki starych tankowców ich bliskimi i wpuszczają tam gaz. Na warstwę trupów spychają dziesiątkami następnymi. Później, gdy gigantyczne pudła są już wypełnione po szczyt, odholowują je na pełne morze, zalewają ropą i podpalają. Dryfujące Pochodnie Arafata, niosąc czarny, tłusty odór śmierci, docierają czasami do brzegów Krety i Grecji. Ludzie uciekają wtedy z krzykiem. Komandosi z batalionu Masada zrobią wszystko, żeby uratować choć garść swoich. Zrobią też wszystko, żeby rzucić się do gardeł oprawców. Będą nosić połowę okaleczonej Gwiazdy Dawida, dopóki tego nie dokonają. Podobno nie są nawet okrutni – są tylko ślepyim narzędziem w rękach Pierwszej Matki. Wykonają każdy jej rozkaz, nawet taki, przy którym ich Herod od niewiniątek porzygałby się z obrzydzenia.

Odział zmienia szyk w pojedynczy szereg i robi zwrot. Stoją w milczeniu jak ogromne żuki w matowo czarnych

pancerzach ochraniaczy i maskach. Trzymają broń, którą można przeciąć mury tej hali. Karabinki storm z wiązką magazynków w kształcie rurek o średnicy trzech centymetrów to szybkostrzelne kosiarki, miotające zębate dyski rozmiarów monety. Jedna seria może położyć młody las razem ze wszystkim, co się tam schowało. Widocznie Starej wypadło kilka kartek z Konwencji Nowojorskiej, kiedy dawała im tę broń, albo nie wie, co te dyski robią z ludzkim ciałem.

Wstajemy z podłogi. Przypominam sobie, że to ja jestem dowódcą. Wydaję coś na kształt rozkazu:

– Grupa do wyjścia.

Komandosi otaczają nas z obu stron żywym murem. Eskortują naszą grupkę, maszerując niczym na wpuł mechaniczne istoty z obcej planety. Idziemy do stojącego na podjeździe szarego autobusu z zamalowanymi farbą szybami. Czterech wsiada z nami do autobusu, reszta zajmuje miejsca w dwu terenowych samochodach. Rozsiadamy się w oświetlonym słabymi żarówkami wnętrzu, przypominającym objazdową trupiarnię.

Autobus rusza, tnąc mrok ostrzami reflektorów. Komandosi zajmują pozycję na pierwszych siedzeniach, opierając wycelowane w nas płaskie lufy stormów na zagłówkach foteli. Oddziela nas od nich tylko jeden rząd, który kazali zostawić wolny. Patrzą na nas przez szpary w maskach oczami przypominającymi gadzie ślepie. Chyba przeszli jakieś specjalne szkolenie, normalny człowiek nie wytrzyma tak długo bez mrugania.

Peter siedzi obok, celując bezczelnie wzrokiem w komandosa na wprost.

– Wiesz, Hubert, jak się gra w oczka? – zaczyna pogawędkę. – Pewnej nocy, w czasie pory deszczowej na

sawannie, do mojego namiotu wlaźł stary lew. Był wyliniały i śmierdział jak mokry worek ze skarpetkami drużyny rugby po meczu w rzeźni. Rozumiesz, lało jak z cebra i ta biedna wycieraczka nie miała gdzie się schować. Skojarzył, że u mnie sucho, no to wlaźł bez pukania.

– No i co? – pytam.

– Położył się w progu i gapił mi się prosto w oczy. Wiedziałem, że nie po to przylazł, ale jak spuszczę na chwilę wzrok, to mnie zeżre. Było mi go żal i miałem nadzieję, że ta mokra ścierka pójdzie po rozum do głowy i się w końcu wyniesie. No i tak gapiiliśmy się na siebie do samego świtu. Pewnie bym wytrzymał. Ale tak nieludzko chciało mi się lać, że musiałem posłać mu spod koca kulę w łeb, minuty przed wschodem słońca i końcem deszczu – kończy ze smutkiem w głosie.

Dostrzegam, że komandos nie wytrzymał i mrugnął powiekami. Przesunął także lekko w bok wycelowaną w pierś Petera lufę pistoletu.

Jedziemy już przez jakiś czas. Przez zamazane szyby przebija pierwszy blask nielicznych ocalałych jeszcze miejskich latarni. Później pojawiają się światła domów dalekiego przedmieścia stolicy. Jeszcze kilka minut i nasz autobus skręca w lewo, na dziurawy asfalt bocznej uliczki.

Zatrzymujemy się przed odrapanym płaskim budynkiem. Dwie bladożółte żarówki oświetlają wejście oraz szpaler strażniczek w czarnych mundurach z ochroniaczami. Od naszych komandosów różnią się tylko tym, że nie noszą na twarzach masek i są uzbrojone w zwyczajne ultramaszynowe pistolety HKM. Jedna z nich, w sikhijskim turbanie zamiast hełmu, podniesionym głosem każe nam załadować do bagażnika wszystkie podręczne bagaże. Komandosi pozostają na zewnątrz, do środka wchodzimy pilnowani przez

uzbrojone kobiety. Prowadzą nas długim korytarzem, a potem schodami na pierwsze piętro.

Wchodzimy do jaskrawo oświetlonej sali. Stoją tam wzdłuż ściany dziwaczne fotele, przed każdym z nich duże lustro oraz stolik pełen różnych tajemniczych dupereli. Wszędzie roi się od kobiet w białych fartuchach. Patrzą na nas badawczo, zajęte przenoszeniem z miejsca na miejsce kolorowych flakonów i karminowych walizeczek.

– Wali jak z perfumerii na przedmieściach Marakeszu. Będą nas chyba golić – zgaduje Peter.

Dalsze dywagacje przerywa wrzask strażniczki w turbanie:

– Rozbierać się! Do naga!

Patrzymy oniemiałi, jak reszta eskorty rozsypuje się w wachlarz, otaczając półkolem naszą grupkę. Nikt nie spodziewał się takiego traktowania tuż przed startem, stoimy jak wmurowani w podłogę.

– Szybko! Zrzucać łachy, gnoje! – ponagla nas krzykiem strażniczka.

Ktoś nagle roztrąca ludzi, przedzierając się na czoło grupy.

– Kurwa, dosyć tego! Odpierdolcie się od nas, pojebane suki! – krzyczy jej prosto w twarz eksplodujący gniewem Polak.

Szok uderzenia wyzwolonego bezpiecznika spina mu mięśnie. Nie ma żadnej szansy na unik, gdy kobieta robi półobrót i wali go kolbą pistoletu w szczękę. Czapiński pada ciężko, szarpany drgawkami konwulsji, miota się po podłodze, tryskając spienioną krwawą strugą ze zmiążdżonych ust.

– Siadać na podłogę! Siadać, nie ruszać się! – wykrzykują rozkaz.

Wszyscy w jednej chwili robią z łoskotem pad na podłogę. Ułamki zdarzeń gnają teraz jak migotliwa seria oszałamiających błysków. Fioletowy turban ogromnieje w skoku, srebrzy się tuż obok odarta z czerni oksydowanego metalu stopka kolby pistoletu. Wyciągam do przodu lewą rękę, uginając jednocześnie kolana. Kolba na sekundę zamiera w locie, to daje mi czas, żeby wrzasnąć:

– Wara!

Kolba w jednym drgnieniu zwalnia i zastyga o stopę przed moją twarzą. Ta kolejna sekunda daje mi czas zapanować nad głosem.

– Tylko spróbuj, to Stara obedrze cię ze skóry – grożę, patrząc jej w oczy. – Tylko spróbuj. Kapitan Hansen to kumpel Dodo... zanim twoje ścierwo zgnije na plantacji, będziesz zginać grzbiet po szesnaście godzin na dobę. Będziesz żreć robactwo i pazurami orać ziemię, dopóki tam nie zdechniesz – mówię ze spokojem kata, nie spuszczać z niej wzroku.

Kolba cofa się. Dostrzegam dziwne dystynkcje na kołnierzyku strażniczki. Mają kształt srebrnych snopów zboża. Postanawiam iść na całość.

– Jestem zastępcą dowódcy rządowej ekspedycji. Macie natychmiast opatrzyć rannego kosmonautę. Mają wyjść stąd wszystkie zbędne kobiety, w tym twoja straż. Macie dostarczyć parawany, jeżeli musimy się rozbierać. Macie obchodzić się z nami z należyтым szacunkiem. Inaczej nie lecimy, a cała wina spadnie na ciebie. Rozumiesz, snopie?

Kobieta cofa broń, walcząc ze sobą. Jej reakcji nie da się jednak przewidzieć.

– Pomyśl, gdyby tu był twój ojciec albo brat – próbuję ją uspokoić.

– Zabiłam swojego ojca, niewiernego psa – odpowiadają

jej martwe usta.

Unosi jednak w górę lewą dłoń. Podbiega natychmiast jedna ze straży, cofają się razem, nie spuszczać z nas wylotów luf. Dopiero w bezpiecznej odległości wymieniają kilka zdań.

Spoglądam na chłopaków. Z wyjątkiem tulącej się do siebie jak para szympansów Sacharozы reszta wygląda na zdeterminowanych do trwania w oporze. Czekamy w napięciu na rozwój wydarzeń. Nasze argumenty przemawiają do wyobraźni. Nie mogą zapakować nas w kajdankach do wahadłowca. Rząd ośmieszyłby się na wieki, gdybyśmy położyli start zaplanowany przez samą Wielką Magdę. Wiedzą o tym.

Fioletowy turban i jej zastępczyni zostają, reszta wychodzi, żeby zająć stanowiska przy wejściu. Wychodzi także kilka innych kobiet. Zostają tylko te w białych fartuchach, ale one nie wyglądają na groźne.

Możemy teraz zająć się rannym Czapińskim. Peter próbuje zatamować krwawienie jakimś gałganem, kładzie jego głowę na swoich kolanach. Pomagają mu dwie dziewczyny z apteczką, które sprawnie zajmują się paskudnie rozwaloną szczęką Polaka. Widzę, że chyba nie jest z nim tak źle. Ból nie przeszkadza mu bowiem bładzić zachłannie łapą po udzie jednej z dziewczyn. Ta, przejęta jego cierpieniem, pozwala rannemu na ten mały akt lubieżnego seksizmu.

Podchodzą do nas inne dziewczyny. Zamieniam z nimi kilka zdań. Z nerwowej, urywanej rozmowy dowiaduję się, że to kosmetyczki z państwowych zakładów higieny oraz charakteryzatorki z publicznych teatrów i telewizji. W środku nocy policja zabrała je z domów lub z miejsca pracy i bez wyjaśnień przywiozła tutaj. Wszystkie dostały urlop i rano mają wyjechać gdzieś na wakacje, ale nie wolno im nawet

wrócić do domów po swoje rzeczy.

Tymczasem zjawia się kilka strażniczek, wlokących ramy od łóżek. Po powieszeniu na nich koców od biedy mogą służyć za parawany. Mieścił się tu chyba kiedyś zakład opieki społecznej, ponieważ ram ani koców nie brakuje.

Szybko powstają oddzielone od siebie, prowizoryczne boksy. Odwracam się do kobiety w turbanie i kiwam głową. Patrzy na mnie z niewysłowioną nienawiścią. Zostawiam ją z tym grymasem i daję rozkaz do przerwania buntu.

Chłopcy znikają w separatkach. Zgiętego wpół Czapińskiego prowadzi pod ramię dziewczyna, na której udzie trzymał rękę. Jako ostatni wchodzę do boksu w zetlałą czerwono-zieloną kratę. Zasłonięty kocami, rozbieram się. Trzy przydzielone mi dziewczyny starają się zachowywać możliwie dyskretnie. Kiedy jestem nagi uciekają wzrokiem, a pierwszą rzeczą, jaką dostaję... są półprzezroczyste damskie figi. Pewnie nasze nie nadają się pod skafander z jakiś higienicznych względów, a jak zwykle brakuje odpowiedniego wyposażenia – tłumaczę sobie ten dziwny przydział. Zakładam z obojętną miną wyzywające telewizory i siadam przed wielkim lustrem. Patrę na swoją postarzałą, zmęczoną twarz. W tych dezabilach zaczynam czuć się jak emeryt fetyszysta, próbujący bez przekonania rajcować się swoim nowym, zwiniętym z bieliźniarki łupem.

– Będziecie filmowani. Musimy pana oficera odpowiednio przygotować – tłumaczy nieśmiało urocza wysoka blondynka.

– Tylko bez przesady, dziewczyny, nie chcę być zbyt atrakcyjny. Kobiety i tak nie dają mi chwili spokoju – silę się na głupawy dowcip.

Dziewczyny chichoczą z wdziękiem. Nie mogę jednak rozwinąć flirtu w bardziej poufałą fazę, ponieważ ciepła,

miękką dłoń nakłada mi na twarz jakąś papkę. Następnie tracę wizję, kiedy oczodoły wypełnia posmarowana czymś wata. Moją skórę co chwila owiewa lekki wietrzyk, wywołany ruchem ciał krzątających się dziewczyn. Lampy grzeją przyjemnie. Pieszczą mnie jakieś pędzelki wraz z gąbczastymi kulkami. Golenie sprawia dodatkową rozkosz. Prawie zasypiam, gdy budzi mnie ostrze golarki na nogach, torsie, a nawet pod pachami!

Tajemnicze zabiegi trwają w nieskończoność, co chwila rozlegają się szepty poleceń, których znaczenia kompletnie nie pojmuję. Jedno jest pewne – bohater musi być piękny, a dziewczyny znają się na swojej robocie. Wreszcie na pokrytą balsamami skórę klatki piersiowej zakładają mi szelki od wyposażenia skafandra, a nogi zostają opięte jakąś elastyczną powłoką. Potem oblekają mnie w jakąś śliską oponkę. To pewnie warstwa ochronna dla skóry pod skafandrem z ekwipunkiem – tłumaczę sobie. Nie mogę tylko odgadnąć przeznaczenia czegoś zwiewnego i delikatnego, co po chwili otula szczelnie moją głowę.

– Zaraz pan siebie obejrzy, tylko niech pan się nie denerwuje, panie oficerze – słyszę głos jednej z dziewczyn i natychmiast w głowie zapala mi się czerwona ostrzegawcza lampka.

Wstaję z fotela. Wyciągają mi z oczodołów tampony. Rozklejam pokryte mazidłem powieki i zastygam z wytrzeszczonymi ślepiami.

Z głębi lustra gapi się na mnie, odziane w purpurową kieckę z cekinami i tiulem, stare rozklekotane kurwidło z gałami jak wyjące ze zgrozy błękitne meduzy. Otwieram ze zdumienia uszminowane usta, którymi można wchłonać telegraficzny słup. Baba, w której tkwię, wygląda niczym przechodzona portowa brama rozpaczy, zaliczana przez

wszystkie załogi od Hong-Kongu po Liverpool i z powrotem.

– No i jak? – słyszę zaniepokojony głos.

– No i tak... zrobiłyście mnie na zardzewiałą rurę – odpowiadam, wydymając karminowe usta.

– Na co?

– Na starą prostytutkę – tłumaczę załamany i wściekły.

Blondynka poprawia mi nerwowo loki.

– Ależ nie, skąd? Jest pan damą, dyrektorką lotu – wyjaśnia spanikowana.

– Dziecko, gdzie ty oglądałaś damy? – pytam, padając ciężko na krzesło. Mało nie pęka mi przy tym przyciasna na plecach kiecka.

Dziewczyny wykorzystują to natychmiast. Moje paznokcie zakwitają kuszącym, seksownym różem.

– Mamy żurnale i filmy z pokazów mody. Ta kreacja jest bardzo elegancka – wzdycha zazdrośnie blondynka.

Postanawiam nie oponować. Patrzę na zdobiące mi uda ażurowe, jaskrawożółte pończochy. Nieśmiała Azjatka stawia obok parę lśniących od lakieru fioletowych kozaczków z obcasem wysokim jak czterdziestopiętrowy wieżowiec.

– Jesteście daltonistkami? – pytam z nadzieją.

– No wie pan? Jesteśmy prawymi feministkami z młodzieżówki – odpowiada mi z przejęciem sowiooka brunetka.

Pozostałe potakują jej gorliwie.

– Wybaczam wam – mówię ze smutkiem.

Za innymi zasłonami rozbrzmiewają krzyki i skargi.

– Załoga, zamknąć gęby! To rozkaz! – ryczy z lustra moim głosem perwersyjne monstrum.

Skargi cichną trochę, lecz tu i tam słychać podniesione męskie głosy. Muszę natychmiast zapobiec nowej awanturze. Dziewczyny wciskają mi na łydki upiorne, miazdzące stopy

kozaczki. Wstaję rozkładając ramiona i robię pierwszy krok. Majtki cisną mnie w kroku, kiecka opina biodra i plecy, a stanik uniemożliwia ruchy ramion. Robię drugi krok. Całe szczęście, że dziewczyny są czujne. W porę łapią mnie pod ramiona.

– Rany! Jak w tym żyć? – pytam złowrogi świat. Opiekunki już mnie nie puszczaają, idę wleczony w rozkroku, jakbym zasikał sobie rajstopy.

Kilka kroków za parawanem przekonuję się, że wylądowałem wcale nie najgorzej. Stoję oko w oko z reinkarnacją Czapińskiego. Charakteryzatorki dokonały cudu, wkomponowując jego spuchnięte od ciosu wargi w twarz murzyńskiego wodza. Równie zdziwiony niebieskooki Polak łypie na mnie szczerym jasnym spojrzeniem, wyzierającym z mroków czekoladowego oblicza. Na czarnych pierścieniach loczków odmienia wykwita wspaniała pióropusz, a ramiona skrywa imitacja cętkowanej lamparciej skóry. Egzotykę postaci podkreśla rzeźbiony drewniany bębenek i coś, co wlewa w moje serce nadzieję.

– Dawaj – rozkazuję stanowczo.

Wspieram się z ulgą na solidnym drzewcu dzidy, którą dostał do kompletu. Stąпам dalej sam, lekko tylko wykrzywając nogi w kostkach. W oddali dostrzegam wymachującą ramionami potężną Walkirię o złotych warkoczach. Peter ma ten sam problem z obcasami co ja. W dodatku obcisła balowa suknia w kolorze rozdeptanej sałaty i ogromny biust skutecznie krępują mu ruchy. Podchodzę bliżej, taksując krytycznie jego styl. Nosi tanią szklaną biżuterię, a jego makijaż to tandeta. Fatalne są także wiśniowe rękawiczki do łokci.

– Budzisz moje ciepłe wspomnienia, Peter. W zacnym dortmundzkim domu schadzek widziałem kiedyś twoją

bliźniaczą siostrę. Za dziesięć euro zgniatała między cyckami głowy klientów – podsycam w nim ducha walki.

Zbrukana Walkiria trzepocze w uniesieniu rzęsami.

– Tobie zgniotę gratis, ty, ty... – płacze się, szukając słów.

– Tania flądrowo! – wymyśla w końcu jakiś słowny ersatz.

– Może i jestem niezbyt wymagająca, ale mam dzidę, dojarko mamutów – przyjmuję obelgę, robiąc na drzewcu w tył zwrot.

Nie oddaliłem się nawet o dwa metry, gdy Walkiria wywiesza białą szmatę.

– Zaczekaj – dobiega mnie żalosne błaganie. – Masz zgrabny tyłek i szykowne pończochy – kadzi na zgodę.

Moje serce topnieje jak wosk. Podchodzę i razem opieramy się o włócznię.

– Nie całuj w podzięce. Spaprasz mi makijaż, a trzeba zrobić lustrację załogi. Muszę się prezentować – ostrzegam.

Posuwamy się objęci w pół, przesuując drzewce. Podrygujemy co krok, chwiejąc się na obcasach jak dwie rozjechane przez dzikiego słonia kurewki, które obrobiły arsenał Zulusa Czaki.

– To nic. Na sawannę i tak jak co roku spadnie deszcz, więc nie ma sensu rozpaczać – kwituje filozoficznie Peter obraz załogi.

Wśród chłopaków panuje burdelowo-karnawałowy szyk. Ton nadają fantazyjne barwne kapelusze, wijące się pierzaste boa i wystrzałowe szpilki, naprężające niezgrabne łydy w ażurowych pończochach. Spod spiętrzonych, trefionych peruk patrzą na mnie mrugające nerwowo, przestraszone oczy. Posmarowane barwnikami gęby imitują mieszankę etniczną naszego szczęśliwego społeczeństwa.

– Świetnie. Tłum oszaleje – uspokajam przebierańców.

Oglądam każdego dokładnie, z trudem odgadując ich

nazwiska. W pierwszej chwili rozpoznają tylko Sacharozę – jeden ma granatowy kusy garniturek, drugi kombinezon i kask tubylczego technika. Szybko identyfikują także O’Neala, choć nowa szata zmieniła go w karykaturę macho. Irlandczyk jest naprawdę w opłakanym stanie. Cały, od stóp do głowy, pomalowany został na kakaowo-miedziany kolor. Włosy ma pokryte błotem i ozdobione przyklejonymi kolorowymi piórkami, a twarz to czysta abstrakcja. Drewniany krążek rozmiarów połowy małego talerzyka upodabnia usta do kaczego dzioba. Natomiast na brodzie i nosie sterczą kolorowe patyczki długości szkolnych kredek, niczym szczecina ekscentrycznego jeżozwierza. Najbardziej jednak rzuca się w oczy półmetrowa tykwa na członku, ozdobiona na czubku krwistym pomponem i utrzymywana w agresywnej pozycji za pomocą napiętego sznurka opasującego biodra. Całość śmiałej kompozycji wieńczą świecące niczym samochodowe reflektory, jaskrawo karminowe jądra. Kostium szaleńca uzupełnia zabytkowy magnetofon, jaki z niejasnych przyczyn powieszono mu na szyi.

– Doskonale, O’Neal. Każdy zobaczy, że jesteś facet z jajami – pocieszam go oklepanym banałem, z trudem panując nad głosem.

Przyklejona do dolnej wargi deseczka zaczyna podrygiwać z częstotliwością popielniczki w ręku paralityka. Sepleniąc i zapluwając swoją dekorację, Irlandczyk szepce spazmatycznie:

– I kto śśśęę teraz zee mną napiiiije?

Peter reaguje natychmiast.

– Ja się z tobą napiję zawsze i wszędzie, przyjacielu. A jak się uda, to nawet przyjmę cię do ekipy. Możesz tym przecierać szlak w buszu i robić próbne odwierty pod studnie

artezyjskie na Saharze – mówi entuzjastycznie, wskazując tykwę Irlandczyka.

O’Neal chyba nie wierzy w szczerłość tych zachwyków, ponieważ odwraca od nas swój maszt i prezentuje goły tyłek, połyskujący niczym wytarty miedziak.

Na koniec pytam Czapińskiego, jak się czuje. Martwię się o niego. Dziury po wybitych zębach i rany dziąseł przy skokach ciśnienia w czasie startu mogą spowodować krwotok. Twardy Polak potrząsa tylko głową na znak, że nie jest z nim źle. Nie spuszcza z oczu swojej skonfiskowanej broni.

– Zapomnij, Cezek. Jestem dowódcą i jest mi potrzebna, zresztą ty nie masz obcasów – odbieram mu wszelką nadzieję.

Do naszej barwnej gromadki zbliża się groźna szefowa straży. Zatrzymuje się metr przed moją twarzą, ściskając kurczowo automat. Jej fioletowe usta szepcą złowrogo:

– Zatlukłabym cię, ale i tak zginiecie, żalosne dziwki.

– Wrzuć mi do trumny swój turban, pasuje jak ulał do mojej kurewskiej kiecki – odpowiadam i nie dając jej czasu na reakcję, wołam: – Załoga za mną!

Ruszamy, tańcząc na obcasach taniec świętego Wita. Potykamy się i opieramy o siebie nawzajem. Najgorsze jednak dopiero nas czeka – to schody prowadzące na parter. Zejście po nich na wysokich koturnach i szpilach przypomina koszmar. Nie pomaga nawet dzida Czapińskiego. Okazuje się, że jedynym sposobem autorstwa Petera jest zjazd na brzuchu po kostropatej poręczy, z wypiętym tyłkiem i uniesionymi stopami. Gubimy przy tym peruki, a biusty przejeżdżają wszystkim na plecy. Na dole zbieramy się w wymiętą gromadkę. Tu Sacha i Rosa w końcu się do czegoś przydają – z oddaniem pomagają doprowadzić do porządku

naszą garderobę, a nawet taszcą podręczny bagaż kolegów. Po wielu mękach, na wybitych stawach skokowych zajmujemy w końcu miejsca w autobusie, gdzie natychmiast jeden z komandosów zabiera mi dzidę Czapińskiego.

– Wyglądamy jak wycieczka transwestytów do cyrku zboczoli. Niech to, ale mnie rżnie w palce. Zaczynam rozumieć, dlaczego tak nas nienawidzą – odzywa się Peter, grzebiąc paluchem w swoim przyciasnym pantofelku.

– Nie przesadzaj, blondyno. Nikt im się nie kazał torturować w takim czymś na nogach.

Odpowiada serią stęknień i posapywań:

– No niby tak, ale jak kręcić tyłkiem na płaskim?

Patrzę zdziwiony, jak starannie układa swój złocisty warkocz, gruby niczym okrętowa cuma.

– Niepokoisz mnie, Peter – mówię, odpychając jego łydę od moich kozaczków. – I ogól sobie pachy przy okazji. Wyglądasz, jakbyś dusił tam dwie zdechłe szynszyle – dodaję.

Obrażony, milknie. Jedziemy już od kilku minut, podskakując na wybojach. Przez matową szybę przeblyskuje świt. Po kwadransie purpurowa kula bawi się w chowanego z cieniami mijanych przydrożnych drzew.

Przez zamazane szyby nie widać nic więcej. Nie mamy pojęcia, gdzie nas wiozą. Po pół godzinie autobus się zatrzymuje. Na zewnątrz słychać podniecone głosy i hałas przesuwanych kontenerów. Gdzieś z oddali porykuje niczym stado bawołów na wypasie strojąca instrumenty orkiestra dęta.

Wysiadamy, wykręcając znowu stopy, wprost na wystrzyżoną murawę. W dalszym ciągu nie widzimy niczego dookoła. Droga z autobusu aż do drzwi jakiegoś ceglanego budynku osłonięta jest płóciennym rękawem, rozpiętym na

półkolistych pałakach. Na szczęście dostaję z powrotem dzidę Czapińskiego i możemy razem z Peterem dokolebać się jakoś do drzwi. Za nimi znajduje się sala z ogrodowymi meblami. Wchodzimy wszyscy do środka.

– Siadać – wydaję rozkaz, kiedy połowa ludzi i tak zdążyła już klapnąć na plastikowe krzeselka.

Ja także opieram się o biały blat i z ulgą sadowię tyłek na krzesle. Co za ulga! Czapiński, czujny niczym borsuk pilnujący swojego skarbu, siada obok. Rozpinam suwaki kozaczków, lustrując jednocześnie pomieszczenie. W czterech kątach rozlokowali się komandosi z Masady. Oprócz nich widzę kobiety w białych kombinezonach, pewnie obsługę imprezy. Na prowizorycznym bufecie stoi termos, obok na stoliku piętrzą się papierowe talerzyki i kubeczki. Czapiński też się tam gapi, wybijając nerwowo jakiś rytm na swoim bębenu.

– Sefiee, mają chyba sszarcie – sepleni przez wybite zęby, pokazując brodą na termos. – Pujdęć siee rossejseć.

Wyrażam zgodę i zsuwam jeszcze cholewy upiornych kozaczków. Stopy spuchły mi tak, że boję się zdjąć buty, bo nie wiem, czy mógłbym założyć je z powrotem. Chwila rozkoszy trwa jednak krótko.

– Hubert, mam problem – zaczyna mnie katować Peter.

– Wszyscy mamy – odpowiadam oschle, pragnąc, żeby się odczepił.

– Nie mam takiego koronkowego stanika i majteczek jak wszyscy – męczy dalej Walkiria.

Nie jestem w nastroju do żartów. Stopy, ściśnięte plastikiem, pulsują boleśnie.

– Naprawdę mnie niepokoisz, Peter. Te ciuchy rozbudziły twój uśpiony pierwiastek jang. I to kto jak kto, ale ty? Wcielenie Tarzana?

Peter patrzy ze zmieszaniem.

– Co ty pieprzysz? Nie mam stanika i majtek, bo założyły mi body gorset, a strasznie zachciało mi się łać. Jak to zrobić? – pyta z paniką w oczach. – I trzymaj się z daleka od moich pierwiastków – przypomina sobie.

Oddycham z ulgą.

– To banalnie proste. Wystaw fajkę bokiem i lej – podpowiadam.

– Masz mnie za debila? To jest za ciasne i są tu jakieś rusztowania. Nie mogę wcisnąć nawet palca – wścieka się, obmacując krocze. – Cholera, jak te baby to robią? – docieka w rozpacz.

– Damy nie leją, Peter. Nie wiedziałeś o tym, buraku z sawanny? – mszczę się za zburzony spokój.

Peter nie odpowiada na zaczepkę, więc sprawa jest chyba naprawdę poważna.

– Dobra, chodź ze mną. Mam chyba skuteczne rozwiązanie – rezygnuję z odpoczynku, zapinając do połowy cholewki.

Postukując dzidą, holuję przyjaciela za spocone łapsko w kierunku bufetu. Dziewczyny za stołami patrzą na nas spłoszone. Nie zwracam uwagi na ich spurpurowiałe nagle twarze. Oglądam sprzęt kulinarny i mój plan ratunku pada. Wszystkie nożyki są z tworzywa.

– Giętkim się nie da – ogłaszam złą wiadomość.

Peter ponagla mnie, jęcząc.

– Dasz radę. Zrób to szybko, nie mogę już wytrzymać.

Nagle olśniewa mnie nowy genialny pomysł.

– Gdzie jest najbliższa ubikacja? – pytam dziewczyn.

Jedna z nich udaje, że szuka czegoś pod stołem, druga wybiega na zaplecze.

– Szybciej, śpieszy nam się, gdzie jest kibel? – pytam

jeszcze raz.

Trzecia na szczęście zaciska tylko usta i wskazuje drzwi w małym bocznym korytarzyku. Walimy tam chwiejnym sprintem. Wpadamy do łazienki z pisuarem, trzema umywalkami i kabinami kryjącymi sedesy.

– Masz, wypruj sobie rozporek grotom – wciskam mu w dłoń dzidę wodza.

Peter jednym ruchem zadziera suknię na brzuch i przyciska żelazo do czarnej bielizny. Zaczyna wiercić gorączkowo, tłukąc końcem drzewca o bok kabiny, lustro nad umywalką oraz baloniasty szklany klosz. Opieram się o ścianę, słuchając jego jęków i podziwiam fantazyjne wdzianko. Cholerstwo faktycznie przypomina średniowieczną zbroję. Sztywne i lśniące, jest na amen zasznutowane na plecach. Ja także nie mogę dociec, jak to się rozpina.

– To świetne dla magistrantek feminizmu na ustawowym urlopie wypoczynkowym – stwierdzam.

Dalsze manewry Petera przerywa wejście baby z wiadrem, która staje w drzwiach z rozdziawioną gębą. Później słyhać tylko jej przerażający, histeryczny wrzask:

– Ratunkuuu! Zabije sięęę!

Peter z okrzykiem bólu łapie się za krocze, a ja spadam z obcasa. W sekundę później pojawia się krzyczący komandos.

– Wszycynapodłogęraaz!

Padam plackiem. Obok rozlega się łomot potężnego ciała i stukot twardego drewna. Poprzez czarne loki widzę płaską łufę storma, wahającą się pomiędzy leżącym Peterem a mną.

– Nie strzelaj, kolego. Damy nie leją, rozumiesz? – odzywa się Peter. – Musiałem wyciąć sobie rozporek – tłumaczy.

Ze wstydu zamykam oczy. Nie słyszę kroków

komandosa, czuję tylko lekki powiew powietrza, kiedy podnosi z podłogi dzidę. Leżę spokojnie na zimnej podłodze, wdychając zapach chloru i tandetnej pasty. Ja mam czas. Peter nie ma do stracenia ani chwili.

– Uwaga, wstaję. Mam uraz, w internacie ciągle dostawałem za to łomot. Wolę, żebyś mnie zastrzelił, niż mam zmoczyć gacie – ostrzega komandosa Peter.

Po chwili słyszę łoskot niagary i westchnienie ulgi przy akompaniamencie tryumfalnych pierdów. Dziura okazała się wystarczająca. Podnoszę głowę. Komandos zniknął równie szybko, jak się pojawił. Powoli, opierając się o ścianę, dźwigam się na zmaltretowane nogi.

Peter, sycząc z bólu, powiększa palcami otwór w swoim pancerzu.

– O rany, cudem wyniosłem jaja spod gilotyny, a teraz sam się chlasnąłem przez jakąś wrzeszczącą babę – narzeka, opłukując pod strumieniem wody zakrwawione palce.

Okazuje się, że ostrze grotu zraniło go w pachwinę. Na szczęście rana nie jest groźna. Każę mu powstrzymać krwawienie przy pomocy końca blond warkocza maczanego w zimnej wodzie i wyruszam na poszukiwanie jakiegoś opatrunku. Ku mojemu zdziwieniu okazuje się, że dziewczyny z prowizorycznego bufetu mają apteczkę. Zarumieniona od ciągłych ataków chichotu bufetowa daje mi plaster, żel antybiotykowy oraz tampony. Żel przyda się także dla Czapińskiego. Kiedy wchodzę do łazienki, wita mnie radosny okrzyk rannego.

– Patrz, to się otwiera na dwie strony, jak pociągniesz taką linkę z koralikiem pod lewą pachą. Ale to sprytne! – zachwyca się, pobłyskując gołym zadkiem.

Daję mu maść i plaster, chociaż mam ochotę zakleić mu gębę. Myślałem, że start w nieskończony kosmos odbędzie

się w podniosłej i dramatycznej atmosferze, a tymczasem tkwię w jakiejś absurdalnej grotesce.

Zrezygnowany, wracam o własnych siłach do naszego stolika. Wódz Zulusów skombinował tymczasem dzbanek zbożowej kawy, jakieś babeczki i kilka kanapek.

– Dają po dwie kanapki i siastko na głowę. Ale tak nimi zakreśliłem, że wyšlo po śtery i dwa siastka. Prosię, dla siebie, siebie – sepleni, układając usłużnie czarną dłonią łupy na moim talerzyku.

Wzdycham ciężko.

– Ceszek, ktoś przez ciebie dostanie mniej.

– E tam, siebie. To z puli tamtych śmutasów – odwraca dyskretnie pióropusz w stronę jednego z komandosów.

Żuję babeczkę, zapijając kawą, kiedy pojawia się Peter. Sunie niepewnie wzdłuż ścian z szeroko rozłożonymi ramionami.

– Siefie, gsie, kurczę, mój spszęt? – niepokoii się wódz.

– A gdzie masz, kurczę, swój bębenek? – dostrzegam brak.

Wódz skromnie spuszcza wzrok.

– Mam tsi paški fajek. Chcesz, siebie? – proponuje beczelnie malwersant, bobrując pod swoją lamparcią skórą.

Pro forma fukam gniewnie i za chwilę zaciągam się prawdziwym camelem.

– Dziędę dostaniesz później, mieliśmy w kiblu małą afere – uspokajam go.

Niebieski dym przyspiesza znacznie tempo marszu Petera. Zanim dotknął tyłkiem krzesła, już chciwie wyciąga łapę do Czapińskiego. Polak częstuje go bez słowa skargi, zwłaszcza że Peter rewanżuje mu się tubką żelu. Czekamy nie wiadomo na co, pijąc kawę i zamieniając w popiół rządowy majątek.

Kiedy nie mogę już wytrzymać i decyduję się w końcu na zdjęcie kozaczków, do sali wpada jakaś zdyszana kobieta z wielkim granatowym notesem pod pachą. Ma na sobie luźną pelerynę, a na głowie wyciętą czapkę z wielkim daszkiem. Przebiega pomiędzy stolikami, rozglądając się nerwowo.

– Dobrze, dobrze... już niedługo. Tylko gdzie, tylko gdzie? Już za trzydzieści pięć minut! – pokrzykuje bez sensu.

– Będzie rodzić. Szuka spokojnego kąta – tłumaczy chłopakom, widząc ich zdziwienie.

Czapiński kiwa ze zrozumieniem pióropuszem, a uspokojony Peter odwraca od zjawiska głowę i dolewa wszystkim kawy. Właśnie kończymy porcję lury, gdy szalona artystka nawiedza nas znowu. Nie ma jednak zamiaru wydawać na świat potomstwa, tylko jako główny reżyser widowiska każe nam się ustawić w szeregu.

Ustawiamy się niespiesznie pod ścianą, nie reagując na jej ponagląjące pokrzykiwania. Czapiński, nie przestając palić, wysuwa się naprzód.

– Królofo, tamsi bessprawnie skonfiskowali mi rekwizyt. Jezdem wojownik ci jakiś chudy wujek w ssandałach? – skarży się, wskazując papierosem na komandosów.

O dziwo, jego broń znajduje się natychmiast i uspokojony Zulus wraca do szeregu, ściskając czule drzewce.

Potem opada nas rój asystentek. Poprawiają nam tiule, szminkują jeszcze raz usta i obciągają przyciasne suknie, wszystko w kłębach pudru i chmurach perfum, rozpylanych całymi seriami z ciśnieniowych pojemników. Dostają od tego potwornego ataku kichania, peruka zsuwa mi się na czoło, a łzy z oczu rozmazują poprawiony makijaż. Reżyserka wrzeszczy coś o sabotażu, ale mało mnie to obchodzi. Wiem, że tym razem ona ma większe powody do strachu. Wycierają mi twarz i jeszcze raz tapetują kosmetykami. Spokój ma tylko

stojący niedaleko O'Neal. Kobiety z szacunkiem i lękiem omijają w przyzwoitej odległości jego dumnie sterczącą tykwą z artylerią w środku.

Gdy nasz wygląd zostaje uznany wreszcie za perfekcyjny i imponujący, głos zabiera pani reżyser.

– Spotkał was niebywały zaszczyt. Żegnać was będzie osobiście Pani Prezydent Połączonych Narodów, na oczach całego społeczeństwa. Macie zachowywać się godnie i z powagą stosowną do tak wielkiej chwili – mówi głosem drżącym z przejęcia.

Dalej następują szczegółowe instrukcje, jak mamy stać, jak zachowywać się w bezpośredniej obecności pani Prezydent oraz jak wyrażać nasz entuzjazm.

– Czy są pytania? – kończy tyradę.

Uważam za stosowne zadać przynajmniej dwa.

– Gdzie jest kapitan Hansen i kiedy założymy nasze kombinezony?

Kobieta czerwienieje na twarzy.

– Kombinezony, w takiej chwili?! Macie zobaczyć Pierwszą Matkę!

– Kiedy dołączy do nas dowódca? – pytam ponownie.

– Cicho! To bezczelność! – wrzeszczy jak opętana.

Z dalszych wrzasków wynika, że kapitan będzie na starcie. A nasza charakteryzacja to sprawa wagi państwowej i niepodporządkowanie grozi doraźnym trybunałem dla zdarców stanu.

Dochodzę do wniosku, że więcej się nie dowiemy i nie ma sensu baby nakręcać. Artystka miota się jeszcze przez chwilę, ciągle poprawiając swoją reżyserską czapeczkę. W końcu, wymachując notesem, prowadzi nas do bocznych drzwi. Toczmy się do nich z trudem. Tym, którzy nie bardzo mogą iść samodzielnie na szpilkach i obcasach, pomagają

asystentki.

Spod pachy Petera ze zdumieniem obserwuję niepewny krok Czapińskiego. Polak sunie, utykając jak ofiara lumbago z nogami w gipsie, chociaż ma wygodne sandały i dzidę do podpierania. Mocno obejmuje na wysokości biustu śpieszącą mu na pomoc szczupłą Hinduskę. Przyklejony do niej jak miód do szurzego pyska, maszeruje z innymi korytarzem do drzwi wielkiej towarowej windy. Pakujemy się całym tłumem do drucianej klatki. Winda rusza w górę, co wprawia panią reżyser w jeszcze bardziej podniosły nastrój. Ciśnienie jej patriotyzmu rośnie tak, że kobieta musi dać upust emocjom, umilając nam krótką podróż państwowym hymnem.

Potem słyszymy coś jeszcze. Z góry dociera do nas coraz bardziej intensywny szum. Zadzieramy wszyscy głowy. Niczym napięte ścięgnięta drżą stalowe liny, z każdym obrotem bębna przybliżając nas do oceanu. Z coraz większą mocą rozbijają się o brzeg fale sztormowe stukających głosów.

Kiedy otwierają się żelazne wrota, szum wzmagą się, jakby rój miliarda owadów krążył w przestrzeni nad kraterem gigantycznego wulkanu.

Prowadzą nas do płóciennego namiotu, którego przednia ściana pokryta jest jaskrawymi malowidłami. Widziany od tyłu obraz przypomina barwny ogród lub tropikalną dżunglę. Natomiast panująca tu temperatura kojarzy się tylko z rozgrzaną łaźnią parową. Rozdygotana z emocji pani reżyser ustawia nas w szeregu. Sterczymy, ociekając potem, jak weteranki prostytutki na targowisku niewolników w Caracas. Słońce, prażąc przez płótno, rozmazuje znowu nasze makijaże. Reżyser w porę dostrzega nowe niebezpieczeństwo i wydaje gorączkowe polecenia. Tymczasem na zewnątrz w gwar głosów wdziera się głuche stęknienie bębna. Później

odzywają się metaliczne gardła tub i puzonów, orkiestra zachłystuje się jakimś paradnym marszem. Dźwięk trąbek zamiera co chwila, kiedy muzykanci łapią oddech, nie przyzwyczajeni do marszowego kroku.

Tymczasem asystentki przywlokły skądś potężną dmuchawę. Mocny podmuch maszyny, niczym zaśmigłowa struga samolotu, owiewa chłodnym powietrzem nasze umęczone nogi.

– Jeeeejjj – jęczy z rozkoszy stojący obok mnie Ciastek.

Struga przepływa od początku szeregu do końca i z powrotem, zatrzymując się przy każdym na kilka chwil. Koledzy w luźniejszych kieckach mają z tym problem. Suknie unoszą się jak balony i trzeba je ciągle na nowo układać. Kiedy huragan owiewa nas znowu, dostrzegam wspaniałe czerwone reformy Czecha. Artyzm kroju koronkowego cuda wprawia mnie w olśnienie. Zdobne w ażurowe wstawki i kokardy arcydzieło sięga do połowy uda. Zaś magnetyczne miejsce, o którym marzą wszyscy mężczyźni, skrywa tajemniczo czarna muślinowa róża.

– Jesteś perwersyjnym snem andaluzyjskich megatorreros – wyrażam swój podziw.

Zajęty przytrzymywaniem falującego nad biodrami klosza hiszpańskiej sukni, właściciel cacka nie odpowiada. Falbaniasta kreacja wyrywa mu się ostatecznie z rąk, staje dęba i łopocze niczym zwycięski sztandar w chwili, gdy właśnie opada przednia ściana namiotu. Pierwsze, co widzi milionowy tłum na stadionie, to purpurowe, ukwiecone na łonie majtki Ciastka walczącego ze zbuntowaną materią niczym Marylin nad wywietrznikiem metra.

Morze głów wpatrzonych w fascynujące widowisko sięga po skraj nieba. Porażony tłum milknie natychmiast i zapada cisza jak w oku cyklonu. Co gorsza, z wrażenia zamiera także

obsługa dmuchawy, nie dając Ciastkowi szans na opanowanie chaosu. Zrozpaczona Hiszpanka, próbując ukryć swoją niewinność, odwraca się bokiem do narodu, ukazując przy tym kokieteryjnie krągłe biodro.

Dopiero teraz milknie dmuchawa. Cisza trwa, słychać tylko, jak ktoś z orkiestry z brzękiem upuszcza talerz. Jakaś baba zrozpaczonym głosem zaczyna skandować przez megafony:

– Niech żyje! Niech żyje!

I wtedy stremowany Czech zaczyna jak ostatni cymbał kłaniać się nisko publiczności, trzepocząc w podnieceniu wachlarzem. Rozlegają się pierwsze, jeszcze anemiczne oklaski. Głośniki zmieniają rytm.

– Pierwsza Matka! Wielka Matka niech żyje!!!

Okrzyk wzbiera, wprawiając w vibracje cząstki powietrza z energią fali uderzeniowej pięćsetkilogramowej bomby. Z urwiska ściany stadionu powoli wyłania się wielka, obłożona zielonym atłasem platforma. Z przodu, na podwyższeniu z mównicą, stoi ze splecionymi ramionami obiekt adoracji milionów. Pierwsza Matka ze swoim ukochanym mężem u boku. Z tyłu w równych szeregach przeży się cały rząd, oficjelki i Najwyższe Kapłanki naszego państwa. Kobiety ubrane są w rozmaite regionalne stroje, wiele z nich ma twarze zakryte czadorami. Pierwsza Matka w luźnej szacie wznosi dłonie ponad skraj trawiastego ronda kapelusza.

Tłum milknie jakby ktoś wcisnął wyłącznik. Napięta struna ciszy drży przez kilka sekund. Później z głośników rozlega się przenikający wszystko szept:

– Dzieci. Moje dzieci. Jestem z wami... jestem z wami.

Szept potężnie niczym rozdmuchany z iskry płomień.

– Jestem drzewem, jestem drzewem... wy owocem, wy

owocem.

Dorothy ubrana w szary garnitur zaczyna klaskać w takt mantry. Przyspiesza ruchy dłoni, kiedy Pierwsza Matka opuszcza ramiona. Cały stadion wypełnia eksplozja owacji.

Aplauz niszczy prawa akustyki i tworzy nowe. Dźwięk przenika się nawzajem, pulsuje, odbija od własnych fal, tworząc niezależne od źródła ogniska pogłosu. Gaśnie we własnym echu, by za chwilę narodzić się w zupełnie innym miejscu, karmić się swoją potęgą, trwać, trwać i trwać. Jakby chciał wypełnić całą kulę ziemską i wszystkie serca wszystkich istot. Hymn miłości i oddania wznosi się do samego słońca, kiedy z płyty boiska wzbijają się uwolnione z niewidocznych klatek tysiące białych gołębi oraz setki tysięcy kolorowych baloników. Białe ptaki razem z kolorowymi kulami fruną ku niebu, niesione nieokiełznaną siłą erupcji milionowego krzyku.

– Wielka Matka!!! Nasza Matka!!! Nieeeeeech żyjeee!!!

Oszalałe gołębie zbijają się w srebrną ławicę. Przeżalone krzykiem, nie potrafią przelecieć ponad koroną stadionu. Zdumiewająco wyraźnie słyszę charakterystyczne seplenienie.

– Zasfrają starfą – melduje radośnie Czapiński.

Dopiero kiedy baloniki wznoszą się wyżej, ptaki zwiększają pułap i uciekają z kipiącego krateru ludzkiego szaleństwa.

Błada jak wyciągnięty z lochu dożywotni katorżnik pani reżyser roztrzęsionymi rękami ustawia przed nami mikrofon. Coś się szykuje. Aplauz i krzyk przygasają, kiedy Pierwsza Matka i Dorothy schodzą z mównicy. Megafony komentują na bieżąco wydarzenia.

– Za chwilę nasza ukochana Wielka Pierwsza Matka pożegna się osobiście z dzielnymi dziewczynami.

– I mężczyznami wyznającymi twórcze zasady ekofeminizmu – uzupełnia drugi komunikat.

Wali mi serce, lecz to jeszcze nic. Jestem bliski zawału, gdy z prawej strony dobiega do mnie znów głos Czapińskiego:

– Kulfa mać, wielkcha dupa, stara sielona pidsa w piepsony ryj.

– Zwariowałeś, Ceszek? – gaszę zszokowanym głosem jego samobójczy bełkot.

– Sefie, bały sie, se kogoś publicznie trafi slag. Wyłączyły bezpieczniki, mosna se pousywać – rozgorączkowany nagłą wolnością zawiadamia o sensacyjnym odkryciu.

Rzeczywiście, normalnie taka seria położyłaby go trupem na miejscu. Sam przez chwilę wlewam w umysł ożywczą energię, śląc idiotkę do ostatniego kloacznego otworu czarnych demonów przekleństwa. Szybko jednak ogarnia mnie strach o innych.

– Czapiński, stul dziób, matole. Chłopaki mają nie wiedzieć, bo wylądujemy w piachu – rozkazuję mu mało dyskretnym szeptem.

W samą porę każę mu się zamknąć. Za naszymi plecami rozlega się głos, który mógłby należeć do robota.

– Mamy miotacze z ładunkiem powodującym trwałą bolesny paraliż. Jeden zbędny ruch przy pani prezydent i koniec. Zdrajców chowamy żywcem – ostrzega komandos ukryty za ścianą płótna.

Zapominam o swoim groteskowym wyglądzie. Czuję w piersi parzący sopel lodu, kiedy z bocznego wejścia wychodzi potwór. Myślałem, że jest wyższa. Dodaje sobie wzrostu, chodząc na drewnianych koturnach. Zieleń jej kapelusza to prawdziwa kielkująca rzezucha. Kobieta jest pulchna, z okrągłą twarzą i szparkowatymi powiekami, ma krótkie

walcowate przedramiona, małe dłonie i niezgrabne palce. Gdyby obedrzeć ją z ekscentrycznych szat i władzy, mogłaby z powodzeniem sprzedawać kluchy w podrzędnej jadłodajni.

Staje przy mikrofonie, zwrócona bokiem do nas. Obok czuwa wierna i gorliwa Dorothy. Szefowa rządu poprawia żonie mikrofon, następnie czule kładzie dłoń na jej ramieniu. Widzę, że jej twarz to warstwa masek. Po śmierci Ady, w samochodzie przypominała drapieżnego ptaka. Teraz promieniuje miłością i ciepłem. Z krótko przystrzyżonymi włosami, w eleganckim garniturze, potrafi być jednocześnie bardzo kobieca i delikatna. Ta para włada życiem i śmiercią od Portugalii po Bałtyk. Bawią się nami jak dziecko kolonią mrówek w zamkniętym słoiku. Stanowią zapowiedziany i nieuchronny koniec ery rozumu.

Pierwsza Matka, przechylając się lekko na boki, zaczyna przemawiać:

– Moje dzieci, drzewo wieńczy życie owocem. Owoc jest źródłem życia dla nowego drzewa. Ale żeby nowe życie mogło zakiełkować, potrzebna jest żyzna gleba. Wy jesteście tą glebą!

Dorothy podrywa w górę ramiona. Przez stadion przetacza się burza oklasków, wybijanych z naddźwiękową szybkością. Szał trwa przez chwilę, dopóki mąż Pierwszej Matki nie opuszcza ramion. Zapada cisza, jakby ktoś odrąbał dźwięk stalowym ostrzem.

– Wasza praca i mądrość zaniosą dziś ziarno ludzkości do nowego świata. Nie z pożogą, ale z miłością. Nie z wojną, ale z przesłaniem dla siostr z przyjaznego kosmosu – zawiesza na chwilę głos, potęgując efekt. – Powiemy im, jak mają chronić przed zachłannością szowinistów ich równikowe lasy i rzeki. Niech dzięki nam nie popełnią błędów, pozwalając na niszczenie środowiska naturalnego. Moje dzieci, oto

amazoński szaman Zielona Liana, który zawiezie naszym siostrom nagrany przez siebie śpiew rajskich ptaków. Udało się je uchronić w ostatniej chwili przed całkowitą zagładą – ogłasza, wskazując ręką na pomalowanego O’Neala.

Panująca para odsuwa się na bok, a zza kotary wyskakują dwie czarne dziewczyny w zielonych uniformach. Biorą pod łokcie zdębiałego szamana i holują majtającego majestatyczną tykwą do mikrofonu. Biedak kłapie nerwowo drewnianą miseczką, wybałuszając oczy i poprawiając wiszący na pasku magnetofon. Jedna z asystentek naciska za niego przycisk startu.

Tłum słucha w skupieniu szumu starej taśmy. Po chwili napięcia pudło ożywa, przesywając eter porażającym kwikiem. Przestraszony efektem Zielona Liana przestępuje z nogi na nogę, gdy kwik przechodzi w gdaczący bulgot, dopełniony koloraturą świdrującego piania z serią głuchych beknięć. Fraza kończy się dźwiękiem, jaki wydają stare rury, rezonujące do spółki z żeliwną wanną. Efekt koncertu przechodzi wyobrażenie organizatorów. Nad stadionem zapada martwa, kamienna cisza.

Koniec pierwszej ptasiej arii wykorzystuje Dorothy, dając szybki znak dłonią. Zanim jednak asystentki zdążyły wyłączyć magnetofon i odciągnąć przyrodnika z powrotem, szaman raczy nas jeszcze piorunującym łoskotem salwy szybkostrzelnego działka, połączonego z rykiem cierpiącego na skręt kiszek bawołu.

Pierwsza Matka nie traci rezonu.

– Oto głosy naszych rajskich ptaków. Szaman Zielona Liana przywiezie nam zarejestrowane głosy z innej, nieznaney nam chronionej puszczy. Z której nikt nie wycina drzew! – kończy z naciskiem, wskazując jeszcze raz na O’Neala.

Ten, nie wiedząc kompletnie, co ma tym razem zrobić,

stuka na potwierdzenie wzniosłych słów paluchem w rejestrator ptasich treli, gorliwie potakując.

– A nasz przyjaciel z siostrzanej Afryki, Basuto Cetewayo, założyciel pierwszej gejowskiej sztafety Zululandu, podzieli się z miłującymi pokój istotami swoim doświadczeniem w dziedzinie tępienia zbrodniczych przeżytków krwawych safari i ochrony dzikiej zwierzyny – przedstawia Czapińskiego, wywołując nową burzę oklasków.

Założyciel związku na szczęście nie wykonuje żadnego gestu. Sepleni tylko coś w swoim języku, wydymając groźnie spuchnięte wargi, co dodaje mu jeszcze powagi.

Dorothy daje znak dłonią i znów zapada cisza.

Pierwsza Matka zamyka oczy i zaczyna z namaszczeniem gładzić rzeżuchę na swoim kapeluszu. Koncentruje się kolebiąc na boki, jakby walczyła z niewidzialnym wiatrem.

– Oooo, miałam sen – zaczyna jak w transie. – Oooo, miałam sen, że my i nasze siostry kosmitki razem chodzimy do szkół i siedzimy w tych samych ławkach. Miałam sen, że razem pracujemy na roli i opiekujemy się dziećmi. Oooo, miałam sen, że razem świętujemy po pracowitych dniach.

Tłum podejmuje rytm, szepcząc w ekstazie.

– Oooo, miała sen. Oooo, miała sen.

– Widziałam, jak razem odkrywamy nowe szczepionki na ospę i gruźlicę. Razem budujemy przedszkola i oczyszczalnie ścieków, place zabaw i przychodnie lekarskie. Razem z nami nasze siostry, połączone uściskiem spracowanych dłoni. Już idziemy do was! – Podrywa ramiona, kierując natchniony wzrok ponad koronę stadionu. – A oto, moje dzieci, statek siostrzanej miłości! – woła w uniesieniu, zamierając w pomnikowej pozie.

Tłum, niczym zgodne opilki żelaza ujęte magnetyzmem jej głosu, zwraca głowy we wskazanym kierunku. Orkiestra,

tłukąc w talerze i bębny, dmąc w setki trąb, zmienia eter we wnętrze wrzącego kotła. Tłum wydaje westchnienie, kiedy znad zrębu korony wyłania się powoli majestatyczny biały stożek windowanej na podnośnikach rakiety. Tytaniczna kolumna prostuje się jak powstający z kolan olbrzym. Strzelisty gotycki kadłub rzuca cień przez całą płytę boiska, aż do przeciwległej ściany krzeseł i głów.

Milionowy tłum jęczy z podziwu dla wykonanego ludzką ręką niezwykłego kolosa. Poznają bez trudu ten korpus, ale z wrażenia nie mogą wydusić słowa.

– Ja pierdołę, to przecież stara „Ariane” – szepce jakiś przejęty głos w naszym szeregu.

– Ten złom ma z sześćdziesiąt lat, przywalimy tym w Pekin – panikuje inny.

Przez szum przestraszonych głosów przebija się dyszkant Wiciego:

– Panowie, spieprzajmy stąd. Jak odpalą niechący silniki, ten fajans rozsypie się na kawałki i spali cały stadion.

– Miały dać „Lunę” – piszczy Ciastek.

Wszyscy cichną, gdy z tyłu odzywa się nieludzki głos komandosa:

– Zamknąć buzie, panienki, to nie wasza taksówka. Stać spokojnie.

Stoimy w upale, czekając, co z tego wyniknie.

Teraz zaczynają się przekrzykiwać zachwycone spikerki.

– Statek „Ania z Zielonego Wzgórza” jest genialnym dziełem pani prezydent, naszej Wielkiej Matki, która nadzorowała także realizację swojego projektu przez zespół inżynierek z Politechniki Berlińskiej!

– Rakieta jest wyposażona w hipersoniczny silnik na ekologiczne paliwo z plastikowych butelek i zużytych opon – wyjaśnia druga.

– W trakcie lotu na orbitę wytworzy ilość ozonu wystarczającą do zatknięcia dziury nad Antarktydą! – zawiadamia entuzjastycznie kolejna.

Nabiera oddechu i zaczyna skandować:

– Dziękujemy! Dziękujemy! Dziękujemyyyy!

Tłum wyje w podzięcie, dopóki Dodo nie wyciągnie przed siebie ramion, dając znak do przerwania okrzyków. Komentatorka wykorzystuje chwilę ciszy.

– Wielka Matka pożegna teraz dzielną załogę!

Dyktator podchodzi do nas w asyście Dodo. Zaczyna od prawego skrzydła. Cmoka powietrze po obu stronach głowy kolejnych chłopaków. Problem zaczyna się przy O’Nealu. Wielka Magda nie może markować pożegnalnych buziaków, nie nadziejąc się przy tym na jego monstualną tykwę. Wyraźnie nie chce otrzeć się o nią także bokiem. Szaman wychyla więc najdalej, jak potrafi, swój pomalowany tyłek. Oboje zaczynają serię uników i zwodów biodrami. W końcu zniecierpliwiona stara klepie go po najeżonej patykami gębie i szybko wyciera dłoń o szalową kieckę Ciastka. Zulus Ceszek i jego dzida otrzymują tylko skinienie dłonią. Potem moja kolej. Czuję zapach lawendy i zbutwiałej ziemi. Patrzę w jej oczy i nie mogę uciec wzrokiem. Te oczy, widzę je wszędzie od lat. Ale nigdy z tak bliska. Jak bezduszne ślepia płaszczyki, przerażające, lecz nie całkiem obce.

Wypuszczam oddech dopiero wtedy, kiedy stara przesuwa się w stronę Petera, któremu sięga do połowy ramienia.

Tłum skanduje podziękowania, a wszechmocny geniusz kłania się lekko i powiewając szatą, wraca do mikrofonu. Ujmuje dłoń Dodo. Przez stadion płynie potok lśniących iskier z tysięcy fleszy aparatów fotograficznych, widowisko osiąga apogeum.

Panująca para staje naprzeciw siebie, wpatrując się w swoje twarze. Niespodziewanie Wielka Matka w miłosnym uniesieniu rzuca się w ramiona Dodo, a potem długo całuje jej usta.

Ekstaza paraliżuje na chwilę wszystkich zebranych, którzy dopiero teraz pokazują, na co stać sto tysięcy gardeł połączonych w histerycznym krzyku. Tym razem sama Pierwsza musi uciszać oszalałych z miłości poddanych.

Czeka, aż zamilkną ostatnie ogniska uwielbienia, i trzymając dłoń małżonka, zaczyna:

– Moje kochane dzieci. Bez niej nie udźwignęłabym ciężaru władzy oraz odpowiedzialności za szczęście milionów. Bez jej pomocy, kiedy pracuje po dwadzieścia godzin na dobę, rząd nie miałby takich osiągnięć. Bez tej pracowitej pary rąk to wszystko nie byłoby możliwe. Jest nieoceniona, moja ukochana – wyznaje z czułością w głosie.

– Ale uległam. Nie mogłam odmówić jej prośbie. Moje dzieci, mój mąż obejmuje dowództwo naszej wyprawy – zdradza szokujący sekret i znów rzuca się w ramiona Dodo.

Uścisk trwa krótko. Pierwsza Matka znów staje u boku Dorothy. Widzę wyraźnie, jak przekręca na palcu srebrny pierścień, swoją jedyną ozdobę.

Dodo z trudem chwyta oddech, jak królik po ukąszeniu grzechotnika. Potrafi tylko wykrztusić:

– Dziękuję.

Słaby głos ginie w kolejnym tysięcznym aplauzie. Dodo bez powodzenia usiłuje się ukłonić. Stoi z poszarzałymi ustami, podtrzymywana od tyłu przez ramię Pierwszej Matki.

– Teraz rakietą na specjalnie ułożonym torowisku odjedzie na miejsce startu. Załoga pod dowództwem pani premier Dorothy Muslih zostanie przewieziona tam kolejką. Prosimy pozostać na swoich miejscach. Start będzie bardzo

dobrze widoczny z całego obszaru stadionu – instruuje zachrypnięty z przejęcia głos.

Na płytę boiska wychodzi jednocześnie kilka orkiestr. Z bocznych bram wybiegają setki figurek w błyszczących foliowych kostiumach, mających imitować kosmiczne skafandry. Rozpoczyna się pokaz gimnastyki grupowej. Pierwsza Matka macha do zebranych, dopóki nie opada kurtyna przedniej ściany naszego namiotu. Wtedy dwie pomocniczki w zielonych kombinezonach łapią Dodo pod łokcie. Pierwsza Matka wychodzi energicznym krokiem, nie patrząc na nikogo i nie oglądając się ani razu za siebie. Dorothy Muslih, wleczona do wyjścia, znaczy swoją drogę ciemną smugą sączącego się przez nogawki moczu.

Stoimy bez jednego drgnienia, sparaliżowani strachem jak sama Dodo. Tylko Ciastkowi wypada z dłoni ciężki, ozdobny wachlarz. Czech nie śmie schylić się po niego. Nie wiem, może innym przewija się teraz przed oczami film z całego życia. Ja widzę tylko głowę komandosa w masce.

– Coście tak zbaranieli? Nie widzieliście nigdy, jak ktoś kamienieje ze szczęścia? – pyta bez cienia szyderstwa komandos. Milczymy.

– Nie widzieliście. Niczego nie widzieliście – odpowiada za nas.

Słyszę, jak z płuc Petera ulatuje oddech ulgi.

– Za mną! – rozkazuje komandos.

Wszyscy pracownicy zostali usunięci. Nie napotykamy żywej duszy. Dochodzimy do windy towarowej, takiej samej, jaką tu przyjechaliśmy. Tłoczmy się w środku i zjeżdżamy w dół.

W podziemiu czeka kolejka na kołach, ciągnięta przez ciągnik ucharakteryzowany na lokomotywkę. Zajmujemy miejsca w wagonikach. Płachty kolorowego materiału

zasłaniają siedzących z tyłu komandosów. Żywy posąg Dodo zostaje wniesiony do pierwszego wagonika. Obok zajmuje miejsce kobieta w kombinezonie obsługi technicznej.

Przeprowadzają próbę. Widzę, jak Dodo macha wesoło ręką w geście pozdrowienia, a nawet lekko wychyla na zewnątrz głowę. Wygląda to absolutnie naturalnie i nawet z kilku metrów nikt niczego nie zauważy. Po chwili otwierają się ogromne dwuskrzydłowe wrota. Do naszej jaskini wlewa się białe, ostre światło wraz z falą krzyku rozentuzjasmowanego tłumu.

Kolejka, prychając silnikiem, wytacza się na bieżnię. Zalewa nas deszcz konfetti, kwiatów i barwnych papierowych wstęg. Zza osłony pada warkotliwe polecenie. Mamy się cieszyć jak jasna cholera. Zaczynamy więc machać, pozdrawiając szalejących widzów.

Ich radość wydaje się autentyczna. Tysiące szczęśliwych, roześmianych twarzy zlewa się przed oczami w jedną promieniejącą plamę. Na łuku bieżni pod rządową trybuną wyraźnie widoczna z mojego miejsca Dodo przesyła wszystkim buziaka, podtrzymując falę entuzjazmu. Teraz zasypują nas całe naręczka czerwonych i białych goździków. Łapię jeden rozczochrany, pachnący kwiat i wkładam sobie za dekolt. Odbywamy pełną honorową rundę pomiędzy ścianami kanionu z krzyczącymi głowami. Kiedy wyjeżdżamy w końcu z potwornej niecki, robi się trochę ciszej. Jedziemy teraz wśród szpaleru odświętnie ubranych uczennic. Dziewczęta piszczą z radości i obrzucają nas kwiatami. Chłopcy, porwani ich młodzieńczym wdziękiem, zaczynają odpowiadać na pozdrowienia bez przymusu. Wszystkich przebija jednak Czapiński. Gdy jednej z dziewcząt udaje się przerwać kordon ochotniczych służb porządkowych, żeby wręczyć nam bukiet kwiatów, lubieżny Zulus wychyla się za

burtę i klepie ją siarczyście w osłoniętą kusą spódniczkę pupę. Wyobrażam sobie zdziwienie nastolatki, kiedy rozbierając się wieczorem, zobaczy na białych majteczkach odcisk wielkiej czarnej łapy.

Szpaler dziewcząt sięga prawie do ogrodzonego stanowiska startowego „Ariane”. U stóp niebotycznej kolumny krzątają się tylko technicy i strażniczki. Czapiński rzuca paczkę papierosów wychudzonym i wyraźnie przestraszonym facetom. Wszyscy poruszają się biegiem, dźwigając naręcza kabli i rur. Przyglądamy się ich gorączkowej pracy jeszcze przez pół godziny, zanim możemy wyjść z wagoników. Stojąc na obolałych nogach, podziwiamy zabytkową raketę. Wzdłuż kadłuba biegnie przewodnica windy. To platforma zabezpieczona dookoła barierką, pośrodku której stoi zamknięty kontener.

Ten model należy do serii przystosowanej do szybkiego odpalenia z przenośnej wyrzutni. Pisano kiedyś o nich, że nie służą tylko do wynoszenia pokojowych satelitów na orbitę. Starej Francji, dwa razy wyciąganej z bagna przez Amerykanów, nigdy nie przestało się roić, że jest jeszcze jakimś mocarstwem. Nadjeżdża już kolumna samochodów telewizji i radia. Będą transmitować na żywo wielki finał. Dopiero teraz wyciągają z wagonika Dodo. Wloką ją pod rękę do windy, która ma nas wynieść pod sam stożek rakiety. Dziennikarki są jeszcze za daleko, żeby to zobaczyć. A żadna z obecnych osób nigdy nie będzie śmiała szepnąć, że wielką Dodo sparaliżowało przed startem ze strachu.

Pora na naszą grupę. Jednak widok Dodo znów obudził we wszystkich lęk. Nie wiemy, o co tu chodzi. A w stożku „Ariane” można swobodnie upchnąć kilkanaście osób i pozbyć się niewygodnych świadków pałacowego mordu. Bierny bunt wybucha spontanicznie i bez porozumienia.

Komandosi warczą na nas spod swoich masek. My trwamy jednak bez ruchu, zbici w gromadkę.

– Gdzie jest nasz dowódca? – pytam głośno.

Czapiński spluwa krwawą śliną.

– Wyscełą nas jak muchy f butelce. Tu nas roswalcie, niech to se sfilmują.

Dziennikarki już wysypują się z samochodów. Cała sytuacja zaczyna wyglądać coraz bardziej niezręcznie.

– Mówiłem, że to nie wasz transport. Wasz wahadłowiec jest gdzie indziej. Czeka tam wasz dowódca – odzywa się komandos.

– Jeżeli każecie nam włączyć do tej rakiety, narobimy rządowi bigosu. Będziemy skakać na oczach wszystkich przez barierkę. Ja skoczę pierwszy, kiedy tylko któryś z was zbliży się na trzy metry – ostrzegam.

– Nie będziesz musiał, my zostajemy na dole. Ale jak któryś narobi kłopotów, lepiej niech nie zjeżdża tą windą z powrotem – mówi i wiemy, że nie żartuje.

Ostatecznie decydujemy się wejść po schodkach na platformę windy. Opieram się o poręcz balustrady. Towarzyszy nam tylko kobieta podtrzymująca Dodo oraz czterech techników w białych kombinezonach.

Winda rusza, świat ucieka w dół. Malejące postacie zegnających nas dziennikarek biją brawo, błyskają flesze. W oddali widać stadion, tętniący przytłumioną przez odległość muzyką.

Patrzę na klocki domów miasta, tonące w lekkiej mgiełce letniego dnia. Tu w górze jest pięknie i cicho jak zawsze. Niebo przygarnia nas, sycąc wzrok błękitem nieskończonej wielkiej półkuli. Peter, przejęty widokiem, gładzi swój warkocz. Ja rzucam w dół kwiat, który dostałem od uczennic. Spada powoli, wirując w powietrzu – mała czerwona plamka

na tle wielkiej zielonej ziemi.

Z lirycznego nastroju wrywa mnie charkotliwy jęk Dodo. Pani premier usiłuje krzyczeć przez zdrewniałą krtań. Obok przelatują dwie śnieżne mewy. Może chce błagać je o pomoc? Niema, odprowadza oddalające się ptaki rozszerzonymi z przerażenia żrenicami. Kobieta, która ją odprowadza, patrzy na mnie gniewnie. Odwracam twarz, spoglądam na białe punkty znikające w obojętnej przestrzeni.

Docieramy na szczyt. Winda z kontenerem zatrzymuje się obok ogromnego, bulwiastego stożka rakiety. Dopiero z bliska widać stopień zniszczenia. Brudne zacieki pokrywają złuszczone poszycie. W kilku miejscach dostrzegam pacnięcia uszczelniaczem oraz pasma termicznego plastra biegnące wzdłuż łączeń. Wydobyty nie wiadomo skąd muzealny okaz przygotowano niedbale i w wielkim pośpiechu. Technicy szybko rozkładają trap prowadzący do głowicy „Ariane”. Jeden odkręca kluczem śruby kłapy owalnego luku technicznego. Szarpie za oporną pokrywę, osłaniającą mroczne wnętrze. Kiedy kłapa spada, tłukąc o stalowy pomost, opiekunka Dodo każe nam machać rękami. Kamery rejestrują także pożegnalny gest dowódcy wyprawy, pani premier Muslih, której łokciem porusza obca ręka. Później jeden z techników zakłada jej wprost na odkrytą głowę hełm kosmonauty. Odwrócony tyłem do balustrady, zasłania widok i pomaga kobiecie zawlec Dodo do luku. Machamy jeszcze przez chwilę, słysząc, jak czubki eleganckich półbutów sparaliżowanej Dodo stukoczą o kratownicę podestu i trapu.

Przedstawienie trwa, dopóki właz nie wraca na swoje miejsce. Dopiero teraz technicy rozwijają rękaw prowadzący z kontenera do głowicy rakiety. Chyba postąpili tak, bojąc się ataku naszej paniki. Rozdajemy ostatnie pożegnalne całusy i

omijając zaśrubowany na wieki grobowiec Dodo, przechodzimy po kolei rękawem do wnętrza kontenera. Technicy pozostają na zewnątrz. W pudle oświetlonym dwiema słabymi żarówkami jesteśmy tylko my. Winda rusza, rezonując w zamkniętej blaszanej skrzyni zgrzytem łańcuchów. Coś nawala, bo cała platforma zaczyna trząść się niemilosernie i przyspieszać. Potężny, przewracający wszystkich na podłogę wstrząs oznacza, że stoimy u podstawy rakiety. Siedząc na gołej blasze, słyszymy jakieś dudniące uderzenia w ściany. Później zaskakuje spalinowy silnik i nasze opakowanie zaczyna falować na wybojach. Jesteśmy na pace ciężarówki. Postanawiam ściągnąć w końcu upiorne kozaczki i wsadzić je sobie pod tyłek. Moje stopy przypominają napuchnięte członki topielca. Nie założę już cholerstwa z powrotem. Po chwili zdejmuję także perukę.

W kontenerze są dwa małe wywietrzniki, przez które wpada trochę powietrza. Ale to za mało, jeżeli będą nas tu trzymać do południa, podusimy się w upale jak szczury. Pierwszy pęka Walończyk Wilfrem Stam. Ciska swoją peruką, obejmuje głowę ramionami i zaczyna szlochać.

– Po co pchałem się w to szaleństwo? Lot w kosmos! Co za brednie... a wy słuchaliście tych kłamstw! Mam dosyć, niech to się skończy! – ryczy na cały głos.

Każę mu się zamknąć, ale w tej samej chwili dołącza do niego zwykle małomówny Szwed Melberg.

– Po tym, co widzieliśmy, już nie wyjdziemy z tej klatki. Wrzucą nas do rzeki albo zakopią. Słyszycie, już po nas! Jesteśmy śmierdzącymi trupami!

Ktoś, kogo nie rozpoznaję w przebraniu, zaczyna walić pięściami w ścianę.

– Wypuście nas! Otwieraaaaa! – ogłusza nas histerycznym krzykiem.

Podrywam się z podłogi, rozkazuję zachować spokój, ale skutek jest żaden. Grozi nam wybuch paniki, śmiertelnie niebezpiecznej w ciasnym pomieszczeniu, Nagle z niewidocznego głośnika odzywa się matowy głos komandosa z szoferki. Zapowiada, że jeżeli natychmiast się nie uciszymy, wpuszczą do środka gaz obezwładniający.

Przestraszeni ludzie milkną. Peter, dowódca zwiadu, staje na wysokości zadania. Zaczyna mówić spokojnym głosem, zupełnie jakby prowadził przyjacielską rozmowę w knajpie:

– Chłopaki, jesteśmy zamknięci w blaszanej puszcze i po prawdzie nie wiadomo, co z nami w końcu zrobią. Ale jeszcze żyjemy. A powiadam wam, że zawsze trzeba mieć nadzieję. Albowiem ścieżki naszego losu są pokręcone niczym krok wsiowego pastora po chrzcinach pierworodnego syna gorzelnika.

Wszyscy zaczynają słuchać jego gładzenia niczym jakiejś recepty na przetrwanie.

– Raz wylądowałem tak, że jazda w tej skrzynce to małe piwo – ciągnie dalej opowieść. – Byłem jeszcze w buszu strażnikiem żółtodziobem. Dałem się zaskoczyć we śnie kłusownikom krokodyli. Związali mnie stalową linką jak pajak muchę i przywlekli do swojego obozu. Było ich pięciu i wybierali się właśnie do roboty. Musicie wiedzieć, że nie ma lepszej przynęty na krokodyle niż pocięty nożami strażnik, wrzucony na sznurze do wody. Tam wie o tym każde dziecko... wiedziałem nawet ja. Leżałem sobie spokojnie tyłem do ogniska, myśląc o sprawach niebiańskich i słuchając ich kłótni. Zastanawiali się, czy przed robotą zjeść jeszcze śniadanie, czy też najpierw obowiązek, potem przyjemność. Na szczęście dla mnie zwyciężyła frakcja głodnych leserantów. Zyskałem jeszcze dwadzieścia minut życia. Podczas tego śniadania postanowili jeszcze raz sprawdzić

ładunki dynamitu, którymi ogłusza się krokodyl. Wybuch odrzucił mnie na dziesięć metrów w chaszcze. W dodatku oberwałem w potylicę oderwaną głową jednego z nich i straciłem przytomność.

Peter milknie, podgrzewając atmosferę opowieści.

– Wsrychłeś rospiepszyło? – docieka zniecierpliwiony Czapiński.

– Nie, nie wszystkich – odpowiada Peter. – Został jeden, ale nie miał połowy twarzy i co gorsze, wszystkich paluchów u obu rąk, więc nie mógł mnie rozwiązać. Tracił dużo krwi i wiedział, że nie dowiezie się do swoich o własnych siłach. Palcami stóp udało mu się rozwiązać linkę na moich nogach. Z linką na przegubach rąk już nie dał rady. Słabł bardzo szybko. Tak więc wskoczył mi na plecy i poszliśmy do domu.

– Wziąłeś drania na plecy? – pyta zdziwiony Wicke.

– Naturalnie – potwierdza Peter. – W buszu to podstawa etykiety. Możesz zabić wroga i nikt oprócz jego rodziny oraz członków plemienia nie ma prawa powiedzieć ci złego słowa. Ale zostawić ранnego nie uchodzi. No i maszerujemy przez busz do bazy. Po drodze okazało się, że musimy przejść przez terytorium stada pawianów. Te rozrywkowe zwierzaki, kiedy zobaczą osłabionego człowieka, nigdy nie przepuszczają okazji, żeby się z nim zabawić. Na ścieżce podszedł do nas przewodnik stada. Czerwonodupy małpizyon rozmiarów pantery powiedział nam: „Cześć” kłami jak pięciocentymetrowe sztylety. Peter robi kolejną przerwę.

– Nie wiedziałem, że potrafię tak krzyczeć... słyszeli mnie chyba na Madagaskarze. A facet na moich plecach wstydził się za mnie. To był moran, wojownik, nie wypadało mu tolerować takiego tchórzliwego zachowania. Zlazł z moich pleców i został tam. Mnie małpy przepuściły. Później poszliśmy na zwiad, znalazłem sandały tego wojownika.

Pawiany nic więcej z niego nie zostawiły.

Opowieść o wojowniku uspokaja ludzi.

– A ty, Hubert, miałeś jakieś traumatyczne przygody? – pyta mnie Peter, bojąc się chyba nawrotu paniki.

– Wiele, zwłaszcza kiedy po turze lotów wracałem do domu na sporej bani – odpowiadam.

Lecz nie mogę rozwinąć tematu, ponieważ z samochód staje i z trzaskiem otwierają się drzwi kontenera. Wychodzimy na świat przyduszeni i skotłowani, jakby wieźli nas w beczce śmiechu.

Znajdujemy się zamkniętym dziedzińcu jakiejś szkoły. Komandosi prowadzą nas przeszklonym łącznikiem do sali gimnastycznej.

– To już ostatni raz – mówi ich dowódca, widząc nasze zbaraniałe miny.

Cała sala wysypana jest czerwonym piaskiem, a z sufitu zwieszają się postrzępione pasma zielonej i brązowej krepiny. Gdzieś z plastikowych pni wyrastają jakieś pomarańczowe postrzępione liście i zagadkowe, przypominające liany czerwone przewody. Taki sam las wymalowany jest na pokrywającym ściany materiale.

– No, ładna planeta – chwali scenografię nasz dyrektor teatru, patrząc na spory, dymiący niemrawo wulkan w kącie sali.

Podbiega do nas jakaś przestraszona kobieta. Nasz nowy reżyser tłumaczy, że chodzi o materiał dla telewizji. Dzieci i młodzież zobaczą, jak wita nas obca cywilizacja. Przedstawiciele prawdziwej mogą być przecież mniej fotogeniczni, a tu chodzi tylko o efekt wizualny, broń Boże o nadużycie.

Słuchamy zdumieni. Pierwszy raz ktoś nam coś wyjaśnia. Hardziejemy więc natychmiast. Odmawiam założenia

plastikowych butów. Reżyserka godzi się na wariant ekologiczny, ściągamy więc jeszcze przepocone żółte rajstopy. Inni idą w moje ślady, wywołując jej rozpacz. Kobieta błaga, żebyśmy nie zostali w samych sukniach. Kiedy kostiumu chce się też pozbyć szaman Zielona Liana, twierdząc, że mały w tykwie śwędzi go jak cholera, reżyserka obiecuje tylko jedno ujęcie bez dubli. Zdjęcia nie zajmą więcej niż kwadrans. Zgadząmy się łaskawie, niemiłosiernie opalając Czapińskiego.

Tymczasem trwają gorączkowe przygotowania, a w bocznym wejściu pojawiają się obcy. Mają obcisłe zielone kostiumy obrośnięte rurkowatymi mackami, a na plecach po dwie pary wielkich motyli skrzydeł. Złote trąbki istot wycelowane są jak na rozkaz w kierunku wyzywających klejnotów O'Neala. Wszystkie statystki kuszą oko dobrze widocznymi kształtami. Ustawiają się pod wulkanem, a na czoło delegacji wysuwa się wysoka, oszałamiąco zgrabna dziewczyna. Jej przywódczą rolę podkreśla potrójny zestaw skrzydeł.

– Ale nieśle lafski, co, sefie? – słyszę głos zachwyconego Czapińskiego.

– Bardzo nieźle. Zwłaszcza ten fokker – odpowiadam.

– Którzy to?

– No, ten trójpłat na przedzie – wyjaśniam.

Nie wiem, czy się nie mylę, ale chyba słyszę mlaśnięcie. Witalność tego człowieka zadziwia mnie od dłuższego czasu.

– Cezek, wychowałeś się w jakiejś kopalni? Nie miałeś w życiu dosyć bab?

Rozbierający wzrokiem dziewczynę Czapiński nie słyszy pytania. Zatyka swoją dzidę w kupie piachu. Domyślam się, że drań chce mieć obie łapy wolne.

Statystkom wręczają już powitalne transparenty.

WITAMY WYŚLANNICZKI PIERWSZEJ MATKI,
KOBIECY WSZECHŚWIATA – ZAWSZE RAZEM,
PIERWSZA MATKA TO POKÓJ KOSMOSU – czytam
kilka.

Bezdenny idiotyzm tego reżimu jest porażający. Ale wszystkie reżimy są właśnie takie. Boją się tylko śmiechu, który może je zabić – lecz nikt się nie śmieje, ze strachu przed śmiercią.

Tymczasem oczy kamer są już gotowe i wycelowane. Pada hasło:

– Do gorącego powitania! Start 1.

Każdy chce rozładować stres i zabawić się w tym kabarecie. Postanawiamy więc dać z siebie wszystko. Gnamy do kosmitki w szalonej szarży. Ci na bosaka szybko wyprzedzają chwiejące się na obcasach ziemskie krowiaste pudła. Lecz Czapińskiego nie wyprzedzi nikt! Zmieniony w hinduskiego wieloramiennego boga, dopada trójplata i w radosnym uniesieniu zaczyna mieć szczupłe ciało tuzinem czarnych łapsk. Zgrozę i piski przerażenia budzi rozpychający się w tłumie swoją tykwą O’Neal. Ja mam przed sobą kosmitkę z naręczem foliowych kwiatów. Dziewczyna, zszokowana widokiem walącej wprost na nią obrzydliwej wariatki w kusej porno sukience, ciska we mnie bukietem i daje nura w tłum. Peter zgarnia od razu dwie przedstawicielki siostrzanego kosmosu, które rozpaczliwie starają się wyrwać złote trąbki spod spoconych pach blond olbrzyma. Ktoś w długiej sukni wali się z łoskotem obcasów na podłogę, przykrywając cielskiem drobniutką kosmitkę.

– Dosyć! Ujęcie stop! – wrzeszczy biegnąc do nas pani reżyser. – Wystarczy. Bez dubli, a dźwięk zmiksujemy w studiu – błaga zdyszczanym głosem.

Statystki wieją w popłochu, a nas ogarnia dziki śmiech.

Tarzamy się po podłodze, przecierając załzawione oczy. Bolesny rechot szarpie mi płuca, aż zaczynam się krztusić. Ciężka łapa Petera przywraca mi oddech. Powoli uspokajamy się i podnosimy się z podłogi na dźwięk słowa: „Prysznic”.

W szkolnej łaźni możemy wreszcie zmyć z siebie pot zmieszany z farbą i pachnidłami. Ktoś dostarczył pod drzwi łazienki nasze torby. Zakładamy własne ubrania i przyglądamy się sobie, zdziwieni swoim normalnym wyglądem. Peter, zanim wrzucił do wielkiego worka swój kostium balowy, ukradkiem głaszcze warkocze peruki.

– Ładna była i zasłaniała łysinę – żegna ją z żalem.

Później komandosi prowadzą nas bocznym wyjściem do naszego szarego autokaru. Jazda w nieznane trwa. Kiedy przejeżdżamy wysokim wiaduktem ponad niewidzialną doliną, z zachodu dobiega do nas długi, rozciągnięty huk odległego grzmotu. Przez zamazane szyby widzimy blask jaskrawej, pnącej się jak strzała ku niebu gwiazdy.

– Udało im się. Nie wybuchła na starcie – chwali Peter starą „Ariane”.

– Ta, która nią leci, zabiła moją kobietę – mówię.

– Zabijała nas wszystkich. Niech przeleci nad biegunami, zanim zdechnie – modli się Bur.

Nieludzko zmęczeni strachem i niepewnością, zapadamy w sen. Budzimy się w jakichś podziemiach. Wsiadamy i wyciągamy z bagażników nasze klamoty. Z tunelu dmucha piwniczne, zatęchłe powietrze. Komandosi prowadzą nas korytarzem o ścianach pokrytych liszajami odpadającego grzybicznego tynku. Po murach z granitowej kostki pną się zardzewiałe rury i wiązki splecionych w warkocze kabli, izolowanych tkaniną. Nikt nie używa takich od ponad stu lat.

W słabym świetle żółtych, zakurzonych żarówek wygląda to niczym ruiny zasypanych popiołem Pompei. Korytarz

kończy się w wielkiej mrocznej niszy, która okazuje się rampą peronu kolejowego. Patrzymy w zdumieniu na przeżarte przez szarozieloną pleśń, nieczytelne plakaty na ścianach. Komandosi dają znak do postoju obok dyżurki ze ślepych od brudu szybami. Przy jej drzwiach wisi archaiczny ebonitowy telefon. Kiedy wzrok przyzwyczajają mi się do półmroku, na przeciwległej ścianie po drugiej stronie torów dostrzegam kamienne godło, prawie zasłonięte przez girlandy kurzu i pajęczyn: orzeł z wąskimi, rozpostartymi skrzydłami wbija szpony w wieniec ze swastyką.

– Jesteśmy w norze rozkosznego Adolfa – przerywam ciszę.

– Zbudował takich bez liku. Stara pewnie ma plany miasta ze wszystkimi schronami i tajnymi przejściami. Teraz wiem, w jaki sposób ze ślepej uliczki potrafi wyroić się nagle setka glin – dodaje Wicke.

– A ja rozumiem, w jaki sposób setka ludzi może nagle wyparować bez śladu – wali z grubej rury były dyrektor teatru.

Nasza eskorta pozostaje jednak absolutnie obojętna.

Zmrozeni grobową atmosferą, rozglądamy się po wnętrzu kapsuły czasu. Gdzieś daleko rozlega się dudnienie i piskliwy zgrzyt metalu. Po chwili w mroku pojawiają się dwa białe ślepie reflektorów. Ciszę tajemniczych lochów wypełnia stukot kół nadjeżdżającego pociągu. Z pułapu i ścian osypuje się zmurszały tynk, kiedy lokomotywa spalinowa z dwoma wagonami wtacza się na zapomniany przez ludzi peron duchów. Okno pierwszego wagonu otwiera się i z niewysłowioną ulgą dostrzegam w nim radosną gębę Kaya.

Chłopaki jak szkolna wycieczka zaczynają machać rękami do dowódcy. Kay nie czeka, aż pociąg zahamuje. Otwiera drzwi wagonu i wyskakuje w biegu. Wali mnie ręką

w ramię i idzie do dowódcy komandosów.

Rozmawiają przez chwilę ściszonymi głosami. Widzę, jak Kay wręcza Izraelczykowi dużą szarą kopertę, która zapewne zawiera polecenia rządu. Daje nam znak i możemy wsiadać do wagonu. Wszystkie wagony tylko dla nas! Możemy zajmować dowolne miejsca w przedziałach. Ja i Peter mamy przydzielony oficerski przedział Kaya. Reszta lokuje się, jak chce.

Dowódca obchodzi wszystkie przedziały, powtarzając rozkazy na drogę. Nie wolno wyrzucać niczego przez okna. Nie wolno rozmawiać z komandosami. Poza tym wolno wszystko. Nasze bezpieczniki są jeszcze nieaktywne, lecz dowódca prosi o kulturę i umiar. Kwatermistrzem naszych zapasów na drogę zostaje Roman Ciastek, który w przedziale numer cztery będzie wydawał porcje prowiantu. Wreszcie Kay zajmuje miejsce przy oknie. Zanim cokolwiek powie, wyciąga z torby butelkę wódki. Pijemy z aluminiowych kieliszków ciepłą żytnią. Po drugiej kolejce Kay wzdryga się, wyciera dłonią usta i zaczyna mówić.

– Nie wiedziałem dokładnie, co planują. Zaskoczyły mnie kompletnie. Nagle musiałem dopinać sprawy, które uważałem za dawno załatwione. Wieczny burdel! O mały włos, a z lotu nic by nie wyszło – wścieka się, dolewając wódki i częstując nas papierosami.

– Te idiotki zablokowały klucz do uruchomienia programu procedury startowej „Hekate”. Kiedy wy bawiliście się w babskich ciuszkach, ja musiałem odtwarzać klucz z rezerwowego kodu. Jeden błąd i wszystko trafiłby szlag.

– Nie bawiliśmy się, Kay. Nie masz pojęcia, jak się chodzi na wysokich obcasach i jak tusz do powiek szczypie w oczy.

– Że nie wspomnę o próbach odlania się w body gorsecie

– dodaje Peter.

Kay chrząka.

– Jedziemy na Helgoland, a stamtąd wystartujemy. Rozmawiałem z inżynierami. „Luna” jest gotowa i sprawna. Nareszcie. Już nic nie powinno nam się przytrafić.

– Wiesz o „Ariane” i że poleciała nią Dodo? Tak jak stała, w garniturze i pod krawatem. Myśleliśmy, że nas rozwałą. Mogłeś się ze mną jakoś, kurcze, skontaktować i powiedzieć, o co chodzi – wypominam mu.

Kay dopija swoją wódkę.

– Dodo zawsze wysoko mierzyła. Ma, czego chciała i nie mówmy o tym więcej. Co do was, masz rację... ale zrozum, byłem sam z tysiącem problemów.

Milknie i znowu nalewa wódkę.

– Dobra, nie chodziło tylko o kod startowy. Cały program wisiał na włosku, mogło skończyć się tylko na propagandówce z rakieta i bezterminowym odsunięciu prawdziwego startu. Spotkałem się z Wielką Matką i jeszcze raz przekonywałem ją do tego lotu. Moment jest przełomowy, a rząd ma urwanie głowy. Kilka dni temu Turcy zajęli Cypr i południowe wybrzeże Grecji. Lada chwila mogą pójść dalej. Nasze ekofeministki wysłały do nich delegację pokojową z kwiatami i mlekiem. Muzułmanie naturalnie kazali im zeżreć te kwiaty i wlać mleko w gardła. Później całemu pacyfistycznemu aktywowi pozatykali tyłki budowlaną pianką w tubach, żeby nie skalały otomańskiej ziemi. To cud, że w takiej chwili możemy startować.

– O kurwa, to koniec – komentuje doniesienie Peter.

Kay nie pozwala nam wpaść w ponury nastrój.

– Nie przejmuj się, i tak osiedliło się ich tu kilkadziesiąt milionów, więc właściwie nic się nie zmieni. Zresztą Stara ma jeszcze kilka asów w rękawie. Nie lubi muzułmanów za

patriarchat i nie lubi, jak ktoś miesza się do jej ukochanej destrukcji. Chce sama rozwalać stary świat. A my, jeżeli bałagan na Ziemi będzie się przedłużał, wpadniemy sobie po drodze do kilku ciekawych gwiazdozbiorów – mówi, zdejmując z półki sporą hermetyczną skrzynkę na prowiant.

– Oddamy Europę bez słowa? – pytam, wiedząc, że dawno ją oddaliśmy.

– Panowie, mówiłem wam tyle razy. Tu już nic się nie da uratować. Czytamy ostatni rozdział wielkiej księgi i otwieramy nowy... w mordę, ale mi się pięknie powiedziało – dziwi się swoim słowom Kay. – Za miłosne, humanistyczne pierdy w dyplomacji zawsze płaci się krwią i niewolą. Wypijmy, oddając cześć upadłym Atenom, a na zakąskę mamy kanapki, które własnoręcznie zrobiła moja śliczna żona – wyczerpuje temat.

Pociąg stukocze równomiernie, odliczając czas agonii przemijającej Europy. A my pijemy wódkę pod kanapki Iwicz i naprawdę nic więcej nie możemy zrobić. Nastrój stypy ożywia Kay, opowiadając coraz to nowe świńskie dowcipy. Widocznie losy starego świata naprawdę niewiele go obchodzą.

Od wódki zaczyna mi się kręcić w głowie. Wychodzę na korytarz zapalić papierosa. Ku mojemu zdziwieniu widzę w otwartych drzwiach następnego przedziału gardłującego Czapińskiego. Polak kołysze się w takt przechyłów wagonu, wsparty o zuluską dzidę. Wyczuwa po chwili mój wzrok wbity w rekwizyt.

– Dafem za nią majtki Siastka. Pamięta sef, te z kfiatkiem – wyjaśnia skromnie.

Kiwam ze zrozumieniem głową. Chłopcy są w szampańskich nastrojach. Nauczyli się żyć chwilą. Odwiedzają się w przedziałach, opowiadają jakieś anegdoty i

śmieją jak dzieci. Wiadomość o zniesieniu cenzury wraz z porcją przydziałowej wódki wyzwoliły tłumione emocje. Powagę zachowują tylko komandosi. Dwóch z nich siedzi na końcu korytarza, twarze mają zasłonięte maskami. Nie wiadomo, czy patrzą na nas, czy odmawiają właśnie modlitwę za zmarłych.

Peter dołącza do zgromadzenia w przedziale Czapińskiego. Czaruje zebranych swoimi afrykańskimi opowieściami. Kiedy siadam na swoim miejscu, dobiega stamtąd ryk lwa czy jakiegoś innego groźnego stwora, ginącego właśnie z rąk dzielnego Bura. Nieźle już pijany kochanek kosmosu Kay śpi, opierając głowę na poręczu fotela.

Pociąg gna teraz z przyzwoitą prędkością ponad stu dwudziestu kilometrów na godzinę. W czasach, kiedy nikt nie konserwuje torów, to wcale nieźle. Przed snem wracam do bezpiecznej przeszłości. Wyobrażam sobie, że jadę z Agnes do Sopotu. Tamtego lata taki sam wagon wiozł nas, młodych i pełnych radości, nad morze. Trzymała głowę na moich kolanach i pamiętam, że uśmiechała się przez sen.

Śpię głęboko, gdy jakaś potężna siła wystrzeliwuje mnie z fotela jak z procy. Przewracam się na Kaya. Zewsząd spadają jakieś graty, puste butelki niczym przewrócone kręgle tłuką o ściany przedziału. Cały skład hamuje, jakby wjechał w porzuconą na torze poduszkę olbrzyma.

– Złaż ze mnie, kurwa mać! – stęka Kay, próbując mnie zepchnąć na podłogę.

W końcu udaje mi się pokonać bezwład i oderwać od niego. Suniemy jeszcze po torach siłą rozpędu, a kapitan już wyskakuje na korytarz. Zewsząd słychać krzyki przestraszonych, poturbowanych ludzi. Następuje ostatni silny wstrząs, z półek spada z hałasem reszta drobiazgów i

stajemy w szczerym polu.

– Spokój! Wszyscy wracać do siebie! – Słyszę krzyk kapitana.

W drzwiach naszego przedziału pojawia się gęba Petera. Policzki ma rumiane niczym radosna córka rzeźnika i jedzie od niego wodą na kilometr. Bur schyla się niepewnie i łąwi toczącą się po podłodze nie dopitą butelkę. Rozwala się obok mnie.

– Pij, kolego. Wielki Dza powiedział mi wcześniej, że nie dojedziemy tak po prostu do tego wahadłowca. Pij, bo później możemy już nie mieć okazji – oznajmia.

– Twoja rada ma trochę sensu – przyznaję.

Woda jest ciepła jak pomyje. Prycham alkoholowym aerozolem, walcząc ze skurczem żołądka. Później chcę otworzyć okno, żeby zobaczyć, co się stało. Nic z tego, zamki zostały zablokowane. Peter tymczasem dosysa się do butelki i tak zastaje go Kay.

– Doskonale, Peter. Pokrzep się, bo czeka nas dwadzieścia kilka kilometrów na piechotę, z gratami na plecach – dopinguje go. – Jakiś kretyn próbował przejechać przez wiadukt kolejowy ciężarówką z cegłami z rozbiórek. Urwał koło na kratownicy i zostawił tam grata. W ciężarówkę rąbnął skład towarowy i się wykoleił. Nasz maszynista to prawdziwy mistrz. Wyhamował kilkanaście metrów przed tym bałaganem – opowiada szybko.

– I co teraz? – pyta Peter.

– Mamy trening kondycyjny, mówiłem.

Trzeźwieję, kiedy dociera do mnie, że czeka nas kilkadziesiąt kilometrów marszu z całym wyposażeniem w letnim upale.

– Masz przecież telefon. Zadzwoń, niech przyślą nam ciężarówkę – przypominam mu z nadzieją.

– Mój telefon nie działa poza miastem, bo stacje wzmacniające sygnał zżarły szczury. Dzwoniłem od maszynisty, ale oni mają połączenie tylko z najbliższą stacją i od jej zawiadowcy usłyszałem, że ciężarówka może tu być za siedem do dziesięciu godzin. Tylko nie wiem, jakiego dnia tygodnia. Zresztą nie mogę wtajemniczać we wszystko byle kogo – odpowiada i wyskakuje na korytarz.

– Zbierać się migiem, księżycowe oferty. Za nami wali ekspres, który na bank wjedzie nam w dupę! Ma tu być za dwadzieścia minut, ale prowadzi go laska, która kocha szybką jazdę i nigdy nie trzyma się rozkładu. Galopem, bo nas skasuje! – ponagla wszystkich.

Wiadomość działa jak bat na gołą skórę. Zewsząd słychać pokrzykiwania i odgłosy gorączkowej krzątania. Po kilku minutach zbieramy się na piaszczystym nasypie obok góry naszych rzeczy. Kay z Ciastkiem sprawdzają jeszcze przedziały, czy nie zostawiliśmy czegoś ważnego. My zaczynamy segregować bagaż.

Podchodzi do nas trzech kolejarzy z obsługi lokomotywy. Mają kanister z ropą i pęk szmat. Tymczasem przypatrują się ciekawie nam i komandosom, którzy stoją kilka metrów dalej, rozrzućeni w czujną tyralierę. Czapiński nieopatrznie częstuje ich papierosami, co zachęca do zawarcia znajomości.

– Prawdziwe wojsko was pilnuje. Toście są ważni, normalnych pilnują baby z karabinami – zagaja jeden z nich.

Kolejarze nie wiedzą, że rozmawiając z nami, mogą sięgnąć na siebie spore kłopoty.

– Jesteśmy najlepszymi tancerzami z haremu Pierwszej Matki – odpowiada Peter, żeby ich spławić.

Najstarszy z kolejarzy patrzy przez chwilę w twarz Petera, po czym z zadziwiającą perfekcją pluje mu pod nogi tak, że ślina wznieca obłoczek kurzu osiadający na czubku

buta. Wyrzucają nasze papierosy i bez słowa odchodzą. Ludzie honoru ze starej, dobrej szkoły idą zapalić na torach ogień, żeby ostrzec nadjeżdżający ekspres.

– Nie gadać z nikim! – ostrzega Kay, wyskakując z wagonu.

Zaczynamy się zbierać do drogi. Torby ze skafandrami są niewygodne, mają za krótkie uszy, żeby powiesić je na plecach. Oprócz nich każdy ma bagaż w mniejszej torbie. Dochodzi do tego kilka sporych kontenerów z naszym prowiantem i drobiazgami technicznymi. I jest jeszcze ogromna, ciężka jak kac dorożkarza torba z częściami zapasowymi do instalacji oddechowych.

Do niesienia tego nieszczęścia przydaje się dzida Czapińskiego. Ja z Peterem wlecemy ją w pierwszej parze. Już po kilku krokach chwieją mi się kolana, a stopy wgniecione ciężarem grzęzną po kostki w pyle. Pot zalewa mi oczy. Ogromny wór kołysze się na boki, sprawiając, że drzewce dzidy wbijają się boleśnie w ramię. Nie mogę go poprawić, bo obie ręce mam zajęte torbami. W dodatku Peter jest wyższy i wór zjeżdża po drzewcu w moją stronę.

Jeszcze kilka kroków i nie wytrzymuję.

– Wsiadam, Kay! To bez sensu. Nikt nie dowlecze tego cholerstwa do wahadłowca w taki sposób. Wymyślmy coś albo pozdychamy – mówię, wyskakując spod worka.

– Kurwa! Hubert, nie rzucaj tym! – krzyczy kapitan. – To cenny sprzęt. Dobra, wymyślmy coś – zgadza się już spokojnym głosem, oglądając uważnie torbę.

Idzie do dowódcy komandosów. Wymieniają kilka zdań i trzech żołnierzy znika w pobliskim zagajniku. Dobiega stamtąd trzask łamanych gałęzi i stukot uderzeń żelaza o drewno. Komandosi powracają, ciągnąc młode drzewka i kilka długich prostych gałęzi. Na drodze, posługując się

nożami z piłą i spadochronową linką, montują sprawnie dwie drabiny.

– Szkoda, że nikt wcześniej na to nie wpadł – mówię, masując obolałe ramię.

Zaczynamy podczepiać pod szczeble drabiny nasze graty, gdy od strony torów dobiega potężny głuchy huk, pisk metalu trącego o metal i trzask dartej blachy. Śmierć pociągu obwieszcza przenikliwe wycie zerwanych przewodów ciśnieniowych oraz seria głośnych eksplozji.

– Kiedy dzwoniłem po ciężarówkę, zawiadomiłem też ekipę ratunkową. Powiedziałem, że tym ekspresem jedzie szefowa kadr ministerstwa transportu. Myślę, że ktoś przyjedzie. My mamy swoje zadanie – uprzedza naszą chęć niesienia pomocy rannym. – Punktualny jak nigdy – dodaje jeszcze, patrząc na zegarek.

– Jak myślisz Kay? Kolejarze zapalą teraz kolejne ognisko? – pyta przejęty Peter.

– O tak, z całą pewnością. To zdyscyplinowani ludzie. Myślę, że zapalając kolejne, dojdą kiedyś do centralnego węzła i powiedzą na miejscu, co się stało.

– Mają przecież radiotelefon – nie wierzy mu Peter.

Kay patrzy na niego zdziwionym wzrokiem.

– Nikt sam nie podejmie decyzji o wstrzymaniu ruchu. Sprawa musi mieć oficjalny bieg z uwzględnieniem hierarchii stanowisk, panie oficerze – tłumaczy, jakby rozmawiał z półgłówkiem. – No, zbierać graty! Nie mamy czasu, „Luna” nie będzie czekać na nas do usranej śmierci. Chcecie wracać do pierdła? – pogania nas.

Teraz ciężar rozłożony na nogi i ramiona kilku mężczyzn daje się nieść znacznie łatwiej. Jak mrówki niosące zapalke maszerujemy przez opustoszałe osiedla. Napawam uszy ciszą i syce oczy zielenią. Wyłączając pobyt w szpitalu na

przedmieściach, od lat nie byłem za miastem. Najpierw zakazano posiadania prywatnych samochodów, później padły zautomatyzowane wytwórnie rowerów, których ceny skoczyły pod niebo. O komunikacji komunalnej nie ma co wspominać. Te zdziczałe sady i spalone domy w ogródkach to dla nas powiew dzikiej przyrody.

Raz drogę przecina nam wataha chudych, bezpańskich psów. Patrzą na nas groźnie, to jedyne zwierzęta oprócz ptaków, jakie można napotkać w tej pustce. Co dwa, trzy kilometry robimy postój na papierosa i łyk wody. Kay wygłasza wtedy wykłady o rzymskich legionistach, przenoszących przez góry i puszcze całe maszyny oblężnicze. Peter upiera się przy tym, że legioniści mieli do dyspozycji słonie.

Kiedy wspinamy się z mozołem w górę zarośniętego buczyną wąwozu, zastępuje nam drogę kilku czarnych facetów, ubranych w płócienne szorty i postrzępione kolorowe koszulki. Dwóch ściska niewiarygodnie porysowane AR 80, a jeden wymachuje groźnie zabytkowym, chyba nigdy nie czyszczonym kałasznikowem.

Na czoło uzbrojonej grupy wysuwa się siwy starzec. Gardłuje nerwowo, aż ślina tryska mu kaskadami z bezzębnych ust. Tupie bosymi stopami, wskazując na nas wyciągniętą ręką, wyraźnie wściekły. W zaroślach rozlega się szelest gałęzi. Jeszcze kilku gości w szortach zachodzi nas od obu ścian wąwozu. Stoimy niezdecydowani, trzymając na barkach naszą drabinę.

Komandosi zamierają na pozycjach. Kątem oka widzę, jak dwóch znika w chaszczach, zupełnie jakby wyparowali w jednej chwili.

– Tłumacz, Peter – rozkazuje Kay.

Peter wyciąga głowę spomiędzy szczebli drabiny. Powoli

podchodzi do rozwścieczonego starca.

– Kapitanie, trochę rozumiem. To narzeczce gdzieś z Nigerii, podobne do hausa. Z tego, co on gada, wynika, że idziemy przez ich święte plemienne terytorium. Nie prosiliśmy o zgodę i nie wnieśliśmy opłaty. Duchy ich przodków są tym faktem ciężko podkurwione i za złamanie tabu cała wioska będzie miała przerabane przez pięć pokoleń czy coś w tym stylu.

– Czego chcą? – pyta Kay.

Peter wydaje kilka gardłowych dźwięków. Stary odpowiada śpiewnym podnieconym piskiem, potrząsając zaciśniętą pięścią.

– Teraz za karę, oprócz pięciuset euro, chcą naszą wielką torbę, cztery karabiny i dwóch niewolników, w tym mnie.

Nagle przestrzeń wokół nas wypełnia syk uwolnionego z kompresora powietrza. Wokół sypią się gałęzie, cięte dyskami ze stormów. Reprezentacja plemienia znika w purpurowej mgle, jakby ludzie byli ulepieni z lepkiego błota. Leżymy w sypkim piasku drogi, przygniecieni ciężarem drabiny. Z tyłu i z boków pada kilkanaście strzałów. Odpowiada im natychmiast szeleszczący syk stormów. Jakaś zabłąkana kula wznieca koło mojej głowy piaskowy gejzer. Jeszcze dwa razy miotacze komandosów przeczesują zarośla rojem wirujących zębatych dysków i zapada martwa cisza.

Dowódca komandosów krzyczy coś po hebrajsku. Musimy uciec z pułapki wawozu. Przecieram oczy, wszyscy zrywają się na kolana. Biegniemy po sypkim piachu oraz czymś, co przypomina porozrzućane strzępy lepkiego budyniu. Prawie nic nie widzę przez zasypane pyłem oczy. Zatrzymujemy się, kiedy już pieką nas płuca.

Komandosi spychają nas z drogi za niewielką wydnię. Siadamy, wyciągając głowy spomiędzy szczebli drabiny.

Przecieram dłońmi twarz, ale tylko rozmazuję pył. Zaczynam coś widzieć dopiero wtedy, gdy ktoś podaje mi manierkę z wodą i mogę przemyć oczy. Wokół dostrzegam przestraszone twarze.

Komandosi mają zabitego, niosą go pod ramiona. My także. Bezwładne ciało dźwiga Peter. Ręce małego dyrektora teatru zwieszają się bezwładnie niczym dwie białe wstęgi. Komandosi kładą swojego kolegę na trawie. Dowódca klęka przy nim i ściąga mu maskę. Lekki wiatr, w którym można już wyczuć morską sól, bawi się jasnymi włosami chłopaka. Żołnierz nie wygląda na więcej niż dwadzieścia trzy lata. Dowódca komandosów batalionu Masada delikatnie zamyka powieki poległego. Później wstaje z kolan i podchodzi do murzyńskiego czternastolatka w podartych szortach, którego wzięli do niewoli.

Jednym ruchem od biodra wbija chłopakowi nóż pod dolną szczękę. Ostrze znika w głowie chłopca aż po rękojęść. Równie błyskawicznym ruchem komandos wyciąga klingę z rany. Chłopak stoi jeszcze przez chwilę i pada bez jednego jęku niczym szmaciana marionetka, której ktoś przeciął sznurki.

Czuję na ramieniu dłoń Kaya.

– Zamknij się. Nic nie mów, nie zmienisz świata – słyszę jego głos.

Nie mówię nic. Nie czuję nic oprócz smutku. Zawsze czuję to samo, kiedy widzę taką śmierć.

Dowódca komandosów robi dla swoich ludzi szybką odprawę. Biorą po szczękach w milczeniu. Trzech pada na trawę, reszta utrzymuje się na nogach. Gdyby oddział był większy, na pewno rozstrzelałby odpowiedzialnych za rozpoznanie. Później szybko formują szyk, a jeden z nich bierze zabitego na plecy. My także nie zostawimy naszego

kolegi. Kosmonautę, który nigdy nie zobaczy skrawka kosmosu, będzie niósł Peter. My pójdziemy dalej z dodatkowym ciężarem.

Maszerujemy jak w transie, prawie bez postojów. Za każdym razem, kiedy po przerwie znowu podnosimy ciężar, maleje szansa, że zdołamy tego dokonać jeszcze raz. Mijając osiedla o martwych, czarnych oknach, docieramy wieczorem do miasteczka. Na przystani promowej wita nas stary przewoźnik z fajką w zębach.

– Co jest, do wydymanej wydry, sterczę tu od południa. Mieliście przyjechać pociągiem na stację – zrzędzi stary, dopóki nie zauważy niesionych zwłok. Na ich widok zamyka się natychmiast.

– Chcemy pochować naszych poległych na wyspie – zwraca się do niego Kay.

– Żaden problem – odpowiada przewoźnik.

– Jeden jest Żydem, a drugi chyba ewangelikiem – wyjaśnia kapitan.

– Bóg jest jeden, a nasz cmentarz jest bardzo ładny. Będzie im u nas dobrze – zapewnia Charon, otwierając skrzynkę z przełącznikami. – Wsiadajcie. Po nocy się nie pływa.

Płyniemy przez połyskliwą wodę na drugi, ostatni już brzeg. Na przystani czekają na nas dwie odkryte ciężarówki. Do jednej pakujemy nasz bagaż i poległych. Na jej skrzynię wsiada też większość komandosów. Sami z dwoma strażnikami, stojącymi na stopniach przy drzwiach szoferki, zabieramy się drugą. Jedziemy przez gęsty sosnowy las. Żywiczne powietrze pachnie oszałamiająco. Wszędzie słychać tajemnicze głosy przyrody, śpiew ptaków i rechotanie żab. W tej chwili szkoda mi Ziemi. Na pewno nie ma takiego drugiego miejsca we wszechświecie. Choćby „Hekate” była

szybsza od myśli geniusza, nigdzie nie znajdziemy takiego lasu i takiego wieczoru.

Ciężarówka zatrzymują się przed dwoma barakami. Jeden jest przeznaczony dla nas. Z trudem ściągamy z paki nasze graty i wnosimy do baraku. Stoją tam żelazne łóżka z materacami. Na stole, obok wielkiego wojskowego termosu, piętrzy się stos pudełek z jakimiś biszkoptami. Napełniamy kubki i padamy w ubraniach na łóżka. Dopiero po półgodzinie odzyskuję siły na tyle, żeby ściągnąć buty, oblepione piaskiem wymieszanym ze śmierdzącą mazią z tamtego wozu. Stopy mam czarne od brudu i tak spuchnięte, że wyglądają jak racice wielbłąda.

– Wiesz, Hubercie, bałem się tego lotu od pierwszego dnia, kiedy dowiedziałem się, o co chodzi. Umierałem ze strachu, słuchając o tych wszystkich kosmicznych wynalazkach. Ja, który zabiłem nożem postrzeloną przez kłusoli panterę. Ale już się nie boję, byle dalej od tego koszmaru. Ta krew na mojej koszuli, kiedy przez pół dnia niosłem Egoną, była ostatnia – mówi Peter, który właśnie wrócił z umywalni.

– Nie myśl o krwi. Niech ci się przyśni sawanna – odpowiadam mu i natychmiast zasypiam.

Rano, kiedy wszyscy jeszcze chrapiają, budzi mnie Kay. Szybko biegnę pod prysznic. Kiedy wracam, czeka już na mnie razem z Peterem. Jako oficerowie będziemy świadkami pogrzebu. Reszta chłopaków, jeżeli będzie chciała pożegnać kolegę, może przyjść później. Kay postanowił ich teraz nie budzić.

Jedziemy z czterema komandosami ciężarówką przez mglisty poranek. Ciała zabitych już stężały. Podskakują na wybojach jak zawinięte w brezent betonowe słupy. Ze zwłok Egoną zsuwa się brezent. Patrzą na kikut jego przedramienia.

– Muszą mieć dowód dla Berlina, że nie uciekł – tłumaczy cicho Kay.

Dojeżdżamy do wiejskiego cmentarzyka, gdzie na naszych zmarłych czekają już wykopane groby. Ciała zawinięte w zielony brezent skrywa spokojna, pachnąca życiem ziemia. Dowódca komandosów wznosi łkającą żydowską modlitwę za zmarłych. Inni stoją na baczność, prezentując broń. Kay nic nie mówi, tylko wyciąga z kieszeni płaski aluminiowy pojemnik. Wytrząsa na dłoń sporą garść szarego proszku i sypie go na ciało artysty. Proszek skrzy się w słońcu setkami diamentowych iskier.

– Co to? – pyta Peter.

– To księżycowy pył. Był w mojej załodze, należy mu się pogrzeb kosmonauty – mówi z powagą Kay.

Komandosi zasypują obie mogiły szybkimi ruchami zawodowych kopaczy okopów. Później kilka uderzeń łopaty i na mogile pojawia się kołek z gwiazdą Dawida. Jest cała, komandos wypełnił przyrzeczenie i teraz może połączyć się z bliskimi. Na tabliczkach pod gwiazdą i krzyżem nie ma nazwisk ani dat. Komandos będzie spał przez wieki jako „Żołnierz Izraela”, a na grobie Egona czerni się dumny napis: „Kosmonauta”.

Wracamy do bazy już w ostrym letnim słońcu. Nowy dzień wstał jak zwykle, nic sobie nie robiąc z tego, że jakiś Egon Weisse gryzie piach.

W baraku panuje bałagan. W coraz cieplejszym powietrzu kwitnie zapach zateęchłego sera. Podczas zajęć pływackich w zielonym basenie prawie wszyscy złapaliśmy grzybicę stóp.

– Kay, załatw gdzieś maść. Inaczej nasza ekspedycja będzie przypominać podróż w skarpecie Beduina – przypominam mu.

Dowódca kiwa głową, bierze do ręki wielką aluminiową

chochłę i wali nią w termos z herbatą. Rozbudzeni alarmem ludzie zwlekają się ospale z polówek.

Na rozkaz Kaya kilku ludzi robi jajecznicę z proszku, reszta składa łóżka, skarżąc się na obolałe po marszu gnaty. Po szybkim śniadaniu ustawiamy krzesła do odprawy. Kay czeka stojąc przed nami, aż ucichną rozmowy i szuranie nóg krzesel.

– Nasz kolega nie żyje, pochowaliśmy go rano – zaczyna.
– Z czasem zmieni się w elegancki biały szkielet. Jeżeli któryś z was popełni błąd w kosmosie, nie ma takiej szansy. W próżni jego ciało zmieni się w coś, co wygląda jak rzygi po malinowym lodzie. W tej postaci będzie fruwać po wszechświecie po wsze czasy. Jeżeli taki cymbał zginie sam, to jeszcze pół biedy. Ale pamiętajcie, że przez głupotę czy niedbalstwo jednego możemy zginąć wszyscy. Dlatego jest takie ważne, żebyście mnie słuchali i wykonywali moje rozkazy. Jeżeli ktoś czegoś nie rozumie, niech pyta. Najgorsi są tacy, którym się wydaje, że wszystko wiedzą najlepiej. Tam w górze zginęła przez przemądrzałych gnojków cała masa dobrych chłopaków. Kosmonauto Ciastek! W co zmienia się ciało w próżni?! – pyta niespodziewanie.

Ciastek zrywa się z krzesła jak dźgnięty w tyłek.

– W łoda z malinowych rzygów, panie kapitanie! – ryczy głośno, pąsowiejąc na twarzy. – To znaczy... w rzygi malinowego koloru – poprawia się po chwili.

– Prawie ślicznie, Ciastek – chwali go Kay. – Siadajcie i zamieńcie się w słuch. Mniej więcej za trzy godziny pojedziemy na start. Jak wiecie, na Księżyc zawiezie nas wahadłowiec typu „Luna”. To ostatni model dobrej, sprawdzonej maszyny. Kiedyś w odwiedzinie do cienkich dupków, którzy po trzech tygodniach w bazie już płakali za rodziną, latały nią bez problemów domowe kury z

dzieciakami oraz oczywiście ich zasrane pieski i kotki. – Przerzywa czekając, aż ucichnie śmiech załogi. – My, z rozmaitych względów technicznych, musimy wybrać inną trajektorię i trochę nami potrząsie. Ale mamy świetnych pilotów, którzy od początku obsługują ten egzemplarz, więc nie trzeba się przejmować. Teraz pojedę na miejsce startu. Wracam mniej więcej za półtorej godziny i podam wam wtedy dokładny czas do rozpoczęcia odliczania. Zostawiam instrukcje dotyczące zasad bezpieczeństwa na pokładzie i opis techniczny wahadłowca. Zapoznajcie się z tym dokumentami do mojego powrotu. Możecie czytać na świeżym powietrzu, uzgodniłem to z komandosami, tylko nie wolno wam wychodzić poza ogrodzenie. No to cześć – żegna nas, wychodząc.

Zabieramy papiery, krzesła i koce. Chłopaki tłoczą się przy wyjściu. Widzę, że Czapiński trzyma się z tyłu, ściskając jakąś torbę. Postanawiam nie spuszczać z oczu starego cwaniaka. Na zewnątrz Polak kieruje się w stronę wyspy krzaków, otaczających pień starej topoli. Czekam jeszcze przez chwilę, później idę tam i kładę się na trawie obok Ceszka. Mrużąc przed słońcem oczy, wyciągam do niego rękę. Polak wydaje dźwięki przypominające klótnię dwóch żmij w kupie suchych liści. Nie zwracam na to uwagi, tylko czekam, dopóki nie poczuję w dłoni ciężaru chłodnej puszkii piwa. Nie wiem, co drań przehandlował tym razem, bo swojej dzidy pilnuje niczym Mefisto potępionej duszy. Delikatnie odginam zawleczkę, żeby nie zwabić sykiem spragnionych sępów. Popijając spienione piwko, zatapiam się w lekturze instrukcji.

„Luna” jest średnim statkiem, przystosowanym do przewozu trzydziestu pasażerów i niewielkiego ładunku. Nie startuje z wyrzutni przy pomocy odrzucanych silników

nośnych, tylko wznosi się jak normalny samolot pasażerski, napędzany silnikami turboodrzutowymi. Po starcie odrzuca podwozie, żeby zmniejszyć masę. Lądowanie umożliwiają umieszczone centralnie w kadłubie dwa wąskie koła oraz lekkie, wytrzymałe płozy wysuwane ze skrzydeł. Wahadłowiec wznosi się na wysokość dwunastu tysięcy metrów, po czym spotyka się z powietrznym tankowcem, który napełnia zbiornik statku płynnym paliwem raketowym. Silniki turbinowe, pracujące na pełnej mocy, muszą utrzymać lekką do tej pory maszynę w stabilnym locie. Po tankowaniu następuje odrzucenie zamontowanych na specjalnych pylonach silników marszowych. W obudowie silników znajduje się kierowany spadochron latające skrzydło oraz ponton. Korpus silnika otacza szczelny pneumatyczny kokon z tworzywa, a całość spada do wyznaczonego akwenu na morzu, skąd jest wyławiana. Wahadłowiec po odrzuceniu silników opada, stabilizując lot na wysokości około dziesięciu tysięcy metrów. Następnie odpala główny silnik raketowy. Po dwóch minutach „Luna” jest na orbicie i przechodzi w stan swobodnego opadania, nazywany potocznie stanem nieważkości. Oczywiście statek ma za mały zapas paliwa, żeby dolecieć do Księżyca. Rozwiązanie jest proste. Na wysokiej 650-kilometrowej orbicie krąży stacja orbitalna z zapasem wymiennych silników raketowych na paliwo wodorowe. Wodór uzyskany z materii satelity dostarczają tu powracające na Ziemię wahadłowce oraz inne statki, utrzymujące połączenia z Księżycem. „Luna” dokuje w tej stacji, gdzie technicy doczepiają do tyłu kadłuba napęd. Następuje drugi skok i w ciągu dwustu pięćdziesięciu godzin statek pokonuje pół miliona kilometrów.

Robię przerwę, żeby rozpedzić tyralierę mrówek przedzierających się przez puszcę włosów na łydce, i

wracam do tekstu. Ciekawa jest budowa płata oraz przedniej i dolnej części kadłuba, umożliwiające pokonanie bariery cieplnej przy lądowaniu. Wszystkie powierzchnie narażone na zetknięcie ze skrajnie wysokimi temperaturami pokryte są jednorazowymi wkładami z lekkiego grafitu i cienkiej porcelitowej izolacji. Wkład jest wielowarstwowy. Kiedy warstwa grafitu przepali się, pęka rdzeń przytrzymujący pas izolacji na krawędzi natarcia, który odpada, odsłaniając kolejną warstwę grafitu. Ta pochłania ciepło aż do stopienia. Warstwa izolacyjna jest tak zaprojektowana, że jej ubytki nie zmieniają profilu aerodynamicznego płata.

Kończę piwo i kładę się znowu na wznak. Widok nieba jak zwykle mnie uspokaja. Nie myślę o namiastce naziemnej kontroli lotu. O tym, że będzie nam potrzebne szczęście wariata, żeby w ogóle spotkać się z tankowcem i wystartować w kosmos. Patrząc, jak wysoki wiatr rozmazuje pasma chmur, mówię:

– Ceszek, wszystkie kobiety, których nie zdobyłeś, nie zaznają już szczęścia. Uszną z tęsknoty za tobą, raniąc sobie twarze ostrymi kamieniami.

– Jesce zobaczymy, sefie. Jesce tu wrócę, mają być cyste i gotowe. Mają wysłać sfoich rogacy do roboty i cekać na mnie z odbespieconymi cyckami w ciepłej pościeli – odpowiada już trochę wyraźniej z niezachwianym optymizmem.

Z instruktazem na twarzy zapadam w drzemkę. Jestem zupełnie spokojny. Przecież zawsze chciałem zostać kosmonautą. Przez lata czytałem o tym wszystko, co tylko wpadło mi w ręce. Teraz los sprawił, że otrzymałem swoją szansę.

Z rozmarzenia budzi mnie kopniak w łydkę.

– No, panie pierwszy. Mam nadzieję, że przeczytałeś w

instrukcji o zasadach bezpieczeństwa na pokładzie. Na przykład jak zachowują się smarki w stanie nieważkości? Nie życzę sobie, żeby zakleły mi powieki, kiedy kichniesz – mówi stojący nad moją głową Kay.

Na tle słońca wygląda niczym postać z tajskiego teatru cieni.

– Nie obawiaj się. Połknę wszystko do ostatniej kropli i opowiem przy kolacji jak smakowały – uspokajam go.

Kay mruczy coś o braku kultury i odchodzi. Opuszczamy z Czapińskim nasz przytulny zakątek. Kay stoi otoczony grupą chłopaków.

– Panowie, wygląda na to, że szafa gra. Idziemy po nasze graty i ładujemy się do ciężarówek. Mamy zielone światło. Kto się popłacze przy pożegnaniu Mamusi Ziemi, sprzęta rzygi na pokładzie wahadłowca przez cały lot. Do baraku marsz – rozkazuje.

Taszczy my nasze worki i ładujemy je na skrzynię mniejszego wozu. Sami wskakujemy na pakę większego mercedesa. Stoimy trzymając się burt. Nikt się nie odzywa, każdy chłonie widok rodzinnego świata w samotności. Komandosi zajmują miejsca w samochodach terenowych. Ich dowódca daje kierowcom znak ręką.

Mijamy puste, zarośnięte perzem korty tenisowe, później zespół rekreacyjny z boiskiem lekkoatletycznym. Dalej rozciąga się kompleks ogromnego kosmodromu z budynkami laboratoriów doświadczalnych oraz gigantycznymi hangarami. Przejeżdżamy obok idealnie prostych kanałów z betonowymi ścianami. Transportowano nimi na miejsce startu największe wahadłowce z serii „Helios” oraz rakiety transportowe „Bizon”. Giganty spoczywały w hangarach na pływających platformach. Przed startem holowano je do wyrzutni umieszczonych na sztucznych jeziorach.

Zapobiegało to wstrząsom podczas transportu i zwiększało bezpieczeństwo w przypadku pożaru.

Ciężarówka toczy się właśnie nad brzegiem sztucznego zbiornika. Tafla wody jest gładka jak lustro, tylko gdzieś na powierzchni widać rozchodzące się kręgi. To żerują małe rybki, którym człowiek zbudował wygodne mieszkanie. Peter klepie mnie w ramię, pokazując stumetrową wieżę startową po drugiej stronie, rudą od rdzy. Niczym napowietrzne glony na łodydze bajkowej fasoli, zwieszają się z niej postrzępione kable i przewody hydrauliczne. W połowie wysokości budowli widać ślad katastrofy sprzed lat. Zwiększająca siłę ciągu tarcza odboju gazów z dysz silników zamarła w jednej trzeciej drogi. Stalowo-porcelitowy krąg wygląda teraz jak nadziany na patyk talerz iluzjonisty. Rakieta nie osiągnęła na pewno odpowiedniej mocy i runęła gdzieś do morza.

Wieża żegna nas wyciągniętym bezsilnie ramieniem. Zapominamy o niej na widok, który ścisza serce. Nasz konwój jedzie teraz przez złomowisko floty. Największe dzieła geniuszu tysięcy naukowców rdzewieją na betonowym placu, sięgającym aż do ściany odległego lasu. Patrzą z bliska na oderwany od kadłuba, wypalony, monstrualnie wielki kokpit eksperymentalnego statku „Giordano Bruno”. Tytan był przeznaczony do masowej kolonizacji Marsa. To z nim rywalizował zespół Mentzla. Klasyczny wahadłowiec „Bruno” odbył dwa próbné loty, wprawiając wszystkich w zachwyty. Nawet gdyby Mentzel nie odniósł sukcesu, bramy Układu Słonecznego były już otwarte. Cud techniki przypomina teraz ruiny zdruzgotanego zamku olbrzymów. W szczelinach popękanego kadłuba zielenią się gałązki młodych krzewów, w dziurach po iluminatorach widać smugi ptasich odchodów.

– Patrzcie, chłopaki, to Wielki Bruno. Już drugi raz go gnoje spalili – wypowiada się za wszystkich Gerd.

Dalej zalegają szczątki statków wszystkich typów, korpusy ракет, silniki. Dostrzegam nawet wrak tajnego, supersonicznego myśliwca E-Comet, o poszyciu wzorowanym na pocącej się ludzkiej skórze i silniku z rdzeniem skraplającym tlen atmosferyczny.

Czapiński podaje mi papierosa. Oczy mu się szklą, jakby płakał.

– Zostanie po nas złom żelazny i głuchy drwiący śmiech pokoleń – recytuje fragment jakiegoś wiersza.

•

Jedziemy przygnębieni, podrzucani na wybojach jak nieczułe worki węgla. W oddali już widać oślepiająco biały punkt. Niczym śnieżna mewa odpoczywająca na płaskim brzegu plaży, czeka na nas „Luna”. Ostatni z ostatnich blasków naszej umarłej potęgi i chwały.